J. Okołowicz Wychodźtwo i osadnictwo polskie przed wojną światową

WYCHODŹTWO I OSADNICTWO POLSKIE.

DRUK PIOTRA LASKAUERA,
WARSZAWA, MARJENSZTAD 8.

JÓZEF OKOŁOWICZ

▽▽▽

WYCHODŹTWO I OSADNICTWO POLSKIE

PRZED WOJNĄ ŚWIATOWĄ

NAKŁADEM URZĘDU EMIGRACYJNEGO
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI
GEBETHNERA I WOLFFA W WARSZAWIE
1920

PRZEDMOWA.

Po wykładach, jakie w r. 1918/19 miałem w Szkole Nauk Politycznych i na Kursach dyplomatyczno-konsularnych w Warszawie na temat wychodźtwa i polityki emigracyjnej, pozostała mi garść notatek, które postanowiłem zużytkować dla opracowania podręcznika orjentacyjnego, przeznaczonego przedewszystkiem dla tych urzędników państwowych i działaczy społecznych, którym wypadnie mieć bezpośrednią styczność z ruchem wychodźczym lub reemigracją. Piśmiennictwo nasze wogóle nie obfituje w prace, poświęcone emigracji, a brak odpowiedniego podręcznika, treściwie i przystępnie informującego o stanie stosunków emigracyjnych we wszystkich trzech dzielnicach Polski w dobie przedwojennej, sam odczuwałem, kiedy, organizując jako szef Sekcji Emigracji i Pośrednictwa Pracy Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej podwładne mi urzędy prowincjonalne, musiałem powoływać do współpracy również osoby, z kwestją emigracji dotychczas wcale nieobeznane, którym krótki kurs instruktorski nie mógł dać wszystkich potrzebnych wiadomości.

Wązkie ramy, w jakie musiałem ująć swą pracę, oraz brak pod ręką wszystkich niezbędnych materjałów statystycznych, o które przy panujących stosunkach komunikacyjnych trudno mi było się wystarać, tłumaczą luki, jakie rzecz ta wykazuje; w znacznym stopniu opiera się ona na

mych własnych badaniach i bezpośrednich obserwacjach, spowodowanych prowadzoną od lat 20-tu społeczną działalnością na polu emigracji i połączonemi z nią podróżami po wszystkich niemal europejskich i zamorskich krajach, do których kierował się polski ruch emigracyjny.

Charakterystykę stosunków wychodźczych i osadniczych kreśliłem według stanu ich przed wybuchem wojny światowej; aby to uprzytomnić czytelnikowi, mówię o nich wszędzie w czasie przeszłym, nie czyniąc wyjątku nawet dla tych konjunktur, urządzeń, przepisów administracyjnych i ustaw, które dotychczas nie uległy jeszcze żadnym zmianom.

Józef Okołowicz.

Warszawa, w sierpniu, 1919 r.

I. Uwagi wstępne.

ROZDZIAŁ I.

Definicja, rodzaje przyczyny wychodźtwa.

Pojęcie wychodźtwa przez długi czas nie miało ustalonej definicji, przeważała zaś tendencja, by za wychodźców uważać ludzi, opuszczających kraj rodzinny bezpowrotnie, w celach osadniczych. Takie pojmowanie wychodźtwa znajduje swe uzasadnienie w fakcie, że wychodźtwo nowoczesne w początkach swego rozwoju nosiło prawie wyłącznie charakter przesiedleńczy, było wędrówką, odbywaną najczęściej w odległe kraje zamorskie bez zamiaru powrotu. Dopiero w miarę, jak obok wychodźtwa stałego coraz bardziej rozwijać się poczęły wędrówki robotników do kontynentalnych krajów obcych w celach zarobkowych i na pewien określony czas a ruch ten nie tylko przyjął rozmiary masowe, ale w niektórych krajach przewyższył nawet pod względem liczebnym emigrację zamorską, powstała potrzeba rozszerzenia pojęcia wychodźtwa również i na czasowe przenoszenie się do wszelkich krajów zagranicznych w celach poprawy bytu.

Za wychodźców uważamy tedy ludzi, którzy, czy to na stałe czy też z zamiarem powrotu, udają się zagranicę, aby szukać tam utrzymania. Z naszego polskiego punktu

widzenia (wobec nieposiadania własnych granic państwowych) musieliśmy przed wybuchem wojny światowej zaliczać do kategorji krajów „zagranicznych" odnośnie do polskiego wychodźtwa również kraje choćby tej samej przynależności państwowej, ale cudzoziemskie w znaczeniu etnograficznym. Robotnik, wędrujący z Galicji za zarobkiem do Czech lub Tyrolu, był przeto wychodźcą na równi ze swym towarzyszem, udającym się w tymże celu do Francji lub Danji, aczkolwiek opuszczał tylko granice swego kraju, ale nie państwa, do którego był przynależny. Z drugiej strony nie można było nie uważać za wychodźtwo wędrówki zarobkowej lub przesiedleńczej z jednej dzielnicy polskiej do sąsiedniej, znajdującej się pod innem panowaniem, np. z Królestwa Polskiego do Wielkopolski, a to ze względu na odmienne stosunki gospodarcze i społeczne, na inną administrację polityczną i obowiązywanie innych ustaw.

Jak z powyższego określenia wynika, do kategorji wychodźców nie można zaliczać podróżnych, udających się zagranicę w celach naukowych lub turystycznych, na kuracje, dla objazdów handlowych i t. p. Od wychodźtwa ekonomicznego należy odrożniać emigrację przymusową, powodowaną uciskiem politycznym lub religijnym.

Ustawy państw europejskich nie zawsze zawierają definicję wychodźtwa. Pomijają ją zupełnie ustawodawstwa Niemiec, Francji, Belgji, Anglji, Szwajcarji i Holandji. W austrjackim patencie emigracyjnym z r. 1832 (który obowiązywał aż do wybuchu wojny) za wychodźcę uchodzi ten, kto udaje się zagranicę z wyraźnie zaznaczonym lub też z czynności przygotowawczych wynikającym zamiarem niepowrócenia; natomiast w projektach austrjackiej ustawy emigracyjnej z r. 1904, 1908 i 1913 za wychodźców uchodzą osoby, udające się zagranicę, by szukać tam utrzymania, oraz członkowie ich rodzin, którzy im w tej wyprawie towarzyszą. Ustawa węgierska z r. 1909 uważa za

wychodźcę każdego, kto w celach trwałego zarobkowania udaje się na obczyznę; niema ona z reguły zastosowania do osób, które udają się w celach zarobkowych do krajów europejskich na okres czasu krótszy od roku; minister spraw wewnętrznych upoważniony jednak został tą samą ustawą do rozszerzenia jej postanowień ochronnych w razie potrzeby również i na wychodźców sezonowych. Według ustaw włoskiej i hiszpańskiej za wychodźców zamorskich uchodzą wszyscy podróżni, którzy odjeżdżają na okrętach w III-ej lub równorzędnej klasie, skoro cel podróży obejmuje kraje, położone poza kanałem Suezkim lub cieśniną Gibraltarską (według ustawy włoskiej), względnie Amerykę, Azję lub Australję (według ustawy hiszpańskiej). Po myśli angielskiej ustawy o żegludze handlowej wychodźcą jest każdy okrętowy pasażer międzypokładu (III klasy), o ile jedzie do krajów pozaeuropejskich (z wykluczeniem portów morza Śródziemnego). Prawa francuskie (Dekret z 9 marca 1861 r.) zaliczają do kategorji wychodźców wszystkich podróżnych, którzy płacą za przejazd wraz z utrzymaniem mniej niż 40 franków tygodniowo na żeglowcach, mniej zaś niż 80 frs. tygodniowo na parowcach[1]),

Ruch wychodźczy podzielić można na *wychodźtwo kontynentalne*, obracające się w granicach Europy, oraz *wychodźtwo zamorskie*, zdążające do innych części świata. Nadto odróżniamy *wychodźtwo przesiedleńcze*, zwane także osadniczem lub stałem, które ma charakter bezpowrotny, oraz *emigrację zarobkową*, przesiębraną z zamiarem powrotu po pewnym czasie do kraju. Wychodźtwo kontynentalne było u nas przeważnie czasowem wychodźtwem zarobkowem, natomiast wychodźtwo zamorskie posiada bar-

[1]) Zestawienie porównawcze oraz tekst ustaw emigracyjnych państw europejskich zawiera wydawnictwo austrjackiego Ministerstwa Handlu: „Die Auswanderungsgesetzgebung". — Wien 1911 (zebrał i zestawił Dr. Fr. v. Srbik).

dziej charakter emigracji stałej, przesiedleńczej. Wychodźtwo zarobkowe, jeśli odbywa się na pewien zgóry określony czas, najczęściej nie trwający całego roku, nosi miano emigracji sezonowej. Dla takiej emigracji sezonowej polskich robotników rolnych do Niemiec, powszechnie utarła się nazwa „obieżysastwa", pochodząca stąd, że w początkach polskie wychodźtwo sezonowe skierowywało się głównie do Saksonji („Sachsengängerei").

Że wychodźtwo zamorskie może być nietylko czasowem wychodźtwem zarobkowem, lecz nawet sezonowem, świadczy o tem emigracja robotników włoskich i hiszpańskich na żniwa, do Argentyny. Wychodźtwo zamorskie zarobkowe, częściej jednak od kontynentalnego, przemienia się w stałą emigrację przesiedleńczą w ten sposób mianowicie, że wychodźca, który opuszczał kraj z postanowieniem powrotu po pewnym czasie w strony ojczyste, już podczas pobytu na obczyźnie postanowienie to zmienia i osiedla się tam na zawsze. Z drugiej strony emigracja zarobkowa kontynentalna toruje niekiedy drogę do wychodźtwa zamorskiego, umożliwiając wychodźcy zebranie funduszów, potrzebnych do przedsiębrania dalszej podróży.

Powrót wychodźców do kraju ojczystego nazywamy reemigracją. Nazwę tę niesłusznie przyjęto stosować do powrotu uchodźców wojennych, gdyż ludzie ci, ściśle mówiąc, nigdy nie byli emigrantami, a do wyjazdu na obczyznę skłoniła ich nie chęć szukania tam utrzymania, lecz wyjątkowe stosunki wojenne, najczęściej przemoc brutalna. Od wychodźtwa należy odróżnić wędrówki zarobkowe, podejmowane w granicach kraju ojczystego do dalszych jego okolic (migrację). Robotnik rolny, udający się z Podlasia na roboty w Kaliskie, wychodźcą oczywiście nie jest, natomiast, przeciwnie, za emigrację należało uważać wychodźtwo zarobkowe Polaków poznańskich do Westfalji, aczkolwiek z punktu widzenia niemieckiego były to tylko „Binnen-

wanderungen", wędrówki wewnątrzkrajowe,—ze względu na przynależność państwową Wielkopolan do Niemiec.

W stosunku do tego kraju, do którego się kieruje, jest emigracja imigracją, przychodźtwem.

Szczegółowe omówienie przyczyn, które przed wybuchem wojny światowej powodowały w Polsce ruch wychodźczy, przekraczałoby ramy, zakreślone niniejszej pracy. W tym celu bowiem, należałoby przedewszystkiem przedstawić historję ukształtowania się u nas stosunków gospodarczo-społecznych, dać dokładną charakterystykę tych stosunków w latach, poprzedzających wybuch wojny, a nadto omówić postępy kolonizacji i rozwój rynków pracy w tych krajach imigracyjnych, do których podążali nasi wychodźcy.

Na rozmiary ruchu wychodźczego, jego .charakter i kierunek, oddziaływa cały szereg różnorodnych czynników, decydujący wpływ atoli ma całokształt aktualnych stosunków gospodarczo-społecznych w kraju, w którym ruch emigracyjny powstaje, oraz w krajach, do których prąd jego się skierowuje. Z punktu widzenia terytorjalnego, możnaby więc podzielić przyczyny wychodźtwa na wewnętrznokrajowe, wytwarzające przymus lub skłonność do emigracji oraz zewnętrzne, których istnienie zagranicą umożliwia, konkretne realizowanie projektów emigracyjnych. O eksporcie osadników i najmitów, jakim jest emigracja, da się powiedzieć to samo, co o eksporcie towarów, a mianowicie, że staje się on niewykonalny w braku odpowiedniego popytu w krajach zagranicznych. Z tego względu, każda pomyślniejsza konjunktura zagraniczna falę emigracyjną potęguje, a niepomyślna — osłabia, gdyż, aby zostać wychodźcą, trzeba nietylko czuć się niezadowolonym ze swego położenia, ale nadto mieć, jeśli nie pewność, to przynajmniej uzasadnioną nadzieję, że przez zamierzoną wędrówkę na obczyznę zdoła się rzeczywiście byt swój poprawić.

Mówiąc o przeludnieniu, jako głównej przyczynie emigracji, nie należy mieć na myśli przeludnienia w dosłownem tego wyrazu znaczeniu. Bo lubo dwie dzielnice Polskie—Królestwo i Galicja—należały przed wojną do najgęściej zamieszkanych krajów europejskich, to jednak wiemy, że kraje jeszcze gęściej zaludnione mogą dawać cyfrę emigracji bardzo nikłą w porównaniu z imigracją, mogą zamiast eksportować importować masowo dłonie robocze, jak tego klasycznym przykładem jest Saksonja.[1])

Nie przeciętna liczba mieszkańców, przypadająca na kwadratowy kilometr Polski, powodowała olbrzymi ruch wychodźczy, lecz przedewszystkiem fakt nadzwyczajnego przeludnienia polskiej wsi proletarjatem i półproletarjatem rolnym. Przy tej samej gęstości zaludnienia, ruch wychodźczy w Królestwie i Galicji nie byłby tak masowy, gdyby odpowiadał mu ogólny rozwój produkcji krajowej,

---

[1]) Przeciętna liczba mieszkańców na 1 km.^{2} wynosiła w Królestwie Kongresowem w 1913 r. 102,8 w Galicji (w r. 1910) 102, w Księstwie Poznańskiem 72; Królestwu więc i Galicji ustępowały pod względem gęstości zaludnienia: Szwajcarja (91 m.), Austrja (76 m.), Francja (73,8 m.), przewyższały zaś je: Niemcy (120 m.), Włochy (121 m.), Holandja (179 m.), Anglja (238 m.) i Belgja (254 m.). W ciągu jednego stulecia, od r. 1810 do r. 1910, ludność Królestwa Kongresowego wzrosła przeszło 3.5 razy (z 3.300.000 mieszkańców do 12.129.200), ludność W. Ks. Poznańskiego — przeszło 2.5 razy, ludność Galicji — 2 razy; natomiast ludność w Niemczech zwiększyła się w ubiegłym stuleciu 2.5 razy, w Szwecji 2.3 razy, we Włoszech 1.8 razy, w Hiszpanji 1.6 razy, we Francji 1.4 razy, co świadczy że Polska posiadała naturalny przyrost ludności znacznie silniejszy niż inne narody. Przyrost naturalny ludności w Królestwie Kongresowem (według obliczeń z r. 1908) wynosił bowiem na 100 mieszkańców 1.65 i na tym samym mniej więcej poziomie utrzymywał się w Galicji, z powodu mniejszej liczby zgonów jeszcze wyższym będąc w Poznańskiem (pomimo mniejszej liczby urodzeń), w Niemczech zaś naturalny przyrost ludności wynosił 1.32, we Włoszech — 1.06, w Anglji — 1.20, w Szwajcarji—0.95, w Austrji—0.87, we Francji — 0.09.

t. j. gdyby na krajowym rynku pracy podaż rąk roboczych nie przewyższała w tak znacznym stopniu istniejącego na nie popytu. Pomijając emigrację żydowską do Ameryki i Anglji i odpływ rzemieślników i robotników kwalifikowanych z Królestwa do Rosji, fala wychodźcza w Polsce porywała głównie ludność włościańską, co pochodziło stąd, że wieś nasza przeładowana jest proletarjatem rolnym, względnie ma nadmiar gospodarstw karłowatych, niezdolnych do wyżywienia swych właścicieli z powodu małego obszaru, niskiej kultury i małej wydajności gleby. Wieś stała się olbrzymim rezerwoarem wolnych rąk roboczych, które, nie mogąc znaleźć zatrudnienia w kraju, ani w rolnictwie, ani też w przemyśle, zmuszone były szukać dróg zagranicą do okolic, gdzie istniała możność natychmiastowego otrzymania zarobku.

Na niepomyślne ukształtowanie się wewnętrznego rynku pracy w Polsce wpływał nietylko niedostateczny rozwój przemysłu, który nie zdołał nadążyć za naturalnym przyrostem ludności i nie mógł dać utrzymania tym wszystkim, którzy nie znajdowali zarobków na wsi; również ujemnie oddziaływał dotychczasowy stan kultury gospodarstw rolnych. Mało intensywna gospodarka powodowała zapotrzebowanie rąk roboczych na roli znacznie mniejsze od tego, jakie wykazywały intensywnie prowadzone gospodarstwa Zachodu, gdzie zwłaszcza potężny rozkwit gospodarstw buraczanych w wielu okolicach nietylko pochłaniał wszystkie, będące do dyspozycji miejscowe siły robocze, lecz nadto wywoływał silną imigrację robotników sezonowych zagranicznych. Niedość intensywny sposób gospodarowania naszej własności rolnej nietylko sprawiał, że, przeciętnie, na każdy hektar roli przypadała w Królestwie i Galicji znacznie mniejsza liczba dni roboczych w roku, niż np. w Saksonji lub Danji, lecz nadto stan ten wytwarzał dla robotników rolnych warunki pracy mniej korzystne, a

zwłaszcza zarobki niższe, od przyjętych w krajach zachodnio-europejskich.[1])

Według obliczeń Warszawskiego Komitetu Statystycznego przeciętna płaca dzienna robotników rolnych z Królestwa Kongresowego wynosiła w r. 1908 w kopiejkach:

	dla mężczyzn	dla kobiet
na wikcie pracodawcy:		
an wychodźtwie	99	68
w kraju	48	31
na własnym wikcie:		
na wychodźtwie	166	119
w kraju	72	46

Stosunki zarobkowe w Galicji nie były o wiele korzystniejsze, a nawet w Wielkopolsce płacę robotników rolnych były niższe, niż w zachodnich prowincjach niemieckich.

Nic dziwnego zatem, że, gdy jednych do wędrówki na obczyznę zmuszała trudność znalezienia pracy w kraju, to inni znów udawali się tam, by zarabiać więcej; w szczególności robotnikom rolnym decyzja na wyjazd przychodziła tem łatwiej, że brak zabezpieczenia na starość i wypadek kalectwa, nader opłakane stosunki mieszkaniowe, nie odpowiadające nieraz najskromniejszym wymaganiom higjeny i obyczajności, przeciętnie gorsza i szczuplejsza od zagranicznej ordynarja, wreszcie monotonja życia, ogołoconego ze wszelkich podnioślejszych wrażeń — oczywiście nie mogły zbytnio przywiązywać proletarjuszów rolnych do pracy na glebie ojczystej.

[1]) Jak bardzo stan kultury rolnej wpływa na zapotrzebowanie rąk roboczych, świadczy np. fakt, że wtedy, gdy w Galicji wschodniej przypadało przeciętnie na jeden hektar roli 41.4 dni roboczych, to w Galicji zachodniej, gdzie kultura rolna stała wyżej, przypadało 45 dni roboczych, na Śląsku cieszyńskim — 67.2 dni roboczych, na Morawach zaś aż 82.8 dni roboczych, czyli dwa razy tyle co w Galicji wschodniej.

Okoliczność, że obok włościanina bezrolnego do tłumnych wędrówek zarobkowych przyłączał się również chłop małorolny, miała swe źródło nie tylko w rozdrobnieniu gospodarstw włościańskich, uderzającem zwłaszcza na terenie galicyjskiem, lecz m. i. także w niskim stanie kultury tych gospodarstw w Królestwie i Małopolsce. Według obliczeń Wład. Grabskiego było w Królestwie w r. 1904 gospodarstw o rozległości do 6 morgów 407,458, z czego przeszło połowa, bo aż 205.836 przypadało na gospodarstwa karłowate o rozmiarach do 3-ch morgów. W Galicji — jak oblicza Marquet w „Sociale Praxis" było w r. 1902 aż 444 tysięcy gospodarstw rolnych tak drobnych (poniżej 2 ha), że mogły dać wyżywienie rodzinie zaledwie na trzy miesiące w roku, a 369 tysięcy gospodarstw tych rozmiarów, że mogły zapewnić swym właścicielom utrzymanie najwyżej na 8 miesięcy w ciągu roku. Notabene gospodarstwa włościańskie ulegały w Galicji coraz większemu rozdrobnieniu tak, że wtedy, gdy według obliczeń Wydziału Krajowego jeszcze w r. 1892 miały gospodarstwa chłopskie obszar przeciętny 5 morgów, to w r. 1896 na jedno gospodarstwo włościańskie w Galicji przypadało przeciętnie już tylko 4,2 morgi, a w r. 1910 już tylko 3,6 morgi gruntów.

W wielu krajach zachodnich, jak w Belgji, Holandji, Francji, posiadacze nawet tak drobnych działków umieją przy pomocy warzywnictwa i t. p., zapewnić sobie dostatnie utrzymanie, do czego pomaga im wyższy stopień oświaty i przygotowanie zawodowe, a nadto ułatwiony zbyt produktów przez rozwój gęstej sieci komunikacyjnej, działalność syndykatów i kooperatyw i t. d. W Królestwie, natomiast, właściciele gospodarstw karłowatych skazani byli przeważnie na poszukiwanie zarobków: ci, którzy zarobków nie mogli czy też nie umieli znaleźć w kraju, musieli wędrować na obczyznę.

Nie bez wpływu na masowe rozmiary wychodźtwa sezonowego pozostawał w Polsce krótki okres sezonu ro-

boczego w gospodarstwach ziemiańskich. Gdy w sąsiednich Prusach, sprowadzanie polskich robotników rozpoczynało się już w lutym i przechodziło w największą fazę w marcu, robotnicy ci zaś byli zamawiani często jeszcze na jesieni poprzedniego roku, u nas poszukiwanie, względnie najmowanie robotników sezonowych odbywało się zazwyczaj znacznie później, t. j. w czasie kiedy już bardzo wielu najemników, nie mogąc dłużej biedować, przyjęło zarobek, ofiarowany im zagranicą.

Jedną z poważnych podniet emigracji (zwłaszcza sezonowej) stanowił również brak publicznych instytucji pośrednictwa pracy wewnątrz kraju w Królestwie oraz niedostateczne jeszcze postępy na tem polu w Galicji (powiatowe biura pośrednictwa pracy, powołane do życia ustawą krajową z dn. 16 marca 1904 r. i biura pośrednictwa pracy Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego od r. 1910), co wybitnie utrudniało proletarjuszom wiejskim „migrację", czyli poszukiwanie pracy w odleglejszych okolicach własnego kraju.

Wieśniak nasz, skoro nie mógł znaleźć odpowiedniego zarobku w swej okolicy, zazwyczaj wiedział, że znajdzie go zagranicą, a często najbliższy sąsiad-bywalec, czy też usłużny agent-pośrednik, mający swój własny zysk na widoku, pouczał go, dokąd ma wędrować, niekiedy dając do ręki gotowy kontrakt i zaliczkę na podróż. O tem natomiast, iż przecież udałoby mu się otrzymać nieźle płatne zajęcie we własnym kraju, może nawet w sąsiednim powiecie, robotnik taki w wielu wypadkach nie był poinformowany. Stąd też wynikało, że gdy w jednych okolicach podaż rąk roboczych znacznie przewyższałą miejscowy popyt, powodując emigrację, jednocześnie w innych, wręcz przeciwnie — koła ziemiańskie podnosiły skargi na brak robotnika.

Do głównych przyczyn bezpowrotnego wychodźtwa osadniczego należała trudność, jaką polski wieśniak — proletarjusz napotykał w dążeniu do posiadania własnego kawał-

ka ziemi w kraju ojczystym. Brak racjonalnie zorganizowanej parcelacji i kolonizacji wewnętrznej odgrywał tu wybitną rolę. Proletarjusz wiejski naogół w bardzo rzadkich wypadkach zdobywał na własność kawałek gruntu, a dla wielu posiadaczy gospodarstw karłowych, pragnienie rozszerzenia swych drobnych działków było wykonalne tylko przez poszukiwanie potrzebnych na ten cel środków zagranicą, np. przez pracę na dnie kopalń amerykańskich. [1])

Głód ziemi odrywał często wychodźców naszych od kraju na zawsze. Kolportowąna przez agentów lub nadchodząca w inny sposób wieść, że gdzieś, za oceanem, dajmy na to w Brazylji, każdy przybysz, nawet bez posiadania najmniejszej gotówki, zostać może odrazu właścicielem kilkunastu albo kilkudziesięciu morgów, stanowiła dla setek i tysięcy proletarjuszów i półproletarjuszów pokusę, której tem trudniej było się oprzeć, im łatwiej było odbyć podróż, jeśli koszta przejazdu przez ocean opłacał rząd zamorski. Wszak najbiedniejszym wydawało się to jedyną okazją do zdobycia własnych warsztatów pracy! Inni znów, którzy za morze wybrali się tylko po zarobki, z zamiarem powrotu w strony ojczyste, ulegali pokusie już tam na miejscu, przekonani argumentami agentów rozmaitych spółek i kompanji kolonizacyjnych, czyniących w nabywaniu „lotów" przeróżne ułatwienia, oraz dręczeni wątpliwością, czy poczynione oszczędności wystarczyłyby im na zakup gruntu w kraju ojczystym.

Obok miarodajnych przyczyn ekonomicznych pewną rolę odgrywały w ruchu wychodźczym również pobudki natury psychicznej, jak np. chęć, zupełnie zresztą zrozumiała,

---

[1]) Wprawdzie parcelacja od r. 1873 do 1914 objęła w Królestwie Kongresowem przeszło 2 1/2 miljona morgów, ale korzystała z niej przeważnie własność mniejsza, broniąc się w ten sposób przeciwko takiemu rozdrobnieniu gospodarstw, jakiego widownią jest Galicja, i posiłkując się w dużym stopniu oszczędnościami, zdobytemi w znacznym trudzie na wychodźtwie.

poznania obcych światów, poszukiwanie wrażeń, dążenie małoletnich do wyemancypowania się z pod opieki i kontroli opiekunów i miejscowego środowiska, chęć uchylenia się przed służbą wojskową i t. p.

Natomiast znacznie ważniejszym, lubo u nas częstokroć przecenianym czynnikiem była agitacja emigracyjna, działająca z ramienia i w interesie cudzoziemskiego przemysłu, rolnictwa lub kolonizacji albo też na rzecz kompanji okrętowych. Niemieckie wpływy odgrywały tu rolę pierwszorzędną. Rozproszone w wielu okolicach Kongresówki i Galicji pokątne agencje „Arbeitercentrali" dążyły bez przebierania w środkach do podniecania ruchu wychodźczego do Prus, jednocześnie zaś tu i tam posiadał swą organizację werbunkową „Pool-Północnoatlantycki" w celu pozyskania jaknajwiększej liczby pasażerów dla skartelowych towarzystw żeglugi morskiej, przedewszystkiem zaś dla Północno-Niemieckiego Lloydu i dla Linii Hamburg-Ameryka. Należy pamiętać, że przewóz pasażerów tworzył dla kompanji okrętowych najzyskowniejszy interes, lepszy od transportu towarów. Celem zdobycia największej ilości tego żywego frachtu usiłowały one zarówno za pośrednictwem reklamy jak i rozmaitego gatunku agentów ożywiać ruch emigracyjny, gdzie się dało i jak się dało. Oczywiście agenci tak ci, którzy pośredniczyli w handlu kartami okrętowemi, jak ci, którzy werbowali robotników, mając na widoku własny swój zysk w postaci pobieranej „od sztuki" prowizji, nie szczędzili energii i pomysłów przy agitacji wychodźczej. Agentów takich znaleźć można było u nas nie tylko wśród pośredników zawodowych, lecz również w gronie ludzi różnych kondycji, trudniących się tem pokątnie. Tolerancja, z jaką na praktyki ich patrzyły władze zaborcze w Królestwie i Galicji, utrudniające jednocześnie działalność obywatelskich instytucji opiekuńczych, wytwarzały przy małej oświacie naszego wieśniaka warunki agitacji emigracyjnej niesłychanie sprzyjające.

Agitację wychodźczą szerzyli często sami emigranci, jedni zainteresowani obiecaną przez zagraniczne agencje prowizją, inni i takich było więcej—bezinteresownie i w dobrej wierze rozgłaszając, czy to prawdziwe, czy też nawet bałamutne lub przedawnione informacje o stosunkach zarobkowych i warunkach życia w krajach zagranicznych. Zwłaszcza listy, otrzymywane z za morza (niekiedy fałszowane przez agentów) od krewnych lub znajomych, budziły po wsiach pochopność do emigracji. Listy te i zawarte w nich informacje były dla wychodźców w wielu okolicach jedynym drogowskazem w wędrówkach po chleb w dalekie kraje zamorskie. Bardzo znaczna liczba wychodźców odbywała podróż do Stanów Zjednoczonych za pieniądze, nadsyłane im z za morza przez krewnych, którzy wyemigrowali wcześniej i zdążyli już poczynić pewne oszczędności. Inni znów korzystali z tak zw. „prepaid'ów", t. j. kart okrętowych, nabytych dla nich przez krewnych w Ameryce i przesłanych stamtąd na podróż z Europy. „Poczta Stanów Zjednoczonych—pisze Charles Salvy—była cudownym agentem emigracyjnym w Europie. Listy i pieniądze, przesyłane pozostałym w kraju krewnym, rodziły te pożądania i marzenia, które pchały do Ameryki nowych emigrantów."[1])

Agitacja emigracyjna w najrozmaitszych swych przejawach była jakby oliwą, rzucaną na ogień. Przyjmując się najlepiej tam, gdzie znajdowała dla siebie podatny

---

[1]) Charles Salvy: „L'immigration aux E'tats Unis et les lois féderales". Paris, 1908. Emily Green Balch w dziele swem „Our Slavic Fellow Citizens", New York, 1910, pisze o polskich i ukraińskich emigrantach: „Podobno w ostatnich czasach wiele dziewcząt wiejskich wyjeżdża do Ameryki w celach zarobkowych. Niektóre z nich emigrują, podczas gdy narzeczony odbywa trzyletnią służbę wojskową, i zarobionymi przez siebie pieniędzmi opłacają podróż jego do Ameryki. Suma ta traktowaną jest zawsze jako dług i bywa bezwzględnie przez narzeczonego zwracaną". (str. 140).

grunt w stosunkach gospodarczych, w ciemnocie lub niezadowoleniu mas, rozdymała nieraz ruch wychodźczy do nienormalnych rozmiarów, przekraczających znacznie granice konieczności i będących klęską dla kraju niemi dotkniętego. Z tą agitacją szedł w parze wyzysk wychodźców przez agentów i kompanje przewozowe, szła niekiedy utrata części zarobków, czasami zupełne wykolejanie się jednostek i całych rodzin, idących na przepadłe, w pogoni za mirażem lepszego bytu.

II. Wychodźtwo do Stanów Zjednoczonych.

ROZDZIAŁ II.

Początki emigracji zamorskiej i jej rozwój. Statystyka wychodźtwa do Stanów Zjednoczonych. Sprawozdanie roczne Generalnego Komisarza Imigracyjnego w Waszyngtonie i zawarte w nich cyfry, charakteryzujące emigrację polską.

Ruch wychodźczy z ziem polskich rozpoczął się znacznie później niż w krajach zachodnio-europejskich. Fakt ten spowodowały: geograficzne położenie Polski, oddalonej od wielkich portów oceanowych, położenie prawne i społeczne ludu, nizki stan oświaty, zamykający horyzont umysłowy chłopa w granicach parafji, niesłychanie nizka stopa życiowa, umożliwiająca mu zadawalania się skromnymi zarobkami. Wtedy więc, gdy w Anglii emigracja zamorska rozwinęła się masowo niebawem po wojnach napoleońskich i w r. 1832 dała już cyfrę 103.140 wychodźców, by w roku 1883 dojść do punktu kulminacyjnego (320.118) i od tego czasu stale się zmniejszać, gdy w Niemczech liczba wychodźców zamorskich już w r. 1847 wynosiła okrągło 75.000. a w r. 1881 osiągnęła maksymalną cyfrę 220.902 (z czego do Stanów Zjednoczonych 216.544) i odtąd już stale spadała, — to w Polsce emigracja zamorska rozwinęła się masowo dopiero w latach osiemdziesiątych i największą cyfrę dała w r. 1913, t. j. przed samym wybuchem wojny.

Należy pamiętać, że narówni z innymi krajami miała Polska emigrację zamorską naogół znacznie wcześniej niż wychodźtwo kontynentalne sezonowe. Wtedy bowiem, gdy dla nowoczesnej wędrówki ludów brak wielkiego przemysłu w Zachodniej Europie, przy stosunkowo gęstem zaludnieniu wsi, nie przedstawiał jeszcze odpowiedniego pola, fala wychodźcza zdołała już wyżłobić sobie koryto do Ameryki, dokąd poszukujących poprawy bytu pociągała możność zdobycia odrazu ziemi na własność i perspektywa szybkiego dorobienia się. Narówni z emigracją zachodnio-europejską prąd wychodźtwa zamorskiego z Polski kierował się głównie do Stanów Zjednoczonych. Początki tego wychodźtwa datują się na szerszą skalę od wojny franko-pruskiej, a ziemie zaboru pruskiego były jego kolebką. Reforma bytu prawnego i społecznego ludu i postępy oświaty ludowej w zaborze pruskiem z jednej strony, z drugiej zaś zaraźliwy przykład sąsiednich prowincji niemieckich sprawiły, że zabór ten na długo wyprzedził w wychodźtwie tak Kongresówkę jak Małopolskę. Stanowiąc jakby arjergardę olbrzymiego naówczas wychodźtwa niemieckiego, ruch emigracyjny z zaboru pruskiego przybrał najbardziej masowe rozmiary w latach od 1881—1890, pochłaniając w niektórych okolicach cały przyrost naturalny ludności. Było to wychodźtwo w pierwszej swej fazie czysto osadnicze, przesiedleńcze, a szkody narodowe, jakie wyrządziło, osłabiała tylko okoliczność, że z tych samych okolic Poznańskiego, Śląska i Prus Zachodnich emigrowała wówczas również i ludność niemiecka. Na masowe rozmiary emigracji wielkopolskiej oprócz szybkiego mnożenia się ludności (największa cyfra przyrostu naturalnego), oprócz szybkiego wzrostu potrzeb życiowych pod wpływem rozwoju oświaty a poniekąd i pod wpływem więcej kulturalnych osadników niemieckich, działało położenie geograficzne, utrudniające rozwój przemysłu, wysokie podatki, prześladowanie religijne („Kulturkampf") oraz przy-

kład, dawany przez ludność sąsiednich prowincji niemieckich, i zabiegi kompanji okrętowych w Hamburgu i Bremie. — „Skutkiem silnego ruchu wychodźczego z Prus Zachodnich i Księstwa—pisze Roman Dmowski — liczba ludności wiejskiej zmniejszyła się nietylko w stosunku do miejskiej, ale nawet absolutnie (od r. 1882 do 1895 o 41.000).[1])

Od r. 1890 emigracja zamorska z zaboru pruskiego szybko malała, zastępować zaś ją zaczęło rozwijające się coraz silniej wychodźtwo kontynentalne do krajów niemieckich.

W Królestwie Kongresowem emigracja zamorska zapoczątkowana została poważniej w r. 1876. W kraju panował wówczas nieurodzaj, a jednocześnie przemysł tkacki w Pabjanicach, Zgierzu i Ozorkowie przechodził kryzys i mnóstwo robotników znalazło się bez pracy. W parze z tem szło zaprowadzenie powszechnej służby wojskowej, które stanowiło podnietę do ruchu emigracyjnego. Ruch ten wśród wiejskiej ludności Królestwa rozwijał się w początkach najsilniej wzdłuż granicy pruskiej w gubernjach: płockiej, warszawskiej, suwalskiej, kaliskiej i piotrkowskiej, powoli obejmując również i inne okolice. Początkom ruchu emigracyjnego z Królestwa towarzyszyło silnie rozwijające się wychodźtwo z Litwy i Żmudzi, w którym atoli Polacy brali stosunkowo bardzo nieliczny udział.

Najpóźniej rozwinęła się masowa emigracja zamorska w Galicji, gdzie w latach 1880—1890 dawała jeszcze bardzo skromne cyfry i obejmowała głównie powiaty zachodnie. Dopiero w ostatniem dziesięcioleciu wychodźtwo zamorskie przybrało tam wielkie rozmiary, ogarniając również okolice wschodnie i pociągając Rusinów, którzy jednak ze szczególnem zamiłowaniem podążać zaczęli nie tylko do Stanów Zjednoczonych, lecz również do Kanady.

---

*) Roman Dmowski: „Wychodźtwo i Osadnictwo," Lwów, 1900.

Dokładnej statystyki wychodźtwa zamorskiego z Polski niema. Dane, zebrane przez Warszawski Komitet Statystyczny, nie przedstawiają większej wartości. Opierały się one bodaj głównie na sprawozdaniach o wystawionych paszportach i przepustkach zagranicznych, przeważna zaś część wychodźców bądź omijała przepisy paszportowe zupełnie, bądź też przy wyrabianiu sobie dokumentów podróżnych podawała zmyślony cel wyjazdu. Dotyczy to oczywiście i wychodźtwa kontynentalnego. Statystyka Warszawskiego Komitetu Statystycznego rzuca jednak sporo światła tak na kwestję podziału emigrantów według poszczególnych powictów, jak na podział ich według płci, wieku, zawodów, wobec azego wykazywane przez nią daty zasługują na uwagę. Nie lepiej przedstawiała się kwestja statystyki wychodźczej w dwóch innych dzielnicach polskich. Posiłkowanie się zaś statystyką, publikowaną przez państwa imigracyjne, utrudniała bardzo okoliczność, że odnośne wykazy zawierały zazwyczaj podzia imigrantów według ich przynależności państwowej, w wyjątko wych tylko wypadkach uwzględniając również i ich narodowość

Według zestawień D-ra Karola Englischa, dokonanych na podstawie statystyki imigracyjnej amerykańskiej, wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych w dziesięcioleciu od r. 1901 do r. 1910 Polaków 873.669 i Litwinów 158.089, a mianowicie:

Wyemigrowało:	Polaków (wraz z Litw.):	Litwinów:
z państwa rosyjskiego:	584.966	151.605
„ niemieckiego:	23.304	324
„ austro-węgier.	400.164	1.817
z pozostałej Europy:	5.781	3.537
razem . .	1.014.215	157.283
z innych części świata:	7.524	806
razem . .	1.021.739	158.089

W tym samym okresie czasu największą imigrację do Stanów Zjednoczonych dał 1907 rok (138.033 Polaków

i 25.884 Litwinów), najmniejszą zaś rok 1901 (43.617 Polaków i 8815 Litwinów).

Z podanej poniżej tabeli, dającej ogólny wynik zestawień urzędowej statystyki imigracyjnej za dziesięciolecie od r. 1904 do r. 1913 (przestawiliśmy w niej narodowość polską na pierwsze miejsce — inne narodowości podane są jak w publikacji angielskiej, gdzie wypisane były w porządku alfabetycznym) wynika, że w latach poprzedzających wybuch wojny światowej wśród imigrantów, lądujących w Stanach Zjednoczonych, Polacy zajmowali pod względem liczebnym prawie zawsze pierwsze miejsce po Włochach, niekiedy tylko ustępując je Żydom. Z tabeli tej widzimy dalej, że od r. 1904 do r. 1913 przybyło do Stanów Zjednoczonych razem 1.009.054 polskich imigrantów i że w r. 1912/13 imigracja polska doszła w Stanach Zjednoczonych do punktu kulminacyjnego, dosięgając olbrzymiej cyfry 174.365, nigdy poprzednio nienotowanej.[1])

Umieszczony obok diagram uwidocznia, że pod względem rozmiarów szedł polski ruch wychodźczy do Stanów Zjednoczonych dość zgodnie z ogólnym ruchem imigracyjnym. Na rozmiary te więc tak u nas, jak gdzieindziej, miała pierwszorzędny wpływ konjunktura, jaka każdorazowo panowała na amerykańskim rynku pracy i według której normował się prąd wychodźczy. (P. tabl. na str. 26 i 27).

Według urzędowej statystyki amerykańskiej, reemigracja polska ze Stanów Zjednoczonych wynosiła w r. 1908/9 — 18.187, w r. 1909/10 — 8.421, w r. 1910/11 — 6.705, w r. 1911/12 — 37.768, w r. 1912/13 — 24.107. Aczkolwiek cyfry te są znacznie niższe od rzeczywistych, bo nie obejmują ani tych reemigrantów, którzy wracali do Europy

[1]) W r. 1914 imigrowało do Stanów Zjednoczonych 1.218,480 osób. w tej liczbie 122,657 Polaków, 138.051 Żydów, 36.727 Rusinów, 21.584 Litwinów. W r. 1915 z powodu wojny imigracja naraz ogromnie zmalała, a mianowicie spadła do cyfry 326.700 (w tej liczbie 9.065 Polaków, 26.497 Żydów, 2.638 Litwinów i 2.933 Rusinów).

IMIGRACJA DO STANÓW

(Rok statystyczny zaczyna się

		1904	1905
1	*Polacy*	67.757	102.437
2	Murzyni afrykańscy	2.386	3.598
3	Ormianie	1.745	1.878
4	Czesi i Morawianie	11.911	11.757
5	Bułgarzy, Serbowie i Czarnogórcy	4.577	5.823
6	Chińczycy	4.327	1.971
7	Chorwaci i Slowieńcy	21.242	35.104
8	Kubańczycy	4.811	7.259
9	Dalmatczycy, Bośniacy i Hercogowianie	2.036	2.639
10	Holendrzy i Flamandczycy	7.832	8.498
11	Indusi wschodni	258	145
12	Anglicy	41.479	50.865
13	Finlandczycy	10.157	17.012
14	Francuzi	11.557	11.347
15	Niemcy	74.790	82.360
16	Grecy	12.625	12.144
17	Żydzi	106.236	129.910
18	Irlandczycy	37.076	54.266
19	Włosi (północni)	36.699	39.930
20	Włosi (południowi)	159.329	186.390
21	Japończycy	14.382	11.021
22	Koreańczycy	1.907	4.929
23	Litwini	12.780	18.604
24	Węgrzy	23.883	46.030
25	Meksykanie	447	227
26	Mieszkańcy wysp Pacyfiku	41	22
27	Portugalczycy	6.338	4.855
28	Rumuni	4.364	7.818
29	Rosjanie	3.961	3.746
30	Rusini	9.592	14.473
31	Skandynawczycy	61.029	62.284
32	Szkoci	11.483	16.144
33	Słowacy	27.940	52.368
34	Hiszpanie	4.662	5.590
35	Hiszpanie amerykańscy	1.666	1.658
36	Syryjczycy	3.653	4.822
37	Turcy	1.482	2.145
38	Walijczycy	1.820	2.531
39	Mieszkańcy Indji Zachod. (z wyjątkiem Kuby)	1.942	1.548
40	Inne narodowości	668	351
	Razem	**812.870**	**1.026.499**

ZJEDNOCZONYCH.
1 lipca i kończy 30 czerwca).

1906	1907	1908	1909	1910	1911	1912	1913	
95.835	138.033	68.105	77.565	128.348	71.446	85.163	174.365	1
3.786	5.235	4.626	4.307	4.966	6.721	6.759	6.634	2
1.895	2.644	3.299	3.108	5.508	3.092	5.222	9.353	3
12.958	13.554	10.164	6.850	8.462	9.223	8.439	11.091	4
11.548	27.174	18.246	6.214	15.130	10.222	10.657	9.087	5
1.485	770	1.263	841	1.770	1.307	1.608	2.022	6
44.272	47.826	20.472	20.181	39.562	18.982	24.366	42.499	7
5.591	5.475	3.323	3.380	3.331	3.914	3.155	3.099	8
4.568	7.393	3.747	1.888	4.911	4.400	3.672	4.520	9
9.735	12.467	9.526	8.114	13.012	13.862	10.935	14.507	10
271	1.072	1.710	337	1.782	517	165	188	11
45.079	51.126	49.056	39.021	53.498	57.258	49.689	55.522	12
14.136	14.860	6.746	11.687	15.736	9.779	6.641	12.756	13
10.379	9.392	12.881	19.423	21.107	18.132	18.382	20.652	14
86.813	92.936	73.038	58.534	71.380	66.471	65.343	80.865	15
23.127	46.283	28.808	20.262	39.135	37.021	31.566	38.644	16
153.748	149.182	103.387	57.551	84.260	91.223	80.595	101.330	17
40.959	38.706	36.427	31.185	38.382	40.246	33.922	37.023	18
46.286	51.564	24.700	25.150	30.780	30.312	26.443	42.534	19
240.528	242.497	110.547	165.248	192.673	159.638	135.830	231.613	20
14.243	30.824	16.418	3.275	2.798	4.575	6.172	8.302	21
127	39	26	11	19	8	33	64	22
14.257	25.884	13.720	15.254	22.714	17.027	14.078	24.647	23
44.261	60.071	24.378	28.704	27.302	19.996	23.599	30.610	24
141	91	5.682	15.591	17.760	18.784	22.001	10.954	25
13	3	2	7	61	12	3	11	26
8.729	9.648	6.809	4.606	7.657	7.469	9.403	13.566	27
11.425	19.200	9.629	8.041	14.199	5.311	8.329	13.451	28
5.814	16.807	17.111	10.038	17.294	18.721	22.558	51.472	29
16.257	24.081	12.361	15.808	27.907	17.724	21.965	30.588	30
58.141	53.425	32.789	34.996	52.037	45.859	31.601	38.737	31
16.463	20.516	17.014	16.446	24.612	25.625	20.293	21.293	32
38.221	42.041	16.170	22.586	32.416	21.415	25.281	27.234	33
5.332	9.495	6.636	4.939	5.837	8.068	9.070	9.042	34
1.585	1.060	1.063	890	900	1.153	1.342	1.363	35
5.824	5.880	5.520	3.668	6.317	5.444	5.525	9.210	36
2.053	1.902	2.327	820	1.283	918	1.336	2.015	37
2.367	2.754	2.504	1.699	2.244	2.248	2.239	2.820	38
1.476	1.381	1.110	1.024	1.150	1.141	1.132	1.171	39
1.027	2.058	1.530	1.537	3.330	3.323	3.660	3.038	40
1.100.735	**1.285.349**	**782.870**	**751.786**	**1.041.570**	**878.587**	**838.172**	**1.197.892**	

jako pasażerowie kajutowi, ani też tych, którzy zaopatrzeni byli w dowody nabycia praw obywatelstwa amerykańskiego, to jednak świadczą one wymownie, jak wielki odłam polskich emigrantów pozostaje w Ameryce na stałe.

Według danych Warszawskiego Komitetu Statystycznego z ogółu emigrantów, opuszczających Królestwo Kongresowe w celach osadniczych (bezpowrotnie), udało się w r. 1912:

do Ameryki Północnej	75.6%
„ „ Południowej	11.5%
„ Europy Zachodniej	9.5%
„ Rosji i na Syberję	3.4%

Wśród emigrantów tych stanowili:

włościanie bezrolni	50.7%
„ rolni	27.1%
robotnicy fabryczni	3.3%
ludzie innych zawodów	18.9%

Pod względem wyznań było na ogół emigrantów: 76,1% katolików, 5,6% protestantów, 15,3% żydów, 3,0% prawosławnych. Ilość mężczyzn stanowiła 63,2%, kobiet — 36,8%, liczba pojedyńczych — 47,0%, żonatych względnie zamężnych — 35,9%, dzieci — 17,4%.

Według tych samych nieścisłych źródeł na poszczególne gubernje przypadało w r. 1912 emigrantów:

na gub. kaliską	1,496
„ „ kielecką	1,135
„ „ lubelską	5,841
„ „ łomżyńską	4,037
„ „ piotrkowską	758
„ „ płocką	5,883
„ „ radomską	1,515
„ „ siedlecką	1,314
„ „ suwalską	5,331
„ „ warszawską (bez Warszawy)	4,754
Razem	32,064

Według ankiety, przeprowadzonej w r. 1918 przez Państwowy Urząd Pośrednictwa Pracy i Opieki nad Wychodźcami w Lublinie za pośrednictwem sejmików powiatowych i urzędów gminnych na terytorjum ówczesnej okupacji austrjackiej, obejmującem powiaty: biłgorajski, dąbrowski, hrubieszowski, iłżecki, jędrzejowski, janowski, kielecki, konecki, krasnostawski, lubartowski, lubelski, miechowski, radomskowski, olkuski, opatowski, opoczyński, pińczowski, piotrkowski, puławski, radomski, sandomierski, stopnicki włoszczowski i zamojski, przebywało z powiatów tych w chwili wybuchu wojny (lipiec 1914 r.):

w:	ROLNYCH:			BEZROLNYCH:			Ogółem
	Męż.	Kob.	Razem	Męż.	Kob.	Razem	
St. Zjedn.	8372	2578	10950	15287	5453	20740	31690
Kanadzie .	548	168	716	1140	546	1686	2402
Brazylii . .	178	145	323	447	391	838	1161
Argentynie	19	9	28	141	72	213	241
innych krajach zamor.	43	37	80	204	178	382	462
Razem. . . .	9160	2937	12097	17219	6640	23859	35956

Z powyższej liczby wyjechało za morze w roku 1914-tym 3146, z czego do Stanów Zjednoczonych 2753, do Kanady 280, do Brazylji 75, do Argentyny 22, natomiast 32.810 wyjechało za ocean w latach poprzednich. Najbardziej objęte były emigracją zamorską powiaty: sandomierski (5735 wychodźców, z czego 4879 do Stanów Zjednoczonych, 796 do Kanady, 13 do Brazylji i 16 do Argentyny), janowski (4900 wychodźców, z czego 4749 do Stanów Zjedn., 61 do Kanady i 71 do Brazylji), stopnicki (4367 wychodźców, z czego 3873 do Stanów Zjednoczonych, 346 do Kanady)

i biłgorajski (4363 wychodźców, z czego 4179 do Stanów Zjednoczonych, 92 do Kanady, 90 do Brazylji). Najmniejsze wychodźtwo zamorskie miały powiaty: opoczyński (48), włoszczowski (59), jędrzejowski (72), radomskowski (81), konecki (91) i olkuski (107).

Cyfr, zebranych przez powyższą ankietę, za ścisłe uważać nie można, gdyż w wielu okolicach zestawiane one były prawdopodobnie sposobem szacunkowym. W każdym razie dotyczą one tylko ludności wiejskiej i małych miasteczek.

Na rozmiary emigracji zamorskiej z poszczególnych okolic Galicji dużo światła rzucają zestawienia statystyczne D-ra *Karola Englischa*, oparte na spisach ludności [1]).

Straty atoli, względnie przyrost, jakie powstały w cyfrach ludności danych powiatów, przypisywać należy nie wyłącznie emigracji, jak to czyni autor, lecz również migracji, t. j. wędrówkom przesiedleńczym ludności wewnątrz kraju.

Według D-ra Englischa straty (względnie zysk), spowodowane przez emigrację, wynosiły:

w dziesięcioleciach:	w Galicji Zachodniej	w Galicji Wschodniej:		
		o przeszło 50%	od 50—25%	niżej 25%
		ludności polskiej.		
180—1890	74.218	+25.801	— 4.018	— 2.511
190—1900	169.216	—10.211	108.976	—16.768
100—1910	224.318	-29.603	-206.979	— 38.724
Razem. .	—467.752	—14.013	—319.973	-58.003

[1]) Dr. Leopold Caro i Dr. Karol Englisch: „Emigracja i Polityka Emigracyjna". Poznań, 1914, str. 23—34.

Z obliczeń D-ra Englischa wynika, że w Galicji 70,63% strat ludności wypadało na Polaków, a 29.37% na Rusinów. Emigracja zamorska polska z Galicji była więc przeszło 3 razy wyższą od ruskiej, co niesłychanie ujemnie wpływało na nasz narodowy stan posiadania w tej dzielnicy.—„Wychodźtwo w dziesięcioleciu 1890—1900 szerzy się—pisze Dr. Englisch — równolegle do rozsiedlenia ludności polskiej. Zalawszy już Galicję zachodnią, spędza ludność z zagrożonej i tak już linji Wisłoka i Sanu i rozpoczyna opanowywać i te powiaty Galicji wschodniej, w których żyją znaczniejsze mniejszości polskie",

Niesłychanie ciekawy materjał informacyjny o imigracji do Stanów Zjednoczonych zawierają roczne sprawozdania Generalnego Komisarza Imigracji w Waszyngtonie, które służyć mogą za wzór statystyki emigracyjnej. Poniżej cytuję szereg wielce pouczających cyfr, zaczerpniętych ze sprawozdania rocznego za okres od pierwszego lipca 1912 po koniec czerwca 1913 a dotyczących imigrantów polskich. [1])

W okresie sprawozdawczym wśród 1.197.892 imigrantów było 174.365 imigrantów narodowości polskiej, nadto przybyło do Stanów Zjednoczonych 10.842 pasażerów polskich, nienależących do kategorji imigrantów, razem tedy przyjechało Polaków 185,207. W tymsamym okresie czasu opuściło Stany Zjednoczone 24.107 emigrantów i 11.705 nieemigrantów polskich, razem 35.812 Polaków tak, iż liczba Polaków, przebywających w Stanach Zjednoczonych, zwiększyła się o 149.395.

Według miejsca ostatniego pobytu w Europie skład polskiej imigracji w r. 1912/13 przedstawiał się następująco:

[1]) „Annual Report of the Commissioner General of Immigration to the Secretary of Labor for the fiscal year ended June 30,1913", Washington, 1914.

z państwa austryjackiego	przybyło	. . .	54.997.
„ „ rosyjskiego	„	. . .	112 345.
„ „ niemieckiego	„	. . .	3.658.
„ Węgier	„	. . .	336.
„ Belgji	„	. . .	13.
„ Danii	„	. . .	195.
„ Francji	„	. . .	74.
„ Włoch	„	. . .	15.
„ Norwegji	„	. .	5.
„ Rumunji	„	. . .	12.
„ Szwecji	„	. . .	13.
„ Szwajcarji	„	. .	24.
„ Turcji europejskiej	„	. . .	1.
„ Anglji	„	. . .	156.
	Razem	. . .	171.844.

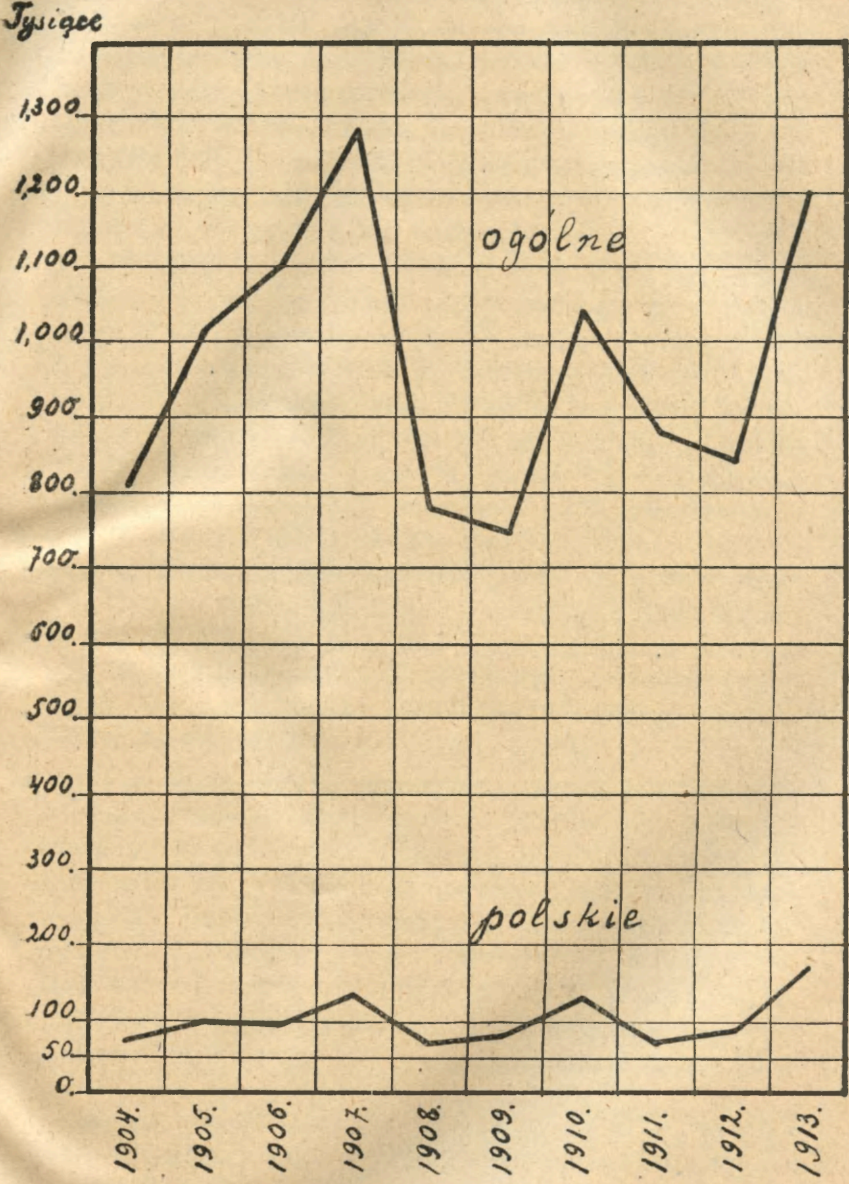
Z powyższego zestawienia widzimy, że niektórzy emigranci polscy wyruszali w podróż do Ameryki nie z kraju ojczystego, lecz z miejscowości, w której przebywali na wychodźtwie [1].

Na ogólną liczbę przybyłych imigrantów polskich (174.365) przypada 115.772 mężczyzn i 58.593 kobiet; osób w wieku poniżej 14 lat przybyło 17.253, pomiędzy 14 a 44 rokiem życia 152.988, powyżej 45 lat 4.124. Nie umiejących czytać ani pisać było: mężczyzn 31.308, kobiet 20.328 — razem 51.636 [2]. Umiejących czytać ale nieumiejących

[1]) Z liczby 29.918 Rusinów, jacy w r. 1912/13 wylądowali w Stanach Zjednoczonych, 24.700 wyjechało z Austrji, 3.879 z Węgier, 1.074 z Rosji; na 97.930 Żydów przybyło z Rosji (a więc głównie z Królestwa Kongresowego) 74.033, z Austrji (przeważnie z Galicji) 11.831, z Węgier 3.371, z Niemiec 806, z Anglji 4.001.

[2]) Czyli wśród imigrantów polskich analfabeci stanowili 29,61%. Wśród imigrantów litewskich było analfabetów aż 45,31%, pod względem więc analfabetyzmu Litwini zajmowali pierwsze miejsce po Portugalczykach (51,31%) i Bośniakach (45,71%). Wśród Rusinów było analfabetów 40,04% wśród żydów 16,75%. Najmniejszy

TABLICA WYCHODŹTWA OGÓLNEGO I POLSKIEGO DO STANÓW ZJEDNOCZ. 1904—1913.



pisać było mężczyzn 1.597, kobiet 1.579. Posiadających przy sobie w chwili wjazdu do Ameryki 50 dolarów lub więcej było 7.839, mniej niż 50 dolarów — 130.569; ogólna suma pieniędzy, wykazanych przy lądowaniu przez polskich imigrantów wynosiła, w okresie sprawozdawczym 4.033.440 dolarów. Opłaciło przejazd z własnych funduszów 119.633 imigrantów polskich, 54.306 miało przejazd opłacony przez krewnych, 426 przez osoby obce.

Przyjeżdżających do krewnych w Ameryce było wśród imigrantów polskich 155.011, przyjeżdżających do znajomych 17.785; nie miało krewnych ani znajomych 1.569. Z przybyłych Polaków jechało do Stanów: Alabama 87, Colorado 87, Connecticut 7.288, Delaware 783, Distr. Columbia 17, Florida 7, Georgia 8, Hawaii 3, Idaho 5, Illinois 25.658, Indiana 2.632, Jawa 184, Kansas 212, Kentucky 32, Louisiana 9, Maine 313, Maryland 1.309, Massachusetts 13.627, Michigan 16.071, Minnessota 1.150, Missouri 18, Montana 100, Nebraska 259, New Hampshire 1.054, New Jersey 14.433, New Mexico 1.054, New York 39.505, North Carolina 15, North Dacota 134, Ohio 8.692, Oklohama 98, Oregon 36, Pensilvania 32.249, Porto Rico 1, Rhode Island 1.232, Wisconsin 3.604, Wyoming 118; (najwięcej jechało zatem do Stanów: New York, Pensylwania i Illinois).

Pod względem zajęć zawodowych skład imigracji polskiej przedstawiał się następująco: aktorów było 2-ch, budowniczych 9, księży 20, wydawców 3, elektrotechników 26, inżynierów 16, prawników 5, literatów i uczonych 13, muzyków 86, lekarzy 3, rzeźbiarzy i artystów malarzy 10, nauczycieli 37, innych inteligent. zawodów 14, piekarzy 289, fryzjerów 60, kowali 979, introligatorów 11, piwowarów 12, rzeźników 284, stolarzy 35, cieśli 1.389, cygarników 8, biuralistów 216, krawców 390, mechaników kolejowych i z ma-

---

odsetek analfabetów wykazała imigracja skandynawska (0,29%), szkocka (0,42%), angielska (0,54%) i czesko-morawska (0,86%).

rynarki 42, kuśnierzy 19, ogrodników 93, czapników i kapeluszników 20, robotników, pracujących w żelaznym przemyśle 98, jubilerów 7, ślusarzy 657, maszynistów 92, marynarzy 19, murarzy 411, mechaników (oprócz wyżej wymienionych) 54, robotników metalurgicznych 17, młynarzy 150, modystek 14, górników 396, malarzy i szklarzy 177, fotografów 14, robotników, pracujących w przemyśle ołowianym 14, drukarzy 28, rymarzy 74, szwaczek 704, szewców 904, palaczy 28, kamieniarzy 22, krawców 886, garbarzy 29, blacharzy 26, tapicerów 8, zegarmistrzów 9, tkaczy 223, kołodzieji 95, traczy 11, innych kwalifikowanych robotników 227, agentów 4, stangretów 20, *robotników rolnych 82.120*, gospodarzy rolnych 404, rybaków 10, hotelarzy 3, wyrobników 19.286, przemysłowców 3, kupców 130, służących 30.254, różnych zawodów 280, niemających określonego zajęcia (włącznie dzieci i kobiet) 32.357.

Imigracja polska, obok bardzo nielicznych przedstawicieli zawodów wolnych, dostarczyła Unji Amerykańskiej w okresie sprawozdawczym, jak widzimy, największej liczby ludzi, zapisanych w rubryce „służących" (servants), w której ogółem figuruje 140.218 imigrantów. Po południowych Włoszech zaraz pierwsze miejsce zajmowali Polacy w rubryce „robotników rolnych" (w istocie tylko drobna część tych przybyszów powędrowała pracować na roli) oraz „wyrobników".

Przeglądając dalej tabele statystyczne „Annual Report'u", widzimy, że wśród 24.107 polskich emigrantów, którzy w r. 1912/13 opuścili Stany Zjednoczone, było mężczyzn 18.886, kobiet 5.221: osób poniżej lat 14-tu 701, w wieku od lat 14-tu do 44-ch 20.623, powyżej lat 45-ciu 2.783; 18.770 było wśród nich takich, którzy przebywali w Ameryce nie dłużej niżeli 5 lat, 3.585 takich, którzy spędzili tam 5—10 lat, 850, którzy mieszkali w Stanach Zjednoczonych 10—15 lat, 80, którzy byli tam 15—20 lat, 50, którzy byli dłużej niż 20 lat, a 772 o nieznanym cza-

sie pobytu. Reemigrowały więc przeważnie jednostki, które przybywały do Stanów Zjednoczonych na krótki okres czasu w celach zarobkowych.

ROZDZIAŁ III.

Emigracja przesiedleńcza do Stanów Zjednoczonych. — Liczba Polaków, osiadłych w Stanach Zjednoczonych. — Początki osadnictwa polskiego i jego rozwój. — Kolonje rolne. — Skupienia miejskie. — Przedsiębiorstwa przemysłowe, zatrudniające Polaków. — Zarobki robotników polskich. — Czemu wychodźca polski nie przenosi się z miast na farmy? — Struktura wsi amerykańskiej.

Emigracja do Stanów Zjednoczonych, w pierwszej fazie swego istnienia, nosiła charakter zdeklarowanie przesiedleńczy, bezpowrotny. Dopiero w ostatnim dziesiątku lat coraz bardziej rosła liczba takich wychodźców, którzy wyruszali tam z zamiarem powrócenia po niejakim czasie do ojczyzny. Cel podróży stanowiło u nich zaoszczędzenie kwoty, uznanej za nieodzowną do poprawy bytu w kraju przez spłatę długów, albo dokupienie gruntu, powiększenie inwentarza, wystawienie mocnych budynków i t. d. Wychodźtwo osadnicze powoli ustępowało w ten sposób miejsca wychodźtwu zarobkowemu, do czego w główniej mierze przyczyniał się fakt silnego rozwoju przemysłu amerykańskiego przy jednoczesnem wyczerpaniu się rządowych „homestead'ów", przeznaczonych na kolonizację. Niektórzy włościanie w ostatnich latach odbywali wędrówkę zarobkową do Stanów Zjednoczonych po kilka razy. Niestety część ich zmieniała swe pierwotne projekty, bo, przyzwyczaiwszy się po upływie pewnego caasu do stosunków amerykańskich, pozostawała za morzem już nastałe i ewentu-

alnie sprowadzała tam swe rodziny. Już na gruncie amerykańskim tedy — naskutek owej zmiany pierwotnych postanowień — emigracja zarobkowa przeistoczała się w emigrację bezpowrotną, odpowiednio redukując cyfrę reemigracji. Kraj ojczysty nie mógł czy też nie potrafił wpływać, by działo się inaczej, natomiast zabiegi wszystkich czynników miejscowych, nie wyłączając polsko-amerykańskich organizacji, zmierzały do tego, by reemigrację jaknajbardziej ograniczyć, by jaknajwięcej przybyszów czasowych przemienić w stałych obywateli Unji amerykańskiej.

Liczba polaków, osiadłych w Stanach Zjednoczonych, była rozmaicie oceniana. Przeważnie zaokrągla się ją teraz do czterech miljonów. Danych zupełnie ścisłych niema. Najstarszą generację tworzą dawni poddani pruscy, którzy i dzisiaj stanowią wśród kolonistów (farmerów) polskich większość.[1])

Według ogłoszonej we wrześniu 1909 r. statystyki amerykańskiego Zjednoczenia dzienników obcojęzycznych („American Association of foreign Langnage Newspapers") liczba polaków, przebywających w Stanach Zjednoczonych wynosiła w r. 1909 3.595.000, a według „Prasy Polskiej" z dn. 15 listopada 1908 ludność polska w Unii wynosiła już wtedy około 4 miljonów. Według obliczeń, ogłoszonych w „Kalendarzu Związkowym" na rok 1910 liczba polaków w Stanach Zjednoczonych wynosiła w r. 1909 okrągło 3.063.000 osób, rozdzielała się według stanów w następujący sposób:

---

[1]) Obliczanie ludności polskiej w Ameryce było wogóle trudne ze względu na to, że znaczna jej część składała się z robotników, którzy bądź ciągle zmieniali miejsca pobytu, bądź też powracali do starego kraju, zastępowani przez nowych imigrantów z Europy, przybywających w coraz większej liczbie (patrz: Dr. Witold *Lewicki* „*Roczna Emigracja Polska do Stanów Zjed.*" Polski Przegląd Emigracyjny 1910, № 15 i 16.

	Liczba ludności	Liczba Polaków	% Polaków do ogólnej liczby ludności
Pensylwanja	6.302.115	500.000	8
Illinois	4.821.550	475.000	9½
New-York	7.268.894	475.000	6½
Wisconsin	2.069.042	250.000	12
Michigan	2.420.982	240.000	10
Massachussets	2.805.346	240.000	8¾
Ohio	4.157.515	200.000	5
New-Jersey	1.883.669	120.000	6
Minnesotta	1.751.394	120.000	6
Connecticut	908.420	120.000	13
Indiana	2.516.462	50.000	2½
Missouri	3.106.665	40.000	1½
Maryland	1.188.044	30.000	2½
Nebraska	1.066.300	25.000	2
Texas	3.048.710	25.000	0,8
Rhode Island	428.556	25.000	5
Delawane	184.735	20.000	11
Maine	694.466	20.000	3
West Virginia	958.800	15.000	1½
Washington	518.103	12.000	2
California	1.485.053	15.000	1
New-Hamspshire . . .	411.588	12.000	2½
North Dakota	319.146	12.000	6
Kansas	1.470.495	12.000	0,8
W innych stronach . . .		10.000	
Razem Polaków		3.063.000	

Przytoczone cyfry są prawdopodobnie niższe od istotnych. Wskazują one jednak, że żywioł polski najliczniej skoncentrował się w Stanach, położonych koło Wielkich Jezior oraz w okolicach północno-wschodnich (między Nowym Yorkiem, Chicago i Atlantykiem, włączając stany Illinois, Wisconsin i Minnesotta). Skądinąd liczby te świad-

czą, że przy znacznem rozproszeniu Polacy wszędzie byli w znikomej mniejszości w stosunku do ogółu mieszkańców i nigdzie nie zdołali wytworzyć skupień, zabezpieczających na dalszą przyszłość ich byt narodowy. Cyfry rzeczywiście imponujące, wykazują tylko skupienia miejskie: w Chicago szacują liczbę Polaków już na 400 tysięcy, w Detroit na 120.000, Milwaukee i Buffalo miały ich po 100.000, New-York liczył około 200.000, Cleveland około 60.000, Baltimore — 40.000. Niektóre mniejsze miasta, jak np. Hammond, Ind, miały w chwili wybuchu wojny większość ludności polskiej.

Pierwsza polska osada farmerska powstała w r. 1855 w stanie Texas pod nazwą „Panna Marja". Założył ją ks. Leopold Moczygęba, który tam przywędrował z gromadą imigrantów ze Ślązka Górnego. Wychodźcy ci przybyli żaglowcem do Galwestonu, przywożąc ze sobą pierzyny, pługi, brony i wszelkie przyrządy gospodarskie, a nawet dzwony do kościoła. Zabrali z sobą ze swego parafialnego kościoła również krzyż, który do dziś dnia znajduje się w kościele ich obecnej parafii w Texas. Do miejsca przeznaczonego na ich osadę dotarli w sile około 100 rodzin wczesną zimą i tu zbudowali sobie chaty z chróstu i innego będącego pod ręką materjału. Cala okolica stanowiła jedno wielkie pustkowie, to też warunki bytowania były w początkach niesłychanie ciężkie.

— „Nie mieliśmy żadnej chatki, tylko pole, drzewa, krzaki i dęby za ochronę — pisze o przygodach tych pierwszych osadników ks. Bakanowski w swej książeczce pod tytułem: „Pobyt siedmioletni w Ameryce" (1866), — „po przybyciu stanęliśmy tu obozem na tem miejscu „Panna Marja", gdzie nie było ani kościoła, który nam zapowiadano, ani żadnej chateczki, ani żywej duszy. Niekiedy ktoś z Amerykanów się pokazał, nie mogliśmy się z nimi rozmówić, jeden się naśmiał, drugi podziwiał i odjechał. Trawa

wszędzie taka była wielka, że ledwo o kilka kroków mógł dopiero dojrzeć jeden drugiego. Wężów grzechotników pełno... Ludzie z głodu marli, chociaż wielu jeszcze miało pieniądze, ale nie było nic do kupienia; ledwo kto z nas wyszedł z miejsca, już z biedą tylko mógł trafić napowrót. Kilkoro też od ukąszenia węża pomarło... Cośmy wtedy wyżyli nędzy!... złote Śląsko nam się wydało! Pomału przyszliśmy przecie do sposobu obywatelskiego życia. Wielu z tych pierwszych imigrantów opuściło niegościnne dzikie strony i udało się na północ lub też na zarobek do miast".

Obecnie osada „Panna Marja" liczy przeszło 80 rodzin i składa się z miasteczka i okalających je farm. W miasteczku jest kościół parafialny i kilka polskich sklepów. Do szkoły parafialnej, w której nauka prowadzona jest w języku polskim i angielskim, uczęszcza przeszło setka dziatwy. „Ze wspomnień, które uniosłem z Panny Marji — pisze amerykanka, Emily Green Balche [1]) stoi mi w oczach gromadka dzieci, ucząca się katechizmu w chłodnym kamiennym kościele, dziewczynki w czepeczkach pąsowych, niebieskich i czerwonych, chłopcy bosi z odkrytemi głowami; dom proboszcza z gankiem i kwietnikami, śpichlerz, typowy wiejski śpichlerz pod rozłożystym dębem, przy którym stał uwiązany osiodłany koń; obszerne i skromne izby szkolne, w których dzieci uczyły się mowy angielskiej, niezbyt czystej, jednak nienajgorszej—wszystko razem czyniące wrażenie cichego, nieruchliwego życia chłopa europejskiego, niemniej jednak tkniętego silnie wpływami amerykańskimi, życia o zdrowych, krzepkich podstawach, chociaż niezbyt jeszcze wysoko rozwiniętego".

Oprócz Panny Marji istnieje w Texas jeszcze 37 polskich osad farmerskich, w których wznosi się 30 polskich kościołów i około 20 szkół parafialnych. Niektóre z tych

[1]) „Our Slavic Fellow-Citizens", str. 228.

osad tworzą miejscowości czysto polskie o polskich nazwach, urzędowo uznanych, jak św. Jadwiga, Częstochowa, Kościuszko, Pułaski. Wszystkie te osady są starszego pochodzenia, w ostatnich bowiem latach osiedlało się tam mało Polaków, gdyż odstraszał ich gorący klimat i przykra pora deszczowa. Na kolonjach w Texas dorasta już czwarte pokolenie polskie, pomimo to jednak wynarodowienie nie poczyniło tam wielkich postępów. Uprawiają bawełnę, kukurydzę, jarzyny i trudnią się hodowlą bydła, a niektórzy z nich doszli do znacznej zamożności.[1])

W sąsiednim stanie Arkanzas jest kilka polskich kolonji farmerskich, z których największa, pod nazwą Pułaski, posiada polski kościół i szkołę i liczy około 150 polskich rodzin, przybyłych przeważnie z Galicji w r. 1884. Zajmują się głównie hodowlą bydła i uprawą bawełny.

W stanie Wisconsin najstarszą jest osada Polonia w powiecie Portage, założona jeszcze w r. 1855 przez sześć rodzin polskich, które, zawędrowawszy tam jakimś zbiegiem okoliczności, osiedliły się w samym środku stanu na gruntach, sprzedawanych jako wyręby przez prywatne przedsiębiorstwo, eksploatujące lasy. Ceny tych gruntów były bardzo niskie, pomimo jednak wielkiej ich żyzności kolonizacja postępowała w początkach ogromnie powoli, gdyż przybyszów rozmaitej narodowości zrażały pustkowia, pełne niewykarczowanych pni i pełne kamieni. Tylko Polacy potrafili tu wytrwać, przezwyciężając wszystkie przeszkody; w r. 1863 było tam już 44 farm polskich, obecnie zaś liczy Polonia przeszło 400 rodzin polskich, posiada okazały

---

[1]) patrz: ks. Wacław Kruszka: „Historja Polska w Ameryce", Stanisław Osada: „Polskie Farmy w Ameryce Północnej", „Polski Przegląd Emigracyjny", 1910, № 17 i 18; „Pamiętnik wzniesienia i odsłonięcia pomników Kościuszki i Pułaskiego oraz pierwszego Kongresu Narodowego Polskiego w Waszyngtonie", Chicago, 1911, str. 17 i S. Nestorowicz: „Notatki z podróży po północnej i środkowej Ameryce", Toledo, 1910, str. 197.

kościół i trzy budynki szkolne i należy do największych i najlepiej prosperujących polskich osad farmerskich w Ameryce.

W bezpośredniem sąsiedztwie obok Polonii powstało dziesięć innych osad polskich, zajmujących przestrzeń kilkunastu mil kwadratowych i tworzących dziesięć polskich parafji. Centrum tego dużego skupienia polskiego tworzy miasto Stevens Point, w którem Polacy głównie wodzą rej, jak wogóle w całym powiecie Portage. W dnie targowe na rynku tego miasta widzi się polskie stroje kobiece i polskie zaprzęgi, słyszy się dokoła język polski i odbiera się wrażenie, że się jest istotnie w Polsce, np. w jakiemś mieście górnośląskim.

Naogół mieszka w całym stanie Wisconsin przeszło 250.000 Polaków, skupionych w stu osadach, posiadających razem przeszło 80 kościołów i prawie tyleż szkół. Z wyjątkiem takich miast przemysłowych, jak Milwaukee, gdzie osiadło przeszło 100 tysięcy naszych rodaków, Racine (przeszło 3.200 Polaków), Konoska (2.500 Polaków), Scheyboyan (1.200 Polaków) i paru innych, resztę tworzą osady czysto farmerskie, jak Pułaski, Kraków, Sobieski, Toruń, Krok, Poznań, Kopernik, Poniatowski i inne. Ze wszystkich tych stanów w Ameryce Północnej, Wisconsin skupia najwięcej naszych farmerów. Naogół powodzi się zupełnie dobrze, gdyż gleba jest tu przeważnie dość żyzna a klimat zupełnie zbliżony do klimatu w Polsce, warunki więc dla rolnictwa pomyślne. Wielu farmerów posiada ładne zabudowania gospodarskie, własne automobile i mieszkania, których zasobne urządzenie świadczy o wyższej stopie życiowej. Amerykanizacja czyni wśród nich bardzo powolne postępy i tam tylko, gdzie nie tworzą zwartych skupień, grozi młodszemu pokoleniu.

W stanie Illinois większość Polaków zamieszkuje miasta, ale i tutaj nie brak polskich osad farmerskich, z któ-

rych najstarsza Radom leży w powiecie Washington i liczy przeszło 500 rodzin (powstała w r. 1876). Z innych na wzmiankę zasługują: Dubois (założona w r. 1876), Scheller, Poznań, Nashville, Tamaroa, Ashley, Rice, Gostyń, Centralia, Assumption i Chester. Życie polskie na wsi nie zapuściło tu jednak tak mocnych korzeni, jak w Wisconsinie, i małe wysepki polskie otoczone są zewsząd obcem morzem.

To samo powiedzieć można i o stanie Minnessotta, gdzie również większość Polaków tworzy dziś żywioł miejski, osiedliwszy się w takich miastach przemysłowych jak St. Paul, Minneapolis, Winona i inne. W pobliżu miast tych znajduje się sporo osad farmerskich, częściowo lub nawet przeważnie zajętych przez Polaków i zorganizowanych w polskie parafje. Najstarszą bodaj parafją polską jest w Minnesocie Delano, powstała w r. 1873 oraz Silver Lake (1873), do nowszych należą Opole (1891), Stanisławowo (1880), Kroże (1892), Wilno (1896), Little Falls (1900) i Plate (1901). Dobrobyt naszych farmerów w Minnesocie jest mniejszy niż w Wisconsinie, bo klimat tu ostrzejszy a grunta lichsze i rynki zbytu bardziej odległe. Obfitość jezior, nadzwyczaj bogatych w różne gatunki ryb, zachęca wielu Polaków do oddawania się rybołówstwu pomimo nizkich cen na ryby dla braku na miejscu odbiorców.

Wśród Polonji, osiadłej w obu Dakotach (South Dakota i North Dakota), szacowanej na około 20.000 osób, przeważają farmerzy. Największa kolonja nosi tu podwójną nazwę Pułaski-Warszawa. Leży ona w Północnej Dakocie, powstała około 1880 r., posiada polski kościół, szkołę i polskie sklepy oraz około 600 polskich farm. Około 200 polskich gospodarstw znajduje się w okolicy miasta Jamestown, rozrzuconych na przestrzeni 20 mil. Najbardziej zamożni mają być farmerzy w parafji Gniezno; niektórzy z nich posiadają po 800 akrów. Kaszubi mają w Południowej

Dakocie swój Puck, parafję, zorganizowaną w r. 1885 i liczącą przeszło 200 rodzin farmerskich [1])

W stanie Nebraska ludność polska liczy około 25.000 dusz i tworzy 25 osad, w tej liczbie aż 20 rolniczych, z których najstarsze sięgają 1875 roku. Najwięcej ich jest w powiatach Hovard Sherman i Valley, gdzie też spotyka się wiele miejscowości o nazwach czysto polskich, jak Nowy Poznań, Boleszyn, Chojnice, Kraków, Tarnów.

W stanie Michigan Polacy skupiają się głównie w miastach, ale istnieje też pokaźna liczba polskich kolonji rolniczych, zwłaszcza w powiecie Huron, gdzie spotyka się stare i bardzo zamożne parafje polskie. W stanie Missouri istnieje powiat o nazwie Pułaski z miastem Warszawą (Warsaw). Osada farmerska Kraków powstała tam już w roku 1870, nadto stan ten posiada kilkanaście innych większych lub mniejszych kolonji rolniczych o ludności przeważnie polskiej. W stanie Indiana niema większych obszarów, rozkolonizowanych między Polaków, natomiast istnieje garść czysto polskich osad farmerskich, zorganizowanych z kilku parafji. Drobne kolonje polskie lub rozproszone farmy spotyka się w stanach Jova, gdzie w Brighton tworzą parafje polską, Kansas, Ohio, Pensylvania, New Jersey, Maryland, Delevare, New York (Eden koło Buffalo) i innych.

---

[1]) Kolonje polskie w Północnej Dakocie znajdują się w stanie prawdziwego rozkwitu i imponują zamożnością osadników. Profesor na wydziale rolniczym Uniwersytetu w Minnesota, John Lee Coulter, który je zwiedzał, pisze o nich: „No class of citizens, whether immigrants or descended from immigrants half a dozen steps removed, could ask for greater material progress, better buildings — homes, churches, schools and town buildings — than the Polish settlemend around Warsaw, Poland, Minto and Ardock in Walsh County, North Dakota". („Influence of Immigration an Agricultural Development". Labor and Wages.—The Annals of the American Academy of political and Social Science". Philadelphia, 1909, str. 377).

Na wschodzie Stanów Zjednoczonych, zwłaszcza w stanach Massachussetts i Connecticut, w dolinie rzeki Connecticut, polskie osadnictwo rolnicze zaczynało się najczęściej od dzierżawy; pracowity dzierżawca jednak niebawem zamienił się na właściciela, bo wykupywał grunta od poprzednich posiadaczy, którzy bądź przenosili się do miast, bądź też odpływali na zachód. W wielu okolicach, zwłaszcza od Northhampton, Mass, po New Haven Coun. powstało tyle rolnych gospodarstw polskich, że żywioł polski wysuwać się zaczął na pierwszy plan. Rozmaite przedsiębiorstwa i spółki kolonizacyjne prowadziły w ostatnim dziesiątku lat przed wybuchem wojny bardzo ożywioną agitację za kolonizowaniem Polakami stanów Tennensee, Kentucky, Alabama, Washington, Florida i innych. Agitacja ta wydala pewne owoce, gdyż rzeczywiście tworzyć się tam zaczęły tu i owdzie bądź kolonje polskie, bądź rozproszone gospodarstwa farmerskie. Na ogół wszakże wszelkie próby zorganizowania racjonalnej kolonizacji w celu planowego wytworzenia wielkich skupień polskich zawsze zawodziły. Rozmaite plany w tym kierunku powstały bądź u nas w kraju (że przypomnę projekty Kazimierza Kaźmierzowicza i późniejsze Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego we Lwowie, dotyczące kolonizacji stanu Washington nad Pacyfikiem), bądź w Ameryce (uchwały rozmaitych zjazdów, usiłowania Jana Smulskiego i t. d.), plany te jednakowoż nie zdołały wywołać żadnej szerzej zakrojonej akcji. Obecnie tworzenie takich koncepcji, o ile chodzi o Stany Zjednoczone, byłoby już rzeczą pod każdym względem spóźnioną.

Jeśli ruch emigracyjny z Polski w swych początkach kierował się głównie na farmy, to w ostatnich dziesiątkach lat odbywał się on coraz wyłączniej w kierunku wielkich centrów przemysłowych, by tam wytwarzać osobne polskie dzielnice, rozbudowywać polskie „Ghetta” robotnicze. Tak zwana więc przed wojną „4-ta dzielnica Polski” składała

się nie tyle z osad rolnych, co przedewszystkiem ze skupień miejskich, silnie połączonych węzłami wspólnych organizacji, aczkolwiek pozatem rozproszonych na znacznej przestrzeni i wszędzie tworzących wybitne mniejszości narodowościowe. Nie na farmach tedy lecz po miastach ma swą siedzibę gros Polonji amerykańskiej i jest rzeczą charakterystyczną, że polski chłop-rolnik na gruncie amerykańskim w ostatnich dziesiątkach lat przekształcał się najchętniej na mieszkańca miast, na robotnika przemysłowego, zwłaszcza jeśli był imigrantem zarobkowym i nie wyrzekł się zamiarów powrotu do „starego kraju”.

Większość imigrantów pracowała głównie w przemyśle żelaznym, w hutach pensylwańskich, w wielkich piecach Pittsburg-Allaghang, w warsztatach okrętowych U. S. Navy Yard w Brooklinie N. Y., na League Island w Delavare, w Baldwina fabryce maszyn i lokomotyw (Baldwin's Locomotive Works) w Philadelphii, w Harland Hollingsworth Shiphyorts i w Diamand State Steel Works w Chester, i Swon Workt w Wilmington, w Stanie Delavare, w „Dyamentowym stanie”, zwanym tak dla swej wysokiej wartości przemysłowej, w warsztatach kolejowych kolei pensylwańskich w Altona (Pa), w Homstead Steel Works i Edgar Thomsons Steel Works, Duguesne Steel Works, American Bridge C-o, Jones et Langhlins Works, Oliver Iron a Steel C-o, Pressed Steel Car C-o w Pittsburgu, w Westinghous Electrical Works w East Pittsburg, Illinois Steel C-o. w Chicago, w fabryce maszyn rolniczych, Mc. Cormick Harvesting Machine C-o. i Deering Harvester w Chicago, w fabryce wagonów Pullmanowskich, Pullman Car Works w Chicago, w największej na świecie rzeźni w „Union Stockyards”, gdzie pracowało przeszło 25.000 robotników, w Astorand C-o. i Swift C-o., którzy zatrudniali sami 15.000 robotników, w olbrzymich fabrykach broni w Springfields (Mass.), w wielkich fabrykach w Newarku w N. Jersey tuż przy N. Yorku, Elizabeth, w fabryce maszyn do szycia Wheeler

et Wilson Howe w Bringepost w Connecticut, w fabryce przyrządów ogniowych i sikawek Colt's Factory, automobilów Pope Manufact. Co w Hartford, stolicy Connecticut. W fabrykach Jersey City, wreszcie w górnictwie i nafcie w Pensylwanii i Ohio.

Przeciętny zarobek robotnika niekwalifikowanego wynosił około 1 dol. 35 ct. dziennie. Pokrycie najniezbędnieszych potrzeb życiowych pociągało wydatek około 16 dolarów miesięcznie, wobec czego mógł robotnik taki, o ile pracował bez przerwy i żył bardzo skromnie, zaoszczędzić miesięcznie około 16 dolarów. W przemyśle górniczym przeciętny zarobek dzienny górnika wynosił przy wynagrodzeniu akordowem, zależnie od uzdolnienia, 2 dol. 50 ct. do 4 dol., pomocnika—1 dol. 50 ct. do 2 dol. 20 ct., służby przy windach i woźnicy—około 2 dol. 20 ct. W przemyśle stalowym i hutach robotnicy niekwalifikowani („unskilled”) zarabiali dziennie po 1 dol. 50 ct. do 3 dol. stosownie do oddalenia pracy od pieca, lejarze stali („tomageworkers”) po 4 dol. do 6 dol. Przy kolejach płacono tak zw. „worktrainers” (robotnikom, zmieniającym szyny w razie uszkodzenia i t. p.) po 1 dol. 35 ct. do 1 do 75 ct. dziennie, tak zwani zaś „sectionshands” (robotnikom na torze) po 1 dol. 50 ct. do 2 dol. 10 ct., a kowalom po 2 dol. 50 ct. do 4 dol. 50 ct. dziennie. Na farmach we wschodnich Stanach płacono robotnikom sezonowym: mężczyznom po 15 — 25 dol., a kobietom po 10 — 15 dol. miesięcznie. Sezon robót rolnych trwał około 8 miesięcy.

Chociaż urodzony na wsi i tam wychowany, emigrant nasz wolał wszaksze męczyć się na ciemnem dnie kopalń lub w zaduchu fabryk, niż oddychać świeżem wiejskiem powietrzem w charakterze najmity farmerskiego, — woli, bo wszędzie, a więc i w Ameryce przemysł może lepiej niż rolnictwo wynagradzać pracę; najgorzej płatny robotnik fabryczny, jeśli ma robotę bez przerwy a chęć oszczędzać, może odłożyć więcej od sezonowego najmity wiej-

skiego. Do miasta przykuwa go zatem z początku nadzieja powrotu do kraju ojczystego, gorące pragnienie zdobycia choćby kosztem nadmiernych wysiłków jaknajwiększych oszczędności. Odłożone pieniądze zazwyczaj odsyła co pewien czas do kraju, o ile zaś nie umie tego przeprowadzić, lokuje je w miejscowych bankach, niekiedy składa w depozyt u proboszcza lub w polskiej redakcji, czasem powierza na przechowanie rozmaitym podrzędnym, ale umiejącym zaskarbić sobie jego zaufanie, przedsiębiorcom — w tym ostatnim wypadku, niestety, nierzadko na przepadłe. Następnie, przed przesiedlaniem się na farmy, choćby już posiadł oszczędności, dostateczne na wydzierżawienie lub nawet zakupno kawałka gruntu, powstrzymuje go najczęściej obawa znalezienia się tam wśród otoczenia zupełnie obcego, lęk przed utratą swojskiego środowiska, jakie może mieć w miastach, odstrasza go, przyzwyczajonego do życia towarzyskiego, odosobnienie amerykańskiej farmy, brak na farmach tych życia wioskowego, brak codziennej styczności z sąsiadami takiej, jaką nasuwa np. wieś polska.

Tu nie zaszkodzi, być może, przypomnieć, że w Ameryce wsi w takiem znaczeniu, jak się ją w Polsce pojmuje, właściwie niema. Każda farma, większa czy mniejsza obejmuje regularny kwadratowy obszar ziemi. Na kwadraty te podzielone są całe okolice, a co kilka mil formuje się małe centrum farmerskie, farmerska osada, złożona z kilku, czasem kilkunastu zabudowań, gdzie zazwyczaj znajduje się, kościół, szkoła, poczta, jeden lub dwa sklepy, gdzie niekiedy powstaje fabryczka, przerabiająca nabiał i inne produkty. Takie centrum farmerskie przy sprzyjających warunkach zamienia się powoli w miasteczko, czasem rozrasta się do rozmiarów miasta fabrycznego. Nazwa takiej osady obejmuje zazwyczaj wszystkie farmy okoliczne w promieniu kilku mil położone. Owe więc kolonje polskie, których nazwy: Pułaski, Sobieski, Kościuszko, Warszawa, Kraków, Radom i t. d. same przez się świad-

czą o polskim pochodzeniu osadników, nie są ściśle mówiąc ani wsiami, ani miasteczkami, lecz pojmować je należy, jako pewne obszary, zajęte przez farmy, obszary, których centra noszą powyższe nazwy.

Tak w Stanach Zjednoczonych, jak w Kanadzie, podział ziemi jest bardzo prosty, prostolinijny i praktyczny. Stan dzieli się na powiaty (county), powiat na tauny (town), które tworzą regularne kwadraty o bokach sześciomilowych tak, że jeden „township" obejmuje zwykle przestrzeń 23.040 akrów czyli 36 mil kwadratowych. Każda mila kwadratowa w townie tworzy jedną „sekcję", zawierającą 640 akrów gruntu. Wzdłuż granic sekcji wymierzone są zwykle drogi farmerskie. Każda sekcja dzieli się na cztery ćwiartki („quarters) po 160 akrów; ćwiartka może się dzielić jeszcze na cztery części, tak zwane „czterdziestki". W Kanadzie „homestead'y" rządowe składają się zazwyczaj z 160 — akrowych ćwiartek, natomiast w Stanach Zjednoczonych najczęściej „czterdziestka" (40 akrów) bywa tym działkiem ziemi, na której początkujący farmer rozpoczyna gospodarstwo.

Kolonizacji rządowej w Stanach Zjednoczonych już prawie niema. Wprawdzie rząd rozdaje jeszcze „homesteady" w niektórych odległych okolicach (dzieląc np. grunta w tak zw. „rezerwacjach indjańskich"), ale korzystać z nich nie mogą nowi przybysze, a nadto warunki są uciążliwe, a okolice bezludne i pozbawione środków komunikacyjnych. Kolonizację więc prowadzą tam obecnie przedsiębiorstwa spekulacyjne rozmaitego typu i w latach, jakie poprzedziły wybuch wojny, trzeba było mieć conajmniej tysiąc dolarów gotówki, aby — nawet przy kupnie na spłaty ratami dojść do posiadania kawałka ziemi i umożliwić sobie jej uprawę. Zanim emigrant nasz zdoła odłożyć sobie taką kwotę po opędzeniu ewentualnych wydatków na sprowadzenie swej rodziny, przywyka już w tym stopniu do życia miejskiego, że często woli oszczędności te przeznaczyć

raczej na zakupno domku w mieście, niż wędrować w okolice, gdzie będzie musiał prowadzić życie pustelnicze, ogołocone z wielkich wrażeń i przejęte poczuciem obczyzny. Stąd też pochodzi fakt, że wtedy gdy w ostatnich dziesiątkach lat coraz wolniej tworzyły się nowe polskie kolonje farmerskie, jednocześnie z zawrotną szybkością rosły w wielu miastach dzielnice, gdzie już nie tylko mieszkańcami, lecz również właścicielami realności byli jeśli nie wyłącznie to przeważnie Polacy [1].

ROZDZIAŁ IV.

Zrzeszenia polskie w Stanach Zjednoczonych. — Polskie parafje, szkolnictwo i związki asekuracyjne. — Polski Związek Narodowy i inne podobne organizacje. — Działalność spółek budowlano-pożyczkowych. — Zdolności organizacyjne Polaków amerykańskich. Prasa polska w Stanach Zjednoczonych.

Bez jakiejkolwiek zorganizowanej pomocy ze strony kraju macierzystego musiał polski chłop — wychodźca tworzyć i utrzymywać w Ameryce te instytucje, które były mu niezbędne dla zachowania wiary i narodowości

---

[1] W roku fiskalnym 1912/13, w którym 174.365 imigrantów polskich przybyło do Stanów Zjednoczonych, amerykański wydział informacyjny, powołany do życia aktem z dn. 20 lutego 1907 r., otrzymał zgłoszenia o informacje tylko od 2.268 osób polskiej narodowości; z tej liczby tylko 2 zapytania dotyczyły nabywania farm, 550 zapytań zarobków dla robotników rolnych, 765 zarobków dla wyrobników miejskich. Razem wydział ten otrzymał w okresie sprawozdawczym 19.891 zapytań. Wśród zgłaszających się o posadę cudzoziemców zajmowali Polacy pod względem liczebnym pierwsze miejsce zaraz po Niemcach, ze strony których wpłynęło 2.411 próśb o informacje („Annual Report of the Commissioner General of Immigration for the year 1913", str. 152—156).

ojców, dla podniesienia oświaty i dobrobytu. Kierowany instynktem samozachowawczym, budował na obczyźnie życie polskie, czerpiąc wzory z otoczenia amerykańskiego i przysposabiając je do swych potrzeb. Głęboko pobożny, pragnął przedewszystkiem modlić się po polsku, w polskiej mowie słuchać słowa Bożego i krzepić się polskim śpiewem religijnym; naprzód tedy przystąpił do organizowania własnych parafji, odbrębnych od współwyznawców innej narodowości.

W r. 1910 obliczano ilość polskich parafji rzymsko-katolickich w Stanach Zjednoczonych na 600, pozatem było około 50 parafji tak zw. „Kościoła Polsko-Narodowego" („niezależnych"). Księży polskich rzymsko-katolickich liczono około tysiąca z dwoma biskupami — sufraganami na czele, ks. Rhodem i ks. Kozłowskim [1]). W samym Chicago istniały 23 parafje polskie. Wiele kościołów polskich przedstawia gmachy tak okazałe, że niektóre z nich mogłyby być ozdobą stolic europejskich. Każdy z nich jednak, wielki czy mały, okazały czy skromny, stanowi jakby redutę polskości, najbardziej bowiem koło własnego kościoła skupia się narodowe i towarzyskie życie naszych wychodźców [2]).

Publiczne szkoły ludowe są w Ameryce bezpłatne. Nie brak ich tam nigdzie, a wszystkie są bogato wyposażone. Ale polski imigrant stronił od nich, pragnął bowiem, by dzieci jego uczyły się po polsku, co było mu zakazane w Poznańskiem i w Królestwie. Zakładał więc własne prywatne szkoły ludowe i do nich posyłał swą dziatwę. Takich parafialnych ludowych szkół polskich jest w Ameryce prawie tyle, wiele parafji. Wprawdzie niektóre z nich

---

[1]) „Niezależni" również mieli swego biskupa w osobie ks. Hodura.

[2]) Porów.: Ks. Józef P. Chodkiewicz: „Polacy w Ameryce Północnej", Warszawa—Dorpat. 1914.

pod każdym względem przedstawiały się ubogo, bądźcobądź jednak stanowiły wybitny dowód zrozumienia przez polskiego emigranta ważności oświaty w duchu narodowym. Do szkoły ludowej w parafji św. Stanisława Kostki w Chicago uczęszczało przeszło 2.000 dzieci, liczba zaś dziatwy, uczęszczającej do wszystkich parafiarnych szkół polskich w Chicago przekraczała 20.000. Szkolnictwo parafialne miało swe uzupełnienie w szeregu średnich zakładów naukowych polskich, jak Kolegjum O. O. Zmartwychwstańców w Chicago, uczelnia Z. N. P. w Cambridge Springs, Pa., szkoła żeńska św. Rodziny w Filadelfii, seminarjum duchowne w Orchard Lake pod Detroit i inne. Wszystkie one powstały bez poparcia moralnego lub materjalnego ze strony metropolji i wyłącznym sumptem Polaków amerykańskich.

Dbały o los rodziny na wypadek swego kalectwa, choroby lub śmierci, emigrant polski niechętnie zapisywał się do odpowiednich organizacji obcojęzycznych, natomiast tworzył i utrzymywał szereg własnych na wzajemnej pomocy opartych związków asekuracyjnych, kas zapomogowych, towarzystw zaliczkowych, spółek budowlanych i. t. d. Na czele tych instytucji kroczył „Związek Narodowy Polski”, będący towarzystwem wzajemnych ubezpieczeń na życie i liczący w chwili wybuchu wojny przeszło 110.000 członków, zszeregowanych w 1.500 grupach. Związek Narodowy Polski powstał w r. 1880 z inicjatywy grupy wychodźców z Juljuszem Andrzejkowiczem i Jul. Szajnertem na czele, w celu skupienia polskich imigrantów, którzy jęli coraz tłumniej napływać do Ameryki. Duchowym ojcem Związku Narodowego Polskiego był Agaton Giller, którego odezwa, wydana w r. 1875, zachęciła przebywających w Ameryce patrjotów polskich do zorganizowania tej instytucji. Zrazu istniał Związek na wschodzie, prędko jednakże przeniósł swój zarząd do Chicago, skąd też, jako ze stolicy Polonji Amerykańskiej, rozwijał swą działalność. W parę lat po powstaniu przeszedł Związek przesilenie. Mianowi-

cie zmienił w statucie swym ustęp o członkach w ten sposób, że odtąd członkiem mógł być każdy Polak bez różnicy wiary, pochodzenia i przekonań politycznych, podczas kiedy do tej pory mogli doń należeć tylko Polacy rzymsko-katolicy. Skutek tej zmiany był taki, że duchowieństwo opuściło Związek, wypowiadając mu nawet walkę, i skupiło się w „Zjednoczeniu Polskiem Rzymsko-Katolickiem". Przesilenie to jednakże, jak i idący potem okres walki z klerem, przetrwał Związek zwycięsko i, oparłszy się na wzajemnej asekuracji członków na życie, rozwinął się w potężną organizację, skupiającą w sobie życie narodowe całej liberalniejszej części Polonji amerykańskiej.[1]) Wobec tego, iż każdy członek Z. N. P. oprócz składek asekuracyjnych płacił jeszcze 1 dol. 50 cts. rocznie na cele narodowe, instytucja ta miała poważne fundusze do dyspozycji, dochodzące 200.000 dol. rocznie. Z pieniędzy tych utrzymywał Z. N. P. własną prasę (tygodnik „Zgoda" i „Dziennik Związkowy"), powołał do życia średnią szkołę (wyższe gimnazjum) w Cambridge Springs, udzielał stypendjów polskim słuchaczom uniwersytetów amerykańskich oraz subwencjonował kilka instytucji oświatowych, jak np. wykłady dla robotników, szkoły wieczorne dla dorosłych, szkółki dla dzieci i t. d. W Nowym Yorku utrzymywał Z. N. P. zakład opiekuńczy dla imigrantów pod nazwą „Polski Dom Emigracyjny", ze schroniskiem na 100 łóżek, gdzie świeży przybysz mógł zasięgnąć potrzebnych informacji i otrzymać przez kilka pierwszych dni nocleg i wikt po umiarkowanej cenie[2]).

---

[1]) Patrz: Stanislaw Osada: „Historja Związku Narodowego i rozwój ruchu narodowego polskiego w Ameryce". Chicago, 1905.

[2]) Osobni urzędnicy „Domu Emigracyjnego", tak zw. komisarze, mieli dozwolony wstęp na Ellis Island, gdzie Komisja imigracyjna amerykańska poddawała indagacjom imigrantów celem osądzenia, czy mają prawo do lądowania; komisarze Z. N. P. nie mogli do

Nadto utworzył Z. N. P. centralną bibliotekę polską i małe muzeum we własnym gmachu w Chicago, kilka bibliotek prowincjonalnych, ufundował pomnik Kościuszki w Waszyngtonie w r. 1911, wreszcie podejmował inicjatywę we wszystkich sprawach, związanych z życiem Polonji amerykańskiej, uchodząc wobec amerykańskich władz i amerykańskiego społeczeństwa za najpoważniejsze jej przedstawicielstwo.

Drugie z rzędu pod względem liczebności członków i pod względem wpływów zrzeszenie było „Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie", również instytucja asekuracyjna na wzajemności oparta. Była to organizacja klerykalnego odłamu wychodźtwa, pozostająca pod silnymi wpływami księży; założona z inicjatywy ks. Gieryka w r. 1874, w chwili wybuchu wojny liczyła ona przeszło 80.000 członków, posiadała główną siedzibę w Chicago i, na skutek emulacji ze Związkiem Narodowym Polskim, zaczęła również rozwijać działalność na polu narodowem i oświatowem.

Wśród innych mniejszych organizacji, opartych na zasadzie wzajemnych ubezpieczeń, na wzmiankę zasługują: „Stowarzyszenie Polaków w Ameryce", powstałe w r. 1895 w Milwaukee, liczące około 10.000 członków i pozostająca pod wpływem kleru „Unja Polska Rzymsko-Katolicka", założona w r. 1889, przed wojną licząca przeszło 30.000 członków i rozwijająca swą działalność głównie w stanach wschodnich. Oprócz tego istniał cały szereg drobniejszych i przeważnie już czysto lokalnych związków, zjednoczeń, kas i stowarzyszeń.

Innym typem organizacji polskich w Stanach Zjednoczonych były stowarzyszenia, mające czysto ideowe cele w swym programie. Do stowarzyszeń takich zaliczyć nale-

---

indagacji tych mieszać się w jakikolwiek sposób, z chwilą atoli, gdy badania zostały ukończone, wolno im było służyć swym rodakom wskazówkami i brać ich pod opiekę podczas lądowania i pierwszych dni pobytu w Nowym Yorku.

ży przedewszystkiem „Związek Sokołów Polskich", zawiązany w r. 1894 z inicjatywy polskich gniazd sokolskich w Chicago, a na kilka lat przed wybuchem wojny skupiający w swych szeregach wszystkich chcących służyć idei zbrojnej walki o niepodległość Polski. Liczba członków „Sokoła" wynosiła przed wojną około 25.000. Idei polskiego ruchu militarnego służył w latach, które poprzedziły wojnę, również „Związek Młodzieży Polskiej", organizacja licząca około 8.000 członków, założona w r. 1894 pod hasłami filareckiemi i działająca przeważnie we wschodnich okolicach Unji. Pielęgnowaniu pieśni polskiej wśród wychodźtwa poświęcony był „Związek Śpiewaków Polskich", skupiający kilkadziesiąt chórów. Kobiety posiadały własną wpływową organizację w istniejącym od r. 1898 „Związku Polek".

Trzecim wreszcie typem polskich organizacji w Stanach Zjednoczonych były spółki budowlano-pożyczkowe. Zadaniem ich było zakładanie kas oszczędności i ułatwianie członkom uzyskanie kredytu na budowę własnych domów. Skupiając coraz bardziej miljonowe oszczędności polskich emigrantów, towarzystwa te rozwijały się przed wojną bardzo pomyślnie, a wkłady członków dochodziły już do imponujących cyfr, dzięki czemu emigrant nasz mógł skuteczniej bronić się przed wyzyskiem ze strony przeróżnych spekulacyjnych agencji bankowych, operujących z jego krzywdą. W samem Chicago, istniało takich spółek „budowlano-pożyczkowych" przeszło 20. Dalszy rozkwit tych stowarzyszeń stać się może fundamentem finansowo-ekonomicznej organizacji Polonji amerykańskiej.

Żadna z powyżej wymienionych organizacji nie zajmuje się amerykańską polityką krajową, wobec tego więc, że emigrant polski jest przeważnie obywatelem Stanów Zjednoczonych, ten i ów wstępuje do polskiego klubu politycznego, republikańskiego czy demokratycznego, stosownie do przekonań. Takich polskich klubów politycznych istniały w Stanach Zjednoczonych przed wojną setki i tysiące.

Nadto socjaliści polscy posiadali własną organizację pod nazwą „Związek Socjalistów Polskich“.

Jak widzimy, zmysł organizacyjny przejawił się u wychodźtwa polskiego w Ameryce Północnej w bardzo poważnym stopniu. W chwili wybuchu wojny światowej prawie połowa całej Polonji amerykańskiej była zorganizowana w stowarzyszeniach, łączących się wzajemnie w związki, coraz potężniejsze i zasobniejsze, aczkolwiek niestety, często zwalczające się nawzajem. Wpływ organizacji tych na odporność asymilacyjną wychodźców był niezaprzeczalny. Sam miałem sposobność spotykania w Stanach Zjednoczonych takich rodaków, którzy, poprzednio zupełnie już pod każdym względem zamerykanizowani, poczuli się Polakami dopiero po zapisaniu się do „Sokoła“ lub którego z towarzystw Z. N. P., gdzie na nowo uczyli się zapomnianej już i być może dawniej pogardzanej mowy ojczystej.

W życiu organizacji polsko-amerykańskiej biorą udział nie tyle świeży przybysze ze „starego kraju”, których absorbuje troska o zdobycie sobie jakiej takiej egzystencji, co emigranci, przynajmniej już od kilku lat nastałe za oceanem osiadli, którzy rozejrzeli się dokładnie w miejscowych stosunkach i poczuli się obywatelami nowego kraju; poniekąd uczestniczy w niem także drugie i trzecie pokolenie, już w Ameryce zrodzone, tworzące odrębny typ Polaków, którzy świetnie godzą gorący patryotyzm amerykański z żywą sympatją dla macierzy polskiej i chociaż w domu używają już najczęściej języka angielskiego, a język polski jest dla nich językiem dla kościoła, stowarzyszeń i obchodów narodowych, to jednak, zapytani o narodowość, podkreślają odrazu swe polskie pochodzenie.

Rozwój organizacji polskich w Ameryce może imponować i z tego powodu, że odbywał się bez udziału lub przy minimalnym udziale tak zw. inteligencji, której w Ameryce jest wogóle bardzo mało; społeczeństwo polsko-amerykańskie jest nawskroś chłopsko-robotnicze, z powodu

małej stosunkowo zasobności naszych imigrantów oraz z powodu amerykanizacji, której ulega bezpowrotnie część młodzieży, proces wytwarzania na miejscu tam zrodzonej lub przynajmiej tam wychowanej inteligencji polskiej odbywał się dotychczas bardzo powoli, przypływ zaś inteligentów z Europy, zwłaszcza takich, którzyby chcieli brać czynny udział w życiu polskiem, był stosunkowo nieliczny i pod względem jakościowym pozostawiał sporo do życzenia.

Autor artykułu „Zamorskie siły", ogłoszonego w urzędowym „Monitorze Polskim" (marzec, 1918 r.), dokładnie znający stosunki amerykańskie na podstawie własnej długoletniej obserwacji, tak charakteryzuje zdolności organizacyjne polskich wychodźców w Ameryce:

„Jednostka rzucona na nowy teren, na którym walka o byt ciężka jest i wytężona, chłop polski, wogóle polski wychodźca, zmuszony do życia w nowych, wręcz odmiennych od dawnych warunkach, zdobywa cały szereg cnót, wyłania z siebie nowe siły, drzemiące w nim głęboko i w polskich stosunkach tylko odgadywane w nim i przeczuwane. Pewność siebie i wiara w swe własne siły, odgrywające decydującą rolę we wszystkich poczynaniach człowieka, w jego walce o byt, o prawo do życia, połączone z przedsiębiorczością i inicjatywą, składają się na wyrobienie, którego wartość ocenić można rezultatami życiowemi. Często spotykane typy polskich „self-made-manó'w", którzy wysoko idą w życiowej karjerze, doskonale tłómaczą wartość takich jednostek w naszem życiu społecznem.

„Szkoła amerykańska nie na tem się kończy dla emigranta polskiego. Przykład płynący z otoczenia, szeroko i głęboko idące ze sfer amerykańskich poczucie pełnych praw obywatelskich, swobód osobistych, wolności całego życia w kraju, wszystko to sprawia, że wychodźca polski nabiera także i w życiu publicznem, politycznem i społecznem rozmachu i wyrobienia, należytej oceny praw

obywatelskich, prawdziwego życiowego aktywizmu w poczynaniu. Rezultaty działalności „samouków" polsko-amerykańskich i na tem polu zaznaczają się poważnie. Znane są w Ameryce nazwiska Polaków powoływanych przez współobywateli na najwyższe godności.

„Za wyrobieniem wychodźcy jako jednostki idzie wyszkolenie jego i wydoskonalenie na polu organizacji zbiorowej. Tu działa również przykład otoczenia. Fakt, że każdy Amerykanin należy do całego szeregu zrzeszeń politycznych, społecznych czy towarzyskich, że przynależność ta daje mu siłę i pewność siebie, czerpaną z oparcia o organizację, sprawił, iż w skupieniach polskich za Oceanem potworzyły się potężne co do liczby związki i zjednoczenia polskie, różnym celom natury politycznej, narodowej czy społecznej lub wreszcie towarzyskiej służące. Emigrant polski udowodnił wielką zdolność organizacyjną, dając tem samem gwarancję, że i na swoisty grunt przykłady obce przeszczepić potrafi.

„Lecz nie tu koniec dodatnich przejawów polskiej żywotności, nie tu kres szeregu owych zamorskich sił.

„Bezpośredni bardziej niż w Polsce stosunek do wszystkich przejawów życia, splątany w jeden węzeł z uczuciowem jedynie traktowaniem patrjotyzmu polskiego wytworzył w całej masie polskich emigrantów, zwłaszcza wśród młodzieży, ofiarną i bezinteresowną miłość dla Polski, owianą szczerym idealizmem, który kazał chłopakom, nie znającym nieraz Ojczyzny Ojców swych poświęcać całe noce po pracowitym dniu — ćwiczeniom wojskowym, odrywał ich od spokojnego, beztroskiego a dostatniego życia, rzucając ich za morza na ojczystą ziemię, by z karabinem w ręku święty spełnić obowiązek" [1].

---

[1] Rzecz charakterystyczna, że ten sam autor nie wierzy jednak by żywioł polski w Stanach Zjednoczonych zdołał w dalszej przyszłości oprzeć się potędze asymilacyjnej rasy anglosaskiej. Stwierdza to

„W mojem przekonaniu — pisze inny znawca stosunków amerykańskich, wielce zasłużony działacz narodowy i publicysta polsko-amerykański, prof. Tomasz Siemiradzki — Polaków na wychodźtwie pcha do organizowania się nie tylko chęć zbliżenia się wzajemnego ku sobie i potrzeba obrony swych interesów lokalnych, lecz i wrodzony i utrwalony przez długie istnienia polityczne instynkt państwowości. W mózgach ludu polskiego na wychodźtwie tkwi chociaż niejasno sformułowana myśl, że można i należy stworzyć dla siebie w granicach dozwolonych przez prawa tutejsze coś w rodzaju własnej rzeczy-pospolitej polskiej, którąby mu choć w drobnej części zastąpiła brak własnego państwa w Ojczyźnie [1]).

Najbliższa przyszłość pokaże, jaki wpływ wywrze na dalszy rozwój polskich organizacji w Stanach Zjednoczonych dokonana już odbudowa państwowości polskiej.

Bardzo charakterystycznym wykładnikiem rozrostu i siły natężenia życia polskiego na ziemi Waszyngtonu była prasa polska, której bujny rozkwit dowodził podnoszenia

---

w innym artykule, gdzie m. i. pisze: „Można tylko jedynie podtrzymać żywioł polski, rzecz prosta z myślą, by albo go w tej lub innej formie zwrócić Polsce, albo, by go przesiedlić tam, gdzie jako samodzielny organizm będzie mógł się należycie rozwijać. To podtrzymywanie żywiołu polskiego i jego odrębnego życia, ta walka z zalewem amerykanizacji daje dziś jeszcze rezultaty nienajgorsze, ale szanse jej zmniejszyła już poważnie wojna i ostatnia zmiana stosunku rządu do obcokrajowców". „Tak więc, niestety, na Polonję w Stanach Zjednoczonych, aczkolwiek bardzo liczną i dobrze zorganizowaną, w planach kolonjalnych nie można liczyć jako na jednostkę twórczą, a jedynie uważać ją należy za zbiornik wartościowych sił, bardzo cennych dla budowy kolonji polskich". („Monitor Polski" z dnia 20/III 1918, art. „Powojenne plany rozwojowe").

[1]) „Pamiętnik wzniesienia i odsłonięcia pomników Tadeusza Kościuszki i Kazimierza Puławskiego, tudzież połączonego z tą uroczystością pierwszego Kongresu Narodowego Polskiego w Waszyngtonie w maju 1910 roku". Chicago, 1911, str. 210.

się kulturalnego poziomu Polonji amerykańskiej i zamiłowania polskiego wychodźcy do czytelnictwa.

W chwili wybuchu wojny wychodziło w Stanach Zjednoczonych 15 dzienników polskich i około 60 tygodników. Najstarszem bodaj czasopismem jest „Zgoda", tygodnik założony w r. 1878 w Milwaukee, a w r. 1888 przeniesiony do Chicago, gdzie dotąd wychodzi jako urzędowy organ Z. N. P. Najstarszym dziennikiem jest „Kurjer Polski", założony w r. 1888 przez zasłużonego wydawcę p. Michała Kreszkę w Milwaukuee. Jeśli Milwaukee można uważać za kolebkę prasy polskiej, to stolicą jej jest obecnie Chicago, gdzie przed wojną wychodziły 4 pisma codzienne: „Dziennik Związkowy" o tendencjach narodowo-liberalnych, organ „Związku Narodowego Polskiego" (nakład około 30.000 egzemplarzy), „Dziennik Chicagoski", organ klerykalny, własność spółki, w której główny głos mają oo. Zmartwychwstańcy (nakład około 30.000 egzempl.), „Dziennik Narodowy", organ znanego działacza politycznego i finansisty p. Jana Smulskiego (nakład około 16.000 egzeml.), wreszcie „Dziennik Ludowy", organ „Polskiej Sekcji Partji Socjalistycznej" (nakład przeszło 10.000 egzempl.).

W Milwaukee oprócz wspomnianego wyżej „Kurjera Polskiego", dziennika o zabarwieniu radykalnem, specjalnie antyklerykalnem (o nakładzie 20.000 egzempl.), wychodziły „Nowiny Polskie", własność spółki księżej z ks. B. Góralem na czele (10.000 egzempl.). Trzeci dziennik w Wisconsinie wychodził w Stevens Point pod tytułem „Gwiazda Polarna".

Detroit, Mich. miał dwa pisma codzienne: „Kurjer Polski", własność spółki wydawniczej, złożonej w przeważnej mierze z Kaszubów, pismo o charakterze szczerze narodowym, liberalnym, (nakład 15.000 egz.): i „Rekord Codzienny", organ narodowy, bardziej konserwatywny, (nakład 8.000 egz.)

South Bend, Ind., miał „Gońca Codziennego", (nakład 5.000 egz.) W. Toledo, Ohio, wychodzi dziennik „Ameryka-

Echo", własność znanego wydawcy Paryskiego, (nakład 10.000 egz.)

W Cleveland, Ohio wychodził dziennik narodowy, radykalny w tonie, p. t. „Wiadomości Codzienne", (nakład 10.000 egz.) W Buffalo, NY., ukazywały się dwa pisma codzienne: „Polak w Ameryce", konserwatywny, dziennik o zabarwieniu klerykalnem, (nakład 6.000 egz.), i „Dziennik dla Wszystkich", organ narodowo-liberalny, o nakładzie 16.000 egzemplarzy.

Jak z powyższego wykazu wynika, dzienniki polskie w Ameryce mają nakłady tak znaczne, że niewiele pism codziennych w Polsce może się poszczycić większą liczbą czytelników. Jeszcze szerzej rozchodziła się tam polska prasa tygodniowa, na czele której szły z jednej strony oficjalne organy poszczególnych związków, jak „Zgoda", organ Z. N. P. (nakład około 120.000 egzempl.), „Naród Polski", organ Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego (80.000 egzempl.) i „Sokół Polski", organ Związku Sokołów Polskich (25.000 egzempl.), z drugiej zaś strony tygodniowo wydawnictwa ruchliwych i przedsiębiorczych nakładów prywatnych, jak nap. „Ameryka—Echo" w Toledo (około 80.000 egz.). W każdem większem polskiem skupieniu wychodził tygodnik polski, stający na straży interesów miejscowej Polonji.

W czerwcu 1911 r. zawiązało się „Towarzystwo literatów i dziennikarzy polskich w Ameryce", do którego przystąpiło 28 członków, w tej liczbie 22 redaktorów pism polskich najrozmaitszej barwy. W kilka miesięcy później odbył się w Syracuse, N. Y. pierwszy zjazd dziennikarzy polskich w Ameryce [1]).

Pod względem jakościowym większość prasy polsko-amerykańskiej przedstawiała się bardzo ubogo, dając prze-

---

[1]) Oprócz szeregu innych rezolucji uczestnicy zjazdu powzięli jednomyślnie następującą uchwałę: „Uznajemy jedną i niepodległą Pol-

ważnie przedruki (niezawsze najlepiej dobrane) z lokalnych pism angielskich i z pism polskich, wychodzących w Europie. Brak odpowiednich współpracowników z jednej strony, z drugiej zaś małe wymagania czytelników były głównym tego powodem, jak również tendencja wielu wydawców do redukowania kosztów do minimum. Europejską miarą nie można było mierzyć prasy polsko-amerykańskiej tembardziej, że przystosowywała się ona do psychologji swych czytelników oraz do miejscowych stosunków, pod wielu względami tak krańcowo odmiennych od europejskich. Zasługa jej w walce z wynarodowieniem była w każdym razie olbrzymia i zasługi tej nie mogą osłabić te luki i braki, które raziłyby czytelników z Warszawy lub Krakowa. Wreszcie podnieść należy fakt, że prasa ta była w całem tego słowa znaczeniu prasą ludową. Powstała ona z grosza polskiego chłopa-wychodźcy, przez niego była utrzymywaną i czytaną i jego służyła interesom, jak umiała i mogła.

ROZDZIAŁ V.

Ustawodawstwo imigracyjne i jego rozwój. — „Immigration Act" z dn. 20 lutego 1917 r. — Ostatnie ograniczenia imigracyjne. — Stosowanie przepisów imigracyjnych w praktyce. — Statystyka „odrzuconych". — Ryzyko imigrantów. — Powody zwalczania imigracji. — Komisja imigracyjna i jej sprawozdanie.

Stany Zjednoczone powstały przez imigrację, imigracji zawdzięczają swój rozwój i potęgę. Nic dziwnego tedy, że w czasach, kiedy ruch wychodźczy z Europy był jeszcze słaby, rząd Stanów Zjednoczonych nie tylko nie czynił no-

skę, nie uznając żadnych zaborów ani dzielnic. i zobowiązujemy się głosić te hasła z wiarą żywą w ich zrealizowanie, nawołując do szeregów wszystkich bez wyjątku, bez względu na przekonania religijne i polityczne".

wym przybyszom żadnych utrudnień przy lądowaniu, lecz, przeciwnie, ułatwiał im naturalizację, a chcących osiąść na roli obdzielał gruntami. Tak było w pierwszych dziesiątkach lat XIX wieku. W r. 1864 pojawiło się nawet prawo, upoważniające władze do udzielania cudzoziemskim pracownikom zaliczek na koszta podróży do Ameryki.

W miarę atoli, jak wzrastał masowy przypływ cudzoziemców, rząd Unji zaczął go normować w drodze ustawodawczej, dokonując coraz staranniej selekcji, dzieląc przybyszów na pożądanych i niepożądanych i poddając wszystkich odpowiedniej kontroli przy lądowaniu. W dn. 3 marca 1875 r. wydana została pierwsza ustawa, zakazująca lądowania w Stanach Zjednoczonych pewnym kategorjom imigrantów, a mianowicie: ludziom karanym za wszelkie zbrodnie (z wyjątkiem politycznych), oraz kobietom oddającym się prostytucji. W dn. 3 sierpnia 1882 r. pojawił się „Immigration Act", normujący imigrację już z punktu widzenia ekonomicznych interesów Unji. Prawo to ustanawiało dla wszystkich zagranicznych przybyszów podatek pogłówny 50 cts. od osoby („head-tax"), pobierany za pozwolenie przyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Dochody z tego źródła tworzyły tak zwany „fundusz imigracyjny", z którego pokrywane były koszta utrzymania w portach osobnych urzędów imigracyjnych. Pozwolenia na przyjazd do Stanów Zjednoczonych odmawiano już nie tylko przestępcom karnym i prostytutkom, lecz również osobom chorym umysłowo, kretynom i tym wszystkim, którzy stać się mogli ciężarem dla dobroczynności publicznej.

Pod wpływem nalegań ze strony związków robotniczych, wydane zostało w dniu 26 lutego 1885 prawo, zakazujące sprowadzania do Stanów Zjednoczonych cudzoziemców, zakontraktowanych zagranicą. Prawo to przewidywało wyjątek jedynie tylko dla aktorów, artystów, zawodowych śpiewaków i prelegentów, a wyjątek ten dopiero ustawa z dn. 3 marca 1891 roku rozszerzyła na duchow-

nych wszystkich wyznań, na osoby, uprawiające wolne zawody, oraz na profesorów kollegjów i seminarjów. Ta sama ustawa z dn. 3-go marca 1891 r. wykluczała atoli od prawa lądowania w Stanach Zjednoczonych osoby, cierpiące na choroby zaraźliwe, jak również te, których przyjazd został zapłacony przez inne osoby, względnie przez instytucje, gminy i t. p., pojęcie zaś „robotników kontraktowanych" rozszerzyła także na tych przybyszów, których zachęciły do przyjazdu do Ameryki ogłoszenia, drukowane i rozpowszechnione w ich kraju. Kompanjom okrętowym zakazany został werbunek pasażerów, dokonywany inaczej, jak w drodze korespondencji handlowej, okólników oraz ogłoszeń, obwieszczających rozkłady jazdy okrętów i ceny biletów. Ustanowione zostało stanowisko „superintendenta imigracji", kapitanom zaś okrętów nałożono obowiązek przekładania władzom imigracyjnym amerykańskim tak zw. „manifestów", t. j. wykazów, zawierających nazwiska imigrantów, ich przynależność państwową, ostatnie miejsce pobytu i miejscowość, stanowiącą cel ich podróży. Kwestjonarjusz, obejmujący owe „manifesty", został ułożony w ten sposób, by zawierał bardziej szczegółowe informacje o imigrantach, a mianowicie: ich imiona i nazwiska, wiek, płeć, stan, zawód, przynależność, miejsce ostatniego pobytu, port lądowania, oraz odpowiedź na pytania czy umieją czytać albo pisać, czy mają bilety kolejowe aż do miejsca przeznaczenia, czy przejazd ich został zapłacony przez innych, inne osoby albo też instytucje, stowarzyszenia, gminy i t. p., czy mają pieniądze i ewentualnie czy nie mają przy sobie mniej niż 50 dolarów, czy jadą do kogo z krewnych lub przyjaciół, ewentualnie adres takiej osoby, czy byli już kiedy w Stanach Zjednoczonych, ewentualnie kiedy i w której miejscowości, czy byli kiedy osadzeni w więzieniu albo lokowani w przytułku dla ubogich, w szpitalu dla chorych umysłowo, czy korzystali w jaki sposób z dobroczynności publicznej, czy żyli w poligamji, czy nie są anarchistami, czy mają kon-

trakty najmu do pracy, wyraźne lub tajne, wreszcie jaki jest ich stan zdrowia i czy nie są ułomni.

Ustawa z dnia 18 sierpnia 1894 r. podwyższyła podatek pogłówny z 50 cts. na 1 dolara, ustawa zaś z dn. 2 marca następnego roku nadała „superintendentowi imigracji" tytuł „generalnego komisarza imigracji" (Commisioner General of Immigration"). W r. 1903 wydano ustawę, podwyższającą „head-tax" na 2 dolary oraz rozszerzającą zakaz przybywania do Stanów Zjednoczonych jeszcze na osoby, cierpiące na epilepsję oraz na takie, które poprzednio przez 5 lat chore były umysłowo, względnie miały dwa lub więcej ataków obłąkania, wreszcie na anarchistów oraz tych, którzy propagują obalenie siłą lub gwałtem rządu Stanów Zjednoczonych lub innych rządów albo zabójstwo naczelnika państwa. Na mocy tejże ustawy zabroniony został przyjazd do Stanów Zjednoczonych kobietom, przeznaczonym do nierządu, oraz zakazane popieranie imigracji przez pośrednie choćby przyrzekanie pracy albo też przez ogłoszenia, publikowane zagranicą. Cudzoziemców, którzy przybyli do Stanów Zjednoczonych wbrew obowiązującym prawom lub stali się ciężarem dla dobroczynności publicznej, wymieniona wyżej ustawa pozwoliła deportować do ich kraju ojczystego w przeciągu pierwszych dwuch lat pobytu ich na gruncie amerykańskim.

„Immigration Act" z dn. 20 lutego 1907 roku zaprowadził szereg nowych ograniczeń. Przedewszystkiem ustawa ta podwyższyła imigracyjny podatek pogłówny na 4 dolary od osoby (który nie dotyczy wszakże cudzoziemców, przejeżdżających tylko przez Stany Zjednoczone), oraz przedłużyła listę takich imigrantów, których jako niepożądanych nie należy wpuszczać do Stanów Zjednoczonych, zaliczając do ich liczby osoby nierozwinięte umysłowo, cudzoziemców, którym posiadane braki umysłowe lub fizyczne mogą utrudnić pracę zarobkową („persons who are found to be and are certified by the examining surgeon as

being mentally or physically defective, such mental or physical defect being of a nature which may affect the ability of such alien to earn a living"), małoletnich poniżej 16-tu lat, o ile nie jadą z rodzicami lub nie jadą do rodziców, i t. d. Oprócz nowych zastrzeżeń, zmierzających do niedopuszczenia do Stanów Zjednoczonych takich kobiet, które oddawałyby się tam rozpuście, ustawa z 20 lutego 1907 r. nakłada na kapitanów okrętów obowiązek przekładania władzom imigracyjnym „manifestów" również odnośnie do osób, wyjeżdżających ze Stanów Zjednoczonych, a nadto przedłuża na 3 lata okres czasu, kiedy można wydalać takich cudzoziemców, którzy przybyli do Stanów z pominięciem obowiązujących praw lub też stali się tam ciężarem dla dobroczynności publicznej.

Ustawa z dn. 20 lutego 1907 r. niebawem uznaną została za niedostateczną i wobec czego rozszerzono ją nowemi ustawami, a mianowicie: z dn. 26 marca 1910, z dn. 4-go marca 1913 r. oraz ostatnią z dn. 5 lutego 1917 r., uchwaloną już podczas wojny. Ustawy te zaprowadziły szereg nowych zastrzeżeń, z których najważniejszem jest zakaz przyjazdu do Stanów Zjednoczonych cudzoziemcom, nie umiejącym czytać w żadnym języku.

Paragraf trzeci najnowszej ustawy, dotyczący cudzoziemców, którym niewolno przyjeżdżać do Stanów Zjednoczonych, brzmi w dosłownem tłumaczeniu następująco:

„Nie mają prawa pobytu w Stanach Zjednoczonych cudzoziemcy, zaliczeni do następujących kategorji: idjoci, kretyni, osoby umysłowo upośledzone, epileptycy, obłąkani; osoby, które przed przyjazdem do Stanów Zjednoczonych jednokrotnie lub też częściej uległy napadom obłędu, osoby cierpiące na wady organiczne typu psychopatycznego, osoby dotknięte chronicznym alkoholizmem, osoby utrzymywane przez dobroczynność publiczną, żebracy zawodowi, włóczęgi, osoby dotknięte gruźlicą w jakiejkolwiek postaci lub cierpiące na choroby odrażające albo zaraźliwe, osoby nie wchodzące w zakres powyższych kategorji, u których jednak oględziny lekarskie wykażą tego rodzaju wady umyłowe lub fizyczne, które czynią je niezdolnemi

do pracy zarobkowej na obczyźnie, osoby karane sądownie, względnie przyznające się do popełnienia zdrady lub innej zbrodni, świadczącej o upośledzonej moralności, wielożeńcy i wszystkie osoby, uznające w praktyce lub w teorji zasadę wielożeństwa, anarchiści lub osoby będące stronnikami i zwolennikami albo propagatorami obalenia za pomocą siły lub gwałtu rządu Stanów Zjednoczonych lub wszelkich form prawa, osoby będące przeciwnikami lub też nie uznające żadnego rządu zorganizowanego, osoby zalecające i propagujące bezprawne zniesienie własności, członkowie i stronnicy partji, propagujących i zalecających opozycję przeciwko wszelkim rządom zorganizowanym ci, którzy uznają i zalecają obowiązek, konieczność lub stosowność zabójstwa jakiegokolwiek bądź urzędnika prywatnego lub państwowego, urzędującego bądź w Stanach Zjednoczonych, bądź w jakiemkolwiek innem państwie, a to dla powodów, wynikających z jego urzędowego charakteru, prostytutki oraz wszystkie osoby, udające się do Stanów Zjednoczonych w zamiarze oddawania się prostytucji lub w jakimkolwiek innym niemoralnym celu, osoby, które bezpośrednio lub za czyjem pośrednictwem sprowadzają lub usiłują sprowadzić prostytutki względnie osoby przeznaczone do prostytucji lub do innych niemoralnych celów, osoby, utrzymywane lub czerpiące całkowicie albo częściowo swoje dochody ze źródeł, pochodzących z prostytucji; osoby określone poniżej jako robotnicy zakontraktowani które zostały namówione, zachęcone lub podniecone do wychodźtwa do Stanów Zjednoczonych na skutek rzeczywistych lub zmyślonych zaofiarowań lub obietnic posad lub na skutek tajnego lub jawnego najmu dokonanego ustnie, pisemnie lub drukiem do jakiegokolwiek rodzaju robót w tym kraju, wymagających lub niewymagających specjalnego uzdolnienia; osoby przybywające na skutek zapotrzebowań, rozpowszechnianych przez ogłoszenia drukowane, wydawane lub rozdawane zagranicą; osoby, co do których zachodzi obawa, że mogą stać się ciężarem dla społeczeństwa; osoby wysiedlone na zasadzie niniejszej ustawy, które przed upływem roku od daty wysiedlenia usiłują ponownie wstąpić na terytorjum Stanów Zjednoczonych, o ile jeszcze przed odpłynięciem z zagranicznego portu, względnie przed usiłowaniem wjazdu przez sąsiedni obcy kraj, nie uzyskały od Ministra Pracy pozwolenia na złożenie ponownego podania o dopuszczenie ich na terytorjum Stanów Zjednoczonych; osoby, których bilet podróżny był opłacony przez osobę trzecią lub których podróż nastąpiła przy pomocy osób innych, o ile nie zostanie stwierdzone przez pozytywne i wystarczające dane, że przybysze ci nie należą do jednej z powyżej wymienionych kategorji osób niedopuszczalnych; osoby, których bilet przejazdu lub koszta podróży zostały pośrednio

lub bezpośrednio opłacone przez zrzeszenie, stowarzyszenie, związek, gminę lub rząd obcy: dzieci poniżej lat 16, o ile nie towarzyszy im ojciec lub matka, lub o ile nie jadą do ojca lub matki, jednakże Minister Pracy jest upoważniony do czynienia wyjątków, jeżeli stwierdzone zostało, że dziecko poniżej lat 16 odpowiada wszystkim warunkom, niezbędnym dla uzyskania wstępu do Stanów Zjednoczonych i nie zachodzi obawa, iż dany osobnik stanie się ciężarem dla opieki społecznej. Powyższe zarządzenie nie odnosi się do funkcjonarjuszy publicznych, do duchownych rozmaitych wyznań religijnych, do misjonarzy, prawników, lekarzy, aptekarzy, inżynierów, profesorów, studentów, literatów, artystów, przemysłowców, turystów, ich żon ślubnych oraz dzieci do lat 16, towarzyszących im w podróży lub proszących później o prawo wstępu do Stanów Zjednoczonych. W wypadku jednakowoż, gdyby osoby należące, do powyższych kategorji oddawały się na terytorjum Stanów Zjednoczonych zajęciem przeciwnym treści i duchowi niniejszej ustawy, zostałyby one uznane za *niedogodne* i podlegałyby wysiedleniu na zasadzie 19 artykułu niniejszej ustawy.

Po trzech miesiącach od dnia przyjęcia niniejszej ustawy utracą prawo przyjazdu do Stanów Zjednoczonych, oprócz cudzoziemców pozbawionych już poprzednio tego prawa, osoby powyżej lat 16, będące pod względem fizycznym do czytania zdolnie, nie umiejące jednak czytać po angielsku lub w jakimkolwiek innym języku lub djalekcie, nie wyłączając języka hebrajskiego i żargonu; jednakże cudzoziemiec, mający prawo wstępu do Stanów Zjednoczonych lub dopuszczony do nich w sposób prawny przed lub po ogłoszeniu niniejszej ustawy, jako też każdy obywatel Stanów Zjednoczonych, będzie mógł sprowadzić do Stanów Zjednoczonych ojca swego lub dziada w wieku ponad 55 lat, żonę, matkę, babkę lub córkę, pannę lub wdowę, jeśli takowi pod każdym innym względem mogą być do Stanów Zjednoczonych dopuszczani. Aby określić umiejętność czytania cudzoziemców inspektorzy imigracyjni winni zaopatrzyć się w arkusze jednakowych rozmiarów, przygotowane z rozkazu Ministra Pracy i liczące minimalnie 30, a maksymalnie 40 wyrazów, wydrukowanych czytelnie w jednym z języków lub dyalektów, używanych przez imigrantów. Każdy cudzoziemiec będzie mógł wybrać język lub dyalekt, w którym pragnie zostać przeegzaminowanym i otrzyma do przeczytania wyrazy, wydrukowane na arkuszu w wybranym przez siebie języku lub dyalekcie.

Następujące kategorje osób zostaną zwolnione od powyższego egzaminu: cudzoziemcy, którzy na mocy wiarogodnych danych dowiodą, że usiłują dostać się do Stanów Zjednoczonych celem uniknięcia

religijnego prześladowania, wybuchłego w kraju, w którym ostatnio stale zamieszkiwali, przyczem oczywistość prześladowania winna być stwierdzona przez okazanie dokumentów urzędowych lub praw i rozporządzeń rządowych, dotyczących danego cudzoziemca lub grupy, do której należy na skutek swych wierzeń religijnych; cudzoziemcy w sposób legalny dopuszczeni na terytorjum Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszkali już przez 5 lat bez przerwy i dokąd powracają w terminie sześciomiesięcznym, licząc od dnia wyjazdu; cudzoziemcy przejeżdżający przez Stany Zjednoczone; cudzoziemcy, dopuszczeni w sposób legalny na terytorjum Stanów Zjednoczonych, którzy następnie przenoszą się z jednej miejscowości do drugiej położonej również w Stanach Zjednoczonych, przechodząc przez obcy kraj pograniczny; każdy cudzoziemiec, skazany za przestępstwo czysto polityczne lub też przyznający się do popełnienia takiegoż przestępstwa lub jego zalecania innym, względnie propagowania, o ile jest pozatem dopuszczalnym. Zastrzeżenia niniejszej ustawy, dotyczące opłaty biletów przejazdu przez zrzeszenia, stowarzyszenia, związki, gminy lub rządy obce, nie dotyczą biletów przejazdu, będących w posiadaniu cudzoziemców, przejeżdżających przez Stany Zjednoczone do sąsiedniego obcego terytorjum. Zastrzega się ponadto, że robotnicy specjaliści, jeżeli posiadają wszelkie inne warunki, uprawniające do wstępu na terytorjum Stanów Zjednoczonych, mogą być sprowadzani, skoro w kraju niema niezatrudnionych robotników tego samego rodzaju i skoro potrzeba sprowadzenia tych robotników zostanie w każdym poszczególnym wypadku uznana przez Ministra Pracy (sekretarza stanu) na skutek podania osoby zainteresowanej. Podanie to winno być złożone przed sprowadzeniem danych robotników, a decyzja Ministra Pracy zostanie wydaną po dokladnem zbadaniu i rozważeniu faktów, dotyczących tej sprawy.

Przepisy niniejszej ustawy, dotyczącej robotników zakontraktowanych, nie stosują się do aktorów zawodowych, artystów, prelegentów, śpiewaków, sanitarjuszek, duchownych wszystkich wyznań religijnych, profesorów szkół średnich i seminarjów, osób należących do zawodów wyzwolonych, a także do służby domowej. O ile Prezydent przekona się dowodnie, że paszporty wydawane przez rząd obcego państwa swoim obywatelom lub poddanym na podróż do jakiegokolwiek obcego kraju, innego niż Stany Zjednoczone lub na wyspy, należące do Stanów Zjednoczonych, albo też strefy kanału panamskiego, wykorzystane bywają przez okazicieli w celu otrzymania wstępu na terytorjum lądowe Stanów Zjednoczonych ze szkodą dla stosunków panujących na tamtejszym rynku pracy, wówczas zabroni wymienionym wyżej obywatelom lub poddanym tegoż obcego państwa, wydają-

cego paszporty, wstępu na terytorjum lądowe Stanów Zjednoczonych. Cudzoziemcy, powracający do Stanów Zjednoczonych po czasowej nieobecności celem powrotu do miejscowości, którą zamieszkiwali bez przerwy w ciągu lat 7, będą mogli być do Stanów Zjednoczonych dopuszczeni według uznania Ministra Pracy i na warunkach przez niego określonych z tem jednak zastrzeżeniem, że ograniczenia dotyczące zakontraktowanych robotników lub egzaminu czytania nie będą interpretowane jako przeszkoda, utrudnienie lub ograniczenie. Dotyczy to również wystawców zagranicznych lub posiadaczy koncesji albo przywileju wystawienia eksponatów na jarmarku lub na wystawie zatwierdzonej przez uchwałę Kongresu, który pragnie sprowadzić ze swego kraju do Stanów Zjednoczonych zakontraktowanych mechaników, rzemieślników, ajentów lub innych pracowników, o ile niema innych przeszkód w dopuszczeniu ich do Stanów Zjednoczonych, celem urządzenia wystawy lub nadzoru nad eksponatami albo w celu przygotowania, urządzenia i kierownictwa wszelkich spraw w tym zakresie, do których będą upoważnieni na zasadzie pozwolenia, koncesji lub przywileju, wydanych dla danej wystawy lub jarmarku, stosownie do przepisów, które ustanowi Jeneralny Komisarz Imigracji za zgodą Ministra Pracy tak co do dopuszczenia tych cudzoziemców jak też co do ich repartycji.

Komisarz Generalny Imigracji za zgodą Ministra Pracy ustanowi przepisy i określi gwarancje, potrzebne celem kontroli i normowania przyjazdu cudzoziemców niepożądanych, pragnących dostać się tylko na pewien czas na terytorjum Stanów Zjednoczonych. Urzędnicy państw obcych, ich otoczenie, rodzina i goście nie podlegają przepisom niniejszej ustawy". Patrz tablicę na str. 68.

Jak w praktyce stosowane są w Stanach Zjednoczonych przepisy imigracyjne, świadczy umieszczona powyżej tablica statystyczna. Wynika z niej, że w roku 1912/13 ogółem 19.938 imigrantom odmówiono prawa wstępu na terytorjum amerykańskie, w tej liczbie 1741 Polakom, 216 Litwinom, 427 Rusinom oraz 1224 Żydom (nadto 4149 Włochom, 1180 Anglikom, 563 Francuzom, 868 Niemcom, 1251 Grekom, 691 Rosjanom i t. d.). Przyczyną odmowy była najczęściej trachoma, z powodu której razem 2047 imigrantów (349 Polaków) nie uzyskało wstępu na obszar Stanów Zjednoczonych, dalej obawa, że staną się ciężarem publicznym („likely to become a public charge") — 7941 imi-

Liczba imigrantów, którym w r. 1912/13 odmówiono wstępu do Stanów Zjednoczonych

Wśród imigrantów, którym w roku statystycznym 1912-13 zabroniono przyjazdu do Stanów Zjednoczonych, było:	Razem imigrantów wszystkich narodowości:	Polaków:	Litwinów:	Rusinów:	Żydów:
idjotów	18	—	—	—	—
głuptaków	54	8	—	1	5
niedorozwiniętych umysłowo	483	61	10	39	39
epileptyków	23	1	—	—	—
warjatów (od lat 5-ciu lub którzy dwókrot. mieli ataki warjacji)	175	8	2	2	9
suchotników (niezaraźliwych)	2	—	—	—	—
suchotników zaraźliwych	105	4	—	1	5
chorych na trachomę	2.047	349	73	22	132
„ „ farus	61	4	2	—	19
„ „ inne choroby zaraź.	349	19	3	2	38
zawodowych żebraków	10	—	—	—	1
pauprów	5	—	—	—	—
osób, co do których zachodziło prawdopodobieństwo, że staną się ciężarem publicznym	7.941	563	68	161	447
obarczonych takiemi fizycznemi lub umysłowemi wadami, które mogą osłabić zdolność do pracy zarobkowej	4.208	428	34	128	401
robotników kontraktowych („contract laborers")	1.624	124	13	12	6
osób, towarzyszących innym imigrantom	357	22	2	7	33
osób, poniżej lat 16 jadących bez krewnych	492	24	5	14	23
otrzymujących zapomogi (jadących na cudzy koszt)	129	7	2	2	9
przestępców kryminalnych	808	89	1	30	32
poligamistów	40	—	—	—	—
anarchistów	2	—	1	—	—
prostytutek i kobiet, sprowadzanych dla celów niemoralnych	367	16	—	4	18
cudzoziemców, ciągnących dochody z prostytucji	4	—	—	—	—
handlarzy żywym towarem	253	14	—	2	7
Razem . . .	19.938	1.741	216	427	1.224

grantów, (wśród nich 563 Polaków), stwierdzenie wad fizycznych lub umysłowych, osłabiających zdolność do pracy zarobkowej (4208 imigrantów, wśród których 428 Polaków) oraz zaliczenie do kategorji robotników „kontraktowych" (1624 imigrantów, w tej liczbie 124 Polaków). Najbardziej stosunkowo dotknięci byli stosowaniem przepisów imigracyjnych Grecy, gdyż na 38.644 imigrantów greckich aż 1251 spotkało się z zakazem lądowania.

Tendencyjnie niejasna stylizacja przepisów imigracyjnych, dająca szerokie pole amerykańskim organom wykonawczym do zupełnie subjektywnego ich interpretowania, sprawiała, że emigrant, opuszczający kraj rodzinny, nigdy prawie nie miał zupełnej pewności, czy otrzyma pozwolenie na lądowanie w Stanach Zjednoczonych. Wyprawa za ocean połączona była tedy z ryzykiem, którego cały ciężar ponosił wychodźca [1]).

Dotyczy to nawet trachomy. Rozmaite cierpienia oczów lub powiek, które przez lekarzy europejskich uważane są za przejściowe, niezaraźliwe, łatwouleczalne, lekarze

[1]) Ubezpieczanie się przed tym ryzykiem było przez Urząd Imigracyjny zakazane, a osoby ubezpieczone już dlatego samego nie otrzymały pozwolenia na lądowanie; zawiązane we Włoszech przedsiębiorstwa ubezpieczenia imigrantów na wypadek nieotrzymania pozwolenia na lądowanie w Ameryce, musiały odrazu zaprzestać swej działalności; tajną asekuracją tego rodzaju trudnili się w Polsce pomimo to rozmaici pokątni agenci, operacje te jednak, jako niepodlegające publicznej kontroli i opierające się na zupełnie dowolnem szacowaniu rozmiarów ryzyka. połączone zwykle bywały z wyzyskiem wychodźców, którzy opłacając bardzo wysokie premje, jednocześnie nie mieli żadnej gwarancji, że asekurowana kwota zostanie im w razie wypadku istotnie wypłacona. Kompanje okrętowe z reguły nie trudniły się asekuracją swych pasażerów na wypadek zawrócenia ich z drogi przez władze imigracyjne amerykańskie, natomiast miały obowiązek pasażerów takich przewozić do Europy bezpłatnie a przymus ten sprawiał, że we własnym interesie starały się przyjmować na pokład takich tylko emigrantów, co do których można było przypuszczać, że władze imigracyjne amerykańskie nie odmówią im pozwolenia na lądowanie.

amerykańskich urzędów imigracyjnych kwalifikowali jako trachomę. Skutki tego były takie, iż wychodźca, którego w Europie badało kilku lekarzy i uznało za zdatnego do wyjazdu, spotykał się po przybyciu okrętu do brzegów amerykańskich z nieprzychylną opinją lekarza amerykańskiego i wbrew wszelkim swym oczekiwaniom skazany bywał na przymusowy powrót do Europy i połączone z tem straty. Wychodźcy z Polski (dotyczyło to zwłaszcza emigrantów z Galicji), zanim w jednym z portów wsiedli na okręt, badani byli zazwyczaj przez trzech lekarzy w trzech rozmaitych miejscowościach, a mianowicie: 1) w miejscu swego pobytu lub w miejscowości, gdzie nabywali karty okrętowe lub je zadatkowali, 2) na granicy niemieckiej przez lekarza pogranicznej stacji kontrolnej, 3) w porcie wyjazdu przez lekarza kompanji okrętowej; pomimo to lekarze urzędów imigracyjnych amerykańskich znajdowali wśród polskich wychodźców stosunkowo bardzo znaczny procent chorych na trachomę.

W liczbie deportowanych z powodu prawdopodobieństwa zostania ciężarem dla dobroczynności publicznej („likeli to become a public charge") olbrzymia większość nie mogła wykazać się posiadaniem przy sobie funduszów, któreby według zdania egzaminującego urzędnika wystarczały na utrzymanie aż do chwili znalezienia pracy. Otóż i pod tym względem wymagania imigracyjnych władz amerykańskich bynajmniej nie zostały ściśle określone. Przeważnie wymagały one, by imigrant po przybyciu do jednego z portów Stanów Zjednoczonych, posiadał przy sobie przynajmniej 25 dolarów w gotówce oraz bilet kolejowy do miejsca przeznaczenia. Z reguły tej atoli czynione były aż nazbyt często wyjątki stosownie do subjektywnej opinii, jaką w każdym poszczególnym wypadku wyrabiał sobie egzaminujący urzędnik amerykański odnośnie do pytania, czy dana kwota wystarczy imigrantowi na utrzymanie aż do chwili znalezienia pracy. Jeśli w niektórych razach wy-

starczała kwota znacznie mniejsza, to w innych wypadkach nawet posiadanie sumy większej nie usuwało „prawdopodobieństwa zostania ciężarem publicznym”. I pod tym więc względem imigrant europejski, przystępując do odbycia podróży do Ameryki, najczęściej nie miał zupełnej pewności, czy uda mu się otrzymać pozwolenie na lądowanie na drugiej półkuli.

Jeszcze szersze pole do zupełnie dowolnej interpretacji otwierał zakaz wpuszczenia do Stanów Zjednoczonych „osób, obarczonych takiemi fizycznemi lub umysłowemi wadami, które mogą osłabiać zdolność do pracy zarobkowej”. O jakie mianowicie wady chodzi i w jakim stopniu mają one osłabiać zdolność do zarobkowania, ustawa nie wspomina. Zdarzało się tedy często, że ludzi najzupełniej zdrowych i pozbawionych jakiejkolwiek ułomności zawracano z drogi poprostu dlatego tylko, że uznani zostali za słabych fizycznie, że nie mieli muskułów tak rozwiniętych, jak tego sobie w danej chwili życzył badający urzędnik amerykański.

Ta sama niepewność dotyczyła zakazu przyjazdu do Stanów Zjednoczonych robotnikom zakontraktowanym w Europie przez amerykańskich przedsiębiorców („contract laborers”). Zdaje się też nie ulegać wątpliwości, że wśród wspomnianych wyżej 124 polskich imigrantów, deportowanych pod zarzutem naruszenia prawa o kontraktowaniu robotników, większość żadnych zgoła kontraktów z amerykańskimi pracodawcami, w dosłownem tego słowa znaczeniu, nigdy nie zawierała i zarzut ten dał się do nich odnieść tylko w drodze przypuszczeń i domysłów. Wystarczy wspomnieć, iż w komunikatach rozesłanych w marcu 1910 r. do biur pośrednictwa pracy, Komisarz imigracyjny na Ellis Island wspomina, iż imigranci, którzy posiadają adresy tak zw. „bankierów” spodziewać się mogą przytrzymania i odesłania z powrotem do Europy, ponieważ adresy takie podawane bywają często w celu uchylania się od prawa o

kontraktach robotniczych. Podobny los spotykał nieraz imigrantów, którzy posiadali adresy nap. schroniska imigracyjnego P. Z. N. w Nowym Yorku, przytułku dla imigrantów pod nazwaniem św. Józefa lub też jakiego biura pośrednictwa pracy.

Powyższych kilka uwag wystarczy, by podkreślić ryzyko, na jakie narażał się europejski wychodźca, udający się w celach poprawy bytu do Stanów Zjednoczonych. Trzeba było naocznie widzieć lęk tych nieszczęśliwych ludzi podczas długiej podróży morskiej, trzeba było widzieć rozpacz tych, których dotknął wyrok deportacji, by ocenić doniosłość tego ryzyka. Wszak wielu z tych biedaków, wybierając się na drugą półkulę, stawiało na karcie cały swój los, całe swe mienie. Niejeden jechał za pożyczone pieniądze, niejeden podróżą tą ratować chciał zagrożony byt swej rodziny, swych najbliższych, a dla każdego z tych, których nie chciała wpuścić tak gościnna kiedyś ziemia amerykańska, deportacja oznaczała nietylko zmarnowanie poważnej kwoty pieniężnej, wydanej na podróż i stratę czasu — nieraz paru miesięcy — nietylko mnóstwo przykrości, połączonych z pobytem na Ellis Island i przymusową podróżą powrotną, lecz także zupełne zniweczenie poczynionych planów i klęską moralną. [1])

---

[1]) Ryzyko dla polskich imigrantów zwiększała okoliczność, że jak sam miałem sposobność to zauważyć, wśród tłómaczy, którzy przy badaniach na Ellis Island zeznania ich przekładali na język angielski, część nie władała dość biegle językiem polskim i wskutek tego tłómaczyła zeznania niedokładnie lub wprost fałszywie. Nadto olbrzymi pośpiech, z jakim, w razie większego natłoku pasażerów, prowadzono badania, zmęczenie urzędników i zdenerwowanie imigrantów. powodowały liczne nieporozumienia.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie zwróciło się w r. 1910 z memorjałem do rządu austrjackiego o poczynienie u rządu Stanów Zjednoczonych starań, by badanie imigrantów przeniesione zostało do głównych portów europejskich. Jednocześnie P. T. E. zachęciło polskie organizacje w Ameryce o poczynienie ze swej strony

Ograniczenia, stosowane do imigracji i znajdujące swój dosadny wyraz nietylko już w samem ustawodawstwie, lecz również w stylizacji i interpretacji odnośnych przepisów, dowodzą wybitnie, że społeczeństwo w Stanach Zjednoczonych zmieniło swe dawne życzliwe stanowisko wobec przychodźtwa cudzoziemców i obecnie pragnie je dopuszczać tylko z coraz dalej idącemi zastrzeżeniami. Przyczyna tego faktu tłumaczona bywa przedewszystkiem okolicznością, że w ostatnich dziesiątkach lat skład imigracji i jej charakter uległ radykalnej zmianie. Do roku 1883 masowa imigracja do Stanów Zjednoczonych rekrutowała się głównie z Europy północno-zachodniej; dostarczała jej Wielka Brytania, Skandynawja, Niemcy, Francja, Holandja, Belgja i Szwajcarja. Była to tak zwana obecnie przez amerykanów „imigracja stara". Po roku 1883 w ruchu imigracyjnym przeważać zaczęły elementy inne, na plan pierwszy wysunęło się przychodźtwo z Europy południowej i wschodniej, a więc włoskie, polskie, żydowskie, węgierskie, słowackie i t. p., tworząc imigrację „nową". Obie te imigracje mają charakter bardzo różny. Wtedy, gdy imigracja „stara" wynikała przeważnie z gęstego zaludnienia krajów macierzystych a członkowie jej przesiedlali się do Stanów Zjednoczonych na stałe, niekiedy przywożąc tam pokaźne kapitały a zawsze z zamiarem uzyskania miejscowego obywatelstwa, to imigracja „nowa" wynikała z niepomyślnych warunków ekonomicznych w krajach macierzystych, rekrutowała się z elementów najbiedniejszych, niosących na amerykański rynek pracy swe dłonie robocze i kierowanych nadzieją powrotu z zaoszczędzonym groszem do kraju rodzinnego. „Stara" imigracja przysporzyła Stanom Zjednoczonym obywateli, „nowa" — rzesze robotnicze i zastępy proletarjatu cudzoziemskiego.

---

zabiegów w tej sprawie. Niestety, usiłowania te nie wydały pożądanych rezultatów.

Jednocześnie z rozwojem nowożytnego kapitalizmu, niekrępowanego w Stanach Zjednoczonych ustawodawstwem społecznem, opartem na zasadach sprawiedliwości, czynił tam niesłychane postępy również rozwój nowożytniego pauperyzmu, zaostrzała się walka między zorganizowanym kapitałem i zorganizowaną pracą, rosły przeciwieństwa i antagonizmy klasowe. Położenie klasy robotniczej w walce o „standard of life" utrudniał masowy przypływ konkurentów europejskich, gotowych podjąć się najcięższej pracy za byle jaki zarobek, tłumy obcojęzycznych robotników niekwalifikowanych, stroniących od organizacji zawodowych, czujących się na gruncie amerykańskim obco i marzących wyłącznie o poczynieniu jaknajrychlej pożądanych oszczędności choćby kosztem jaknajwiększego ograniczenia swych potrzeb życiowych. [1]) Przedewszystkiem więc związki robotnicze jęły w obronie swych interesów klasowych upominać się o wydanie surowego zakazu importowania z zagranicy robotników zakontraktowanych i o ograniczenie imigracji wogóle. Do głosów, pochodzących z kół robotniczych, przyłączyły się inne, dyktowane rozwijającym się w Stanach Zjednoczonych nacjonalizmem lub też spostrzeżeniami, poczynionemi przez badaczy naukowych, przez socjologów i ekonomistów. Studja statystyczne wykazały, że w więzieniach, szpitalach, przytułkach dla obłąkanych i zakładach dobroczynności publicznej znajduje się wielka ilość cudzo-

---

[1]) Niedomaganiom społecznym i okropnościom nędzy, panującej w miastach amerykańskich, poświęcony jest w literaturze społecznej amerykańskiej szereg wybitnych prac, jak: H. G. Wells: „The Future in America, — A Search after realities", Harper, New-York & Londyn, 1906, Robert Hunter: „Poverty", The Macmillian Co., New York, i inne. Podkreślają one m. i. fakt, że w najuboższych częściach wielu amerykańskich miast, cała bez wyjątku ludność uboga składa się z cudzoziemców. Ogromne kolonje, obce co do języka, obyczajów i urządzeń, oddzielają się wzajemnie od siebie i oddzielają się od ludności amerykańskiej odrębnemi cechami rasowemi.

ziemców, przedewszystkiem imigrantów z południa i wschodu Europy. Obliczono, że imigranci poważnie obciążają budżet rządu amerykańskiego, zmuszając go do powiększania liczby urzędników policyjnych i funkcjonarjuszów służby zdrowia publicznego. Stwierdzono, że imigranci „nowi”, zamiast udawać się do Stanów zachodnich lub południowych, gdzie się odczuwa brak rąk roboczych na roli, pozostają w miastach przemysłowych, gdzie zwiększają armie bezrobotnych i wypełniają gniazda nędzy proletarjackiej, tak zwane „slums”, siedliska krańcowej biedy, chorób i zbrodni. Tłumy cudzoziemców stanowią w Baltimore 77% tych „slums”, w Chicago 90%, w Filadelfji 91% a w Nowym Yorku 95%. W innych krajach, wśród innych narodów — twierdzili rzecznicy ograniczenia imigracji — mieszkają ubodzy i bogaci, połączeni ze sobą przynajmniej związkami krwi i związkami wspólnej narodowości; Anglja, Francja, Niemcy, Włochy, Polska — mówili — mają swoich ubogich, swoich własnych, złączonych ze swym narodem wspólnymi węzłami. Ameryka zaś ma cudzych ubogich, z którymi yankesów nie łączy ani religja wspólna, ani wspólne pochodzenie, ani wspólny język, obyczaj, lub poczucie narodowe, jednem słowem nic zgoła. A w miarę, jak ci cudzoziemcy ubodzy będą obniżali płace i zarobki, posiędzie Ameryka również i swoich nędzarzy; z czasem obok „slums“, przeładowanych cudzoziemcami, będzie miała także zbiorowiska rodzinnego lumpenproletarjatu i swojskiego pauperyzmu. Nacjonaliści amerykańscy z coraz większem zaniepokojeniem wskazywali na tworzenie się i niesłychany rozwój zwartych obconarodowych kolonji w wielkich centrach przemysłu amerykańskiego, skupień ludzkich oddychających obcą atmosferą narodową, gdzie mowa, myśli, uczucia i tradycje duchowego życia są bardzo różne, nieraz wprost odmienne od amerykańskich. W swojem własnem mieście może amerykanin nie rozumieć ani języka, ani obyczajów, ani dążności lub namiętności tych przybyszów, którzy w przeważnej

części zaludniają niektóre dzielnice tego miasta, niekiedy nawet stanowiąc większość wśród ogółu mieszkańców. Pokaźny odłam tych cudzoziemców—to przelotne ptaki, którym pilno wywieźć jaknajwięcej dolarów do kraju, skąd przybyli, [1] ale nawet ci z nich, którym przyznane zostało prawo obywatelstwa, przeważnie nie chcą zlać się odrazu ze społeczeństwem amerykańskiem, bronią się przed asymilacją. [2]

[1] Według wyniku ankiety, przeprowadzonej przez Komisję imigracyjną, wysyłali wychodźcy w ciągu dziesięciolecia każdego roku przeciętnie dolarów:

do Włoch	85	miljonów
„ Austro-Węgier	75	„
„ Rosji i Anglji po	25	„
„ Niemiec, Szwecji i Danji po	15	„
„ pozostałych państw	25	„

Fakt, że imigracja „nowa" składała się w znacznej części z „przelotnych ptaków" („Lirds of passage"), przybywających do Stanów Zjednoczonych tylko po zarobek i eksportujących stamtąd znaczne kwoty do swych krajów ojczystych, bywał bardzo często podnoszony jako argument, przemawiający za ograniczeniem imigracji.

[2] „Prawdziwi Amerykanie ze smutkiem widzą, iak kosmopolityzm niszczy jedność narodową, tworząc państwo w państwie, wyodrębniając oddzielne narodowości i różne wyznania, nie zlewając je z masą. Pierwsi osadnicy, należący do państw o ustroju konstytucyjnym, wykazali prawdziwą dbałość o dobro ogólne, Ormianie zaś, Słowianie, Żydzi rosyjscy nie troszczą się bynajmniej o nic. Zostawszy obywatelami amerykańskimi, myślą tylko o naglących sprawach osobistych i za kilka dolarów sprzedają prawo głosu, jakie niebacznie niektóre stany zbyt łatwo udzialają cudzoziemcom".

(M. P. Goule: L'immigration aux Etats-Unis et la loi du 20 février 1907 — „Revue de droit international privé et de droit pénal international". Paryż, zeszyt za marzec i kwiecień 1908 r.).

Oczywiście obok podobnych głosów odzywały się również opinje optymistyczne, przejęte wiarą, że zupełna asymilacja imigrantów już w drugiem pokoleniu jest procesem nieuniknionym i przysparzającym społeczeństwu nowych obywateli, zlanych z niemi pod względem języka, ducha i obyczajów. Tak nap. autorka cytowanego wyżej dzieła

Takie i temu podobne argumenty wysuwały czynniki, domagające się w Stanach Zjednoczonych coraz surowszych zarządzeń, ograniczających imigrację. Przekraczałoby to ramy niniejszej pracy, argumenty te poddawać szczegółowej analizie. Przeciwko proponowanym ograniczeniom wypowiadały się (oprócz oczywiście kolonji cudzoziemskich) głównie te koła, które w przypływie cudzoziemskich robotników były bezpośrednio materjalnie zainteresowane, a więc przedewszystkiem właściciele przedsiębiorstw przemysłowych, spekulujących na tanie ręce robocze. Dwa prądy—za i przeciw imigracji—ważyły się długo na szali stosunków amerykańskich, wywołując namiętne polemiki tak w publicystyce, jak w sali obrad kongresowych. Ostatecznie przezwyciężyły wpływy przeciwników imigracji „nowej", co zaznaczyło swój wyraz w szeregu ustaw, z których ostatnia, wydana 5 lutego 1917 roku, zabrania wstępu do Stanów Zjednoczonych analfabetom. Niewątpliwie decydującą tu była opinja Komisji Imigracyjnej.

Komisja Imigracyjna powstała na mocy ustawy z dn. 20 lutego 1907 r. W skład jej wchodziło 3-ch senatorów, mianowanych przez prezydenta Senatu, trzech posłów, wybranych przez przewodniczącego Izby posłów oraz trzy osoby, mianowane przez prezydenta Unji. Zadaniem Komisji było do-

---

„Our Slavic Fellow Citizens", Emily Greene Balch, przeciwna ograniczeniom imigracyjnym, pisze na podstawie dokładnej obserwacji życia osadników cudzoziemskich w Stanach Zjednoczonych (str. 413).

„Nagromadzenie tysiącznych faktów, świadczących o odrębności życia narodowego w naszem środowisku, byłoby pozbawione znaczenia wobec nieodpartej siły wpływów, czyniących imigrantów rodzicami amerykańskich dzieci. Bezsilne są ich uczucia — zdziwienie lub duma zgorszenie lub boleść. Zmiana ta dokonywa się różnemi drogami w wartościach oświeconych i nieoświeconych: ale dokonywa się zawsze.

„Urok, wywierany przez Amerykę, i niechęć dzieci do odróżniania się od swych towarzyszów zabawy są siłą, której rodzice nie są w stanie przeciwdziałać".

kładnie zbadać problem imigracji i zgłosić odpowiednie wnioski. Komisji przyznany został nieograniczony kredyt, a studja swe przy pomocy najętego personelu pomocniczego miała ona prowadzić nie tylko na terytorjum Stanów Zjednoczonych, lecz również w Europie, w tych krajach, skąd pochodził ruch emigracyjny, a to celem poznania u źródła jego przyczyn i przejawów.

Sprawozdanie Komisji, ujęte w 42 tomy, wychodzi z założenia, że imigrację należy traktować przedewszystkiem jako problem ekonomiczny („primarily as an economic problem"). Zgodnie z tem, 31 tomów sprawozdania wypełniły referaty, omawiające tę kwestję wyłącznie z punktu widzenia ekonomicznego, pozostałe zaś tomy poświęcone są krajoznawstwu, wychowaniu, ustawodawstwu i t. p. We wnioskach swych Komisja jednomyślnie wypowiedziała się za ograniczeniem imigracji, różnica zdań między członkami Komisji dotyczyła tylko metod, przy których użyciu ograniczenie to ma być przeprowadzone. A mianowicie, Komisja większością głosów uchwaliła zaproponować wydanie następujących zarządzeń, zmierzających do ograniczenia imigracji:

1) wykluczenia osób, nieumiejących czytać i pisać w jednym z europejskich języków;

2) ilościowe ograniczenie imigracji każdej narodowości według przeciętnej, obliczonej na podstawie szeregu lat;

3) wykluczenie robotników niekwalifikowanych, przybywających bez żon i dzieci;

4) ograniczenie rocznej liczby imigrantów według portów lądowania;

5) podwyższenie kwoty pieniężnej, której posiadaniem przy sobie musi imigrant się wykazać;

6) podwyższenie taksy pogłównej („head—tax");

7) uregulowanie pogłównego w ten sposób, by wypadała widocznie różnica na korzyść imigrantów, przybywających z rodzinami.

Nadto Komisja poleca w swem sprawozdaniu cały szereg środków, które zdaniem jej należałoby przedsięwziąć celem zwalczania importu prostytutek, ochrony Stanów Zjednoczonych przed imigracją zbrodniarzy i innych osób, ustawą wykluczonych, ochrony amerykańskich robotników przed konkurencją niekwalifikowanych robotników cudzoziemskich, prawidłowej repartycji i szybkiej asymilacji imigrantów w Stanach Zjednoczonych już przebywających, i t. d. Wnioski swe oparła komisja na licznych ankietach, przeprowadzonych nakładem wielkich trudów i olbrzymich kosztów, a twierdzenia swe ilustrowała mnóstwem zebranych dat statystycznych. Po przedłożeniu swych prac Kongresowi w październiku 1911 r. Komisja rozwiązała się, uważając swe zadanie za spełnione.

Wnioski Komisji Imigracyjnej spotkały się z aprobatą większości Kongresu i Senatu, gdzie Bill Dillinghama, który propozycje te przeważnie uwzględniał, został przez obie instytucje ustawodawcze po namiętnych dyskusjach uchwalony, nie stał się jednakowoż prawem, gdyż odmówił mu swej sankcji prezydent Taft. Dopiero ustawa, uchwalona 5 lutego 1917 r., dała pewną satysfakcję przeciwnikom imigracji, aczkolwiek nie jest ona bynajmniej ostatnim wyrazem ich postulatów i prawdopodobnie poprzedza tylko wydanie dalszych praw, ograniczających przypływ proletarjatu cudzoziemskiego [1]).

---

[1]) Prezydent Roosevelt nie był zdecydowanym zwolennikiem ograniczeń imigracyjnych. „Stany Zjednoczone — wyraził się on w jednem ze swych orędzi do Kongresu — nigdy nie mogą przyjąć za wiele pożytecznych imigrantów, a jedynie od przypływu szkodliwych osobników ostremi winny odgradzać się przepisami". Jego następca prezydent Taft, był przeciwny nowym zarządzeniom, ograniczającym imigrację, czego dał dowód, uparcie odmawiając swej sankcji uchwalanym billom. Liczył się on pod tym względem także z licznymi umotywowanymi protestami, które pochodziły od organizacji osiadłych w Stanach Zjednoczonych cudzoziemców, w tej liczbie od organizacji pol-

Sprawozdanie Komisji Imigracyjnej zawiera niezwykle obfity materjał do charakterystyki prądów i stosunków wychodźczych. Pisane jednak z pewną à priori powziętą tendencją, wywołało ono w kole amerykańskich uczonych obok gorącego uznania również surową krytykę. Jedną z najlepszych naukowych prac, krytyce tej poświęconych, stanowi dzieło „Immigration und Labor. The Economic Aspects of European Immigration, to the United States“ (G. P. Putnam's Sons, New Jork and London, 1912), którego autor, Isaac A. Hourwich, poddał argumenty Komisji Imigracyjnej gruntownej analizie, wykazując wiele błędów, niekonskwencji i fałszywych uogólnień [1]). Osobom, studjującym problem emigracji do Stanów Zjednoczonych i tamtejsze stosunki gospodarcze można wartościową tę książkę gorąco polecić.

ROZDZIAŁ VI.

Organizacja władz imigracyjnyeh w Stanach Zjednoczonych.—Wydalanie cudzoziemców.—„Kaselgarda”.—Inspekcja imigrantów na Ellis Island.

Sprawy, dotyczące imigracji, należały w Stanach Zjednocznonych do resortu Departamentu Pracy („*Departa-*

---

skich. Natomiast prezydent Wilson, podobno jeszcze jako profesor uniwersytetu, zdobył sobie opinję zdeklarowanego zwolennika ograniczeń imigracyjnych.

[1]) Na dowód pochopności, z jaką Komisja Imigracyjna potrafiła z powodu uogólnienia pewnych faktów wyciągać zupełnie mylne wnioski, przytacza Hourvich m. i. następujący przykład: w pewnej kopalni węgla było w r. 1907 zbiegiem okoliczności tylko 75 ofiar nieszczęśliwych wypadków wśród zatrudnianych tam Litwinów, natomiast aż 139 wśród pracujących w niej Polaków, aczkolwiek ogólna liczba robotników litewskich była nieco wyższą niż robotników polskich. Otóż Komisja Imigracja wyprowadziła stąd wniosek o wyższości rasowej i kulturalnej Litwinów nad Polakami, dzięki której są bardziej zręczni i uważni przy pracy (str. 56).

ment of Labor"), który ustawą z 4-go marca 1913 r. wydzielony został z Departamentu Handlu i Pracy („*Departament of Commerc and Labor*") i zorganizowany jako osobne ministerstwo z sekretarzem (ministrem) pracy na czele. W łonie Departamentu Pracy istniał najwyższy urząd imigracyjny „*Bureau of Immigration*" (dawniej: „Bureau of Immigration and Naturalization"), powołany do życia ustawą z dn. 3-go marca 1891, początkowo jako urząd „superintendenta imigracji", następnie zaś (ustawą z dn. 2-go marca 1895) pod powyższą nazwą z Generalnym Komisarzem Imigracji („*Commissioner General of Immigration*") na czele. W urzędzie tym centralizowały się wszystkie czynności państwowe, związane z imigracją i jemu podlegały wszystkie urzędy imigracyjne mające swą siedzibę poza Waszyngtonem i zatrudniające w r. 1913 przeszło 1200 urzędników.

Do zadań waszyngtońskiego „Bureau of Immigration" należało udzielanie instrukcji i kontrola nad czynnościami komisarzy emigracyjnych t. j. urzędników kierujących stacjami imigracyjnemi w portach i innych miejscowościach, przez które przepływa prąd imigracyjny. Rezultaty prac komisarzy poddawane tu były bacznej obserwacji w celu zaprowadzenia ewentualnych ulepszeń w wykonywaniu prawa o imigracji. „Bureau of Immigration" stanowiło instancję apelacyjną od zarządzeń komisarzy imigracyjnych, wykluczających od lądowania nowych przybyszów; tu badano ich skargi i stąd komunikowano im decyzję Generalnego Komisarza Imigracji, który zarządzenia komisarzy znosił lub je zatwierdzał. Dalej urząd waszyngtoński zajmował się również kwestją cudzoziemców, którzy przebywali w Stanach Zjednoczonych z obejściem obowiązujących ustaw i zasługiwali na wydalenie. W r. 1913 skazał on na deportację ze Stanów Zjednoczonych 3.461 cudzoziemców, w tej liczbie 1.262 osoby „likely to become a public charge from causes existing prior to landing", t. j. co do których zachodziło prawdopodobieństwo,

że dla przyczyn, istniejących już przed ich przyjazdem do Ameryki, staną się ciężarem dla dobroczynności publicznej (wśród wydalonych w r. 1913 cudzoziemców było 201 Polaków, 22 Litwinów, 55 Rusinów, 253 Żydów). Wyrok deportacji podlegał zatwierdzeniu przez Ministra Pracy i mógł dotyczyć tylko tych cudzoziemców, którzy nie przebywali w Stanach Zjednoczonych jeszcze trzech pełnych lat. Deportowanych miały obowiązek odwozić bezpłatnie do Europy te kompanje okrętowe, na których statkach przybyli oni do Ameryki (ustawa z dn. 2-go marca 1907 r.) [1]).

Do zadań waszyngtońskiego „Bureau of Immigration" należało również prowadzenie szczegółowej statystyki imigracyjnej i ogłaszanie jej wyników w miesięcznych i rocznych sprawozdaniach Generalnego Komisarza Imigracyjnego, wreszcie, wymierzanie kar pieniężnych na kompanje okrętowe, naruszające ustawy amerykańskie, kontrola wydatków, ponoszonych przez stacje imigracyjne i t. p. czynności. Organami wykonawczymi, z którymi imigrant stykał się bezpośrednio, byli komisarze i inspektorzy imigracyjni w portach i na stacjach pogranicznych.

Nie było chyba pomiędzy naszymi emigrantami nikogo, ktoby udając się do Stanów Zjednoczonych, nie słyszał nic o „*kaselgardzie*" i na myśl o niej nie doznawał uczucia trwogi. Jestto czyściec, przez który przejść musiał każdy wychodźca, zanim dostał się do „raju amerykańskiego". Tam bowiem badali go imigracyjni inspektorzy amerykańscy i orzekali, czy może być dopuszczany do lądowania. Wyraz „kaselgarda" jest wyrażeniem ludowem, przed wojną powszechnie używanem przez naszych wychodźców wiejskich, chociaż niewłaściwie. Pochodzi on od angielskiego „*Castle Garden*", co znaczy „ogród zamkowy", tak bowiem nazywała się miejscowość w Nowym Jorku,

---

[1]) Porów.: „Immigration Laws. — Rules of November 15, 1911. — Washington, Government Printing Office, 1915". Str. 12, 52 i 58.

gdzie z początku urzędowała amerykańska komisja imigracyjna i gdzie znajdowały się rządowe baraki dla imigrantów. Od szeregu lat jednak badanie inspekcyjne nowojorskich władz imigracyjnych odbywały się zupełnie gdzieindziej, a mianowicie na małej wysepce, położonej w zatoce nowojorskiej i zwanej Wyspą Eliasza (Ellis Island). Na wysepce tej znajduje się szereg okazałych budynków, w których mieszczą się sale do badań, kancelarje, poczekalnie, sypialnie i jadalnie dla imigrantów, składy na pakunki i t. p., a w osobnych domach szpitale i mieszkania dla urzędników. Wszystko to nazywał nasz emigrant „kaselgardą", dając to miano również stacjom imigracyjnym i w innych portach, jak np. w Baltimore lub Bostonie, gdzie „Ogrodu zamkowego"—„Castle Garden" wogóle nigdy nie było.

„Kaselgarda" stanowiła wrota, przez które musiał przejść imigrant bez względu na to, jaką wybrał sobie drogę do Stanów Zjednoczonych. Nawet jeśli jechał na Kanadę lub Meksyk, aby następnie z którego z tych krajów drogą lądową dotrzeć do Stanów Zjednoczonych, musiał koniecznie poddać się na granicy tego kraju badaniom inspektorów imigracyjnych, musiał przejść przez jakąś stację imigracyjną. Największy postrach u naszych wychodźców budziła zazwyczaj stacja imigracyjna na Ellis Island; uchodziła ona za znacznie surowszą niż np. „Kaselgardy" w Baltimore lub Filadelfji, gdzie inspekcja dokonywana była podobno znacznie łagodniej.

Pierwszy kontakt imigrantów, przybywających do Nowego Jorku, z władzami amerykańskiemi, nasuwało zatrzymanie statku u wjazdu do zatoki „na kwarantannie". Na okręt wchodzili urzędnicy sanitarni i imigracyjni i dopiero po sprawdzeniu, że wśród podróżnych nie grasuje żadna choroba epidemiczna, parowiec ruszał dalej. Inspekcja pasażerów I i II klasy odbywała się na pokładzie i w sposób dla nich zupełnie nieuciążliwy; ci podróżni kajutowi, któ-

rzy ze względu na swój zawód, wykształcenie, wygląd i t. p. budzili podejrzenie, że dlatego tylko odbywają podróż nie na międzypokładzie, względnie w III klasie, iż chcą uniknąć stawania przed inspekcją na stacji imigracyjnej, byli traktowani na równi z pasażerami III klasy i tym samym podlegali formalnościom.

Skoro okręt przybył do brzegu, pasażerom kajutowym wolno było wysiąść odrazu, by po załatwieniu w dokach formalności celnych, udać się do miasta. Pasażerów natomiast, jadących na międzypokładzie lub w klasie III-ej, odstawiono na „Ellis Island", gdzie każdy z nich, zanim otrzymał pozwolenie na lądowanie, traktowany był faktycznie jako aresztant. W centralnym gmachu, w wielkiej, widnej, przewiewnej, czystej sali rozpoczynały się pierwsze badania. Ustawieni w olbrzymim „ogonku" wśród przepierzeń z drutu, przypominających klatki dla ptaków, wychodźcy przesuwali się kolejno przed lekarzami z „Marine Hospital Service", z których jeden szukał u nich we włosach śladów „farus", drugi zaś grzebał każdemu w oczach, badając czy nie ma trachomy. Podejrzanych o jakiekolwiek choroby lub ułomności fizyczne lekarz znaczył kredą na plecach, poczem odprowadzano ich do osobnej salki dla poddania szczegółowym oględzinom lekarskim. Ci, którzy uniknęli tego losu, stawali niebawem przed inspektorem, który, mając w ręku „manifest", sporządzany w porcie wyjazdu, sprawdzał zapodane tam fakty, rzucając szereg pytań. Każdy imigrant musiał przy tej sposobności sprezentować posiadaną przy sobie gotówkę i przekaz na bilet kolejowy do stacji przeznaczenia, pokazać adres osoby, do której jechał i udzielać żądanych wyjaśnień. Jeśli plątał się w swych odpowiedziach, nie rozumiał odrazu rzucanych mu pytań, namyślał się i t. p. stawał się odrazu „podejrzanym", choćby pozatem miał gotówkę i wszystkie dokumenty w porządku. Posądzano go w takim razie, że albo ma nieczyste sumienie i coś ukrywa, albo też jest upośle-

dzonym umysłowo. Przy przesłuchiwaniu tem byli czynni urzędowi tłómacze, przeważnie Żydzi rosyjscy; wskutek nie dość gruntownej znajomości języka polskiego nie zawsze potrafili oni przekładać dokładnie zeznania polskich imigrantów na język angielski, co wywoływało niekiedy przykre dla naszych rodaków następstwa.

Jeśli wynik tych pierwszych badań nie nasuwał żadnych wątpliwości, imigrant uznany był za godnego pozwolenia na wylądowanie, w przeciwnym razie musiał poddać się badaniom ściślejszym. Przeprowadzał je „Board of special Inquiry“, komisja, złożona z trzech inspektorów, mających do pomocy tłómacza i stenografa. O ile i tutaj zapadł dla imigranta wyrok niepomyślny, wolno mu było apelować do Generalnego Komisarza Imigracyjnego w Waszyngtonie. Podczas oczekiwania na ostateczną decyzję stamtąd, a wyczekiwanie takie trwało niekiedy kilka tygodni lub dłużej, trzymany był w „*Detention Department*“, t. j. oddziale, przeznaczonym dla wychodźców, którym lądowanie zostało zakazane. Ów „Detention Department“ na każdym zwiedzającym sprawiał wrażenie więzienia, a panujące w nim porządki były nieraz przedmiotem surowej krytyki ze strony prasy amerykańskiej. Podnoszono m. i. szorstkie, niekiedy wprost brutalne obchodzenie się ze skazańcami służby, traktowanie ludzi inteligentnych i czystych na równi z rozmaitymi włóczęgami i brudasami, trzymanie razem prostytutek z niewiastami uczciwemi i t. p. Również urządzenie sypialni i sposób żywienia spotykały się nieraz z poważnymi zarzutami. Nie ulega wątpliwości, że to, co sami Amerykanie nazywali „tragedją wydalonych“ („Tragedy of the excluded“) tkwiło przedewszystkiem w męce moralnej, jaką musiał znosić wychodźca, dręczony niepewnością o los swój lub swej rodziny, zawiedziony w swych nadziejach, niekiedy zupełnie wykolejony życiowo. O tem, jak w praktyce były stosowane ustawy imigracyjne, pisałem już wyżej na innem miejscu. Cichym dramatom,

które każdego niemal dnia rozgrywały się wśród murów nowojorskiej „kaselgardy“, możnaby poświęcić całe tomy; z pewnością byłaby to lektura niesłychanie smutna i może nie dość zrozumiała dla tych, którzy u wjazdu do Nowego Yorku widzieli olbrzymi posąg wolności „the Liberty“, ale potem nie zwiedzali sami kryjącej się za nim wyspy niedoli wychodźczej, Ellis Island.

Koszta utrzymania wychodźców na stacjach emigracyjnych ponosić musiały towarzystwa okrętowe; miały one również obowiązek odwożenia do Europie bezpłatnie tych podróżnych, którym wstęp do Stanów Zjednoczonych został odmówiony [1]).

ROZDZIAŁ VII.

Wydział informacyjny („Division of information“), jego celc i działalność. Federalny urząd informacyjny dla imigrantów w Nowym Yorku. Stanowe urzędy informacyjne. Prywatne agencje pośrednictwa pracy. Poszukiwanie zajęć bez pośredników.

Ustawą z dn. 20 lutego 1907 r. powołany został do życia w łonie podległego Generalnemu Komisarzowi Imigracyjnemu Urzędu osobny wydział informacyjny („Division of information). Zadanie instytucji tej określa ustawa w następujących słowach: „Obowiązkiem wspomnianego wydziału będzie popierać korzystny podział dopuszczonych do Stanów Zjednoczonych imigrantów pomiędzy niektóre stany i terytorja, pożądające imigracji. Z odpowiednimi urzędnikami stanów i terytorjów ma być utrzymywana korespondencja i wspomniany wydział ma zbierać ze wszystkich

[1]) Porów.: J. Okołowicz „Na Pearl Street i Ellis Island”, „Biuletyn Polskiego Tow. Emigracyjnego”, 1910, str. 296; J. Okołowicz: „Kasselgarda”, „Praca”, 1913, str. 293; „Piekło wychodźców”, „Polski Przegląd Emigracyjny”, 1911 № 12.

miarodajnych źródeł pożyteczne informacje o zasobach, produkcji i fizycznych właściwościach każdego stanu i terytorjum i ma informacje te ogłaszać w rozmaitych językach, odnośne zaś wydawnictwa rozszerzać wśród wszystkich dopuszczonych cudzoziemców, którzyby po informacje te zwracali się na stacjach imigracyjnych, względnie rozdawać je wszystkim innym osobom, które życzyłyby sobie je otrzymać" (art. 40).

Włączenie powyższego artykułu do ustawy imigracyjnej było rezultatem prowadzonej od dłuższego czasu agitacji za lepszem rozmieszczeniem przybywających do Stanów Zjedn. cudzoziemców. Niektórzy Amerykanie uważali kwestję planowej repartycji imigrantów za znacznie ważniejszą od kontroli nad ich lądowaniem. Wśród argumentów, dowodzących potrzeby odpowiedniej akcji ze strony rządu, podnoszono, że należy imigrantom przeszkadzać, by udawali się do miejscowości, gdzie istnieją większe skupienia ich rodaków; przeciwnie, wypadałoby kierować ich tam, gdzie odrazu wejdą w styczność z tuziemczą ludnością, poznają jej obyczaje i sposób życia i staną się szybko Amerykanami. Z punktu widzenia gospodarczo-społecznego wskazywano, że nagromadzenie się olbrzymich zastępów cudzoziemskiego proletarjatu w pewnych centrach przemysłowych wytwarza tam nadmiar rąk roboczych, obniża skalę zarobków i rodzi pauperyzm, jednocześnie zaś odbywają się z krzywdą dla gospodarczych interesów innych stanów, gdzie często w rolnictwie czy też w przemyśle odczuwa się brak robotnika, utrudniający normalny rozwój przedsiębiorstw. Protestowano przeciwko temu, że lwia część imigrantów udaje się do Nowego Yorku, Pennsylwanji i północnych stanów nadatlantyckich; mianowicie w roku 1905 skierowało się tam aż 90% przybyszów, wtedy gdy południe i zachód otrzymały ich tylko 8%; inaczej mówiąc, stany, które nie potrzebowały już nowych imigrantów dostały ich właśnie najwięcej, natomiast niewielka tylko ilość

przypadła na stany, które się o imigrację upominały. W r. 1906, poprzedzającym wydanie ustawy, do stanu Nowy York przybyło 374.708 imigrantów t. j. 34% ogólnej liczby, do Pennsylwanji 198.681, czyli 18%; 68,3% przybyszów zostało na wybrzeżach Atlantyku, 22,1% podążyło w głąb Unji, 4,4% na południe, a 1,3% na Porto-Rico, Hawai i Filipiny.

Ci jednak, którzy, wskazując na powyższe fakty, domagali się dokonania prawidłowej repartycji imigrantów przez odpowiednie zarządzenia administracyjne, zapominali, że podlega ona prawom naturalnym i nie może być przeprowadzana w sposób sztuczny. Słusznie jeden z członków Kongresu, A. P. Gardner, twierdził w toku dyskusji, że „ludność w Stanach Zjednoczonych dokonuje swej repartycji sama przez się i nadal będzie kierowała się do miejscowości, gdzie obok najwyższych płac otrzymać można najbardziej stałe zajęcie". Zdanie to podzielał prezydent Roosevelt, nazywając projekt repartycji imigrantów paljatywem a nie lekarstwem.

Jakoż, już z samego brzmienia ustawy wynikało, że „wydział informacyjny" będzie mógł tylko pośrednio i w bardzo małym stopniu wpływać na rozmieszczenie imigrantów po myśli wnioskodawców, a najbliższa przyszłość miała dowieść, że pokładane w nim przesadne nadzieje spotka zawód.

Działalność Wydziału Informacyjnego polegała głównie na wydawaniu drukiem broszur, zawierających ogólne informacje o stosunkach gospodarczych w poszczególnych stanach ze szczególnem uwzględnieniem stosunków rolnych, oraz na udzielaniu wskazówek i wyjaśnień osobom, zgłaszającym się o nie osobiście. Praktycznej wartości wydawnictwa te nie miały i wyraźnie przebijała z nich tendencja pozyskania jaknajwiększej ilości nowych fermerów, względnie „farm hands"—robotników rolnych. Imigranci, poszukujący zarobków w przemyśle, w broszurach tych żadnych

wskazówek znaleść nie mogli. W polskim przekładzie, dokonanym przez Biuro Informacyjno - Prasowe Związku Narodowego Polskiego. pierwsza broszura pojawiła się w roku 1913 [1]), w ślad za nią pojawiły się inne; wszystkie te publikacje były rozdawane i rozsyłane bezpłatnie. Informacji ustnych udzielało biuro, założone w Nowym Yorku (na Pearl Street, obok Battery Park, w pobliżu miejscowości, gdzie lądują imigranci po przejściu badań na Ellis Island). Informacje te zawierały odpowiedź na pytania, gdzie potrzeba kolonistów, gdzie sprzedają lub wydzierżawiają farmy, jakie są ceny i warunki ich kupna lub dzierżawy, a także gdzie i na jakich warunkach istnieje zapotrzebowanie na robotników rolnych.

Według rocznych sprawozdań Generalnego Komisarza Imigracyjnego po informacje te zgłosiło się:

	wr. 1909	wr. 1910	wr. 1911	wr. 1912	wr. 1913
Polaków	4.213	2.657	5.211	4.271	2.268
Litwinów . . .	201	253	593	307	170
Rusinów	580	460	506	398	159
Żydów	746	526	1.293	869	471
Rosjan	1.638	1.233	2.548	1.893	1.030
Niemców. . . .	3.376	3.557	5.148	4.710	2.411
Włochów. . . .	1.248	438	624	897	1.024
Amerykanów . . (urodzon.)	1.547	952	2.308	2.355	2.475
Amerykanów . . (naturalizow.)	594	363	1.278	835	534
Razem osób . . rozmait. narod.	26.477	18.239	30.657	26.213	19.891

[1]) „Ministerjum Pracy Stanów Zjednoczonych. — Biuro Imigracji. — Wydział Informacyjny. — Wiadomości Rolnicze. — № 1. Informacje dotyczące zasobów, produkcji i charakterystycznych cech naturalnych atlantyckich stanów, obejmując Maine, New Hampshire, Vermont, Massachusetts, Rhode Island, Connecticut, New York, New Jersey i Pennsylvania." — Washington, Drukarnia Rządowa, 1913.

Powyższe cyfry są, jak widzimy, znikomo male w zestawieniu z ogromną liczbą cudzoziemców, przebywających w Stanach Zjednoczonych, i z olbrzymim ruchem imigracyjnym, jaki się jednocześnie odbywał. O przyczynach, udaremniających zabiegi rządu, by imigrantów przerzucać ze skupień miejskich na farmy, pisałem na innem miejscu. Że urzędowe sfery amerykańskie nie zdawały sobie dostatecznie z nich sprawy, dowodzi komentarz do sprawozdania kierownika Wydziału Informacyjnego za rok 1913, w którym przyczyny te ujęte są w stwierdzeniu trzech tylko następujących faktów: 1) że ofiarowana praca jest przeważnie sezonowa, a zwykle ani cudzoziemcy ani tembardziej krajowcy nie chcą udawać się w dalsze strony, by przyjąć zajęcia czasowe, choćby dobrze płatne, 2) że wszelkie projekty, zmierzające do rozmieszczania cudzoziemskich robotników, spotykają się z zarzutem, iż stosunki na rynku pracy, i tak już pod wielu względami niepewne, zamącą każdą akcję, stanowiącą sztuczną kolizję z naturalnem działaniem prawa o podaży i popycie, 3) że w wielu okolicach, pożądających imigracji, odczuwana jest potrzeba raczej osadników, zdolnych do nabywania gruntów, niż robotników.[1])

Zbieranie i udzielanie informacji dotyczących podaży i popytu na pracę, zorganizowane zostało w sposób następujący: każdy powiat posiada referenta do spraw rolnictwa. Za pośrednictwem tych referentów Urząd informacyjny w Nowym Yorku („Information Office for Immigrants") uczył farmerów o swem istnieniu i celach, rozsyłając jednocześnie karty pocztowe z opłaconą odpowiedzią do osób, otrzymujących pocztę przez tak zw. „rural delivery". Karty te wzywały odbiorcę, by, jeśli potrzebuje robotnika, wypełnił kartę, przeznaczoną na odpowiedź i wrzucił do skrzynki pocztowej. Po otrzymaniu takiej karty

[1]) „Annual Report of the C. G. of Immigr. 1914", str. 19.

Urząd informacyjny wysyłał jej nadawcy do wypełnienia formularz, zawierający szereg pytań. Formularz ten służył następnie do pokazywania go w Urzędzie osobom, zgłaszającym się osobiście po pracę, którym w razie potrzeby tłumaczony był przez osobnych tłómaczy z angielskiego na ich język ojczysty.

Typowe zgłoszenie o robotnika rolnego brzmiało zazwyczaj mniej więcej następująco:

„John Smith, R. P. D. № 4, Box 8, (miasto) Ohio. Potrzeba jednego człowieka. Ogólna praca na farmie i przy krowach. Niemiec, Skandynawczyk lub Polak mają pierwszeństwo; przyjmę i innego, jeśli mówi po angielsku. Doświadczenie wymagane. Czas pracy 10 godzin. Wynagrodzenie 25 dol. miesięcznie, mieszkanie, wikt, pranie. Stałe zajęcie dla dobrego człowieka. Potrzeba zaraz".

Odpowiedź na zawarte w formularzu pytanie, dotyczące narodowości poszukiwanego robotnika brzmiała oczywiście rozmaicie. Farmerzy w rozmaitych stanach Unji, mieli bardzo różne poglądy co do tego, jakiej narodowości imigranci najlepiej nadają się do robót rolnych. Niektórzy z nich byli przekonani, że tylko ludzie tej lub innej narodowości zajmowali się rolnictwem przed przyjazdem do Ameryki. U przeciętnego farmera w pewnych stanach zachodnich wyraz „Włoch" kojarzył się ściśle z obrazem łopaty, oskarda, pracy przy kolei i t. p., wyrazy zaś „Polak" i „Węgier" przypominały odrazu kopalnie węgla. Polskich robotników rolnych ceniono najbardziej w północnych stanach nadatlantyckich, a farmerzy z Long Island uważali ich za najdzielniejszych pracowników.

Urząd informacyjny prowadził tę szczegółową rejestrację wszytkich, zgłaszających się o pracę, zapisując ich nazwisko, adres, zawód, rodzaj poszukiwanego zarobku i t. d. Jeśli w chwili zapisu nie było żadnego odpowiedniego dla aplikanta zajęcia, zawiadamiał go Urząd pocztą, skoro tylko otworzył się jaki wakans. Pośrednictwo było bez-

płatne tak dla pracodawców jak dla robotników. Oprócz urzędu w Nowym Yorku działały takież urzędy w kilku innych miejscowościach, jak np. w Bostonie i Baltimore, a nadto osoby interesowane mogły zwracać się listownie pod adresem Wydziału Informacyjnego w Waszyngtonie.

Tak Wydział Informacyjny w Waszyngtonie, jak stosunkowo najruchliwszy i na najszerszą skalę założony Urząd informacyjny w Nowym Yorku potrafiły zapewnić sobie poparcie i współdziałanie niektórych dzienników polskich i stowarzyszeń, w tej liczbie pomoc Związku Narodowego Polskiego. Tem też należy tłumaczyć fakt, że, jak świadczy podane wyżej zestawienie, wśród zgłaszających się o informacje zajmowali Polacy pod względem liczebnym pierwsze lub też drugie z kolei miejsce. Natomiast Włosi i Żydzi korzystali z przysług Wydziału Informacyjnego i podległych mu urzędów w zgoła wyjątkowych wypadkach, pierwsi, ponieważ posiadali na miejscu szereg ruchliwych organizacji włoskich, które korzystanie z pośrednictwa instytucji państwowej czyniło dla nich zbytecznem, drudzy dla tego samego powodu, a nadto wskutek okoliczności, że w łonie wychodźtwa żydowskiego najmniej było kandydatów do pracy na roli.

Do specjalnych przyczyn, krępujących rozwój działalności Wydziału Informacyjnego, i podległych mu urzędów zaliczyć należy obawę jego kierownictwa przed wpływem „Labor Party” i innymi przeciwnikami imigracji, którzy więcej niż niechętnie powitali pojawienie się tej instytucji, upatrując w niej znaczne ułatwienie dla europejskich przybyszów, poszukujących zarobków i, co za tem idzie, pośrednią zachętę do imigracji. Tej też okoliczności przypisać należy fakt, iż, jak zauważyłem, zwiedzając w r. 1910 nowojorski „*Information Office for Immigrants*”, urząd ten nietylko skrzętnie unikał wszelkiej reklamy, która mogłaby go spopularyzować wśród wychodźców zagranicą, lecz nadto nie zajmował się prawie wcale pośredniczeniem robotników

dla fabryk i kopalń; nie mógł więc skutecznie zwalczać pośrednictwa prywatnego, połączonego prawie zawsze z wyzyskiem robotników, a to tembardziej, że poprostu jakby ukrywał się ze swojem istnieniem i wszystkie jego ruchy cechowała nieśmiałość instytucji, której wolno nic nie robić, ale która ściągnęłaby na siebie druzgocącą burzę, gdyby poważyła się robić za wiele. Wielce charakterystyczną np. była odpowiedź, jaką ówczesny kierownik tego urzędu, Ch. Green, dał mi na moją uwagę, że szkodliwej działalności na gruncie nowojorskim rozmaitych niepowołanych stręczycieli, wyzyskujących imigrantów, możnaby w pewnym stopniu przeciwdziałać przez szersze rozpowszechnienie w Europie wiadomości o istnieniu w Nowym Yorku państwowego biura informacyjnego dla przychodźców. Oto, ku niemałemu memu zdziwieniu, odparł, że każdy imigrant, który przybywa do Ameryki, zaopatrzony w adres tego urzędu, naraża się, że za sam fakt posiadania tego adresu nie otrzyma pozwolenia na lądowanie. „Nie chcemy — tłumaczył — by ktokolwiek wyjeżdżał do Ameryki w przekonaniu, że nasz urząd pracę mu tutaj wynajdzie, byłoby to bowiem poniekąd pogwałceniem prawa o kontraktowaniu robotników. Istotnie niema bowiem wielkiej różnicy, czy imigrant przybywa na przeznaczone mu zgóry zajęcie, czy też z adresem instytucji, o której wie, iż zajęcie mu wynajdzie. O istnieniu naszego urzędu mają imigranci dowiadywać się dopiero z broszurki, drukowanej w 24 językach, którą rozdaje się im na Ellis Island już po otrzymaniu pozwolenia na lądowanie".

Oprócz federalnego „Information Office for Immigrants" istniało w Nowym Yorku od r. 1910 stanowe biuro informacyjne dla imigrantów pod nazwą „*Bureau of Industries and Immigration*" (przy 29-ta Street). Zadaniem urzędu tego było dawać świeżo przybyłym cudzoziemcom wszelkie potrzebne informacje, ratować ich sumienną poradą z kłopotliwych sytuacjach oraz badać ich zażalenia w wypadkach,

gdzie padli ofiarą oszustwa lub nadużyć. Biuro stanowe samo nikomu pracy nie stręczyło, lecz poszukującym zarobku polecało uczciwe agencje prywatne oraz wskazywało miejscowości i przedsiębiorstwa, gdzie istniały widoki na znalezienie pracy. Udzielało ono porady również osobom, pragnącym nabyć farmę i osiedlić się na roli. Wsparć pieniężnych Biuro nie rozdawało, odsyłając potrzebujących pomocy do instytucji dobroczynnych, które zajmowały się udzielaniem zapomóg.

Takie same biuro utrzymywał stan New Yorku również w mieście Buffalo. Podobnie pomyślane urzędy informacyjne bardziej atoli czynne w dziedzinie pośrednictwa pracy, utrzymywały niektóre jeszcze stany, nadto w miastach stanów Kalifornia, Mantana, New Jersey i Washington istniały dla spraw tych urzędy municypalne. Instytucje te, tak federalne, jak stanowe i municypalne, odgrywały na amerykańskim rynku pracy rolę zgoła drugorzędną. Znacznie większą ruchliwość wykazywały spekulacyjne agencje pośrednictwa pracy („*Emplayment Agencies*"), których mnóstwo istniało zwłaszcza w miastach portowych. Znaczna część tych agencji oparta była na wyzysku, żywiąc się blagą i oszustwem. Klientela tych przedsiębiorstw rekrutowała się przeważnie z imigrantów, świeżo przybyłych z Europy. Polskich przybyszów najbardziej wyzyskiwali rozmaici spekulanci polscy, wskutek bowiem znajomości języka mieli do nich ułatwiony przystęp. Nieznając miejscowych stosunków, nie rozumiejąc po angielsku, pragnąc za każdą cenę otrzymać pracę, imigranci, o ile nie mieli na miejscu krewnych sub starych znajomych a nie potrafili znaleść drogi do towarzystw opiekuńczych, bardzo łatwo wpadali w sieci oszustów, łudzących ich rozmaitemi obietnicami i przyrzekających skuteczną pomoc.

Na szczęście większość emigrantów znajdowała oparcie w swych krewniakach lub znajomych i szukała zarobków według ich wskazówek. Zazwyczaj odbywało się to w ten

sposób, że wczesnym rankiem przed wrotami fabryki lub kopalni, co do której istniało prawdopodobieństwo, że potrzebuje robotników, ustawiali się kandydaci, poszukujący pracy. Jeśli przedsiębiorstwo rzeczywiście potrzebowało robotników, wychodził przed bramę majster („foreman"), oglądał przybyłych, wybierał najodpowiedniejszych, rzucał im kilka pytań, w paru słowach pouczał o warunkach pracy i wybrani tegoż dnia stawali do roboty. W przeciwnym wypadku trzeba było następnego dnia iść czekać przed inną fabryką, gdzie ewentualnie powtarzała się ta sama historja. Niektórym przybyszom udawało się otrzymywać pracę odrazu w tych przedsiębiorstwach, gdzie pracowali już ich krewni i byli w dobrej komitywie z „Boss'ami", t. j. przełożonymi, od których przyjmowanie nowych robotników zależało. Sytuacja imigranta stawała się rozpaczliwą, jeśli przybył w okresie stagnacji przemysłowej, strajków lub lokautów, jednem słowem w czasie, kiedy nowych robotników nie przyjmowano wcale, a raczej zwalniano poprzednio zatrudnianych. Wtedy nie pozostawało mu nic innego, jak imać się pierwszego lepszego zajęcia, choćby najgorzej płatnego, albo, jeżeli miał za co, jechać do innych miast i tam szukać zarobku, albo wreszcie, jeśli było to latem, najmować się do robót na farmach. Skoro to wszystko nie było możliwe, imigrant, wydawszy ostatni grosz i wyprzedawszy się do cna, staczał się na dno krańcowej nędzy.

ROZDZIAŁ VIII.

Obywatelskie instytucje opieki nad imigrantami. Stosunek do nich władz państwowych. Schroniska dla imigrantów w Nowym Yorku. „North American Civic League for Immigrants" i „Immigrants Protective League". Banki imigracyjne. Oszustwa agentów, pośredniczących przy przesyłce oszczędności emigrantów. „American Express Company". Pocztowe kasy oszczędności. „Naturalization Bureau", przepisy ustawowe o naturalizacji i ekspatrjacji

Jak widzieliśmy z poprzednich rozdziałów, państwo w Stanach Zjednoczonych zajmowało się bardzo energicznie kontrolą nad wpuszczaniem w swe granice nowych cudzoziemców, natomiast mniej poświęcało uwagi opiece nad przybyszami i pośrednictwu pracy. Tem szersze więc pole pozostawało do działalności w tej dziedzinie dla inicjatywy obywatelskiej i tem większy obowiązek ciężył na miejscowej Polonji niesienia pomocy świeżo przybywającym rodakom. Kolonja włoska pomoc taką dla swych pobratymców zorganizowała na szeroką skalę, aczkolwiek imigranci włoscy korzystali jednocześnie z doskonale funkcjonującej opieki konsularnej. Natomiast Polacy, z wyjątkiem kilku miast portowych, gdzie utworzyli mniej lub więcej sprawnie działające, ale naogół mało zasobne placówki opieki nad imigrantami, nie wykazali na tem polu odpowiedniej energji. Własnej osobnej instytucji dla spraw imigracyjnych Polonja amerykańska nie posiadała. Zajmował się niemi tylko Związek Narodowy Polski, który dla spraw tych utworzył w łonie swego zarządu specjalną Komisję, w portach miał własnych przedstawicieli, w Nowym Yorku utrzymywał schronisko, a nadto położył duże zasługi przy zwalczaniu antyimigracyjnych bilów w Kongresie waszyngtońskim. Ale Z. N. P., który miał jeszcze szereg innych narodowych i społecznych zadań do spełnienia, musiał działalność swą na tem polu stosować do posiadanych środków, wobec czego sam nie mógł sprostać ogromowi istniejących potrzeb.

Metody i program działania państwowego „Information Office for Immigrants" tłumaczą niechęć, z jaką amerykańskie władze imigracyjne odnosiły się do wykonywania nad przybyszami opieki ze strony filantropijnych zakładów, utrzymywanych kosztem miejscowych kolonji rozmaitych narodowości. Zwłaszcza solą w oku były im takie schroniska dla imigrantów, gdzie ludziom tym nie tylko dawano nocleg i pożywienie po umiarkowanych cenach, ale nadto udzielano rozmaitych informacji i pomagano w znalezieniu pracy. Ciążyło na nich wieczne podejrzenie, że pośrednio przyczyniają się do popierania imigracji i że wchodzą w kolizję z „contract labor law", a oprócz tego ściągały one zarzut, że przeszkadzają asymilatorskim dążeniom władz i społeczeństwa amerykańskiego. [1]) Dlatego starano się egzystencję ich utrudniać i kontrolując je bardzo pilnie, chwytano się skwapliwie każdej sposobności, jaką nasuwały odkrywane od czasu do czasu nieporządki, błędy lub nadużycia, by karać je lub zwijać zupełnie.

Polscy imigranci w Nowym Yorku korzystali dawniej z przysług bądź schroniska polskiego pod wezwaniem św. Józefa (utrzymywanego przez polskie koła klerykalne i administrowanego przez zakonnice, nawiasem mówiąc, nie najlepiej) bądź częściowo z schroniska austryackiego, („Austrian Home"), które miało klientelę mieszanej narodowości bądź wreszcie niekiedy nawet z prawosławnego schroniska

---

[1]) Jeden z wyższych urzędników imigracyjnych na Ellis Island oświadczył mi otwarcie: „Jesteśmy przeciwni przytułkom narodowościowym, ponieważ utrudniają one pracę nad asymilacją przybyszów europejskich od pierwszego dnia ich przybycia na ląd amerykański, a mianowicie automatycznie klasyfikują imigrantów według ich narodowości i wprowadzają ich odrazu w środowisko rodaków. Wolelibyśmy przeto, by w Nowym Yorku nie było tego rodzaju przytułków ani polskich, ani niemieckich, ani włoskich, węgierskich lub irlandzkich. Natomiast powinien być raczej założony jeden wielki przytułek amerykański, co z czasem niewątpliwie nastąpi".

rosyjskiego, kierowanego przez popów i subwencjonowanego przez rosyjski konsulat w Nowym Yorku. [1]) Dopiero w r. 1911 otwarty został w N. Yorku przy Second Avenue „Dom Emigracyjny Związku Narodowego Polskiego", założony kosztem 60.000 dolarów i urządzeniami swymi przypominający schronisko Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, lubo obliczony na mniejszą niż tamten liczbę wychodźców.

Kiedy w r. 1910 bawiłem w Nowym Yorku, tak schronisko austrjackie jak polskie pod wezw. św. Józefa, miały właśnie dochodzenia karne. Pierwszemu urząd imigracyjny zarzucał sianie niemoralności, gdyż śpiącą w nim niewiastę (umyślnie nasłaną detektywkę) obudził rano, wzywając do wstania w przepisanej godzinie, służący, mężczyzna; dom zaś św. Józefa ściągnął na siebie podejrzenie, że popiera imigrację zakazaną, ułatwiając lądowanie w Ame-

---

[1]) Schronisko to założone było w r. 1909 przez amerykańskiego biskupa prawosławnego Platona pod firmą „Rosyjskiego prawosławno-chrześcijańskiego Towarzystwa Imigracyjnego („Russian Orthodox Christian Imigrant Society") i połączone było z biurem informacyjnem szkołą i domową cerkwią pod jednym dachem. Instytucja ta miała na widoku nie tyle humanitarne co rusyfikatorskie cele, a dziennik petersburski „St. Pietierb. Wiedomosti" pisał o niej co następuje: „Dzięki założeniu domu emigracyjnego, centrum słowiańskiej emigracji w Ameryce znajdować się będzie w rękach nie katolików-Polaków, lecz Rosjan prawosławnych. Według statutu Towarzystwo ma zamiar w miarę możności śpieszyć z pomocą wszystkim słowiańskim narodowościom. Prawosławie w Ameryce szybko się wzmacnia. Rosyjscy unici i katolicy przechodzą na prawosławie nie pojedynczo, ale całemi parafiami. Podczas zeszłego roku przeszło na prawosławie około 20 unickich parafji". Zbytecznem byłoby nadmieniać, że powyższe uwagi były obrazem pobożnych chęci prasy rosyjskiej, ale nie istotnego stanu rzeczy. Propaganda prawosławna mogła tu i owdzie święcić drobne sukcesy wśród Rusinów galicyjskich, wśród Polaków jednak nie miała najmniejszego powodzenia (Porów.: „Polski Przegląd Emigracyjny", 1909, № 6 i 7.).

ryce takim Polakom, którzy w przekonaniu władz nie posiadają niezbędnych do tego kwalifikacji, i że pozostaje w porozumieniu z agencjami okrętowemi w Europie. Wypadek, który posłużył za pretekst do zarządzenia tego śledstwa był tak charakterystyczny i z innych względów, że zasługuje na opowiedzenie. Oto kilku imigrantów przy badaniach na Ellis Island oświadczyło przed Komisją że przybyli do Stanów Zjednoczonych z zamiarem poszukiwania pracy w samym Nowym Yorku, gdzie też pragną zakończyć swą podróż. Każdy z nich wylegitymował się posiadaniem gotówki w kwocie 25 dolarów i adresu polskiego „Domu św. Józefa". Po dłuższych jednak badaniach wydało się, że emigranci ci zamierzali właściwie jechać do stanu Ohio, gdzie każdy z nich posiadał krewnych lub znajomych. Pieniądze jakimi rozporządzali, nie wystarczały na zakupno biletów kolejowych do Ohio i równoczesne wylegitymowanie się z posiadania przepisanej gotówki. Agencja tedy, gdzie nabywali swe karty okrętowe, poradziła im, by podczas badań na Ellis Island oświadczyli, że jadą tylko do Nowego Yorku i pokazali adres „Domu św. Józefa", skoro zaś wysiądą na ląd, będą mogli posiadaną gotówkę użyć na zakupno biletów kolejowych do Ohio. Urzędnicy imigracyjni wykryli ten fortel; wychodźców, którzy padli ofiarą złej rady agentów, skazano na powrót do Europy i odtąd wszyscy inni przybysze, zaopatrzeni w adres „Domu św. Józefa" musieli podlegać niezwykle surowym badaniom, jako już zgóry podejrzani o podobne zakusy. Niebawem też „Dom św. Józefa" zakończył swą działalność na polu opieki nad imigrantami. „Dom Emigracyjny Związku Narodowego Polskiego" potrafił zjednać sobie wyjątkowe zaufanie u władz amerykańskich i mógł działalność swą prowadzić bez przerwy aż do chwili wybuchu wojny, korzystając z przywileju wysyłania swych funkcjonarjuszy dla pomocy imigrantom na Ellis Island. Zdaje się, że przychylność, okazywaną mu przez imigracyjne władze amery-

kańskie, zakład ten zawdzięczał głównie autorytetowi politycznemu, jaki zdobył sobie Związek Narodowy Polski u rządu amerykańskiego, jako najpotężniejsza w Ameryce organizacja polska.

Jeśli działalność rozmaitych nieamerykańskich stowarzyszeń na polu opieki nad imigrantami była tolerowana przez władze Unji, to były to w jej oczach instytucje, założone i utrzymywane przez obywateli amerykańskich cudzoziemskiego pochodzenia; natomiast zdecydowanie nieprzychylne stanowisko zajmował rząd w stosunku do wszelkich prób nawiązania przez te organizacje stałego kontaktu z pokrewnemi instytucjami w Europie, dopatrując się w tem pośredniego popierania imigracji, względnie omijania prawa o robotnikach zakontraktowanych. O tem zaś, by cudzoziemskie instytucje, mające swą główną siedzibę w Europie, jak nap. Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie lub Towarzystwo Opieki nad wychodźcami w Warszawie, miały prawo otwierać swe biura filjalne w Ameryce, nie mogło być nawet mowy [1]).

Wykonywaniem opieki humanitarnej nad imigrantami

---

[1]) Pragnąc mieć szybkie i wiarygodne informacje o konjunkturach, panujących na amerykańskim rynku pracy w poszczególnych stanach i w rozmaitych dziedzinach wytwórczości, Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie zamierzało skorzystać ze stałego współdziałania Związku Narodowego Polskiego. W tym celu zarządy wszystkich grup Związku, rozsiane po całej Unji, miały nadsyłać swemu zarządowi centralnemu perjodyczne sprawozdania, stanowiące odpowiedź na dotyczący tej sprawy kwestjonarjusz P. T. E. Sprawozdania te kontrolowałby i streszczał Zarząd Związku i przysyłał je bezwłocznie Polskiemu Towarzystwu Emigracyjnemu, które ogłaszałoby dla użytku wychodźców w swym „Biuletynie", w „Polskim Przeglądzie Emigracyjnym", „Pracy", ewent. w prasie ludowej i codziennej. Projekt ten został przez zarząd Związku zaakceptowany, niebawem jednak musiał być zaniechany, gdyż władze związkowe nabrały przekonania, że spotkałby się on z bardzo energicznym sprzeciwem ze strony Urzędu Imigracyjnego i wywołałby rozmaite represalja.

zajmowały się również rozmaite stowarzyszenia anglo-amerykańskie, z których jedne poświęcały się temu wyłącznie, inne zaś w związku z działalnością na innych polach. Wśród stowarzyszeń tych wymienić należy „*North American Cyvic League for Immigrants*", instytucję filantropijną, działającą w stanach New York i New Jorsey i mającą swe biura w Nowym Yorku, Jersey City, Buffalo i Rochester. Zadaniem jej było niesienie moralnej pomocy imigrantom, kierowanie ich pierwszymi krokami, ochrona przed wpadnięciem w sidła rozmaitych spekulantów i złodziei i t. p. Liga ta działała w porozumieniu z większemi organizacjami różnych narodowości, w tej liczbie ze Związkiem Narodowym Polskim. W Chicago czynnem było stowarzyszenie pod nazwą „*Immigrants Protective League*", które świadczyło przychodźcom rozmaitej narodowości wiele ważnych przysług i utrzymywało dla świeżo przybyłych schronisko noclegowe. Opieką nad imigrantami zajmowały się w niektórych miastach również oddziały rozgałęzionej organizacji „*Young Man Christian Association*", w Connecticut zaś „Towarzystwo córek amerykańskiej rewolucji" („*The Connecticut Daughters of the American Revolution*") wydało własnym nakładem ilustrowany „Przewodnik po Stanach Zjednoczonych do użytku polskich imigrantów" (po polsku), który opracował John Foster Carr.

W działalności tych pożytecznych stowarzyszeń brali w równej mierze udział tak zwolennicy, jak przeciwnicy imigracji. Do zajmowania się losem nowych przybyszów skłaniały ich dwie przyczyny: współczucia dla ludzkiej niedoli i pobudki patrjotyczne. Nadużycia, popełniane na „greenhorn'ach", tak były częste i jawne, że musiały zwrócić uwagę uczciwej części społeczeństwa amerykańskiego. Wszak nieraz, ledwo imigrant wyszedł z wagonu w zupełnie obcem dla siebie miejscu, wnet otaczali go rozmaici oszuści i wydrwigrosze, by, wyzyskując jego oszołomienie, nieznajomość języka, cen i zwyczajów, obrabować go z os-

tatniego grosza; bardzo często dorożkarz („cabman"), zamiast odwieść imigranta pod wskazanym adresem, wysadzał go w niewłaściwem miejscu, żądając zapłacenia wygórowanych cen za jazdę; w razie zaś odmowy, zacinał konie i odjeżdżał wraz z bagażem, pozostawiając bezradnego wychodźcę na ulicy. Podobnie postępowali właściciele podrzędnych hotelików, w których niejeden „greenhorn" stracił swoje mienie, a w dodatku został pobity i wyrzucony na bruk. Rozmaici stręczyciele pracy pośredniczyli imigrantom zarobki, których nie było, wyłudzając sute prowizje, inni „opiekowali się" młodemi dziewczętami, by sprzedawać je do domów rozpusty. Ten rozbój w biały dzień budził u ludzi uczciwych i nieobojętnych na niedolę bliźniego chęć do zwalczania go w drodze odpowiednio zorganizowanej akcji i powoływał do życia humanitarne towarzystwa opieki nad imigrantami. Towarzystwom tym wszakże przyświecała jeszcze inna ideja: przeważnie miały one na celu również amerykanizację przychodźców, przerabianie ich jaknajrychlej i jaknajgruntowniej na mówiących, myślących i czujących po amerykańsku obywateli, do czego prowadzić miały specjalne szkoły i kursa wieczorne, czytelnie i biblioteki, udział w anglo-amerykańskich związkach, klubach i zabawach, przedewszystkiem zaś wprowadzenie przybysza odrazu w amerykańskie środowisko. Przyznać trzeba, że te asymilatorskie zabiegi, z punktu widzenia amerykańskiego zupełnie zrozumiałe i godziwe, przeważnie pozostawały bez rezultatów, znajdując w duszy polskiego chłopa grunt niepodatny.

Sprawą, która w interesie polskich wychodźców oddawna domagała się rozwiązania, była kwestja przesyłek ich oszczędności z Ameryki do Europy i lokata tych oszczędności w Ameryce. Utworzona uchwałą Kongresu waszyngtońskiego z dn. 20 lutego 1907 r. Komisja Imigracyjna (o której pisałam w Rozdziale 5-tym) poświęciła jedno ze swych sprawozdań działalności banków wychodźczych. Ze

sprawozdania wynikało, że przeszło 2.600 firm w Stanach Zjednoczonych zajmowało się załatwianiem imigrantom interesów bankowych. Przedsiębiorstwa te były najliczniejsze w stanach New York (1000), Pensylwanja (410), Illinois (275), Massachusetts (175) i Ohio (150). Banki emigracyjne rekrutowały swą klientelę przeważnie wśród imigrantów ze wschodniej i południowej Europy (Polaków, Rusinów, Litwinów i Włochów). Przybysze z północnej i zachodniej Europy daleko prędzej dostosowywali się pod tym względem do amerykańskich zwyczajów i urządzeń, a oprócz tego nawet w przybliżeniu nie wysyłali tak znacznych kwot do kraju ojczystego, jak imigranci wyżej wspomniani.

Z liczby 116 banków imigracyjnych, których działalność Komisja bliżej zbadała, 107, było agencjami, uprawiającemi sprzedaż kart okrętowych. Dla imigranta taki agent, sprzedający karty okrętowe a jednocześnie występujący nieraz jako adwokat i notarjusz publiczny („*notary public*”), bywał często jedyną nicią, wiążącą go z ojczyzną. Za pomocą przeróżnych środków umiał taki spekulant wkraść się w zaufanie imigranta, co przychodziło mu tem łatwiej, jeśli był jego rodakiem i miał do czynienia z człowiekiem, który świeżo przybył z Europy, nie znał jeszcze angielskiego języka, nie orjentował się wcale w miejscowych stosunkach, nie miał obok rzetelnych przyjaciół, od których mógłby czerpać potrzebne wskazówki. We wszystkich tedy sprawach materjalnych szedł do agenta, jemu powierzał swe oszczędności do przechowania, za jego pośrednictwem przesyłał pieniądze rodzinie, pozostałej w kraju, u niego nabywał karty okrętowe („prepaids”), jeśli chciał je posłać komu do Europy, kogo sprowadzał do Ameryki. Agent ułatwiał mu wyszukanie pracy, pisał listy, świadczył rozmaite inne przysługi, za wszystko licząc sobie pokryjomu lichwiarską prowizję, niekiedy zaś bądź nagle bankrutował, bądź znikał zupełnie, ogołacając swą klientelę z powierzonych depozytów.

Oprócz agentów kompanji okrętowych i „publicznych notarjuszy" („notary public" w Stanach Zjednoczonych nie jest notarjuszem w europejskiem tego słowa znaczeniu, a jego kwalifikacje naukowe mogą się ograniczać na sztuce czytania i pisania) interesami bankowymi imigrantów zajmowali się również rozmaici szynkarze („saluniści") i sklepikarze; bardziej przezorni imigranci lokowali nieraz oszczędności bezprocentowo u swych proboszczów, niektórzy zwracali się z tem do redakcji czasopism polskich.

W ciągu tylko jednego roku, od 1 września 1907 do 1 września 1908, bankructwa i sprzeniewierzenia bankierów, stwierdzone sądownie, przyprawiły imigrantów na stratę 1,459,295 dolarów. Na czele tych „bankierów" stał Chorwat Frank Zotti, który wyłudził od imigrantów 600 tysięcy dolarów, nie odesławszy z tego do Europy ani centa. Firma „Polowy, Mogilewsky et Werner", działająca głównie wśród Rusinów, wyłudziła w jednym roku od ruskich chłopów przeszło 250 tysięcy koron *). Niektórzy tacy przedsiębiorcy zarabiali w podobny sposób nie tylko na wysyłce pieniędzy, lecz również na imporcie ich ze „starego kraju". W r. 1910 głośną była afera polskiego „adwokata, bankiera i notarjusza publicznego" Aleksandra Borysa w Nowym Yorku, który uciekł po popełnieniu rozmaitych kradzieży, sfałszowaniu dokumentów i sprzeniewierzeniu polskim imigrantom około 25,000 dolarów. Śledztwo sądowe wykazało, że od zgłaszających się do niego wychodźców dowiadywał się on, gdzie i kto ma kawałek gruntu lub domek w kraju, następnie fałszował podpis rzekomego sprzedawcy na sporządzonem pełnomocnictwie i polecał jakiemukolwiek adwokatowi w Galicji, aby za każdą cenę sprzedał majątek jego „klienta". Zrealizowaną cenę kupna polecał nadesłać na swoje ręce i pieniądze te defraudował.

---

[1]) Porów.: Francis A. Kellor: „Notaries Public and Immigrants", New York, 1909. str. 41.

Właściciele po miesiącach dopiero dowiadywali się, że wszystko, co mieli, stracili, bo bez ich wiedzy i pozwolenia zostało sprzedane *).

Bezkarność indywiduów, w wyrafinowany sposób wymykających się przed sądownictwem amerykańskiem, pobudzała wielu do procederu bankowego. To też „banki“ takie na terenie miast o wielkich skupieniach wychodźczych wyrastały jak grzyby po deszczu, by po krótkim a niechlubnym żywocie znikać z powierzchni. Prosperowanie ich ułatwiała amerykańska procedura karna, która opiera się na zasadzie „*habeas corpus*”, na przeprowadzeniu materjalnego dowodu. Jeśli władza dowie się o nadużyciu, wówczas obowiązek dowodu ciąży całkowicie na oskarżycielu. Dowody w postaci dokumentów z Europy nie wystarczają. Obrona oskarżonego sprzeciwia się wszelkim dowodom na piśmie, choćby urzędowych władz zagranicznych i żąda postawienia przed sąd adresata, któremu nie doręczono inkryminowanych pieniędzy. Najczęściej było to niewykonalne, gdy świadek mieszkał w Polsce lub gdzieindziej w Europie a kosztów jego podróży nie było komu pokryć.

Korzystanie z pośrednictwa podejrzanych banków i jednostek przy przesyłce pieniędzy w Europie tłumaczy się przedewszystkiem trudnościami, jakie spotykał imigrant, chcąc wysłać je pocztą: 1) urzędy pocztowe zamykane były w godzinach wieczornych, kiedy robotnik opuszczał fabrykę i miał czas się tem zająć, 2) wielu imigrantów nie umiało odpowiednio wypełnić blankietu przekazowego,

---

[1]) Borys był wspólnikiem sławnego oszusta Józefa Wigdora Ueberalla, byłego dyurnisty z Rohatyna, który po odsiedzeniu dwuletniej kary więzienia w Chebie za oszustwo, wyjechał do Ameryki, gdzie reklamował się w gazetach, jako „jedyny kompetentny austrjacki adwokat”. Do jakiego rodzaju reklamy uciekali się podobni oszuści, świadczy fakt, że Borys rozdawał klientom swego banku bezpłatnie książeczki do nabożeństwa. W książeczce takiej po jednej stronie były modlitwy i pieśni nabożne, po drugiej adres firmy Borysa.

jedni, ponieważ nie rozumieli po angielsku, drudzy, ponieważ byli wogóle niepiśmienni, 3) w niektórych małych miejscowościach urzędy pocztowe nie przyjmowały wpłat na przekazy międzynarodowe.

Na skutek starań poselstwa austryjackiego zaprowadziła poczta amerykańska dwujęzyczne blankiety dla przekazów („*postal money order*”), a więc drukowane w języku augielskim i np. polskim, ułatwienie to jednak miało wartość drugorzędną, gdyż tak czy owak odnośne rubryki musiał wysyłający wypełnić po angielsku. Znacznie częściej niż pocztą przysyłali wychodźcy pieniądze do kraju przy pomocy „*American Express Company*”, banku, którego oddziały filjalne rozproszone były po całych Stanach Zjednoczonych i który posiadał tam korespondentów nawet w małych miastach. Na parę lat przed nastaniem wojny światowej Pocztowa Kasa Oszczędności w Austrji zawarła z „American Express Company“ umowę, uznając ją za swoją reprezentację na Stany Zjednoczone. Pieniądze, wpłacone w jednem z biur „American Express Co“ były przez austryjacką Pocztową Kasę Oszczędności na podstawie otrzymanej awizacji wypłacane adresatowi w Austrji, względnie zapisywane na dobro jego rachunku. Zwyczaj jednak przesyłania w ten sposób tanio i bezpiecznie pieniędzy z Ameryki do Galicji bardzo powoli rozpowszechniał się wśród polskich wychodźców, których olbrzymia więszość nic o tym sposobie nie wiedziała, a w tej nieświadomości starali się ją utrzymywać rozmaici pośrednicy prywatni ze względów konkurencyjnych. Pośrednictwem w przesyłce pieniędzy do Europy trudnił się oczywiście i szereg poważnych banków akcyjnych, posiadając znaczną klientelę polską. O pozyskanie jej czynił w ostatnich latach energiczne zabiegi świeżo powstały czeski bank w Nowym Yorku p. t. „*Bank of Europe*”, założony przez Centralny Bank czeskich kas oszczędności w Pradze.

Drobne kwoty przesyłali nasi emigranci pocztą, naj-

częściej w zwykłych nierekomendowanych listach. Lwia część takich przesyłek nigdy do rąk adresatów nie dochodziła. Kradzieże listów amerykańskich na pocztach galicyjskich wykrywane były tak często, że zaczęły uchodzić już za zjawisko nieuchronne.

Oszczędności swoje mogli emigranci lokować bezpiecznie w stanowych i municypalnych kasach oszczędności, jakie istniały w wielu miastach. Niektóre z nich były otwarte w pewne dni w tygodniu również wieczorem. Kasy te przyjmowały wkładki począwszy od 1 dolara aż do kwoty 3000 dolarów, płacąc 4% rocznie. Polscy emigranci wszakże o istnieniu tych kas przeważnie nic nie wiedzieli, jak nie wiedzieli również o pocztowych kasach oszczędności, które rząd Unji zaczął otwierać od r. 1911. W kasach pocztowych każda osoba, mająca ponad lat 10, mogła składać pieniądze na swoje nazwisko, natomiast nie mogły z nich korzystać korporacje, spółki i towarzystwa. Wkładki mogły być robione w wysokości od 1 dol. do 50 dol. przyczem jednej osobie nie wolno było w ciągu jednego miesiąca włożyć więcej ponad 100 dol., a wogóle oszczędności nie mogły przekraczać kwoty 500 dol. Wkładki, na które wydawano książeczki bezpłatnie i które można było wycofać w każdym czasie bez żadnych formalności, przynosiły 2% rocznie. Celem pocztowych kas oszczędności było zachęcenie do oszczędności dzieci i młodzieży oraz ochrona przed kradzieżą i innemi szkodami biedniejszej ludności, która przechowywała swe pieniądze w kuferkach, siennikach i rozmaitych skrytkach. W dniu 3 stycznia 1911 rząd federalny otworzył pierwsze takie kasy przy urzędach pocztowych w 48 miejscowościach i zaraz w przeciągu dwóch miesięcy zdeponowano w nich 133.869 dolarów.

Do r. 1913 centralny urząd imigracyjny przy Departamencie Pracy w Waszyngtonie nosił nazwę „Bureau of Immigration and Naturalization" i posiadał w ramach

swej organizacji osobny wydział dla spr w naturalizacji („*Division of Naturalization*"). Ustawą z 4-go arca 1913 r. wydział ten został usamodzielniony i, nosząc odtą nazwę „*Bureau of Naturalization*", zaczął podlegać osobnemu „*Commissioner of Naturalization*", komunikującemu się bezpośrednio z Ministrem Pracy. Zadaniem instytucji tej stało się wglądanie we wszystkie sprawy, dotyczące naturalizacji cudzoziemców.

Aby otrzymać obywatelstwo amerykańskie, trzeba, w myśl ustawy z 29 czerwca 1906 r. („Citizenship law") przebywać przez 5 lat w Stanach Zjednoczonych, w tem przynajmniej jeden rok w tym stanie lub terytorjum, gdzie zrobione zostało podanie o naturalizację, trzeba znać język angielski i najważniejsze postanowienia Konstytucji Amerykańskiej, wreszcie trzeba wykazać się dobrą konduitą i zadośćuczynić przepisanym formalnościom. Chińczycy, Japończycy, poligamiści i anarchiści naturalizowani być nie mogą.

Procedura, związana z otrzymaniem amerykańskiego obywatelstwa, dzieli się według powyższej ustawy na dwie części: cudzoziemiec, jeśli ukończył 18 lat i pragnie się naturalizować, ma naprzód u kompetentnego urzędnika w dystrykcie swego zamieszkania złożyć pisemnie zaprzysiężone oświadczenie, że zamierza zostać obywatelem amerykańskim; znajomość angielskiego języka przy składaniu takiej deklaracji nie jest jeszcze wymagana, a zgłaszać ją można choćby na drugi dzień po przybyciu do Stanów Zjednoczonych. Poświadczenie złożenia takiej deklaracji kosztuje 1 dolara i tworzy tak zw. „pierwsze papiery" („*first papers*"). Dokument ów sam przez się nie nadaje jeszcze żadnych praw, ale jest niezbędnie potrzebny, aby po upływie najwcześniej dwóch lat, a najpóźniej w ciągu lat siedmiu od daty jego wystawienia można było poczynić dalsze zabiegi o uzyskanie obywatelstwa. Aby je posiąść musi cudzoziemiec złożyć w sądzie danego dystryktu

nowe podanie z załączeniem „pierwszych papierów”, świadectwa moralności, zaświadczenie Urzędu imigracyjnego, stwierdzającego dokładnie datę przyjazdu do Ameryki, oraz zaprzysiężonej deklaracji dwóch amerykańskich obywateli, że petent od lat pięciu bez przerwy przebywa w Stanach Zjednoczonych, od roku zaś w powiecie, w którym wnosi podanie; nadto musi petent udowodnić, że zna język angielski i ma ogólną znajomość podstawowych ustaw Konstytucji amerykańskiej, oraz stwierdzić przysięgą gotowość do stosowania się do praw Unji i do spełniania obowiązków obywatelskich; wreszcie musi uiścić taksę w kwocie czterech dolarów.

Po upływie dziewięćdziesięciu dni od zadośćuczynienia powyższym formalnościom musi petent raz jeszcze zgłosić się w towarzystwie dwóch świadków w tymsamym sądzie i pod przysięgą potwierdzić zeznania, zawarte w poprzedniem podaniu. Jeśli sąd wszystkie przedłożone sobie dokumenty uznał za dostateczne, wydaje petentowi dyplom obywatelski i zawiadamia o tem waszyngtońskie „Bureau of Naturalization”.

Ustawa z 29 czerwca 1906 r. zawiera zastrzeżenie, że pozyskane przez naturalizację prawo obywatelstwa anuluje się, jeśli cudzoziemiec, który je otrzymał, w przeciągu pięciu lat powróci do kraju, skąd pochodził, i tam się osiedli. Ustawa „*Expatriation act*” z dn. 2-go marca 1907 r., postanawia, że, jeśli naturalizowany obywatel amerykański mieszka przez 2 lata w kraju swego pochodzenia lub przez lat 5 w jakimkolwiek innym kraju poza granicami Stanów Zjednoczonych, należy przypuszczać, że zrezygnował on z praw obywatela Unji amerykańskiej. W myśl tejże ustawy dzieci Amerykanów, urodzone zagranicą i tam przebywające, jeśli chcą zatrzymać obywatelstwo amerykańskie, muszą zawiadomić o tem Konsulat Stanów Zjednoczonych. Amerykanki, które wyszły za mąż za cudzoziemców i wskutek tego utraciły obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, mogą,

w razie owdowienia lub rozwodu, uzyskać je z powrotem, jeśli mieszkają w Stanach Zjednoczonych lub też przebywają zagrąnicą ale wyrażają chęć powrotu do ojczyzny.

Wreszcie warto przypomnieć, ze każda osoba, urodzona w Stanach Zjednoczonych, choćby z rodziców cudzoziemskich i nienaturalizowanych, ipso facto posiada prawa obywatelstwa amerykańskiego.

ROZDZIAŁ IX.

Droga emigrantów za ocean. „Prepaid'y". Zdobywanie środków na podróż. Lichwiarskie pożyczki. Agenci emigracyjni i sprzedaż kart okrętowych. Werbowanie naganiaczy przez agencje zagraniczne. Nadużycia agentów. Towarzystwa przewozowe. „Pool". Pograniczne stacje kontrolne. Hale i hotele emigracyjne w portach. Przeprawa przez ocean.

Droga za ocean po lepszy byt jeżyła się dla wielu emigrantów polskich od przeszkód i trudności, wiodła wązkiemi ścieżynami po skalistych wertepach, szła nieraz brzegiem przepaści, w którą staczał się ten i ów, komu powinęła się noga lub kogo pchnęła zbrodnicza ręka.

Na drogę tę warto choć pobieżnie rzucić okiem, bo kto jej nie zna zupełnie, ten będzie miał o polskim ruchu wychodźczym ubiegłej doby pojęcie niedokładne.

Kto zdecydował się na wędrówkę za morze, ten musiał rozporządzać gotówką, potrzebną na pokrycie kosztów podróży. Wolne od tej troski były tylko osoby, którym ktoś, jakiś krewny lub dobry przyjaciel, przebywający w Ameryce, podróż w ten sposób opłacił, że albo przesłał pieniądze, albo nabył kartę okrętową z biletem kolejowym. Jak widzieliśmy, przeglądając urzędową statystykę imigracyjną amerykańską, w roku 1913 na własny koszt przybyło do Stanów Zjednoczonych 119.633 imigrantów polskich, natomiast 54.306 wychodźców miało przejazd opłacony przez

krewnych, a 426 przez osoby obce. Trzecia więc część ogółu emigrantów przed wyjazdem do Stanów Zjednoczonych sama o środki na podróż starać się nie potrzebowała. Karty okrętowe, nadsyłane z za morza, czyli tak zw. *„prepaids"*, uzupełniane często były przekazem na bilet kolejowy, bądź od granicy do portu europejskiego i następnie od portu amerykańskiego na miejsce przeznaczenia, bądź też od najbliższej stacji kolejowej w okolicy, którą zamieszkiwała osoba, „prepaid'em" obdarowana. Przekaz opiewał zazwyczaj na agenturę kompanji okrętowej, u której zakupiona została karta okrętowa, i agentura ta, doręczając wyruszającemu w drogę wychodźcy kartę okrętową, jednocześnie dawała mu w takim razie albo bilet kolejowy w naturze, albo też ekwiwalent w gotówce. Jeśli odpowiedniej agentury w danej dzielnicy nie było — bo np. kompanja okrętowa miała tam tylko agentów pokątnych i nie była reprezentowana przez żadną firmę legalną, w takim wypadku obdarowana „prepaid'em" osoba musiała udawać się do portu, który wymieniony był w nadesłanej jej awizacji, i ewentualnie, na granicy lub dopiero w porcie otrzymywała kartę okrętową, względnie także zwrot wydatku, poniesionego na kupno biletu kolejowego.

Wychodźcy, którzy musieli sami starać się o środki na podróż, czynili to oczywiście na rozmaite sposoby. Takich, którzy mieli odłożoną na ten cel gotówkę, było mało, jeszcze mniej zaś naliczyćby można emigrantów zarobkowych (bo tylko wśród wychodźców przesiedleńczych trafiało się to często), którzy przed wyjazdem sprzedawali grunta lub domy. Większość pomagała sobie pożyczką, opłacając nieraz zgóry lichwiarskie procenty i dając zastaw lub porękę. Rzecz charakterystyczna, że nasz chłop, przysłowiowo oszczędny, gotowy o grosz targować się do upadłego, gdy szło o wyjazd do Ameryki, niekiedy gotów był z lekkiem sercem rzucać dziesiątki rubli lub koron, a ogarnięty nadzieją rychłego zbogacenia się, nie spostrzegał się nawet, że padał

ofiarą bezczelnego wyzysku. Np. w niektórych okolicach Królestwa i Litwy 36% od sumy pożyczonej na wyjazd, uważany był za umiarkowany, często bowiem brano 50 a nawet i 100%. Ponieważ umowa taka nie mogłaby zyskać mocy prawnej, spekulanci dla zabezpieczenia korzyści z podobnej operacji finansowej, dając pożyczkę, starali się w ten sposób obejść prawo, że nie tylko brali weksel na sumę podwójną, ale oprócz tego, na wypadek niewypłacalności dłużnika, wyłudzali jeszcze kontrakt dzierżawny na jego ziemię, na lat tyle, ażeby cała zdwojona suma została pokryta. Potwierdzenie takiej umowy odbywało się zwykle w kancelarji gminnej, z nieodzownym traktamentem, co jeszcze kilka rubli wyciągało z kieszeni wychodźcy. Spekulantem-lichwiarzem bywał najczęściej także chłop, tylko bogatszy, który wysokość pobieranych procentów usprawiedliwiał argumentem, że kto jedzie za morze po takie wysokie zarobki, ten przecież częścią swych dochodów może podzielić się z sąsiadem, który mu tą wyprawę umożliwia. Sprawiedliwość każe przyznać, że w większości wypadków obie strony dotrzymywały umowy i, skoro dług wraz z umówionymi procentami został w porę odesłany, wierzyciel zwracał bez sprzeczki pisemne zobowiązanie dłużnika. Bywało jednak czasem inaczej, a wówczas dochodziło do kłótni, podstępów, gwałtów i procesów, prowadzących obie strony do wielkich strat, a nawet do ruiny.

Na podróż do Stanów Zjednoczonych potrzebną była kwota 150 — 250 rubli na osobę, zależnie od cen, jakie w danej porze płaciło się za karty okrętowe, oraz od przestrzeni, jaką wypadało odbyć drogą lądową. Kwota powyższa obejmowała również i gotówkę, potrzebną na pokaz na stacji imigracyjnej przy wjeździe do Stanów Zjednoczonych (w ,,Kaselgardzie").

Kto nie posiadał ani własnej gotówki, ani też kredytu, ten mógł, jeśli koniecznie chciał wędrować do Ameryki,

zaoszczędzić potrzebny grosz, udając się naprzód na roboty do jednego z krajów europejskich. Opóźniało to bardzo wyprawę zamorską, ale przeważnie wiodło do celu. W r. 1913 wśród imigrantów polskich, naliczyła urzędowa statystyka amerykańska 195 takich, którzy przybyli do Stanów Zjednoczonych z Danji, 336 z Węgier, 13 z Belgji, 24 ze Szwajcarji, 74 z Francji, 13 z Szwecji. Zapewne też wśród 3.658 Polaków, przybyłych z Niemiec, spory odsetek tworzyli obieżysasi z Królestwa i Galicji.

Z powodu wyjazdu za morze sprzedawali gospodarstwa tylko ci włościanie, którzy przesiedlali się tam wraz z rodzinami na stałe. Przeważnie byli to małorolni, których drobne schedy nie wystarczały na utrzymanie, a zaoszczędzona za morzem gotówka nie była dostateczną na odpowiednie rozszerzenie posiadłości w rodzinnej wiosce, gdzie grunta były drogie lub też nie było ich na sprzedaż wcale. Jeśli chłopów opanowała chorobliwa gorączka emigracyjna, jak to się działo np. w okolicach, ogarniętych ruchem wychodźczym do Brazylii w latach 1890 — 1891, 1895 — 1896 i 1911 — 1912, niektórzy z nich, nawet zamożniejsi, sprzedawali swe gospodarstwa za wiele się dało i komu się dało, byle tranzakcji dokonać jaknajprędzej i bezzwłocznie w podróż wyruszyć. Bywały wtedy wypadki, że gospodarstwa wysiedlających się nabywali zabezcen żydowscy spekulanci, którzy następnie odsprzedawali je z wysokim zyskiem innym chłopom.

Karty okrętowe można było nabywać bądź w portach albo na granicy w pruskich stacjach kontroli, bądź też za pośrednictwem biur podróży i koncesjonowanych agentur w większych miastach krajowych lub przy pomocy rozmaitego rodzaju agentów pokątnych. Olbrzymia większość wychodźców wybierała ten ostatni sposób, ponieważ agent był blizko, niekiedy sam narzucał się ze swymi usługami, zachęcał do wyjazdu, udzielał na miejscu wszystkich informacji, ewentualnie pouczał poufnie, jak ominąć przepisy

paszportowe, jak uśpić czujność amerykańskich inspektorów imigracyjnych. W okolicach, objętych ruchem wychodźczym, agentów „szyfkartowych” znaleść można było jeśli nie w każdej parafji, to w każdym prawie mieście powiatowym. Byli to ludzie z rozmaitej sfery społecznej, zacząwszy od zwykłych żydowskich szynkarzy, a skończywszy na wójtach, pisarzach gminnych, nauczycielach ludowych i pocztmistrzach nawet czasem księżach.[1] Wszyscy oni pozostawali w bezpośredniej korespodencji zazwyczaj nie z samemi kompanjami okrętowemi, lecz z agenturami na niemieckich stacjach pogranicznych lub w portach, mającemi bezpośrednie zastępstwo tych kompanji dla ruchu pasażerskiego. Kompanje okrętowe sprzedawały karty przejazdu tym tylko pasażerom, którzy zwrócili się do nich bezpośrednio, osobiście czy też listownie, natomiast werbunek pasażerów przekazywały osobnym firmom, niekiedy w umowach z niemi, ograniczając teren działania dla uniknięcia niepożądanej konkurencji. W Hamburgu np. przedstawicielstwo tow. „*Hamburg-America Linie*” („*Hapag*”) dla werbunku pasażerów i sprzedaży kart okrętowych na międzypokład miały firmy B. Karlsberg, Falek et C-ie, i M. Morawetz (wymieniane największe), a w Bremie czynni byli dla *Północno-Niemieckiego Lloydu*: F. Missler oraz

---

[1]) W Krakowie np. pokątnem pośrednictwem przy sprzedaży kart okrętowych trudnił się przez kilka lat b. poseł do parlamentu wiedeńskiego ks. Andrzej Szponder, prowadząc swą agencję pod firmą „Tow. opieki nad wychodźcami pod wezwaniem św. Rafała”. a później, skoro tamta została przez policję rozwiązana, „Tow. pobożnych pielgrzymek pod wezwaniem św. Rafała”. Uprawianie tego procederu z krzywdą dla wielu emigrantów uniemożliwił ks. Szpondrowi dopiero głośny proces prasowy, jaki miał z redaktorem „Polskiego Przeglądu Emigracyjnego”. W Galicji wschodniej pośrednictwem przy sprzedaży kart okrętowych trudnili się tu i owdzie księża uniccy, Rusini, w Czortkowie bardzo ruchliwym agentem był rabin, Abraham Rosenbach.

Karesz i Stocki. Otóż każda z tych firm starała się mieć w Polsce jaknajwiększą armię subagentów, którzy znów ze swej strony używali do pomocy naganiaczy („Zutreiber"), dzieląc się z nimi prowizją, pobieraną „od sztuki" za każdego zjednanego pasażera.

Dla ilustracji, w jaki sposób zagraniczne agentury werbowały dla siebie w Polsce cichych współpracowników, przytoczę jeden typowy przykład. W styczniu 1909 r. w ludowych tygodnikach galicyjskich pojawiło się następujące ogłoszenie, powtarzane przez kilka tygodni:

PRACA.

> Najmniej 30 koron tygodniowego zarobią pp. nauczyciele wiejscy, poczmistrze, wójtowie, sekretarze gminni, organiści, sklepikarze i t. d., niech tylko napiszą po bliższe informacje list opłacany marką za 25 hal. lub kartkę za 10 hal. na adres: „Ojczyzna", Postbox 664, Rotterdam, Holland.

Kto zainteresował się tem ogłoszeniem i wysłał pod wskazanym adresem list z żądaniem bliższych informacji, ten odwrotnie otrzymał z Rotterdamu następującą odpowiedź:

> „Odpowiadając uprzejmie na cenne pismo, wyjaśniamy, że sprawa ma się tak: Wiemy, że teraz w Ameryce po wyborze nowego prezydenta stosunki zarobkowe są bardzo dobre i że wobec tego dużo naszych Polaków z pańskich stron pojedzie teraz do Ameryki. My właśnie zajmujemy się przewozem do Ameryki chcemy więc, by ci ludzie jechali przez nasze biuro. Jeżeli masz Pan u nich wpływy, to możesz Pan na tem dobrze zarobić. Sprzedawaj Pan im nasze szyfkarty, pobierając za każdą całą 12, a za każdą półszyfkartę 6 koron zadatku. Całą tę sumę pokwituje Pan na szyfkarcie i wskutek tego pasażer zapłaci tu potem o tyle mniej. Zadatek ten odstępujemy Panu w całości jako wynagrodzenie, dlatego nie potrzebuje Pan nam go tu posyłać. Sprawa więc czysta, bo wynagrodzenie dostaje Pan z naszego zarobku a nie od pasażera. Jeśli w tygodniu

sprzeda Pan tylko 3 szyfkarty, to już Pan zarobi 36 koron, ale będzie Pan miał tygodnie, w których zarobi Pan więcej. Jeżeliby Pan nie chciał sprzedawać naszych szyfkart, to podawaj nam Pan regularnie adresy tych, którzy zamierzają jechać; my sami do nich napiszemy i jeżeli oni przez nasze biuro pojadą, damy Panu to samo wynagrodzenie, chociaż im Pan szyfkart nie sprzedał, ponadto w końcu każdego roku damy Panu po jednej koronie od każdej szprzedanej szyfkarty jako „noworoczne".

Dodajemy, że mamy także swoje biuro w Krakowie, które prowadzą katoliccy księża, każdy więc pasażer z Galicji, posiadający naszą szyfkartę, będzie już w Krakowie oglądnięty przez naszego lekarza i począwszy od Krakowa pojedzie pod naszą opieką.

Załączamy Panu nasze prospekta i prosimy je uważnie przeczytać, a potem dać nam natychmiast odpowiedź, czy się Pan zgadza, byśmy mogli posłać panu szyfkarty i bliższe objaśnienia." [1])

Oczywiście inseraty w dziennikach nie były jedynym sposobem werbowania agentów emigracyjnych w Polsce. Niektóre zagraniczne firmy posiłkowały się w tym celu np. skorowidzami i książkami adresowemi, wypisując z nich adresy nauczycieli ludowych, wójtów, pisarzy gminnych

[1]) Do listu dołączany był dokładny adres krakowskiej agencji „Ojczyzny", t. j. „Galicyjskiego Towarzystwa św. Rafała" z pouczeniem, jak emigrant najlepiej trafić może z krakowskiego dworca kolejowego do księdza posła Szpondra. Nawiasem mówiąc firma „Vaterland", której sama nazwa „Ojczyzna" świadczyła o spekulowaniu na wzmagające się wśród polskich wieśniaków w Galicji poczucie patrjotyzmu, własność zgermanizowanego Rusina, należała do tak zw. „agencji dzikich", t. j. nieposiadających zastępstwa żadnej z kompanji okrętowych. Nie otrzymując od nich zwykłej prowizji i zmuszona będąc płacić za nabywane dla swych klientów karty okrętowe pełne ceny taryfowe, pobierała ona od tych ostatnich po 40 koron, względnie 15 rubli więcej ponad ceny taryfowe, wytwarzając sobie tylko w ten sposób zarobek i mając stąd źródło do „wynagrodzenia" pomocników. Cały tedy zysk jej polegał na wyzysku emigrantów. (Porów. „Polski Przegląd Emigracyjny", 1909, Nr. 2 i 3.)

i t. p. i rozsyłając pocztą podobne oferty w setkach egzemplarzy. Złe instynkty i chciwość łatwego zarobku u jednych, bieda u innych sprawiały, że zabiegi te przynosiły obfite rezultaty i całą Polskę, zwłaszcza zabór rosyjski i Galicję, ogarniała gęsta sieć pokątnych agencji emigracyjnych, czatujących jak pająki na swe ofiary.

Agent prowincjonalny tylko w rzadkich wypadkach doręczał wychodźcy upragnioną „szyfkartę" w postaci formalnego przekazu do agencji zagranicznej na wydanie karty okrętowej. Wogóle unikał on wystawiania dokumentów, które mogłyby go narazić na odpowiedzialność wobec władz policyjnych za nielegalne uprawianie tego procederu a nadto ułatwiałyby samemu emigrantowi orjentację, czy nie został oszukany. Emigrant tedy otrzymywał tylko potwierdzenie, że wpłacił na ręce agenta taką a taką kwotę, niekiedy recepis pocztowy, jeśli agent pieniądze wysłał zaraz zagranicznej agencji, której był dostawcą, często zgoła nic, tylko na świstku wypisany adres agencji, do której miał się zgłosić na granicy lub w porcie dla załatwienia dalszych formalności. Jeśli agent pobrał od emigranta tylko zadatek, wtedy zatrzymywał go sobie jako prowizję a pozostałą kwotę musiał emigrant sam wpłacić firmie, do której został skierowany i której przyjazd jego awizował agent listownie. Zadatki nie zabezpieczały jednak dostatecznie pozyskania klienta, gdyż wychodźca, ponieważ chodziło o kwotę stosunkowo małą, mógł z niej zrezygnować, jeśli inny jaki agent, spotkany po drodze, przelicytował pierwszego w obietnicach, lub, jeśli zmienił swe plany dla jakich innych powodów. Agentom wygodniej więc było pobierać od emigrantów pełne sumy za cały przejazd, gdyż wtedy istniała już gwarancja, że klienta nikt nie zakwiruje po drodze, a nadto można go było przytem oszukać na większą kwotę, gdyż chłopu zazwyczaj trudno było połapać się, wiele z uiszczonej przez niego wpłaty przypada na bilet kolejowy w Europie, wiele na kartę okrętową, a wiele na

bilet kolejowy w Stanach Zjednoczonych, na amerykańską „headtax" i t. d. Z pobranych pieniędzy agent przesyłał do portu ściśle tyle, wiele według cen taryfowych winien był pasażer uiścić, natomiast resztę zatrzymywał sobie, jako zarobek. Emigranta nie ekspedjowano w porcie tak długo, dopóki nie nadeszły pieniądze od agenta. Jeśli dla jakichkolwiek powodów agent nie śpieszył się z ich wysyłką, emigrant musiał napróżno czekać w porcie kilka dni, niekiedy kilka tygodni. Oczywiście agentury portowe nie kontrolowały swych agentów i przymykały szczelnie oczy na wszystkie popełniane przez nich na emigrantach oszustwa. Z ich punktu widzenia nadużyciem ze strony subagenta było, jeśli potajemnie dostarczał pasażerów również ich konkurentom, lub też jeśli zainkasowanych od emigrantów pieniędzy nie odsyłał wcale, czem narażał ich na kłopot i utratę klienteli. Pozatem mógł subagent robić ze swemi ofiarami, co mu się żywnie podobało. Jeśli przypadkiem dostał się do kryminału, czekano aż wyjdzie z więzienia, by w dalszym ciągu prowadzić z nim korespondencję i korzystać z jego usług.

Im chłop był ciemniejszy i mniej zaradny, im mniej widział świata a pożerała go chęć przedostania się za ocean, tem wdzięczniejsze miał pole dla swych operacji agent. Przeciwnie z ludźmi, mającymi nieco więcej oświaty, zwłaszcza, jeśli byli już raz w Ameryce, obchodził się ostrożnie. Wogóle agentów tego typu cechował spryt, graniczący z bezczelnością, pomysłowość i bezwzględność. Różnorodnych sposobów jakich używali te pasożyty ruchu emigracyjnego, by z krzywdą dla wychodźców powiększać swe dochody, a jednocześnie unikać krat więziennych, było mnóstwo. Oszukiwanie na kursie przy wymianie pieniędzy i liczenie wyższych od istotnych cen za bilety kolejowe i „szyfkarty" należało do najbardziej pospolitych. Niektórzy z nich np. pobierali jeszcze opłatę za listy, lub telegramy rzekomo słane do prezydenta Stanów Zjednoczonych z prośbą, by

emigrantowi nie czyniono trudności przy lądowaniu w Ameryce, inni wyłudzali pieniądze na „łapówki" dla amerykańskich urzędników imigracyjnych lub też na asekurację na wypadek zawrócenia emigranta z drogi. Jeśli emigrant był już w drodze, poza granicami swej parafji, w obcem mieście, albo nawet w obcem kraju, agenci obchodzili się z nim mniej ceremonialnie, niekiedy wprost wymuszając rozmaite takie opłaty, których racjonalność nawet samemu wychodźcy wydawała się podejrzaną. [1])

Bezkarność zapewniało agentom zaufanie, jakiem cieszyli się u swych klientów, którzy uważali ich za swych dobroczyńców i prawie nigdy sami nie występowai ze skargami. Przeciętny mieszkaniec wioskowy mial do niedawna jeszcze przekonanie, że, decydując się na wyjazd za morze, popełnia coś nielegalnego, co odradzać mu będą i dwór i plebanja i inteligent w miasteczku, co utrudniać mu zechcą władze powiatowe i pograniczne, naco nawet Jankes, do którego jedzie, spoglądać będzie krzywem okiem. Jedynym sprzymierzeńcem przy realizacji tego zuchwałego projektu był agent: on dał wszystkie potrzebne rady i wska-

---

[1]) Np. agencja Bernarda Weinfelda w Skale nad Zbruczem w Galicji, rekrutująca swą klientelę głównie wśród emigrantów, przemycających się z drugiej strony kordonu, uprawiała handel nie tylko szyfkartami. „Przy agencji czytamy w „Biuletynie Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego" (1910, str. 166) — prosperuje znakomicie „handel", „kantor" wymiany monet zagranicznych i t. d. ale temi ubocznemi gałęziami przemysłu zajmują się młodsi krewni agenta. Gdy zjawi się jaki emigrant i zakupi już karty podróży, wtedy zaczyna się nowy rabunek: przeprowadzają u emigranta ścisłą rewizję na tytuń (rosyjski), konfitury, cukier i wszystko to „konfiskują". Ma emigrant porządne futro, czapkę, buty, wtedy polecają mu wszystko to sprzedać, zapewniając że tak tam w Ameryce nie chodzą, a zresztą w Ameryce jest lato. Takie rzeczy albo sami kupują za bezcen, albo sprowadzają kupców. Potem następuje oprowadzenie emigranta po sklepach z ubraniami, butami, rozumie się u kupców, krewnych agenta; u obcych kupców dostają prowizję"...

zówki, on umożliwi otrzymanie „szyfkarty“ i pouczył, jak stawiać pierwsze kroki na gruncie amerykańskim. Jeśli więc nawet za tą pomoc swoją porachował sobie za wiele, chłop był na to wyrozumiały, gdyż poniesione straty spodziewał się obficie pokryć ze swych zarobków amerykańskich. Dopiero z postępem oświaty chłop zaczął krytycznie odnosić się do dobrodziejów tego rodzaju i uczył się bacznie patrzeć im na końce palców, chociaż nie odrazu wyrzekał się ich usług. Wielu też wolało nabywać karty okrętowe w legalnych, kaucjonowanych biurach podróży, gdzie nadużycia rzadziej się trafiały, gdzie jednak tym, którzy nie posiadali formalnie wystawionych paszportów zagranicznych przeważnie odmawiano pośrednictwa wskutek obawy przed karami policyjnemi.

Przewozem polskich emigrantów trudniły się w ostatnich latach następujące kompanje: „*Hamburg — America Linie*“ („*Hapag*“) w Hamburgu, „*Norddeutscher Lloyd*“ w Bremie, „*Holand America Line*“ w Rotterdamie, „*Red Star Line*“ w Antwerpji, „*Compagnie transatlantique*“ w Hawrze, i „*Austro-Americana*“ w Tryjeście. Angielskie „*Cunard Line*“ i „*White Star Line*“ miały więcej pasażerów „prepaidowych“. Linja libawska, pomimo poparcia, jakiego użyczał jej rząd rosyjski, nie cieszyła się wśród emigrantów popularnością i tylko mieszkańcy Litwy i Białorusi w większej nieco liczbie podróżowali na jej okrętach, co tłumaczy się także położeniem Libawy, zbyt odległem dla niektórych powiatów Królestwa. Prawie trzy czwarte ogółu emigrantów polskich przewoziły za ocean statki hamburskie i bremeńskie, tak iż potężne towarzystwa przewozowe niemieckie rozwój zawdzięczały w poważnym stopniu polskim pasażerom.

Około 1905 r. kompanje niemieckie zorganizowały kartel, znany pod nazwą „*Północno - Niemieckiego Pool'u*“, w którego skład weszły oba towarzystwa niemieckie, „Holland America Line“, „Red Star Line“, „Compagnie tran-

satlantique" i „Austro-Americana". Statut i wzajemne umowy towarzystw, należących do „Pool'u", osłonięte były nazewnątrz ścisłą tajemnicą. Głównym celem kartelu było unikanie wzajemnej konkurencji przy werbunku pasażerów oraz usunięcie walk taryfowych, szkodliwie odbijających się na rentowności przedsiębiorstw. Za podstawę przyjęto kontyngentowanie pasażerów. Na wspólnych konferencjach uchwalano zgóry na każdy rok, jaki procent ogółu pasażerów może przewieść każda kompanja, przyczem przy kalkulacjach opierano się głównie na liczbie pasażerów, przewiezionych roku poprzedniego, W r. 1913 na 2 kompanje niemieckie wyznaczył „Pool" aż 72%, na „Austro-Americanę" 4%, na pozostałe zaś trzy towarzystwa (belgijskie, holenderskie i francuskie) razem 24% ogółu pasażerów. Jeśli która z kompanji osiągnęła wyznaczony jej kontygent, nazywało się, że jest „w plusie" i musiała następnie od każdego nadliczbowego pasażera zapłacić umówioną kwotę do kasy „Pool'u"; kwoty te szły na rzecz kompanji, które były „w minusie", t. j. nie zdołały pozyskać przypadającego na nie kontyngentu podróżnych.

Na wspólnych konferencjach układane były pasażerskie taryfy przewozowe, ustalane prowizje dla agentów i omawiane wszystkie ważniejsze sprawy, mogące mieć wpływ na rentowność kompanji; agenci skartelowanych towarzystw mieli instrukcję nie robić sobie nawzajem nielojalnej konkurencji, natomiast jaknajenergiczniej zwalczać „outsider'ów".

Pierwsze skrzypce grały w kartelu kompanje niemieckie, których przemożnej woli musiały podporządkowywać się pokornie inne linje. Ten dominujący wpływ zabezpieczył sobie „Hapag" i „Lloyd" z jednej strony przez skupienie dużej ilości akcji tamtych towarzystw, z drugiej — w większym jeszcze stopniu—przez fakt, że najprostsza droga z dzielnic polskich i z Rosji do Rotterdamu, Antwerpji i Hawru wiodła przez Prusy a rząd pruski przy przepuszczaniu przez swe terytorjum emigrantów zagranicznych

stosował się ściśle do życzeń i wskazówek, płynących z Hamburga i Bremy. Emigrantów, którzy mieli karty okrętowe, zakupione lub zadatkowane w towarzystwach żeglugi morskiej, nienależących do kartelu, przez terytorjum Królestwa pruskiego nie przepuszczano. Czyniono to pod pretekstem rozporządzenia Ministerjum Spraw Wewnętrznych, które wymagało od cudzoziemskich emigrantów, przejeżdżających przez Prusy, zadośćuczynienia pewnym warunkom, dającym rękojmię, że po drodze nie zostaną ciężarem dla państwa pruskiego, przyczem jednak rząd uznawał porękę niemieckich towarzystw żeglugi morskiej przyjmowaną za tych pasażerów, którzy u towarzystw tych wykupili karty okrętowe. W praktyce każdy polski emigrant zamorski, który nie mógł się wylegitymować posiadaniem karty jednego z towarzystw, należących do „Pool'u", zawracany był na granicy, choćby pozatem wszelkim warunkom doskonale odpowiadał. Prowadzenie pod tym względem kontroli na granicy, powierzone było prywatnym agencjom okrętowym, z któremi miały obowiązek współdziałać organy miejscowej policji. W takich Mysłowicach np. agencja „szyfkartowa" galicyjskiego Żyda Maksa Weichmana zupełnie formalnie decydowała o tem, który emigrant, udający się do Ameryki, może otrzymać pozwolenie na przejazd przez Prusy.*) Każda taka pograniczna agencja, taka pruska stacja kontrolna była oparciem dla grasujących po tej stronie kordonu hyen emigracyjnych, była ośrodkiem przeróżnych ope-

[1]) Pozwolenie takie brzmiało dosłownie następująco:

„Legitimationskarte .... Vor und Zuname .... Wohnort .... Staatsangehörigkeit .... ist (sind) unter laufen der Nummer .... des Garantieregisters der Hamburg-Amerika Linie auf der Station Myslowitz eingetragen und darf (dürfen) daher die Auswanderer......... Revisionsstationen ungehindert passieren. Den..... Der Beamte der Hamburg-America Linie zu Hamburg: Max Weichmann".

racji oszukańczych, popełnianych na skórze polskiego chłopa-emigranta.

Skoro wychodźca z Galicji lub Królestwa (ten ostatni, jeśli nie posiadał paszportu lub przepustki musiał najczęściej przemycać się przez granicę, niekiedy pod ogniem strzałów rosyjskiej straży pogranicznej) stanął po drugiej stronie kordonu, odprowadzano go natychmiast do tak zw. „stacji kontrolnej" (prywatnej agencji emigracyjnej), gdzie musiał albo wylegitymować się, że już zadatkował lub nabył kartę okrętową na jedną z linji należących do „Pool'u", albo też nabyć kartę okrętową na miejscu od tej właśnie agencji, która z ramienia państwa pruskiego przeprowadzała kontrolę. Jeśli jednemu z tych warunków wychodźca nie chciał czy nie mógł zadośćuczynić, był bezwzględnie zawracany z drogi. Dawało się to we znaki zwłaszcza tym osobom, które otrzymały z Ameryki „prepaid'y", wystawiane na kompanje, stojące poza portem. Zamiast bowiem jechać do portu (np. do Rotterdamu) drogą najtańszą i najkrótszą, musiały okrążać Niemcy i podążać przez Austrję, Szwajcarję i Francję. *).

Emigranci, którzy mogli jechać przez Prusy, poddawani byli na stacjach kontrolnych oględzinom lekarskim (zresztą bardzo powierzchownym), tu również — sprawdza-

[1]) Rząd austrjacki pod naciskiem parlamentarnego Koła Polskiego czynił u rządu niemieckiego przedstawienia w sprawie tak jaskrawego naruszenia prawa o „Freizügigkeit", zagwarantowanego obywatelom austrjackim traktatami handlowemi, ale przedstawienia te, czynione zresztą b. miękko, pozostały bez skutku. Podczas ankiety emigracyjnej, jaka w r. 1912 odbyła się w wiedeńskiem Ministerstwie Handlu, rząd ten przez usta swych przedstawicieli całkiem szczerze przyznawał się do zupełnej bezsilności wobec „Pool'u", który miał za sobą potęgę kapitału, nadzwyczaj sprawną i rozgałęzioną organizację, największą na świecie flotę oraz bezwzględne poparcie rządu niemieckiego. (Porów.: „Protokoll der im K. K. Handelsministerium durchgeführten Vernehmung von Auskunftspersonen über die Auswanderung aus Oesterreich", Wien 1912).

no, czy posiadają przy sobie potrzebną gotówkę i czy odpowiadają najważniejszym postanowieniom amerykańskiej ustawy imigracyjnej. Skoro wszystko u emigrantów znaleziono w porządku, ekspedjowano ich dalej, do portów, niekiedy, gdy liczba ich na to pozwalała, osobnymi pociągami.

Trzeba nadmienić, że niektóre stacje kontrolne (jak np. w Otłoczynie i Eydkunach) przedstawiały zwyczajne szopy, nawpół ciemne, brudne i ciasne. Nawet stacje kontroli nowego typu (w Mysłowicach, Ostrowie, Iłłowie i Prostkach) były w stosunku do wielkiej ilości przechodzących przez nie emigrantów (czasem po 300 dziennie), bardzo nieprzestronne. Ciasnotę powiększała jeszcze ta okoliczność, że w ogólnych pomieszczeniach nie było dostatecznej ilości ławek, wskutek czego wychodźcy nasi musieli całymi dniami wysiadywać na własnych bagażach lub na gołych deskach. Niektóre stacje nie posiadały wcale sypialni, wychodźcy zaś leżeli na brudnych materacach albo wprost na deskach. Służba, dzięki nadmiernej pracy wyczerpana i wskutek tego rozdrażniona, obchodziła się z wychodźcami brutalnie, niekiedy nawet pozwalała sobie na używanie w stosunku do nich pięści. Aczkolwiek w dn. 1 stycznia 1909 r. weszły w życie nowe przepisy, wydane przez pruskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, łagodzące poprzednie zarządzenia, to system więzienny był na stacjach kontrolnych i nadal utrzymywany: ogrodzone one były wysokim płotem, niekiedy zaopatrzonym w kolczaste druty (np. w Iłłowie), bramy były pozamykane, a wychodźcy albo wcale nie mogli wychodzić, albo tylko wyjątkowo. Ta niewola doskwierała im tem bardziej, ile że musieli albo w miejscowej kantynie płacić za jadło wygórowane ceny, albo też obywać się zupełnie bez ciepłej strawy.

Wielkie nadużycia działy się przy wymianie pieniędzy, jak również przy sprzedaży kart okrętowych. Wychodźcy nigdy nie mogli dowiedzieć się dokładnie, według jakiego

kursu zmieniają im pieniądze i wiele wynosi wymagana należytość. Operacje pieniężne dokonywane były pospiesznie, a częstokroć towarzyszyły im łajania urzędników agencji, skierowane przeciwko wychodźcom. Na stacji kontrolnej musieli przebywać po kilka lub kilkanaście dni, niekiedy nawet po kilka tygodni tacy emigranci, których tytułem jakby zastawu zatrzymywała tam prowadząca kontrolę agencja, jeśli subagent jej, który tych pasażerów zakwirował, nie nadesłał na czas pobranej od nich należytości za karty okrętowe, albo nadesłał był nieco mniej, niż wypadało z rachunku. Zdarzało się też, że chociaż subagent nadesłał za danego emigranta pełną należytość, ten mimo to został na stacji zatrzymany, ponieważ subagent pozostał jeszcze coś winien z dawnego rachunku. Wychodźca traktowany tu był jak towar, na krzywdę swą nie miał się przed kim poskarżyć, popychany i łajany, w poczuciu swej bezbronności niekiedy po raz pierwszy zaczynał żałować, że się odważył na wyprawę w świat daleki. Ale jednocześnie miał wrażenie, że klamka już zapadła, że mosty za nim były już zerwane.

Po przybyciu do portu emigrant musiał dawniej szukać przytułku w rozmaitych oberżach, hotelikach i spelunkach, gdzie bywał niemiłosiernie wyzyskiwany. W ostatniem dziesięcioleciu przed wojną stosunki te jednakowoż zostały wszędzie unormowane i każda z wymienionych wyżej kompanji posiadała dla swych pasażerów międzypokładowych i trzeciej klasy porządnie urządzane hotele lub hale, gdzie emigranci otrzymywali stosunkowo tanio dobre pomieszczenie i niezły wikt. Największe hotele takie miała od r. 1906 kompanja hamburska; wybudowane kosztem trzech miljonów marek, zajmowały one w miejscowości Veddel pod Hamburgiem przestrzeń 60.000 metrów kwadratowych, tworząc jakby osobne małe miasteczko. Do hal tych odstawiano wszystkich emigrantów zamorskich natychmiast po przybyciu ich do Hamburga.

Pawilony wychodźcze, które w razie potrzeby mogły pomieścić do 5000 wychodźców, dzieliły się na dwie części, ściśle od siebie oddzielone, mianowicie na „oddział badania zdrowia“, czyli oddział „nieczysty“ dla emigrantów nowoprzybyłych, tudzież na oddział mieszkalny czyli „czysty“, dla wychodźców uznanych za zdrowych, czyli gotowych do podróży. Wychodźców, przybywających do Hamburga, sprowadzano przedewszystkiem do oddziału „nieczystego“, gdzie byli zatrzymywani aż do przeprowadzenia badań lekarskich. Ci z nich, u których według orzeczenia lekarskiego okazywało się to koniecznem zostali wykąpani, a ich brudna bielizna i pakunki ulegały dezynfekcji. Dla umożliwienia tych zarządzeń znajdowały się w „oddziale nieczystym“ sypialnie dla 275 osób, obok tego również zakłady kąpielowe i dezynfekcyjne. Wychodźców uznanych za chorych, oddawano natychmiast do szpitalów miejskich. W razie, jeśli była to choroba zaraźliwa, odosobniano również towarzyszy tej osoby w obliczonej na 320 łóżek stacji obserwacyjnej („*Reobachtungsstation*”).

W oddziale „czystym” hal wychodźczych znajdowało się 27 pawilonów, w ten sposób urządzonych, że w środku pawilonu mieściła się sala, przeznaczona na dzienny pobyt. Z salą tą łączyły się bezpośrednio sypialnie, czysto i porządnie choć skromnie urządzone. Obok sali dziennej znajdowały się również umywalnie i klozety. Pawilony obejmowały po 2—4 oddzielnych sypialń z 22 — 40 łóżkami. Przez cały dzień ulegały one ciągłej wentylacji. Miejsca do spania było dużo nawet w razie zupełnego zapełnienia pawilonów sypialnych, na głowę bowiem wypadało 3,38 m.^{2} powierzchni. a 20 m.^{3} powietrza.

System pawilonów przedstawiał tę dogodność, że umożliwiał oddzielanie poszczególnych wyznań i narodowości i zapobiegał w ten sposób rozmaitym sporom i nieporozumieniom. Hale obejmowały nadto jadalnie, obliczone na 3000 osób, werandy, kantyny. Jadalnie połączone były

z kuchniami, w których osobno gotowano dla chrześcijan, a osobno dla żydów, w obu wypadkach przy pomocy pary. Kaplica katolicka, kaplica ewangelicka i synagoga służyły do zaspokajania potrzeb religijnych mieszkańców hal. W Kaplicy katolickiej sprawował przez dłuższy czas obowiązki duszpasterskie ks. Fiema, Polak, któremu „Hapag" płacił stałą pensję.

Dla podróżnych, przyzwyczajonych do większych wygód, urządzone były osobne mieszkania, gdzie w każdej sypialni było tylko po 4 łóżka, a osobne jadalnie nie były wolne od pewnego taniego konfortu. Z mieszkań tych można było korzystać za osobną niewielką dopłatą.

Wzorowo urządzone hale hamburskie były największym na świecie tego rodzaju zakładem. Również na szeroką skalę zakrojone były hale Lloydu w Bremie, których dobrą stroną było to, że znajdowały się w mieście; umieszczony w nich emigrant miał większą swobodę ruchów i nie czuł się tak izolowany od świata, jak w halach hamburskich.

W Rotterdamie, gdzie miała swą siedzibę dyrekcja solidnej kompanji „Holland-Amerika Line" („*Nasm*") a oprócz tego, tak jak w Atwerpji, gnieździł się szereg agencji najgorszego gatunku, znajdował się od r. 1892 porządnie urządzony hotel dla emigrantów, obliczony na 700 łóżek i połączony z kaplicą, w której obowiązki kapelana pełnił ks. Bazyli Mazurkiewicz. Hotel ten utrzymywał „Nasm". W Antwerpji emigranci, odjeżdżający na statkach „Red Star Line", znajdowali pomieszczenie i wikt w wielkiej oberży „*America-Hotel*", założonej i utrzymywanej przez osobne Konsorcjum. W hotelu tym było 900 łóżek, w razie więc większego napływu pasażerów, część ich musiała korzystać z noclegów w rozmaitych małych hotelikach. W Tryeście miała „Austro-Americana" dla swych pasażerów osobne schronisko („*Hospizio Marino*", obliczone na 800 łóżek i na ogół dość porządnie urządzone. W schronisku tem założyło Polskie Towarzystwo Emigracyjne biblioteczkę dla pol-

skich emigrantów (w biblioteczki takie wyekwipowało P. T. E. również wszystkie pasażerskie statki „Austro-Americana”), z której jednak wychodźcy mało korzystali, może dlatego, że im książki niechętnie wydawano — „aby się nie niszczyły” — woląc je trzymać w szafie, od której klucza najczęściej nie można było odszukać.

We wszystkich portach raz jeszcze poddawano emigrantów badaniom lekarskim, wymieniano im gotówkę, o ile nie mieli jeszcze dolarów, i spisywano z nimi „manifesty” w myśl wymagań imigracyjnej ustawy Stanów Zjednoczonych.

Rozpoczynała się podróż morska (dla tych oczywiście, którzy ze względu na stan zdrowia i t. p. nie zostali zawróceni z portu do domu). Za dawniejszych lat podróż taka była dla emigrantów jednem pasmem udręczeń, bo ładowano ich jak śledzi w beczce, odżywiano bardzo licho i wieziono długo. Później jednak stosunki te o całe niebo się polepszyły. Sprawiła to z jednej strony wzajemna konkurencja między towarzystwami przewozowymi oraz rosnące wymagania wychodźców, z drugiej—ustawodawstwo amerykańskie, które okrętom, przybijającym do portów Unji, narzuciło szereg przepisów, dotyczących przewozu pasażerów. Najgorszą więc była podróż do Ameryki południowej, dokąd kompanje okrętowe wysyłały zwykle swe najlichsze i najmniejsze statki pasażerskie, często przeładowane po brzegi nie najlepiej odżywianymi i szorstko traktowanymi „międzypokładowcami”. Zresztą podróż na południową półkulę szczególnie męczyła także i z tego względu, że trwała długo i połączona była z przejazdem przez równik.

Niektóre kompanje okrętowe, jak np. „Holland America Line” i „Red Star Line” zniosły u siebie międzypokład („*Zwischendeck*”, „*Steerage*”) i zaprowadziły dla emigrantów urządzenia kajutowe III klasy, tak, iż spali oni w małych przedziałkach, zaopatrzonych każdy w 4, 6 lub

najwyżej 8 łóżek. Nadto spożywali tam wikt w osobnych jadalniach przy stołach i nie potrzebowali sami myć sobie naczyń, jak to się działo na „międzypokładzie". Ta ważna inowacja tak pociągała emigrantów, że powoli również i kompanje okrętowe niemieckie zaczęły na niektórych swych parowcach zaprowadzać III klasę, zachowując jednak jednocześnie i międzypokład dla tych, którzy woleli podróżować trochę taniej.

Podczas więc przeprawy morskiej do Stanów Zjednoczonych najczęściej mniej słusznych powodów do niezadowolenia nasuwał emigrantom wikt lub pomieszczenie, natomiast dokuczała im zawsze nuda a przedewszystkiem trapił niepokój, czy aby wolna Ameryka nie zamknie przed nimi swych wrót na Ellis Island.

III. Wychodźtwo do Kanady.

ROZDZIAŁ X.

Początki osadnictwa polskiego w Kanadzie. Statystyka imigracyjna w Kanadzie. Polacy w Kanadzie, ich repartycja i skupienia. Kolonizacja rządowa i prywatna.

Stany Zjednoczone stanowiły teren, do którego kierowała się główna fala wychodźtwa zamorskiego z Polski. Znacznie słabszym prądem płynęło ono również do Kanady, do Brazylji południowej i do Argentyny, że pominiemy już milczeniem Australję z Nową-Zelandją, Meksyk, Afrykę i rozliczne wyspy, z których nawet odległy archipelag Hawajski ma kilkaset mieszkańców polskich.

Najstarsza kolonja rolnicza polska w Kanadzie, pod nazwą Wilno, powstała w r. 1872, w powiecie Reufrew, w stanie Ontario. Pierwsi osadnicy przybyli tam w liczbie 300 osób z Kaszub, z lipuszowskiej parafji, później przyłączyli się do nich imigranci z Królestwa i Galicji. Obecnie kolonja ta liczy około 1000 rodzin i tworzy odrębną parafię polską, pod wezwaniem św. Stanisława. Parafia posiada *sześć szkółek polskich.* [1]) W chwili wybuchu wojny

[1]) „Młodzież mówi jedynie po polsku, każdą rzekę nazywa Wisłą, bo ten zwyczaj starzy z nad Wisły przywieźli".

(Ks. L. Redmer: „Kanada", „Przegląd Polsko-Amerykański", 1911, zeszyt 1, str. 66).

światowej liczbę polaków, osiadłych nastałe w Kanadzie, szacowano na 25.000, a polski ruch imigracyjny, który początkowo nosił charakter wyłącznie osadniczy, przybierać zaczął coraz bardziej formę wychodźtwa zarobkowego, czemu sprzyjał rozwój wielkiego przemysłu fabrycznego we wschodnich stanach kanadyjskich oraz budowa olbrzymich sieci kolejowych i niesłychanie ożywiony ruch budowlany w miastach zachodnich.

Statystyka imigracyjna w Kanadzie popełniała dotychczas ten błąd, że narodowość przychodźców zapisywała dosłownie w tem brzmieniu, jak oni sami się określali przy badaniach Komisji Imigracyjnej po wylądowaniu. Wychodźcy nasi, wskutek niskiego stopnia oświaty i nieznajomości języka angielskiego, a często wskutek słabego poczucia narodowego, rozmaicie określali swą narodowość, dzięki czemu nietylko wielu z nich zapisywano jako Rosjan, Niemców lub Austrjaków, ale nadto w niektórych zestawieniach statystycznych podzieleni są oni na kategorje: Polaków rosyjskich, Polaków pruskich, Polaków austrjackich, Polaków bez bliższego określenia i Galicjan. W tych samych zestawieniach jednocześnie figurują obok siebie osobne rubryki jeszcze dla Austrjaków, Bukowińczyków i t. p. jako odrębnych narodowości.

Według „The Canadian Jear Book 1911", wśród imigrantów do Kanady było w latach:

	1908	1909	1910	1911
Polaków z Rosji	736	258	738	800
„ z Prus	16	3	12	43
„ z Austrji	586	42	483	1.065
„ bez określenia . .	255	76	174	269
Galicjan	14.268	6.644	3.368	3.553
Rusinów	912	149	568	2.869
Żydów	7.712	1.636	3.182	5.146

Statystyka imigracji do Kanady od 1 lipca 1900 do 31 marca 1912 r.

z podziałem według prowincji.

	Prowincje morskie	Quebec.	Ontario	Manitoba	Saskatchewan	Alberta	British Columbia	Nie wyszczególnione	Razem
Rok fiskalny 190)—1901 .	2.144	10.216	6.208	11.254	14.160		2.600	2.567	49.149
„ „ 1901—1902 .	2.312	8.817	9.798	17.422	22.199		3.483	3.348	67.379
„ „ 1902—1903 .	5.821	17.040	14.854	39.535	43.898		5.378	1.838	128.364
„ „ 1903—1904 .	5.448	20.222	21.266	34.911	40.397		6.994	1.093	130.331
„ „ 1904—1905 .	4.128	23.666	35.811	35.387	39.289		6.008	1.977	146.266
„ „ 1905—1906 .	6.381	25.212	52.746	35.648	28.728	26.177	12.406	1.766	189.064
Okres fiskalny (9 mies.) 1906—1907	6.510	18.319	32.654	20.273	15.307	17.559	13.650	395	124.667
Rok fiskalny 1907—1908 .	10.360	44.157	75.133	39.789	30.590	31.477	30.768	195	262.469
„ „ 1908—1909 .	6.517	19.733	29.265	19.702	22.146	27.651	21.862	32	146.908
„ „ 1909—1910 .	10.644	28.524	46.129	21.049	29.218	42.509	30.721	—	208.794
„ „ 1910—1911 .	13.236	42.914	80.035	34.653	40.763	44.782	54.701	—	311.084
„ „ 1911—1912 .	15.973	50.602	100.227	43.477	46.158	45.957	51.843	—	354.237
Razem	89.474	309.422	504.126	353.100	608.965		240.414	13.211	2.118.712

Statystyka imigracji do Kanady

od 1-go stycznia 1897 do 31-go marca 1912

(daty zaczerpnięte z urzędowego wydawnictwa: „Immigration. Facts and Figures. Issued by the direction of the Han. Robert Rogers, Minister of the Interior", Ottawa, 1912.)

—	z Wielkiej Brytanji	ze Stanów Zjednoczonych	z innych państw	Razem
Rok kalendarzowy 1897 . .	11.383	2.412	7.921	21.716
„ 1898 . .	11.173	9.119	11.608	31.900
„ 1899 . .	10.660	11.945	21.938	44.543
Pierwsze sześć mies. r. 1900 .	5.141	8.543	10.211	23.895
Rok fiskalny 1900—1901 . .	11.810	17.987	19.352	49.149
„ „ 1901—1902 . .	17.259	26.388	23.732	67.379
„ „ 1902—1903 . .	41.792	49.473	37.099	128.364
„ „ 1903—1904 . .	50.374	45.171	34.786	130.331
„ „ 1904—1905 . .	65.359	43.543	37.364	146.266
„ „ 1905—1906 . .	86.796	57.796	44.472	189.064
Okres fiskalny (9 mies.) 1906-1907	55.791	34.659	34.217	124.667
Rok fiskalny 1907—1908 . .	120.182	58.312	83.975	262.469
„ „ 1908—1909 . .	52.901	59.832	34.175	146.908
„ „ 1909—1910 . .	59.790	103.798	45.206	208.794
„ „ 1910—1911 . .	123.013	121.451	66.620	311.084
„ „ 1911—1912 . .	138.121	133.710	82.406	354.237

Statystyka imigracji do Kanady od r. 1907/8 do r. 1911/12
z podziałem według narodowości imigrantów.

PRZYBYŁO:	1907—1908	1908—1909	1909—1910	1910—1911	1911—1912
Poddanych W. Brytanji	120.182	52.901	59.790	123.013	138.121
Afrykanów (połudn.)	76	53	97	86	144
Australijczyków	180	171	203	266	184
Austro-Węgrów	21.376	10.798	9.757	16.285	21.651
Belgijczyków	1.214	828	910	1.563	1.601
Bułgarów	2.529	56	557	1.068	3.295
Brazyljan	1	4	—	13	—
Chińczyków	1.884	1.887	2.156	5.278	6.247
Holendrów	1.212	495	741	931	1.077
Francuzów	2.671	1.830	1.727	2.041	2.094
Niemców	2.377	1.340	1.533	2.533	4.664
Mieszkańców zachod. Indji	278	159	203	455	393
Greków	1.053	192	452	777	693
Żydów	7.712	1.636	3.182	5.146	5.322
Włochów	11.212	4.228	7.118	8.359	7.590
Japończyków	7.601	495	271	437	765
Mieszkańców Nowej Funlandji	3.374	2.108	3.372	2.229	2.598
„ Nowej Zelandji	70	65	82	116	61

Portugalczyków	2	2	2	13	6
Polaków	1.593	376	1.407	2.177	5.060
Polaków	7	1	5	19	19
Rumunów	949	278	293	511	793
Rosjan	6.281	3.547	4 564	6.621	9.805
Finlandczyków	1.212	669	1.457	2.132	1.646
Duchoborców	—	—	—	41	24
Hiszpanów	61	32	42	197	191
Szwajcarów	195	129	211	270	230
Serbów	48	31	76	50	209
Duńczyków	290	160	300	535	628
Islandczyków	97	35	95	250	205
Szwedów	2.132	1.135	2.017	3.213	2.394
Norwegczyków	1.554	752	1.370	2.169	1.692
Turków	489	236	517	469	632
Ormian	563	79	75	20	60
Egipcjan	8	2	2	3	—
Syryjczyków	732	189	195	124	144
Arabów	50	4	14	3	2
Murzynów	136	73	7	12	138
Hindusów	2.623	6	10	5	3
Obywateli Stanów Zjednocz. (przez porty)	133	94	186	203	143
Meksykan	—	—	—	—	3
Obywat. Stan. Zjednocz. (drogą lądową)	58.312	59.832	103.798	121.451	133.710
R A Z E M	262.469	146.908	208.794	311.084	354.237

Galicjanie w statystyce tej (patrz tabl. str. 133.) oznaczają prawdopodobnie Rusinów galicyjskich, niewątpliwie jednak pod nazwą tą zapisana została również znaczna liczba Polaków z zaboru austrjackiego.

Według powszechnego spisu ludności z r. 1911 liczba przebywających wówczas w Kanadzie Polaków wynosiła 33.365; z liczby tej przebywało:

w prowincji	Alberta	2.243
„	British Columbia . . .	561
„	Manitoba	12.310
„	Nowy Brunświk	67
„	Nowa Szkocja	535
„	Ontario	10.602
„	Quebeck	3.228
„	Saskatchewan	3.785
„	Yonkon	34

Cyfr powyższych nie uważam za dokładne. Polaków, osiadłych w Kanadzie już na stałe, było napewno mniej, natomiast łącznie z imigrantami zarobkowymi, przebywającymi w Kanadzie czasowo, tworzyli oni grupę znacznie większą; przy spisie ludności część Polaków zapisana została niewątpliwie w rubryce „Austrjaków", która wykazuje cyfrę 129.103 i obejmuje przeważnie Rusinów galicyjskich, część zaś w rubryce „nieokreślonych" zamkniętej cyfrą 185.032.

Z liczby imigrantów polskich bardzo wielu zanotowano jako Amerykanów, ponieważ przybyli ze Stanów Zjednoczonych albo też podróż swą do Kanady odbywali przez Stany Zjednoczone.

Mówiąc o Kanadzie, jako terenie imigracyjnym, należy odróżniać Kanadę wschodnią od zachodniej. W Kanadzie wschodniej, częściowo noszącej jeszcze charakter kraju francuskiego i bardzo katolickiego, rząd obecnie kolonizacji na szerszą skalę nie prowadzi i wszystkie grunta, lepiej nada-

jące się pod kulturę rolną zostały już zajęte. Nieliczne polskie osady rolnicze, jakie powstały tam w czasach dawniejszych, są rozproszone i dla nowej imigracji atrakcji żadnej nie stanowią. Żywioł polski skupia się tu głównie w centrach przemysłowych, powstałych na północ od Wielkich Jezior, a więc w miastach: Montreal, Foronto, Hamilton, Niagara Falls, gdzie tworzy proletarjat fabryczny. Najliczniejszą kolonję polską, zresztą nawskroś robotniczą, ma Montreal (około 4 tysięcy osób), gdzie w dzielnicy Frontenac spotyka się polskie sklepiki, polskich piekarzy i innych rzemieślników i gdzie ma swą siedzibę kilka stowarzyszeń polskich, słabo wegetujących.

Znacznie korzystniejsze widoki dla przychodźtwa przedstawiała w ostatnich latach Kanada zachodnia, dokąd kierowała się też głównie fala imigracji osadniczej, pociągana rozdawanymi przez rząd lotami („homestead'ami"). W Kanadzie zachodniej, głównie w stanie Manitoba, najwięcej spotkać można było polskich kolonistów, zresztą silnie pomieszanych z Rusinami, których przewaga liczebna wszędzie wybitnie się uwydatniała, sprawiając, że w niektórych okolicach rozproszeni wśród nich polacy galicyjscy zaczęli ulegać rutenizacji. Tylko w Camrose i w Kolonji Kraków (prowincji Alberta), przylegającej do tegoż obszaru, mieli Polacy liczebną przewagę.[1])

Centrum polskiego życia w Kanadzie wytworzyło się w mieście Winnipeg, gdzie osiadło przeszło 2 000 Polaków, skupiających się w osobnej dzielnicy. W Winnipegu wychodził tygodnik polski („Gazeta Katolicka"), wydawany przez angielsko - kanadyjskie przedsiębiorstwo katolickie

[1]) Liczbę Rusinów, osiadłych w Kanadzie, oceniono na 150.000 do 200.000 osób. Zorganizowani w związek „Farmerskij Sojuz" posiadali oni 6 własnych tygodników, liczne partje i szkoły. W Brandon istniało rządowe rusińskie seminarjum nauczycielskie, podobnie pomyślane, jak polskie w Manitobie.

„Western Canadian Publishing Company", a w r. 1913 powstał drugi tygodnik p. t. „Gazeta Narodowa", istniała tam polska parafja, kierowana przez księży z zakonu O.O. Oblatów, była parafjalna szkoła, do której uczęszczało przeszło 400 dziatwy. Tutaj miało też swą siedzibę kilka stowarzyszeń polskich oraz rządowe polskie seminarjum nauczycielskie, polskie w tym jedynie znaczeniu, że językiem wykładowym jest polski, pozatem atoli niema tam w programie ani polskiego języka, ani polskiej historji lub literatury, a zakład utworzony został przez rząd dla celów asymilacyjnych.

Zakrojone na olbrzymią skalę dzieło kolonizacji rządowej podziwiać można w stanach Manitoba, Saskatchewan i Alberta. Mapa kolonizacyjna tych stanów przedstawia się jakby ogromna sieć, której oczkami są kwadraty, odpowiadające każdej kwadratowej mili angielskiej i zawierające po 4 normalne farmy 160 akrowe (około 4 włók). Grubszemi linjami oznaczone są na mapie większe kwadraty o 36 kwadr. milach obszaru („townships"), które po zaludnieniu stanowią minimalną jednostkę samorządną. W każdym takim kwadracie przeznacza się zgóry 8 farm na fundusz szkolny, a reszta 136 farm, o ile niema gruntów kolejowych i już zajętych, jest do wzięcia. Mapy takie wychodzą w druku każdego roku na podstawie najświeższych danych, a czerwone cyfry w każdym dużym kwadracie oznaczają ilość farm jeszcze nie zajętych. W każdej kancelarji gruntowej („Land Office"), które są gęsto rozsiane po całym kraju, dostać można mapki dużych kwadratów z oznaczeniem wszystkich farm niezajętych do ostatniej chwili. Wybrać i zapisać na swoje imię jedną 160 akrową farmę („konestead") może każdy, kto ukończył 18-ty rok życia (albo wdowa), kto uiścił taksę 10 dolarów i albo jest poddanym angielskim, albo też wyraził gotowość naturalizowania się w Kanadzie. Definitywny tytuł posiadania bez żadnych dodatkowych opłat otrzymuje się dopiero po upły-

wie 3-ch lat i po zadośćuczynieniu przepisanym ustawą warunkom (osiedlenie się na farmie nie później jak w 6 miesięcy po zapisaniu, pobyt na farmie niemniej jak przez 6 miesięcy w ciągu każdego roku, wyoranie conajmniej 30 akrów i zebranie plonów conajmniej z 20 akrów, ogrodzenie farmy i wystawienie domu oraz innych niezbędnych zabudowań o wartości conajmniej 300 dolarów, wreszcie przyjęcie obywatelstwa angielskiego). Każda osoba może otrzymać bezpłatnie tylko jedną farmę, następne zaś, jeśli kto chce, może kupować od kompanji kolonizacyjnych lub osób prywatnych. „Homestead" rządowy po wyrobieniu definitywnego tytułu własności przedstawiał wartość conajmniej tysiąca dolarów.

Oprócz rządu kolonizacją w wielkich rozmiarach zajmują się w Kanadzie również towarzystwa kolejowe, jak: „The Canadian Pacific", „The Alberta Railway and Irrigation Company", „Qu'Appelle, Long Lake and Saskatchewan Railway Company", „The Calgary and Edmonton Railway Co.", Kompanja „Canadian Pacific", która jest jednocześnie towarzystwem okrętowem (ma własne floty na Atlantyku i Pacyfiku), kolejowem, hotelowem i kolonizacyjnem, przeprowadza na swych gruntach najrozleglejszy z wykonanych dotychczas w Ameryce plan robót irygacyjnych. Terenem tych robót jest obszar położony na wschód od miasta Calgary w prowincji Alberta. Również inne kompanje kolonizacyjne sprzedają grunta sztucznie nawodniane. Cena ich wynosi po 20 dolarów za akr i wyżej, wtedy gdy ziemie nienawodniane te same kompanje sprzedają po 17 dol. 50 ct. za akr lub drożej.

Gleba w zachodniej Kanadzie jest rozmaita, przeważnie bardzo żyzna, warunki atmosferyczne zależne od położenia; w północnych okolicach długotrwała zima i wczesne przymrozki mniej sprzyjają rolnictwu, w innych zaś brak deszczów wymaga sztucznego nawodniania. Naogół gospodarstwa prosperują bardzo dobrze.

Dla kolonizacji polskiej ważną jest okoliczność, że aby zostać właścicielem „homestead'ów" rządowych, t. j. aby módz zadość uczynić przepisanym ustawą kolonizacyjną warunkom, trzeba rozporządzać odrazu dość znacznym stosunkowo kapitałem, potrzebnym na zagospodarowanie się i życie do czasu pierwszych zbiorów. Koszta niezbędnego inwentarza i narzędzi rolniczych wynoszą około 1.000 dolarów, budowa domu i stajni minimalnie 125 dol., na utrzymanie do pierwszych zbiorów potrzeba mieć drugie tyle, razem tedy nowy kolonista musi rozporządzać gotówką mniej więcej 1.250 dolarów. Jeśli dodamy do tego znaczne koszta podróży morskiej i lądowej, to w sumie wypadnie kapitał, który chłopu naszemu umożliwiłby nabycie przy pomocy kredytu gospodarstwa w kraju ojczystym. Na farmy kanadyjskie emigrować więc mogą tylko posiadacze pewnych kapitałów, np. włościanie małorolni, wychodźtwo zaś takie w każdym wypadku uznać należy ze względu na interes krajowy za szkodliwe. Również pod względem narodowym polskie wychodźtwo osadnicze do Kanady nie miałoby żadnej przyszłości, pomijając już bowiem wzgląd, że asymilacyjne wpływy anglosaskie działają w Kanadzie równie silnie jak w Stanach Zjednoczonych, obecnie nie mogłoby już być mowy o tworzeniu tam na roli zwartych skupień polskich na szerszą skalę.[1])

---

[1]) Porównaj: Józ. Okołowicz: „Kanada. Garść wiadomości dla wychodźców", Kraków, 1913; artykuły o stosunkach kanadyjskich Jul. ks. Tarnowskiego, J. Kowalczyka, D-ra B. Gerżabka i D-ra Nap. Czarnockiego w „Polskim Przeglądzie Emigracyjnym", rozprawę tegoż autora p. t. „Spółki rolnicze w kraju i na obczyźnie, w szczególności w Kanadzie", ogłoszoną w „Pamiętniku pierwszego polskiego Kongresu Narodowego w Waszyngtonie", artykuły ks. Jana Taranowicza w „Pracy" (ludowym organie P. T. E.) z r. 1912 (str. 518, 531 543 i 568).

ROZDZIAŁ XI.

Imigracja zarobkowa i rozwój gospodarczy Kanady. Robotnicy polscy przy budowie kolei, eksploatacji lasów i robotach budowlanych miejskich. „Reading Camp Assiociation". Zarobki robotników i koszta utrzymania.

Imigracja zarobkowa do Kanady kierowała się głównie do robót rolnych, ziemnych i budowlanych oraz do eksploatacji lasów.

Zarobkujących dzielono na dwie grupy: na tak zwanych „bortników", czyli robotników bezżennych i na robotników, utrzymujących rodzinę. „Bortnicy" mieszkali po stancjach prywatnych i cieszyli się nienajlepszą sławą. „Bortnictwo" obok pijaństwa i pieniactwa, to największa plama galicyjskiego wychodźtwa w Kanadzie. Często także przedsiębiorstwo dawało robotnikom tak bezżennym, jak żonatym całkowity wikt i mieszkanie i z tego tytułu odciągało przy wypłacie 60—70 cnt. z dziennego zarobku. Życie takie wypadało taniej od prywatnego. Wikt bowiem restauracyjny kosztował od 20—30 dol. miesięcznie mieszkanie zaś 4—6 dol.

Dążeniem każdego pracowitego robotnika, mającego rodzinę, było wystawienie własnego domku. Domki to małe, drewniane i piętrowe, o 6—8 ubikacyach. Koszta budowy wynosiły 1.500—2.000 dol., nie wliczając wartości samej parceli budowlanej, którą można było zakupić na długoterminowe spłaty.

Wiele robotników naszych w Montreal i w Winnipegu posiadało własne domki, jeden obok drugiego, tworząc w ten sposób zarodki polskich dzielnic w tych miastach.

Znaczna część polskich imigrantów po przybyciu do zachodniej Kanady znajdowała zarobki przy budowie kolei. W r. 1912/13, kiedy zwiedzałem Kanadę, zarobki te

nie ustawały nawet w porze zimowej. Obliczano, że Kanadzie codzień przybywało kilka mil nowego toru kolejowego. W ostatnich latach przed wojną budowa nowych kolei czyniła największe postępy w prowincjach zachodnich. Jak olbrzymi ruch panował tam w tej dziedzinie i jakie zastępy robotników znajdowały pracę, można nabrać pojęcia z zestawienia następujących cyfr, wyjętych ze sprawozdań czterech Kompanji Kolejowych: „Canadian Pacific", „Great Northern", „Canadian Northern" i „Grand Frunk". A mianowicie długość toru kolejowego, oddanego pod ruch pasażerski i towarowy, wynosiła w milach angielskich:

w roku:	w Manitobie:	w Saskatchewanie:	w Albercie:
1893	1.470	748	807
1900	1.815	993	908
1902	2.128	1.102	978
1906	2.823	1.973	1.200
1910	3.526	3.350	1.774
1912	3.895	4.803	2.661

Z cyfr powyższych wynika, że w trzech tych prowincjach w przeciągu sześciu lat (1906—1912) wybudowano nie mniej jak 5.363 mile ang. nowych kolei żelaznych, z czego na rok 1912 przypada aż 1.250 mil. Razem trzy te stany posiadały z nastaniem 1913 r. 11.359 mil toru kolejowego! Łatwo się domyśleć, że nie tylko budowla nowych linii, ale także i konserwacja toru przy tak olbrzymiej sieci kolejowej wymaga tysięcy rąk roboczych. Trzeba też pamiętać, że obok wymienionych wyżej prowincji, także i w innych okolicach budowano wciąż nowe koleje, a szczególny ruch pod tym względem panował w r. 1913 w najbardziej zachodniej prowincji British Columbia. Roboty prowadzone były przeważnie w północnych bardzo odległych okolicach, niekiedy górzystych, często leśnych, zawsze prawie zupełnie pustych i dzikich. Dopiero budująca się kolej miała je uprzystępnić dla osadnictwa i zdobyć dla cywili-

zacji. Zatrudnieni przy budowie robotnicy mieszkali, albo, ściślej mówiąc, spali w barakach, namiotach lub też, co najczęściej się zdarzało, w wagonach kolejowych. Zazwyczaj przedsiębiorstwo budowy dawało im gotowy całodzienny wikt, który, jak mi opowiadano, bywał z reguły obfity i pożywny, rzadko kiedy nasuwając powód do narzekań. Za wikt ten przedsiębiorstwo budowy potrącało robotnikom przy wypłacie zarobków umówioną zgóry kwotę. [1]).

---

[1]) Nastrój wychodźcy, który świeżo przybył do Kanady i znalazł pracę przy budowie kolei, doskonale charakteryzuje nastepujący list, chłopa emigranta z Galicji Wschodn. pisany do rodziny a ogłoszony w „Pracy” (Rok 1913, str. 260).

Pochwalony Jezus Chrystus! Donoszę Wam wiadomość, że jestem zdrów, czego i Wam życzę, że jestem przy robocie na kolei, od Ottawy 57 mil. Zakładamy nowe progi i bardzo mi ciężko, bo tutaj nie taka robota jak w kraju. Jak człowiek weźmie się do roboty i przerobi do południa 5 godzin, to nakoniec nie można łopaty w omdlewającej ręce utrzymać. Łopata nie taka, jak u nas, ale bardzo ciężka, a przytem słonko tak grzeje, że nie można wytrzymać, bo koszula i spodnie takie mokre, jakby kto z wody wyciągnął. Tam u nas, żeby kto dawał 10 koron, niktby nie chciał iść do takiej roboty, a tu człowiek musi, bo z głodu nie będzie umierał, bo dom i swoja familja, rodzina bardzo daleko, niema kto dać jeść, jak sobie człowiek sam nie zarobi toby z głodu umarł.

„Tam w kraju sobie myślą, że tu w Kanadzie lekko te dolary przychodzą, a tu ciężkie są te dolary. Nasamprzód na rękach ma człowiek dolara, że mu się krew leje z rąk, pot oczy zalewa i nie można świata bożego widzieć. A to się musi wszystko robić, nie tak jak w kraju rozglądać za gruszkami. Kto się chce nauczyć robić, daleko od miasta, od swoich ludzi, ten się tu tego nauczy. Niema nikogo od nas tam, gdzie ja robię. Wśród tej obczyzny to mi bardzo żal i nudno, bo tu się robi całkiem na polu, tu się nocuje w wagonach, tu człowiek śpi, jak świnia w barłogu i bardzo nie dobrze. A płaca wynosi 1 dolara 65 centów, wikt zaś kosztuje 39 centów na dzień. Nie wziąłem jeszcze pejdy (zapłaty), bo tu wypłacają raz na miesiąc. Moja kochana rodzino, jakbym Was ujrzał, tobym umarł z radości, bom już tak dawno nie widział nikogo z moich ludzi, bo mi bardzo smutno i kościoła nigdzie nie widzieć. Wy tam może my-

Jedno z największych tego rodzaju przedsiębiorstw, firma Foley, Welch and Steward w Vancouverze (Brit. Columbia), do której zwróciłem się po informacje, zatrudniało w latach 1912—1913 stale około 5.000 robotników, budując linie kolejowe dla kompanji „Grand Trunk" i „Great Eastern". W liczbie tych 5.000 robotników znajdowało się około 1.000 wychodźców z Galicji i Królestwa. Szef firmy, który udzielał mi wyjaśnień, uważał Polaków za swych najlepszych pracowników. Robotnicy, zatrudnieni przy robotach ziemnych, pobierali po 2 dol. 75 ct. zimą a po 3 dol. na wiosnę, latem i jesienią. Różnica w wysokości płacy wynikała stąd, że zimową porą najwięcej było zgłoszeń o pracę ze strony robotników, gdyż w tym czasie najmniej ich zatrudnia rolnictwo. Przodownicy („foreman") pobierali po 60—100 dol. miesięcznie, kucharze po 50—90 dol. Dzień roboczy trwał 10 godzin. Za mieszkanie w barakach robotnicy nic nie płacili; pożywienia dostarczało im przedsiębiorstwo, potrącając za nie przy wypłatach po 80 ct. do 1 dol. dziennie, 1 dol. miesięcznie płacili robotnicy na koszta opieki lekarskiej (w zamian otrzymywali w razie choroby poradę lekarską, szpital i lekarstwo bez osobnej opłaty). Wszyscy ci robotnicy ubezpieczeni było od nieszczęśliwych wypadków na koszt przedsiębiorstwa w myśl ustawy, obowiązującej w prowincji British Columbia.

Podobne mniej więcej stosunki panowały przy innych przedsiębiorstwach, budujących koleje lub eksploatujących lasy. Skargi na złe obchodzenie się lub nierzetelną wy-

---

ślicie, że ja tu pieniądze marnuję. Oj, moi kochani, nie, bo tu pieniądze lekko nie przychodzą. Tu te centy bardzo ciężkie, nie jak u nas. Nie jest mi tu wesoło ani raz i swoim porządkiem, czasem we wolniejszej chwili to się człowiek dobrze rozpłacze. Moja rodzino, to Wam piszę tak, jakie moje powodzenie, czytajcie i słuchajcie, o mnie nie zapominajcie, a piszcie, bo ja nie mam czasu teraz pisać i ręce moje od roboty jak ołowiane".

płatę dawniej powtarzały się częściej, w ostatnich atoli latach bywały rzadkie i dotyczyły najczęściej drobnych przedsiębiorców. Częściej już słyszałem narzekania na klimat, który, chociaż wszędzie zdrowy, w środkowych prowincjach dokucza zbyt długą i surową zimą. Wielu wychodźców trapiła nadto tęsknota i nuda. Żalono się, że na miejscu niema kościoła, niema też żadnych zgoła rozrywek. Gdy przychodziło święto, przynosiło z sobą ten smętek, który wieje do pustego stepu lub głuchej puszczy leśnej. Gdzie istniała możność dostania trunków alkoholicznych, ten i ów upijał się. Z takich jeden przepijał cały swój zarobek, inny wszczynał awantury z towarzyszami pracy i niekiedy w stanie nietrzeźwym dopuszczał się zbrodni. Aby pracownikom tym uprzyjemnić życie, a jednocześnie dać naukę, zawiązało się w Kanadzie towarzystwo, złożone z ludzi wykształconych a przejętych szczerą miłością bliźniego. Członkowie tego towarzystwa „Reading Camp Association" przyłączali się do partji robotniczych, pracujących przy budowie dróg lub eksploatacji lasów w miejscowościach najbardziej dzikich i odległych i tam bezpłatnie udzielali robotnikom lekcji w godzinach wieczornych i w dnie świąteczne. Cudzoziemców uczyli przedewszystkiem mówić, czytać i pisać po angielsku, nadto wykładali arytmetykę, nauki przyrodnicze, geografię i inne przedmioty, których wybór pozostawiony bywał najczęściej samym uczniom. Wobec tego, że towarzystwo to pomimo pobieranych subwencji nie posiadało dość funduszów, aby ponosić koszta utrzymania wszystkich swych członków, trudniących się takiem nauczycielstwem, wielu z nich musiało na utrzymanie swe zarabiać z łopatą w ręku. W ten sposób spotkać można było młodych ludzi, którzy pokończyli uniwersytety i mogliby zajmować dobre posady po miastach i żyć tam wygodnie, którzy jednak, przejąwszy się swem szlachetnem posłannictwem, pracowali ciężko jako prości robotnicy i żyli jak oni, aby módz podzielić się z nimi dobrodziejstwem

oświaty. Zasługa tem większa, że ludzie ci pracowali przecie nie dla swych rodaków, lecz dla obcych przybyszów, niekiedy przykrych w pożyciu i mało kulturalnych, często nie umiejących sylabizować nawet w swym ojczystym języku! Niestety członków tego pożytecznego towarzystwa było za mało, aby choć czwarta część rozrzuconych po borach i stepach wychodźców naszych w Kanadzie mogła korzystać z ich poświęcenia [1]). Olbrzymia większość naszych robotników była tam pozbawiona wszelkiego kierownictwa, czuła się jak na wygnaniu, żyła trybem życia zwierząt roboczych, a, o ile nie oddawała się pijaństwu, jedyną przyjemność znajdować mogła w posyłaniu zaoszczędzonych pieniędzy do kraju ojczystego.

Pod tym względem lepsze było położenie tych wychodźców, którzy znaleźli pracę w miastach. Tutaj znów największą okazję do zarobków nastręczał niesłychanie silnie rozwinięty ruch budowlany. Aby dać pojęcie, jak nadzwyczajnie szybko rosły i zabudowywały się miasta zachodnio-kanadyjskie, co zresztą świadczyło wymownie o pomyślnym rozwoju gospodarczym całego kraju, wystarczy przytoczyć kilka cyfr statystycznych, dotyczących szacunkowej wartości realności w rozmaitych miastach prowincji Manitoba, Saskatchewan i Alberta. Mianowicie urzędowy szacunek domów i placów, sporządzony przez władze w celach podatkowych, stwierdzał ich ogólną wartość w dolarach (patrz tabl. str. 149).

Z tabelki tej widzimy, że w takiem nap. Edmonton (miasto to liczyło w r. 1901 tylko 2.626 mieszkańców, a w r. 1912 miało ich już około 53.000) wartość realności, która w r. 1904 wynosiła 2.580.986 dol., w r. 1912, czyli w ośm lat później, podskoczyła już do 123 miljonów 512.590 dolarów, to znaczy zwiększyła się prawie 50 razy. Nawet

[1]) Porównaj: Alfred Fitzpatrick, „The Rule of Three in the Bush", „Canada Monthly" January 1913.

Wartość domów i placów w 7-miu miastach Kanady.

(w dolarach)

MIASTO	w roku 1904	w roku 1906	w roku 1910	w roku 1911	w roku 1912
Brandon	3.345.789	8.044.946	9.573.740	12.415.310	13.626.760
Calgary	4.099.437	7.771.921	30.796.092	52.747.600	111.598.135
Edmonton	2.580 986	15.980.248	30.105.110	46.494.740	123.512.590
Moose Jaw	1.662.990	3.951.770	15.090.383	20.006.099	56.755.468
Regina	2.284.710	6.448.000	18.211.950	34.840.733	54.999.942
Saskatoon	555.094	2.517.145	10.571.215	23.392.528	39.867.465
Winnipeg	41.106.870	69.624.550	157.608.220	172.677.250	214.360.440

na stosunki amerykańskie był to rozwój wprost bajeczny. Przytoczona powyżej tabelka świadczy, że rozwój ten był stałym od szeregu lat, obejmując w mniejszej lub większej mierze wszystkie ważniejsze miasta [1]).

Oczywiście ten nadzwyczaj silny i wzmagający się coraz bardziej ruch budowlany w miastach wytwarzał zapotrzebowanie na tysiące rąk roboczych i ułatwiał znalezienie tam pracy nowym przybyszom z Europy, jednocześnie zaś

---

[1]) O nadzwyczajnym rozwoju życia gospodarczego zachod. Kanady niech świadczą jeszcze następujące cyfry:

Zbiór pszenicy	w r.	1900	wynosił	23	miljonów	buszli
,, ,,	,, ,,	1911	,,	194	,,	,,
,, owsa	,, ,,	1900	,,	16	,,	,,
,, ,,	,, ,,	1911	,,	212	,,	,,

Produkcja górnicza przedstawiała

w r. 1886	wartość	10	miljonów	dolarów,
,, ,, 1896	,,	22,5	,,	,,
,, ,, 1906	,,	79,3	,,	,,
,, ,, 1910	,,	107	,,	,,

Liczba przedsiębiorstw przemysłowych 15.000 w r. 1900 doszła w r. 1910 do 19.000 (+13%), a kapitał inwestowany w nich wzrósł w tym czasie z 447 na 1246 miljonów dolarów, t. j. o 179%, liczba funkcjonarjuszy z 339.000 na 514.000, zarobki zaś ich z 113 miljonów dol. na 241 mil. dol.

Miasta liczyły mieszkańców:

	w r. 1901	w r. 1911
Montreal	267.700	470.480
Toronto	208.040	376.538
Winnipeg	42.340	136.035
Vancouver	27.010	75.000
Calgary	12.000	70.000
Edmonton	2,626	50.000
Saskatoon	113	37.000

wzbogacał tych wychodźców, którzy, znalazłszy się w Kanadzie wcześniej, zdążyli już nabyć na własność jakie domy lub place. Niestety zarobki tak przy robotach budowlanych, jak przy kolei i eksploatacji lasów, jak wreszcie w rolnictwie nosiły przeważnie charakter sezonowy i ustawały z nastaniem zimy. Zima zmieniała też zawsze układ stosunków na Kanadyjskim rynku pracy, niekiedy kształtując je bardzo niepomyślnie i tworząc olbrzymią armję bezrobotnych, zmuszanych bezczynnie konsumować poczynione latem oszczędności.

Przemysł fabryczny, bujnie rozwijający się tylko w miastach wschodnich, nie wytwarzał dostatecznego zapotrzebowania sił roboczych, a również przemysł górniczy, mający główne swe ognisko w górach Skalistych nie mógł zatrudniać nadmiaru robotników, tworzącego się z chwilą zimowej przerwy w robotach, prowadzonych w otwartem polu. Rzemieślnicy mieli widoki na powodzenie o ile znali język angielski.

Wracając do sprawy zarobków robotniczych, należy podkreślić, że w Kanadzie były one z reguły tem wyższe, im bardziej na zachód, ale w tym samym mniej więcej stosunku rosły też koszta utrzymania. Niewykwalifikowany robotnik imigrant zarabiał w prowincji Queber 2 dol. dziennie, w Monitobie 2 dol. 25 ct. w Saskatchewan 2 dol. 50 ct., w Albercie 2 dol. 70 ct., w British Columbia nad Pacyfikiem 3 dolary. Kompanje okrętowe, ze względu na to, że dawały robotnikom wolny przejazd na miejsce pracy płaciły mniej, a mianowicie: na wschodzie 20 ct. za godzinę, na zachodzie zaś po 25 ct. Płaca nadzorców (t. zw. („foreman'ów“ lub „boos'ów“) oraz rzemieślników, władających językiem angielskim, dochodziła do 4 — 5 dol. dziennie. Praca w kopalniach trwała 8 godzin, w innych przedsiębiorstwach 10 godzin; praca na akord była prawie nieznana. Ubezpieczenie od wypadków i na starość odbywało się na koszt samego robotnika, któremu na ten cel praco-

dawca potrącał przy wypłacie. Stosunek pracodawcy czy nadzorcy do robotnika był przeważnie znośny.

ROZDZIAŁ XII.

Pośrednictwo pracy w Kanadzie, rządowe i prywatne. Polityka imigracyjna Kanady. Przepisy imigracyjne. Widoki na przyszłość.

Pośrednictwem pracy dla robotników zajmowały się w Kanadzie instytucje różnorodnego typu. Kanadyjski rząd federalny urzędów pośrednictwa pracy, w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie utrzymywał. Biura bowiem, istniejące przy zakładanych przez rząd federalny domach imigracyjnych (tak zw. „Employement Offices“) wskazywały pracę tylko robotnikom rolnym i to przeważnie tylko podczas żniw. Miały więc one pod tym względem bardzo wązki zakres działania, a głównem zadaniem urzędników takich biur było rozciąganie opieki nad świeżo przybyłymi imigrantami. Urzędnicy hal imigracyjnych, założonych i utrzymywanych przez kanadyjski rząd centralny w portach i w miejscowościach najważniejszych dla ruchu imigracyjnego, (jak np. Winnipeg) dyżurowali przy nadejściu wszystkich pociągów, wiozących przychodźców. Tych imigrantów, którzy sobie tego życzyli (przymusu pod tym względem nie było żadnego) odprowadzali oni do położonych przy samym dworcu budynków, gdzie znajdują się wygodnie urządzone sypialnie, skład na pakunki pasażerskie, pokój z kuchenką dla przyrządzenia strawy oraz rządowe bezpłatne biuro informacyjne („Employement Office“). Każdy świeżo przybywający do Kanady imigrant mógł przez 7 dni z rzędu otrzymywać w halach imigracyjnych bezpłatne mieszkanie (bez wiktu) bez względu na to, czy jechał z rodziną, czy

sam i czy posiadał przy sobie jakie fundusze lub nie. Te siedem dni miały im służyć nie tyle do wypoczynku, co raczej do jakiego takiego rozejrzenia się w miejscowych stosunkach i wystarania się o pracę lub o grunta. Urzędnicy imigracyjni (wśród których trafiali się również Polacy) wystawiali imigrantom karty legitymacyjne, uprawniające do zniżek kolejowych (karty te wystawiane były tylko takim imigrantom, którzy mogli udowodnić, że świeżo przybyli z za morza), nadto zaś mieli obowiązek udzielania przychodźcom wszelkich potrzebnych informacji i wskazówek oraz pouczania ich szczegółowo, gdzie i na jakich warunkach mogą otrzymać zajęcie, zwłaszcza przy rolnictwie i robotach ziemnych.

Urzędami pośrednictwa pracy, w ścisłem tego słowa znaczeniu, bo stręczącemi pracę przez cały rok i robotnikom różnego rodzaju, były biura, utrzymywane przez rządy prowincjonalne („Provincional Employement Offices"). Świadczenia tych biur były również bezpłatne. Za zezwoleniem rządu federacyjnego sprowadzały one niekiedy robotników ze Stanów Zjednoczonych lub Europy. Podobny wypadek zaszedł nap. w r. 1912 w Winnipegu. Wobec tego, że w mieście tem, jak również w całej prowincji Manitoba odczuwał się wielki brak dziewcząt służących, miejscowy prowincjonalny urząd pośrednictwa pracy sprowadził je z Europy w liczbie około 300.

Do publicznych biur pośrednictwa pracy należały również urzędy, utrzymywane dla spraw tych przez miasta. Zazwyczaj miały one swój lokal w ratuszu i stręczyły robotników tylko do robót, prowadzonych pod zarządem miasta, oczywiście nie pobierając od robotników za pośrednictwo to żadnych opłat.

Z instytucji obywatelskich, które w zakres swego działania wciągnęły pośrednictwo pracy, wymienić należy przedewszystkiem rozmaite stowarzyszenia filantropijne,

które stręczą pracę głównie ubogim, nie mogącym jej znaleźć. Taką instytucją jest np. „Związek miłosierdzia“ („Associated Carities”). Działalność jego jest zbliżona do działalności naszego stowarzyszenia św. Wincentego à Pau-o. W Winnipegu towarzystwo to pobierało bardzo znaczne subwencje tak ze strony miasta, jakoteż ze strony osób prywatnych. Znaczenie jego i wpływ były znaczne. Członkiem mógł być każdy bez względu na swe wyznanie i narodowość. Zarząd towarzystwa spoczywał jednak głównie w rękach metodystów.

Do organizacji, które robotnikowi kanadyjskiemu stręczyły prace, należały także Unje robotnicze i związki fabryczne.

Kanadyjskie Unje robotnicze pod względem swej organizacji i działalności są podobne do Unji w Stanach Zjednoczonych i są też od tamtych zależne. Unje stręczą prace tylko swoim członkom, płacącym regularnie wkładki. Tymi zaś członkami, którzy przez trzy miesiące z rzędu zalegają z opłatą wkładek, Unje przestają się opiekować. Oczywiście poza pośrednictwem pracy Unje robotnicze świadczą swym członkom rozmaite inne przysługi, utrzymują kasy zapomogowe, występują w obronie ich interesów, organizują strejki dla podwyższenia płacy lub skrócenia dnia roboczego i t. d.

Przeciwstawieństwem Unji robotniczych były w Kanadzie Związki, które tworzą fabrykanci. Miały one na celu sprowadzanie w razie potrzeby robotników nawet z poza granic Ameryki. Takim związkiem była nap. „Canadian Manufacture Association”. Aby jednak taki związek fabrykantów mógł sprowadzać do Kanady robotników z zagranicy, musiał na to każdorazowo wyrabiać sobie zezwolenie rządu federacyjnego.

Prawdopodobnie z powodu braku większej własności rolnej nie było w Kanadzie takich stowarzyszeń rolniczych,

któreby do zadań swych zaliczały także sprowadzanie robotników do gospodarstw wiejskich. Zastępowały je pod tym względem poniekąd biura przy rządowych domach imigracyjnych, przedewszystkiem zaś prowincjonalne urzędy pośrednictwa pracy.

Pośrednictwem pracy trudniły się w Kanadzie również agencje prywatne. Naogół agencje, mające tam styczność z naszymi wychodźcami, można było w latach, poprzedzających wojnę, podzielić na trzy kategorje: 1) agencje, które zajmowały się wyłącznie tylko pośrednictwem pracy, czyli tak zw. „Employement Offices", 2) firmy, prowadzące obok działu pośrednictwa pracy, rozmaite przedsiębiorstwa, t. j. tak zwane „General Agencies" i 3) agencje, zajmujące się pośrednictwem pracy tylko przygodnie, bo mające za swą specjalność stręczenie kupna gruntów i realności, czyli tak zw. „Real Estate Agencies". Najszerszy zakres działania miały owe „agencje generalne", które zajmowały się równocześnie sprzedażą majątków imigrantów w kraju ich pochodzenia, sprawami spadkowemi i wojskowemi, wyrabianiem pełnomocnictw, zawieraniem aktów kupna i sprzedaży, wystawianiem aktów darowizny, skryptów dłużnych i t. d., jednem słowem miały zakres działania zbliżony do czynności tak zw. „notary public" w Stanach Zjednoczonych. Agencje te były zazwyczaj jednocześnie agencjami kompanji okrętowych, banków i towarzystw asekuracyjnych i trudniły się przesyłką pieniędzy oraz pośrednictwem przy kupnie gruntów i realności. Właściciele tych „agencji generalnych" obowiązani byli składać kaucję w wysokości 50.000 dolarów lub też wykazać się u władz poręczeniem hipotecznem w odpowiedniej wysokości. Za pośrednictwo swe pobierały one od imigrantów opłaty w rozmaitej wysokości, zależnie od umowy.

Prywatne biura pośrednictwa pracy mogły pobierać

od robotników przepisaną przez władzę taksę w wysokości 1 dolara, natomiast od pracodawców biura te nie wymagały żadnych opłat. Rozrzucone one były po całej Kanadzie w rozmaitych miastach i miasteczkach; polskich i rusińskich najwięcej było w Winnipegu.

Naogół opinja o prywatnych agencjach w Kanadzie jest chwiejna. W ostatnich latach reputacja niektórych z nich była nienajgorsza, dawniej jednak w wielu z nich działy się straszne nadużycia. Pobrawszy nap. od świeżo przybyłych z Europy robotników wysokie opłaty za pośrednictwo pracy, wysyłano ich do odległych miejscowości, gdzie jednak robotnicy ci nie znajdowali żadnej roboty, bo jej tam wcale nie było. W innych znów wypadkach obiecywano robotnikom zarobki znacznie większe od rzeczywistych lub też zupełnie inaczej przedstawiano warunki pracy, co tem łatwiej przychodziło, że w Kanadzie pisemne kontrakty o pracę rzadko kiedy bywają zawierane, bo zazwyczaj zastępuje je umowa ustna. Również licznych oszustw dopuszczano się w agencjach tych na robotnikach-wychodźcach przy sprzedaży kart okrętowych, lokowaniu oszczędności i wysyłce pieniędzy do kraju. Krzywd takich na naszych emigrantach dopuszczali się bardzo często także agenci Polacy lub Rusini.

W ostatnich jednak czasach nadużycia w prywatnych agencjach pośrednictwa w Kanadzie jeśli nie ustały zupełnie, to przynajmniej zmniejszyły się bardzo, gdyż rząd kanadyjski rozwinął nad niemi ścisłą kontrolę. Ostatnio każde takie biuro mogło działać tylko na podstawie osobnej koncesji, która, choć otrzymać ją nie było trudno, wygasała w razie jakiegokolwiek udowodnionego nadużycia, popełnionego na robotnikach. Pod tym względem stosunki w Kanadzie, dawniej wprost rozpaczliwe, uległy wielkiej naprawie.

Na zakończenie wspomnieć jeszcze należy, że osobne

biura pośrednictwa pracy utrzymywały w celu sprowadzania potrzebnych dla siebie rąk roboczych rozmaite wielkie przedsiębiorstwa kanadyjskie, jak nap. towarzystwo „Canadian Pacific".

Polityka imigracyjna Kanady odróżniała wśród przybywających trzy wielkie grupy narodowościowe, a mianowicie: przynależnych do Wielkobrytanji oraz północnych i zachodnich państw Europy, dalej mieszkańców południowej i wschodniej Europy, wreszcie mieszkańców Azji.

Za „pożądanych" uważano imigrantów, należących do pierwszej grupy i dla pozyskania ich rząd kanadyjski prowadził agitację, utrzymując w tym celu specjalne biura w Anglji, Paryżu i Antwerpji.

Imigracja przybyszów, zaliczonych do drugiej grupy, do której należeli również i polacy, była zaledwie tolerowana, natomiast za stanowczo niepożądaną i zwalczaną uchodziła grupa trzecia (Chińczycy, Japończycy, Hindusi); przepisy imigracyjne, stosowane do grupy drugiej, wzorowane były na ustawodawstwie Stanów Zjednoczonych, odznaczały się jednak większą łagodnością i jasnością. W myśl przepisów, jakie obowiązywały w Kanadzie przed wybuchem wojny, nie byli dopuszczani tam do lądowania: 1) upośledzeni umysłowo, epileptycy, obłąkani i osoby, które w przeciągu ostatnich 5 lat podlegały chorobie umysłowej; 2) cierpiący na choroby zaraźliwe lub budzące odrazę: 3) ułomni, o ile nie jadą do rodzin, zdolnych zapewnić im utrzymanie 4) kryminaliści, 5) prostytutki, 6) osoby, jadące do Kanady częściowo lub całkowicie na koszt publiczny lub na koszt instytucyi dobroczynnych, o ile nie otrzymały pozwolenienia od Komisji Imigracyjnej kanadyjskiej w Londynie.

Imigranci europejscy musieli wykazać się przy lądowaniu gotówką 25 dol., oprócz pieniędzy, potrzebnych na zapłacenie biletu kolejowego do miejsca przeznaczenia,

kwota ta wynosiła 50 dol. dla tych przychodźców, którzy przybywali do Kanady pomiędzy 1 listopada a 28 lutego. Od dzieci w wieku 5 do 18 lat, jadących z rodzicami, kwota ta była o połowę mniejsza. Od obowiązku wykazania się posiadaniem wyżej wymienionej gotówki zwalniane były tylko te osoby, które potrafiły dowieść, że jadą do najbliższej rodziny lub też, że mają zapewnioną pracę przy rolnictwie. Rząd kanadyjski popierał przypływ robotników rolnych, kolonistów i służby domowej, tym kategorjom imigrantów, czyniąc chętnie rozmaite ułatwienia.

Kanada wykazuje rozkwit gospodarczy tak bujny i szybki jak mało który inny kaj na świecie, wobec czego przedstawia wielkie widoki dla imigracji zarobkowej. Widoki te rozszerzać się będą w miarę uprzemysławiania się Kanady i postępów kolonizacji, co wobec stale rosnących ograniczeń imigracyjnych w sąsiednich Stanach Zjednoczonych, ma dla naszego zamorskiego wychodźtwa zarobkowego szczególnie ważne znaczenie [1]).

---

[1]) Z dzieł, poświęconych stosunkom gospodarczym Kanady, na szczególną uwagę zasługują: Henry Laureys: „*Essai de Geographie Economique du Canada*", Bruxelles, Falk Fils, 1914, i Edmond J. P. Buron: „*Les Richesses du Canada*", Paris, E. Guilmoto. Wiele ciekakawych informacji o Kanadzie zawiera również książka „*Canada et Canadiens*", której autorem jest D-r Adrien Loir, (wydana w Paryżu, nakładem „Librairie Orientale et Americaine").

IV. Wychodźtwo do Brazylji.

ROZDZIAŁ XIII.

Stan Parana: położenie, klimat, gleba, rolnictwo, przemysł, komunikacje, ludność, miasta.

Znacznie większe postępy niż w Kanadzie poczyniła kolonizacja polska w brazylijskiej Paranie, gdzie już prawie połowa gruntów, wziętych pod uprawę, stanowi własność polską. Polską pracę uważa się tam za główną podstawę miejscowego rolnictwa, najważniejszy zaś artykuł parańskiego eksportu herbata „herwa-mate“ jest w znacznej części produktem polskich osadników.

Kwestja, czy i w jakim stopniu Parana przedstawia teren, odpowiedni dla naszej emigracji zamorskiej, była nieraz przedmiotem gorącej dyskusji i polemik dziennikarskich. Obok egzaltowanych głosów, skłonnych przedstawić Paranę, jako istny raj ziemski, odzywały się inne grzeszące przesadą we wręcz przeciwnym kierunku. Obok fanatycznych sympatyków kraj tej pozyskał u nas równie krańcowych przeciwników. W mniemaniu pierwszych Parana stała się już godną dumnej nazwy „Nowej Polski“, według drugich—garść naszych osadników, którzy nie padli ofiarą grasujących chorób, wiedzie tam godny politowania żywot

wśród ciągłych walk z dzikimi tuziemcami, z drapieżnym zwierzem i niegościnną przyrodą. Istne bajki na temat Parany krążyły od czasu do czasu nie tylko w kołach ludowych. Jak mało do wyświetlenia tych kwestji przyczyniały się niektóre polemiki prasowe, wymownie świadczy przykład, że wtedy, gdy jeden z poczytnych dzienników (na rok przed wybuchem wojny) w szeregu artykułów i notatek surowo potępiał Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie za rzekomą systematyczną propagandę na rzecz emigracji do Parany, jednocześnie dwa inne dzienniki piętnowały je ..... za bezwzględne powstrzymywanie ruchu wychodźczego do Parany. I jedna i druga strona umiała cytować autentyczne fakty na poparcie swych twierdzeń, charakteryzując przy tej sposobności stosunki parańskie według własnych pomysłów.

A jednak kwestja parańska ze wszech miar zasługuje na to, by ją traktować poważnie. Aby uwydatnić jej znaczenie, nie zaszkodzi przypomnieć w tem miejscu garść ogólnych wiadomości o tym kraju.

Patrząc na mapę południowej Brazylji, widzimy, że na wschodzie granicę stanu Parana tworzy ocean Atlantycki, który posiada tutaj dwie większe zatoki (Paranaguá, z głównym portem o tej samej nazwie i Guaratuba), na zachodzie rzeka Parana odgranicza kraj ten od stanu Matto Grosso i od Paraguayu; na północy sąsiaduje on z prowincją Sáo Paulo (rzeka Paranapanema tworzy tu na zachodnim krańcu granicę wodną), wtedy gdy na południu styka się ze stanami S-ta Catharina i Rio Grande do Sul, od którego oddziela go rzeka Uruguay, dalej zaś — na południowym zachodzie — rzeki Iguassu, St. Antonio i Peperiguassu stanowią granicę wodną między Paraną i Argentyną. Południowo - wschodnią część kraju zajmuje teren, będący od dawna przedmiotem sporu granicznego między Paraną a S-ta Cathariną; federalny trybunał rozjemczy w Rio de

Janeiro już parokrotnie rozstrzygał kontrowersję na korzyść S-ta Cathariny, atoli wola mieszkańców spornego terytorjum wypowiadała się zawsze tak stanowczo za pozostawieniem go przy Paranie, że wyrok nie mógł być dotychczas wykonany, tembardziej, że i autonomiczny rząd parański dawał wyraźnie do zrozumienia, że nie zamierza poddać mu się dobrowolnie.

Powierzchnia Parany wynosi około 240.000 kilometrów kwadratowych, czyli prawie dwa razy tyle co terytorjum Królestwa Kongresowego (126,955 klm. kw.), a trzy razy tyle co b. Galicji (78.497 klm. kw.). Wązki pas nadmorski, nizki i błotnisty, z roślinnością podzwrotnikową, oddzielają malownicze góry Serra do Mar (o przeciętnej wysokości 900 m. nad powierzchnią morza ze szczytem Murumby, 1810 metrów nad powierzchnią morza) od pozostałej części kraju, która składa się z trzech piętrzących się nad sobą płaskowyży; — naprzód od Gór Serra do Mar zaczyna się płaskowzgórze Kurytyby, najgęściej zaludnione przez Polaków o maksymalnej wysokości 1.000 metrów nad powierzchnią morza, i ciągnie się do pagórkow Serrinha; dalej rozpościera się płaskowyż Ponta Grossy, (na którym rozrzucone są najnowsze kolonje polskie), o maksymalnej wysokości 1.215 metrów nad powierzchnią morza; wreszcie pozostałą przestrzeń, mało jeszcze zbadaną i niezaludnioną zajmuje od Gór Esperanca aż do brzegów rzeki Parany płaskowzgórze Guarapuavy o największej wysokości 1.365 metrów nad pow. morza; płaskowzgórze to spada łagodnie w kierunku zachodnim, gdzie u brzegów rzeki Parany obniża się przeciętnie do 200 metrów nad powierzchnią morza.

Wysokość położenia nad powierzchnią morza wpływa dobroczynnie na klimat Parany. Z wyjątkiem nizinnych okolic nadmorskich o klimacie upalnym i malarycznym, wszędzie prawie kraj ten ma klimat umiarkowany i zdro-

wy, a w niektórych okolicach wprost kuracyjny. Świadczy o tem m. i. niesłychanie mała śmiertelność zwłaszcza wśród dzieci. Podczas podróży swych po Paranie sam spotykałem tam przybyszów z Europy, którzy klimatowi parańskiemu zawdzięczali uratowanie nadwątlonego poprzednio zdrowia. Stosunki klimatyczne na płaskowyżach parańskich są zresztą bardzo różnorodne zależnie od wysokości położenia nad powierzchnią morza, od konfiguracji terenu i obfitości lasów. Naogół, w okolicach, zamieszkałych przez naszych osadników letnie upały rzadko przewyższają 30° C. w cieniu, najniższa zaś temperatura zimową porą (maj, czerwiec i lipiec) wynosi zaledwie —5° C. Rzadkie i krótkotrwałe przymrozki trafiają się niekiedy nad ranem. Różnica temperatury między dniem a nocą daje się najsilniej odczuwać zimą, kiedy noce i poranki są bardzo chłodne, chociaż w południe powietrze jest gorące.

Prawie wszędzie obfite opady deszczowe i bujne rosy sprzyjają roślinności, która, gdzie ma żyzną glebę, czaruje swem bogactwem i nadzwyczajną żywotnością. Dobroć ziemi w Paranie, oczywiście, nie wszędzie jest jednakową. W opinji miejscowych osadników za bezwzględnie urodzajne uchodzą grunta leśne, zwłaszcza o kolorze czerwonym i pokryte lasem wyłącznie liściastym, lasy bowiem, w których przeważa brazylijska sosna (araucaria brasiliensis) i bambus tacuarac, posiadają glebę lżejszą, mniej żyzną. Za nieurodzajne uchodzą grunta bezleśne, tak zw. „kampy" (campos—stepy).

Rolnicza stacja doświadczalna, założona w roku 1906 przez rząd stanowy pod Kurytybą (Bacachery), dowiodła wymownie, że nawet na rzekomo nieurodzajnych bezleśnych gruntach „kampowych", można mieć doskonałe zbiory przy odpowiedniem przystosowaniu postępów techniki rolniczej do właściwości gleby i klimatu. Ludwik Włodek, który stację tę zwiedzał w r. 1908, opisuje niemal z zachwytem rezultaty, poczynionych tam doświadczeń. Wykazały one, że nawet na gruntach, uchodzących w Paranie za najlichsze,

udają się świetnie obok różnych gatunków traw łąkowych suchych, tymotki, wyki, lucerny i koniczyny, również pszenica, żyto, hreczka, wszelkie rośliny oleiste, zwłaszcza rycynusy i słoneczniki, wszystkie gatunki grochów i bobów.

„Widziałem dalej — pisze Włodek — piękny ryż różnych gatunków, o kłosach, podobnych do jęczmienia, wielkie buraki pastewne i cukrowe (zbiór dwa razy do roku), różne odmiany kartofli bardzo plennych, bataty, nawet piękny tytoń, który podobno potrzebuje najdoskonalszej ziemi. Ale, gdzie rzeczywiście widzi się najbardziej wyraźnie błogosławione skutki tego nadzwyczajnego klimatu, to w lasku sztucznym i w ogrodzie. Aby zabezpieczyć pole od złośliwych wiatrów, od morza i gór Serra do Mar, zasadzono spory szmat lasu: eukaliptusy, drzewo wieczne, poszukiwane na podkłady kolejowe i maszty, które po dziesięciu latach dochodzą do znacznej grubości, że ciąć je można, dalej różne gatunki naszych sosen, jodeł, świerków, lip, wierzb, kasztanów i t. d. Wszystkie te drzewka, zasadzone przed rokiem, zdumiewają poprostu swymi rozmiarami. Sadzonki kasztanów i lip, sprowadzone z Europy i przed pięciu dniami posadzone, przyjęły się odrazu i bujnemi są pokryte liśćmi. W ogrodzie pełno prześlicznych kwiatów, o jaskrawych barwach; wszystkie jarzyny, nawet szparagi znane tu dotąd tylko z bajecznie drogich konserw, jabłonie, zaledwie odrosłe od ziemi, a już pokryte pięknymi owocami, śliwki różne, wiśnie, gruszki (te owocują dopiero w drugim roku), agrest, porzeczki, truskawki wielkie, brzoskwinie prawdziwe, kilkanaście gatunków winogron do jedzenia, suszenia i fabrykacji wina i t. d., słowem wszystko, co w ogrodzie sadzone być może“.[1])

Z powodu nizkiego stanu kultury rolnej nie ogląda się tego wszystkiego na parańskich polach, nie wyłączając na-

---

[1]) Ludwik Włodek: „Polskie Kolonje rolnicze w Paranie" Warszawa, Wydanie 2-gie, 1911, str. 31.

wet tych, które posiadają najlepszą glebę. Do zwykłych płodów miejscowego rolnictwa należą tutaj: kukurydza, powszechnie zwana przez naszych kolonistów „milją“ (od portugalskiego „milha“), czarna fasola czyli „fiżon“ (od portug. „feijao“), najważniejszy obok ryżu artykuł spożywczy w Brazylji, mandioka, bataty, banany, rzadziej już pszenica, żyto, jęczmień, owies, len, ziemniaki, wino, tytoń, kapusta i hreczka, a w niżej położonych i zasłoniętych od południa dolinach oraz w pasie nadmorskim — kawa, ryż, ananasy i trzcina cukrowa. Z drzew owocowych rozpowszechnione są najbardziej pomarańcze i „peseki“ t. j. miejscowe brzoskwinie.

Gospodarstwa rolne krajowców, mających większą skłonność do hodowli bydła niż do uprawy roli, prowadzone są na modłę pod każdym względem niesłychanie pierwotną, a produkcja ich obliczaną bywa zazwyczaj na własne bardzo ograniczone potrzeby właścicieli. O całe niebo wyżej stoją gospodarstwa kolonistów europejskich, z nielicznymi wyjątkami Polaków, Rusinów i Włochów, chociaż porównanie ich w obecnym stanie z farmami w Unji północno-amerykańskiej lub w zachodniej Kanadzie wypada — pomimo bezwarunkowo znacznie pomyślniejszych w Paranie warunków klimatycznych — na korzyść tych ostatnich. Do plag parańskiego rolnictwa należą przedewszystkiem mrówki i szarańcza. Pierwsza z tych klęsk jest zjawiskiem stałem, które trapi najbardziej kolonje nowe, zakładane w lasach, i bardzo utrudnia ogrodownictwo, druga, na szczęście, przytrafia się rzadko i od czasu istnienia w Paranie polskiego osadnictwa, t. j. przez okres przeszło 45 lat, nawiedziła ją zaledwie parę razy. Walka z mrówkami, polegająca na wykrywaniu i tępieniu mrowisk, wprawdzie absorbuje rolnikom wiele czasu i energji, ale, prowadzona systematycznie, daje pomyślne rezultaty. Dotkliwszą od mrówek bywa szarańcza, która, gdy spadnie, niszczy całe pola, zamieniając je w pustynię. Są rozmaite sposoby

zwalczania tej klęski, ale żaden z nich, zdaje się nie działa dość radykalnie.

Przyczyn, czemu rolnictwo w Paranie, pomimo wspaniałego klimatu i doskonałej naogół gleby nie rozwija się należycie, szukać należy nie tyle w pladze mrówek i szarańczy, co w innych czynnikach, a w pierwszym rzędzie w braku dobrej komunikacji rzecznej, kolejowej i kołowej. Wszystkie prawie większe rzeki parańskie, jak Iguassu, nad którą położone są liczne kolonje polskie, Piquiry, Ivahy, Tibagy, Paranapanema, płyną nie w kierunku Oceanu, t. j. na wschód, lecz są dopływami rzeki Parany, która jest drogą wodną argentyńską i paraguayską, a nie parańską i dla życia gospodarczego kraju, który zawdzięcza jej swą nazwę, narazie większego znaczenia nie posiada. Nadto każda z tych rzek z powodu licznych wodospadów, kaskad i katarakt mogłaby być przystępną dla żeglugi na stosunkowo małej tylko przestrzeni. Największa z nich, Iguassu (zwana królową wód parańskich) spławną jest na przestrzeni 330 kilometrów i między stacją Porto de Amazonas a miasteczkiem Porto União da Victoria kursują po niej małe parowce; właśnie na tej przestrzeni ciągłe zakręty wijącego się jak wstęga koryta, podróż po rzece ogromnie przedłużają. Rzeki, wpadające wprost do Oceanu Atlantyckiego, względnie do jego zatok parańskich, nie są głębokie i jako arterja komunikacyjna mogłaby mieć znaczenie tylko dla wybrzeży nadmorskich.

Mało jeszcze rozwinięta sieć kolei parańskich obejmuje razem niespełna 1.300 kilometrów. Składa się ona z dwóch głównych linji. Jedna, wybudowana jeszcze przed przeszło 30 laty przez kompanję francuską „Compagnie générale de chemins de fer brésiliens", prowadzi z głównego portu parańskiego Paranaguá przez góry Serra do Mar do stolicy stanu Kurytyby (111 klm.), skąd dalej na zachód wiedzie do miasta Ponta Grossa; odnogi kolejowe łączą linie te: jedna od stacji Morretes z portem Antonina, druga od

stacji Lapa z miastem Rio Negro i trzecia od stacji Restinga Secca z Porto Amazonas nad Iguassu (razem około 400 klm.). Inna główna linia kolejowa przecina kraj od północy na południe, t. j. od stacji Itararéna granicy stanu Sâo Paulo przez Ponta Grossę i Porto Uniâo da Victoria nad Iguassu do rzeki Uruguay na przestrzeni 885 klm. Nosi ona nazwę: „Sao Paulo-Rio Grande do Sul", ma bowiem na celu połączenie tych dwóch stanów i umożliwienie komunikacji kolejowej między Rio de Janeiro a Montevideo. Budowa tej kolei w Paranie została ukończona w r. 1910. Prowadzone są nadto roboty przy budowie kolei, należącej do Towarzystwa „Brazil Railway", a wiodącej od Sâo Francisco, portu w stanie S-ta Catharina, przez Porto Uniâo da Victoria do ujścia Iguassu do rzeki Parany.

Prócz tego buduje się kilka mniejszych odnóg, które dla rozwoju całych olbrzymich okolic mogą mieć wielkie na przyszłość znaczenie. Wartość gospodarczą istniejących kolei znacznie osłabia fakt, że taryfy przewozowe są bardzo wysokie i że większość nowszych kolonji położona jest w znacznej od nich odległości. Dróg kołowych bowiem jest mało, stan najlepszych z nich przypomina przysłowiowe „polskie drogi" a opłaty rogatkowe i od mostów stanowią dotkliwy podatek. Na nowozakładanych kolonjach brak dróg dojazdowych zmusza wielu osadników przez pierwsze lata ich gospodarki do obchodzenia się bez wozów. Przeznaczone na sprzedaż produkty transportować muszą na plecach, nieraz na znaczną odległość i w ten sam sposób sprowadzać do domu nabyte od najbliższych kupców towary. Zazwyczaj dopiero po kilku latach istnienia kolonji przerzynające ją „pikady" („picada"—wązka ścieżka leśna), wzdłuż których rozrzucone są siedziby ludzkie, zamieniają się powoli na drogi kołowe [1]).

---

[1]) Ażeby odwrócić niebezpieczeństwo, że cały ruch handlowy południowej Parany zwróci się w kierunku Sâo Francisco w stanie

Brak komunikacji hamował rozwój nie tylko rolnictwa lecz również przemysłu. Niewątpliwie bogactwa mineralne Parany, które mogłyby tworzyć podstawę tego przemysłu, dotychczas nie zostały nawet dokładnie zbadane. Parana posiada węgiel kamienny, ma podobno, jak twierdzą znawcy tych stosunków, rudę żelazną, ołów, miedź, sól, rtęć, nawet złoto. Brak dostatecznych komunikacji i brak rąk roboczych uniemożliwiają narazie eksploatację tych bogactw. Cały dotychczasowy przemysł ogranicza się tedy do wielkich i małych tartaków, do licznych młynów „herva-mate", do sześciu czy siedmiu fabryk zapałek, kilku większych i mniejszych browarów, gorzelni i garbarni oraz garści drobnych przedsiębiorstw, zatrudniających po kilku a najwyżej kilkunastu robotników. Aczkolwiek Parana jest krajem par excellence rolniczym, to wszakże produkcja rolna służy tu głównie do zaspokojenia miejscowych potrzeb i dotychczas tylko stosunkowo mała jej część idzie na wywóz do innych stanów i za granice państwa. Źródło najważniejszego eksportu Parany tkwi narazie w jej wspaniałych dziewiczych borach. Lasy te zajmują olbrzymie przestrzenie i obfitują w rozliczne gatunki drzew, niezmiernie cennych jako materjał budowlany i meblowy. Przez długie lata uważano w Paranie las za coś zupełnie bezwartościowego, co utrudnia tylko rolnictwo i hodowlę i z czem zawzięcie walczyć musi nieraz na śmierć i życie, nowy osadnik, by zdobyć kawał pola. Dopiero w miarę rozwoju środków komunikacyjnych, w okolicach, gdzie środki te już powstały, las zaczynał nabierać coraz większej wartości; powstawały

---

S-ta Catharina udzielił rząd parański koncesji na wybudowanie linji wiodącej od portu Paranagua do Porto Uniâo da Victoria. Główną przeszkodą do urzeczywistnienia tego projektu, jak zresztą wielu innych podobnych zamierzeń w Paranie, stanowić może brak rąk roboczych. W każdym razie postępy na polu rozwoju komunikacji zbyt są widoczne, by je można było lekceważyć.

tartaki, pracujące już nie tylko na potrzeby lokalne, lecz również na wywóz do krajów La Platy i do sąsiednich stanów, zwłaszcza do São Paulo i do Rio de Janeiro. Olbrzymie araukarje, zwane przez naszych osadników „piniorami" (od portugalskiego „pinheiro"), potężniejsze od dębów imbuje (bignonia paranaensis), cedry (cedrela brasiliensis), canele (nectander mollis), sassafrany (laurus sassafras) i t. d. zdołały zwabić do Parany zagraniczne kapitały, i obecnie wielka miljonowa kompania amerykańska już od szeregu lat zajmuje się eksploatacją lasów i eksportem drzewa, który z każdym rokiem przybiera na rozmiarach. Założony przez nią w r. 1910 przy zastosowaniu najnowszych postępów techniki tartak parowy w Tres Barras, zatrudniający przeważnie robotników polskich, jest przedsiębiostwem prawdziwie w wielkim stylu.

Ważniejszy od drzewa artykuł eksportu stanowi jednak herbata parańska, znana w handlu pod nazwą herva-mate. Właściwą ojczyzną drzewka tego o białej gładkiej korze i lśniących lancetowatych liściach (ilex paraguaensis) rosnącego dziko w lasach, jest Paraguay, głównymi zaś rynkami zbytu na wyrabianą z jego liści herbatę,— Uruguay, Argentyna i Chile, kraje, gdzie dla ogółu ludności jest ona przedmiotem codziennego użytku. Sporządzanie napoju z wysuszonych liści herwowych uchodzi za wynalazek indjan ze szczepu Guarany rozpowszechniony przez Jezuitów podczas ich rządów teokratycznych w Paraguayu. W krajach La Platy oraz w południowych stanach Brazylji sposób picia herwy polega na zaparzaniu sproszkowanych lub też drobno pokruszonych liści wrzącą wodą w małej tykwie i ssaniu odwaru przez metalową lub trzcinową rurkę, zaopatrzoną na końcu w gęstą siatkę („bombilla"). Tak przyrządzony napój nosi nazwę „chimarão" i doskonale gasi pragnienie. Natomiast koloniści nasi zaparzają herwę na wzór zwykłej herbaty chińskiej i pi-

ją ją z cukrem, przyczem pierwszy odwar zwykle się odlewa, lepiej bowiem smakuje drugi i trzeci.

Jeszcze przed 25 laty czyniono próby wprowadzenia herwy i do handlu w Królestwie pod nazwą „herbaty zdrowia“, „herbaty jezuickiej“, „herbaty zielonej“ lub nawet „herbaty polskiej“. Później dzięki staraniom Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego we Lwowie próby te ponawiano w Galicji, gdzie herwę sprzedawał główny skład Kółek rolniczych. Za owych czasów jednak wyrób herwy był jeszcze bardzo prymitywny i silnie czuć ją było dymem, wskutek czego znajdowała bardzo nielicznych amatorów. Zrozumieć można to tem łatwiej, że nawet teraz sporządzana z herwy herbata z początku zwykle nie smakuje osobom nieprzyzwyczajonym i dopiero po nieco dłuższem używaniu stać się może ulubionym trunkiem. Rozpowszechnieniu w Polsce herwy przeszkadzała również wysoka jej cena, spowodowana cłem, które w Austrji nap. było jednakowe z cłem na herbatę chińską, t. j. wynosiło za 100 kilogramów 246 koron przy transportach lądowych a 217 k. przy transportach morskich (wtedy, gdy cena 100 klg. herwy wynosiła w Brazylii około 40 koron). W r. 1911 poseł ludowy Andrzej Średniawski zgłosił w parlamencie wiedeńskim wniosek z wezwaniem do rządu o obniżenie tego cła, lecz bezskutecznie [1]).

---

[1]) Dr. Stanisław Kłobukowski na podstawie własnych obserwacji oraz prac o herva-mate A. Moreau de Tours, Dra Doublet'a, Dra Peckhołda i innych. tak opisuje właściwości herbaty parańskiej: „Nauka stwierdziła, że mate sprawia lekkie podniecenie umysłu i systemu nerwowego, wzmaga ruchy serca i narządów oddechowych i powiększa siłę muskułów; gasi pragnienie, jak nic na świecie, jest higieniczną w najwyższym stopniu i wogóle krew oczyszczającą; zaraz po użyciu pozwala na sen, nie wywołuje reakcji osłabienia, jak trunki gorące, kawa i herbata, a opóźniając w żołądku trawienie pokarmu w $1/4$ do $1/2$, oszczędza go i pozwala na bajecznie długie obchodzenie

Zbiór i przeróbka herwy spoczywa głównie w rękach polskich osadników. W południowej Paranie, zwłaszcza u wybrzeży Iguassu wielu z nich posiada drzewka herwowe we własnych lasach. Inni znów poszukują zarobków przy zbiorach herwy u Brazyljan. Wybitne centrum produkcji tworzą okolice polskiej kolonji Sao Matheus nad Iguassu, gdzie nasi osadnicy zaniedbują nawet własne gospodarstwa dla lepiej się rentującej pracy przy eksploatacji herwy i gdzie spotyka się tak zw. „herwale", t. j. gaje herwowe, powstałe przez ogołocenie pewnych przestrzeni lasu z innych drzew z pozostawieniem na nich wyłącznie tylko drzewek herwowych. Zbiór tej rośliny trwa prawie przez cały rok z przerwą dwóch miesięcy, kiedy drzewka pokryte są kwiatem. Nożem zwanym „fojsą" (port. „foięa"), przypominającym nieco sierp lub krótką kosę, na sztorc osadzoną, obcina się wszystkie małe gałęzie (podkrzesywanie to powtarzać można co 3—5 lat), które następnie szybko przeciąga się przez płomienie roznieconego w pobliżu ogniska. Opatrzone w ten sposób gałęzie wędrują do specjalnych suszarni, dawniej bardzo pierwotnie pomyślanych, obecnie zaś tak udoskonalonych, by produkt nie uległ przydymieniu; stąd, wymłócona, przesiana i zapakowana do koszów lub worków, odbywa herwa podróż do kurytybskich młynów, gdzie dokonywuje się sortowanie towaru i ostateczna jego przeróbka. W młynach tych znajduje zatrudnienie wielu Polaków, którzy nadto mają dobre zarobki przy wyrobie używanych do transportu herwy beczek. Wywóz herwy wynosił w Paranie w r. 1911 (późniejszych cyfr nie mam pod ręką) przeszło 45 miljonów kilogramów i wzrósł

się bez tegoż pokarmu, równocześnie zaś ułatwia to trawienie i wzmacnia apetyt. Daje ona rozpęd większy od alkoholów bez żadnych złych skutków, usuwa niezwłocznie fizyczne i moralne osłabienie, niechęć do pracy i rozpacz, a wlewa światłość do mózgu i optymizm do serca". (Polski Przegląd Emigracyjny", 1911, № 7).

w stosunku do poprzednich 5 lat o 15%. Wartość wywiezionej herwy sięgała w r. 1911 przeszło 23 miljonów milreisów, czyli około 35 miljonów franków.

Ta jednostronność produkcji krajowej, zmniejszająca się w ostatnich latach dzięki wzrostowi handlu drzewnego i postępom kultury rolnej, niebezpieczną się stawała także ze względu na niezupełnie pewną przyszłość najważniejszego rynku zbytu, Argentyny. W Argentynie bowiem, a ściśle mówiąc w północnych jej okolicach, nauczono się plantować herwę, co dotychczas uchodziło za rzecz niemożliwą. Rozwój tych plantacji kopałby powoli grób dla importu parańskiego. W poczuciu tego niebezpieczeństwa rząd i eksporterzy parańscy jeszcze przed wybuchem wojny czynili zabiegi, by rynek zbytu rozszerzyć na Europę. Starania te, nawiasem mówiąc, czyniono wybitnie nieudolnie, obejmowały przeważnie te właśnie kraje europejskie (jak Francja i Włochy), gdzie konsumcja herbaty chińskiej jest bardzo mało rozpowszechnioną, gdzie zatem artykuł, uchodzący za jej surogat, nie miał widoków na powodzenie. Po wojnie propaganda na rzecz herwy powinna się skierować do krajów słowiańskich, przedewszystkiem zaś do Polski, gdzie przy racjonalnem ocleniu miałaby herwa wszelkie szanse wyrugowania z handlu droższej, mniej hygienicznej a dla wielu również i mniej smacznej herbaty chińskiej. Okoliczność, że herwa, jak wspomniałem już wyżej, jest wytworem głównie rąk polskich i że produkcja jej tworzy podstawę dobrobytu tysięcy polskich wychodźców, stanowiłaby dla propagandy tej poważny atut, nawiązanie zaś przez jej import stałych stosunków handlowych z Paraną ułatwiłoby wywóz w tamte strony wyrobów polskiego przemysłu.

Ludność Parany obliczana bywa rozmaicie. Dat statystycznych zupełnie pewnych niema. Dokonany w r. 1900 spis ludności podaje liczbę mieszkańców na 330,898. Jeśli cyfrę tę uznamy za niezbyt odbiegającą od istotnego sta-

nu rzeczy, w takim razie przy uwzględnieniu późniejszej imigracji oraz przyrostu naturalnego sięgałaby ona obecnie 400 do 420 tysięcy, z czego na Polaków i galicyjskich Rusinów przypada około 130,000, około 30,000 na Włochów, Niemców, Francuzów, Hiszpanów, Syryjczyków i inne cudzoziemskie narodowości, reszta zaś na krajowców.[1])

Za krajowców uchodzą w Paranie potomkowie dawnych imigrantów portugalskich przeważnie o krwi mieszanej z indyjską i murzyńską. Są to tak zwani „Luso-Brasileiros", których podzielićby można na cztery klasy: biurokrację, dzierżącą w swych rękach władzę i uprawiającą namiętnie politykę, kupców, przeważnie tak zwanych „wendystów" („wenda" — połączony z szynkiem sklep detaliczny, w którym na większą lub mniejszą skalę sprze-

[1]) D-r Rudolf Westermann podaje następujące liczby ludności w trzech południowych Stanach Brazylji: Parana 554.934 mieszkańców, S-ta Catharina 463.997 mieszkańców i Rio Grande do Sul: 1.682.736. Liczbę Niemców, osiadłych w tych trzech stanach ocenia Westermann na 305.000, z czego 15.000 przypada na Paranę, liczbę Polaków w tychże stanach — na przeszło 100.000. — („Wie wandere ich nach Südamerika aus? — Süde Brasilien als Ziel deutscher Auswanderung", Berlin, 1919, str. 69).

Prof. J. Siemiradzki („Szlakiem wychodźców", t. I, str. 147) podawał w r. 1896 przypuszczalną cyfrę ludności polskiej i rusińskiej w Paranie na 75.000 (według urzędowych źródeł brazylijskich wynosiła ona wtedy tylko 52.000). Ludwik Włodek („Polskie Kolonje rolnicze w Paranie", str. 105) podaje według zestawień Konsulatu austro-węgierskiego w Kurytybie w r. 1908 liczbę Polaków na 49.200, Rusinów galicyjskich na 20.000, zaś według własnych jego obliczeń było wówczas w Paranie Polaków 46.655 a Rusinów 22.355. Autor „Polskich Kolonji rolniczych w Paranie" sam podkreśla, że cyfry te nie mogą uchodzić za ścisłe. Według innych zestawień liczba Polaków w Paranie prawdopodobnie dosięga obecnie już cyfry około 85.000, Rusinów zaś około 45.000. Natomiast za przesadzone uważać należy obliczenia, które jeszcze przed kilkunastu laty podawały w naszej prasie liczbę Polaków, osiadłych w Paranie przeszło 100.000, (patrz „Polska Kolonizacja Zamorska" Lwów, 1899 str. 17).

dają się wszelkiego rodzaju artykuły spożywcze, bławatne, konfekcyjne i t. d., wchodzące w zakres potrzeb miejscowych mieszkańców, a nadto najczęściej nabywane są jednocześnie produkty rolnicze, dostarczone przez producentów, rolników, albo, ściśle mówiąc, wieśniaków, i wreszcie garść proletarjatu miejskiego, głównie zwykłych wyrobników. Wśród najliczniejszej klasy wieśniaków odróżnia się właścicieli większych obszarów, zwanych „fazendeiros", żyjących przeważnie z bardzo pierwotnie prowadzonej hodowli bydła, pasącego się dziko na olbrzymich stepach, oraz drobnych posiadaczy, „kaboklów" („caboclos"), rozproszonych po lasach. Niesłychanie leniwi, chociaż bardzo ambitni i gościnni „kabokle" odznaczają się niedołęztwem i skłonnością do próżniactwa. Pracuje za nich bujna przyroda parańska, umożliwiając wegetację bez trudów, ale na bardzo ograniczonej stopie życiowej, wyzutej z wszelkich potrzeb kulturalnych. Źródło ich utrzymania tworzy sadzenie na własne potrzeby kukurydzy, batatów, mąndioki i czarnej fasoli, niekiedy ryżu, tytoniu i bananów, poniekąd hodowla bydła i koni, czasem nierogacizny, która żyć musi „własnym przemysłem" i dziczeje po lasach. Zawodowe myśliwstwo uprawiają nieliczne jednostki [1]).

Właściwych autochtonów, indjan, nie spotyka się już prawie wcale w okolicach, objętych kolonizacją europejską.

---

[1]) Im dalej na zachód, tem bogaciej się przedstawia fauna parańska. Wśród zwierząt ssących królują tutaj rzadko dla europejczyków dostępne bo zaszyte w głębinie najdzikszych puszcz: puma i jaguar (zwykły i czarny), zwany przez krajowców tygrysem (tigre). Nadto spotyka się tam kilka gatunków dzikich kotów, jak ocelot (felis pardalis), czerwony wilk grzywiasty (canis jubator), lis, kuna, dwa gatunki dzików (dicotyles tourquatur i d. labiatus), tapir, dwa gatunki mrówkojadów (myrmecophaga jubata i m. didactyla), jeżozwierz, wydra, świnka wodna (capivari), wyjce i kilka innych gatunków małp. Z ptactwa wymienić należy papugi, rozmaitych rozmiarów i kolorów, liczne gatunki czapel, gęsi, kaczek, dwa gatunki kuropatw, czajki, dzięcioły, kacyki, tukany, gołębie, kolibry i t. d.

Brazyljanie dzielą ich na dwie kategorje: „botocudos“, zupełnie dziki szczep o skłonnościach wojowniczych, stroniący od „białych“ i koczujący po puszczach na pograniczu Parany, S-ta Catharina i Rio Grande do Sul, oraz „indios mansos“ (indjan oswojonych), wśród których najliczniej reprezentowany jest szczep „coroados“. Z botokudami prowadzili „biali“ Brazyljanie zawsze walkę na śmierć i życie, natomiast styczność ich z nieszkodliwymi bo łagodnymi koroadami, o ile się trafia, nie powoduje najmniejszych konfliktów, a trybem życia nie różnią się oni zbyt wybitnie od również nawpół dzikich kaboklów. Bajkom, jakoby koloniści nasi narażeni byli na krwawe napaści ze strony botokudów, nie trzeba dawać wiary. Wypadki takie zdarzały się dawniej (np. na południu od kolonji polskiej Lucena) i pociągnęły za sobą kilkanaście ofiar w życiu ludzkiem, ale były tak rzadkie i odosobnione, że przy charakterystyce miejscowych stosunków nie można wcale brać ich pod uwagę [1].

---

[1] W XVI wieku hiszpańscy Jezuici z Paragwaju prowadzili wśród Indjan w zachodniej Paranie ożywioną działalność misyjną i cywilizacyjną. Jako ślady tych czasów pozostały jeszcze ruiny dawnych miast i osad, dzisiaj porośnięte już gęstym lasem i otoczone trudną do przebycia puszczą. W pobliżu połączenia rzek Inguassu i Parany istnieją ruiny dawnego miasta S-ta Maria, niedaleko od wodospadu na Iguassu tejże nazwy, jednego z największych i najładniejszych na świecie. W dolinie rzeki Ivahy przy ujściu rzeki Corumbatahy istnieją szczątki hiszpańskiej osady Villa Rica, założonej w 1546 r. a opuszczonej w r. 1631; w dolinie rzeki Paranapanema są jeszcze resztki ruin miasta „Najświętszej Panny Loretańskiej”, założonego przez Jezuitów w r. 1555 a opuszczonego w r. 1631. Przyczyną ewakuacji tych kolonji były nieustanne napady drapieżnych „paulistów” i „mameluków” z Sào Paulo oraz dzikich indjan Tupi. Do widomych śladów dawnych misji jezuickich w Paranie należą zdaje się dwie osady indyjskie, jakie przechowały się w mizernym stanie do czasów obecnych, a mianowicie S. Pedro de Alcantra i S. Jeronymo, obie w okręgu Tibagy. Liczą one razem około 1200 mieszkańców ze szczepów Coroados i Guarany.

Kilka tysięcy murzynów, zamieszkujących Paranę, tworzy klasę wyrobników.

Wśród europejczyków najliczniej są reprezentowani w Paranie (pomijając Polaków i galicyjskich Rusinów) Włosi, zwani przez naszych emigrantów „Talianami“. W liczbie kilkunastu tysięcy osiedli oni bądź na koloniach (przeważnie w okolicach Kurytyby), gdzie z powodzeniem uprawiają winnicę i warzywnictwo, bądź w samej Kurytybie. Imigracji włoskiej w ostatnich latach Parana nie miała główny bowiem prąd wychodźtwa włoskiego do południowej Ameryki, o ile nie skierowuje się do Argentyny, podąża do stanu Sâo Paulo na plantacje kawowe. Niemcy w Paranie nie tyle są liczni, co silni ekonomicznie i ruchliwi. Kolonistów niemieckich spotyka się mało i są nimi przeważnie Niemcy rosyjscy, emigranci z nad Wołgi, trudniący się więcej furmaństwem niż rolnictwem. Natomiast w Kurytybie i innych miastach handel i rzemiosła obsadzone są w znacznym stopniu przez Niemców z Rzeszy niemieckiej. Zwłaszcza opanowany został przez nich handel hurtowy w Kurytybie. Francuzi, Hiszpanie i Portugalczycy, razem w liczbie kilku tysięcy, rozproszeni są przeważnie po koloniach, natomiast Syryjczycy, zwani tutaj Arabami, zastępują poniekąd Żydów, których w Paranie niema, prowadząc handel domokrążny.

Do najstarszych miast należą Paranagua i Antonina, położone nad zatoką paranaguaską i połączone koleją z płaskowzgórzem kurytybskiem. Paranagua jest głównym portem stanu i posiada przystań, (Porto d'Agua, albo Don Pedro Segundo) do której przybijają większe statki oceanowe, wtedy gdy sąsiednią Antoninę, gdzie zatoka jest bardziej płytką, odwiedzają tylko okręty mniejszej pojemności, obsługujące wybrzeże. Przez Paranagua skierowuje się cały prawie import i eksport stanu. Przed wojną z pasażerskich okrętów europejskich przybijały tutaj tylko parowce kompanii „Hamburg-Amerika Linie“ (dawniej „Sü-

damerikanische Dampfschiffahrtsgesellschaft") dwa razy na miesiąc, co wybitnie przyczyniało się do pozyskania Parany dla niemieckiego eksportu. Bezpośrednią komunikację z Rio de Janeiro, z Santos (w São Paulo), São Francisco i Desterro (w Sta Catharina), z Porto Allegre (w Rio Grande do Sul) i Montevideo utrzymują brazylijskie towarzystwa żeglugi morskiej (przeważnie za angielskie kapitały) głównie zaś „Lloyd Brazileiro". W Paranagua znajdują się domy komisowe, agencje najwybitniejszych firm hurtowych, urząd celny i baraki dla imigrantów. Polaków ani w Antoninie ani w Paranagua niema.

Stolica Parany, Kurytyba, (port Curityba albo Coritiba) liczy obecnie około 60.000 mieszkańców. W r. 1886 miała ich w dniu otwarcia kolei do Paranaguá około 10.000, a w r. 1893—15.000. Miasto posiada szereg porządnie zabudowanych ulic, ładny park, tramwaj, elektryczne oświetlenie i sprawia naogół wrażenie dodatnie. Polaków na pierwszy rzut oka tu nie znać, gdyż mniej są liczni od Brazyljan, Włochów i Niemców i, mniej od nich zamożni, zamieszkują (w liczbie 2.000 do 3.000) przedmieścia. Tylko w dnie targowe słyszy się często język polski na ulicach i widzi polskie twarze, gdy koloniści polscy z otaczających Kurytybę osad przywożą na rynek swe produkty i czynią sprawunki po sklepach. [1])

---

[1]) Kurytyba jest miastem, znanem z taniości. „Szczególnie czynsze za mieszkania są tu znacznie niższe niż w Rio de Janeiro i S. Paulo. Mały dom o kilku pokojach można tu wynająć za 25—30 milreisów miesięcznie, cały dom, bardzo wygodny za 55—75 milr.; widzieliśmy budynek bardzo obszerny o dwóch skrzydłach, gdzie czynsz wynosił tylko 200 milr. „Paul Walle: „*Au Brésil. La Colonisation. — Renseignements pratiques à l'usage des émigrants, agriculteurs, artisans, voyageurs*". Paris, E. Guilmoto, str. 64). Tenże autor oblicza koszt utrzymania w Kurytybie na 65 frs. miesięcznie dla robotnika (w Rio de Janeiro 160 frs., w S. Paulo 125 frs. w Bahia 240 frs, w Para 360 frs.), a 65 frs. do 100 frs. miesięcznie dla urzędnika (w Rio de Janeiro 240 frs., w S. Paulo 270 frs., w Bahia

Kurytyba (ogłoszona stolicą stanu w r. 1854 t. j. w rok po odłączeniu Parany od prowincji São Paulo i uznaniu jej za stan samoistny) jest siedzibą centralnych władz autonomicznych i naczelnych na stan władz federalnych; tutaj obraduje kongres (sejm) stanowy, w którym w r. 1911 zasiadł pierwszy poseł polski, p. Edmund Saporski. Parana podlega konstytucji związkowej i stanowej, bardzo demokratycznej i ściśle wzorowanej na konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. Konstytucja ta, jak wiadomo gwarantuje zupełną wolność zebrań, wolność prasy i słowa; najwyższe urzędy obsadzone są z wyboru, prawo zaś wyborcze przysługuje wszystkim obywatelom płci męzkiej umiejącym się podpisać. W praktyce wartość urządzeń konstytucyjnych bardzo osłabiają przejawy namiętności partyjnych i niedołęztwo administracji państwowej, zwłaszcza na niższych jej szczeblach.

Kurytyba jest również stolicą biskupa katolickiego, stan Parana stanowi bowiem osobną djecyzję (kościół w Brazylji tak, jak w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn., odłączony jest od państwa). Od pewnego czasu posiada miasto to również uniwersytet (fakultet prawny), Instytut Geograficzno-Historyczny (tworzący jakby akademię umiejętności w miniaturze), Muzeum historyczno-przyrodnicze, bibliotekę publiczną, konserwatorjum muzyczne, gimnazja i licea, oczywiście wszystko na modłę brazylijską pomyślane i nie odpowiadające skali zwykłych wymagań europejskich.

Drugim z rzędu miastem pod względem liczby mieszkańców jest Ponta Grossa. Nadto zasługują na wzmiankę miasteczka: Morretes, Rio Negro, Castro, Palmeira, Lapa i Guaraquava. Wielką przyszłość ma przed sobą Porto União da Victoria, jako punkt węzłowy kolei żelaznych, przystań żeglugi na Iguassu i centrum kolonji rolniczych,

400 frs. w Para 520 frs.). Kwoty powyższe obejmują tylko mieszkanie i wikt i oczywiście uważać je należy za minimalne.

jakie z czasem ożywią tę żyzną okolicę. Dotychczas we wszystkich tych miasteczkach, noszących pod względem narodowości swych mieszkańców i wyglądu zewnętrznego charakter wybitnie brazylijski, Polaków albo niema wcale, albo też trafiają się tylko pojedyńcze jednostki. Wyjątek stanowi jedynie Ponta Grossa, gdzie kolonia polska jest dość liczną.

ROZDZIAŁ XIV.

Początki kolonizacji polskiej w Paranie. — Imigracja z zaboru pruskiego i z Galicji po r. 1874 — „Gorączka brazylijska" w Królestwie (1890 – 1891) i jej przejawy. — Wychodźtwo galicyjskie w latach 1895—1896. — Postępy kolonizacji polskiej.

Pierwsi osadnicy polscy przybyli do Brazylji ze Śląska Górnego w r. 1868 podczas kolonizacji niemieckiej w stanie S-ta Catharina, prowadzonej przez Towarzystwo Hanzeatyckie w Hamburgu. Pokrzywdzeni przy podziale lotów, które rozdano im na kolonji Sixtem Loots, poprzednio opuszczonej przez Irlandczyków z powodu górzystego terenu i ustawicznych napaści botokudów, Ślązacy, w liczbie 16 rodzin poszli za poradą swego rodaka, inżyniera-geometry Saporskiego, i postanowili przenieść się w okolicę Kurytyby, wówczas malutkiej mieściny. Na skutek starań inż. Saporskiego magistrat kurytybski wydzielił przybyszom po dwa i pół hektara gruntu na rodzinę w sąsiedztwie miasta. Za przykładem pierwszych polskich zbiegów z kolonji w S-ta Catharina przyszli dalsi i w ten sposób w odległości 3 klm. od Kurytyby powstała pierwsza kolonja polska w Paranie pod nazwą Pilarzinho („Pielgrzymka"). W r. 1873 przybyło tą samą drogą do Kurytyby 64 rodzin emigrantów polskich z Prus Zachodnich,

których osiedlono na kolonji Abranchez w odległości 5 klm. od miasta.

Emigracja z Polski wprost do Parany datuje się od r. 1875, kiedy rząd brazylijski postanowił popierać imigrację rolników do południowych stanów i zainteresował tą sprawą kompanie okrętowe europejskie, których agencje wdrożyły w tym celu agitację także na ziemiach polskich. Pomiędzy r. 1875 a 1878 zaczął się silniejszy napływ do Parany imigrantów europejskich, którzy pochodzili z Prus, z zachodniej Galicji, a po części z Włoch. Osiedlono ich również w okolicy Kurytyby, wydzielając im loty po 5—6 hektarów. W tym okresie czasu powstały polskie kolonje: Lamenha o 9 klm od miasta (155 rodzin polskich z Prus), S-ta Candida, o 8 klm. (77 rodzin ślązkich), S-to Ignacio, o 3 klm. (70 rodzin z Prus i z zachod. Galicji), Orleans, o 15 klm. od miasta (50 rodzin polskich z Prus), Riviera o 16 klm. (100 rodzin ze Śląska i Prus), Don Pedro, o 17 klm. od miasta (25 rodzin z Prus Zachodnich), Dona Augusta, o 14 klm (44 rodzin z Prus) i Thomas Coelho, o 15 klm. od Kurytyby (750 rodzin mazurskich z Galicji). Wszystkie powyższe kolonie tworzą jednolity pierścień naokoło stolicy stanu, noszący oficjalną nazwę „Nova Polonia".

Pomiędzy rokiem 1885—1887 powstał nowy cykl kolonji polskich w Paranie, również położonych w pobliżu Kurytyby: Antonio Prado (40 rodzin ślązkich), Presidente Farria, Zacharias, o 28 klm od Kurytyby (28 rodzin z Poznańskiego), Muricy, o 30 klm. od miasta w okręgu S. José dos Pinhaes (109 rodzin z Poznańskiego i Ślązka), Inspector Carvalho, Accioli, Joao Alfredo, San Lourenco, Botiatuba, Christina i Alice w pobliżu miasteczka Campo Largo (75 rodzin mazurskich z Galicji). Nowa Pampina o 30 klm. (75 rodzin galicyjskich). Z liczby powyższej większość stanowiła kolonje rządowe, kilka zaś powstało drogą prywatnej parcelacji.

W tym samym czasie powstały drobne kolonje polskie i polsko-niemieckie w okolicach miast Ponta Grossa i Castro, są to: Guarauna, Tacuary, Rio Verde, Emilia, Adelaida, Butuquara, Floresta, Itaiacoca, Mohema, Tibagy, Santa Leopoldina i Santa Clara. W roku 1889 liczbę Polaków osiedlonych w Paranie urzędowe źródła podawały na 12.000.

Imigrację z Królestwa przyniosły w większych rozmiarach lata 1890—1891. Rząd Brazylijski uchwalił wówczas większe kredyty na kolonizację i bezpłatny przewóz imigrantów z Europy. Kompanje transportowe wszczęły agitację imigracyjną przy pomocy licznych agentów, a propaganda ta zwłaszcza w Królestwie, wydała plon niezwykle obfity, powodując słynną „gorączkę brazylijską", która zanosiła się na formalny exodus tysiącznych mas ludności za morze. Zaskoczone tem groźnem zjawiskiem społeczeństwo polskie zachowało się wobec niego zupełnie bezradnie. Powszechnie podnoszono potrzebę akcji ratunkowej, nie wiedziano wszakże jak ją zorganizować, nie umiano przeciwdziałać skutecznie propagandzie sprytnych agentów i ująć cały ruch w odpowiednie karby. Sprawozdania z wypraw informacyjnych do Brazylji A. Dygasińskiego i Ks. Chełmickiego przyniosły pełen grozy opis niedoli naszych wychodźców, rozczarowanych w swych nadziejach, dziesiątkowanych epidemjami w przepełnionych po brzegi barakach brazylijskich i napróżno wyczekujących całemi miesiącami na przydzielenie przyobiecanych gruntów. Okazało się, że rząd brazylijski zupełnie nie był przygotowany na przyjęcie tak znacznych zastępów imigrantów. Brakowało wymierzonych i gotowych do rozdania nowym osadnikom lotów, brakowało również miejsc w źle urządzonych barakach, tak w punktach rozdzielczych i w miastach portowych jak i w miejscowościach, gdzie tworzono kolonje, brakowało wreszcie ładu przy transporcie emigrantów i ich aprowizacji. Katastrofę zwiększał fakt, że przeważna część emigrantów polskich po przybyciu do Rio de Janeiro słu-

sznie upierała się, by ich osadzono na roli nie gdzieindziej lecz w Paranie, gdzie istniały już polskie osady; krzyżowało to plany rządu federalnego, który zamierzał prowadzić kolonizację jednocześnie w kilku stanach (Minas Geraes, Espirito Santo, Sao Paulo, Rio Grande do Sul), gdzie poczynił był już rozmaite zarządzenia co do pomiaru gruntów i budowy baraków. Dodać wreszcie należy, że znaczny procent wychodźców składał się z proletarjackiej ludności miejskiej, zwłaszcza z Warszawy i Łodzi.[1]) Nieobeznani wogóle z rolnictwem i nieprzyzwyczajeni do życia wiejskiego, ludzie ci tworzyli materjał najmniej odpowiedni do kolonizowania puszcz brazylijskich. Nawet w pomyślnych warunkach ciężka praca pionierska i walka z przyrodą brazylijską przekraczałaby ich siły, gdyż zajęcia rolnicze nie odpowiadały ich zamiłowaniom i nawyknieniom. Dla tych w Paranie już nawet po przejściu pierwszego czyśca w barakach emigracyjnych szykowała się w początkach niezwykle twarda dola, której przejście zdołały wytrzymać tylko natury najsilniejsze. Mniej odporni na pierwsze troski i trudy życia osadniczego, zniechęceni przeciwnościami, porzucali nadane im loty i, jeśli nie mieli za co wracać natychmiast do kraju, osiadali w Kurytybie w charakterze wyrobników lub też wędrowali do innych stanów, gdzie rozpraszali się po miastach i miasteczkach. Niektórzy z nich później rzucili się do rzemiosł lub handlu i zdobyli w ten sposób pewien dobrobyt. [2])

---

[1]) Roman Dmowski: „Wychodżtwo i osadnictwo" str. 100.

[2]) Prof. Józ. Siemiradzki opowiada jako autentyczny następujący epizod z ówczesnej wędrówki imigracyjnej do Brazylji: „6.000 Polaków urządziło exodus wzdłuż brzegów morza; wyszedłszy z Santos doszli szczęśliwie aż do Montevideo i Buenos Aires, gdzie się nimi grono inteligientnych Polaków zajęło. Mnóstwo drobnych dzieci, które nie mogły znieść trudów tej podróży, posprzedawano w drodze za żywność murzynom; dziś bardzo często widzieć można takich adopto-

Z kilkudziesięciotysięcznej imigracji polskiej do Brazylji w latach 1890—1891 osiedliło się w Paranie, według urzędowych brazylijskich zestawień, zaledwie około 15.000 polskich wychodźców, natomiast conajmniej dwa razy tyle osiadło w S-ta Catharina i Rio Grande do Sul. Do liczby kolonji polskich w Paranie przybyły wówczas osady, idące od stacji kolejowej Palmeira na południowy zachód i następnie wzdłuż prawego brzegu Iguassu, a mianowicie: Santa Barbara (przeszło 100 lotów), Cantagallo (20 lotów), Rio dos Patos (około 100 lotów), Agua Branca (140 lotów), Sao Matheus (243 loty), Rio Claro (obecnie przeszło 1.600 lotów i 10.000 mieszkańców) z portem na Iguassu Barrafeia, jak również kolonja Lucena, (obecnie przezwana Itayopolis i licząca 1.400 lotów), położona na południe od miasteczka Rio Negro i słynna ze swego kuracyjnego klimatu, a poniekąd również z powtarzających się parę razy w ciągu pierwszych lat istnienia napadów dzikich botokudów.

W latach 1895—1896 ogarnęła „gorączka brazylijska“ Galicję. Głównym krzewicielem jej był tym razem agent Silvio Nodari z Udine, reprezentant kompanji okrętowych włoskich. Na skutek petycji, wniesionej do Sejmu przez Towarzystwo Handlowo-Geograficzne we Lwowie, popartej gruntownem przemówieniem posła Teofila Merunowicza (w d. 5 lutego 1895 roku) polecił Sejm galicyjski Wydziałowi Krajowemu gorliwie zająć się sprawą wychodźtwa wogóle, w szczególności zaś emigracją do Brazylji. W wyko-

wanych dzieciaków całkowicie zbrazylianjonych” („Szlakiem wychodźców”, tom I, str. 164). Niewątpliwie, powtarzając w dobrej wierze tę bajkę, zapomniał Dr. Siemiradzki zaznaczyć, że uważa ją sam za zmyśloną już choćby dlatego, że wzdłuż brzegów morza niema tam dotychczas żadnych dróg, po których sześciotysięczny tłum mógłby odbywać swą wędrówkę, przedzieranie się zaś na przestrzeni kilkuset kilometrów przez gąszcz dziewiczych lasów byłoby nawet dla jednostek, nieobarczonych dziećmi i pakunkami, przedsięwzięciem zgoła niemożliwem.

naniu tej uchwały, wysłał Wydział Krajowy jako delegatów swoich do Brazylji: prof. J. Siemiradzkiego i księdza rusińskiego, Wolańskiego, prawie równocześnie zaś odbyła się wyprawa informacyjna do Brazylji D-ra Stanisława Kłobukowskiego w charakterze delegata Towarzystwa Handlowo-Geograficznego. Sprawozdania, ogłoszone z tych podróży, przedstawiały wartość Parany jako terenu osadniczego dla naszego wychodźtwa w świetle wręcz odmiennym, niż poprzednie sprawozdania delegatów warszawskich: A. Dygasińskiego i ks. Chełmickiego i po raz pierwszy podnosiły potrzebę zainaugurowania polskiej polityki emigracyjnej. Odtąd Parana stała się popularną w pewnych kołach entuzjastów galicyjskich, a „Gazeta Handlowo-Geograficzna“, biorąc przykład z wiedeńskiej „Kolonial-Zeitung“ ochrzciła ją mianem „Nowej Polski“. Lata 1895—1896 mało jednak przyczyniły się do wzmożenia żywiołu polskiego w Paranie, gdyż wśród 25.000 galicyjskich imigrantów olbrzymią większość tworzyli Rusini, którzy odtąd w wychodźtwie galicyjskiem do Parany mieli stałą przewagę liczebną. Wśród powstałych wówczas kolonji parańskich wymienić należy: Prudentopolis w dolinie rzeki Irahy, obecnie jedna z największych kolonji w Paranie, przeważnie rusińska (liczy 1.700 lotów i około 15.000 mieszkańców), Agua Amarella nad rzeką Rio Negro, Ipiranga, Guajuvira i Jangada.

Po roku 1896 polski ruch wychodźczy do Parany osłabł zupełnie, przemieniając się na emigrację jednostkową. Wtedy, gdy według danych urzędowych brazylijskich miała Parana w 1895 r. 13.893 imigrantów różnych narodowości, a w r. 1896—13.234, w latach 1897—1898 cyfra ta spadła na 460, a w r. 1899 wynosiła 1.060. Dopiero od r. 1909 przypływ imigrantów zaczyna się znów ożywiać (na ogólną liczbę 5.060 osób przybyło do Parany Polaków i Rusinów z Galicji 2.735, Polaków zaś z Królestwa 738). W r. 1910 liczba imigrantów wynosiła 2.539 (Polaków i Rusinów z Galicji 1.498, natomiast Polaków

z Królestwa—475), zaś w r. 1911 — 9,260 (7.572 z Królestwa i 1.502 z Galicji).

Z powstałych po r. 1896 kolonji czysto polskich lub z silną domieszką ludności polskiej wymienić należy:

1) Ivahy (dawniej Miguel-Calmon — brazylijskie Ministerstwo Rolnictwa bez żadnej widocznej potrzeby zmienia nazwy kolonji bardzo często, czasem co kilka miesięcy), założona przez rząd federalny w r. 1907 leży na prawym brzegu rzeki Ivahy i liczy 584 lotów wiejskich i 566 miejskich. Zaludniają ją Polacy i Rusini oraz niewielka ilość Niemców i Holendrów. Kolonja ta posiada bardzo urodzajne grunta, lecz rozwój jej tamuje brak komunikacji, gdyż najbliższa stacja kolejowa, Fernandes Pinheiro, odległą jest o 80 kilometrów; w przyszłości ma kolonję tę przeciąć linja kolejowa, projektowana w kierunku rzeki Parany celem połączenia stanu Parana ze stanem Matto Grosso.

2) Jesuino Marcondes, założona w r. 1907 w odległości 18 klm. od kolonji Prudentopolis; liczy 59 lotów wiejskich i 60 lotów miejskich.

3) Senador Correia, kolonja odległa od Prudentopolis o 45 klm. i licząca 103 loty wiejskie, oraz 100 lotów miejskich leży wśród gór, klimat posiada gorący i warunki dla osadnictwa niepomyś ne.

4) Itapara (Xavier da Silva), założona w r. 1908 również w okręgu Prudentopolis, w odległości 54 klm. od stacji kolejowej Iraty; 300 lotów wiejskich i 198 miejskich; kolonja bardzo licho prosperująca.

5) Iraty (dawniej „Gonçalves Junior") w odległości 18 klm. od stacji kolejowej Iraty, z którą łączy ją doskonała droga kołowa. Kolonja ta ma obszar 6.250 klm. i liczy 286 lotów wiejskich i 119 miejskich; założona i urządzona szczególnie starannie dla Niemców i Holendrów, (którzy przybyli w małej liczbie i wkrótce ją opuścili), a obecnie zaludniona przez Polaków i Rusinów, ma ona świetne

widoki rozwoju ze względu na bardzo urodzajną glebę i dobre stosunki komunikacyjne.

6) Tayo, założona w r. 1908 w odległości 5 klm. od miasteczka Ipyranga (okręg Ivahy), na gruntach, które municypjum Ipyrangi nabyło od właścicieli prywatnych po cenie 10 milr. za hektar i ofiarowało na cele kolonizacji europejskiej; kolonja ta obejmuje 76 lotów o obszarze 1.554 ha.

7) Alfonso Penna, kolonja „stepowa", założona przez rząd stanowy w odległości 19 klm. od Kurytyby i w pobliżu miasteczka Sao José dos Pinhâes na przestrzeni 2.202 ha o 112 lotach; brak wody bieżącej i nieszczególna gleba powodowały liczne skargi polskich kolonistów, zajmujących się tu głównie hodowlą krów i mleczarstwem.

8) Vera Guarany (dawniej Candido de Abreu), istnieje od r. 1910 na prawym brzegu Iguassu w municypium S. Matheus, niedaleko Paulo Frontin, stacji koleji żelaznej Sâo Paulo—Rio Grande; liczy 810 lotów wiejskich i 530 miejskich.

9) Nova Galicia, kolonja założona przez kompanję kolejową S. Paulo—Rio Grande przy linji kolejowej; dzięki dobrej administracji, żyznej glebie i ułatwieniom komunikacyjnym rozwijała się pomyślnie; liczyła 247 lotów, z tej liczby 170 zajmowały rodziny polskie, a 60 rusińskie. To samo towarzystwo kolejowe nosiło się z zamiarem założenia dalszych kolonji w Rio das Antas, Rio das Pedras i Rio Bonito.

10) Cruz Machado zajmuje olbrzymi trójkąt o powierzchni około 800 klm. kwadr. pomiędzy rzekami Iguassu, Palmital i Area. Dobra droga kołowa łączy kolonję tę, założoną w roku 1911, ze stacją kolejową Marechal Mallet, odległą o 48 klm. Na wymierzonych lotach (w liczbie około 2500) osiadali przeważnie wychodźcy z Królestwa Polskiego. Ziemie tu urodzajne, położone na rozmaitych wysokościach (1150 — 700 metrów nad powierzchnią morza). Jest to pierwsza placówka osadnicza po zachod-

niej stronie gór Serra Esparança. Na kolonji Cruz Machado istniała rządowa rolnicza stacja doświadczalna, której dyrektorem do wybuchu wojny był ś. p. Juljan Bagniewski (poległy na polu bitwy w r. 1915 jako oficer Legjonów Polskich).

Nadto powstało sporo kolonji w drodze parcelacji prywatnej, z której korzystają najchętniej osadnicy już oddawna w Paranie osiedli przy wyposażaniu swych dzieci. Do kolonji takich należą np. osady, położone w parafji Araucaria, obejmującej przestrzeń 1628 klm. kw., gdzie Polacy znaczną część gruntów wykupili od Brazyljan. Największe skupienia polskie znajdujemy tam w kolonjach Campina, Piranga i Guajuvira, z których tylko jedna Piranga powstała w drodze zwykłej kolonizacji, natomiast inne tworzone były przez zakupy z wolnej ręki, dokonywane przeważnie przez dzieci osadników z kol. Thomas Coelho.

ROZDZIAŁ XV.

Brazylijska ustawa kolonizacyjna z r. 1907. — Błędy brazylijskiej polityki kolonizacyjnej i ich skutki. — Brak komunikacji klęską nowych kolonji. — Powolne wymierzanie lotów i przepełnienie baraków imigracyjnych. — Agitacja agentów i agitacja ideowa. Brak opieki nad imigrantami w Paranie. — Pierwsze lata kolonisty na nowem gospodarstwie.

W myśl ustaw brazylijskich kolonizacją zajmować się mogą: 1) rząd federalny przy współdziałaniu autonomicznych rządów stanowych, 2) rządy poszczególnych stanów przy pomocy rządu federalnego lub bez niego, 3) przedsiębiorstwa transportowe, towarzystwa kolonizacyjne lub osoby prywatne przy poparciu rządowem albo na własną rękę ale pod kontrolą rządową. Sprawy kolonizacyjne podlegają Ministerstwu Przemysłu, Dróg i Robót Publicznych, które

posiada dla nich w swem łonie osobny departament. Organem wykonawczym jest w każdym stanie „inspektor służby zaludnienia („inspector do serwico de povoamento“). Normy, według jakich odbywać się ma kolonizacja, przepisuje dekret prezydenta Unji brazylijskiej z dn. 19 kwietnia 1907 r. Uważając zaludnianie kraju za jeden z najważniejszych środków do jego rozwoju kulturalnego i ekonomicznego, dąży państwo brazylijskie do sprowadzania w tym celu jaknajwiększej ilości imigrantów europejskich i osadzania ich na roli. Akcją w tym kierunku zajmuje się zazwyczaj rząd federalny, niekiedy prowadzą ją na własną rękę pojedyńcze stany. Wymaga ona znacznych kredytów. W razie ich uchwalenia zarządzane są pomiary upatrzonych terenów, a jednocześnie zawiera rząd federalny umowę z kompanjami okrętowemi o przewóz imigrantów. Umowy takie zawierane są bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem osobnych koncesjonarjuszy — liwerantów. Niekiedy sprowadzaniem imigrantów na własny rachunek zajmują się rządy stanowe, co dotyczy nie tylko osadników lecz również robotników, np. do robót na plantacjach kawowych. Każdorazowo ogłaszane bywają osobne przepisy, orzekające jakie kategorje imigrantów i na jakich warunkach korzystać mogą w danym czasie z bezpłatnego przejazdu. Bezpłatny ten przejazd obejmuje podróż od jednego z portów europejskich okrętem a później koleją i ewentualnie końmi aż na miejsce przeznaczenia. Rolnikom zapewniony jest wybór według własnego uznania kolonji, na której pragną się osiedlić, oczywiście, o ile na danej kolonji są jeszcze wolne parcele do rozdania. Korzystanie z bezpłatnego przejazdu nie powoduje dla imigrantów żadnych zgoła zobowiązań i nie wpływa na ograniczenie ich swobody ruchów, dobrowolnego wyboru zajęcia lub miejsca zamieszkania. Przeciwnie, zdarzają się nawet wypadki, że pod naciskiem ze strony konsulatów władze brazylijskie opłacają wyjątkowo koszta podróży powrotnej do kraju

takim imigrantom, którzy podróż do Brazylji odbyli bezpłatnie, ale czują się tutaj rozczarowani i wymieniają mniej więcej słuszne powody, dla których pragną powrócić w strony ojczyste. W r. 1910 na koszt rządu federalnego odesłanych było z Parany do Europy na własną prośbę 7 rodzin świeżo przybyłych imigrantów, a mianowicie 29 osób, w tej liczbie 19 poddanych niemieckich, 8 austrjackich i 2 holenderskich, jednocześnie zaś 9 rodzin holenderskich odesłano z Parany do Europy na koszt rządu holenderskiego.

Przymusowo zawracani mogą być do Europy tylko tacy imigranci, którzy nie odpowiadają wymaganiom art. 2 dekretu z dnia 19 kwietnia 1907 r. t. j. starsi ponad 60 lat i niezdolni do pracy, o ile przejeżdżają bez rodzin, które mogłyby zapewnić im utrzymanie, a nadto osoby cierpiące na choroby zaraźliwe lub uznane za kryminalnych przestępców, burzycieli porządku, żebraków, włóczęgów lub warjatów. W praktyce prawie żadne ograniczenia nie bywają stosowane, gdyż przy lądowaniu emigrantów w portach brazylijskich nie odbywa się badanie ich kwalifikacji według modły, przyjętej w Ameryce Północnej.

Rodziny emigrantów rolników, przybyłe na własny koszt, o ile składają się każda conajmniej z trzech osób zdolnych do pracy w wieku od lat 12 do 50, mogą w myśl art. 96 cytowanego wyżej dekretu, skoro w charakterze gospodarzy osiądą na kolonjach, otrzymać od rządu federalnego zwrot kosztów podróży przez ocean III klasy. Reklamacje w tym względzie muszą być zgłaszane przed upływem 2 lat od przyjazdu. W r. 1910 otrzymało na tej podstawie zwrot poniesionych kosztów podróży 56 rodzin, osiadłych w Paranie [1]).

---

[1]) „A colonisação no Paraná. — Relatorio referente ao anno de 1910, apresentado pelo Inspector de Servico de Povoamento no Estado do Paraná, engenheiro F. Ferreira Correira ao Sr. Director

Każdy imigrant, który oznajmi, że jest rolnikiem i że zamierza osiąść na kolonji jako właściciel, otrzymuje z chwilą przybycia do Rio de Janeiro (choćby przyjechał na koszt własny) bezpłatne utrzymanie w barakach i bezpłatną dalszą podróż z utrzymaniem aż do miejscowości, którą sam wskaże. Powyższe przepisy umożliwiają rodzinom kolonistów, osiadłych w Brazylji sprowadzanie z Europy na koszt rządu federalnego swych krewnych, pozostałych w kraju, oraz ewent. towarzystwom kolonizacyjnym i innym prywatnym przedsiębiorstwom parcelacyjnym sprowadzenie imigrantów jako nabywców na swe grunta.

Loty rządowe, otrzymują rodziny imigrantów za gotówkę lub, jeśli wolą na spłaty pięcioletnie, względnie dziesięcioletnie po cenach, zależnych od położenia kolonji, jakości gruntów i t. d. Na kolonji Gonçalves Junior cena ta wynosiła za hektar (dwie morgi polskie) przeciętnie 10 milrejsów, co przy ówczesnym kursie równało się około 6 rublom; na kolonji Miguel Calmon cena 25 ha wynosiła 259 milr., na kolonji Alfonso Penna (założonej przez rząd stanowy) liczono za 1 ha. 50-60 milr. Za drewniany dom, zwykle bardzo prymitywnie wybudowany, płacili koloniści dodatkowo 250—500 milrejsów, oczywiście również w ratach pięcio lub dziesięcioletnich. Wypada tu zaznaczyć, że rząd brazylijski jest wierzycielem cierpliwym, z czego chętnie korzystają koloniści, zwlekając ze spłatą długów za otrzymane loty po lat kilkanaście lub dłużej. Wypadki, by z powodu opóźniania się ze spłatą rat który z kolonistów zmuszony został do opuszczenia swego lotu, nigdy chyba się nie trafiają [1]).

General Dr. Joaquim Francesco Goncalves Junior". Curityba, 1911, str. 8.

[1]) Ludwik Włodek wspomina, że kolonja Rio Claro od 17 lat jej istnienja, a kolonja Prudentopolis od lat 11 nie miały nawet połowy spłaconych lotów („Polskie kolonje rolnicze w Paranie" str. 15).

Lot wiejski, czyli jak go nazywają nasi koloniści w Paranie „szakier“ (od portugalskiego „chacara“) obejmuje zwykle 25 hektarów (czyli 50 morgów polskich albo 10 akrów brazylijskich) i tworzy, o ile konfiguracja terenu na to pozwala, wydłużony prostokąt o szerokości 250 metrów i długości 1 kilometra. Na nowszych kolonjach tylko w bardzo rzadkich wypadkach mają loty wiejskie (lotes ruraes) mniej niż 25 ha (nap. na kol. Alfonsa Penna). Mniej więcej pośrodku każdej kolonji odmierzane bywają nadto loty miejskie („lotes urbanos“) na przestrzeni, która ma służyć za zawiązek przyszłego miasta i gdzie buduje się kościół i stawia budynki, przeznaczone na siedzibę urzędów. Lot miejski liczy tylko 30 metrów szerokości i 100 metrów długości; cena jego wynosi przeciętnie 65 milr. i musi być uiszczoną zgóry, a nadto nabywca obowiązany jest do wystawienia na własny koszt domu po upływie 3 miesięcy od daty kupna. Na kolonjach zakładnych przez rząd federalny lub przy jego poparciu, mogą osiadać krajowcy tylko w ograniczonej liczbie, nie przekraczającej 10% ogółu cudzoziemskich gospodarstw. Przepis ten nie bywa stosowany do lotów miejskich.

W zasadzie ma każdy osadnik otrzymać na swym locie wiejskim oprócz domu „wybudowanego normalnie w należytych warunkach zdrowotnych” ziemię „przygotowaną pod pierwszą uprawę” (art. 21). Tak jest w teorji, w praktyce atoli imigrant otrzymuje zwykle lot, cały pokryty dziewiczym borem i sam musi mozolnie czynić wszystkie zabiegi, by choć częściowo przygotować go jako tako pod uprawę. W myśl ustawy kolonizacyjnej ma mu rząd dostarczyć bezpłatnie nasion i narzędzi (grace, rydle, łomy, siekiery i kosy), co się rzeczywiście niekiedy zdarza; również przysługuje nowoosiadłym kolonistom przez pierwsze 6 miesięcy bytowania na locie i w razie potrzeby następnie aż do zbioru i sprzedaży pierwszych płodów; pomoc materjalna ze strony rządu, polegająca na aprowiantowaniu ich i dostarczeniu zarobków przy robotach publicznych

przez 3 dni w tygodniu. Jeśli w praktyce zasada ta bywa rozmaicie stosowaną, to natomiast prawie nigdy nie znajduje uwzględnienia następny z kolei paragraf dekretu kolonizacyjnego (art. 37), który głosi, że w ciągu pierwszego roku „wszyscy emigranci będą mieli bezpłatnie lekarza i lekarstwa". Również czysto teoretyczną wartość ma wzmianka w ustawie, iż „rząd będzie utrzymywał na kolonjach szkoły początkowe bezpłatne i będzie urządzał wystawy i jarmarki płodów rolnictwa i przemysłu, gdy to uzna za stosowne (art. 44). Wogóle ustawa kolonizacyjna brazylijska zawiera wiele takich postanowień, które tworzą piękne świadectwo dla dobrych zamiarów i pobożnych życzeń ustawodawców, w życiu jednak bądź wcale nie znajdowały dotychczas zastosowania, bądź też tylko w stopniu karykaturalnie małym.

Na rozwoju kolonizacji polskiej w Paranie mściły się błędy, popełniane stale przez rząd brazylijski. Do takich kardynalnych grzechów zaliczyłbym przedewszystkiem wadliwy system zakładania kolonji tak, aby od pierwszych chwil swego istnienia musiały one niedomagać z powodu braku środków komunikacyjnych. Tylko pierwsza kolonizacja prowadzoną była w bezpośredniem sąsiedztwie Kurytyby, natomiast kolonje późniejsze tworzone były jakby naumyślnie w okolicach odległych od kolei żelaznych. Działo się tak dla rozmaitych powodów, przedewszystkiem, zaś na skutek faktu, że grunta lepiej pod względem komunikacyjnym sytuowane zostały już dawno rozdane lub zabezcen sprzedane rozmaitym wybitnym politykom i przestały być własnością państwa; dzisiaj są one albo już rozparcelowane, albo też, jeśli nie leżą zupełnie odłogiem, służą właścicielom do hodowli bydła (na stepach). Ziemia bezpańska („terras devoxlutas"), ta, którą swobodnie może rząd rozporządzać, zaczyna się dopiero na kresach cywilizacji, tam, gdzie niema jeszcze ani dróg, ani kolei, ani żadnych skupień ludzkich, gdzie dziewicza puszcza nie sły-

szala jeszcze ani echa siekiery, ani turkotu wozu. Pragnąc podnieść wartość tych pustkowi, usiłowali kolonizatorzy rządowi jaknajdalej wcisnąć w głąb lasów nowozakładane osady w nadziei, że w ten sposób przestrzeń, dzieląca je od najbliższych punktów komunikacyjnych, zwolna się ożywi, a ceny położonych na niej gruntów pójdą znacznie w górę, pokrywając koszta zakładanych kolonji. Kalkulacja taka była fałszywą, gdyż budowa jakiej takiej drogi pochłaniała olbrzymie kwoty, wydatki na pomiary i założenie kolonji oraz na transport emigrantów wypadały drożej, a nowe osady, mając utrudniony zbyt swych produktów przy jednoczesnej drożyźnie artykułów sprowadzanych nie mogły odrazu rozwijać się normalnie. Największa kolonja parańska Prudentopolis przez pierwsze dziesięciolecie swego istnienia miała 90 klm. do najbliższej stacji kolejowej Ponta Grossa, a od czasu otwarcia ruchu na kolei São Paulo-Rio Grande dzieli ją jeszcze przestrzeń 65 klm. od najbliższej stacji Fernandez Pinheiro; kol. Agua Amarella (Antonio Olyntho) położoną jest o 60 klm. od kolei, kol. Lucena—tylko o 33 klm., kol. Miguel Calmon o 78 klm., kol. Senador Carreira—o przeszło 100 klm., Itapara o 54 klm. Cruz Machado—o 48 klm. i t. d. Zakładanie kolonji w miejscowościach odległych wielce utrudniało poprzednie zbadanie ich terenu i wartości gleby, a jednocześnie umożliwiało urzędnikom kolonizacyjnym szereg takich nadużyć, które byłyby zbyt ryzykowne w miejscowościach, bardziej dostępnych dla kontroli władz wyższych. Że tworzenie kolonji na gruntach, nabytych za gotówkę od właścicieli prywatnych, wypaść może rządowi taniej, niż kolonizacja na gruntach własnych, świadczy obliczenie, jakie znajdujemy w rządowem sprawozdaniu parańskiego inspektora służby zaludnienia kraju za rok 1910.

Sprawozdanie to podaje zestawienie wydatków, poniesionych na koszta założenia i zaludnienia dwóch kolonji:

Cruz Machado, utworzonej na gruntach stanowych, za które rząd nic nie zapłacił, ale które leżą w odległości 48 klm. od stacji kolejowej i Iraty, założonej na gruntach nabytych przez rząd od prywatnych właścicieli po cenie 12 milr. za hektar, ale odległych od stacji kolejowej tylko o 18 klm. Wskutek znacznie mniejszych wydatków na budowę drogi i na transport imigrantów, żywności i materjałów, koszt założenia i obsadzenia pojedyńczego lotu wypadł na Iraty o 70 milr. taniej niż na Cruz Machado.

„Wykazawszy powyżej korzyści—pisze dalej sprawozdawca—jakie wynikają z kolonizowania terenów, położonych w małej odległości od kolei żelaznej, nie widzę powodów, dlaczegoby rząd federalny nie miał w dalszym ciągu nabywać terenów w drodze kupna, przynajmniej w tym stanie, gdzie ceny kupna są jeszcze — pomimo dobrych warunków — stosunkowo nizkie. Dodam, że grunta rządowe (bezpańskie) stają się coraz bardziej odległymi od centrów zaludnionych, a najbliższe jakie jeszcze istnieją wzdłuż linji kolejowej S. Paulo-Rio Grande, przeszły na własność tej kompanji na podstawie koncesji, w myśl której uzyskała ona prawo własności do gruntów rządowych, położonych na przestrzeni 15 klm. po każdej stronie toru".[1])

Zaprowadzenie podatków gruntowych, których dotychczas w Paranie niema, wpłynęłoby radykalnie na spadek cen ziemi i ułatwiło kolonizację rządową na gruntach prywatnych. Posiadacze bowiem wielkich obszarów, leżących dzisiaj odłogiem, postaraliby się pozbyć ich albo przez parcelację, albo też w braku na ten cel funduszów, przez odsprzedaż rządowi na cele kolonizacyjne. Kolonizując na terenach prywatnych, mógłby rząd czynić staranny wybór gruntów pod względem jakości gleby i innych

[1]) „A colonisação no Parana. Relatorio referente ao anno de 1910, apresentado pelo Inspektor do Serviço de Povoamento no Estado do Paranã, Monoel F. Ferreira Correia", Curityba, 1911, str. 12.

warunków, zamiast, jak się to często działo do niedawna, zajmować na ten cel przestrzenie niezbadane i niekiedy zupełnie nieodpowiednie.

Drugim kardynalnym błędem, stale popełnianym przez rząd brazylijski, była nieumiejętność zapobiegania zatorom ludzkim, jakie tworzyły się przy każdym masowym przypływie imigrantów osadniczych. Ogłaszając bezpłatny przewóz imigrantów-osadników i zawierając w tym względzie umowy z kompaniami okrętowemi, nigdy nie potrafił rząd brazylijski jednocześnie poczynić potrzebnych przygotowań na ich przyjęcie a przedewszystkiem mieć dla nich w pogotowiu dostateczną ilość wymierzonych lotów w tym stanie, w którym według wszelkiego prawdopodobieństwa zapragną się osiedlić. Tak było w latach 1890—1891, 1895—1896 i wreszcie 1911—1912, kiedy przez nieudolność swych administratorów narażało się państwo brazylijskie na miljonowe straty i dyskredytowało w opinji europejskich krajów emigracyjnych. Już pierwsza „gorączka brazylijska" odbiła się w Królestwie echem gorzkich skarg i rozpaczliwych nawoływań o ratunek ze strony wychodźców, którzy, gnani nędzą lub uwiedzeni agitacją, podążyli do Brazylji szukać tam poprawy bytu. Skargi te i żale, błagania o litość i przekleństwa płynęły zawsze z baraków emigracyjnych, które dla wielu przybyszów stawały się okrutną kaźnią, gorszą od więzień syberyjskich. Zamiast odrazu, jak sądzili, wejść w posiadanie przyrzeczonych gospodarstw, ludzie ci skazani byli przez długi szereg miesięcy na bezczynne wyczekiwanie w przepełnionych po brzegi dusznych, brudnych barakach, gdzie wskutek niehygienicznych urządzeń i natłoku łatwo wybuchały i szerzyły się epidemie. Każdy dzień przynosił nowe pogrzeby i niejeden z imigrantów musiał jak ów „Ojciec zadżumionych" Słowackiego kolejno kłaść do mogiły wszystkie swe dzieci. Opisy tych strasznych dni, przeżywanych przez polskich emigrantów, natchnęły Marję Konopnicką do stworzenia „Pana Balcera

w Brazylji", chociaż wielka poetka, twórczyni „hymnu dzieci polskich w Paranie", była sama gorącą zwolenniczką idei parańskiej. Wyczekiwanie całymi miesiącami w barakach demoralizowało jednych, innych rozpraszało po Brazylji lub skłaniało do powrotu do kraju, choćby o żebranym chlebie, wszystkich zaś przygnębiało na duchu i niszczyło materjalnie, Jednocześnie zaś odbywały się w żółwim tempie roboty, połączone z zakładaniem nowych kolonji, budową dróg, pomiarami lotów i t. p. czynności, które powinny były być ukończone jeszcze przed sprowadzeniem imigrantów z Europy a przy których nikt z urzędników państwowych nie odczuwał najmniejszej potrzeby pośpiechu. [1])

Że rząd brazylijski—nie wskutek braku dobrych chęci, lecz wskutek nieudolności — był pod tym względem niepoprawnym, dowodzi emigracja z lat 1911—1912, która ogarnęła niektóre powiaty gubernji lubelskiej i siedleckiej, budząc w pewnych kołach społeczeństwa polskiego daleko idące obawy. I tym razem emigrantów spotykał po przyjeździe do Parany zawód, gdyż na wzór swych poprzedników, skazani byli w swej większości — dla braku odmierzonych lotów — również na wielomiesięczną ciężką pokutę w przepełnionych i znów nawiedzanych epidemiami barakach rządowych. Listy, pisane przez rozczarowanych

---

[1]) Oficjalny organ rządu parańskiego dziennik „A Republica" pisał w dniu 26 sierpnia 1892 r. o barakach kurytybskich: „Kolonizacja w Paranie idzie niedołężnie i bezładnie: biedni emigranci napchani w ciasnych barakach bez pomocy lekarskiej, w bardzo niehygienicznych warunkach, źle żywieni, mrą po 8 do 10 dziennie, a wielu ratuje się od śmierci głodowej jałmużną po ulicach. Posłano kilka partji geometrów, lecz ci nic nie robią, i niewielu tylko emigrantów lokują. Poco egzystuje „Delegacja kolonizacyjna" z całą armią urzędników, po co wydaje się tyle pieniędzy?" Artykuł kończyła konkluzja, że „rząd centralny zdemoralizował i zniszczył dzieło kolonizacji w Paranie" (patrz: Antoniego Hempla „Polacy w Brazylji", Lwów, 1893, str. 88).

imigrantów, do krewnych i znajomych na Podlasiu, zdolne były same przez się zatamować ruch wychodźczy do Parany, gdyby nie postarał się o powstrzymanie go urząd emigracyjny w Rio de Janeiro przez nagłe zawieszenie darmowego przewozu wychodźców. Sposób ten wyjścia z kłopotliwej sytuacji stosowany był przez rząd brazylijski każdorazowo, gdy nie umiał dać sobie rady ze zbyt tłumną imigracją. Zakaz darmowego przewozu przez ocean następował atoli bez poprzednich zapowiedzi i tak nagle, że narażał na przykry zawód i dotkliwe straty tych wychodźców, którzy, zlikwidowawszy wszystkie swe interesy w kraju ojczystym, byli już w drodze do wyznaczonego portu lub w samym porcie. Wychodźcy tacy musieli w podobnych wypadkach decydować się chcąc nie chcąc albo na zrezygnowanie z poniesionych najczęściej za ostatni grosz wydatków podróżnych i przymusowy powrót z niczem w rodzinne strony, albo też na wyprawę do tych stanów (jak np. S. Paulo i Rio Grande do Sul), do których bezpłatny przewóz w danej chwili nie został jeszcze odwołany, ale dokąd jechać nie mieli najmniejszej ochoty. Jeśli bezpłatny przejazd przez ocean przestał przysługiwać nie tylko do Parany, lecz jednocześnie również i do innych stanów brazylijskich, położenie tych rodzin wychodźczych, które ostatnie swe zasoby wydały na opłacenie biletów kolejowych do portu i których wiadomość o zarządzeniu tem zaskoczyła w drodze, stawało się prawdziwie rozpaczliwem.

Niektórzy publicyści podnoszą zarzut przeciwko zasadzie bezpłatnego przewozu emigrantów wogóle. Zarzut ten motywowany bywa okolicznością, że tego rodzaju ułatwienia ze strony państw imigracyjnych służą same przez się za podnietę do emigracyi i przyczyniają się do jej liczebnego wzrostu z uszczerbkiem dla interesów krajów emigracyjnych, z drugiej zaś strony tworzą podatny grunt do spekulacyjnej agitacyi wychodźczej. Zdania tego nie podzielam. Pomijam już kwestję wywozu pieniędzy, która

nie może być obojętną ze względu na bilans płatniczy kraju, skąd odbywa się wychodźtwo. Ważniejszem jest pytanie, czy przy ocenianiu ujemnych wyników ruchu emigracyjnego należy szacować go tylko ilościowo, nie biorąc pod uwagę jego wartości jakościowej. Bezpłatny przewóz przez ocean umożliwia wychodźtwo rodzinom najbiedniejszym, najbardziej ekonomicznie upośledzonym, na których materjalnej egzystencji skutki przeludnienia wsi najsilniej się odbijają. Wyjeżdżają wtedy ci, którym własne społeczeństwo nie mogło czy nie potrafiło zapewnić znośnego bytowania, którzy z pokolenia na pokolenie skazani byli na rolę społecznych parjasów, których trawił głód ziemi bez najmniejszej nadziei na jego nasycenie. Wyjazd ich przerzedza szeregi bezrolnych i bezdomnych i, zmniejszając nadmierną podaż źle wynagradzanych rąk roboczych, ułatwia poprawę bytu pozostałym. Jeśli przypomnimy sobie, że nap. w Anglji, tak rząd, jak rozmaite organizacje społeczne i humanitarne starają się ulżyć miejscowej nędzy przez wywóz nieuleczalnie dotkniętych nią jednostek do kolonji zamorskich, stanie się zrozumiałem, że tylko brak własnych kolonji mógł stanowić dla naszego społeczeństwa racjonalny powód do tamowania wychodźtwa osadniczego za wszelką cenę. Przykład Parany świadczy jednak, że nie tylko formalne posiadanie własnych terytorjów zamorskich chronić może wychodźców przed wynarodowieniem, t. j. przed zupełną ich utratą dla macierzy. Wszędzie tam, gdzie istnieją pewne widoki, że wychodźcy nawet w najdalszych pokoleniach zachowają swą narodowość i poczucie łączności z krajem ojczystym, nie można ich uważać za przepadłych pod względem narodowym. Oczywiście z ciasnego punktu widzenia egoistycznych interesów klas posiadających wyjazd za ocean znaczniejszej ilości robotników jest zjawiskiem niepomyślnem; ze stanowiska atoli interesów ogółu społeczeństwa i samych wychodźców emigracja taka jest bardziej pożądaną, niż bezpowrotne wy-

chodźtwo ludzi zasobnych w pewne fundusze i mogących opłacać koszta całej podróży, a może nawet zakupywać za gotówkę grunta za oceanem. W porównaniu np. z zachodnią Kanadą, miała Parana jako teren dla wychodźtwa osadniczego tę stanowczą przewagę, że—dzięki bezpłatnym „szyfkartom" i łatwości nabywania bez pieniędzy rządowych „szakrów" — mógł udawać się tam proletarjusz z uzasadnioną nadzieją zostania niebawem samodzielnym gospodarzem i wychowania na Polaków swych dzieci i wnuków, wtedy gdy na farmy zachodnio-kanadyjskie podążać mogły tylko rodziny, rozporządzające każda kapitałem conajmniej paru tysięcy rubli (niezbędnym na opędzenie kosztów dalekiej podróży i zagospodarowania się na „homestead'ach"), a wychodźców tych bodaj już w drugiem pokoleniu nieuchronnie oczekiwała narodowa zagłada.

Że bezpłatny przewóz do Brazylji służył za wygodne podłoże do spekulacyjnej agitacji emigracyjnej, jest zrozumiałem, gdyż ogromnie ułatwiał akwizycję pasażerów agentom kompanji okrętowych. Agenci ci, mając umówioną prowizję za każdego dostarczonego pasażera, w celach zysku nie przebierali w środkach, by pasażerów tych pozyskać jaknajwięcej, zadanie to zaś bardzo im ułatwiała okoliczność, że karty okrętowe do Brazylji można było otrzymywać bezpłatnie wraz z perspektywą otrzymania także gruntu bez żadnych dopłat zgóry. Ale że namowy agentów były tylko oliwą, rzucaną na ogień, same przez się ruchu wychodźczego nie powodując, zdaje się świadczyć fakt, że ruch ten zawsze obejmował tylko pewne okolice kraju i nigdy nie był powszechnym, aczkolwiek agitacja agentów niewątpliwie starała się wszędzie dotrzeć. Wtedy np. gdy pierwsza „gorączka brazylijska" (1890—1891) szerzyła się głównie w Mławskiem, Ciechanowskiem, Kaliskiem i Lipnowskiem oraz w Warszawie i Łodzi, ruch wychodźczy w latach 1911 i 1912 ogarnął wyłącznie niektóre powiaty gubernji Lubelskiej i Siedleckiej.

Agitacja agentów emigracyjnych powinna i może być skutecznie zwalczana przez państwo i społeczeństwo i jeśli do chwili wybuchu wojny światowej mogła ona w Królestwie święcić częste tryumfy, winy tego szukać należy między innemi w cichem sprzyjaniu jej ze strony władz rosyjskich. Niezależnie od agitacji, prowadzonej w celach zysku przez rozmaitego rodzaju pośredników, na rozmiary ruchu wychodźczego do Parany wywierała wpływ propaganda, dyktowana pobudkami natury idejowej. Stwierdzić to można odnośnie do ostatniej ruchawki emigracyjnej; w prasie naszej obudzenie się ruchu emigracyjnego do Parany w r. 1911 odbiło się głośnem echem artykułów pro i contra, polemik, ostrzeżeń i alarmowych nawoływań, jakgdyby Polsce groziła pewna katastrofa; w rzeczywistości liczba emigrujących do Parany prawie nigdy nie przekraczała rozmiarów równoczesnego wychodźtwa do Stanów Zjednoczonych, którego fala w tym samym czasie płynęła jakby niepostrzeżenie, powszechnie uchodząc już za zjawisko normalne.

Ostatnia emigracja do Parany obejmowała głównie służbę folwarczną. Delegat Warszawskiego Towarzystwa Opieki nad wychodźcami, który przeprowadzał w tej sprawie umyślne badania w okolicach, ogarniętych ruchem emigracyjnym, tak opisywał w „Kurjerze Warszawskim" powody tego ruchu:[1])

„Służba folwarczna w okolicach, objętych ruchem emigracyjnym, to jedna gromada malkontentów, ustawicznie narzekających na swój ciężki los. Objeżdżając powyższe okolice, słyszy się bez przerwy jedną tylko skargę na niedostateczne wynagrodzenie służby, a głównie na zmuszanie fornali do utrzymywania czeladników, którzy pochłaniają cały zarobek, na niedostateczną ilość wydzielanych ziemniaków (do niedawna jeszcze otrzymywał fornal zamiast

[1]) Sprawozdanie delegata Warszawskiego Towarzystwa Opieki nad wychodźcami, Franciszka Bayera, z podróży informacyjnej po Podlasiu. „Polski Przegląd Emigracyjny", 1911, № 17.

ziemniaków w naturze do 150 prętów ziemi pod ziemniaki, z której przy dobrym urodzaju miał i dwa razy tyle, co obecnie), dalej na jakość wydzielanej ordynarji i na wiele innych podobnych rzeczy. Obecnie fornal, zależnie od dworu, pobiera od 20 do 30 rubli pensji rocznej, 13 do 14 korców zboża, od 25 do 30 korców ziemniaków, ma krowę na oborze dworskiej i kawałek ogrodu pod warzywa. Dwór wymaga za to od niego czeladnika, któremu fornal musi płacić rocznie od 30 do 40 rubli i dawać całe utrzymanie. Natomiast dwór płaci czeladnikowi za każdy dzień roboczy od 13 do 30 kop., którą to płacę bierze fornal, utrzymujący swego czeladnika, a nadto dwór dodaje mu na czeladnika 2 korce zboża i 6 korców ziemniaków.

„Ten to właśnie dość skomplikowany sposób wynagradzania służby wywołuje niezadowolenie i pewien naprężony stosunek służby do dworu. W takiej więc masie niezadowolonych agitacja znalazła grunt, a przyszła ona w różnorakiej formie. Najpierw zjawiają się listy Ks. Józefa Anusza z Araucarji w Paranie, pisane do ex-kolegów, księży w guberni Siedleckiej, w których ks. Anusz zachęcał lud do wyjazdu do Parany. Listy te księża swym zaufanym czytali. Następnie rozrzucono broszurę agitacyjną Pankiewicza „Prawda o Paranie“, która kursowała od chaty do chaty. Z okolic Czemiernik, powiatu lubartowskiego wyjechała deputacja do Lublina do redakcji „Kurjera“ w celu zaciągnięcia rady w sprawie wychodźtwa do Parany.

„Deputacja ta otrzymała zachęcającą do wyjazdu odpowiedź. Wogóle stanowisko w tej sprawie lubelskiego „Kurjera“ i warszawskiego „Zarania“ przyczyniło się w znacznej mierze do wzmożenia się ruchu wychodźczego.

„Nadomiar złego w początkach roku bieżącego przybywa do wsi Branicy koło Radzynia w celu podjęcia przypadającego spadku kobieta z Parany, która przed laty kilkunastu osiadła na jednej ze starszych kolonji parańskich i której tam się dobrze powodzi. Pusiadanie pewnego za-

sobu gotówki oraz ładna przyodziewka tej kobiety zwróciły uwagę w okolicy. Garnięto się więc do niej z zapytaniami o Paranę i prośbą, aby, jako naoczny świadek, potwierdziła to, co dobrego o Paranie piszą. Choć — jak zapewniają—ta kobieta nie zajmowała się szeroką agitacją, to jednak sam fakt, że zabrała z sobą wszystkich swych krewnych do Parany, podziałał tak, że uwierzono we wszystko, co tylko dodatniego o Paranie opisywano, nie dając już natomiast posłuchu tym, którzy Paranę ganili. Wtedy z Radzyńskiego ruszyło się wychodźtwo gromadnie. Za służbą folwarczną pociągnęli i niektórzy gospodarze, sprzedając przeważnie za dwie trzecie wartości swój grunt i w ten sposób rozumując, że, jeśli ci, co nic nie posiadają, za kilka lat, według niektórych zapewnień, mają dojść do majątku, to oni, przyjechawszy do Parany z gotówką, za lat kilka staną się bogaczami.

„Powyższa agitacja była czysto idejowa ludzi, którzy nie widzieli i nie mogli widzieć w tem swego interesu, a działali tylko w chęci polepszenia losu bezrolnego ludu, już to przez przesiedlenie części tegoż do zachwalanej Parany, już też przez podniesienie wskutek ubytku sił roboczych wynagrodzenia za pracę folwarczną. Oprócz agitacji wspomnianej była też agitacja tajnych agentów, lecz nie w tym stopniu, jak sobie to niektórzy wyobrażają. Naganiaczy po wsiach prawie że nie było,“

Nawiasem mówiąc, ideowa działalność pewnego księdza w Paranie była równie szkodliwą, jak płatnych agentów, i skłoniła Polskie Towarzystwo Emigracyjne do skreślenia go z listy swych członków i skarcenia w sposób publiczny. Kierowany bowiem jakimś krótkowzrocznym fanatyzmem, prowadził on za pomocą ciągle rozsyłanych listów, drukowanych świstków i delegowanych do kraju emisarjuszy, agitację wychodźczą, przedstawiając Paranę w kolorach tak jednostronnie różowych, że wychodźców, upojonych tymi ponętnymi a nie zupełnie zgodnymi z prawdą opisami,

musiało po przybyciu do Parany w każdym razie spotkać przykre rozczarowanie, gdyż realna rzeczywistość nie odpowiadała wcale idealnym warunkom, jakie zdołali sobie wytworzyć. Agitację zaś swą uparcie kontynuował ów ksiądz jeszcze wtedy, kiedy już nawet rząd w Rio de Janeiro starał się ruch imigracyjny do Parany ograniczyć, ponieważ dla nowych przybyszów nie miał wymierzonych lotów, a fatalne stosunki, panujące w przepełnionych barakach, głośne skargi emigrantów i rosnąca reemigracja do Europy, dalszy przypływ imigracji czyniły pod każdym względem wysoce niepożądanym. Jednocześnie działacz ten nie robił literalnie nic, by ofiarom swej agitacji po przybyciu ich do Parany, przyjść z jakąkolwiek pomocą już choćby tylko przez udzielenie potrzebnych rad i wskazówek, które, przerzuceni do zupełnie obcych stosunków, czerpać musieli przygodnie z rozmaitych źródeł, często nieżyczliwych i spekulujących na wyzysk.

Dążąc do liczebnego wzmocnienia za wszelką cenę żywiołu polskiego w Paranie, ani on, ani też jego pomocnicy nie starali się pomimo to zapobiedz powtarzającym się nierzadko wypadkom, że świeżo przybyłych imigrantów, o ile posiadali jeszcze pewne fundusze, miejscowi malkontenci lub handlarze kartami okrętowemi umieli skłonić do powrotu do kraju zaledwie po kilkudniowym pobycie w Kurytybie. Zdarzało się nieraz, że do imigrantów zaraz po ich przybyciu z portu zgłaszali się „dobrzy" ludzie, rodacy, i, malując im miejscowe stosunki w jaknajczarniejszych barwach, niby bezinteresownie radzili czemprędzej wracać do kraju, zanim rozejdą się im posiadane jeszcze pieniądze. „Potem — mówili — skoro już nie stać was będzie na zakupno powrotnych kart okrętowych, będzie już zapóźno i czeka was tutaj niechybna zguba. Dzieci wasze przeklinać was będą, żeście nie posłuchali naszej dobrej rady, by odrazu wydostać się z tego piekła". Po przestrodze tego rodzaju następowała wskazówka, że istnieje w Ku-

rytybie pewien rzetelny kupiec, który z litości nad biednymi rodakami, gdy kto godny zaufania za nimi się wstawi, sprzedaje „szyfkarty" po zniżonych cenach. Zaprowadzeni do owego filantropa emigranci, których zmęczenie długą i uciążliwą podróżą, widok dzikich gór nadmorskich, przerażający wioskowych mieszkańców nizin, przepełnienie baraków i najsprzeczniejsze opowieści, słyszane dookoła, przyprawiały o zawrót głowy, spotykali się z początku z odmową; rzetelny kupiec kręcił niechętnie głową, ociągał się, odradzał i namyślał, aż wreszcie po długich prośbach dawał się wzruszyć i szyfkarty „z litości" sprzedawał. W ten sposób po kilkudniowym zaledwie pobycie w Kurytybie wracali do kraju włościanie, dawni gospodarze, dziś wyzuci ze wszystkich środków, którzy cały posiadany majątek przemarnowali na przejażdżkę do Brazylji, wracali, by swym smutnym przykładem stanowić przestrogę dla innych sąsiadów a fantastycznemi swemi opowieściami dawać mniej krytycznym sprawozdawcom dziennikarskim obfity materjał do zwalczania wychodźtwa do Parany.

Brak na miejscu wszelkiej zorganizowanej opieki obywatelskiej skazywał wielu imigrantów na straty i wyzysk podczas pierwszych ich kroków na gruncie parańskim. Niektórym z nich nap. sprytni oszuści sprzedawali za gotówkę loty, stanowiące cudzą własność, inni zaś tracili na wymianie pieniędzy, zwłaszcza jeśli je przywieźli w walucie rosyjskiej, austrjackiej lub niemieckiej. Zawiązany w r. 1893 w Kurytybie z inicjatywy ówczesnego redaktora „Gazety Polskiej w Brazylji" komitet pod nazwą „Polskiej Delegacji Handlowo-Geograficznej", który miał w programie opiekę nad przychodźcami polskiemi, nie zdołał z powodu wyjazdu do Europy swego założyciela rozwinąć szerszej działalności i niebawem się rozwiązał. W r. 1911 Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie zwróciło się do Polonji parańskiej z odezwą o utworzenie w Kurytybie, z sekcjami na prowincji, stowarzyszenia, któreby miało na celu

niesienie pomocy i porady polskim wychodźcom, przybywającym do Parany. Odezwę tę przedrukowały kurytybskie gazety polskie, a „Polak w Brazylji" w osobnym artykule poparł tę myśl gorąco, pomimo to jednak nie wydała ona żadnych rezultatów, a jedynem ich echem był list otrzymany przez P. T. E. od jednego z Polaków parańskich z zapewnieniem, że „lepszego opiekuna, jakim jest rząd brazylijski stanowczo nasi wychodźcy nie znajdą nawet w delegatach lub członkach Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego".[1]) Brak opieki najbardziej dawał się odczuwać wychodźcom z Królestwa, gdyż Galicjanie mieli w pewnym stopniu zapewnioną pomoc ze strony konsulatu austro-węgierskiego w Kurytybie. Konsulat ten został otwarty w r. 1897 na skutek petycji lwowskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego i odtąd — z wyjątkiem ostatnich lat, poprzedzających wojnę,—na czele jego stali zawsze Polacy.

Brak światłych rad i życzliwych wskazówek ogromnie utrudniał naszemu emigrantowi pierwsze kroki nie tylko zaraz po przybyciu do Parany, kiedy nap. musiał pomacku decydować się na wybór kolonji, lecz również przy zakładaniu gospodarstwa na otrzymanym od rządu locie. Tutaj, nie mając u kogo się radzić i od kogo się uczyć, skazany na własną pomysłowość, musiał wśród obcych zupełnie warunków naśladować Robinsona Kruzoe, a przy robieniu prób i eksperymentów niejednokrotnie popełniał błędy, marnował wiele czasu i pracy. Ów lot, jaki otrzymał od rządu, pokryty był dziewiczym lasem (bo nowe kolonje są z reguły zakładane na terenach leśnych, mających lepszą glebę od stepowych). Chatynka z jednem otworem zamiast okna, bez podłogi i bez pieca, sklecona prowizorycznie na wzór szałasów myśliwskich, stanowiła pierwszą własną siedzibę, bardzo szczupłą wprawdzie i prze-

[1]) „Polski Przegląd Emigracyjny", 1911, № 14.

wiewną niby altana, ale przy dobroczynnym klimacie parańskim, zupełnie znośną. Kuchnię zastępowało ognisko rozniecane w odległości paru kroków od domu. Jeśli było nieco cegieł lub odpowiednich kamieni pod ręką, wnet powstawał z nich piec, nad którym wznosił się na rusztowaniu dach, chroniący strawę przed deszczem. Dom stał najczęściej obok tak zwanej „linji“ albo „pikady“, będącej projektem przyszłej drogi. Ścieżka wązka, niedbale w borze wycięta, najeżona była pniami i pozbawiona mostów. Przejść nią w dzień jakotako było można, przejechać konno trudniej, wozem niesposób. Jeśli loty leżały po obydwóch stronach linji, najbliższy sąsiad mieszkał być może tuż naprzeciw, zresztą odległość jednej chaty od drugiej wzdłuż linji wynosi przeciętnie 250 metrów, bo tyle ma od frontu każdy „szakier“, zajmując zwykle przestrzeń 250.000 metrów kwadratowych. Z najbliższymi więc kilku sąsiadami komunikować się częściej dość łatwo, do następnych zaś trzeba już wędrować kawałek drogi.

Las jest tak gęsty, że wejść do niego można tylko przy pomocy „faki“. Faka (facâo), wielki nóż, noszony w pochwie jak szabla, to najniezbędniejsze narzędzie pracy, a i pożyteczna broń zarazem. Nie rozstaje się z nią nigdy półdziki „kaboklo” a za jego przykładem i nasz kolonista przypinał ją sobie do boku i nosił stale.

Uprawa w lesie rozpoczynała się od wycięcia podszycia, które parę dni schło i opadało wreszcie, obnażając duże drzewa, które trzeba było spuszczać w porządku i z wielką uwagą, ponieważ zaplątane w ljany i skrępowane innymi drzewami padało często w kierunku nieprzewidzianym, miażdżąc nieumiejętnych lub nieostrożnych robotników.

Po wyrąbaniu określonej przestrzeni całą masę zwalonych drzew pozostawiono parę tygodni, lub więcej w spokoju, by zwiędła i uschła. Przy suchej pogodzie wystar-

czało trzy tygodnie, przy dżdżystej „rosa“, jak od portugalskiego „roça” nazwano taką przestrzeń, ogołoconą z drzew, leżała nieraz i dwa miesiące.

Gdy drobne gałęzie, krzewy, liście i trawy uschły dostatecznie, podkładano ogień. Dzień musiał być słoneczny, bez wiatru; podpalano „rosę“ naraz w wielu miejscach; umiejętność polegała na tem, aby spalić ją, o ile można, najszybciej i równomiernie; dżdżysta pora lub nieumiejętne podłożenie ognia psuło nieraz „rosę“ całkowicie, nie wypalało na równo, nie mogła być użyta pod zasiew; przy słabym ogniu wegetacja traw i poszycia drobnego nie mogła być dostatecznie przytępiona i rośliny posadzane ginąć musiały, zagłuszone przez chwasty, powoje i trzcinę. Wypadki takie stanowiły prawdziwą klęskę dla kolonisty, nieraz rujnowały go zupełnie.

Gdy tak zw. „rosa” została szczęśliwie spalona i ostygła, kolonista zabierał się do sadzenia. Kijem, rzadziej motyką, robił w popiele i skruszonej ziemi wgłębienia, do których rzucał ziarno, przygarniając je zazwyczaj nogą. W ten sposób sadzono kukurydzę i czarną fasolę (fiżon). Zasadzone rośliny nie wymagały dalszych zachodów. Ogień niszczył wszelkie porosty, przytępiał nieraz na parę lat wegetację drzew i krzewów pierwotnych, kolonista więc nie potrzebował opiekować się posiewem aż do czasu zbioru i w ten sposób unikał kosztów, nieodzownych przy każdym innym sposobie uprawy.

Po upływie paru lat, skoro ziemia się wyczerpała, pozostawiał ją kolonista odłogiem i zakładał „rosę” gdzieindziej.

Ten rabunkowy system był w danych warunkach jedynie możliwym do zastosowania, nie ulegało bowiem wątpliwości, że przy niskich cenach na produkta rolne, które utrzymywały się wskutek trudności transportu i, co za tem idzie, zbytu, tylko takie gospodarstwo, które wy-

magało najmniejszego nakładu i najmniejszej ilości rąk roboczych, mogło się utrzymać.

Przejście od prymitywnego systemu rabunkowego do gospodarstwa intensywnego odbywało się na kolonjach polskich w Paranie w miarę, jak zbliżały się one, dzięki powstającym kolejom, do centrów zbytu, w miarę rosnącej konkurencji, a przedewszystkiem w miarę znikania lasów. „Rosa” po kilkurazowem wypaleniu przestaje porastać lasem, gleba wycieńczona jednostronną uprawą i wyniszczona ogniem, przestaje rodzić, kolonista zmuszony jest tedy brać się do pługa i motyki, pole swe zaczyna uprawiać w sposób europejski, zaprowadza płodozmian, nawóz bydlęcy znajduje coraz szersze zastosowanie, jak również wapniowanie gruntów, gdzie blizkość pieców wapiennych na to pozwala, jednocześnie kolonista przestaje opierać swe gospodarstwo wyłącznie na uprawie kukurydzy i fiżonu — i tu i owdzie przechodzi do uprawy roślin okopowych lub nawet handlowych, jak nap. tytoniu lub wina.

Im starszą jest kolonja i im bliżej położona od dogodnych centrów komunikacyjnych, tem droższe ma grunta i tem bardziej gospodarka na niej zbliża się do modły europejskiej. Osady np., położone w bezpośredniej okolicy Kurytyby, posiadają już pola orane i nawożone i gospodarstwa prowadzone są tam w sposób dość intensywny; wędrując po tych okolicach i patrząc na porządne domy, na ogrody, sady i winnice można mieć wrażenie, że się jest w Europie. Ale okolic takich w Paranie dotychczas bardzo mało.[1])

Inwentarz żywy, z początku na nowych kolonjach bardzo nieliczny, jest naogół lichy. Konie są małe i brzydkie z wyglądu ale wytrwałe. Jeszcze wytrwalsze i silniejsze są muły, które w razie dobrej tresury, mają znacznie wyż-

---

[1]) Porów.: Paul Walle: „Au Brésil — La Colonisation”, str. 61—65.

szą cenę. Bydło natomiast jest marne, chude i ma mięso gorsze niż w Europie. Brazyljanie jeszcze do niedawna hodowali je głównie dla handlu skórami, a krowa u „kabokla” i dziś daje się doić tylko wtedy, jeśli ma wrażenie że ssie ją jej własne cielę. Nierzadko spotyka się Brazyljan, którzy na swych „fazendach” nie mają wcale mleka i masła, chociaż posiadają wielkie stada bydła. Nasi koloniści potrafili krowy parańskie w tem znaczeniu „ucywilizować”, że dają one mleko na wzór swych europejskich towarzyszek; niektórzy z osadników posiadają nawet krowy rasowe; nieumiejętność wszakże konserwowania masła i wyrobu serów utrudnia na polskich kolonjach rozwój mleczarstwa i sprawia, że jeszcze nie tak dawno w sklepach kurytybskich sprzedawane było masło, importowane z Francji lub Danji obok masła wyrobu niemieckiego, pochodzącego ze stanu S-ta Catharina. Nierogacizna chowa się w Paranie doskonale i hodowla jej dobrze się naszym osadnikom opłaca; owiec jest bardzo mało, natomiast kóz więcej. Drobiu mają koloniści tak dużo, że kury i jaja służą im za codzienną strawę, zwłaszcza tam, gdzie sprzedaż jest uniemożliwioną dla braku blizkiego rynku zbytu. Pasieki są liczne i naogół dobrze utrzymane.

Rentowość gospodarstw cierpi naskutek konserwatyzmu naszych kolonistów, którzy nie umieją (na wzór nap. imigrantów włoskich) przystosowywać się do właściwości gleby i klimatu, by uprawiać to, co w danych warunkach najlepiej się opłaca Winnice, plantacje tytoniu, pola mandiokowe rzadko się spotyka na kolonjach polskich, aczkolwiek rentują się one znacznie lepiej niż kukurydza, żyto, fiżon lub bataty. Zakładanie przy niektórych kolonjach rolnicze stacje doświadczalne, o ile są rzeczywiście wzorowo prowadzone, mogą z czasem nauczyć osadników racjonalnej eksploatacji i pchnąć parańskie rolnictwo na nowe tory. O szkodnikach, z którymi walczyć musi rolnik parański, mrówkach i szarańczy, wspomniałem już wyżej, podnosząc

że szarańcza zjawia się bardzo rzadko, mrówki zaś grasują wszędzie i ciągle, ale istnieją sposoby do skutecznego ich zwalczania. Znaczne szkody czynią w polu niekiedy myszy, wyrządza je również ptactwo, łakome zwłaszcza na pewne gatunki pszenicy i na hreczkę. Bydło cierpi nieraz wskutek robaków podskórnych, dokuczliwych, chociaż nie niebezpiecznych i dających się łatwo usuwać. Również u ludzi, jeśli nie dbają o czystość, zakradają się robaki podskórne oraz rodzaj drobniutkich wszy, zakładających swe gniazda za paznogciami u nóg (tak zw. „bicho de perna"— robak nożny). Wystarcza codzień wieczorem myć nogi w ciepłej wodzie, aby skutecznie zabezpieczyć się przed tą dolegliwością. Tak często rozgłaszane wieści o niebezpieczeństwie ze strony mnóstwa jadowitych żmij, których ukąszenie powoduje śmierć, zaliczyć należy do bajek. Żmij jadowitych jest bowiem niewiele, ustrzedz się ich nietrudno a w razie ukąszenia łatwo się wyleczyć przez zastrzyknięcie nadmangannu potasu. Najbardziej rozpowszechniona i zarazem najbardziej podobno jadowita żmija „jararaca" nigdy nie występuje ofensywnie i dopiero zaczepiona lub nadepnięta broni się ukąszeniem. Małe dziecko może ją zabić patykiem, jeśli trafnie wymierzy.

Znacznie więcej utrapień niż żmija lub robaki szykowali naszym osadnikom na nowozakładanych kolonjach urzędnicy kolonizacyjni, z reguły niezaradni, niedbali i leniwi, a często skłonni też do rozmaitych nadużyć. W jaki sposób przeprowadzona była kontrola wyższych władz nad działalnością tych urzędników, rzuca niejakie światło artykół, który pojawił się w r. 1911 w kurytybskiej „Gazecie Polskiej w Brazylji". „Nie może też dziać się lepiej — czytamy tam dosłownie—gdzie brak wszelkiego nadzoru i gdzie kontrola odbywa się przy pomocy fotografji. Nie jest to żart, ale najrzeczywistsza prawda, sami bowiem patrzyliśmy niejednokrotnie na takie relacje fotograficzne, zaopatrzone w odpowiednie dopiski i wysyłane do Rio de Janei-

ro. Jak wiadomo, na fotografji najlichsza szopa przedstawia się bardzo efektownie, a mały ogródek mniej więcej starannie uprawny można tak zdjąć, że zrobi wrażenie olbrzymiej plantacji, miny zaś kolonistów spędzonych przed aparat fotograficzny, już dla samej komedji, jaką z nimi wyprawiają, są wesołe, a kto jest wesoły, ten i zadowolony być musi. Specjalni i przez komisję płatni fotografowie robią te zdjęcia, a jedna z nowych kolonji miała nawet własnego stałego fotografa, pracującego za pensję miesięczną. Z takich więc relacji fotograficznych wyciąga urząd kolonizacyjny w Rio de Janeiro swe wnioski i na podstawie ich wydaje potrzebne zarządzenia. Zdarza się jednak, że rząd wysyła specjalną komisję z Rio de Janeiro dla objazdu nowozakładanych kolonji. Mieliśmy sposobność widzieć jedną z takich komisji i czytać później w dziennikach bardzo szczegółowe jej sprawozdanie z osobistych wrażeń i naocznych spostrzeżeń na kolonji, na której...... wcale nie była, bo w połowie drogi osoby interesowane wyprawiły dla niej tak wspaniałe przyjęcie, że uczestnikom poprostu sił zabrakło do dalszej podróży, a nawet towarzyszącego komisji na koszt urzędowy specjalistę od zdjęć kinematograficznych nie posłano na miejsce przeznaczenia dla zdjęcia widoków z kolonji i jej mieszkańców; słusznie zresztą osądziła komisja, że kto takie przyjęcie urządzić potrafi, ten tem łatwiej potrafi administrować nową kolonją, a byłoby to brakiem delikatności kontrolować tak zdolną osobę. Niesłychanie drażliwi są urzędnicy komisji kolonizacyjnych na wszelką krytykę ich działalności, a jeżeliby wyszła od kogoś z ich własnego grona, wtenczas świadek bezzwłocznie traci posadę i robi się wszystko możliwe, aby mu pobyt w kolonji a nawet w pobliżu niej uniemożliwić".

ROZDZIAŁ XVI.

Handel polski w Paranie. — Kościoły, stowarzyszenia i szkoły. — Udział Polaków w życiu politycznem. — Przyszłość Polonji parańskiej.

Na polskich kolonjach w Paranie handel detaliczny znajduje się — jak już wspomniałem wyżej, — w znacznym stopniu w rękach Polaków. Są to tak zwane „wendy", t. j. sklepy i karczmy zarazem, gdzie kolonista może nabyć zazwyczaj wszystko, co wchodzi w zakres jego najważniejszych potrzeb, i gdzie jednocześnie sprzedaje swe produkta rolnicze i herwę. Owe polskie „wendy" jednak zakładali najczęściej ludzie, nie posiadający odpowiednich kapitałów a niekiedy również i jakiej takiej znajomości handlu. Brali towar od hurtowników kurytybskich i hurtownikom tym odsyłali także artykuły, nabyte od kolonistów. Ale kredyt w Paranie był bardzo drogi, nic tedy dziwnego, że przy wielkiej drożyźnie frachtu podrażał on bardzo cenę przedmiotów, sprzedawanych w „wendach" wiejskich. Każdy towar na kolonji kosztował znacznie drożej, niż w mieście stołecznem Parany, a z drugiej strony każdy produkt rolniczy zbywany tam być musiał przez kolonistę znacznie taniej, chociaż nie zawsze za gotówkę. Ten stan rzeczy bardzo niedodatnio odbijał się na interesach naszych kolonistów, tamował też rozwój polskiego drobnego handlu, natomiast wychodził na korzyść hurtownikom kurytybskim, którzy ciągnęli zeń zyski i robili wielkie fortuny. Hurtownikami zaś tymi byli przeważnie Niemcy, a po części Włosi, Anglicy i Brazyljanie. Kupcy ci naturalnie sprowadzali towar najchętniej z krajów, skąd sami pochodzili i gdzie mieli wyrobione stosunki handlowe i kredyt. W ten sposób do lasów parańskich dotarła niemiecka tandeta, której najważniejszym odbiorcą stał się polski osadnik.

Próby wyemancypowania się z pod zależności od niemieckich grosistów czynione były słabo i kończyły się nieudatnie tak, jak próby zainicjonowania bezpośredniego importu polskich towarów. Powodzenie miały tylko polskie dewocjonalja, (książeczki do nabożeństwa, różańce, medaliki, obrazy świętych i t. p.), kalendarze i w niewielkiej ilości książki. Redaktorowi „Polaka w Brazylji" i właścicielowi księgarni Kaźmierzowi Warchałowskiemu udało się wprowadzić do handlu ołówki fabryki Majewskiego w Warszawie, które wyparły fabrykaty Hardmudta i Fabera. Projekty importowania innych artykułów polskiego wyrobu spotykały przeszkodę w obojętności i sceptycyzmie producentów w Polsce, odmawiających z zasady dłuższego kredytu, który tak chętnie przyznawali fabrykanci niemieccy, i mało dbałych o odpowiednie opakowanie towaru i przystosowanie do miejscowego gustu etykiety.

Z inicjatywy Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego czynione były w r. 1912 studja nad projektem założenia w Kurytybie wielkiej hurtowni polskiej. W poświęcanych tej kwestyi naradach wzięły udział Izby Handlowe krakowska i lwowska, Krajowy Związek Fabryczny i Liga popierania przemysłu. Delegaci tych instytucji doszli jednomyślnie do przekonania, że należy energicznie zająć się sprawą założenia hurtowego Domu Handlowego w Kurytybie (w formie np. stowarzyszenia udziałowego), z którym połączony byłby bank, kantor wymiany walut dla imigrantów, przybywających z Europy, oraz biuro sprzedaży kart okrętowych dla tych, którzy do Europy powracają lub też sprowadzają stamtąd swoje rodziny. Nowopowstające przedsiębiorstwo mogłoby odrazu połączyć się z którym z większych handlów polskich w Kurytybie (naprz. z „Unią" W. Stachonia). Oddając pierwszeństwo produktom przemysłu polskiego, sprowadzałoby ono pozatem towar z innych źródeł europejskich, najtańszych lub najlepszych z pominięciem pośredników.

Projekt ten nie przyjął niestety form konkretnych, może dlatego, że nie było komu zająć się jego zrealizowaniem, a może z powodu braku potrzebnych kapitałów, które u nas trudniej niż gdzieindziej uruchomić na przedsiębiorstwa zamorskie, choćby zapowiadające się najlepiej [1]).

Brak w Paranie większych przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych polskich odbijał się fatalnie na całokształcie polskiego życia także i z tego względu, że utrudniał osiedlanie się w Paranie jednostek z inteligencji polskiej, o ile same nie posiadały kapitałów, niezbędnych do tworzenia własnych źródeł utrzymania. Firmy niemieckie, amerykańskie, portugalskie, przy dysponowaniu posadami, oddawały zrozumiałe pierwszeństwo swym rodakom, choćby trzeba było sprowadzać ich z za morza, wobec czego tylko wyjątkowo zatrudniały inteligentów Polaków. Również rzadko otrzymywali Polacy posady w urzędach państwowych, gdyż te tworzyły pewnego rodzaju monopol dla rodowitych Brazyljan. Zabłąkany więc do Parany inteligent polski tego lub owego zawodu, jeśli nie posiadał własnych funduszów, musiał albo niebawem wyjeżdżać stąd gdzieindziej, albo imać się pierwszej lepszej pracy fizycznej, albo wreszcie bez względu na swe kwalifikacje fachowe starać się o posadę... nauczyciela ludowego. Wyjątek tworzyli polscy księża, z których każdy znajdował tutaj dostatnie utrzymanie, kilku lekarzy i dentystów, paru

---

[1]) Z zamiarem założenia hurtowni w Kurytybie nosili się również i Rusini galicyjscy, którzy za pieniądze wiedeńskiego Ministerstwa Handlu wyprawili w r. 1911 do Parany swego delegata, kierownika lwowskiej „Narodowej Torhowli” dla przeprowadzenia na miejscu odpowiednich badań. Delegat ów, Zajaczkiwskij wypowiedział się za projektem, który pomimo to nie został wprowadzony w życie tak wskutek braku kapitałów, jak dzięki obawie bojkotu ruskiej hurtowni przez polskich detalistów w Paranie i ze względu na niewielką dotychczas liczbę istniejących tam sklepów rusińskich, które mogłyby tworzyć podstawę działalności dla rusińskiego domu importowego.

aptekarzy, garść techników, zatrudnionych przy budowie kolei żelaznych. Inteligencja polska była więc w Paranie bardzo nieliczna, a brak uczniów Polaków w zakładach naukowych średnich i wyższych nie pozwalał wróżyć, by, bez emigracji z kraju, stosunki te uledz mogły w przyszłości znacznej poprawie. Okoliczność, że również stan rzemieślniczy i wogóle mieszczański reprezentowany był wśród Polonji parańskiej nadzwyczaj skąpo, sprawiała, że społeczeństwo polskie w Paranie było nawskroś chłopskiem, a mało zróżniczkowane i pozbawione inteligentnego kierownictwa czyniło w swym rozwoju kulturalnym bardzo powolne postępy, o ile je wogóle czyniło.

Kościołów, wybudowanych i utrzymywanych przez Polaków, było w Paranie około 20. W czterech z nich proboszczami byli księża z niemieckiego zakonu „des göttlichen Wortes" („Verbi Divini"), przeważnie słabo władający językiem polskim i nieprzyjaźnie usposobieni dla wszelkiej akcji w duchu narodowym polskim. W pozostałych parafjach polskich, z wyjątkiem trzech czy czterech, mających księży świeckich, pełnili służbę duszpasterską księża galicyjscy z zakonu Misjonarzy. Dzięki ich zabiegom osiadły w Paranie siostry miłosierdzia z Krakowa i siostry „Rodziny Marji" ze Lwowa, którym powierzone zostało prowadzenie polskich szkółek parafjalnych w siedmiu miejscowościach. Przeciwko szkołom tym często podnoszony bywał zarzut, że oddane głównie katechizacji i pieśniom nabożnym, stoją na bardzo niskim poziomie naukowym i nie dają uczniom tego wykształcenia, jakiego można wymagać od szkolnictwa ludowego. Natomiast odzywające się w obronie tych szkółek głosy stwierdzały, że ze wszystkich polskich szkół w Paranie są one bądź co bądź najstaranniej prowadzone i najliczniej uczęszczane i że mają pewną ciągłość nauk i pewien system, bo zakonnice rzadko kiedy się zmieniają i w przeciwieństwie do miejscowych nauczycieli ludowych

świeckich są w zupełności oddane zawodowi nauczycielskiemu.

„W szkołach świeckich—pisze Franciszek Bayer, b. redaktor „Gazety Polskiej w Brazylji" i przez czas jakiś sam nauczyciel [1] — nauki odbywają się zazwyczaj bez żadnego systemu. Nauczycieli fachowych z małymi wyjątkami prawie wcale niema. Każdy inteligentniejszy człowiek, przybywający do Parany, gdy tylko żadnego lepszego pod względem materjalnem zajęcia znaleść nie może, bierze się do nauczycielstwa na kolonji, oczywiście o nauczaniu rzadko kiedy ma jakieś pojęcie, więc, mniej dbając o postępy w nauce, stara się tylko przypodobać rodzicom, aby go tak długo ze szkoły nie wyrzucili, aż znajdzie dla siebie zajęcie zapewniające mu lepszy byt. Gdy taki nauczyciel szkołę porzuci, upływa parę miesięcy, zanim inny się zjawi. Dzieci przez ten czas zapominają wszystko. Gdy się przytem weźmie pod uwagę, że nowy nauczyciel na swój sposób uczyć zacznie, to w tem nic dziwnego, że postępy nauk nie mogą być dostateczne. Główna wina w tem kolonistów samych, którzy na oświatę skąpią. Nie dziwiłbym się kolonistom na kolonjach nowych, gdzie panuje nędza, ale kiedy nie jest lepiej i na kolonjach starych, zamożnych. Gdy Niemcy np. płacą swoim nauczycielom od dziecka po 5 milrejsów miesięcznie, to Polacy płacą po miastach zaledwie 2 milrejsy, a na kolonjach po 1 milrejsie, (t. j. po 70 kop.) Naturalnie za taką cenę może się znaleść tylko nauczyciel przygodny — nigdy stały pedagog. To też posada nauczycielska przy polskiej szkole w Paranie jest uważaną za najlichszy kawałek chleba, który służy tylko do uchronienia od głodu.

Trzeba bowiem i to wziąć pod uwagę, że kolonje są rozrzucone, dzieci nieraz i po parę wiorst iść muszą do

---

[1]) F. Bayer: „Parana", Warszawa, 1912, str. 11.

szkoły, a z najodleglejszych od szkoły gospodarstw wcale przychodzić nie mogą, przyczem starsze dzieci chodzą tylko w zimie, w lecie zaś, gdy nastaną roboty polne, rodzice ich do szkoły nie puszczają, cały więc komplet szkolny składa się zazwyczaj w lecie z kilkunastu zaledwie dzieci najmłodszych. Niektóre szkoły utrzymywane przez towarzystwa oświatowe, płacą wprawdzie nauczycielom stałą pensję miesięczną, ta jednak zazwyczaj jest bardzo niewielka (40 — 60 milrejsów, t. j. 30 do 45 rb.) W takich więc warunkach trudno marzyć o szybkim podniesieniu się kulturalnym naszego kolonisty."

— „Szkolnictwo polskie w Paranie, uskarżał się w „Polskim Przeglądzie Emigracyjnym" w r. 1912 jeden z najinteligentniejszych Polaków parańskich, Jul. Bagniewski [1]—nie może wyść z pierwotnych form organizacyjnych. Płace nauczycielskie, odzwierciadlające stopień zapotrzebowania nauki przez kolonistów, nie dorównywują w większości wypadków zarobkom zwykłych robotników i zniechęcają nauczycieli do pracy na tak mało zyskownem i cenionem polu".

W r. 1909 z inicjatywy ówczesnego konsula austrjackiego w Kurytybie, Z. Okęckiego, uchwaliła Rada Szkolna krajowa we Lwowie, w porozumieniu z galicyjskim Wydziałem Krajowym, wysłać do Parany 7 nauczycieli polskich, zapewniając każdemu urlop trzyletni z połową dotychczasowej pensji i przyznając po 200 koron na koszta podróży. Wykonanie tej uchwały, tak ważnej dla poparcia polskiego szkolnictwa ludowego w Paranie, spotkało się jednak z przeszkodą w braku gwarancji, że delegowani nauczyciele rzeczywiście otrzymają w Paranie odpowiednie posady i że zdobędą tam przynajmniej takie płace, które w połączeniu z połową pensji, pobieranej z kraju, zabezpieczyłyby ich przed niedostatkiem. Gwarancję pod tym

[1]) „Polski Przegląd Emigracyjny", 1912, str. 115.

względem ofiarowało w r. 1911 Radzie Szkolnej Krajowej Polskie Towarzystwo Emigracyjne, zobowiązując się z własnych funduszów odpowiednio uzupełnić pensję każdego z wydelegowanych nauczycieli i czuwać, by każdy z nich otrzymał, po przybyciu do Parany, kierownictwo ludowej szkoły polskiej. Ten ostatni warunek uniemożliwił realizację całego projektu, gdyż pomimo wydania gorącej odezwy, ogłoszonej w wychodzących w kurytybie tygodnikach polskich, nie otrzymało stamtąd P. T. E. ani jednej oferty od zarządów szkolnych. Na 180 kandydatów nauczycielskich w Galicji, gotowych do wyjazdu, nie wpłynęła z Parany ani jedna propozycja ofiarowania któremukolwiek z nich odpowiedniej placówki! Nie pomogła tu nawet obietnica P. T. E. bezpłatnego dostarczenia tym szkołom, które przyjmą nauczycieli galicyjskich, wszystkich podręczników i utensylji szkolnych [1]).

---

[1]) Wydana w tej sprawie odezwa P. T. E. kończyła się następującym apelem:

„Szkoły, kierowane przez nauczycieli, zamianowanych przez Radę Szkolną Krajową, pozostawać będą pod protektoratem Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, które na własny koszt dostarczy im dla bezpłatnego użytku dziatwy wszystkie potrzebne podręczniki europejskie oraz zaopatrzy je w biblioteki szkolne, każdego zaś roku nadsyłać będzie nagrody dla celujących w nauce uczniów.

„Chodzi o rzecz wielkiej wagi! Kraj ojczysty po raz pierwszy pragnie przyjść swym wychodźcom z wydatniejszą pomocą na polu oświatowem. Powstaje pierwsza próba dźwignięcia naszego ubogiego szkolnictwa za oceanem do wysokości, na jakiej ono powinno się znajdować ze względu na przyszłość tych pokoleń, które zrodziły się już na obczyźnie. Jeśli próba odrazu się powiedzie, jeśli spotka się z niezbędnem współdziałaniem ze strony Polonji parańskiej, akcja ta niewątpliwie przyjmie szersze rozmiary i polska szkoła ludowa w Brazylji, zdobywszy z czasem mocne i racjonalne podstawy, wysoko nieść będzie kaganiec oświaty, krzepiąc umysły i charaktery, wzmacniając miłość dla dalekiej ojczyzny i budząc u obcych szacunek dla naszej kultury". („Polski Przegląd Emigracyjny", 1911, № 19).

Garść informacji o szkolnictwie polskiem w Brazylji zawiera „Sprawozdanie o stanie szkoły polskiej Towarzystwa Szkoły Ludowej za rok szkolny 1912_4, wydane w Kurytybie w r. 1913. Podaje ono interesujące szczegóły o 18 szkołach polskich w Brazylji (7 w Paranie, 9 w S-ta Catharina, 1 w Rio Grande do Sul i 1 w Sâo Paulo), do których razem uczęszczało 538 dzieci. Największą ze szkół, omawianych w sprawozdaniu, utrzymywało „Towarzystwo Białego Orła" w mieście Rio Grande do Sul; uczęszczało do niej 72 dziatwy (27 chłopców i 45 dziewcząt), nauczyciel pobierał miesięczną pensję w wysokości 120 milreisów, nauka odbywała się w sali Towarzystwa, przeznaczonej na zebrania i zabawy. Za „szkołę średnią" uchodziła szkółka „Towarzystwa im. Mikołaja Kopernika" w Marechal Mallet w Paranie liczącego 10 członków. Naukę na 2-ch kursach, niższym i wyższym, pobierało tu 11 chłopców i 9 dziewcząt, opłata szkolna wynosiła po 2—5 milr., nauczyciel otrzymywał 122½ milrejsów miesięcznie. Najlepiej zorganizowaną była czteroklasowa szkoła T. S. L. w Kurytybie, posiadająca w r. 1912 razem 46 uczniów obojga płci. Personel nauczycielski składał się początkowo z kierownika szkoły i jego żony oraz dwóch portugalczyków, z których jeden uczył języka portugalskiego, a drugi gry na skrzypcach. Szkoła posiadała biblioteczkę, złożoną z 270 dziełek i zaopatrzona była w odpowiednie przyrządy szkolne. Na kształcenie w niej jednego dziecka wydawało T. S. L. parańskie po 18 milr. miesięcznie. Z początkiem r. 1914 miało ono przystąpić do otwarcia pierwszej klasy szkoły średniej, czyli do otwarcia pierwszego gimnazjum polskiego w Brazylji.

Towarzystwo Szkoły Ludowej w Paranie już po paru latach istnienia musiało swą pożyteczną działalność ograniczyć do prowadzenia jednej tylko szkoły w Kurytybie i nie zdołało rozwinąć się pomyślnie.

Ciekawą i pocieszającą charakterystykę dziatwy polskiej w Paranie zawiera artykuł Włodzimierza Turskiego,

zawodowego nauczyciela w Galicji, który przez parę lat byl kierownikiem szkółki polskiej w kolonji São Matheus w Paranie.

— ,,Dzieci polskie w Paranie — pisał p. Turski—są od tutejszych galicyjskich wiejskich dzieci inteligentniejsze, zdrowsze, śmielsze, zgrabniejsze, weselsze i czystsze, a także i grzeczniejsze. Zdrowsze, bo nie mieszkają w ciasnych, pozbawionych powietrza i smrodliwych chatach. Domy tamtejsze to istne klatki, najczęściej bez powały, podłoga ponad ziemią, a ile desek, tyle szpar i przez te szpary posyłają bory parańskie swe zdrowe, czyste tchnienie do wnętrza tych prawdziwych pudełek. Cały dzień i całą noc ma dziatwa świeże i czyste a zdrowe powietrze. Dzieci polskie w Paranie są zgrabne, bo w swych lekkich szatach mają swobodne, niekrępowane niczem ruchy. Weselszą jest parańska dziatwa, bo odżywiana dobrze i silnie, bo nie zna zimy, bo nikt jej od lat dziecięcych nie zapędza do pracy nawet takiej, jak pasienie bydła, gęsi i t. d. A na około ma wieczną wiosnę i zieleń! Jakże może tutejsza dziatwa dorównać jej wesołością? Wszak od małego gnaną jest do pracy wśrod słoty i zimna, napchana ziemniakami, żurem i podobnemi potrawami, które jedynie wydymają brzuchy i do bań czynią je podobnemi, ale pożywne nie są.

,,Czystsze są dzieci w Paranie od naszych tutaj, bo ani stajen, ani gnojówek koło domu niema, a wody ciepłej poddostatkiem. Z przyjemnością muszę i to podnieść, że gnieżdżące się w głowie robactwo u tamtejszej dziatwy spotyka się bardzo rzadko—o tutejszej zaś wiejskiej dziatwie lepiej i nie mówić....

,,Dzieci tamtejsze garną się chętnie do nauki i pomimo, że niektóre miały przeszło milę do szkoły, rzadko tak trafiało się, by które z nich bez nieodzownej potrzeby opuściło szkołę. Z przyjemnością wspominam moją dziatwę szkolną w Paranie i myślę, że tylko szkół, jaknajwię-

ce i dobrych fachowych nauczycieli, a nie będziemy mieli potrzeby obawiać się wynarodowienia naszych rodaków w Brazylji" [1]).

Rząd parański żadnych przeszkód rozwojowi polskiego szkolnictwa ludowego nie stawiał. Przeciwnie, według prawa, uchwalonego przez Kongres parański w roku 1908, szkoły prywatne mogły korzystać z subwencji rządowej w wysokości 60 milrejsów miesięcznie każda, o ile wykładany w nich był także krajowy język portugalski. Z subwencji takich korzystało istotnie kilku nauczycieli Polaków.

Do gęsto rozsianych po całym kraju, ale bardzo licho postawionych rządowych szkół ludowych, w których nauczycielami byli Brazyljanie, koloniści nasi nie mieli żadnego zaufania i dziatwy swej tam nie posyłali. Natomiast w Kurytybie połowa dzieci polskich uczęszczała do szkół obcych, t. j. niemieckich i brazylijskich. Zwłaszcza szkoły niemieckie ze względu na dobre swe wyposażenie, tworzyły dla wychodźców z zaboru pruskiego dużą atrakcję (pobierały one subwencję rządową z Berlina, a jedna nawet—ze szkatuły prywatnej Wilhelma II-go).

Ruch zrzeszeniowy był wśród Polonji parańskiej bardzo słaby. Przyczyniał się do tego z jednej strony niski stopień oświaty naszych kolonistów i struktura kolonji z rozrzuconemi na dużej przestrzeni siedzibami ludzkiemi, z drugiej—brak inteligentnego kierownictwa i słabe zrozumienie korzyści, jakie dają zrzeszenia. Wprawdzie na każdej prawie kolonji istniało jedno, a niekiedy i kilka towarzystw polskich, przeważnie mających na celu utrzymywanie szkoły i urządzanie obchodów narodowych, ale z reguły wszystkie one wiodły żywot dość anemiczny i nie wykazywały większej ruchliwości. Stowarzyszeń o celach gospo-

---

[1]) „Polski Przegląd Emigracyjny", 1907, № 5.

darczych nie było prawie wcale. Zamiary zorganizowania spółdzielczego kredytu, propagowane przez jednego z leka rzy parańskich, d-ra Kosobudzkiego, nie znalazły szerszego grona zwolenników. Próby utrwalenia instytucji takich jak Macierz Szkolna i Towarzystwo Szkoły Ludowej, kończyły się dla braku poparcia niepowodzeniem. Kilkakrotnie ponawiana inicjatywa zorganizowania Związku Narodowego Polskiego na wzór instytucji, istniejącej pod takąż nazwą w Stanach Zjednoczonych, przyniosła założycielom zawód. W Kurytybie, stolicy stanu, towarzystwa włoskie i niemieckie miały własne okazałe budynki, Polacy zaś zmuszeni byli swe obchody narodowe i przedstawienia amatorskie urządzać niekiedy w wynajętych od Niemców lub Wło chów salach. A jednak Kurytyba stanowiła w Paranie centrum polskiego życia narodowego, tutaj bowiem działały i waśniły się z sobą najliczniejsze i stosunkowo najzasobniejsze stowarzyszenia polskie, tutaj też wychodziły dwa, niekiedy jednocześnie trzy tygodniki polskie (najstarszym z nich była „Gazeta Polska w Brazylji“, nadto wychodził w Kurytybie „Polak w Brazylji”), zawsze mniej lub więcej zaangażowane we wzajemnem zwalczaniu się i zawsze cierpiące tak na brak prenumeratorów jak na brak współpracowników. Obraz rozbicia Polonji kurytybskiej nie stanowił najlepszego przykładu dla skupień polskich na prowincji.

Udział Polaków parańskich w życiu politycznem ich przybranej ojczyzny był naogół słaby, aczkolwiek wielu z nich posiadało już miejscowe obywatelstwo. Wprawdzie podczas rewolucji w r. 1894 wystawili oni osobny pułk, walczący pod wodzą Jana Kośmińskiego po stronie Federalistów przeciwko wojskom rządowym, ale, podobno, zmusiła ich do tego zarządzona przez prezydenta republiki Floriano Peixoto branka wojskowa, przeprowadzona w sposób brutalny i nieoszczędzająca ojców rodzin nawet w wieku podeszłym. Wciągnięci gwałtem do udziału w wojnie do-

mowej, woleli bić się po stronie rewolucjonistów, niż po stronie rządu znienawidzonego przez większość ogółu.[1])

Rzeczpospolita Stanów Zjednoczonych Brazylji składa się, jak wiadomo, z 20-tu stanów, posiadających ogromnie rozległą autonomję z własnemi sejmami i rządami. Rząd federalny nie ma prawa kontrolować ustaw, uchwalanych przez Kongresy (sejmy) stanowe, ani zakładać swe veto, o ile nie są one rozbieżne z zasadniczemi prawami rzeczypospolitej. Co do Parany, to jest ona rządzona przez prezydenta, wybieranego na zasadzie czteroprzymiotnikowego prawa wyborczego. Prezydent ma do pomocy mianowanych przez niego sekretarzy (ministrów): 1) spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i oświaty, 2) robót publicznych i kolonizacji, 3) finansów, handlu i przemysłu, oraz dyrektora policji i dowódcy siły zbrojnej stanu. Władza prawodawcza jest wykonywana przez Kongres (Congresso Legislativo do Estado do Parana), złożonego z 36 deputowanych; do ważności uchwał potrzebna jest sankcja prezydenta stanu. Posłowie są wybierani na podstawie powszechnego, równego, bezpośredniego, tajnego i proporcjonalnego prawa wyborczego; głosowanie odbywa się nie na poszczególnych posłów, lecz na listy wyborcze stronnictw, które następnie dzielą się mandatami poselskimi stosownie do ilości otrzymanych przez ich listy głosów. Dla prawomocności nowej ustawy wymaganą jest większość $^2/_3$ głosów Kongresu.

Prawa wyborczego nie mają kobiety i analfabeci. Obywatel, który chce brać udział w wyborach czy to stanowych, czy też federalnych (do federalnej Izby posłów i do Senatu) musi umieć pisać. Temu też przypisać należy fakt, że z powodu żyłki politykierskiej, jaką odznaczają się Brazyljanie, nawet nawpół dzicy „kabokle“ starają się poznać sztukę pisania i zapewnić ją dla potomków płci męskiej.

---

[1]) Porów. art. „Polacy w rewolucji brazylijskiej”, „Przegląd Emigracyjny”, Rok 1894, str. 48.

Niestety, wśród kolonistów polskich, zwłaszcza pochodzących z Małopolski i Kongresówki, znaczny odsetek tworzyli ludzie nie umiejący się podpisać inaczej, jak krzyżykiem, a więc pozbawieni prawa wyborczego. Ci zaś, którzy je mieli, bądź przy wszelkiego rodzaju wyborach wstrzymywali się od głosowania, nie chcąc narazić się żadnemu stronnictwu, bądź też głosowali na listę jednej ze zwalczających się partyi brazylijskich bez żadnego wzajemnego porozumienia się między sobą i bez wysuwania jakichkolwiek własnych postulatów, dotyczących narodowych lub gospodarczych interesów miejscowej Polonji. Była więc w ich gronie pewna liczba „eleitor'ów", podzielonych na miejscowe frakcje brazylijskie, nie było jednakowoż żadnego odrębnego programu politycznego, żadnych osobnych list kandydackich, żadnych własnych polskich haseł wyborczych.

Dopiero w r. 1911 wybrany został po raz pierwszy Polak na członka Kongresu stanowego. Posłem został „ojciec kolonizacji polskiej w Paranie", najpopularniejszy i najzasłużeńszy z Polaków parańskich, a zarazem i najskromniejszy Edmund Sebastjan Saporski. Kandydatura Saporskiego nie była wszakże wynikiem zabiegów ze strony polskiej, lecz wysunął ją i wybór przeprowadził sam rząd parański, mając na widoku liczbę Polaków, osiadłych w Paranie i uwzględniając okoliczność, że znacznie słabsi liczebnie, ale lepiej zorganizowani Niemcy, mieli już swych reprezentantów w sejmie stanowym.

Większem zainteresowaniem niż wybory do ciał parlamentarnych cieszyły się wśród kolonistów polskich wybory do instytucyi municypalnych, w których podczas ostatnich lat przed wojną brali bardziej żywy i zorganizowany udział, co przyniosło im też pewne sukcesy. Na członków rad municypalnych zostali tu i owdzie (zwłaszcza w kolonji Sâo Matheus) wybrani Polacy, co niewątpliwie tworzyć mogło zachętę na przyszłość do zdobycia odpowiednich wpływów w tej dziedzinie życia publicznego.

Jeśli imigracja niemiecka i idąca z nią w parze niemiecka ekspansja ekonomiczna w południowej Brazylji już oddawna w kołach polityków i dyplomatów brazylijskich budziły poważne obawy i czyniły aktualną kwestję „perigo allemao" (niebezpieczeństwa niemieckiego), to, przeciwnie, osadnictwo polskie w Paranie nie nasuwało dotychczas żadnych prawie wątpliwości podobnej natury. Brazyljanie zdawali sobie sprawę, że tylko doktryna Monroe, na której straży stały czujnie potężne Stany Zjednoczone A. P., chronią ich południowe prowincje przed zbrojnemi zakusami ze strony zachłannego imperjalizmu niemieckiego. Wszak stan S-ta Catharina, rozkolonizowany przez hamburskie Towarzystwo hanzeatyckie, stał się już de facto krajem przeważnie niemieckim, w sąsiednich zaś dwóch stanach Rio Grande do Sul i Paranie import i eksport coraz bardziej przechodził w ręce niemieckie, a jednocześnie w większych miastach rozwijały się nad podziw niemieckie organizacje, wśród których pierwszą rolę odgrywały rozmaite „Turn-" i „Schützverein'y", uzbrojone w karabiny, odbywające ćwiczenia wojskowe i subwencjonowane z Berlina.

Poglądy Brazyljan na przyszłość narodową osadnictwa polskiego i jego wartość polityczną doskonale odzwierciadlał wywiad z pewną wybitną osobistością ze świata politycznego brazylijskiego, ogłoszony w dzienniku „Imprensa", wychodzącym w Rio de Janeiro, i przedrukowany przez kurytybski „Diario do Tarde" (w numerze z 26. X. 1911). Tematem wywiadu było pytanie, czy istnieje dla Brazylji „niebezpieczeństwo polskie"? — „Rzecz jasna — brzmiała odpowiedź, — że w Paranie istnieje nadmiar emigrantów jednej tylko narodowości, ponieważ do Parany niema prawie żadnego innego prądu emigracyjnego, jak polski. Mogłoby to być niewygodne, jeżeliby istotnie wszyscy Polacy i ich potomkowie zachowali swoją narodowość, tworząc społeczeństwo odrębne. Fakt byłby niebez-

pieczny, gdyby był następstwem działania świadomego i stanowczego, dokonywanego środkami odpowiednimi i liczącego na potężne poparcie zzewnątrz. Na szczęście niema to miejsca z Polakami parańskimi. Względne odosobnienie od społeczeństwa brazylijskiego zawdzięczają oni w pierwszym rzędzie niepodobieństwu zlania się z żywiołem krajowym w ciągu ledwie 22 lat współżycia, tembardziej, że współżycie to miało miejsce przeważnie tylko w znaczeniu czysto geograficznem, ponieważ, jak już powiedziałem, Polacy osiedleni zostali w okolicach bezludnych i w grupach osadniczych dość ścisłych. Następnie wielką przeszkodę do zlania się przedstawia ogromna różnica plemienna, jaka zachodzi między rasami słowiańską a łacińską, różnica, która nie może być usunięta w tak krótkim przeciągu czasu. Wypada także zaznaczyć, że Polacy w Paranie nie mogą dla swych dążeń narodowych (jeżeliby je żywili — a to niema miejsca, ponieważ w swej olbrzymiej większości składają się z ludu prostego, poruszanego jedynie sprawami ekonomicznemi i religijnemi) mieć żadnego poparcia materjalnego ze strony swych ziomków zamorskich".

Na pytanie: „czy niema sposobu, ażeby Polacy parańscy zlali się z Brazyljanami"? — odpowiedź brzmiała:

— „W warunkach, w których zostali Polacy umieszczeni w Paranie, asymilacja ich z żywiołem miejscowym stała się niemożliwą, dzięki czynnikom, stworzonym przez tych, którzy kierowali polityką osadniczą. I gdyby istotnie były między nimi dążności separatystyczne, i, co ważniejsza, gdyby byli żywiołem, zdolnym je urzeczywistnić, nie byłby możliwy fakt, stwierdzony przez wszystkich znawców Parany, że wynaradawiają się w drugiem, a nawet w pierwszem pokoleniu ci wszyscy Polacy, którzy opuszczają swoją kolonję i przechodzą do innych zajęć. Wszyscy, podnoszący się ponad stanowisko społeczne ogółu swych rodaków i osiadający w ośrodku brazylijskim, tracą odo-

sobnienie plemienne i stają się Brazyljanami, zachowując zaledwie nazwisko rodzinne i, niektórzy, znajomość języka rodaków“.

— „W takim razie niema niebezpieczeństwa“?

— „Nie. Niebezpieczeństwo polskie nie istnieje. Co istnieje, to odosobnienie Polaków i ono to przeszkadza ich asymilacji. Trzeba usunąć przyczynę odosobnienia, a asymilacja dokona się sama przez się“.

ROZDZIAŁ XVII.

Polacy w innych prowincjach Brazylji. Rio Grande do Sul. S-ta Catharina. São Paulo. Rio de Janeiro.

Poza Paraną najwięcej wychodźców polskich osiadło w stanie Rio Grande do Sul, najbardziej na południe wysuniętej prowincji brazylijskiej. Liczbę ich oceniano tam przed wojną na 20—25 tysięcy, niektórzy zaś szacowali ją znacznie wyżej bo nawet na 50.000. Kraj ten, najbardziej rolniczy w całej Brazylji, posiada naturalne warunki dla osadnictwa europejskiego naogół bardzo korzystne i pod wielu względami zbliżone do parańskich, a rządowa kolonizacja odbywała się tam na tą samą co w Paranie modłę.

Zarówno rozległe równiny na południu stanu, jak płaskowzgórze północne, graniczące z Paraną, podzielone są częściowo między właścicieli wielkich obszarów („fazende-iros“), przeważnie uprawiających w sposób ekstensywny hodowlę bydła, przeznaczonego na rzeź. Mięso suszone, t. zw. „xarque“ tworzyło jeden z ważniejszych artykułów krajowego eksportu. Terenem kolonizacyjnym był głównie górzysty pas środkowy kraju, położony wyżej i posiadający klimat chłodniejszy. Europejscy osadnicy uprawiali tu rol-

nictwo (zboża, warzywa i owoce), zajmując się nadto chowem nierogacizny i poniekąd mleczarstwem. [1]

Rząd rio-grandeński, bardziej nacjonalistycznie usposobiony niż rządy innych prowincji, dokładał w swej polityce imigracyjnej szczególnych starań, by przeszkodzić tworzeniu się jednolitych skupień narodowościowych, co mu się poniekąd udało, gdyż przeważna część kolonji posiadała ludność o mieszanym składzie narodowościowym. Kolonje te naogół prosperowały dobrze, aczkolwiek w rozwoju swym musiały pokonywać te same prawie przeszkody, co kolonje parańskie, a więc przedewszystkiem brak udogodnień komunikacyjnych. Natomiast klimat i urodzajność gleby rzadko gdzie nasuwały powód do skarg.

Najwięcej osadników polskich pochodzących z Królestwa i Galicji posiadały kolonje Ijuchy, San Felicjano, Guarany, Jaguary, Marianna Pimentel. Miały one własne kościoły, towarzystwa i szkółki polskie, a w Ijuchy wychodziło nawet czasopismo polskie p. t. „Kolonista", redagowane przez miejscowego nauczyciela, Adama Zgrayę.

Ostatnio zakładana kolonja Erechim (obliczona na 50.000 gospodarstw) posiadała również znaczną liczbę osadników polskich. Byli to emigranci z Lubelskiego, którzy w r. 1912 wyjechali z kraju z zamiarem osiedlenia się w Paranie, z powodu atoli braku wymierzonych tam lotów zdecydowali się na osiedlenie w Rio Grande do Sul.

W nadbrzeżnych miastach Porto Allegre, Pelotas i Rio Grande do Sul przebywało po kilka tysięcy rzemieślników i robotników polskich, zatrudnionych w fabrykach mydła,

[1] Stan Rio Grande do Sul obejmuje przestrzeń przeszło 236.000 km.² i liczył około 1.500.000 mieszkańców. Stolica Porto Allegre miała przeszło 120.000 mieszkańców, a nadto kraj posiada jeszcze dwa większe miasta portowe, Pelotas i Rio Grande do Sul (port, dostępny dla wielkich statków oceanowych); temu ostatniemu zawdzięcza swą nazwę. Niemców, osiadłych w tym stanie, było przeszło 200.000, Włochów około 250.000.

świec i kapeluszy, w tkalniach i przędzalniach wełny i bawełny oraz w hutach szkła. I tu potworzyły się polskie stowarzyszenia, utrzymujące szkółki dla dziatwy i czytelnie.

Wobec olbrzymiej przewagi liczebnej Niemców i Włochów osadnictwo polskie w Rio Grande do Sul pozbawione było pod względem narodowym szerszych widoków na przyszłość.

To samo można powiedzieć o stanie S-ta Catharina, zupełnie prawie opanowanym przez Niemców, gdzie osiadło kilka tysięcy Polaków. Największe kolonje polskie tworzą tam Massaranduba i S. Bento. Osadnicy polscy, czując się źle w otoczeniu niemieckiem, powoli przenoszą się do sąsiedniej Parany, gdzie również klimat jest zdrowszy i warunki dla rolnictwa korzystniejsze.

Położony na północ od Parany stan Sâo Paulo uchodzi za najbogatszą prowincję Brazylji, jest bowiem największym na świecie producentem kawy. Kierowała się tutaj głównie imigracja włoska, częściowo nosząc charakter wychodźtwa zarobkowego. Język włoski był tu tak rozpowszechniony, jak polski w Paranie, a niemiecki w Santa Catharina.

Kwestja rąk roboczych do robót na olbrzymich plantacjach kawy była w Sâo Paulo od czasu zniesienia niewolnictwa murzynów zawsze tak aktualną, że tak rząd stanowy jak plantatorzy nie szczędzili olbrzymich kwot na propagandę imigracyjną w krajach europejskich, prowadząc ją bezustannie i na rozmaite sposoby. Dla celów tych np. wychodziło w mieście Sâo Paulo osobne ilustrowane czasopismo (miesięcznik) p. t. „Imigrant“, drukowane w sześciu językach, w tej liczbie w polskim. Tam również wychodził subwencjonowany przez rząd stanowy tygodnik polski p. t. „Dzwon Polski“, poświęcony przeważnie reklamowaniu miejscowych stosunków. Nadto pojawiały się ciągle w rozmaitych językach broszury i broszurki reklamowe, zachwa-

łające São Paulo, jako rzekomy raj dla emigrantów europejskich. Naczelnym kierownikiem propagandy emigracyjnej na całą Europę był z ramienia stanu São Paulo niejaki Joao Gutmann, który miał swe biura w Londynie, gdzie wydawał rozmaite broszury i ulotne pisma agitacyjne i skąd wywierał nacisk na kompanje okrętowe i ich agencje. Podobne biuro dla propagandy ekonomicznej São Paulo istniało również w Paryżu, niezależnie od instytucji federalnej, która miała za zadanie propagandę ekonomiczną całej Brazylji („Mission pour la propagande d'éxpansion économique du Brésil"). Agitacja emigracyjna na rzecz São Paulo prowadzona była na szeroką skalę lubo bez wielkiego powodzenia również na ziemiach polskich. Zwłaszcza uprawiało ją istniejące przez jakiś czas w Krakowie pseudo-filantropijne towarzystwo „Opatrzność", agencja spekulacyjna na skutek nawoływań prasy i ciągłych rewelacji ze strony P. T. E. rozwiązana przez policję.

Jednocześnie przed wychodźtwem do São Paulo usilnie przestrzegały konsulaty rozmaitych państw europejskich. Nawet konsulat rosyjski w Rio de Janeiro poczuwał się do obowiązku ogłoszenia w r. 1911 obszernego komunikatu z odpowiednią przestrogą dla emigrantów, w którym stwierdził że do konsulatu nadchodzą ciągle skargi polskich wychodźców, zwabionych do São Paulo i znajdujących się tam w opłakanych warunkach.

Twierdzenie, że stan São Paulo jest bezwzględnie złym terenem dla imigracji europejskiej, byłoby przesadą, aczkolwiek kategorycznie stwierdzić należy, że jest on zupełnie nieodpowiedni dla wychodźtwa polskiego, tak osadniczego, jak zarobkowego. Przedewszystkiem sprawia to klimat, znacznie gorętszy niż w innych stanach południowych, aczkolwiek na płaskowzgórzu, na którem położone jest stołeczne miasto stanu, znośny. W klimacie tym aklimatyzują się łatwiej Włosi i Portugalczycy, natomiast nasi przybysze znoszą go z trudnością. Na płaskiem wybrzeżu morskiem

a także w głębi kraju, w dolinach nisko położonych rzek, panują często febry błotniste, dla Europejczyków, a zwłaszcza dla Polaków albo zabójcze, albo odejmujące wszelką chęć i zdolność do pracy. Grunta na kolonjach, zakładanych przez rząd stanowy, były stosunkowo b. drogie. Cena pojedynczego lotu (25 ha) wynosiła około 2.000 milrejsów (w innych stanach południowych 250 — 750 milr.). Spłata rozłożona była na raty w ciągu lat 10-ciu, pierwszą jednak ratę (minimalnie w wysokości 100 milrejsów) musiał osadnik uiścić zgóry przy objęciu gruntu w posiadanie. W ten sposób stanowe kolonje dostępne były tylko dla imigrantów, rozporządzających po przyjeździe do Brazylji pewnym zapasem gotówki (jakich nap. nie brakło wśród przybyszów łotewskich), niezbędnej na uiszczenie pierwszej raty, na zagospodarowanie się i utrzymanie do czasu pierwszych zbiorów. Imigranci, pozbawieni potrzebnych funduszów, na lotach rządowych osiadać nie mogli i, ratując się przed nędzą, musieli z konieczności przyjmować pracę u plantatorów kawowych. Nadto zaznaczyć wypada, że, jak stwierdzały to sprawozdania konsularne, wybór terenów pod kolonje rolnicze nie zawsze bywał fortunny. Niekiedy przeznaczano na ten cel grunta po starych plantacjach kawy, gdzie gleba była już całkiem wyczerpana, w innych znów wypadkach kolonje zakładano w okolicach bagnistych i niezdrowych, albo tak górzystych, że uprawa roli stawała się niemożliwą.

Najwięcej imigrantów polskich ściągnięto na kolonję Pariqueira Assu, która należała podobno do najuboższych w całej Brazylji i najgorszych pod względem klimatycznym. Założona w niezdrowym pasie nadmorskim, kolonja ta, jak twierdzono, była siedliskiem febry i innych chorób. Z osadzonych tam Królewiaków z gubernii płockiej (w latach 1890—1910) oraz wychodźców galicyjskich, prawie wszyscy poprzenosili się do Parany tak, iż wreszcie na kolonji pozostało zaledwie kilkanaście rodzin polskich, takich mia-

nowicie, którym dostały się wyjątkowo dobre działki ziemi.

Małe osady polskie założone były również w pasie nadmorskim w okolicy portowego miasteczka Iguape, gdzie fatalny klimat, brak komunikacji i trudne warunki dla rolnictwa zmusiły większość kolonistów do porzucenia swych lotów. Pozatem spotkać można było Polaków, rozproszonych po rozmaitych kolonjach i plantacjach. Pracę u plantatorów przyjmowali nasi emigranci bardzo niechętnie i dorywczo. Wynagradzana akordowo i wymagająca pewnej wprawy, nie pozwalała im ona na robienie większych oszczędności i zmuszała do życia najmickiego w dość opłakanych warunkach i w atmosferze, przypominającej czasy nie tak dawno jeszcze zniesionego niewolnictwa. Robotnikami na plantacjach byli więc bądź Włosi i Portugalczycy, bądź też krajowcy, t. j. Brazyljanie i murzyni.

W stolicy stanu, dużem i bogatem mieście São Paulo przebywało stale kilkaset rodzin polskich z klasy rzemieślniczej i robotniczej, natomiast w Santos, głównym porcie wywozowym, Polaków nie było prawie wcale.

Również nieliczną była zwykle kolonja polska w stolicy federalnej, Rio de Janeiro, składając się i tam prawie wyłącznie z rzemieślników i robotników. Nieszczególne stosunki na miejscowym rynku pracy, wielka drożyzna i klimat upalny nie sprzyjały tam powstaniu większego skupienia polskiego. Z końcem r. 1912 zorganizowało się w Rio de Janeiro „Polskie Towarzystwo Samopomocy i Oświaty", które postawiło sobie za cel „informować prasę kraju ojczystego, towarzystwa i pojedyńcze osoby, zwracające się o wskazówki, o warunkach bytu, losie i potrzebach wychodźców w Brazylji, oraz pomagać w wyszukiwaniu pracy".

W zatoce Rio de Janeiro znajduje się „wyspa kwiatów" — Ilha das Flores, na której odbywało się lądowanie imigrantów, przybyłych z Europy na statkach europejskich. Tutaj we wzorowo urządzonych, ale niekiedy zbyt przepeł-

nionych barakach otrzymywali wszyscy przybysze pomieszczenie i bezpłatny wikt, zazwyczaj obfity i smaczny, do chwili odjazdu na miejsce przeznaczenia. W zasadzie każdy imigrant miał zupełną swobodę wyboru stanu i miejscowości, w której zamierzał osiąść. Nawet ci emigranci, którzy podróż do Brazylji odbyli na własny koszt, mogli stąd kontynuować ją dalej morzem i koleją zupełnie bezpłatnie.

V. Wychodźtwo do Argentyny.

ROZDZIAŁ XVIII.

Statystyka imigracji. — Początki wychodźtwa polskiego. — Osady w Missiones. — Ustawa kolonizacyjna z r. 1903. — Ceny gruntów prywatnych.

Drugiem państwem południowo-amerykańskiem, które posiadało imigrację polską, jest Argentyna. Imigracja w ostatniem dziesięcioleciu przed wojną światową miała tam wogóle charakter więcej zarobkowy niż kolonizacyjny i rekrutowała się głównie z Hiszpanów i Włochów. Statystyka urzędowa nie uwzględniała tu narodowości imigrantów i klasyfikowała ich według przynależności państwowej. Polaków zapisywano więc jako: Russos, Austriacos i Germanos lub Allemanos. Stąd wynika, że tylko w przybliżeniu można mieć pojęcie o rozmiarach polskiego ruchu wychodźczego do Argentyny. Naogół przyjęto obliczać, że wśród „Russos" imigranci polscy tworzyli 25% wśród „Austriacos" około 33%, natomiast wśród „Allemanos" nie było ich prawie wcale, gdyż emigracja z zaboru pruskiego do Argentyny obejmowała tylko nieliczne jednostki.

Według publikacji urzędowych ogólna imigracja do Argentyny za czas od r. 1876 do r. 1909, t. j. przez okres 33 lat, wynosiła·

	Gospodarstwo wiejskie	Rękodzielnicy	Artyści	Kupcy	Zarobnicy	Rozmaite zawody	Bez zawodu	Razem
Włochy . .	1,010.047	132.866	16.982	028.968	191.676	094 534	208.888	1,683.961
Hiszpania. .	0,254.916	035.956	10.742	031.057	232.259	073.345	139.541	0,827.816
Francja . .	0,081.886	018.134	04.457	008.375	013.146	017.972	016.682	0,160.682
Rosja . . .	0,043.154	003.794	00.604	008.430	006.019	007.067	024.221	0,093 349
Turcja . . .	0,002.439	001.711	00.161	040.649	006.017	004 266	007.442	0,062 645
Austro-Węgry .	0,026.368	005.618	00.740	003.764	005.656	010.247	010.199	0,062.592
Niemcy . .	0,016.290	004.189	01.055	005.112	002.567	006.467	004.675	0,040.355
Anglja . . .	0,008.596	003.757	01.268	005.378	002.239	007.960	003.760	0,034.958
Szwecja . .	0,009.500	002.197	00.489	002.711	001.281	001.629	005.277	0,023.083
Belgja . . .	0,012.126	001.562	00.369	001.481	000.914	001.593	002.057	0,020.102
Rozmaite .	0,016.483	013.597	05.046	006.523	009.594	008.688	012.104	0,072.035
Razem .	1,481.805	273.381	41.913	148.448	471.367	233.728	436.906	3,081.548

W r. 1909 imigracja do Argentyny przedstawiała się następująco:

Imigrowało:

Włochów	93.528
Hiszpanów	86.798
Rosjan	**16.475**
Ormjan	11.765
Francuzów	4.120
Austrjaków	**3.803**
Niemców	3.201
Anglików	2.206
Portugalczyków	1.651
Szwedów	760
Węgrów	649
Brazylijczyków	591
Duńczyków	532
Półn. Amerykanów	420
Innych narodowości	4.585
Ogółem	231.084

W tymże 1909 r. reemigrowało z Argentyny:

Włochów	51.642
Hiszpanów	27.464
Francuzów	2.833
Niemców	2.296
Anglików	912
Austrjaków	808
Innych	5.166
Ogółem	91.121

W r. 1910 przybyło do Argentyny 289,640 imigrantów, w tej liczbie 102.079 z Włoch, 131.466 z Hiszpanji, 12.765 z Rosji i 4.542 z Austro-Węgier. W r. 1912 imi-

growało do Argentyny 323.403 osoby, w tej liczbie 165.662 Hiszpanów, 80.583 Włochów, 20.832 poddanych rosyjskich, 6.545 poddanych austro-węgierskich i 4.337 poddanych niemieckich.

Ruch wychodźczy z Polski do Argentyny powstał przed 30 laty, pochodził głównie z Galicji i początkowo nosił charakter wyłącznie emigracji osadniczej, nigdy jednak nie przybrał rozmiarów tak wielkich, jak emigracja do Stanów Zjednoczonych lub choćby do Brazylji. Pierwsze i największe polskie osady rolne powstały w prowincji Missiones, położonej na północy Argentyny i sąsiadującej z brazylijskim stanem Parana. Skład osad tych pod względem narodowościowym był o tyle mieszany, że znaczną część mieszkańców tworzyli Rusini galicyjscy, a nadto pewien drobny odsetek Hiszpanie. Największą osadą była kolonja Apostoles, pomniejsze skupienia tworzyły kolonje Azara, San Jasé Cerro, Cora i Corpus. Razem w Missiones osiadło przeszło 5.000 Polaków i drugie tyle Rusinów. Położenie tych osadników było nieświetne tak z powodu braku komunikacji, jak z powodu braku opieki moralnej i zbyt upalnego klimatu. Dopiero w ostatnich latach przed wojną położenie ich znacznie się poprawiło na co wpłynęło przeprowadzenie w r. 1911 kolei żelaznej, której stacja położona jest teraz w odległości siedmiu kilometrów od Apostoles, oraz mianowanie komisarzem rządowym tej kolonji Polaka, p. Józefa Białostockiego, który gorliwie zabiegał o dalszy jej rozwój. Pozbawieni przez wiele lat opieki duszpasterskiej, pozyskali ją następnie nasi koloniści w członkach niemieckiego zakonu „Verbi divini", a dzięki staraniom energiczniejszych osadników powstała niebawem szkółka polska i towarzystwo pod nazwą „Oświata". Stowarzyszenia polskie istniały również na kol. Corpus i Azara. Do głównych produktów rolnych należała tu kukurydza.

Pozatem rozproszonych i pomieszanych z ludźmi in-

nej narodowości spotkać można było polskich osadników rolnych w rozmaitych okolicach Argentyny, przeważnie w prowincjach Cardoba, Santa Fé, Entre Rios. Emigranci nasi w tych kolonjach dziczeli i prawie wszędzie znajdowali się w mniej korzystnem położeniu niż wychodźcy w Paranie.

W myśl argentyńskiej ustawy kolonizacyjnej z dnia 8 stycznia 1903 r. kolonizacja rządowa może być prowadzona na następujących warunkach.

Przeznaczone na osadnictwo ziemie państwowe podzielone są: grunta orne na działki po 100 ha., grunta pastewne na obszary po 2,500 ha. Pojedyńcza osoba, względnie towarzystwo pozyskać może najwyżej dwa działki po 100 ha, lub jeden o 2.500 ha. Osadnik otrzymuje definitywny tytuł własności po złożeniu $^1/_6$ części ceny kupna i zadośćuczynieniu pozostałym warunkom, do których należy wniesienie podania o naturalizację. Dopóki nie uiścił całej należytości, nie ma prawa lotu swego nikomu sprzedawać. Cena za hektar gruntu wynosi minimalnie 1 peza papierowego. Ma ona być spłacana w przeciągu 5 lat z doliczeniem procentów za zwłokę. Pierwsi koloniści mogą otrzymać od państwa bezpłatnie piątą część działu, o ile sami osiądą na gruncie. Na pastwiskach, nabytych od państwa, winien kolonista w przeciągu oznaczonego czasu hodować bydło i postawić budynki wartości 500 pezów papierowych przeciętnie na przestrzeń jednej mili („legui") kwadratowej. Grunta orne winien nowonabywca otoczyć płotem i w przeciągu roku postawić na nich dom mieszkalny. Termin ten przedłużono później na dwa lata dla nowonabytych lotów, położonych w pobliżu kolonji dawniejszych. Dzierżawcom gruntów państwowych, skoro wypełnili zobowiązania, przewidziane kontraktem najmu, przysługuje prawo pierwokupu do połowy dzierżawionego obszaru. Rządowi przysługuje prawo zerwania kontraktu bez zwrotu uiszczonych rat i wydatków, poniesionych na

uprawę ziemi, jeśli osadnik lub dzierżawca nie wypełnił którego z warunków umowy. Ponadto niedopełnienie warunków, przepisanych ustawą kolonizacyjną, pociąga za sobą karę pieniężną w wysokości podwójnego podatku gruntowego, należnego za cały przeciąg czasu, w którym przepisów ustawy nie przestrzegano.

Powyższą ustawę uzupełniają ustawy poszczególnych prowincji, przyznając osadnikom rozmaite udogodnienia. Wszystkie one nie są w praktyce ściśle stosowane i wobec słabych postępów kolonizacji rządowej małe posiadają znaczenie. Grunta te bowiem, którymi rząd rozporządza jeszcze na cele kolonizacji, przedstawiają ze względu na swe położenie, klimat lub gatunek gleby bardzo małą wartość, grunta zaś, mające urodzajną glebę i dobre komunikacje, stanowią już własność prywatną i są bardzo drogie. Olbrzymie latifundja („estancias“) zajmują najżyźniejsze i najdostępniejsze obszary kraju, w którym, pomimo jego olbrzymich rozmiarów, nie pozostało już — przy obecnych komunikacjach — wiele miejsca na kolonizację państwową.

„Otrzymanie ziemi w niewielkiem oddaleniu od kolonji polsko-ruskich — pisał delegat Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego p. Roman Jordan w r. 1912 — jest dla wychodźców naszej narodowości, połączone z wielkiemi trudnościami, niedającemi się łatwo określić. Najtrafniej, myślę, będzie przypuścić, że rząd argentyński nie chce pomagać w ułatwieniu większych skupień w znaczeniu narodowościowem, tem więcej, że największa kolonja polsko-ruska a na terytorjum Missiones graniczy niemal z brazylijską Paraną, zaludnioną przeważnie przez naszych ludzi.“

„Wydzielaniem ziem dla kolonistów zajmuje się „Direction General de Tierras y Colonias“. Dotąd, dopiero po pięciu latach od chwili odebrania ziemi we władanie stawał się kolonista jej właścicielem, o ile zapłacił przypadające rządowe należytości i otrzymywał tak zwany „Titulo definitivo“. Obecnie rząd ma zamiar skrócić termin do

dwóch lat i wydawać „Titulo definitivo“ za spłaceniem szóstej części wartości ziemi. Ceny ziemi rządowej są rozmaite, zależnie od kierunku politycznego w kwestji osadniczej, jakości ziemi i wartości środków komunikacyjnych. Można przyjąć, że przeciętnie ceny te są podobne, lub nieco wyższe od cen ziemi rządowej w krajach kolonizujących o podobnym klimacie i podobnej ziemi.

„Zdarzało się dość często, a i teraz bywają wypadki, że nieświadomi stosunków przybysze kupują grunta bez zgłaszania się do dyrekcji „de Tierras y Colonias“.—Sprzedawcą bywa wtedy często osoba niemająca żadnych praw do terenu, który sprzedaje. Nabywca-kolonista osiedla się, by nieraz, wypracowawszy pole, zostać wydalonym siłą policyjną na życzenie dawnego prawego właściciela (nie sprzedającego). Zdarzały się wypadki, zwłaszcza jeśli chodziło o Włochów, którzy osiedlili się na ziemi, będącej własnością rządu, że nie rugowano ich. Wpływ jednak kilkumiljonowej ludności włoskiej, względnie jej reprezentantów, trudno porównywać z wpływem jakiejkolwiekbądź narodowości, tem mniej naszej. Zdarza się też, że i Włochów rugują.

„Obecnie jest projekt rządowy zdecentralizowania urzędu „de Tierras y Colonias“ i zakładania filji we wszystkich prowincjach i terytorjach, w których znajdują się ziemie rządowe. Również ma rząd zamiar rozszerzenia atrybucji władzy gubernatorów, które ułatwiłoby stosunki osadnicze tak uciążliwe ze względu niezmiernej nieraz odległości od władz centralnych, urzędujących w Buenos Aires. Ważną przyczyną, utrudniającą nabycie gruntów, jest też to, że jakkolwiek cena rządowej ziemi nie jest przy początku kupna wygórowaną, ze względu że sprzedaje się ją sposobem licytacji (remate), kupno w takich warunkach łatwiejsze jest dla Argentyńczyka, niż dla przybysza. Kupuje więc spekulant, by wyzyskać imigrantów.[1])

[1]) Roman Jordan. — „Argentyna jako teren dla polskiego wychodźtwa". Nakładem P. T. E. Kraków, 1912.

Ceny gruntów w Argentynie były bardzo rozmaite, zależnie od ich jakości i położenia. W prowincji Pampa np. płacono za 1 ha minimalnie 60—75 pezów, w południowych okolicach prowincji Buenos Aires 80—120 pezów, w północnej jej części oraz w prowincji Santa Fe po 150—200 pezów. Na założenie gospodarstwa w odległych stronach (100 ha) oraz zakupno niezbędnego inwentarza i maszyn potrzebny był kapitał około 5,000 pezów.

ROZDZIAŁ XIX.

Imigracja zarobkowa. — Organizacja pośrednictwa pracy. — Zarobki imigrantów robotników i drożyzna. — Studja dotychczasowe nad zorganizowaniem polskiego wychodźtwa sezonowego do Argentyny i widoki na przyszłość.

Nie stanowiąc wielkiej atrakcji dla przypływu osadników, miała Argentyna coraz większą imigrację zarobkową, o czem świadczą cyfry statystyczne, dotyczące reemigracji. Wychodźtwo to pochodziło głównie z Włoch i Hiszpanji i częściowo nosiło charakter sezonowy. Brali w niem przeważny udział robotnicy, poszukujący zarobków na roli podczas żniw, przypadających w Argentynie, jak wiadomo, w porze, kiedy w Europie panuje zima. Olbrzymie argentyńskie gospodarstwa rolne, uprawiające pszenicę i inne zboża, nie mogłyby prosperować bez pomocy sezonowych robotników europejskich. Według obliczeń, dokonanych w r. 1908 przez Izby Rolnicze, uprawa roli zatrudniała w Argentynie przez cały rok 578.056 robotników (296.252 mężczyzn, 134.798 kobiet i 144.005 dzieci), natomias zatrudnionych wyłącznie podczas zbiorów było 724 870 robotników (566.202 mężczyzn, 86.615 kobiet i 72.053 dzieci). Najwięcej robotników sezonowych, zatrudnianych przy żniwach, znajdowało pracę w prowincjach Buenos Ai-

res (249.878) i Santa Fé (144.582). Przeważnie byli to robotnicy cudzoziemscy. Również hodowla musiała posiłkować się przypływowym robotnikiem zagranicznym. W r. 1908 nap. zatrudniała ona przez okres całoroczny 634.816 najmitów (301.614 mężczyzn, 162.345 kobiet i 170.859 dzieci), przy strzyżeniu owiec 271.720 ludzi (236.610 mężczyzn, 21.306 kobiet i 13.804 dzieci) i przy innych robotach hodowlanych 84.008 robotników, razem tedy aż 990.544 najmitów.

Nadto roboty budowlane w miastach oraz roboty publiczne — szczególnie przy budowie kolei — dawały pracę setkom tysięcy rąk roboczych, wytwarzając olbrzymi popyt na obcokrajowego robotnika. Według urzędowego obliczenia, sporządzonego w r. 1909 w Buenos Aires, w mieście tem obok 378.560 robotników argentyńskich różnych zawodów pracowało jednocześnie 527.052 robotników obcokrajowych (307.233 mężczyzn i 219.819 kobiet). Notabene znaczną część pracowników, zapisanych przy obliczeniu tem jako Argentyńczycy, tworzyli obcoplemieńcy, urodzeni w Europie i naturalizowani w Argentynie.

Okoliczność, że wśród europejskich przybyszów, poszukujących pracy w Argentynie, ogromną większość tworzyli Włosi i Hiszpanie, da się łatwo wytłumaczyć naprzód faktem, że podróż z tych krajów, przy licznych własnych portach, była do Argentyny najtańszą i najkrótszą, następnie większą łatwością przystosowania się do klimatu, a wreszcie względami językowymi: Włosi uczyli się rozumieć po hiszpańsku bardzo łatwo, Hiszpanie zaś przybywali do Argentyny już z gotową znajomością języka tam używanego. Z drugiej strony okoliczność, że największe zapotrzebowanie robotnika na argentyńskim rynku pracy przypadało właśnie na czas naszej zimy, kiedy rolnictwo europejskie mniej wymagało czynności, sprzyjała emigracji sezonowej do Argentyny tych osób i rodzin, które latem miały zatrudnienie w swym kraju ojczystym.

Nie mogąc obejść się bez imigracji europejskiej, Argentyna oczywiście nie tylko nie czyniła jej prawie żadnych ustawowych ograniczeń (od imigrantów wymagano faktycznie tylko, aby wolni byli od trachomy lub innych chorób zaraźliwych i aby posiadali paszporty, względnie równoznaczne dokumenty legitymacyjne),[1] lecz nadto popierała ją przez rozmaite ulgi i ułatwienia przy wyszukiwaniu pracy.

Tak więc, w Buenos Aires i Rosario utrzymywał rząd argentyński, w myśl ustawy imigracyjnej z dnia 19 października 1876 r. olbrzymie schroniska dla imigrantów, połączone z bezpłatnem biurem pośrednictwa pracy („Oficinas de Trabajo"). Do schroniska tego odstawiano z okrętów wszystkich pasażerów III klasy, o ile nie wyrazili poprzednio zamiaru zamieszkania gdzieindziej; każdy z nich mógł tu przez pierwsze pięć dni pobytu na ziemi argentyńskiej korzystać zupełnie bezpłatnie z noclegu i całodziennego wiktu. Wszystkie sale oraz ubikacje kąpielowe, kuchenne i szpitalne urządzone były w nowym gmachu praktycznie i według wymagań hygjeny. Pożywienie otrzymywali imigranci niezłe i przeważnie mięsne. W zakładzie był tłumacz i opieka lekarska.

Przy schronisku tem istniał państwowy urząd pośrednictwa pracy, który stręczył zarobki bezpłatnie. Również bezpłatnie otrzymywał każdy nowoprzybyły przejazd koleją na miejsce pracy lub tam dokąd pragnął się udać. Imigranci, którzy przez jakiś czas przebywali już w Argentynie, albo nie byli zaopatrzeni w paszporty, tylko wyjątkowo (np. na prośbę konsulatu) mogli korzystać ze schro-

---

[1] Rząd argentyński nie opłacał nigdy przewozu imigrantów do Argentyny, jak to czyniła od czasu do czasu Brazylja, równocześnie jednak nie poddawał przybyszów indagacjom, przyjętym w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

niska. O ruchu, jaki panował w schronisku i w połączonym z niem urzędzie pośrednictwa pracy, świadczą następujące cyfry:

w roku	korzystało ze schroniska:	otrzymało pracę:
	i m i g r a n t ó w:	
1906	127.378	114.889
1907	97.111	86.688
1908	129.304	116.069
1909	100.982	90.537
1910	130.645	115.874

Państwowy urząd pośrednictwa pracy stręczył zarobki z reguły tylko imigrantom świeżo przybyłym i nie funkcjonował zbyt sprawnie. Wysłany do pracy przybysz, nie miał rękojmi, czy dostanie ją na czas dłuższy i nieraz już po kilku tygodniach powracał o żebranym chlebie, a raczej o żebranym mięsie, by tułać się bezczynnie po przedmieściach stolicy.[1])

Oprócz państwowego urzędu pośrednictwem pracy trudniły się liczne biura prywatne o charakterze spekulacyjnym. W r. 1909 szesnaście największych takich biur dokonało razem 69.730 zapośredniczeń. Nadto działało mrowie biur mniejszych i rozmaitego rodzaju pokątnych faktorów i stręczycieli, a pośrednictwem pracy trudnili się nadto właściciele tak zw. „fond" („fonda"—rodzaj hotelu z garkuchnią i pokątną agencją, załatwiającą najrozmaitsze sprawy wychodźców). O wszystkich tych instytucjach i osobach—pisze Roman Jordan—trudno powiedzieć coś dobrego. Zdarzają się wypadki, że pośrednicy wysyłają do pracy robotników jedynie na to, by pobrać (wygórowane)

---

[1]) Porów. „*Einwanderung und Kolonisation in Argentinen*" von D-r Georg Hiller, Berlin, 1912, Verl. Dietrich Reimer", str. 49—71. Dzieło to zawiera w pierwszym tomie m. i. dosłowny tekst i szczegółową krytykę argentyńskiej ustawy imigracyjnej z r. 1876.

należytości biurowe i aby będący z biurem w zmowie dozorca robót, oddalił robotników w najbliższych dniach od roboty. Wtedy robotnicy, tracąc zarobiony grosz na drogę powrotną wpadają powtórnie w szpony biurowego żdziercy i jadą za nową opłatą w nowy kąt Argentyny. W tym samym czasie dozorca, który robotników odesłał, dostaje świeżych ludzi, którzy świeżo zapłacili haracz biurowy. Ponieważ robotnik, znający język, kraj i obyczaj nie tak łatwo da się wyzyskać, także dlatego robotnicy romańskiego pochodzenia cieszą się korzystniejszymi warunkami zarobkowania, niż nasi ludzie, zwłaszcza, że nie posiadają rodzimych przewodników.

O wysokości zarobków, przyjętych przed wojną dla robotników w rozmaitych dziedzinach pracy, bardzo szczegółowo i na dokładnych badaniach oparte informacje, zawiera cytowane powyżej sprawozdanie delegata P. T. E. p. Jordana, które opublikowane było w „Polskim Przeglądzie Emigracyjnym" i następnie w osobnej broszurze. Przeciętny zarobek dzienny doświadczonych robotników włoskich i hiszpańskich, zatrudnianych podczas żniw, wynosił w latach 1910 — 1912 około 4½ peza. Robotnicy, niewładający językiem hiszpańskim i nieobeznani ze sposobem prowadzenia robót, zarabiali znacznie mniej. Roboty żniwiarskie w Argentynie odbywają się niemal wyłącznie przy pomocy maszyn. Zaczynają się one z końcem października i trwają do końca marca, niekiedy, gdy zbiór kukurydzy się opóźnia, dłużej. Do obsługi maszyn przyjmowani są tylko robotnicy, z pracą tą obznajmieni i znający język hiszpański lub włoski. Najlepiej wychodzą ci robotnicy rolni, którzy zawierają umowę z przedsiębiorcą, najmującym ich do żniw z własnemi maszynami, ich obsługą i robotnikiem; w takim bowiem razie mają oni zapewnioną pracę bez dłuższych przerw przez okres kilku miesięcy. Wobec bowiem braku ciągłości robót rolnych, niema warunków znalezienia pracy na dłuższy przeciąg czasu

w jednem miejscu. Zwykle żniwa rozpoczynają się na północy, gdzie zboże prędzej dojrzewa. Po ukończeniu tam robót, które nie trwają długo, muszą robotnicy wyruszać za dalszym zarobkiem coraz bardziej na południe, ciągle zmieniając miejsce pracy. Ponieważ pociąga to mniejszą lub większą przerwę w pracy — zwłaszcza, jeśli imigrant, nie mając jej zgóry upatrzonej, pozbawiony jest również wszelkiej pomocy w wyszukaniu nowych zarobków — oraz naraża na koszta przejazdu koleją, wpływa więc ujemnie na stan oszczędności robotnika. Zwłaszcza nowi przybysze nieromańskiego pochodzenia tracą przytem sporo czasu i pieniędzy, o ile, jak wspomniałem wyżej, nie zawarli umowy z doświadczonym przedsiębiorcą wędrownym, który ma już zgóry ułożony plan robót na całe lato.

U polskich robotników, pracujących przez pierwszy sezon w Argentynie, przeciętny zarobek przy żniwach wynosił około 2 pezów dziennie wraz z całem utrzymaniem. Pożywienie składało się ze śniadania, które spożywają robotnicy o wschodzie słońca, przed zaczęciem pracy. Na śniadanie gotuje się w kotle „herwę matę“, którą robotnicy piją mało ocukrzoną, zagryzając sucharami, nieraz tak twardymi, że trzeba rozbijać młotem zanim się je rozmoczy. Obiad podany koło południa składa się prawie nieodmiennie z kawałka pieczonej baraniny lub krowiego mięsa z małą ilością ziemniaków, innej jarzyny lub makaronu, często wyłącznie z mięsa. Wieczerzę sporządzoną podobnie jak śniadanie okrasza się niekiedy kawałkiem mięsa. Ilościowo pożywienie zazwyczaj jest dostateczne. Naszym ludziom tęskno było początkowo za ziemniakami, kaszą, jagłami, zwłaszcza za mlekiem, a nawet za herbatą (chińską). Zdarzało się, że ludzie chorowali z nadmiernego użycia mięsa, jeśli nie popijali go herwą matą, mającą znane właściwości zdrowotne. Mieszkań dla robotników rolnych w europejskiem tego słowa znaczeniu, nie było prawie nigdzie. Argentyński klimat zezwala na spędza-

nie nocy lub słotnych dni pod gołem niebem, pod tak zw. „galponem“ (szopa gospodarska), w namiocie, w lepiance z patyków i ziemi lub w domku z blachy. Wychodźcy polscy, nawykli w ostrzejszym klimacie do domów mieszkalnych, narzekają zwykle z powodu ich braku, zwłaszcza w pierwszych miesiącach po przyjeździe.

Znacznie lepiej niż roboty rolne opłacała się naszym imigrantom praca przy robotach ziemnych, dając zarobek o 33—50% wyższy i większą ilość dni roboczych. Budowa nowych kolei żelaznych, regulacja rzek, budowa kanałów i przedsięwzięcia meljoracyjne wytwarzały największe zapotrzebowanie na tę kategorję pracowników[1]).

„To też — pisał dobry znawca argentyńskich stosunków, Robert Bialé—przy zakładaniu dróg i kanałów ofiarują każdemu chętnemu i wytrwałemu robotnikowi pracę na czas nieograniczony. Z tego widzimy jasno, że robotnik „ziemny" pożądany jest w Argentynie w każdej chwili, jeżeli tylko zechce zgodzić się na twarde życie, na spanie w namiotach lub „ranchos" bez wygód i przyjemności.

Robotnik fabryczny niewielkie znajdzie pole w Argentynie. Płaca dzienna wynosi 2.50 i 3 pezów, a w dodatku trudno zdobyć sobie miejsce, szczególnie dla nowo przybyłego, ponieważ te zajęcia pilnowane są dobrze przez robotników, oswojonych już w Argentyną, z powodu prawie we wszystkich fabrykach istniejącego ośmiogodzinnego dnia pracy.

Następnie fachowcy rozmaitych gałęzi przemysłu, jak: stolarze, ślusarze, kowale, mechanicy, poszukiwani są zawsze. Ostrzegam jednak, że potrzebną jest jaka taka znajomość języka hiszpańskiego, bo bez niego każdy fachowiec zmuszonym jest pracować w ziemi.

---

[1]) W r. 1908 uchwalił parlament argentyński cały szereg na szeroką skalę pomyślanych robót publicznych (p. „Ley 5559 de fomento de los territorios nacionales y sus decretos reglamentarios", Buenos Aires, 1910).

Robotnik murarski zawsze znajdzie zajęcie z zapłatą 3 do 3·50 p. dziennie. Szczególnie poszukiwani są murarze fachowcy, którym płacą ogólnie przyjętą cenę 4 do 4·50 p. dziennie.

Niechaj jednak nikt nie wyobraża sobie, że zarobki powyżej podane są świetne! Drożyzna mieszkań i życia we wszystkich miastach, szczególnie w Buenos-Aires, pochłania z łatwością cały świetny zarobek dzienny. Wystarczy jeżeli podam, że w Buenos-Aires pokoju możliwego niżej 25 p. miesięcznie nie wynajmie, a chcąc mieszkać poza miastem trzeba tracić pieniądze na tramwaje lub kolej, co prawie na jedno wychodzi. Odłożenie nieco grosza możliwem jest przy dużej oszczędności [1]).“

W r. 1911 postanowiło Polskie Towarzystwo Emigracyjne przeprowadzić dokładne studja w celu zbadania, czy i ewentualnie na jakich podstawach możliwem byłoby zainicjonowanie wychodźtwa polskiego do Argentyny na sezon tamtejszych żniw letnich. Kwestja ta wydawała się bardzo doniosłą, gdyż wychodźtwo sezonowe do Argentyny, zorganizowane na modłę włoską i odpowiednio pokierowane, mogłoby przy sprzyjających warunkach wywołać w naszych stosunkach emigracyjnych formalny przewrót i skutecznie położyć tamę masowej wędrówce „obieżysasów” do Prus, a obok tego stanowić jakby asekurację na wypadek nagłego zakazu lądowania naszym emigrantom w Stanach Zjednoczonych. Wychodźcy sezonowi do Argentyny opuszczaliby kraj na jesień t. j. w czasie, kiedy u nas najtrudniej bywa o zarobki, natomiast wracaliby przed nastaniem lata, czyli w porze, kiedy nasz wewnętrzny rynek pracy staje się najbardziej pojemnym. Rzecz tedy miałaby się wręcz przeciwnie, niż to się dzieje z wychodźcami do Prus, którzy wracają ztamtąd do kraju na zimę, by ją tu

---

[1]) „Biuletyn Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego”, Rok 1910, str. 564.

spędzić w zupełnej bezczynności i następnie, po ogołoceniu się ze szczupłych zarobków, z wczesną wiosną znów wędrują na służbę do pruskich junkrów.

Pragnąc dokładnie zbadać tą sprawę, dyrekcja Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, nie poprzestała na informacjach otrzymanych od konsulatu austro-węgierskiego w Buenor-Aires, lecz nadto wysłała do Argentyny osobnego delegata, p. Jordana, fachowego rolnika, a oprócz tego wyprawiła tam tytułem próby kilkunastu doświadczonych robotników, gwarantując tym ostatnim zwrot ewentualnych niedoborów. Zebrany w ten sposób bardzo obfity materjał informacyjny wykazał, ze sezonowej emigracji polskiej do Argentyny w danym czasie stałaby na przeszkodzie silna konkurencja ze strony dobrze zorganizowanego wychodźtwa włoskiego, korzystającego z poczynionych doświadczeń i z poparcia licznych rodzimych instytucji miejscowych, nadto zaś tamowałyby ją braki w rządowej organizacji pośrednictwa pracy na miejscu oraz trudność orjentacji co do wyników urodzajów, które każdego roku mają tam decydujący wpływ na popyt na ręce robocze. Delegat P. T. E. w następujący sposób streścił ostateczny wynik swych badań: „Czysty zarobek sezonowy robotnika rolnego po strąceniu kosztów utrzymania i po upływie sezonu można liczyć na około 400 koron. Oznaczam długość sezonu na 4 mies. robocze, ponieważ żniwa, względnie zbiory trwające dłużej, przeciągają się jedynie przez opóźniany zbiór kukurydzy, przy którym prace mniej korzystne są dla robotników, zwłaszcza naszych, pracujących w tym dziale gorzej, niż robotnicy innych narodowości. W miesiącu nie chciałbym przyjmować cyfry wyższej nad 23 dni roboczych, bo na dni słotne, na dni przejazdów z miejsca na miejsce, wreszcie na niedziele należy odtrącić najmniej 7 dni w miesiącu. Mając zatem 92 dni roboczych w 4 mies. po 4 k. dziennie (mimo znacznie wyższych płac dziennych tę cyfrę po zbadaniu sprawy przyjąłem za przeciętną oszczędność dzienną) uzyskuje się 368 koron,

co nie starczy na drogę tam i zpowrotem, ponieważ koszt jej wynosi około 500 K. Wliczam w tę drogę też koszta podróży w Argentynie, wartość czasu straconego na przygotowanie do podróży i zwyczajowego odpoczynku, względnie chwilowego bezrobocia, nieuniknionego bezpośrednio przed wyjazdem do kraju i po powrocie do domu".

Ujemny wynik badań, przeprowadzonych przez P.T. E. w r. 1911, nie powinien w zupełności przesądzać powodzenia podobnej akcji w przyszłości. Fakt, że wychodźca nasz w Argentynie będzie mógł odtąd korzystać z opieki i pomocy własnego państwa, miałby w razie wznowienia prób na tem polu, niesłychanie ważne znaczenie.[1])

Na zakończenie warto zaznaczyć, że liczbę polaków, osiadłych nastałe w Argentynie oceniano na przeszło 10.000. Poza prowincją Missiones najwięcej ich przebywało w Buenos Aires, gdzie istniało polskie stowarzyszenie i zaczęło wychodzić polskie czasopismo.

---

[1]) Porów.: Friedrich Hey: „*Unser Auswanderungswesen und seine Schäden*", Wien und Leipzig, 1912. — Józ. Okołowicz: „O widokach dla robotników sezonowych w Argentynie", Kraków, 1912. — „Sprawozdanie z działalności P. T. E. za rok 1911", Kraków, 1912. Najnowszą w tej chwili książką o Argentynie jest drugie przerobione i uzupełnione wydanie pracy Wilhelma Szmidt-Klugkista i D-ra Christiana Grotewolda p. t. „*Argentinien in geographischer. geschichtlicher und wirtschaftlicher Beziehung*" (Hannover, 1919, Hahusche Buchhandlung). Książka ta zawiera tylko jeden mały rozdział, poświęcony imigracji (str. 85—88), natomiast podaje sporo informacji z zakresu kolonizacji oraz fizycznej i politycznej geografji Argentyny, jej historji i prawa państwowego.

VI. Wychodźtwo do Niemiec.

ROZDZIAŁ XX.

Przyczyny wychodźtwa polskiego do Niemiec i jego rozwój.— Wychodźtwo do Westfalji i Nadrenji.—Ograniczenia, stosowane do imigrantów polskich z Królestwa i Galicji. — Przymus legitymacyjny.—Statystyka imigracji polskiej.

Wtedy, gdy główny prąd polskiej emigracji zamorskiej podążał przed wybuchem wojny światowej do Stanów Zjednoczonych, wychodźtwo kontynentalne kierowało się główną falą do Niemiec, zwłaszcza do Prus i Saksonji. Niemcy stały się najważniejszym zagranicznym odbiorcą polskich dłoni roboczych, bez których pruskie rolnictwo tak w latach przedwojennych, jak podczas wojny nie mogłoby się obejść. Konieczność sprowadzania, zwłaszcza do robót rolnych, najemników zagranicznych powstała tam na skutek potężnego rozwoju przemysłu. Fabryki i kopalnie wyludniały coraz bardziej wieś niemiecką z proletarjatu, przenoszącego się chętnie do miast przemysłowych, dokąd pociągały go wyższe zarobki i bardziej niezależne życie; jednocześnie wzrost intensywności gospodarstw rolnych, zwłaszcza uprawa buraków i innych roślin okopowych, zwiększała zapotrzebowanie na ręce robocze. Skoro więc przestał wystarczać dla potrzeb rolnictwa niemieckiego dopływ robotników rolnych z Poznańskiego, skierowało ono swe

zabiegi w kierunku pozyskania w jak największej ilości dłoni roboczych z Królestwa i Galicji.

Wychodźtwo polskie do krajów niemieckich zapoczątkowały ziemie zaboru pruskiego, Poznańskie, Prusy zachodnie i wschodnie oraz Śląsk Górny. Polski wychodźca z ziem tych wędrował tłumnie bądź do Westfalji i Nadrenji, gdzie szukał zarobków w hutach i kopalniach, tworząc tam poważne skupienia polskie, bądź też rozpraszał się jako robotnik sezonowy po niemieckich dworach, zwłaszcza w Saksonji (skąd pochodzi nazwa „obieżysastwo", niemieckie—„Sachsengängerei"). Nadto rzemieślnicy udawali się do wielkich miast, jak Berlin i Hamburg. Ks. Dr. A. Mytkowicz podaje za Dr. Fr. Stutzke, że w latach 1895—1900 poniosły polskie ziemie Prus skutkiem wychodźtwa następujące straty w ludności [1].

	osob	% ogólnej liczby ludności
Prusy wschodnie	146.603	7,4
„ zachodnie	69.679	4,6
Poznańskie	127.899	7,0
Śląsk	64.418	1,4
Razem	408.499	

Ilość wychodźców podana przez D-ra Stutzkego podniosła się w 4-ch obwodach nadreńsko-westfalskich w roku 1910 do cyfry 547.957 osób, a mianowicie liczba polskich wychodźców, pracujących w powyżej wymienionych okręgach przemysłowych wynosiła w r. 1910:

z Prus wschodnich	215.658
„ zachodnich	93.204
z Poznańskiego	150.697
„ Śląska Górnego	83.398

[1] X. Dr. A. Mytkowicz: „Powstanie i rozwój emigracji sezonowej", Kraków 1917, str. 114.

Wychodźtwo polskie do westfalsko-nadreńskiego obwodu datuje się od r. 1871, ale dopiero po r. 1880 przybrało charakter masowy, zastępując coraz bardziej wychodźtwo zarobkowe i przesiedleńcze z zaboru pruskiego do Stanów Zjednoczonych. Poniekąd był to ruch, obserwowany w całych Niemczech w miarę ich uprzemysłowiania się, tak zw. „Binnenwanderung", emigracja, o której wspomniałem wyżej, wyjaśniając powody, dla których proletarjusz wiejski opuszczał swą parafję, by, stawszy się robotnikiem przemysłowym, pracować w miastach. A że robotnik polski w zaborze pruskim nie znajdował miast fabrycznych w swych stronach rodzinnych, przeto wędrował daleko na zachód tam, gdzie bujnie rozwijający się przemysł górniczy wytwarzał ogromny popyt na dłonie robocze, szedł do Westfalji i Nadrenji. Płaca dorosłego robotnika rolnego w Poznańskiem nie dosięgała przed 1910 r. 1 i pół marki, wtedy, gdy robotnik przemysłowy zarabiał od 4 do 5 marek dziennie, pracując mniejszą ilość godzin. Dr. Stanisław Wachowiak, w swej dysertacji, ogłoszonej w r. 1916 na temat wychodźtwa polskiego na zachód niemiecki, trafnie tłumaczy przyczyny, czemu ruch ten wyżłobił sobie koryto do Westfalji i Nadrenji, omijając Górny Śląsk, którego przemysł korzystał prawie wyłącznie bądź z robotników miejscowych, bądź też z przychodźców z Galicji i Kongresówki. Sprawiały to mianowicie wyższe płace oraz lepsze bez porównania stosunki mieszkaniowe i ogólne warunki życiowe, nie mówiąc już o lepszem urządzeniu kopalń. Wtedy, gdy na Śląsku górnik zarabiał przeciętnie 1063 marek rocznie, w kopalniach zachodnich zarobek roczny dochodził do 1600 marek.

W r. 1913 liczbę Polaków, osiadłych w Westfalji i Nadrenji, szacowano na 400.000, z czego około 30.000 przypadało na Mazurów, a około 3.500 na Kaszubów. Zakaz zatrudniania tam w przemyśle robotników polskich z Kongresówki i Galicji sprawiał, że Polonja miejscowa

składała się prawie wyłącznie z poddanych pruskich. Mieszkała ona dość zwartą masą, koncentrując się głównie w dorzeczu Emschery, t. j. po obu stronach linji kolejowej z Gelsenkirchen do Hamm, względnie z Bochum do Duisburgu. W 47 gminach stanowili tam Polacy od 10 do 35% ogółu ludności, w 6 zaś odsetek ich wynosił nawet ponad 35. Najbardziej polską była gmina Habinghorst, licząca 43,8% Polaków, drugą z kolei gmina Sedingen, mająca 32,1% ludności polskiej. Prawie trzecia część ludności polskiej w Nadrenji i Westfalji urodziła się na obczyźnie, stanowiła więc już drugą generację wychodźtwa. Obok klasy robotniczej rozpoczął wytwarzać się tam powoli również i polski stan średni, rozwijało się polskie kupiectwo, które, zacząwszy od drobnych sklepików, jęło przechodzić do większych przedsiębiorstw handlowych o charakterze spółkowym. W r. 1914 było tam już 10 większych spółek handlowych, w tej liczbie 4 kooperatywy spożywcze, dwie drukarnie, spółka budowlana, bank i skład mebli. Urządzona w r. 1913 w Bochum wystawa zobrazowała osiągnięte do tego czasu rezultaty na polu polskiego handlu i przemysłu. Prawdziwie imponująco przedstawiał się ruch zrzeszeniowy wśród tamecznych Polaków. Pierwsze towarzystwo polskie (o charakterze kościelnym) powstało w r. 1877 w Dortmundzie. Od r. 1890 liczba towarzystw tych rosła już z prawdziwie amerykańską szybkością, do czego niemało przyczyniła się agitacja założonego przez ks. Dr. Lissa tygodnika „Wiarus Polski". Założony w r. 1904 związek 150 polskich towarzystw kościelnych, liczył przed wojną około 150.000 członków. Powstały tam również i inne organizacje polskie, jak np. 107 drużyn śpiewaczych z 4.000 członków; oraz 125 gniazd sokolich, liczących ogółem w r. 1913 — 4.776 członków. Nadto istniał długi szereg innych stowarzyszeń, jak abstynenckie, przemysłowe, stypendjalne, wyborcze i t. p. Samych stowarzyszeń kobiet polskich było w r. 1914 aż 110,

liczących około 8.000 członkiń. Zorganizowane w r. 1902 w Bochum „Polskie Zjednoczenie Zawodowe" po 10 latach istnienia stało się potężnem zrzeszeniem, liczącem już przeszło 77.000 członków i posiadającem majątek wartości przeszło miljona marek. Poczucie odrębności narodowej skłoniło Polaków westfalskich i nadreńskich do wysuwania przy wyborach do parlamentu własnych kandydatów i w r. 1907 kandydat taki otrzymał 28 tysięcy głosów, w roku zaś 1912 liczba głosów, jakie padły na polskiego kandydata, wzrosła już do 38.000.

W listopadzie 1913 r. odbył się w miasteczku Winterswyk w Holandji zjazd delegatów towarzystw polskich w Westfalji i Nadrenji przy udziale około 2.000 uczestników. Zwołanie zjazdu do Holandji miało na celu obejście znanej „ustawy kagańcowej", nie pozwalającej przemawiać publicznie po polsku w miejscowościach, w których ludność polska wynosi mniej niż 60% ogółu mieszkańców. Zjazd ten pod każdym względem wypadł doskonale, przyczyniając się wielce do podniesienia ducha narodowego wśród Polonji westfalsko-nadreńskiej.

Odporność na zakusy asymilacyjne rządu pruskiego, tendencje emancypacyjne pod względem gospodarczym, silny ruch zrzeszeniowy i rozrost liczebny Polonji westfalsko-nadreńskiej, wszystko to coraz większym niepokojem przejmowało nacjonalistów niemieckich, robiąc aktualną kwestję „polskiego niebezpieczeństwa na zachodzie".[1])

W miarę, jak polski robotnik z zaboru pruskiego opuszczał swe strony rodzinne i wędrował za chlebem na Zachód, na opróżnione przez niego miejsca przybywał robotnik z pogranicznych powiatów Królestwa Kongresowego. Zapoczątkowany w ten sposób ruch wychodźczy z Kongresówki

---

[1]) Patrz: „Polski Przegląd Emigracyjny" Nr. 14, rok 1910 i Józef Frejlich: „Polskie wychodźtwo zarobkowe w obwodzie przemysłowym westfalsko-nadreńskim", Kraków, 1911.

przybierał coraz większe rozmiary, kierując się następnie również do prowincji rdzennie niemieckich. W obawie przed wzmożeniem się żywiołu polskiego w Prusach wydał rząd pruski w r. 1886 znany zakaz sprowadzania obcopoddanych robotników polskich do jakichkolwiek robót, na skutek czego około 40.000 Polaków zostało nagle skazanych na wydalenie z granic państwa. Interes gospodarczy przeważył jednak nad szowinizmem nacjonalistycznem i na skutek protestów właścicieli ziemskich, którym już wówczas trudno było obywać się bez najmitów polskich, powyższy zakaz został w r. 1890 ostatecznie zniesiony Jednocześnie przecież zaprowadził rząd pruski szereg przepisów wyjątkowych, zmierzających do normowania imigracji polskiej po myśli politycznych interesów państwowych. W ten sposób powstał szereg uciążliwych ograniczeń, stosowanych tylko do Polaków „obcopoddanych". Tak więc wolno ich było zatrudniać tylko od 1-go lutego do 20-go grudnia każdego roku; po dniu 20-go grudnia wszyscy polscy robotnicy obcopoddani obowiązani byli granice państwa pruskiego opuszczać; wolno było sprowadzić ich do Prus zachodnich i wschodnich, Poznańskiego i Śląska do robót rolnych i zajęć z rolnictwem związanych, nadto do pracy w hutach, kopalniach i w innych przedsiębiorstwach wielkiego przemysłu, do pozostałych zaś części Niemiec północnych jedynie do przedsiębiorstw rolniczych i zajęć z rolnictwem związanych; zatrudnianie ich tam w służbie domowej lub w przemyśle było zakazane. Nie wolno również było przychodźcom polskim przywozić z sobą dzieci w wieku szkolnym.[1])

W r. 1907 zaprowadzono przymus legitymacyjny dla

[1]) Patrz „Polski Przegląd Emigracyjny" Nr. 21 i Nr. 23 z r. 1911, oraz J. Trzciński: „Russische — Polnische und Galizische Wanderarbeit im Grossherzogtum Posen". Stuttgart-Berlin, 1906, str. 50 i 103.

robotników zagranicznych, który z początku obowiązywał w Prusiech i sąsiednich księstwach północno-niemieckich (jak Oldenburg, Meklemburg, Anhalt, Brunświk i t. d.), oraz w wolnem mieście Lubece, a w r. 1909 rozszerzony został również i na Saksonję. Za papiery legitymacyjne każdy robotnik cudzoziemski płacił na granicy 2 marki, a jeżeli je wyrabiał dopiero po przybyciu na miejsce pracy — 5 marek. Przymus legitymacyjny był ściśle przestrzegany tylko wobec imigrantów z Królestwa Kongresowego i z Galicji, aczkolwiek w zasadzie obowiązywał przychodźców i z innych państw. Dla każdej narodowości wydawane były karty legitymacyjne innego koloru: robotnicy polscy mieli karty koloru czerwonego, Rusini — żółtego, Włosi — zielonego, Belgowie i Holendrzy — niebieskiego, wszyscy inni — białego. Dla robotników rolnych wydawano karty z osobną kolorową kreską podłużną. Na każdej karcie oprócz nazwiska robotnika, wymienione było nazwisko i adres pracodawcy, u którego robotnik przyjmował zajęcie.

Bardzo dotkliwie dawało się robotnikom polskim we znaki arbitralne postępowanie władz pruskich i zbyt pohopne odstawianie ich do granicy w razie jakiegobądź zatargu, a bez należytego i bezstronnego zbadania sprawy. Nadto wychodźcy polscy z zaborów rosyjskiego i austrjackiego byli prawie wykluczeni od korzystania z dobrodziejstw ustawodawstwa ochronnego, aczkolwiek musieli opłacać wkładki do funduszu ubezpieczeniowego w tej samej co niemieccy robotnicy wysokości. Od nieszczęśliwych wypadków ubezpieczał pracodawca robotnika z obowiązku, jednocześnie jednak ustawa orzekała, że rodzina, pozostała po obcokrajowcu, zmarłym wskutek nieszczęśliwego wypadku, nie może otrzymywać stałej renty, o ile podczas wypadku nie miała w Prusiech miejsca stałego zamieszkania; zakaz przebywania w Prusiech stale i sprowadzania swych rodzin do Prus czynił tedy dla wychodźców polskich usta-

wę ubezpieczeniową iluzoryczną, bo faktycznie z ubezpieczenia na starość i na wypadek niezdolności do pracy byli oni w ten sposób prawie wykluczeni.[1]) Ubezpieczenie na wypadek choroby było niedostateczne. Według ustawy był robotnik obowiązany płacić $^2/_3$ wkładki, przewidzianej statutem do kasy chorych; w razie choroby wszakże, gdy nie mógł pracować, tracił prawo do płacy, a otrzymywał tylko pożywienie, bezpłatne lekarstwa, opiekę lekarską, a dopiero po trzech dniach zapomogę pieniężną z kasy chorych.

Wadliwa forma kontraktów robotniczych także była często źródłem krzywdy robotników, ponieważ w kontraktach tych była mowa tylko o obowiązkach robotnika, bez wzmianki o jego prawach i najczęściej znajdowała się klauzula, że strony, na wypadek zatargów, zrzekają się poddania sprawy pod rozstrzygnięcie sądów państwowych, lecz zgadzają się na wyrok sądu rozjemczego Izby Rolniczej lub „Feldarbeiterzentrale", a więc instytucji, będących wyrazicielami interesów pracodawców i niedających przeto rękojmi bezstronności w zatargach pracodawców z pracownikami. Pomimo tych ograniczeń i krzywdzących zarządzeń wychodźtwo polskich robotników sezonowych z Królestwa i Galicji do północnych Niemiec zwiększało się z każdym rokiem i, bardziej dostępne dla najuboższych proletariuszy wiejskich, niebawem znacznie przekroczyło liczebnie emigrację do Stanów Zjednoczonych.

Liczbę wychodźców polskich ze wszystkich trzech dzielnic, zatrudnionych czasowo lub też zamieszkałych na stałe w niemieckich prowincjach Rzeszy, szacowano przed wybuchem wojny na 600 tysięcy. Dokładnej jednak statystyki wychodźtwa tego nie było. Daty, publikowane przez Warszawski Komitet Statystyczny, a dotyczące emigracji sezonowej z Królestwa, oraz przez Urząd Statystyczny przy ro-

[1]) Dopiero podczas wojny zostali wychodźcy polscy pod względem ubezpieczeń społecznych zrównani w prawach z robotnikami niemieckimi.

syjskim Departamencie Celnym, wykazują duże sprzeczności, a nadto dotyczą zazwyczaj całego wychodźtwa sezonowego, a więc nie tylko emigracji do Niemiec, lecz również wędrówek zarobkowych do Danji, Szwecji, Austrji i innych krajów, a nadto niekiedy obejmują i wychodźtwo zamorskie. Również zestawień statystycznych, sporządzanych przez władze austrjackie za dokładne uważać nie można.[1]) Najlepszą stosunkowo podstawą do orjentacji o rozmiarach polskiego wychodźtwa sezonowego do północnych Niemiec przedstawia statystyka przymusowych legitymacji robotniczych, wystawianych przez niemiecką „Arbeiterzentrale". Statystyka ta jednak wykazuje cyfry o wiele niższe od istotnych, ponieważ, jak wspominaliśmy wyżej, przymus legitymacyjny nie obowiązywał w krajach południowo-nie-

---

[1]) Według obliczeń urzędów rosyjskich wychodźtwo sezonowe z Królestwa Polskiego wynosiło:

w roku:	Statystyczny Komitet Warszawski	Urząd statyst. przy departam. celnym
1900	119.284	86.571
1901	139.664	228.014
1902	135.657	233.536
1903	141.728	274.124
1904	137.701	293.270
1905	200.000	397.024

Według zestawień urzędów policyjnych austrjackich w Oświęcimie i Szczakowej wychodźtwo sezonowe z Galicji dawało następujące cyfry:

w roku:	
1902	41.725
1903	42.144
1904	58.900
1905	105.923
1906	110.639
1907	151.876
1908	157.669
1909	314·404
1910	309.029
1911	330.520

mieckich, jak Bawarja, Baden, Wirtembergja i t. p., a nadto niektórym wychodźcom udawało się go obchodzić w celu uniknięcia tych pęt niewoli, jakie za sobą pociągał. (Patrz tablice str. 260, 261 i 262).

Jak widać z umieszczonych poniżej tabel statystycznych, w r. 1912/13 wystawiła „Arbeiterzentrale" ogółem 767.215 legitymacji robotnikom zagranicznym różnych narodowości, z czego na cudzoziemskich robotników narodowości niepolskiej przypadało 408.741, t. j. 95.363 na zatrudnionych w rolnictwie i 313.378 na pracujących w przemyśle. Blizko więc połowę zagranicznych robotników, zatrudnionych w północnych Niemczech, stanowili Polacy, przyczem, jak widać z załączonej tabeli, w przeciwieństwie do robotników innych narodowości, zatrudnionych przeważnie w przemyśle, nasi wychodźcy przyjmowani byli wskutek rządowych zarządzeń głównie do pracy na roli tak, iż wśród ogółu cudzoziemskich robotników rolnych tworzyli przeszło 75%. Wychodźców rusińskich z Galicji było w r. 1912/13—91.395, z czego 51.546 pracowało w rolnictwie a 39.849 w przemyśle. Wychodźców z Belgji (Flamandów, i Holandji na robotach rolnych było razem 10.255, zaś w przemyśle—54.195; Niemców z Rosji: 11.693 w rolnictwie i 8.480 w przemyśle; Niemców z Austrji: 3.031 w rolnictwie i 56.600 w przemyśle.

Z załączonej tabeli statystycznej wynika również, że w ostatnich latach emigracja polska z Galicji do Niemiec stale się zmniejszała, natomiast wzrastało wychodźtwo z Królestwa Kongresowego. Procentowy stosunek całego wychodźtwa do północnych Niemiec z obydwóch dzielnic Polski przedstawiał się następująco:

	1908/09	1909/10	1910/11	1911/12	1912/13
Królestwo:	72.48	74.19	76.24	78.80	79.07
Galicja: .	27.52	25.81	23.76	21.20	20.93
	100.—	100.—	100.—	100.—	100.—

Statystyka „Arbeiterzentrale".

Statystyka legitymacji, wystawionych przez Arbeiterzentrale obcopoddanym robotnikom, z podziałem według narodowości:

Wystawiono legitymacji:	1910/11	1911/12	1912/13
1. Wychodźcom z państwa rosyjskiego:			
Polakom	253.143	281.813	283.395
Rusinom	388	148	55
Niemcom	19.913	17.937	20.173
Litwinom	3.424	3.682	2.747
Rosjanom i innym.	—	5.252	10.760
2. Wychodźcom z Austrji:			
Polakom	77.567	75.851	75.079
Rusinom	82.718	77,911	91.395
Niemcom	58.390	54.553	59.631
Czechom	19.803	26.845	28.308
Innym	—	27.784	26.724
3. Węgrom	17.389	23.025	19.830
4. Włochom	47.690	52.177	68.871
5. Holendrom i Belgom.	63.743	65.613	64.450
6. Francuzom i Luxemburczykom	793	909	944
7. Duńczykom, Szwedom i Norwegczykom	9.849	9.458	8.483
8. Szwajcarom	3.379	3.846	4.210
9. Wychodźcom innej narodowości	37.836	2.771	2.160
Ogółem . .	696.025	729.575	767.215

Statystyka legitymacji z podziałem według zatrudnienia przychodźców w rolnictwie i przemyśle:

Wystawiono legitymacji	Rolnictwo			Przemysł		
	1910/11	1911/12	1912/13	1910/11	1911/12	1912/13
1. Wychodź. z państwa rosyj.						
Polakom	237.720	259.292	259.413	15.423	22.521	23.982
Rusinom	247	81	20	141	67	35
Niemcom	11.035	10.234	11.693	8.878	7.703	8.480
Litwinom	2.491	2.921	2.347	933	761	400
Rosjanom	—	1.915	6.360	—	3.337	4.400
2. Wychodźcom z Austrji . .						
Polakom	61.236	56.346	56.910	16.331	19.505	18.169
Rusinom	47.710	40.952	51.546	35.008	36.959	39.849
Niemcom	4.672	2.647	3.031	53.718	51.906	56.600
Czechom	828	1.061	841	18.975	25.784	27.467
Innym	—	174	288	—	27.610	26.436
3. Węgrom	5.944	6.818	4.358	11.445	16.207	15.472
4. Włochom	22	32	24	47.668	52.145	68.847
5. Holendrom i Belgom . .	10.381	10.303	10.255	53.362	55.310	54.195
6. Francuzom i Luxemburczykom	39	31	24	754	878	920
7. Duńczykom, Szwedom i Norwegczykom	3.231	3.238	3.102	6.618	6.220	5.381
8. Szwajcarom	1.173	1.305	1.470	2.206	2.541	2.740
9. Wychodźcom innej narowości	1.173	14	24	36.663	2.757	2.136

Statystyka legitymacji, wystawionych polskim robotnikom z Królestwa Kongresowego i z Galicji z podziałem według zatrudnienia ich w rolnictwie i przemyśle.

	1908/09		1909/1910		1910/11		1911/12		1912/13	
	w rolnictwie	w przemyśle	w rolnictwie	w przemyśle	w rolnictwie	w przemyśle	w rolnictwie	w przemyśle	w rolnictwie	w przemyśle
Z Królestwa .	196.995	15.244	223.711	16.168	237.720	15.423	259.292	22.521	259.413	23.982
Z Galicji . .	62.813	17.795	65.493	17.954	61.236	16.331	56.346	19.505	56.910	18.169
Razem . .	259.808	33.039	289.204	34.122	298.956	31.754	315.638	42.026	316.323	42.151
	292.847		323.326		330.710		357.664		358.474	

Przyczynę zjawiska tego przypisać należy m. i. okoliczności, że agitacja werbunkowa za wychodźtwem do Niemiec nie spotykała się w Kongresówce z żadnem zorganizowanem przeciwdziałaniem, wtedy gdy współcześnie na terytorjum Galicji zwalczało ją energicznie świeżo powstałe Polskie Towarzystwo Emigracyjne, które nadto wskazywało wychodźcom drogę do innych krajów, jak Czechy, Francja, Austrja i t. d., jednocześnie dążąc do rozszerzenia pojemności wewnętrznego rynku pracy. Gdyby działalność ta nie spotykała się z szykanami ze strony prusofilskich władz centralnych w Wiedniu, rezultaty jej byłyby niewątpliwie jeszcze widoczniejsze.

Zmniejszanie się polskiego wychodźtwa sezonowego do Prus z Galicji nie oznaczało zmniejszania się emigracji sezonowej z Galicji wogóle, ponieważ w miarę jak malała cyfra wychodźców polskich, rosła liczba „obieżysasów“ rusińskich, co powodowała planowa agitacja ruskiego „Narodnego Komitetu“ i różnych ukraińskich organizacji, będących na żołdzie i usługach berlińskiej „Arbeiterzentrale”. [1])

---

[1]) We Lwowie istniała ekspozytura „Arbeiterzentrale” w postaci ukraińskiego quasi-filantropijnego towarzystwa „Prowidinje”, pozornie powołanego do opieki nad wychodźcami, w rzeczywistości zaś uprawiającego propagandę na rzecz wychodźtwa do Prus i siejącego nienawiść do Polaków. Urzędował tam funkcjonarjusz „Arbeiterzentrali”, niejaki Dyrda. W Katowicach stale rezydował i stamtąd działał ksiądz rusiński Hanyckyj, który w jednej osobie łączył godność męża zaufania ruskiego „Narodnego Komitetu” i berlińskiej Centrali i rozsyłał odezwy, podburzające chłopów ruskich przeciwko polskim dworom i wszystkiemu co polskie. Jedną z odezw takich, zachęcających do gwałtów przeciwko Polakom, ogłosił „Polski Przegląd Emigracyjny”. Zresztą subwencje od „Arbeiterzentrali” pobierali także rozmaici inni narodowi działacze ukraińscy, wzamian uprawiając propagandę emigracyjną na rzecz Prus.

ROZDZIAŁ XXI.

Niemiecka „Arbeiterzentrale“, jej powstanie, cele, organizacja i działalność.

Działalność pruskiej „Arbeitetrzentrale“ zasługuje na poświęcenie jej w tem miejscu garści osobnych uwag, była ona bowiem nieoficjalnym organem pruskiej polityki imigracyjnej i sprawie naszego wychodźtwa wyrządziła olbrzymie szkody. Zaczątkiem jej było powstałe w roku 1902 z inicjatywy hakatystów i pod protektoratem pruskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych stowarzyszenie pod nazwą „Zentralstelle zur Beschaffung deutscher Ansiedler und Feldarbeiter“. Nosząc charakter wybitnie antypolski, postawiło ono sobie za cel sprowadzanie Niemców, rozproszonych zagranicą (głównie z Galicji, Rosji i Węgier) i zatrudnianie ich w rolnictwie pruskiem, względnie osadzanie na kolonjach robotniczych.

W ten sposób miała być osiągnięta podwójna korzyść: wyemancypowanie pruskiego rolnictwa z pod stale rosnącej niezależności od polskiej imigracji robotniczej, oraz dostarczanie klienteli pruskiej Komisji Kolonizacyjnej i, co za tem idzie, wzmocnienie niemieckiego żywiołu na „wschodnich kresach”. Towarzystwo to istniało do r. 1905, nie zdołało jednak osiągnąć żadnych pozytywnych rezultatów. W r. 1902 wydał Sejm galicyjski ustawę o powiatowych biurach pośrednictwa pracy, przez których działalność spodziewano się zatamować ruch wychodźczy przy wydatnem popieraniu krajowego rynku pracy. Wydanie ustawy tej wywołało zaniepokojenie wśród pruskich sfer rolniczych, co wpłynęło również na powołanie do życia wymienionego wyżej stowarzyszenia. Skoro atoli zawiodły pokładane na niem piękne nadzieje, postanowio-

no zmienić statut i nazwę i, rezygnując z projektów kolonizacyjnych, powierzyć mu kontrolę nad imigracją polską i zaspokajanie potrzeb pruskiego rolnictwa przez odpowiedni import rąk roboczych. W tym celu „Zentralstelle zur Reschaffung der deutschen Ansiedler und Feldarbeiter" przekształcona została w r. 1905 na „Deutsche Feldarbeiterzentralstelle" z siedzibą w Berlinie. Towarzystwo to przyjęło na siebie obowiązek dostarczania rolnym pracodawcom pruskim w miarę potrzeby robotników cudzoziemskich, przestrzegając przytem nie tylko ekonomicznych interesów tych pracodawców, ale także ogólno-państwowych interesów narodowych i politycznych (później towarzystwo to rozszerzyło program swej działalności również na robotników przemysłowych, zmieniając przytem swą nazwę na „Arbeiterzentrale"). W tym celu miało ono usunąć kosztowne pośrednictwo agentów prywatnych, werbujących robotników zagranicznych, a nadto dążyć do scentralizowania akcji, prowadzonej na tem polu przez biura pośrednictwa pracy Izb Rolniczych. Konkurencja bowiem między Izbami Rolniczemi sprzyjała mimowoli interesom robotników zagranicznych, powodując zwyżkę ich zarobków oraz poprawę warunków pracy. Przeciwnie, zmonopolizowanie werbowania i kontraktowania robotników zagranicznych w rękach jednej instytucji pozwalałoby nie tylko lepiej uwzględniać narodowe postulaty państwowej polityki imigracyjnej, ale nadto nie dopuszczać do wzrostu cen pracy robotnika zagranicznego. Członkami „Arbeiterzentrale" były pruskie Izby Rolnicze, Rady Rolnicze w Dreźnie, Monachium i Rostocku, Towarzystwo Rolnicze Mecklemburg — Strelitz, Górnośląskie Stow. Górnicze i Związek przedsiębiorców robót ziemnych w Berlinie. Członkami założycielami byli m. i. takie hakatystyczne stowarzyszenia jak słynny „Deutscher Ostmarkenverein", „der Alldeutsche Verband" i „Bauernbund". Organami Centrali były: walne zgromadzenie członków, rada nadzorcza i dyrekcja. Pre-

zesa rady nadzorczej i tegoż zastępcę mianował pruski minister rolnictwa, a nadto pruskie ministerstwa: Spraw Wewnętrznych, Handlu i Skarbu miały prawo wysyłania na zebrania członków i posiedzenia rady nadzorczej swoich przedstawicieli z głosem doradczym.

Działalność swą rozpoczęła „Centrala“ od założenia urzędów pogranicznych w miejscowościach, przez które przepływał prąd emigracyjny. W r. 1911 miała Centrala 51 takich „Grenzamtów“, w tej liczbie 23 biura wzdłuż granicy rosyjskiej i austrjackiej. Każde z biur granicznych posiadało zawarunkowany już przez swe położenie geograficzne okręg działania, tak zwany okręg werbunkowy. Dla inspekcji i kontroli tych biur ustanowiła Centrala 5 inspektoratów z siedzibą w Berlinie, Mysłowicach, Kluczborku, Toruniu i Królewcu. Zadaniem tych inspektoratów okręgowych było „nabycie dokładnej znajomości wszystkich zdarzeń, rozgrywających się na austrjackim i rosyjskim rynku pracy, a to przez podróże, odbywane w zagranicznej sferze przyciągania („Hinterland“) i ich okręgu i komunikowanie się z tamtejszemi władzami i ajentami“ („Schlepper“). Protektorat, jaki objęło Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nad Centralą, pociągnął za sobą nadanie tej prywatnej instytucji szeroko rozgałęzionych atrybucji państwowych i zapewnienie jej gorliwego współdziałania organów rządowych.[1])

Między innemi zostało Centrali powierzone wystawianie cudzoziemskim robotnikom kart legitymacyjnych. Zajmowały się tem jej urzędy pograniczne. Przymus legityma-

---

[1]) Porównaj: „Polski Przegląd Emigracyjny", Rok 1911 Nr. 21 i 23, Rok 1912 Nr. 9 i Rok 1914, zeszyt 1; Dr. Karol Englisch w książce D-ra Leopolda Caro: „Emigracja i polityka emigracyjna" str. 279; Dr. Ks. A. Mytkowicz: „Powstanie i rozwój emigracji sezonowej", str. 125; Nr. Marja Balsigerowa: „Polskie Wychodźtwo sezonowe do Niemiec", („Środkowo-europejski Związek gospodarczy i Polska; studja ekonomiczne", Kraków, 1916, str. 97).

cyjny, o którym wspominaliśmy już wyżej, wprowadzony rozporządzeniem z dn. 21-go grudnia 1907 r. wyłącznie dla emigrantów z państw rosyjskiego i austro-węgierskiego, a dla zamaskowania jego właściwej tendencji rozszerzony rozporządzeniem z dnia 30-go grudnia 1908 r., na wszytkich wogóle robotników zagranicznych, był w rękach „Arbeiterzentrale" poważnym narzędziem do uprawiania wrogiej polakom polityki imigracyjnej i źródłem mnóstwa uciążliwych szykan i prześladowań dla wychodźców polskich.

Robotnik polski z Galicji i Królestwa z reguły nie mógł swobodnie poszukiwać pracy w Prusach, lecz po przybyciu na granicę miał obowiązek bądź wykazać się posiadaniem już zawartego z pracodawcą niemieckim kontraktu, bądź też przyjąć kontrakt, ofiarowany mu przez pograniczny urząd Centrali. Robotnik, który odrzucał proponowane mu pośrednictwo Centrali, chociaż nie miał jeszcze zawartej umowy z żadnym z pracodawców niemieckich, nie otrzymywał legitymacji, uprawniającej do przebywania na terytorjum pruskiem i musiał zawracać z drogi. Po przybyciu na miejsce pracy, robotnik polski nie miał możności, bez pozwolenia władzy, opuszczać pracodawcy i szukać zarobku gdzieindziej, choćby w wypadku konfliktu z nim czuł całą słuszność po swojej stronie; brak odpowiedniej adnotacji na karcie legitymacyjnej odbierał mu swobodę ruchów i skazywał na przymusowy i przedwczesny powrót do kraju. To uzależnienie robotnika od pracodawcy niejednokrotnie pociągało za sobą rozmaite nadużycia, zwłaszcza w wypadkach, gdzie niesumienny pracodawca, pragnąc pozbyć się robotnika, jeśli pod koniec sezonu stawał mu się zbytecznym, i zatrzymać potrąconą z płacy kaucję (z reguły wynoszącą 30 marek) za pomocą umyślnych szykan zniewalał go do odejścia. W takim bowiem razie robotnik, pozbawiony legitymacji, względnie stwierdzenia w legitymacji tej przez władze, że pracodawcę opuścił za własną jego zgodą, nie mógł już otrzymać

pracy gdzieindziej i był przymusowo odstawiany do granicy, tracąc kaucję, która pozostawała w rękach pracodawcy, oraz kwotę, jaką w myśl umowy pracodawca ten miał wypłacić mu przy końcu sezonu na drogę powrotną do kraju.

Oprócz opłat za legitymacje, opłat, które były cłem, jakie imigrant musiał uiszczać za import swej siły roboczej, ciągnęła „Arbeiterzentrale" olbrzymie zyski jeszcze z prowizji, pobieranych od pracodawców za dokonane pośrednictwo; część tych prowizji szła na opędzenie wydatków administracyjnych „Centrali", część zaś przekazywana była według umowy agentom werbunkowym, wynagradzanym za dostarczony żywy towar „pro Kopf", t. j. od głowy.

Głównem dążeniem Centrali było wywołanie jaknajwiększej podaży zagranicznych rąk roboczych, by przy jej pomocy, w miarę, jak przewyższać będzie istniejący popyt, redukować wymagania robotników co do płacy i innych warunków, oraz dokonywać selekcji przez odsyłanie do domu najsłabszych lub najmniej zdolnych a zatrzymywanie najemników najbardziej watościowych. W dążeniu do tego celu Centrala nie była wybredną w doborze środków. Rozgałęziona organizacja werbunkowa, jaką posiadała w Królestwie i Galicji, składała się przeważnie z ludzi, nie mających wielkich skrupułów moralnych w pogoni za zyskiem. Byli to bądź właściciele niektórych legalnych biur pośrednictwa pracy, bądź częściej—pokątni agenci, przeważnie żydzi, bądź wreszcie skorumpowani robotnicy z kategorji tak zw. „przodowników" i „przodowniczek", którzy, formując większe gromady mniej doświadczonych robotników, udawali się z nimi na granicę, by tam za omówioną prowizję — prawdziwie judaszowe srebrniki — oddawać ich do dyspozycji Centrali. [1]) Oczywiście agenci celem pozyskania

[1]) Byli tak zw. „Kontraktowi" i „Kontraktowe", ludzie wiejscy, którzy w agitacji emigracyjnej wogóle odgrywali nieraz bardzo

liczniejszej klijenteli mieli swych subagentów, tak zwanych przez naszych wychodźców „naganiaczy" („Zutreiber") albo „śleprów" („Schlepper"). Usilna agitacja tych czynników sprawiała, że na wczesną wiosnę, niekiedy nawet już w lutym, baraki urzędów pogranicznych Centrali były przepełnione. Podaż rąk roboczych przewyższała istniejący na nie faktycznie popyt i ogromnie ułatwiała ścisłą selekcję między wychodźcami. „Towar" ludzki sortował się tam według jego zalet fizycznych stosownie do upodobania urzędników „Grenzamt'u" lub pracodawców pruskich. Najzdrowsi, najsilniejsi — szczególnie dziewczęta — otrzymywali kontrakty po krótszem lub dłuższem wyczekiwaniu w barakach, otrzymywali je jak z łaski, niekiedy po gorących prośbach, po wyrażeniu gotowości przystania na wszelkie warunki. Bezczynne wyczekiwanie wśród tłoku, niewygód, głodu i poniewierki czyniły ten materjał roboczy potulnym i ustępliwym; obawa przed pikielhaubą tłumiła w zarodku najmniejszy duch protestu; niepewność jutra kazała przyjmować wszelkie oferty, nawet rozłąkę z najbliższymi, byle nie być, jak inni, wyrzuconym na bruk, pozostawionym na łaskę losu, skazanym na beznadziejną wędrówkę do domu, pieszo, w łachmanach, o chlebie żebranym.[1])

Wśród wielotysięcznego tłumu łatwiejsze było również

---

ważną i zarazem bardzo smutną rolę. Bolesław Roja w swej broszurze „Jak i gdzie szukać zarobku? Wskazówki dla robotników rolnych sezonowych" (Kraków, 1913, str. 11) w ten sposób ich charakteryzuje:

„Trafiają się też często robotnicy nieuczciwi, którzy na byle jaki kontrakt świadomie namawiają i prowadzą swoich znajomków i braci wsiowych. Są to przeklęci Judasze emigracyjni. Taki Judasz emigracyjny zachwala kontrakt, chociaż wie, że prowadzi ludzi do złego dworu, ale ajent z Mysłowic lub inny obiecał mu po 3 marki od głowy, więc namawia i prowadzi naród na zatracenie.

Strzeżcie się Judasza emigracyjnego, chociaż to był Wasz brat rodzony.

[1]) Jednym z najniebezpieczniejszych „działaczy" z ramienia

dokonywanie selekcji pod względem narodowościowym. Pierwszeństwo oddawało się Rusinom. Im dla zachęty przeznaczano zarobki wyższe, zwłaszcza przy lepiej płatnych robotach publicznych i w przemyśle.

„Magazynowanie rąk“ roboczych w barakach emigracyjnych odbywało się bez kosztów dla Centrali, gdyż za nocleg na gołych deskach i za niesłychanie lichy wikt liczono wychodźcom wcale pokaźne kwoty, które były im jako zaliczka wpisywane do kontraktów i następnie potrącane przy wypłatach przez pracodawców.[1])

Podnosząc pożyteczność swej działalności dla rolnictwa pruskiego, „Arbeiterzentrale” w sprawozdaniach stwierdzała, że zabiegi jej w kierunku obniżania kosztów produkcji rolnej, uwieńczone zostały pomyślnym rezultatem, ponieważ imigranci polscy ugodzeni do robót za jej pośrednictwem, pobierali płace coraz niższe. A mianowicie dorośli mężczyźni otrzymywali dziennie w roku:

„Arbeiterzentrali”, był słynny Radetzky, renegat i hakatysta, ostatnio urzędnik wrocławskiej Izby Rolniczej w dziale pośrednictwa pracy.

[1]) W r. 1914 agitacja agentów „Arbeiterzentrali” trafiła z powodu ciężkiego przednówka na tak podatny grunt zwłaszcza w Galicji i południowych powiatach Królestwa, iż w Mysłowicach i Herbach wytworzył się w marcu formalny zator ludzki. Kilkanaście tysięcy robotników, jako zbytecznych, odesłała Centrala z powrotem; ludzie ci wśród największej nędzy w tysięcznych tłumach zalegali dworce kolejowe w Boguminie i Oświęcimiu, formalnie przymierając z głodu, inni pieszo i o żebranym chlebie wędrowali do domu. Podawane przez prasę opisy rozpaczliwej doli tych wychodźców poruszyły u nas opinję publiczną i skłoniły prezydjum wiedeńskiego Koła Polskiego do energicznej interwencji u rządu centralnego. Dodać należy, że władze austrjackie, powolne życzeniom Berlina, nie tłumiły agitacji agentów i naganiaczy Centrali, a również i władze rosyjskie na agitację tę patrzyły pobłażliwie, wobec czego dochodziła ona niekiedy wprost do wyuzdania.

	1907 Mk.	1908 Mk.	1909 Mk.	1910 Mk.	1911 Mk.
przez luty	1,—	1,—	0,90	0,80	0,70
„ marzec	1,—	1,—	0,90	0,90	0,80
„ kwiecień	1,10	1,10	1,—	1,—	1,—
„ maj	1,20	1,20	1,10	1,—	1,—
przez czerwiec, lipiec i sierpień	1,20	1,20	1,20	1,10	1,10
„ wrzesień	1,10	1,—	1,—	1,—	1,—
„ październik	1,10	1,—	1,—	1,—	1,—
do końca roku	1,—	1,—	0,90	0,80	0,80

Podczas żniw przez 6 tygodni w roku 1909 po 1,50 Mk.
„ 5 „ 1910 „ 1,50 „
„ 5 „ 1911 „ 1,40 „

Starania Centrali o „obniżenie kosztów produkcji rolnej" polegały nadto na tendencji do przedłużania dnia roboczego i do zmniejszenia ilości wydawanej robotnikom ordynarji, czyli tak zwanego w kontraktach najmu „deputatu". Na szczęście zabiegi jej o zaprowadzenie w całych Niemczech jednolitych norm wynagrodzenia przychodźców sezonowych spotykały przeszkodę w fakcie, że nie udało się jej usunąć współzawodnictwa ze strony Izb Rolniczych i skoncentrować w swych rękach całego importu robotników zagranicznych.

Według własnych sprawozdań dostarczyła Centrala pracodawcom niemieckim w roku sprawozdawczym:

1906	31,605	robotników
1907	54,880	„
1908	70,397	„
1909	76,001	„
1910	78,296	„
1912	82,951	„
1913	91,794	„

z czego w ostatnim roku przypadało na rolnictwo 78,044 robotników (27,717 dorosłych mężczyzn, 15,770 chłopaków i 34,557 kobiet), a na przemysł 13,750 robotników (12,233 mężczyzn, 1,092 chłopaków i 425 kobiet.[1])

Większość pracodawców wolała pomimo wszystko korzystać z pośrednictwa Izb Rolniczych, niektórzy zaś obchodzili się bez pośredników, poprzednio u nich zatrudnionych, inni wreszcie korzystali z usług agentów prywatnych lub też biur zagranicznych. Dopiero po wybuchu wojny światowej Centrali nadany został przez rząd pruski zupełny monopol na sprowadzanie robotników zagranicznych.

Lubo pozornie ,,Arbeiterzentrale'' nosiła charakter instytucji wyłącznie ekonomicznej, wszakże idąc za wskazówkami „Ostmarkenverein'u'' i innych swych hakatystycznych założycieli, zajmowała się ona również akcją czysto polityczną w duchu wybitnie antypolskim. Głównem jej dążeniem na tem polu było szerzenie nienawiści do Polaków wśród galicyjskich Rusinów i finansowe oraz moralne popieranie ruchu ukraińskiego w kierunku wrogim do Polski. Na akcję tę Centrali duży snop światła rzuciły rewelacje redaktora Krysiaka, ogłoszone w r. 1913 w prasie polskiej na podstawie tajnych dokumentów, przepisanych z jej archiwum[2]).

Zaabsorbowane agitacją werbunkową i machinacjami politycznemi kierownictwo Centrali nie miało czasu ani ochoty personel swój służbowy dobierać w ten sposób, by nie popełniał on na własną rękę ,,nadprogramowych'' na-

---

[1]) „Deutsche Arbeiterzentrale. — Bericht über die Tätigkeit im Geschäftsjahr 1912/1913'', Berlin, 1913, str 19.

[2]) Patrz: ,,Polski Przegląd Emigracyjny'', rok 1911 Nr. 22 i 23, rok, 1914, zeszyt I; ,,Gazeta Poranna'' (art. ,,Na usługach Hakaty'') z dn. 18/4. 1914, ,,Wiek nowy'' (art. ,,Akcja ruska przeciw P. T. E.'') z dn. 22/1 1914, „Słowo Polskie'' (art. ,,Wpływy pruskie'') z dn. 1/II 1914, „Czas'', z dn. 20/XI 1913, „Kurjer Warszawski'' z dn. 31/III 1914,

dużyć na imigrantach i do szeregu krzywd, sankcjonowanych zarządzeniami władz pruskich i dyrekcji Centrali, nie dołączał postępków, które choćby z punktu widzenia prawa karnego nie powinny były być tolerowane.

Nic dziwnego tedy, że od wychodźców naszych słyszeć można było często gorzkie skargi na sposób traktowania ich w „Grenzamt'ach" Centrali, na brutalne obelgi jakie ich tam spotykały zwłaszcza ze strony niższych funkcjonarjuszy, na wypadki wyzysku i innych nadużyć, tolerowanych milcząco przez dyrektorów i inspektorów tej półurzędowej instytucji. W interpelacji, jaką w r. 1914 wniósł prezes P. T. E. poseł Dr. Jan Hupka w Sejmie lwowskim z powodu bytomskiego procesu przeciwko handlarzom żywym towarem, znajdował się ustęp, poświęcony Centrali z racji skarg ze strony galicyjskich robotnic na nieuczciwe propozycje i niemoralne postępki niektórych funkcjonarjuszy „Arbeiterzentrali".

Powyższe uwagi dostatecznie charakteryzują, jak pod każdym względem szkodliwą była działalność Centrali dla polskiego wychodźtwa.

ROZDZIAŁ XXII.

Zarobki wychodźców sezonowych i ich oszczędności. — Kontrakty najmu. — Położenie polskich wychodźców w Wirtembergji i Bawarji. — Nadużycia pruskich dozorców i pracodawców.

Sezonowi robotnicy polscy najmowani byli w Niemczech przeważnie „na dniówkę" na podstawie kontraktów, spisanych zwykle w dwóch językach, polskim i niemieckim. Płace miesięczne mniej były przyjęte, natomiast dla niektórych robót wprowadzano płace akordowe. Najlepiej płacono naszym wychodźcom w Westfalji i Saksonji, najgorzej na Pomorzu. Robotnicy z Kongresówki byli bardziej

poszukiwani i niekiedy lepiej wynagradzani od robotników galicyjskich; uchodzili bowiem za zdolniejszych i pracowitszych. Koszta podróży od granicy na miejsce pracy i z powrotem ponosił pracodawca, o ile stosunek, wynikający z umowy, rozwiązywał się w porządku. Wypłata zarobków odbywała się przy płacy dziennej tygodniowo, w każdą sobotę, przy płacy miesięcznej—w ostatnim dniu miesiąca. Z płacy potrącana była pewna kwota co tydzień, względnie co miesiąc, (po 3 marki, względnie po 10 mk.) na kaucję, wynoszącą zazwyczaj 30 marek jako gwarancja dotrzymania umowy. Dzień roboczy trwał przeważnie od godz. 5-ej rano do godz. 7 wieczorem (albo od godz. 6-ej rano do godz. 8-ej wieczorem) z 2 godzinami przerwy. Tak zw. przodownicy, („Vorarbeiter"), którzy przyprowadzali z sobą partję robotników i sprawowali nad nimi nadzór na miejscu pracy, otrzymywali wynagrodzenie wyższe.

Naogół w latach, poprzedzających wybuch wojny światowej, przyjęte były w północnych Niemczech przeciętnie następujące płace dla polskich sezonowych robotników rolnych:

Dorośli mężczyźni i silniejsi chłopcy, umiejący kosić, pobierali dziennie: do 15 marca po 1 m., od 16 marca do końca maja 1 m. 10 f., od 1 czerwca do końca sierpnia 1 m. 20 f. podczas żniw przez 5 tygodni po 1 m. 50 f., od września do końca października po 1 m. 10 f., i od 1 listopada do końca sezonu po 90 f. Dorosłe kobiety, dziewczęta i chłopcy otrzymywali dziennie: do 15 marca po 80 f., od 16 marca do końca maja po 90 f., od 1-go czerwca do końca sierpnia po 1 marce, podczas żniw przez 5 tygodni po 1 m. 30 f., od września do końca października po 90 f. i od 1 listopada do końca sezonu po 70 f. Płaca akordowa przyjęta była, przeciętnie, następująca: za 1/4 ha buraków: pierwsze okopywanie cukrowych 1 m. 80 f., pastewnych — również 1 m. 80 f., przerywanie i drugie okopywanie cukrowych — 4 m. 50 f, pastewnych 4 m.;

trzecie okopywanie cukrowych 3 m. 50 f. 5 m. 40 f., pastewnych — 4 m., jeśli okopywała maszyna na przodzie powyższe ceny obniżały się o 50 fenigów. Za sprzęt paszy i zboża płacono: za skoszenie 1/4 ha oziminy lub jarzyny po 1 m. 40 f., za wiązanie, ustawianie i sprzątanie 1/4 ha oziminy lub jarzyny 60 f., za skoszenie 1/4 ha łąki 1 m. 20 f., za skoszenie 1/4 ha koniczyny, lucerny, seradeli lub łubinu—1 m. Ordynarja wynosiła przeciętnie: tygodniowo po 10 funtów (5 kg.) chleba dla dorosłych mężczyzn, a po 8 funtów dla dorosłych kobiet; dla dziewcząt i chłopaków, oraz dla wszystkich: po 1 f. kaszy jęczmiennej lub ryżu, 1 f. owoców strączkowych, 1 f. mąki, 1 f. szmalcu, 1 f. mięsa lub 70 f. na mięso, według uznania pracodawcy, 25 f. ziemniaków, 7 litrów mleka zbieranego, albo $3^1/_2$ litrów niezbieranego, $^1/_2$ f. soli. Mieszkanie otrzymywali robotnicy wspólne,. ale oddzielne dla obu płci, wspólne ognisko do gotowania i prania, opał, światło, oraz dla każdej osoby siennik i koc „wełniany".[1])

Poniżej przytaczam dosłowny tekst formularza kontraktu najmu, jaki używany był przez „Arbeiterzentrale" w r. 1913 dla rolnych robotników z Kongresówki, sprowadzanych do prowincji Mecklemburg-Schwerin. Formularz ten, drukowany w dwóch językach: niemieckim i polskim, na papierze o kolorze czerwonym (przyjętym, jak wiemy, również dla kart legitymacyjnych, wystawianych imigrantom polskim) nosił u góry napis: „*Für Russen aus westlichen Grenzgouvernements*". Paragraf pierwszy wymieniał nazwisko i adres pracodawcy, czas trwania umowy i kończył się oświadczeniem, że najęci robotnicy:

---

[1]) Patrz: Dr. K. Kumaniecki: „Die galizische Saisanauswanderung im Lichte ausläüdischer Arbeitsverträge Stat. Monatschrift IX". 1907, str 11; J. Okołowicz: „Kalendarz Emigracyjny na r. 1912, str. 39; Dr. Marja Balsigerowa: „Polskie wychodźtwo sezonowe do Niemiec" („Środkowo-Europejski Związek Gospodarczy i Polska", str. 100).

„Zobowiązują się, wszelką im przez pracodawcę lub jego zastępcę powierzoną, dzienną lub akordową pracę z sumiennością i pilnością wykonywać. Które roboty na dniówkę, a które na akord mają być wykonywane, naznacza pracodawca lub jego zastępca.

Wszyscy podpisani zapewniają, że są zupełnie zdrowi i wolni od wszelkich w pracy przeszkadzających dolegliwosci (kobiety zaś, iż nie są w ciąży) i że wszelkiemi robotami rolnemi są należycie obznajmieni.

Do wojska należące osoby oświadczają, że im o powołaniu ich do wojska w czasie trwania zobowiązania pracy nic nie jest wiadomem".

Paragraf drugi dotyczył czasu trwania pracy i brzmiał:

„Czas pracy dziennej trwa od godziny 6-tej rano do godz. 8-mej wieczorem z zwykłemi na miejscu przerwami na śniadanie, obiad i podwieczorek.

W razach koniecznych poza czasem zwykłym robotnicy zobowiązani są wykonywać nadgodziny. O nagłości takich wypadków decyduje jedynie sam pracodawca lub jego zastępca.

Wynagrodzenie za każdą nadgodzinę wynosi dla mężczyzn po 15 fen., dla kobiet, dziewcząt i chłopców 10 fen. Podczas żniw, kiedy płaca jest wyższą, nadgodziny oddzielnie płacone nie będą.

Oprócz niedziel i ewangielickich dni świątecznych robotnicy wyznania rzymsko-katolickiego mają prawo w następujące święta rzymsko-katolickie świętować: Zwiastowanie N. M. P. (25 marca), Boże Ciało (w czerwcu), Piotra i Pawła (29 czerwca), Wniebowzięcie N. M. P. (15 sierpnia), Narodzenie N. M. P. (8 września), Wszystkich Świętych (1 listopada)".

Paragraf trzeci zawiera puste rubryki do wypełnienia, odnoszące się do umówionych zarobków tak dziennych jak akordowych, z uwagą, że zapłata za oprzęt bydła i koni, wykonany w godzinach, wolnych od pracy, wynosi w dniu powszednim 20 fenigów, w niedzielę—50 fenigów.

Następne paragrafy brzmiały następująco:

§ 4. (Mieszkanie i wikt)

Z wiktu otrzymuje każdy robotnik tygodniowo: 25 funtów kartofli, 7 litrów zbieranego mleka albo $3^1/_2$ litra niezbieranego mleka (dziennie 1 lub $^1/_2$ litra), 1 funt mąki żytniej.

Z wiktualji tych robotnikowi nie wolno nic sprzedać, odpadki

i pozostałości należą do pracodawcy. Dawanie wiktualji nie zależy od tego, czy roboty są wykonywane na dniówkę czy też na akord.

Dalej wyznacza się wspólne pomieszkanie, oddzielone dla płci, wspólne ognisko do gotowania i prania, opał i światło i oprócz tego dla każdej osoby siennik i wełnianą kołdrę. Rąbanie drzewa na opał robotnicy muszą sami uskuteczniać.

Gotowaniem jedzenia zajmuje się jedna, przez pracodawcę lub jego zastępcę wyznaczona kobieta, do której również należy uporządkowanie mieszkania i sypialni oraz obieranie potrzebnej ilości kartofli i pranie bielizny dla robotników. Potrzebny do tego wolny czas zostaje jej udzielonym przez pracodawcę. Osoba ta otrzymuje tą samą płacę, jak inne robotnice jak również i za niedziele i dni świąteczne odpowiednie wynagrodzenie.

Drudzy robotnicy są zobowiązani jej w wolnym czasie pomagać.

Gdyby kto z podpisanych z własnej winy nie dotrzymał zawartego w ustępie I. czasu trwania zobowiązania, lub wskutek swego zachowania się spowodował zwolnienie go przedwczasem z pracy, obowiązanym jest, natychmiast po swojem zwolnieniu, opuścić wyznaczone mu mieszkanie i sypialnię. W razie oporu wolno jest pracodawcy zmusić go siłą do tego.

§ 5. (Koszta podróży i zaliczki)

Koszta podróży od stacji pogranicznej do miejsca pracy ponosi pracodawca za te osoby, które zobowiązanie swe aż do czasu, oznaczonego w ustępie I. należycie wypełnią. Osobom tym zwraca także koszta podróży powrotnej do stacji pogranicznej jeżeli osoby te wracają do domu.

Kto przez własną winę do umówionego czasu służby nie wybędzie, lub przez swoje zachowanie się zmusi pracodawcę do przedwczesnego wydalenia go z pracy, obowiązanym jest zwrócić pracodawcy wyłożone koszta podróży. Kto nie z własnej winy nie jest wstanie wytrzymać do końca pracy, ten potrzebuje, stosownie do niewytrzymanego czasu pracy, zwrócić tylko część kosztów podróży.

Wszelkie udzielone robotnikowi zaliczki na żywność, przypadkowe wydatki i koszta podróży z domu do granicy, oraz wydatki na kartę legitymacyjną i t. d., przysługuje pracodawcy prawo przy pierwszych wypłatach potrącać ratami do 1 marek tygodniowo.

§ 6. (Narzędzia robocze)

Robotnicy są zobowiązani otrzymane od pracodawcy narzędzia zwrócić w stanie czystym i nieuszkodzone. Każde uszkodzenie narzę-

dzi, powstałe przez nieoględne obchodzenie się niemi, lub za zagubione narzędzia robotnicy muszą zapłacić gotówką.

§ 7. (Moralne zachowanie się).

Każdy robotnik przyrzeka ściśle rozkazy pracodawcy lub jego zastępcy wypełniać i przedewszystkiem ściśle na przepisy domowe i robocze baczyć.

Przestrzeganie przepisów domowych i roboczych powinien dozorca (przodownik), albo osoba przez pracodawcę lub jego zastępcę wyznaczona dopilnować, w nieobecności tegoż obowiązek ten wypełniać powinna osoba najstarsza z obecnych.

§ 8. (Choroba i zabezpieczenie).

Każdy robotnik w czasie choroby, z powodu której jest niezdolny do pracy, traci prawo żądania płacy, otrzymuje natomiast, o ile nie zachodzi potrzeba przeprowadzenia go do domu chorych, w dalszym ciągu przepisany wikt. Oprócz tego udziela mu pracodawca bezpłatną opiekę lekarską, jeżeli się na miejscu pracy nie znajduje kasa chorych.

Jeżeli zaś na miejscu pracy istnieje kasa chorych, natenczas robotnicy zobowiązani są płacić przez ustawę przepisaną składkę, za co im kasa chorych udziela wsparcia prawem przepisane.

Na ubezpieczenie od kalectwa i starości robotnicy zobowiązani są prawem przepisaną składkę płacić.

§ 9. (Sąd prawomocny).

We wszystkich z niniejszej umowy powstałych sporach miarodajnym jest sąd.

Następowała data i podpis pracodawcy lub jego zastępcy, ostatnia zaś strona formularza przeznaczona była na wykaz jesienny ugodzonych robotników, adres każdego z nich, notatkę, w jakim charakterze został najęty, oraz czy i ewentualnie jaką pobierał zaliczkę a w reszcie na podpisy własnoręczne robotników oraz podpis kontraktującego ich urzędnika.

Warunki, ujęte powyższym formularzem, oznaczały wielki postęp na korzyść robotników w porównaniu z przyjętymi poprzednio. Widać to choćby z paragrafu końco-

wego (nawiasem mówiąc, stanowiącego rubrykę zazwyczaj niewypełnianą wcale), w którym przewidywany był już sąd koronny zamiast sądu rozjemczego Centrali. Pomimo to wykazuje on znaczne upośledzenie robotnika — wychodźcy i zależność jego od pracodawcy.

Oszczędności, przywożone do kraju rodzinnego przez wychodźców sezonowych, według moich spostrzeżeń wynosiły u dorosłych mężczyzn 120—175 marek na sezon, zależnie od wydatków, poniesionych na ubranie oraz inne zakupy w Prusiech. Ludwik Chełmicki oszczędności te obliczał w r. 1908 przeciętnie na 65 rub. 72 kop. na osobę dorosłą, szacując wydatek na zakupione w Niemczech ubranie na 50 marek i przyjmując za zasadę, że przeciętnie 30 fenigów dziennie wydają wychodźcy ze swych zarobków na uzupełnienie niewystarczających norm żywności, dostarczanych im przez pracodawców.[1]) Poczynione oszczędności, jak sam zauważyłem, redukowały się często zwłaszcza u kobiet, przez skłonność do zakupywania w Niemczech rozmaitych „artykułów mody“, niekiedy zupełnie zbędnych, a nawet niesympatycznych.

Garść cyfrowych danych o oszczędnościach wychodźców polskich do Niemiec zawiera praca b. profesora Uniwersytetu warszawskiego Simonienki p. t. *„Statistika wychoda raboczich za granicu s 1900 po 1913 god“*. Według zawartych w niej obliczeń, najwięcej zaoszczędzili z zarobków swych wychodźcy z guberni kaliskiej, a mianowicie robotnicy rolni, przeciętnie po 82 ruble rocznie, a robotnice po 55 rubli, robotnicy zaś zatrudnieni w przemyśle po 130 rubli mężczyźni i po 85 rub. kobiety. Wychodźcy z guberni płockiej zaoszczędzili przeciętnie: robotnicy rolni, mężczyźni po 74 rub., kobiety po 50 rubli, robotnicy przemysłowi: mężczyźni po 95 rubli; z gub. piotrkowskiej: ro-

[1]) Ludwik Chełmicki: „Przyczyny wychodźtwa w cyfrach”. „Gazeta Codzienna” z dn. 20 lutego 1908.

botnicy rolni po 75 rub. mężczyźni i po 53 rub. kobiety, przemysłowi zaś po 102 ruble mężczyźni; z gubernji warszawskiej: robotnicy rolni: mężczyźni, po 67 rub., kobiety po 43 ruble; z gub. łomżyńskiej: robotnicy rolni, mężczyźni, po 61 rub., kobiety po 39 rub., robotnicy przemysłowi, mężczyźni, po 101 rub., kobiety po 55 rub.; z gub. suwalskiej: robotnicy rolni, mężczyźni, po 40 rub., kobiety po 24 rub., robotnicy przemysłowi zaś po 63 rub., i po 30 rub. kobiety.

Warszawski Komitet Statystyczny zebrał następujące dane, dotyczące ogólnych sum pieniędzy, zaoszczędzonych przez wychodźców sezonowych z Kongresówki do Niemiec podczas okresu trzechletniego 1900—1902:

Przeciętnie wychodźcy ci przywozili z sobą do kraju każdego roku:

z gub.	kaliskiej	4.644.805	rub.
,,	płockiej	1.667.887	,,
,,	łomżyńskiej. . .	964.808	,,
,,	piotrkowskiej . .	705.596	,,
,,	warszawskiej . .	428.676	,,
,,	suwalskiej . . .	82.678	,,
,,	pozostałych. . .	17.280	,,

Cytując powyższe cyfry, Leon Papieski wyraża za prof. Simonienką przekonanie, że oszczędności te zaważyły w niemałym stopniu na zwiększenie się w Królestwie drobnej własności rolnej, a mianowicie o 7,2% w okresie sprawozdawczym. [1])

Zdania tego zupełnie nie podzielam. Na wzrost drobnej własności rolnej wpływały oszczędności, przywożone lub przesyłane przez wychodźców polskich ze Stanów Zjednoczonych, natomiast oszczędności ,,obieżysasów" były przez nich, że tak powiem, przejadane podczas przymuso-

[1]) L. Papieski: ,,Wychodźtwo do Niemiec przed wojną", ,,Kurjer Polski" z dn. 23/VIII 1916.

wego bezrobocia zimową porą w kraju. Zresztą były one zbyt drobne, by mogły wystarczać na zakładanie gospodarstw rolnych; jeśli według obliczeń prof. Simonienki wychodźca sezonowy—rolnik zaoszczędzał najwyżej 82 rub. rocznie, jest rzeczą jasną, że w ten sposób nie mógł on dojść do nabycia choćby bardzo szczupłego gospodarstwa. Zarobki „obieżysaskie“ chroniły przed nędzą; droga zaś do własnych warsztatów pracy wiodła wychodźców - proletarjuszy przez Stany Zjednoczone.

Oszczędności wychodźców, zatrudnionych w przedsiębiorstwach przemysłowych, były przeciętnie o 25 — 50 % wyższe niż robotników rolnych. Padali oni nieraz ofiarą wyrafinowanego wyzysku ze strony właścicieli kantyn i domów noclegowych, tak zwanych „schlafhauzów“, w których zmuszeni byli mieszkać. Większość ich pracowała w kopalniach jako wózkarze, w cegielniach, kamieniołomach i t. p. przedsiębiorstwach.

Nieco lepsze niż w Prusach było położenie naszych wychodźców w Niemczech południowych tak pod względem obchodzenia się z niemi ze strony pracodawców jak pod względem zarobków. Spora liczba polaków pracowała w wirtemberskich cegielniach, gdzie dzień roboczy trwał 9 — 11 godzin, a wynagrodzenie wynosiło dla dorosłych mężczyzn 30 — 35 marek miesięcznie, dla chłopców od 16 do 26 m., a dla kobiet 18—25 marek, „nadgodziny“ zaś płatne były po 15—25 fenigów. Nadto otrzymywali robotnicy mieszkanie, pełny wikt w obfitych porcjach (mięso 6 razy tygodniowo) oraz opłaconą podróż tam i z powrotem. Robotnicy nieco wykwalifikowani i pracujący na akord zarabiali znacznie więcej, bo niekiedy do 7 marek dziennie.

W Bawarji około tysiąca naszych wychodźców znajdowało zatrudnienie zwłaszcza w małych gospodarstwach, u chłopów. Warunki wynagrodzenia były tu mniej więcej identyczne, jak w Niemczech północnych, nie istniał jed-

nak przykry przymus legitymacyjny, nie obowiązywały inne wyjątkowe przepisy administracyjne (jak np. „Karenzzeit"), stosowane do obcopoddanych Polaków w Prusiec . Przedewszystkiem zaś traktowanie robotnika było tu lepsze i wyzysk mniejszy, na co wpływała także okoliczność, że między pracodawcą i robotnikiem nie było ekonoma ani też dozorcy „Aufscher'a". Najczęściej bowiem wyzysku na robotnikach dopuszczali się właśnie tego typu przełożeni, a skargi na ekonomów i dozorców były dość powszechnem zjawiskiem. Powodów do niezadowolenia nastręczały zazwyczaj wypłaty, dokonywane przez tych pośredników, przyczem, jak twierdzili wychodźcy, przy robotach akordowych morgi rosły na rozmiarach, a zmniejszały się w liczbie. Różnicę pomiędzy wynagrodzeniem tem, jakie wypłacał właściciel majątku, a tem które istotnie otrzymywali robotnicy, nielegalnie przywłaszczał sobie „Aufscher", który nadto zmuszał jeszcze nieraz wychodźców do bezpłatnej pracy w niedzielę na jego polu. Główny zysk atoli ciągnęli dozorcy z prowadzonych dla robotników kantyn, w których sprzedawali im chleb, cukier, mięso i t. d. oraz trunki alkoholiczne po cenach wyższych od przyjętych w zwykłyc sklepach. Robotnicy faktycznie musieli nieraz pod grozą rozmaitych szykan kupować wszystko w tych kantynach, dzieląc się w ten sposób swym zarobkiem z niesumiennym dozorcą. Nadto obchodzenie się dozorców z wychodźcami było niekiedy bardzo brutalne, dziewczęta zaś musiały im często ulegać, a w każdym razie rzadko kiedy brane były przez nich w obronę w razie zaczepek ze strony parobków, zaczepek, które ułatwiało nieodpowiednie urządzenie sypialni oraz „zebrania piwne", urządzane w kantynach.[1])

Wogóle traktowanie naszych wychodźców w północnych Niemczech, aczkolwiek pracowali oni tam znacznie

Porów.: „Das Auswandererproblem. Die dritte Konferenz für Auswandererwesen in Dresden über die ausländeschen Saisonarbeiter in Deutschland". Freiburg i Br., 1912, str. 19.

pilniej i dokładniej niż w swym kraju rodzinnym, pozostawiało ze strony pracodawców i ich zastępców niekiedy wiele do życzenia. Wypadki brutalnego znęcania się nie należały do rzadkości, a brak dostatecznej opieki konsularnej powodował u ofiar poczucie bezbronności. W razie konfliktów władze pruskie stawały z reguły po stronie pracodawcy, a nawet sądy koronne nie grzeszyły zbytkiem bezstronności. Dla ilustracji przytoczę z tysiąca przykładów jeden fakt, którego echo odbiło się na łamach naszej prasy: W r. 1912 w Halli nad Salą toczył się proces, który odsłonił okropną dolę polskich imigrantów, zatrudnionych w dobrach porucznika Wendenburga w Wormsleben. Nie on jednak zasiadał na ławie oskarżonych lecz redaktor dziennika w Halli, Kasparek, który ujął się za nieszczęsnymi robotnikami polskimi i niedolę ich opisał. Artykułem uczuł się Wendenbug dotknięty i wraz ze swymi dozorcami wytoczył redaktorowi proces. Z zeznań świadków wynikało, że wychodźcy stale otrzymywali żywność niedostateczną i w stanie zepsutym, że robotnice były gwałcone przez nadzorców, że porucznik przy lada sposobności smagał robotników harapem bez miłosierdzia, że za jego przykładem dozorcy bili ich nieraz do krwi kijem, widłami, pękami kluczów, jednem słowem, czem się dało, że kiedy raz jednej z robotnic pochwyciła maszyna rękę i inne dziewczęta nadbiegły jej z pomocą, dozorca odpędził je, bijąc kijem, i t. d. i t. d. Sąd przyznał, że oskarżonemu redaktorowi na podstawie powyższych zeznań zaprzysiężonych świadków udało się w zupełności przeprowadzić dowód prawdy, ale pomimo to, za użycie obelżywych wyrazów pod adresem porucznika skazał go na 500 marek grzywny i ponoszenie kosztów procesu. Porucznik Wendenburg miał pełną satysfakcję i ani włos nie spadł mu z głowy [1]).

---

[1]) „Wielkopolanin“ № 82 z dn. 11/IV 1912.

Podobnych przykładów możnaby, jak powiedziałem, przytoczyć bardzo wiele, aczkolwiek uogólnianie ich byłoby oczywiście przesadą. Trzeba też przyznać, że naogół stosunki mieszkaniowe i aprowizacyjne dla robotników oraz porządek administracyjny w gospodarstwach rolnych były w Niemczech o wiele lepsze niżeli u nas, w Polsce. Ta okoliczność, w związku z wyższemi płacami, z łatwością otrzymania zarobku, z agitacją werbunkową agentów, z długością sezonu roboczego, sprawiała, że pomimo podnoszonych od czasu do czasu przez prasę naszą haseł o konieczności bojkotu pruskich junkrów przez polskich robotników, nasz proletarjusz wiejski, mało uświadomiony narodowo szedł tłumnie każdego roku bogacić swą pracą tych, którzy spoglądali nań z pogardą i nienawiścią, a niekiedy, jak porucznik Wendenburg, smagali harapem.

Wychodźtwo do Danji.

ROZDZIAŁ XXIII.

Początki i rozwój wychodźtwa polskiego do Danji.—Statystyka.—Pośrednictwo pracy.—Zarobki wychodźców, ich mieszkania i odżywianie się.—Nadużycia pruskich dozorców.—Polscy przodownicy.—Opieka duszpasterska holenderskich księży.—Polacy w Kopenhadze.—Ustawodawstwo ochronne.

Niemcy stanowiły przed wojną głównego ale nie jedynego w Europie odbiorcę na pracę polskich robotników rolnych. Krajem, do którego nasi wychodźcy sezonowi najchętniej się garnęli ze względu na sprawiedliwe traktowanie, dobre zarobki i rzetelną opieką państwową była Danja, gdzie silnie rozwijający się przemysł cukrowniczy i idąca z nim w parze uprawa buraków, wytworzyły zapotrzebowanie na obce ręce robocze. Ruch wychodźczy do Danji rozpoczął się w r. 1893. Zainicjonowało go 400 robotników polskich z Galicji. Przybyszów wziął pod swą opiekę Duńczyk, ks. Edward Ortved (urodzony i wychowany jako protestant, później kapłan katolicki, a w ostatnich latach znów człowiek świecki); nauczył się on polskiego języka, z zebranych w Polsce składek wystawił dla wychodźców polskich kościół katolicki w miasteczku Ma-

ribo, na wyspie Lolland, gdzie również założył szkołę polską i schronisko dla poszukujących pracy robotników [1]).

W r. 1905 liczba sezonowych robotników polskich w Danji wynosiła około 5000, z czego 3000 pochodziło z zachodniej Galicji, a 1500 z Królestwa. Według ankiety, przeprowadzonej przez rząd duński w r. 1907, liczba cudzoziemskich robotników sezonowych, przebywających wówczas w Danji, wynosiła 6647 osób, z czego 5000 pracowało na wyspach, a reszta w Jutlandji. 6254, czyli 94% wszystkich robotników, zajętych było w rolnictwie, pozostali zaś w przedsiębiorstwach przemysłowych, głównie w cegielniach. Mężczyzn było 2164, czyli 32.78% ogółu cudzoziemskich robotników sezonowych, kobiet i dziewcząt — 4483, czyli 67.22%. Wychodźcy ci byli zatrudnieni w 771 gospodarstwach rolnych. Z tych zatrudniało:

353	gospodarstw	po	1— 4	robotników zagranicznych
195	„		5— 9	„
120	„		10—14	„
37	„		15—19	„
47	„		20—29	„
17	„	powyżej	30	„

Przeważnie więc zatrudniała cudzoziemskich robotników mała własność rolna.

Ankieta, przeprowadzona przez rząd duński w r. 1911 wykazała obecność w Danji już 10.320 robotników zagranicznych, wśród których było aż 10.101 Polaków, z czego 8.101 z Galicji, 1.828 z Kongresówki i 172 z zaboru prus-

---

[1]) „Gazeta Handlowo-Geograficzna", Rok 1902, str. 49 — Odwiedzając w r. 1912 wychodźców polskich w Maribo, widziałem ów kościół, w którym właśnie wygłaszał kazanie w niemiłosiernie łamanej polszczyźnie miejscowy pleban, Holender, natomiast szkoły i schroniska już nie było.

kiego. W przedsiębiorstwach rolniczych pracowało 9.175 imigrantów, w przemysłowych zaś tylko 605; mężczyzn było 2.128, czyli 20,6% ogółu przychodźców, kobiet 8.115 (78,7%) i dzieci 77 (0,7%). W roku 1913 urzędowa publikacja duńskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych szacowała ilość polskich robotników z Galicji i Królestwa na 12.000. Ks. Dr. Mytkowicz stwierdza, że według obliczeń ks. Misjonarzy z Krakowa, dokonanych podczas objazdów duszpasterskich, liczba Polaków, zatrudnianych w Danji, była w rzeczywistości znacznie większa i sięgała już cyfry conajmniej 18.000, z czego przypadało na:

Lolland i Falster	6.500
Zelandję	4.500
Fünen	2.500
Jutlandję i Bornholm . .	4.500
Razem	18.000[1])

Robotników polskich sprowadzano do Danji początkowo za pośrednictwem prywatnych agentów, przeważnie Niemców, później natomiast zajęła się tem również specjalna organizacja, założona przez duńskich rolników pod nazwą „Forening for Tilvejebringelse af Fremed Arbejdskraft for Landbruget i Danmark" („Związek dla sprowadzania obcych robotników rolnych") z siedzibą w Kopenhadze. Kierownik tej instytucji, Chr. Kongsted, jeździł zwykle sam, prowadził akcję werbunkową, przy której pomocni mu byli tak zw. „przodownicy" i „przodowniczki". Werbunek odbywał się na wczesną wiosnę (w marcu i kwietniu), bądź na terytorjum Galicji zachodniej, bądź też w zaborze pruskim w miejscowościach, położonych obok granicy Królestwa, przez które przepływała fala wychodźtwa sezonowego do

[1]) Ks. Dr. A. Mytkowicz: „Powołanie i rozwój emigracji sezonowej", str. 153—155.

Niemiec. Towarzystwu temu udało się zaledwie część ruchu imigracyjnego skoncentrować w swych rękach. W rzadkich wypadkach gospodarze duńscy werbowali robotników sami, dla siebie i swych najbliższych sąsiadów, częściej zaś trafiało się, że robotnicy najmowali się za pośrednictwem swych przodowników lub też bez żadnego pośrednictwa, odnawiając umowy z tymi pracodawcami, u których zatrudnieni byli poprzedniego sezonu. Zakładów państwowych pośrednictwa pracy imigrantom w Danji nie było, prywatnych zaś biur bardzo mało.

Większość polskich robotników (a ściśle mówiąc, robotnic), zatrudniona była przy uprawie buraków, inni przy hodowli bydła, wreszcie niektórzy w charakterze stałej służby folwarcznej. Wynagrodzenie, przy pracy na dniówkę, wynosiło dla silnych mężczyzn w wieku ponad lat 20 przeciętnie po 1 kor. 50 örów; silnym chłopakom, umiejącym pracować końmi, płacono po 1 kor. 35 örów, kobietom i słabszym chłopakom — po 1 kor. 15 örów; podczas żniw (przez 5 tygodni) silny mężczyzna pobierał po 2 kor. dziennie, silny chłopak po 1 k. 70 örów, kobiety zaś i chłopcy po 1 kor. 50 örów. Przeważnie jednak wychodźcy nasi w Danji pracowali na akord, pobierając przeciętnie następujące wynagrodzenie za mórg magdeburski (w walucie skandynawskiej):

a)	przy burakach cukrowych:	
	pierwsze przerywanie	3.56 k.
	drugie „	3.00 „
	trzecie „	2.75 „
	wykopanie, czyszczenie i nakrywanie liściem	9.00 „
b)	przy burakach pastewnych:	
	pierwsze przerywanie z okopywan. .	3.50 k.
	drugie „ „ .	3.00 „
	trzecie „ „ .	2.75 „

wyciąganie, czyszczenie i przykrycie liściem . . . . 5.00 „

c) przy kalarepie i rzepach ścierniskowych:

przerywanie i okopywanie jednorazowe . . . . 3.00 k.

wyciąganie, czyszczenie i przykrycie liściem . . . . 5.00 „

Jako ordynarję otrzymywali robotnicy wszystkich kategorji na osobę tylko 12 klg. ziemniaków i 7 litrów zbieranego mleka tygodniowo. Mieszkania, światła, opału i naczyń dostarczał pracodawca bezpłatnie. Dzień roboczy przy dniówce trwał z reguły od godz. 5-ej rano do godz. 7-ej wieczorem z przerwami: pół godziny na śniadanie, pół na podwieczorek i 1 godzinę na obiad. Czas, zużyty na drogę od miejsca pracy do mieszkania robotników i z powrotem, nie wliczał się do czasu, przeznaczonego na wypoczynek południowy. Za każdą nadliczbową godzinę pracy otrzymywali robotnicy dodatkowe wynagrodzenie, a mianowicie: mężczyzna i silny chłopiec po 18 örów, kobiety zaś i chłopcy po 14 örów za godzinę.

Dziewczęta polskie, zatrudniane na akord, zarabiały około 20 koron skand. tygodniowo i budziły u Duńczyków podziw dla swej mrówczej pracowitości. Sezon robót rolnych trwał zwykle 7 do 7 i pół miesiąca. Płaca robotnic, sprowadzanych z Polski na kontrakty roczne i używanych do służby w obozach, wynosiła 180 — 250 kor. skand., stosownie do uzdolnienia, wraz z całem utrzymaniem. Robotnice, sprowadzone do Danji po raz pierwszy, pobierały niższe wynagrodzenie, te zaś, które już tam były i nauczyły się dobrze doić, korzystały z płac wyższych. Naogół jednak Polki bardzo niechętnie godziły się na kontrakty całoroczne, zawsze—o ile to było możliwe—oddając pierwszeństwo umowom sezonowym, umożliwiającym powrót do

kraju przed końcem roku. Podaż ze strony naszych robotników i robotnic na zarobki w Danji zawsze prawie przewyższał istniejący na duńskim rynku pracy popyt na cudzoziemskich najmitów.

Wychodźcy z Galicji (głównie z powiatów limanewskiego, myślenickiego, brzeskiego i tarnobrzeskiego), oraz z Królestwa (z gub. kaliskiej, płockiej i piotrkowskiej), odbywali swą podróż do Danji przeważnie przez Poznań, Szczecin i Warnemünde, a następnie okrętem do Gedser, skąd rozwożono ich po wyspach duńskich. Koszta takie podróży z Oświęcimia do Kopenhagi wynosiły III/IV klasą 21 koron skand. na osobę.

Robotnice, które obawiały się podróży morzem lub udawały się do Jutlandji, odbywały całą podróż koleją (przez Szlezwig). Koszta podróży tam i z powrotem zawsze ponosił pracodawca.

Mieszkania wychodźców, zatrudnionych na wsi, były zazwyczaj pod każdym względem dobre, gdyż musiały być przystosowane do przepisów ustawy państwowej; natomiast odżywianie się bywało niekiedy zbyt skromne, mięso jedli bardzo rzadko, głównym artykułem żywności były ziemniaki z mlekiem. Obok małej ordynarji odgrywała tu rolę chęć oszczędzania, która w pewnych wypadkach musiała nawet odbijać się źle na siłach i zdrowiu robotników.

Odwiedzając podczas parokrotnych swych podróży wychodźców polskich w Danji, nigdy — z wyjątkiem jednego jedynego wypadku — nie słyszałem z ich ust skarg na pracodawców, natomiast bardzo często obijały mi się o uszy żale na pruskich „Aufseher'ów" (dozorców), agentów, którzy sami werbowali robotnice i młodocianych chłopców, a następnie, pełniąc przy robotach funkcje dozorców, oszukiwali emigrantki przy wypłatach, zmuszali je do robienia im upominków i t. d. Każdy z takich Prusaków miał zazwyczaj wśród tak zw. „przodownic" swe konfidentki (zwane przez nasze emigrantki „powiernicami"), które uży-

wał za narzędzie do agitacji werbunkowej, a następnie do rozmaitych nieczystych machinacji przy porachunkach. Typową formą wyzysku bywało nap., że taki „Aufseher” nabywał dla całej partji chleb, mąkę, kaszę, mięso i inne artykuły, które rozdawał robotnicom na kredyt, rachując im następnie wyższe od zapłaconych ceny i nadto oszukując na wadze. Niekiedy znów wydzierżawiał „Aufseher” od właściciela folwarku całą robotę przy burakach za umówioną zgóry cenę ryczałtową, robotnicom zaś wypłacał niższe wynagrodzenie akordowe, różnicę, jako zysk, chowając do swej kieszeni.

Nadużycia ze strony tych niepożądanych pośredników stwierdzało również sprawozdanie austro-węgierskiego konsulatu w Kopenhadze za rok 1910, a bardzo często piętnowało je P. T. E. w swych wydawnictwach.

Wpływ, jaki na duńskim rynku pracy, zdobyli sobie pruscy nadzorcy, wynikał, zdaje się, głównie z mniemania pracodawców, że za pośrednictwem ich bądź co bądź najtaniej najłatwiej mogą zaopatrzyć się w potrzebne siły robocze, z czem szło w parze dość rozpowszechnione wśród naszych robotnic z Królestwa przekonanie o skuteczności tego, aczkolwiek często kosztownego i niedogodnego ale przecie prowadzącego do celu, pośrednictwa.

Zależność młodych i niedoświadczonych robotnic polskich od pruskich agentów — dozorców zwiększała trudność bezpośredniego porozumiewania się z duńskimi pracodawcami, z których żaden nie rozumiał po polsku. Opieka konsularna nawet dla Polaków z Galicji przez długi czas faktycznie nie istniała, gdyż w Kopenhadze był tylko honorowy Konsulat austro-węgierski, w którym nikt ani słowa nie rozumiał po polsku i który nie miał ochoty zajmować się sprawami wychodźców. Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie poczyniło w r. 1910 przy poparciu prezydjum Koła Polskiego energiczne zabiegi u rządu wiedeńskiego o utworzenie w Kopenhadze Konsulatu zawodo-

wego z obsadą polską. Starania te o tyle odniosły skutek, że skład poselstwa austro-węgierskiego w Kopenhadze został odpowiednio uzupełniony.

Skoro wyżej była mowa o pruskich „Aufseher'ach", należy się dłuższa wzmianka polskim „przodownikom", którzy w życiu polskich wychodźców w Danji i Szwecji (a poniekąd i w Niemczech) odgrywali ważną i, w przeciwstawieniu do pruskich opiekunów, niekiedy pożyteczną rolę. W r. 1909 byłem na zjeździe takich przodowników w Kopenhadze, gdzie miałem sposobność część ich poznać osobiście i dowiedzieć się od nich wiele ciekawych szczegółów.

Przodownikami zostawali zwykle robotnicy, którzy oświatą, sprytem i inteligencją przewyższali swych towarzyszy, przebywali już przez szereg lat na robotach zagranicą, poduczyli się trochę obcych języków i jako „bywalcy" cieszyli się w swej wiosce rodzinnej większym wpływem. Wpływu tego używali częstokroć do werbowania robotników. Niektórzy ograniczali się do tworzenia małych partji, na czele których wyruszali w świat, inni znów werbowali na szeroką skalę dla rozmaitych biur pośrednictwa pracy i agencji, zawsze pobierając prowizję od tych, których byli dostawcami, nie rzadko zaś od tych także, którym pracę stręczyli. Na podobnem stręczycielstwie zarabiali niektórzy poważne kwoty. Słyszałem nap. o przodownicy, która potrafiła w celach zarobkowych organizować i wysyłać na obczyznę partje, złożone każda ze stu przeszło robotnic.

Oprócz zarobku na stręczycielstwie, z którego jednakowoż, jak wspomniałem wyżej, nie korzystali wszyscy przodownicy, pobierali oni osobną płacę od pracodawców za nadzór nad towarzyszami pracy, chociaż pozatem spełniali zwykłe czynności i z innymi robotnikami pracowali w jednym szeregu. Żony przodowników prowadziły zazwyczaj kuchnię dla robotników i robotnic i przy tej sposobności niektóre tuczyły nierogaciznę na odpadkach. Ta hodowla świń, prowadzona przez bardziej przedsiębiorczych przodo-

wników, dawała im wyborne rezultaty finansowe, przynosząc nieraz więcej, niż całoroczny zarobek z pracy w polu. To też coraz częściej zastrzegali sobie przodownicy przy układach z pracodawcami, by wolno im było karmić nierogaciznę i by na ten cel dawane im były potrzebne chlewki. Z drugiej strony coraz więcej ich zabierało do Danji swe żony, choćby te, ze względu na małe dzieci, nie mogły same pracować w polu. Nic dziwnego też, że między przodownikami spotykali się ludzie zamożni, których liczono nawet na dziesiątki tysięcy koron.

Stosunek przodowników polskich do zdanych na ich opiekę robotników i robotnic bywał najczęściej dobry, oparty na rzetelności i przyjaźni, chociaż w regule tej nie brakowało oczywiście dość licznych smutnych wyjątków. Przodownik, o ile nie był pospolitą „hyeną emigracyjną" i naganiaczem rozmaitych agencji werbunkowych, dobierał sobie robotników, których znał dobrze i których kwalifikacji moralnych i zawodowych był pewny.

Z drugiej strony i robotnicy oraz robotnice najchętniej garnęli się pod opiekę takich przodowników, którzy cieszyli się dobrą opinją i dawali rękojmię, że nie nadużyją zaufania. Podczas pobytu na obczyźnie rzetelny przodownik ujmował się, gdzie należy, za każdym członkiem swej drużyny, dbał o ich moralność, pomagał gdzie mógł i jak mógł. Czynił to poniekąd w interesie swej renomy tak wobec pracodawcy, jak wobec samych robotników, i w obawie, by po powrocie na zimę do rodzinnej wioski nie spotkał się tam ze skargami i narzekaniem, by wśród środowiska, z którego opinją się liczył, nie wytykano mu, że wprowadził innych w błąd i przez niedbalstwo lub niedołęstwo nie dopisał w roli opiekuna i przewódcy, której się podjął.

Przodownicy, jako robotnicy bardziej oświeceni, abonowali gazety ludowe i w wolnych od pracy chwilach od-

czytywali je swym towarzyszom, przyczyniając się w ten sposób do podniesienia ich oświaty.

Naogół tedy „przodowników“ polskich, o ile nie przemieniali się w spekulantów-stręczycieli i w agitatorów emigracyjnych, można było uważać za czynnik w naszym ruchu wychodźczym dodatni. Między przodownikami, wędrującymi każdego roku do Danji, kiełkowała przez pewien czas myśl stworzenia własnej organizacji, której zadaniem byłoby m. in. wyrugowanie z duńskiego rynku pracy pruskich „Aufseher'ów“ oraz dostarczanie duńskim gospodarstwom robotników polskich z pominięciem wszelkiego innego pośrednictwa. Projekt ten, parokrotnie wznawiany przez głównego inicjatora, przodownika Siemca z Galicji, nigdy nie dojrzał, być może dla tego, że zbyt wyraźnie kłócił się z tendencjami uparcie choć nieudolnie dążącego do monopolu w tej dziedzinie „Föreningen for Tilvejebringelsce af Arbejdskraft for Landbruget i Danmark“.

Jest rzeczą charakterystyczną, jak dalece sprawy wychodźcze były u nas obojętne nawet dla sfer kościelnych, że opieką duszpasterską nad polskimi wychodźcami w Danji trudnili się przez szereg lat prawie wyłącznie księża holenderscy. W tym celu uczyli się oni języka polskiego, który jednak — z wyjątkiem ks. Knappena w Roskilde, który władał nim jak rodowity Polak — podczas nauk kościelnych i w rozmowach towarzyskich kaleczyli niemiłosiernie. A przecież jednocześnie spotkać można było polskich misjonarzy w dalekich krajach zamorskich, gdzie Polaków nie było wcale!

Nie wszyscy wychodźcy wracali z końcem sezonu do kraju. Niektórzy z nich, zwłaszcza z Kongresówki, woleli zimować w Danji, o ile do Polski nie bardzo mieli do kogo powracać, a chcieli oszczędzić sobie koszta podróży i ominąć trudności, połączone niekiedy z wyrabianiem legitymacji podróżnych. Wobec faktu jednak, że znaleźć pracę w miesiącach zimowych było w Danji za-

daniem niełatwem, wychodźcy tacy spędzali ten czas na przymusowem próżniactwie w Kopenhadze. Tu wiele z nich (zwłaszcza pozbawione wszelkiej opieki dziewczęta) prowadziło się w sposób godny potępienia, przez rozpustę, pijaństwo i żebraninę, psując reputację Polakom u duńskiego społeczeństwa. — „Na dwa tysiące niemal Polaków w Kopenhadze — głosiła odezwa, wydana w kwietniu 1913 r. przez ks. St. Adamskiego, ks. Beiserta, ks. Kłosa i innych członków Poznańskiego Towarzystwa Opieki nad wychodźcami sezonowymi, z wezwaniem do składek na pomoc moralno-religijną dla wychodźców w Danji — małżeństwa, prawnie zawarte, na palcach policzyć można, reszta żyje na wiarę. Co gorsza, stosunki miłosne wywiązują się na prawo i na lewo, często się zdarza, że chłop rzuca kochankę z dwojga lub trojga dziećmi i zaczyna żyć z inną. Oprócz nałogu rozpusty w jaskrawy sposób zaznacza się nałóg pijaństwa, który spycha wychodźców naszych na dno odmętów miejskich, bo doprowadza do żebractwa. W przeciągu listopada i grudnia pieniądze, zarobione na wsi, ulatniają się, w styczniu więc rozpity z próżniactwa, zrodzonego z chwilowej niemożności znalezienia pracy, kochanek wypycha dziewczynę na ulicę. Pieniądze, użebrane we dnie, przepija się w nocy. Na każdej niemal z ruchliwych ulic Kopenhagi spotkać można często dziewczęta polskie z dziećmi na ręku, proszące u przechodniów jałmużny".

W r. 1913 miała Kopenhaga polskiego księdza i polską kapliczkę, ufundowaną głównie za pieniądze protestanckich pań duńskich. Nadto istniała tam polska szkółka, prowadzona bezinteresownie przez dwie czasowo przebywające w Kopenhadze polskie inteligentki, oraz mała czytelnia przy Bredgade 66.

Danji przypadł w udziale ten zaszczyt, że ze wszystkich państw na świecie, pierwsza i bez żadnego skądkolwiek nacisku, wydała specjalne ustawodawstwo ochronne dla cudzoziemskich robotników rolnych, zatrudnionych w jej granicach. Zasługę ma tu parlament duński, który 21 sierpnia 1908 r. uchwalił prawo, normujące pod względem socjalnym położenie zarobkujących w Danji zagranicznych robotników rolnych. Ustawa ta zwana popularnie „Polakloven". „ustawą o Polakach" (ponieważ cudzoziemskimi robotnikami rolnymi w Danji byli prawie wyłącznie Polacy), regulowała w następujący sposób warunki zatrudniania przez pracodawców rolnych najmitów obcokrajowych, o ile ći nie przebywali poprzednio w Danji przez 2 lata z rzędu bez przerwy.

Robotnicy mają otrzymywać podróż bezpłatnie tam, i z powrotem od i do granicy państwa, z którego pochodzą, leczenie w razie choroby, mieszkanie, oświetlenie, opał, wspólną kuchnię, łóżka z siennikiem i poduszką, napchana słomą, oraz po dwa koce wełniane. Sypialnie, położone w suchych i zdrowych budynkach w pobliżu dobrej do picia wody, muszą być rozdzielone według płci i bez przejścia, któreby je łączyło; małżeństwa otrzymują osobne sypialnie.

We wspólnych sypialniach łóżka nie mogą być ustawione jedno nad drugiem, lecz muszą stać obok siebie w przepisanej odległości. Dotrzymanie warunków kontraktu najmu przez robotników zabezpiecza kaucja, potrącona im w ciągu pierwszych dziesięciu tygodni w wysokości kosztów podróży i zwracana przy rozwiązaniu umowy z końcam sezonu. § 4 ustawy nakazuje zawieranie z robotnikami pisemnej umowy najpóźniej po upływie dwóch tygodni od dnia ich przyjazdu. Umowy te mają być spisywane w 2-ch egzemplarzach w języku duńskim i języku ojczystym robotnika, według norm, przepisanych przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i na formularzach, przez

Ministerstwo to wydanych. Jeden egzemplarz umowy zatrzymuje u siebie pracodawca, drugi doręcza robotnikowi, który poprzednio ma otrzymać możność dokładnego zaznajomienia się ze wszystkiemi jej warunkami. Każdy robotnik otrzymuje książeczkę obrachunkową; zapisywane są w niej w przepisanych terminach kwoty, które robotnik ten zarobił, oraz kwoty, które zostały mu wypłacone. Za dokładność tych notatek odpowiada pracodawca. Książeczki obrachunkowe, zredagowane w języku duńskim i języku ojczystym robotnika, wydaje drukiem i sprzedaje pracodawcom Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Robotnik ma prawo swą książeczkę obrachunkową przechowywać u siebie i zabrać ją z sobą przy odjeździe.

W razie choroby robotnika ma on otrzymywać od swego pracodawcy wszelką potrzebną opiekę, jak pomoc lekarską, lekarstwo i ewent. umieszczenie w szpitalu. Z wyjątkiem wypadków, gdzie robotnik wyłącznie z własnej winy przez nieostrożność nabawił się choroby, pracodawca ponosi wszystkie koszta jego leczenia przez okres 6 miesięcy (§ 8). Robotników ubezpiecza się nadto na koszt pracodawcy od wypadków, a ich mienie od pożaru. W razie sporu między pracodawcą a robotnikiem, najbliższy urzędnik policyjny ma zbadać przyczynę i starać się o usunięcie konfliktu w sposób polubowny. Koszta tłumacza ponosi pracodawca, w wypadku zaś, gdyby się okazało, że słuszność była po jego stronie, ponosi je państwo. Podczas rokowań, prowadzonych dla wyjaśnienia konfliktu, robotnicy mają prawo przebywać w swych mieszkaniach i mają otrzymywać umówioną ordynarję; wszakże, jeśli chcą, mogą po zameldowaniu o tem policji, iść szukać pracy gdzieindziej (§ 13). Za nielegalne skłanianie robotników za pomocą obietnic lub innych środków do porzucenia pracodawcy przed umówionym terminem przewidziana jest grzywna w wysokości 50—1000 koron (§ 15). Miejscowy policmajster oraz okręgowy lekarz mają obowiązek

śledzić, czy przez pracodawców przestrzegane są zarządzenia komisji sanitarnej. Nadto Minister Spraw Wewnętrznych może kreować stanowiska osobnych inspektorów dla nadzoru nad wykonaniem ustawy. Inspektorzy tacy oraz lekarze okręgowi mają wolny dostęp w każdym czasie do miejsc pracy i mieszkań robotników oraz prawo wglądu do pisemnych umów najmu i do książek obrachunkowych. Wreszcie nadmienić warto, że ustawą z dn. 18-go maja 1908 r. zaprowadzono przymusowe ubezpieczenie robotników rolnych, od wypadków, zaś w dn. 1-go kwietnia 1912 wydaną została nowa ustawa, obowiązująca z dniem 1-go stycznia 1913 r., która dotyczy zagranicznych robotników, zatrudnionych w rolnictwie, w lasach, ogrodach, cegielniach, torfiarniach, w kopalniach gliny i podobnych przedsiębiorstwach i stanowi wzorową opiekę prawną dla naszych wychodźców.

Powyższe ustawy świadczą najwymowniej z jaką życzliwością i sprawiedliwością traktowało społeczeństwo duńskie polskiego robotnika—przychodźcę, któremu dobrowolnie, bez żadnego skądkolwiek nacisku zabezpieczyło prawa ochronne lepsze od tych, z jakich korzystał on w swym kraju ojczystem. Kwitnący przemysł cukrowniczy w Danji powstał i rozwinął się dzięki pracy polskich imigrantów, a również dla postępów mleczarstwa praca ta świadczyła cenne przysługi. Nie ulega chyba wątpliwości, że wychodźtwo do Danji i po wojnie nie ustanie, niema jednak widoków—już choćby ze względu na mały obszar kraju—by tamtejszy rynek pracy mógł choć w przybliżeniu wykazać taką pojemność na polskie dłonie robocze jaką odznaczały się wrogie nam Prusy.

VIII. Wychodźtwo do Szwecji.

ROZDZIAŁ XXIV.

Liczba robotników polskich, zatrudnionych w Szwecji.—Ich repartycja.—Zarobki i warunki pracy.—Robotnicy zatrudnieni w przemyśle. — Nadużycia pruskich agentów i dozorców.

Wychodźcy polscy, zatrudnieni w sąsiadującej z Danją południowej Szwecji znajdowali tam warunki pracy pod wielu względami bardzo zbliżone do duńskich. Ruch wychodźczy w tamte strony rozpoczął się w nieco większych rozmiarach około r. 1905 przy pomocy pruskich agentów werbunkowych. Pochodząc przeważnie z Galicji, częściowo zaś z Królestwa, ruch ten kierował się głównie na Szczecin lub Sassmitz i Trelleborg i ogarniał robotników wiejskich, zatrudnianych tam bądź w gospodarstwach rolnych (zwłaszcza przy uprawie buraków cukrowych i przy oborach) bądź — w mniejszym znacznie stopniu — w przedsiębiorstwach przemysłowych, fabrycznych i kopalnianych.

W r. 1909 przebywało w Szwecji około 1000 wychodźców sezonowych z Galicji oraz przeszło 500 z Królestwa. W r. 1911 liczba ich miała razem wynosić około 1800 (z czego 1400 zarobkowało w rolnictwie a 400 w przemyśle) w r. 1913 zaś spadła podobno do tysiąca. Dokładnej statystyki urzędowej pod tym względem niema żadnej, obliczenia zaś, robione prywatnie, polegają na szacowaniu

aproksymatywnem i wykazują znaczne sprzeczności. Wśród wychodźców olbrzymią większość stanowiły kobiety i dziewczęta. Prawie wszyscy pracowali w prowincji Skane, bo tylko 10 — 12% ogólnej liczby przebywało w prowincjach Halland i Westergotland oraz na wyspie Gotland.[1])

Dla pracujących w gospodarstwach rolnych przyjęta była płaca dzienna lub (częściej) akordowa. Wynagrodzenie „na dniówkę" wynosiło przeciętnie: dla dorosłych mężczyzn po 1 kor. 60 örów (podczas żniw 2 kor.), dla ośmnastoletnich i dziewiętnastoletnich chłopaków 1 kor. 35 öre (podczas żniw 1 kor. 65 öre), dla młodszych chłopców, kobiet i dziewcząt 1 kor. 15 öre (względnie 1 kor. 35 öre). Pracując na akord, zarabiali robotnicy znacznie więcej. Nadto wszyscy otrzymywali bezpłatnie mieszkanie ze światłem i opałem oraz po 1 litrze zbieranego mleka na dzień i 12½ klg. ziemniaków na tydzień. Koszta podróży ponosili pracodawcy. Sezon robót rolnych rozpoczynał się około 1-go kwietnia i trwał mniejwięcej do 1-go listopada. Przy sprowadzaniu robotników pośredniczyli przeważnie przodownicy i agenci niemieccy, w mniejszych zaś rozmiarach Towarzystwo pracodawców rolnych prowincji rolniczych Skane i Malmö („Skanska Landtmanner Arbeitsgifvareförening"), instytucja ad hoc założona, której współpracownikiem był Polak, sekretarz miejscowego honorowego Konsulatu austro-węgierskiego, p. Leon Wache. W ostatnich latach pokaźna część wychodźców polskich przybywała do Szwecji bez żadnego pośrednictwa i na podstawie umów, zawartych poprzedniego roku z dawnymi pracodawcami.

Robotnicy nasi i robotnice naogół prowadzili się w Szwecji poprawnie, pracowali doskonale i cieszyli się wielkiem uznaniem u swych pracodawców, dla których wza-

[1]) Porów. „Praca", 1912, tr. 42, (sprawozdanie sekretarza Konsulatu austro-węgierskiego w Malsmö").

mian nie szczędzili pochwał. Pożycie ich z robotnikami szwedzkimi było z reguły bardzo zgodne. Mieszkanie mieli dobre, odżywiali się skromnie lecz dostatecznie.

Od świeżo przybyłych i dopiero przez pierwszy sezon pracujących w Szwecji, słyszałem gorzkie skargi na monotonję życia i brak wszelkich godziwych rozrywek, ci jednak, którzy czuli się tam bardziej zaklimatyzowani, przeciwnie chwalili sobie tę „Syberję“, jako kraj, w którym najłatwiej czynić oszczędności, do czego w znacznej mierze przyczynia się brak karczem. Oszczędności te wynosiły przeciętnie 200—250 koron skandynawskich rocznie. Niektórzy robotnicy rolni zawierali umowy roczne—jako służba folwarczna—i pozostawali w Szwecji przez zimę.

Stosunkowo znacznie gorzej powodziło się w Szwecji wychodźcom polskim, zatrudnionym w przemyśle (przeważnie w fabrykach jutu i glinki). Liche płace, złe traktowanie i niehygieniczne warunki pracy były powodem do licznych skarg z ich strony.

Prawdziwą plagą wychodźtwa polskiego do Szwecji było, tak jak w Danji, pośrednictwo pruskich agentów i dozorców.[1]) Agenci ci nieraz wyzyskiwali wychodźców już przy samym werbunku, pobierając od nich za swe pośrednictwo sowite opłaty, następnie zaś przy pełnieniu czynności dozorców oszukiwali ich przy wypłatach i obchodzili się z nimi brutalnie. Przy kontraktowaniu galicyjskich wychodźców do pracy pozarolnej praktykowany był w niektórych miejscowościach szkodliwy dla robotników system wydzierżawiania jednemu przedsiębiorcy robotniczej pracy. W ten sposób między właściwym pracodawcą a robotnikiem zjawiał się zbyteczny zupełnie pośrednik, którego łatwy zysk polegał na pobieraniu dla siebie części zarobków

---

[1]) Porów. „Polsko-Amerykański Kalendarz dla wychodźców na rok 1910” J. Okołowicza, Kraków, nakład P. T. E., str. 59. — i ks. A. Mytkowicz: „Powstanie i rozwój Emigracji sezonowej”, str. 158.

robotniczych. Tego rodzaju odnajmowanie robotników galicyjskich, ugodzonych przez siebie, uprawiali w Szwecji, według relacji konsularnych, dwaj żydzi galicyjscy, Lejba i Abracham Verständigowie.

Zapotrzebowanie na polskich robotników sezonowych w Szwecji, którzy tam byli prawie jedynymi robotnikami cudzoziemskimi, sprowadzanymi do pracy na roli, powstało na skutek rozwoju przemysłu cukrowniczego i uprawy buraków. Zapotrzebowanie to, którego rozmiary zależne były od konjunktur, jakie panowały w tej gałęzi przemysłu szwedzkiego, nigdy nie było znaczne, niema też widoków, by w przyszłości miało obracać się w większych liczbach, a to tembardziej, że Szwecja jest sama krajem emigracyjnym i do chwili wybuchu wojny posiadała u siebie ruch wychodźczy do Stanów Zjednoczonych.

IX. Wychodźtwo do Francji.

ROZDZIAŁ XXV.

Początki wychodźtwa do Francji.—Działalność galicyjskiego Wydziału Krajowego, Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego i agentów prywatnych. — „Opieka“ i „Polonja“ w Paryżu. — Przyczyny niepowodzeń.

Francja obok Belgji jest jedynym krajem, do którego polska emigracja rolnicza zainicjonowana została przez czynniki, powołane do kierowania ruchem wychodźczym. Motywy, które przyczyniły się do powstania tego wychodźtwa, były tak natury ekonomicznej, jak politycznej. W okresie wzmożonego prześladowania Polaków w zaborze pruskim przez pruski rząd i hakatystów, w społeczeństwie polskiem w Galicji wynurzała się myśl odwetu i niejednokrotnie padały hasła bojkotu pruskiego handlu i przemysłu. Jednym ze środków bojkotowych wydawało się również wychodźtwo sezonowe, gdyż zatrzymanie go lub skierowanie gdzieindziej oznaczałoby katastrofę dla północno-niemieckiego rolnictwa. Hasło jednak: „nie damy pruskim junkrom polskiego robotnika” okazało się — jak zresztą dowiodła tego wyczerpująca dyskusja, przeprowadzona w r. 1907—1908 na łamach „Polskiego Przeglądu Emigracyjne-

go"[1])—niestety pogróżką niewykonalną, gdyż, pomijając już okoliczność, że społeczeństwo polskie nie miało dostatecznego wpływu na kierunek ruchu wychodźczego i ogarnięte nim masy ludowe, pozostawała otwartą kwestja, gdzie i jak możnaby inaczej zatrudnić setki tysięcy robotników, które przecież nie z miłości dla pruskich junkrów podążały każdego roku pracować na pruskich zagonach. Echem przemyślań na ten temat była następująca interpelacja posła Jana Stapińskiego, wniesiona w galicyjskim Sejmie w dn. 28 września 1907 r.:

„Szykany a nawet nieludzkie prześladowania, na jakie narażeni bywają robotnicy polscy z Galicji w cesarstwie niemieckiem, nakazują nam rozejrzeć się za innem polem zarobku dla tych dziesiątek tysięcy polskich robotników sezonowych, którzy dotychczas w obrębie cesarstwa niemieckiego zarobkowali. Miejscem takiem mogłaby być Francja, gdzie około 50.000 robotników polskich mogłoby uzyskać pracę pod każdym względem lepszą niż ta, jaką mają w Niemczech. Robotnik rolny zarobi we Francji 400 do 500 franków gotówką, a oprócz tej płacy otrzyma pomieszkanie i utrzymanie zupełne. Tylko pranie bielizny i ubranie musi sobie robotnik sam opłacać!

„Zapytujemy Wydział Krajowy, czy zechce się tem zająć natychmiast, aby już w sezonie zarobkowym na rok 1908 skierować wychodźtwo zarobkowe do Francji".

Zanim na skutek powyższej interpelacji zdążył Wydział Krajowy przeprowadzić potrzebne badania stosunków robotniczych we Francji—co ze względu na obojętne w tej kwestji zachowanie się przedstawicielstwa austro-węgierskiego w Paryżu i władz rządowych francuskich szło bardzo opornie—z nastaniem wiosny 1908 r. odjechały już pierwsze transporty robotników galicyjskich do Francji. Spro-

---

[1]) Patrz „Przegląd Emigracyjny", Rok 1907, № 6 i Rok 1908, №№ 1, 5, 6, 7 i 8, artykuły na temat możliwości bojkotu Prus przez wychodźców polskich pióra Prof. Dr. Z. Pazdry, D-ra L. Caro, Prof, D-r K. W. Kumanieckiego, J. Okołowicza i innych.

wadzeniem ich zajęło się, przy pomocy jednego z posłów galicyjskich, który w celach zarobkowych przeprowadził werbunek, towarzystwo rolnicze w Nancy: „Société d'agriculture centrale de Meurthe-et-Moselle", które w tym celu utworzyło osobną komisję i weszło w porozumienie z kilku innemi pokrewnemi stowarzyszeniami rolniczemi.

Sprawa importu polskich rąk roboczych obudziła w kołach rolniczych francuskich naogół duże zainteresowanie. Rolnictwo francuskie cierpiało bowiem wiele z powodu stałego odpływu proletarjatu wiejskiego do miast,—zjawiska właściwego wszystkim krajom o silnie rozwijającym się przemyśle. Pomoc zagranicznych rąk roboczych stała się nieodzowną. Ostatni spis ludności w r. 1911 wykazał na 39.191.133 mieszkańców, 1.159.133 obcokrajowców, przebywających we Francji (624.250 mężczyzn i 535.442 kobiet), w tem 680.250 (59%) osób, które przybyły tam w celach zarobkowych. Wśród emigrantów liczono 261.611 Włochów, 161.448 Belgów (przeważnie Flamandczyków), 61.517 Niemców, 22.654 poddanych rosyjskich i 11.120 poddanych austrjackich. Zagranicznych robotników było 441.583, t. j. 317,292 mężczyzn i 124.291 kobiet. Sama północna Francja sprowadzała rocznie około 50.000 flamandzkich robotników do uprawy buraków. Przemysł górniczy i metalurgiczny pokrywał stale część swego zapotrzebowania siłami obcemi. W zagłębiu de Briey pracowało około 50 cudzoziemców, a „Comité des Forges de Meurthe-et-Moselle" utrzymywał osobne biuro emigracyjne z agencjami werbunkowemi w Szwajcarji, Włoszech i Hiszpanji[1]).

Robotnik cudzoziemski jednak, sprowadzony z Włoch, Hiszpanji i Belgji, okazywał się coraz bardziej niewystarczającym i imigracja jego nie odpowiadała popytowi,

[1]) Porów.: „Les Ouvriers étrangers en France", Association Française pour la Lutte contre le Chômage, Bulletin № 2, Paris, 30 Novembre 1917.

istniejącemu na francuskiem rynku pracy zwłaszcza w stosunku do robotników rolnych. Tym okolicznościom zawdzięczać należy, że w kołach rolniczych projekty posiłkowania się imigracją polską powitane zostały przychylnie, aczkolwiek tu i owdzie ze sceptycyzmem.

W lutym 1909 r. otworzył Wydział Krajowy swe biuro pośrednictwa pracy dla przychodźców polskich w Nancy; nie umiejąc jednak pokonać powstających trudności, z końcem maja tegoż roku przekazał je Polskiemu Towarzystwu Emigracyjnemu, które posiadało już swe ekspozytury w Paryżu i Soissons, zajęte propagandą na rzecz polskiego przychodźtwa sezonowego, do czego m. i. posłużyła szeroko rozrzucona broszura J. Okołowicza p. t. „La Société Polonaise d'Emigration, ce qu'elle est et qu'elle veut en France". W broszurze tej omówione były przyczyny, które rodzą w Polsce silny ruch wychodźczy, prześladowania, których doznają Polacy w zaborze pruskim, oraz korzyści, jakie rolnictwu francuskiemu przynieść może polska imigracja zarobkowa.

Niestety nadzieje, że Polskiemu Towarzystwu Emigracyjnemu uda się skoncentrować w swych rękach kierownictwo wychodźtwem do Francji, w zupełności zawiodły. Zwabione perspektywą wysokich zysków, zajęły się pośredniczeniem polskich robotników do Francji również rozmaite jawne i pokątne agencje, na widownię wysunęli się wnet rozmaici spekulanci krajowi i zagraniczni, działać rozpoczęły rozmaite firmy transportowe i pseudo — towarzystwa, ad hoc powołane do życia. Łatwowierność Francuzów i niedoświadczenie naszych wychodźców stały się wygodnem podłożem dla wszelkich eksperymentów spekulacyjnych, którym obojętność władz austrjackich i francuskich nie stawiała żadnych przeszkód. Jeśli Polskiemu Towarzystwu Emigracyjnemu, pomimo poparcia ze strony Wydziału Krajowego, trudno było uporać się ze współzawodnictwem galicyjskich przedsiębiorców emigracyjnych, to już jeszcze tru-

dniej przychodziła walka z machinacjami zagranicznych „importerów", którzy, jak nap. koncesjonowana żydowska agencja „La France" w Aubervilliers pod Paryżem, rozwinęła szczególnie energiczną działalność tego rodzaju, iż w krótkim czasie musiała ona zrazić równie dobrze francuskich pracodawców do dalszych prób ze sprowadzaniem polskich robotników, jak tych ostatnich do wędrówek po zarobek do Francji. Szkodliwa działalność tych agencji polegała nietylko na wprowadzanie chaosu do warunków najmu, na krzywdzeniu na rozmaite sposoby robotników, na pobieraniu nadmiernie wysokich prowizji i liczeniu pracodawcom bądź przesadzonych bądź nawet fikcyjnych kosztów werbunku i transportu, dalej—nie tylko na niedbałym pod względem płci, wieku i kwalifikacji doborze robotników i czynieniu obu stronom nieziszczalnych obietnic, ale przedewszystkiem na odmawianiu zatrudnionych już we Francji wychodźców w celu stręczenia ich coraz innym gospodarzom. W ten sposób narażeni byli na zawód i straty rolnicy, którzy ponieśli koszta transportu sprowadzonych z Galicji pracowników, wychodźca zaś polski, za namową agenta często zmieniając bez żadnych racjonalnych powodów pracodawcę, coraz bardziej tracił w jego oczach na opinji, jednocześnie zaś sam demoralizował się i uczył lekkomyślnego zrywania umowy lub bezczynnego wałęsania po obcym kraju. [1]) Pozatem wiele robotników porzucało swych wiej-

---

[1]) Referent Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w Paryżu, p. Numa Raflin, w sprawozdaniu swem, przedłożonem temuż Ministerstwu po przeprowadzeniu badań w sprawie imigracji polskich robotników rolnych do Francji, pisał między innemi:

„Ani jedna z agencji francuskich lub galicyjskich, funkcjonujących czy to we Francji, czy też w Galicji, nie zadawalniała rolników. Przedewszystkiem jednak agencje, zorganizowane we Francji przez prawdziwych stręczycieli, są przedmiotem największych skarg. Agencje te nie tylko pobierają — jak już o tem była mowa poprzednio — możliwie jak najwyższe kwoty jako swą prowizję i za koszta podróży, lecz nadto nie dają żadnej zgoła gwarancji ani pracodawcom, ani

skich pracodawców w mniemaniu, że tak olbrzymie miasto jak Paryż, umożliwi im znalezienie zarobków wyższych i łatwiejszych. Na bruku paryskim coraz częściej i coraz liczniej pojawiał się zabłąkany lub zbałamucony wychodźca sezonowy, który, zawiedziony w swych nadziejach i pozbawiony środków do życia, budził litość opowiadaniem o swych prawdziwych lub zmyślonych przejściach we Francji i domagał się opieki i pomocy ze strony miejscowej Polonji. Ten i ów z nich stawał się niebawem nałogowym „chodzikiem" i zupełnie wykolejał się życiowo. Dla opieki nad polskiemi wychodźcami w Paryżu powstało w maju 1910 r. osobne filantropijne biuro w Paryżu, założone i prowadzone przez hr. Zamoyską pod nazwą: „Société de protection de

---

też robotnikom. Zresztą pracodawcy obwiniają je, że w celu zwiększenia swych zysków zajmują się one odmawianiem tych samych robotników, których zapośredniczyły i którzy wskutek tego tracą potrącone im kaucje, jakie w myśl kontraktu byłyby im zwrócone przy końcu umówionego sezonu. Tego rodzaju agencja przy 70 robotnikach dokonywuje 700 zapośredniczeń w ciągu roku. W ten sposób temu samemu robotnikowi zmienia miejsce dziesięć razy w ciągu roku i dziesięć razy z rzędu pobiera z jego racji prowizje i koszta rzekomego transportu z Galicji! Można łatwo osądzić, jak wysokie przynosi to zyski agentom ze szkodą dla pracodawców i dla robotników, od których również pobierana była przy tej sposobności prowizja pod pozorem, że stręczy się im miejsca lepsze. Wymieniano mi robotników, którym z umówionej pensji 400 frs. potrącano 180 frs., i innych, którzy musieli podróż na miejsce pracy odbywać częściowo pieszo, gdyż nie została im wypłacona kwota, jaką na koszta podróży tej mieli otrzymać". — „Te rozmaite agencje dokonywują werbunku robotników przez ogłoszenia w dziennikach galicyjskich; mają one również swych dostawców w Galicji, którzy zbierają ich najczęściej w Krakowie i Oświęcimiu, w reszcie niektóre indywidua werbują potajemnie robotników polskich i we Francji i w Polsce, ciągle ich zamieniając". („Le placement et l' immigration des ouvriers agricoles polonais en France. — Rapport présenté à M. le Ministre du Travail et de la Prévoyance Sociale par M. Numa Raflin, enquêteur permanent à l'Office du Travail". Paris, 1911. Str. 10 i 25).

l'ouvrier polonais en France" (wśród Polonji paryskiej nosiło ono skróconą nazwę „Opieki").

Zdobycie francuskiego rynku pracy dla polskiego wychodźtwa okazało się także z innych względów zadaniem niesłychanie trudnem. Robotników polskich sprowadzała tam własność drobna. Pojedynczy gospodarze zamawiali po jednym robotniku, niekiedy po dwóch lub trzech, rzadko który potrzebował więcej. Niekiedy na całą okolicę sprowadzono jednego robotnika „na próbę", by, dopiero, skoro eksperyment się uda, zamówić więcej. Pod względem technicznym tedy prawidłowe pośrednictwo pracy było bardzo uciążliwe, wymagając nieraz zawilej korespondencji i pociągając za sobą szczególne trudności przy ekspedycji i transporcie robotników. Czynione przez Francuzów zamówienia próbne prowadziły nieraz do zupełnie fałszywych wniosków, gdyż o ile próba z jednym robotnikiem dla tych lub innych powodów nie wypadła pomyślnie, wyciągano stąd konkluzję, że robotników polskich sprowadzać wogóle niewarto. Trudności językowe były w początkach znacznie większe niż w Niemczech i prowadziły do częstych nieporozumień. Wydany nakładem P. T. E. specjalny słowniczek świadczył tak polskim imigrantom jak ich pracodawcom liczne przysługi, ale trudności tych oczywiście usunąć nie mógł. Miejscowe zwyczaje i sposób pracy były dla przybysza polskiego zupełnie nowe. Przerzucony w obce środowisko, sam jeden bez towarzystwa swych rodaków, bez możliwości wymiany z kimkolwiek myśli, na skutek nieznajomości języka francuskiego jakby głuchoniemy, polski robotnik rolny najczęściej czuł się fatalnie po przybyciu na miejsce pracy, spoglądał na wszystko z pewnem uprzedzeniem i, cierpiąc na nostalgję, myślał o tem, jakby ratować się ucieczką. Stąd, nawet bez namowy ze strony agentów, wielu wychodźców opuszczało swych nowych pracodawców zaraz w kilka dni po przyjeździe bez żadnych z pracodawcami tymi zatargów i ku wielkiemu ich zgorszeniu. Zresztą

do niezadowolenia dawali powód tu i owdzie sami Francuzi, nie stosując się do warunków, objętych kontraktem najmu, którzy traktowali jako czczą formalność. Zwłaszcza gwałcenie niedziel i świąt było często na porządku dziennym. Niektórzy francuscy farmerzy wychodzili bowiem z założenia, że skoro oni sami i ich służba francuska dla słusznych powodów pracują w dnie świąteczne na roli, nie mogą tolerować, by jednocześnie robotnik polski odpoczywał tylko dla tego, że mu tak nakazuje sentyment religijny i że mu na to pozwala brzmienie umowy. Mieszkania robotnicze, z reguły dobre u tych gospodarzy, którzy zatrudniali po jednym lub dwóch robotników, u większych farmerów przedstawiały się nieraz nadzwyczaj licho, powodując rozczarowanie i skargi ze strony robotników; były to czasem zwykłe szopy, niezabezpieczające przed deszczem i chłodem i pozbawione najniezbędniejszych sprzętów.

Tego rodzaju stosunki wymagały ciągłych interwencji ze strony P. T. E., do którego zwracali się to Francuzi ze skargami na zachowanie się ich polskich robotników, to znów odwrotnie—polscy wychodźcy z żalami na postępowanie ich pracodawców. Usuwanie nieporozumień wymagało olbrzymiej korespondencji oraz częstych rozjazdów urzędników Towarzystwa. Zorganizowane z inicjatywy i kosztem P. T. E. podróże duszpasterskie po Francji polskich księży, delegowanych z Galicji, miały między innymi na celu również badanie położenia poszczególnych robotników i wpływanie na poprawę ich bytu.

Racjonalne pośrednictwo pracy utrudniała jeszcze ta okoliczność, że francuscy rolnicy poszukiwali przeważnie robotników na kontrakty roczne, godząc ich na okres pełnych 12-tu miesięcy wtedy, gdy wśród polskich „obieżysasów" zakorzenił się już zwyczaj zawierania umów tylko na sezon 7—10 miesięcy i każdy z nich niechętnie witał propozycję pozostania na obczyźnie bez przerwy przez czas dłuższy. Jeszcze ważniejszą rolę odgrywał fakt, że

wtedy, gdy największa podaż rąk odczuwaną była w Polsce w lutym, marcu i kwietniu i w tym czasie odbywał się masowy ruch wychodźczy najmitów rolnych, rolnicy francuscy zgłaszali swe zamówienia przez cały rok, a więc także w miesiącach, kiedy najlepsi pod każdym względem robotnicy, o ile nie przyjęli pracy w kraju, wyruszyli już na zarobek na obczyznę.

Wreszcie nadmienić należy, że w początkach ruchu wychodźczego do Francji brały w nim udział przeważnie jednostki mniej solidne, lekkomyślnie poszukujące nowych wrażeń lub też łakome „lekkiego chleba”. Wieśniak jest z natury swej konserwatystą i w wędrówkach wychodźczych unika nowych niezbadanych ścieżek, stroni od krajów, o których nie słyszał jeszcze nic z ust swych sąsiadów i przyjaciół. Stąd też wynikało, że do pierwszych transportów robotniczych przyłączali się bądź osobnicy, usposobieni awanturniczo, bądź ludzie miejscy, nieprzyzwyczajeni wogóle do robót rolnych, bądź wreszcie robotnik „wybrakowany”, który nie mógł znaleźć pracy w Niemczech, Danji lub Czechach ze względu na swe usterki fizyczne lub niedołęstwo umysłowe; — w każdym razie nie był to na ogół materjał robotniczy pierwszorzędny.

Racjonalna organizacja wychodźtwa do Francji wymagała znacznych funduszów, zasoby zaś finansowe Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego były bardzo ograniczone; hamowało to całą akcję i skłoniło dyrekcję P. T. E. do przyjęcia w r. 1911 propozycji, które wyłoniły się z kolonji polskiej w Paryżu, gdzie świeżo powstała była osobna organizacja dla niesienia pomocy miejscowym robotnikom polskim pod nazwą „Koło Pomocy”.

W sprawozdaniu z działalności P. T. E. za rok 1911 czytamy:

„O ile biuro nasze w Nancy, chociaż przynosiło nam straty materjalne, funkcjonowało zresztą normalnie i zdobyło sobie bardzo korzystną renomę u okolicznych rol-

ników francuskich, o tyle znów nie udawało się nam dla braku środków finansowych rozwinięcie szerszej działalności w innych częściach Francji, a zwłaszcza w departamentach, sąsiadujących z Paryżem. Biuro P. T. E. w Paryżu, pozbawione odpowiedniego personelu urzędniczego i funduszów na podróże, zapomogi, niezbędną reklamę i t. d. prowadziło żywot anemiczny i nie mogło skutecznie konkurować z rozmaitymi pośrednikami pokątnymi, którzy w celach spekulacyjnych jęli sprowadzać robotników polskich do Francji, aby następnie albo frymarczyć nimi, stręcząc coraz to innym pracodawcom na coraz to gorszych warunkach, albo też pozostawiać ich na łasce losu. Dość, że importowany przez spekulantów takich polski robotnik wiejski, przebywając w okolicach Paryża lub na bruku paryskim, znajdował się nieraz w położeniu bez wyjścia, w nędzy i opuszczeniu. Wobec stosónkow tych było P. T. E. bezsilne, nie mając ani ludzi, ani środków na przeprowadzenie radykalnej ich sanacji. Zadania tego podjęło się grono inteligencji polskiej w Paryżu, skupiające się w „Kole Pomocy", młodem lecz ruchliwem stowarzyszeniu, na czele którego jako prezes stoi p. bar. Gustaw Taube. Obmyśleniem planu całej akcji zajął się pierwszy p. Dr. Karol Vacqueret, niestrudzony sekretarz „Koła Pomocy", a jego gorący zapał dla tej sprawy udzielił się niebawem wiceprezesowi „Koła", p. inż. Józefowi Lipkowskiemu".

„Po namyśle doszli inicjatorzy do przekonania, że dla powodzenia sprawy lepiej będzie, skoro dla opieki nad robotnikiem polskim we Francji powstanie osobna instytucja, dla której łatwiej uda się im zjednać poparcie ze strony rządu francuskiego; wobec władz francuskich bowiem P.T. E. uchodziłoby zawsze za instytucję zagraniczną. Za utworzeniem osobnej samoistnej instytucji przemawiały również inne względy, jak np. potrzeba pozyskania w celach opieki łatwiejszego przystępu także do tych robotników, jacy dostali się do Francji nie za pośrednictwem P. T. E., oraz

zmniejszenia agresywności tych niektórych pseudosyndykatów lub komitetów francuskich, które, upatrując w P.T. E. konkurencję, starały się zaszkodzić mu na opinji w oczach francuskich pracodawców.

„Na skutek otrzymanej propozycji i w przekonaniu, że nowa instytucja, zasługująca już choćby ze względu na skład swych członków-założycieli na zupełne zaufanie, rozporządzać będzie dostatecznymi funduszami i odpowiednim poparciem ze strony władz francuskich, aby rzecz całą odpowiednio do powziętych planów przeprowadzić, Rada Nadzorcza P. T. E. na posiedzeniu odbytem w dniu 21-go czerwca r. z. we Lwowie uchwaliła biura swe we Francji zwinąć i wyłączną reprezentację P. T. E. na Francję powierzyć tworzonej przez „Koło pomocy“ instytucji“.

W myśl zawartego z P. T. E. układu „Polonja“ (taką bowiem nazwę przybrała nowa instytucja) przyjęła na siebie zobowiązanie „otoczenia opieką przybywających na zarobki do Francji robotników polskich oraz pośrednictwo między pracodawcami francuskiemi a Polskiem Towarzystwem Emigracyjnem w Krakowie i Wydziałem Krajowym we Lwowie“. Ze swojej strony zobowiązało się P. T. E. zwinąć swe biura we Francji, agendy ich przelać na „Polonję” i, uważając ją za swą wyłączną reprezentację na Francję, nie przyjmować na własny rachunek żadnych nowych zamówień na robotników polskich we Francji inaczej, jak za pośrednictwem „Polonji“.

Nadzieje, pokładane w „Polonji“, najzupełniej zawiodły. Towarzystwo to, pomimo dobrych chęci swych członków, nie wyszło z dziedziny próbnych usiłowań, które nie zawsze były pomyślne. Nie mogąc pokonać napotykanych trudności, „Polonja“ rozwiązała się w r. 1912, nie pozostawiając po sobie żadnej zgoła spuścizny. Czas trwania umowy z „Polonją“ zaznaczył się znacznym zastojem w działalności P. T. E. w stosunku do wychodźtwa polskiego do Francji, które przybrało charakter wychodźtwa dzikiego,

odbywającego się samorzutnie lub też co gorsza, idącego na pasku rozmaitych pośredników spekulacyjnych.[1]) Wybuch wojny światowej zaskoczył P. T. E. w okresie nowych wysiłków, zmierzających do rozszerzenia francuskiego rynku pracy dla polskich wychodźców i unormowania kierującego się tam ruchu emigracyjnego,—wysiłków, czynionych w porozumieniu z „Syndicat central des agriculteurs de France" w Paryżu i innemi francuskiemi organizacjami rolniczemi.

ROZDZIAŁ XXVI.

Korzyści wychodźtwa robotników rolnych do Francji w porównaniu z emigracją sezonową do Niemiec. — Płace robotników rolnych. — Kontrakty najmu.

Za wychodźtwem robotników rolnych do Francji przemawiał cały szereg względów, które i na przyszłość nie utracą swego waloru. Przedewszystkiem każdy wychodźca polski, podążający zamiast do Prus do Francji, poprawiał położenie swych towarzyszy-rodaków, zmuszonych zarobkować w Niemczech, ponieważ zmniejszał podaż polskich rąk, roboczych na niemieckim rynku pracy. Jeśli trudno było się łudzić, by kompletny bojkot Prus przez polskich wychodźców był wykonalny, to natomiast wskazaniem racjonalnej polityki emigracyjnej było dążenie do uniezależnienia się od Prus, jako głównego dotychczas w Europie nabywcy polskiej siły roboczej, przez pozyskanie innych rynków zbytu na pracę naszych „obieżysasów", tych mianowicie, których kraj macierzysty w danych warunkach zatrudnić nie był w stanie. Uszczuplenie ruchu emigracyj-

[1]) Porównaj: „Czwarty rok działalności Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie", Kraków, 1913, str. 22—24.

nego do Niemiec musiałoby w miarę swych postępów wpływać dodatnio tak na zwyżkę płac sprowadzanych tam polskich wychodźców, jak również na łagodzenie rozmaitych wyjątkowych rozporządzeń do nich stosowanych, jak wreszcie na sposób traktowania robotników tych przez ich niemieckich pracodawców, do niedawna pewnych, że na miejsce każdego odprawionego lub zbiegłego polskiego kulisa, najbliższe biuro „Arbeiterzentrali" lub Izby Rolniczej dostarczyć potrafi odrazu odpowiedni „Ersatz".

Pomijając już fakt, że zarobki naszych robotników wiejskich we Francji były o wiele wyższe, niż w Niemczech, miał on tam również znacznie lepszy wikt i, odżywiając się doskonale, wracał do kraju z zapasem nowych sił fizycznych. Wtedy, gdy w Niemczech obieżysasi nasi otrzymywali wszędzie ordynarję i przy niewysokich zarobkach, utrudniających dokupowanie za gotówkę rozmaitych dodatkowych artykułów, musieli ograniczać się na wymierzonych im normach żywności, we Francji robotnicy nasi przeważnie jadali przy wspólnym stole ze swymi pracodawcami, przyczem Francuzi nie wymierzali im porcji i dawali „à discretion" to, co sami jedli. Tutaj więc miał robotnik nasz prawie codzień mięso, jadł chleba dowoli, spożywał mnóstwo jarzyn, jednem słowem odżywiał się, jak nigdy i nigdzie przedtem.

W Niemczech wychodźca polski pracował przeważnie w dużych majątkach, gdzie mógł wprawdzie przywyknąć do ładu i dyscypliny, gdzie jednak nie miał sposobności wykształcić sięjako rolnik pod względem zawodowym, gdyż przy istniejącym podziale pracy w wielkim mechanizmie gospodarczym był sam jednem tylko z drobnych kółek. Natomiast Francja stawała się dla niego prawdziwą szkołą praktyczną gospodarki rolnej: zatrudniony na małych farmach, nabywał wiadomości, które następnie mógł zastosować w kraju ojczystym na własnym kawałku ziemi, jeśli go posiadał; pra-

cując na roli, w ogrodzie, w stajni i oborze jednocześnie ze swym pracodawcą i pod jego bezpośredniem kierownictwem, wychodźca polski codzień uczył się pojmować, czemu jeden hektar ziemi przynosi we Francji więcej dochodu, niż w Polsce kilka lub nawet kilkanaście chłopskich morgów, przekonywał się naocznie, jak wielkie korzyści daje francuskiemu chłopu oświata, nabierał respektu dla zrzeszeń zawodowych i tych urządzeń, które dla popierania rozwoju ludowej oświaty i rozwoju włościańskiego rolnictwa wytworzyła bogata demokratyczna Francja. Z Niemiec przywoził często nasz obieżysas garść nauczonych jak papuga niemieckich frazesów i zielony kapelusz z piórkiem, z Francji powracał z pewnym dorobkiem kulturalnym i z nabytą przez bezpośrednie obcowanie ze swymi pracodawcami ogładę towarzyską. Wreszcie, jadąc do Prus, szedł wychodźca polski pracować na śmiertelnych wrogów swego narodu, szedł dorabiać naszych przeciwników politycznych i konkurentów gospodarczych, jednocześnie zaś narażał się na pogardę i nienawiść, okazywaną na każdym kroku polskości; duch, hakatyzmu czuwał nad tem, by, przebywając na obczyźnie nie mógł się zrzeszać i oświecać i spychał go do roli bydła roboczego. We Francji, jeśli z ust Francuzów słyszał coś o Polsce, z pewnością nie słyszał nic złego; jeśli z racji narodowości nie okazywano mu szczególnej sympatji, to nigdzie nie wytykano mu jej i nie wyśmiewano, nigdzie nie potrzebował się jej zapierać, a z polską gazetką lub z polskim śpiewnikiem ukrywać się jak z kontrabandą.[1])

---

[1]) Listy wychodźców polskich do Francji, ogłaszane przez „Polski Przegląd Emigracyjny" i „Pracę" stanowią cenny przyczynek do charakterystyki stosunków, panujących na tamtejszym rynku pracy. Poniżej, dla przykładu, przytaczamy list młodego robotnika, Piotra Szymczyka, zatrudnionego w dep. Côte d'Or:

„Donoszę Wam, że postanowiłem pozostać na miejscu przez 1 rok jeszcze, bo się nauczę lepiej po francusku mówić i zaoszczędzę

Place, pobierane przez polskich robotników rolnych we Francji, zależały od kontraktów najmu, na podstawie których byli werbowani i sprowadzani. Oprócz Wydziału Krajowego („Krajowego Biura Pośrednictwa Pracy“ we Lwowie) oraz P. T. E. w Krakowie, każdy prawie agent pośrednik zaprowadzał własne normy kontraktowe, a że pośredników tych była cała falanga, przeto w dziedzinie tej panował spory chaos, a to tembardziej, że we Francji płace robotnicze nie są jednakowe w całym kraju i że w miarę czynionych doświadczeń wynurzała się potrzeba wprowadzania rozmaitych zmian.

Naogół najlepiej zarabiali ci wychodźcy, którzy decydowali się pozostać u swego pracodawcy na rok następny. Francuski „cultivateur“ przy odnawianiu umowy godził się podwyższać takim robotnikom wynagrodzenie o 20% lub wyżej, nie potrzebował już bowiem opłacać kosztów werbunku i transportu z Polski, oszczędzał sobie prowizję, po-

sobie koszt podróży powrotnej. Wobec drożyzny, jaka tutaj panuje, zdołałem zaoszczędzić sobie 220 koron za ten rok, com już przesłużył, a w roku następującym zaoszczędzę może więcej, bo zeszłego roku zaopatrzyłem się na dwa lat w przyodziewek i obuwie i postanowiłem teraz bojkotować tytoń francuski, bo jest dla mnie za drogi.

„Z choroby już się tak dobrze wyleczyłem, że mogę już pracować. Pracodawca mój odznaczył się taką wspaniałomyślnością, że zapłacił mi za cały czas choroby t. j. 14 dni, dostarczył lekarstw i doktora przez cały czas pielęgnował mnie jak własnego syna. A więc, niech żyje Francja! To nie to, co Prusy, gdzie pracując przez 2 lata, zaoszędziłem zaledwie 50 koron. Oto zarobek na folwarkach pruskich! I gdyby człowiek chciał się tam tak odżywiać, jak tutaj, toby i zarobku nie starczyło. A nadto pracodawca nie zawoła na mnie: „Du, verfluchtes polnisches Schwein”, albo: „Du, dummer Hund”, a choć czasem powie „Nom de Dieu, parbleu”, to poto tylko, aby nie zagubić zwyczaju”. (Potem następuje prośba o gazety i książki). — Patrz „Polski Przegląd Emigracyjny” Rok 1911, № 4-ty. W tym samym roczniku drukowane były inne listy robotników polskich we Francji (№ 6, № 15, № 19).

bieraną przez pośredników, a nadto rad był, że ma pracownika, którego wartość już poznał i z którym może się już łatwo porozumiewać.

Robotnicy, świeżo z Polski sprowadzani, godzeni byli prawie wyłącznie na okresy roczne (t. j. na 12 miesięcy) i oprócz całego utrzymania i zwrotu kosztów podróży z Polski i z powrotem do kraju pobierali:

	mężczyźni do najcięższych robót gospodarskich i do kośby	400 do 550 Frank.
II.	mężczyźni do wszelkich prac gospodarskich	360 do 500 „
III.	młodzi parobcy od 18—20 lat, kobiety i dziewczęta	300 do 430 „
IV.	wyrostki do lżejszych prac .	260 do 390 „

Największe zapotrzebowanie istniało na robotników II-ej i III-ej kategorji. Przy pierwszych wypłatach potrącana była kaucja w wysokości 59—80 frs. (odpowiednio do wyłożonych kosztów podróży), zwracana w przypisanym umową końcowym terminie najmu. Robotników sprowadzano bądź via Wiedeń, Buchs i Bazyleję, bądź też—rzadziej—jechali oni przez Niemcy. Większym partjom towarzyszył zwykle konwojent na koszt pracodawców. Repartycja robotników dokonywana była zwykle w Nancy, w Paryżu, albo w Dijon, dokąd pracodawcy przybywali osobiście po odbiór zamówionych robotników, względnie skąd pojedyńczych robotników (albo w małych grupkach) ekspedjowano dalej do pracodawców, awizując tymże odjazd ich telegraficznie.

Kontrakt najmu, ułożony ostatnio przez P. T. E. w r. 1913 w porozumieniu z francuskiemi organizacjami rolniczemi, brzmiał dosłownie następująco:

§ 1. Pracodawca (imię i nazwisko, zawód, miejsce zamieszkania, ostatnia poczta, telegraf, stacja kolejowa, departament) zamawia:

1. .... bardzo silnych mężczyzn, zdolnych do najcięższych robót rolnych,
2. .... mężczyzn od 20 lat do wszelkich robót gospodarczych i do kośby,
3. .... chłopaków od 18 lat i mężczyzn nie umiejących kosić do różnych robót gospodarskich, kobiet i dziewcząt.
4. .... wyrostków do 18 lat do lżejszych robót.

.... razem

§ 2. Uwaga pracodawcy co do wymaganych kwalifikacji i rodzaju zajęcia zamówionych robotników: ....

§ 3. Podpisani robotnicy zobowiązują się u wymienionego w § 1 pracodawcy, począwszy od dnia .... do dnia .... wykonywać wszelkie w zakres gospodarstwa rolnego wchodzące prace starannie i sumiennie, narówni i w tym samym czasie, jak robotnicy miejscowi francuscy i belgijscy. W szczególności są zobowiązani pielęgnować bydło, orać, kosić, żąć, doić i powozić końmi.

§ 4. Dzienna praca, oraz odpoczynek trwa stosownie do miejscowych zwyczajów i obowiązujących w tym kierunku ustaw francuskich. W niedziele, Nowy Rok, Poniedziałek Wielkiejnocy, Wniebowstąpienie, Zielone Świątki (niedziela i poniedziałek) i Boże Narodzenie nie pracuje się we Francji, inne święta natomiast za zezwoleniem Ojca Świętego, przełożono na najbliższe niedziele. Robotnicy, zajęci przy bydle, muszą je naturalnie także w niedziele i święta napoić, nakarmić i wogóle obsłużyć. W czasie żniw, sianokosów i nagłej potrzeby są robotnicy obowiązani pracować także w dni świąteczne, uwalnia się jednak ich na sumę.

Praca trwa zazwyczaj latem od 5-tej rano do 7-mej wieczorem, zimą od 6-tej rano do 6-tej wieczorem, zaś podczas żniw od 4-ej rano do 8-ej wieczorem z przerwami pół godziny na śniadanie, półtory godziny na obiad i pół godziny na podwieczorek.

Robotnicy zajęci przy zaprzęgu i bydle, obowiązani są przychodzić do pracy tak wcześnie, aby je mogli nakarmić i oczyścić. W gospodarstwach gdzie przebywa 2 lub więcej robotników, wykonuje się pracę przy bydle na zmianę.

Za godziny dodatkowe, w których robotnicy na żądanie pracodawcy będą pracować, otrzymują:

1) mężczyźni . . . . po 30 ctm. za godzinę
2) kobiety . . . . ,, 20 ,, ,, ,,
3) wyrostki (od 15 do 18 lat) . . ,, 10 ,, ,, ,,

§ 5 Tylko rodziny i małżeństwa mogą wymagać osobnego mieszkania. Pracodawca dostarczy robotnikom suchego i zdrowego mieszkania. Robotnicy i robotnice nieżonaci (niezamężne) będą pomieszczeni w izbach, dla każdej płci oddzielnych. Robotnicy zajęci przy zaprzęgu, przy wołach, krowach, koniach śpią w stajniach, gdzie pracodawca wstawi dla każdego oddzielne łóżko, siennik i kołdrę. Nadto zobowiązuje się pracodawca wyznaczyć robotnikom wspólną izbę, w której będą mogli gotować, myć się, prać bieliznę i zmieniać ubrania.

a) Robotnicy otrzymują zupełne obfite pożywienie narówni z robotnikami francuskimi, codziennie z wyjątkiem piątków potrawy mięsne i conajmniej szklankę wina.

b) Zamiast pełnego pożywienia mogą robotnicy, zwłaszcza sezonowi, otrzymywać także deputat na osobę tygodniowo: 5 kg. chleba-$12^1/_2$ kg. ziemniaków, $^3/_4$ kg. świeżego mięsa, $1^1/_2$ kg. słoniny, $1^1/_2$ kg. ryżu, $^1/_2$ kg .mąki, 7 litrów mleka niezbieranego (wydawane po 1 litrze dziennie); $3^1/_2$ litra wina (po pół litra dziennie) albo 7 litrów jabłecznika (1 litr dzienie) i $^1/_4$ kg. soli. Wiktuałów tych nie wolno robotnikom sprzedawać lub zamieniać.

Żywność tę gotować będzie jedna z robotnic (względnie robotnik), ktora rozporządzać będzie w tym celu połową wolnego dnia (przedpołudniem), jeżeli liczba robotników nie przekroczy 15 osób. W razie. gdyby robotników było więcej, będzie kucharka wyłącznie gotowała i prała bieliznę dla robotników, za co otrzyma wynagrodzenie narówni z innemi robotnicami.

c) W wyjątkowych wypadkach mogą robotnicy zostać zgodzeni także bez utrzymania i deputatu, za które wypłaci im pracodawca, bez różnicy na wiek i płeć, miesięcznie po 45 franków na osobę.

Na jeden z tych trzech rodzajów utrzymania robotnika musi się jednakowoż pracodawca zgodzić już z góry, t. j. przy podpisywaniu kontraktu, a zmiana w tym kierunku może nastąpić tylko za wyraźną zgodą robotników.

Przy wypłacie na dniówkę, na którą będą godzeni wyłącznie robotnicy sezonowi (nie roczni), obowiązuje się pracodawca zatrudnić robotnika przez wszystkie dni powszednie w tygodniu. Natomiat za zajęcie w niedziele i święta do 8-mej godziny rano otrzyma robotnik polowę płacy dziennej, a za czas pracy do południa całą płacę dzienną.

c) Po porozumieniu się pracodawcy z robotnikami, mogą ci

przyjąć pracę na akord, za którą otrzymują wynagrodzenie, przyjęte w danej miejscowości, narówni z robotnikami francuskimi i belgijskimi.

A mianowicie:

1. za skoszenie morgu łąki . . . .
2. za skoszenie morgu koniczyny . . . .
3. wykopanie buraków etc. . . . .

....

....

....

Za dni, w których robotnicy pracują na akord, odpada naturalnie płaca dzienna, względnie miesięczna.

Pracodawca decyduje się już przy zamówieniu robotników na jeden z wymienionych warunków wypłaty, a celem uniknięcia nieporozumień przekreśli pozycje zbyteczne:

Podczas żniw otrzymają wszyscy robotnicy rolni przez sześć tygodni o 50 ctm. dziennie więcej.

§ 6. Koszta podróży z Krakowa na miejsce pracy ponosi pracodawca, który również robotnikom, dotrzymującym terminu niniejszej umowy, t. j. rocznym po upływie roku i sezonowym po upływie sezonu, wypłaci na podróż z powrotem do kraju po 50 franków na osobę gotówką, bez względu czy robotnik wraca do domu czy też nie.

Robotnicy nie dotrzymujący umowy, nie otrzymają żadnej kwoty na podróż z powrotem do kraju.

§ 7. W razie potrzeby otrzyma robotnik w Krakowie zaliczkę, którą pracodawca mu następnie strąca z pierwszej płacy i zwróci P. T. E.

§ 8. Prócz pobranych zaliczek nie będą robotnikowi żadne inne wydatki potrącane.

§ 9. Podpisani robotnicy zapewniają, że są zdrowi, w szczególności zaś robotnice, że nie są w ciąży.

§ 10. Robotnicy, którzyby otrzymali powołanie do służby lub ćwiczeń wojskowych, albo też wiedzieli, że wkrótce powołani zostaną, są obowiązani zawiadomić o tem kontraktującego ich urzędnika.

§ 11. Wszyscy robotnicy oddają przy zakontraktowaniu książkę robotniczą, służbową, albo świadectwo gminne, które z legitymacją francuską przechowa pracodawca aż do ukończenia stosunku służbowego.

§ 12. Za naturalne zużywanie się przy pracy narzędzi gospodarczych, lub ich przypadkowe uszkodzenie, nie odpowiadają robotnicy.

§ 13. Robotnik obowiązany jest stosować się dokładnie do zleceń pracodawcy lub jego zastępcy, w przeciwnym bowiem razie przysługuje pracodawcy prawo zerwania umowy, a mianowicie, gdyby robotnik:

1) nie był posłusznym mimo dwukrotnego upomnienia,
2) znieważył pracodawcę lub jego zastępcę,
3) gdyby powierzone mu zwierzęta dręczył,
4) gdyby niezamężna robotnica zaszła w ciążę.
5) gdyby się upijał.

§ 14. Robotnik ma prawo zerwania niniejszej umowy:

1) gdy pracodawca lub jego zastępca znieważy go, albo
2) gdyby warunków kontraktu nie dotrzymał,

natenczas winien robotnik zawiadomić o tem natychmiast Polskie Tow. Emigr. celem interwencji.

§ 15. Wrazie śmierci lub innego nieprzewidzianego a ważnego zdarzenia w rodzinie robotnika, któreby go zmuszało do powrotu do domu, obowiązany jest robotnik poprzeć swą prośbę o uwolnienie ze służby świadectwem P. T. E. w Krakowie, lub świadectwem naczelnika gminy i zawiadomić swego pracodawcę oraz P. T. E. o swym wyjeździe, o ile to jest możliwem, przynajmniej 8 dni naprzód.

§ 16. Chory robotnik pozostaje w pieczy pracodawcy przez 8 pierwszych dni, gdyby jednak choroba była zaraźliwa lub przeciągła się, natenczas pracodawca zawiadomi o tem P. T. E. i umieści chorego robotnika w szpitalu.

Pracodawca obowiązuje się ubezpieczyć na swój koszt robotnika od wypadku.

§ 17. Celem uniknięcia nieporozumień pod względem wypłaty, zwłaszcza gdy robotnicy żądają zaliczek na odzienie i t. p., zaprowadza P. T. E. książeczki, w których pracodawca wszelkie wypłaty i zaliczki w porządku jak po sobie następywały i dokładnie zapisywać jest obowiązany. Książka płacy pozostaje w przechowaniu robotnika.

§ 18. W razie nieporozumienia pracodawcy z robotnikiem roztrzyga je sędzia pokoju; obie jednak strony są obowiązane uwiadomić o tem poprzednio Polskie Towarzystwo Emigracyjne.

Płaca robocza miesięczna i dzienna (patrz stronica 323)

Najmowani na zasadzie powyższego kontraktu wychódźcy pobierali przy wynagrodzeniu miesięcznem (wraz z dodatkiem za czas żniw): robotnicy I kategorji—522 frs. rocznie, robotnicy II kategorji—450 frs. i robotnicy III kategorji—378 frs,, a nadto otrzymywali na koszta podróży po-

Stopień płacy	Otrzymują miesięcznie:	Płaca miesięczna			Płaca dzienna		
		W pierwszych 2-ch miesiącach	W następnych 9 miesiącach	W ostatnim miesiącu	W pierwszych 2-ch miesiącach	W następnych 9 miesiącach	W ostatnim miesiącu
		Franków					
1	Mężczyźni do najcięższych robót rolnych i wszelkiej pracy	17	42	92	0.75	1.75	3.75
2	Mężczyźni od 20 lat do wszelkich robót gospodarskich i kośby	11	36	86	0.50	1.50	3.50
3	Mężczyźni od 18 lat do lżejszych robót gospodarskich bez kośby oraz dziewczęta .	5	30	80	0.30	1.30	3.30
4	Wyrostki do 18 lat do robót lżejszych . .	5	25	65	0.10	1.10	3.10

wrotnej do kraju po 50 frs. (według norm, ułożonych w r. 1909 przez galicyjski Wydział Krajowy, wynagrodzenie robotników wynosiło: 500 frs., 450 frs. i 360 frs.) [1])

Przytoczony powyżej kontrakt najmu, ułożony na podstawie poczynionych już doświadczeń i obserwacji, zawierał w porównaniu z poprzednio przyjętymi, następujące trzy ważne inowacje: 1) potrącanie z pierwszych zarobków kaucji, zwracanej następnie przy końcu roku, zastępowała płaca, odpowiednio niższa przez pierwsze dwa miesiące i wyższa za ostatni miesiąc służby; miał to być środek przeciwdziałania nieuzasadnianemu zrywaniu umowy przez wychodźców przy jednoczesnem zaniechaniu kaucji, niezgodnej z duchem ustaw francuskich („Code du Travail § 51); 2) przewidziana została praca akordowa z wynagrodzeniem, przyjętem dla zatrudnionych w danej okolicy robotników francuskich i belgijskich; 3) na modłę, przyjętą w Danji, zaprowadzone zostały robotnicze książki wypłat. Nadto przez zastrzeżenia, poczynione w § 14, 16 i 18 ułatwiona została Polskiemu Towarzystwu Emigracyjnemu interwencja w razie choroby robotnika, lub konfliktu jego z pracodawcą.

ROZDZIAŁ XXVII.

Liczba Polaków, zatrudnionych w rolnictwie francuskiem. — Opinja o nich Francuzów.

Statystyki wychodźtwa polskiego do Francji niema. Według moich obliczeń, nie mających zresztą pretensji do

[1]) „Ces salaires — y compris les frais de voyage — correspondraient à ceux que recoivent le plus généralement les ouvriers français de mêmes catégories". (Le placement et l'immigration des ouvriers agricoles polonais en France. — Rapport présenté à M. le Ministre du Travail et de la Prévoyance sociale par M. Numa Raflin,

ścisłości, w r. 1913 pracowało we Francji na roli około 8.000 wychodźców polskich; w tej liczbie było około 1.500 osób z Królestwa (głównie z powiatów południowych), resztę zaś tworzyli Galicjanie. Wśród wychodźców tych kobiety tworzyły najwyżej 20%. Rząd francuski oceniał liczbę sezonowych robotników rolnych, przybyłych z Galicji w latach 1908—1910 na 10.000, (w tem 1.200 kobiet i 250 małżeństw), konsulaty austrjackie na 8.000 osób rocznie, przedłożenie rządowe austrjackiego projektu ustawy emigracyjnej z r. 1913—na 2.000 do 3.000 osób.

Najwięcej naszych robotników rolnych pracowało w departamencie Meurthe-et-Moselle, następnie w departamentach: Meuse, Vosges, Aisne Nièvre, Yonne, Haute Marne, Marne, Côte-d'Or, Aube, Eure, Oise. Somme i Ardennes. Nadto można ich było znaleźć rozproszonych w innych departamentach oraz w okolicach Paryża. Robotników ściśle sezonowych, sprowadzanych przeważnie w okolice Soisson i Laon do uprawy buraków, była garść niewielka. Znaczne stosunkowo koszta transportu utrudniały im konkurencję z robotnikami flamandzkimi. Z robotników rocznych, zatrudnionych w jednym roku, znaczna część pozostawała we Francji na rok następny, niekiedy u tych samych pracodawców. Języka francuskiego uczyli się naogół szybko. Współżycie ich z robotnikami francuskimi było, pomijając nieliczne wyjątki, zgodne, aczkolwiek rzadko kiedy dochodziło do bliższej komitywy. Do stowarzyszeń i związków francuskich nie zapisywali się prawie nigdzie, do kościoła chodzili dość regularnie, chociaż nie tak systematycznie, jak czyni to wieśniak u nas w kraju.[1])

---

enquêteur permanent à l'Office du Travail". Paris, Imprimerie Nationale, MDCCCXI, str. 15).

[1]) Charkterystycznym był fakt; że wtedy, gdy akcja P. T. E. na polu wychodźtwa do Francji była widziana niechętnie przez pe-

Zdania o wartości robotników polskich były we francuskich kołach rolniczych bardzo podzielone.

W cytowanem wyżej sprawozdaniu, opracowanem dla paryskiego Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej pisze Numa Raflin, na podstawie przeprowadzonej ankiety: „W pewnych okolicach rolnicy nasi byli zadowoleni ze swych polskich robotników, w innych (liczniejszych) wyrażali swe niezadowolenie, twierdząc, że robotnicy polscy są niezdolni, leniwi i nieufni. Jedni pracodawcy uważają ich za wstrzemięźliwych, inni za niewstrzemięźliwych. Co do jednego punktu wszyscy są zgodni, a to co do łatwości, z jaką polscy robotnicy zrywają umowy, najczęściej bez widocznego powodu. Pomiędzy przyczynami, powodującemi zrywanie kontraktów, należałoby wziąć pod rozwagę: nostalgję, rozczarowanie, jakie robotnicy ci odczuwają po przybyciu do Francji, gdzie spodziewali się zastać lepsze warunki od tych, jakie znajdują, dalej—zmianę zupełną ich zwyczajów i wreszcie nadewszystko pośrednictwo pokątnych agentów, którzy dla osiągnięcia zysków odciągają ich od jednego gospodarza, aby ich umieścić u innego. Zdaje się, że robotnicy polscy są naogół powolni, bierni, łagodni i nieufni. Okazują oni skłonność do obcowania wyłącznie między sobą i unikają stosunków z miejscową ludnością, która ich otacza. Są bardzo pobożni i prawie wszyscy mają na celu zaoszczędzenie kwoty dostatecznej, aby udać się do południowej Ameryki"[1]. „Mimo wszystko

wne koła klerykalne w Galicji w obawie, że pobyt we Francji wpłynie na wywołanie indyferentyzmu religijnego u naszych wychodźców („Głos Narodu"), w Królestwie zarzucano temuż P. T. E. że popiera ruch wychodźczy do Francji w tym celu, aby ratować bankrutujący tam klerykalizm („Kurjer Codzienny").

[1] Autor uogólnia tu kilkanaście zaszłych wypadków, gdzie wychodźcy polscy z poczynionemi we Francji oszczędnościami udali się do Parany na osadnictwo. Oczywiście były to wyjątki, naogół bowiem wychodźcy nasi z zaoszczędzonymi pieniędzmi wracali do Polski.

jednak, gdzie z robotnikami polskiemi obchodzono się łagodnie, przyzwyczajali się oni dość prędko do miejscowych stosunków, wyuczali się wkrótce języka francuskiego, nabywali umiejętności obchodzenia się z narzędziami i wdrażali się do systemów pracy, praktykowanych we Francji, a odmiennych od tych, jakie są przyjęte w ich kraju. Przyjęcie, jakiego doznają od ludności rozmaitych okolic, do których imigrują, jest dobre, albo conajmniej obojętne. Wreszcie wynagrodzenie, jakie im bywa przyznawane, jest wogóle takie same, jak robotników francuskich, którzy z tego powodu nie potrzebują obawiać się konkurencji."[1])

W innem miejscu swego sprawozdania Raflin pisze:

„Rolnicy francuscy nie wykazali dość cierpliwości wobec robotników, którzy, oderwani od swego kraju, potrzebują nieco czasu, aby przystosować się do nowych warunków bytu. Niektórzy pracodawcy uważają nawet, że mogą bezkarnie omijać pewne punkty kontraktu, szczególnie te, które dotyczą wypoczynku niedzielnego i świątecznego. Inni znów traktowali robotników polskich jak bydło robocze, źle ich żywiąc, nie dbając o warunki hygieniczne, umieszczając ich w lokalach nieodpowiednich i źle urządzonych. Wreszcie w niektórych gospodarstwach poniewierano robotnikami i znieważano ich, zamiast nimi kierować". „Robotnicy polscy bardzo rzadko odnawiają swe kontrakty. Liczba tych, którzy zrywają umowę przed terminem jej upływu dochodziła do 25% ogółu. W okolicy lotaryńskiej (dep. Meurthe-et-Moselle) pracodawcy poznali właściwości charakteru robotników polskich i wyrażają co do nich swe zadowolenie".

Oficjalne sprawozdanie referenta francuskiego Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej kończy się następującą konkluzją, na którą, ze swej strony, możemy i my pisać się w zupełności:

[1]) Sprawozdanie str. 24.

„Wobec aż nadto widocznego faktu, że Francji coraz bardziej brakuje rąk roboczych do pracy w rolnictwie, rolnicy zmuszeni są, by luki te uzupełnić, uciekać się do pomocy robotników cudzoziemskich. Imigracja polska z Galicji odpowiada więc tylko istniejącej oddawna potrzebie, którą teraz zwiększył jeszcze niedostateczny werbunek robotników belgijskich i włoskich. Imigracja ta jest więc najzupełniej usprawiedliwiona i nie może w najmniejszym stopniu wyrządzać szkody robotnikom krajowym. Pozatem, robotnicy galicyjscy, przynależąc do narodu, oddawna tradycyjnie sympatycznego dla Francji, mogą prędzej niż inni doznać tu serdecznego przyjęcia. Zdaje się zatem, że wszelkie wysiłki, jakie będą podjęte, aby imigrację tę zorganizować, rozwinąć i uczynić pożyteczną zgodnie z wzajemnymi interesami francuskich rolników i galicyjskich robotników, winny być popierane przez publiczne władze obydwóch narodów, gdyż służą one jednocześnie ogólnym interesom tych narodów".

ROZDZIAŁ XXVIII.

Polscy robotnicy w przemyśle francuskim. — Polacy w Pas-de-Calais, w Tucquenieux i w Longwy. — Ustawodawstwo ochronne.

Zupełnie niezależnie od wychodźtwa robotników rolnych do Francji powstała emigracja robotników przemysłowych. Znacznie słabsza liczebnie, miała ona swe główne źródło w okręgach kopalnianych Westfalji i Nadrenji i kierowała się przeważne do departamentów północnych Pas-de-Calais i du Nord do pracy w górnictwie. Tworzące się tam skupienia robotnicze polskie zdawały się uzasadniać szersze horoskopy na przyszłość, budząc silne zainteresowa-

nie tak w prasie francuskiej, jak zwłaszcza polskiej. Pomoc finansowa ze strony ks. Czartoryskiego w Paryżu umożliwiła osiadłym w tamtych stronach górnikom polskim zakładanie szkółek polskich dla dziatwy i zapewniła im opiekę duszpasterską. Wypadki wojenne doszczętnie rozbiły te drobne skupienia polskie, prawdopodobnie jednak—wbrew przesadnie entuzjastycznym opisom, z jakimi się spotkały, nie miały one w lokalnych stosunkach warunków do pomyślnego rozwoju i tak czy owak nie przybrałyby większych rozmiarów.

Powstanie polskiego wychodźtwa z Westfalji do Pas-de-Calais opisuje i przyczyny niezadowolenia osiadłych tam Polaków trafnie charakteryzuje następujący list, jaki redakcja „Polskiego Przeglądu Emigracyjnego" otrzymała od jednego z górników pochodzącego z Królestwa, który poprzednio przez dwanaście lat pracował w kopalniach polskich, rosyjskich i niemieckich, a od roku przebywał w Barlin, skąd zamierzał wyemigrować do Parany w celu osiedlenia się na roli: [1])

— „Do Barlin — pisze ów górnik — pierwsi Polacy przybyli w r. 1908. Trafili tu przypadkowo i byli to ludzie samotni. Pracę otrzymali przy kompanji Noex w numerze 7-ym lub 9-tym. Jednostki te pisały do swych kolegów w Westfalji, że robota tu ujdzie i zarobki jakie takie i zapraszają swych kolegów do przybycia. W ślad więc za pierwszymi przybyszami przyjechali niebawem inni robotnicy polscy. Kompanja, widząc, że Polaków przybywa coraz więcej, postanowiła ich sprowadzić masowo i rozpoczęła w tym kierunku agitację. A mianowicie wezwała niektórych naszych robotników, aby namawiali swych polskich towarzyszy do przyjazdu z Westfalji do Barlin. Jako nagrodę za prowadzenie tej agitacji kompanja przy-

[1]) „Polski Przegląd Emigracyjny", Rok 1912, str. 358 — „Praca", Rok 1912, str. 421.

rzekała robotnikom, którzy się jej podejmą, podwójny zarobek. Pan inżynier z 9-go numeru namówił też jednego naszego górnika, aby na koszt kompanji pojechał do Niemiec, do Westfalji, prowadzić agitację za przesiedlaniem się Polaków do Pas-de-Calais. Agitator ten korzystał z niezadowolenia naszych robotników w Westfalji, gdzie ich gnębią, a jednocześnie obiecywał złote góry w kopalniach kompanji Noex. Oprócz Polaków usiłowano tu sprowadzić Czechów, wiedząc, że są doświadczonymi górnikami. Obiecywano wszystkim, że mniej jak 8 franków dziennie nie zarobią. Górnik ów, nazwiskiem Nemet, wysłany dla agitacji do Westfalji, pobierał wynagrodzenie po 10 franków dziennie, więc mu wygodnie było jeździć z p. inżynierem. Przywiózł on kilkanaście rodzin do Barlin, które, wierząc w owe przyobiecywane ,,złote góry", przeniosły się tam zupełnie, zabierając z sobą wszystkie swe rzeczy i meble. Czekało ich jednak rozczarowanie, gdyż przy pierwszej zaraz wypłacie otrzymali po 6 franków, przy drugiej zaś po 5 fr. 80 do 6,20 fr. Widząc, że zostali zawiedzeni, robotnicy urządzili awanturę p. inżynierowi, żądając dotrzymania obietnic. Inżynier tłumaczył się, że praca ich jest za mało wydajną. Skutek był taki, że niektóry zaczęli odrazu powracać do Niemiec, tracąc całe swe mienie i skazując się na kupowanie po powrocie do Niemiec nowych mebli i biedowanie wskutek poniesionych wydatków. Przyczyną tych ucieczek, które wciąż trwają, jest także drożyzna artykułów żywnościowych, z którą kompanja Noex wcale się nie liczyła; górnikom naszym wypłacano tu nawet i po 12 franków dziennie, ale z warunkiem, że będą tutaj sprowadzali nanowo swych kolegów, tym zaś, którzy tego uczynić nie mogli lub nie chcieli, dawano po 5 franków.

,,Ja, pracując już od roku w kompanji Noex, pomimo że mam rodzinę składającą się z sześciu głów, nie zarabiam więcej jak po 5 frs. 80 cts., chociaż pracując już od

12 lat w kopalniach, znam dobrze roboty górnicze i posiadam świadectwa z kopalń polskich i rosyjskich.

„Trzeba też zaznaczyć, że kopalnie w Pas-de-Calais, jakkolwiek starają się sprowadzić jak najwięcej Polaków, nie traktują ich narówni z robotnikami francuskimi. Uwidacznia się to najbardziej przy nakładaniu kar. Jeśli Polak zawini lub przez nieostrożność zrobi jaką szkodę przy pracy, to czeka go zawsze za to bardzo surowa kara, wtedy gdy robotnikowi francuskiemu rzeczy takie uchodzą najczęściej bezkarnie.

„Agitując za przesiedlaniem się Polaków z Westfalji do Pas-de-Calais obiecywano im tutaj także polskiego księdza, polską szkołę i zupełną swobodę pod względem narodowym. Trzeba też przyznać, że pod tym względem oczekiwania się sprawdziły, nasze polskie towarzystwa — w tej liczbie „Sokół" — nie spotykają się tutaj z żadnem prześladowaniem, nikt nas tutaj nie upokarza z powodu, że jesteśmy Polakami i stosunki pod tym względem są przyjemne. Cóż z tego jednak, kiedy zarobki nie wystarczają na utrzymanie, a zwłaszcza górnicy, obarczeni większemi rodzinami, muszą cierpieć niedostatek. Na głód nawet wolność nie pomoże! Nic dziwnego tedy, że robotnicy nasi jedni powracają stąd do Westfalji, inni przenoszą się do Holandji lub Belgji, inni wreszcie wędrują za morze. W Barlin z liczby przeszło 1000 Polaków pozostała dzisiaj garść zaledwie, bo około 100. Te cyfry najlepiej chyba mówią o zadowoleniu Polaków, zatrudnionych w tutejszych kopalniach, ze swego położenia."

Sprawozdanie powyższe tworzyło jaskrawą sprzeczność z korespondencjami niektórych dzienników warszawskich, donoszących o dobrem pod każdym względem powodzeniu naszych górników w Pas-de-Calais. Przyczyna niezadowolenia tych wychodźców tkwiła, jak widzimy, przedewszystkiem w przesadnych obietnicach, jakiemi posiłkowali się płatni agitatorzy, namawiając ich do przenoszenia się z West-

falji do Pas-de-Calais. W ten sposób wywoływano niebawem rozczarowanie i niechęć u przybyszów, z których większość byłaby może i nawet zadowolona z nowego położenia, gdyby ją z góry dokładnie i sumiennie poinformowano tak o warunkach pracy i płacy, jak o cenach artykułów żywnościowych. Niezadowolonym bowiem bywa nie tylko ten, kto ma rzeczywiście za mało, ale także ten, kto wierzył, że otrzyma więcej.

Do skąpych — w porównaniu z westfalskiemi — zarobków naszych robotników w Pas-de-Calais prawdopodobnie niemało przyczyniał się nowy dla nich, bo nieco odmienny od niemieckiego sposób prowadzenia robót w kopalniach francuskich. Obniżał on zwłaszcza w początkach wydajność ich pracy, a że pracowali na akord, zarabiali więc mniej. Zdaje się, że kopalnie francuskie popełniały ten błąd, że nie zaprowadziły dla polskich robotników na początek odpowiedniej płacy„ na dniówkę"; jako wynagrodzenie minimalne, gwarantując jej podwyższenie dla tych robotników, u których wydajność pracy na to pozwalała.

Nielepiej powiodły się próby z górnikami, wysłanymi przez Polskie Towarzystwo Emigracyjne do kopalń żelaza w Tucquenieux (Meurthe-et-Moselle) w r. 1909. Pierwsza partja składała się ze 108 robotników, kilku polskich sztygarów i kucharek. Robotnicy pochodzili głównie ze Śląska Górnego i z zagłębia Dąbrowieckiego. Pomijając już okoliczność, że, jak okazało się niebawem, część ich wogóle nie miała zamiaru pracować we Francji i korzystała tylko z opłaconej podróży, by tanim kosztem dostać się do sąsiedniej Westfalji, dokąd niektórzy udali się natychmiast, kwalifikacje zawodowe większości — lubo przed wyjazdem z kraju badane przez zaangażowanych do tego sztygarów—nie odpowiadały wymaganiom, stawianym przez zarząd francuskiej kopalni, a znaczny odsetek jednostek awanturniczych, nadużywających alkoholu i dopuszczających się rozmaitych nadużyć, nadwyrężył reputację o kwa-

lifikacjach moralnych ogółu przybyszów. Okazało się przytem, że nawet pracowity i uzdolniony górnik polski zarabiał w początkach zbyt mało (około 6 franków dziennie po odliczeniu rozmaitych potrąceń), gdyż praca wynagradzana była na akord, a roboty, prowadzone w kopalniach żelaza, różniły się znacznie od sposobu ich wykonywania w kopalniach węgla kamiennego, w których dotychczas górnik ten pracował. Wydajność więc pracy jego była tu mniejszą niż robotnika francuskiego, powodując niższe zarobki i, co za tem idzie, niezadowolenie. Zrażona pierwszą niefortunną próbą, kopalnia w Tucquenieux przestała sprowadzać robotników polskich, przyjmując następnie tylko tych, którzy sami opłacali sobie koszta podróży, i nie żądając żadnych zaliczek, godzili się pracować na warunkach, przyjętych dla miejscowych robotników francuskich.

Przeszło 400 robotników polskich pracowało w r. 1913 w hutach stalowych towarzystwa Longwy w Mont St. Martin (dep. Meurthe-et-Moselle). Huty te zatrudniały 6000 robotników, przeważnie obcokrajowców: Włochów, Belgijczyków i Polaków, a Francuzi stanowili wśród ogółu ich najmniejszy odsetek. Polacy pochodzili tu przeważnie z Królestwa i Galicji i nie cieszyli się zbyt dobrą opinią, gdyż nie posiadali żadnej organizacji a zarobiony grosz przeważnie zostawiali w szynkowniach.

Spora garść polskich wychodźców—rzemieślników i robotników fabrycznych — pracowała w Paryżu i okolicy. Powodzenie ich było bardzo rozmaite tak, iż przed przypływem nowych imigrantów do Paryża przestrzegało usilnie polskie „Biuro pracy“ na rue de Seine 31, organizacja utworzona w r. 1911 przez przebywających w Paryżu polskich robotników i rzemieślników i subwencjonowana przez wspomniane wyżej inteligenckie „Koło Pomocy”.

Naogół nie przedstawiała Francja odpowiedniego terenu dla imigracji naszych robotników, poszukujących zarobków w zakładach przemysłowych. Z wyjątkiem przedsię-

biorstw górniczych, wykazujących stale podaż na obce ręce robocze, inne działy przemysłu zaspokajały swe potrzeby robotnikiem miejscowym, względnie włoskim i belgijskim lub też poszukiwały fachowców tego rodzaju, których nadmiaru u nas w kraju nie było. Ustawodawstwo ochronne — wogóle najzupełniej niedostateczne dla robotników rolnych — zawierało w myśl końcowego ustępu § 3 prawa z 9 kwietnia 1898 r. ograniczenia dla robotników zagranicznych, którzy o tyle tylko mogli korzystać w całej pełni z jego dobrodziejstw, o ile (jak nap. Włosi) państwa, skąd pochodzili, związane były z Francją odpowiednią konwencją, opartą na zasadzie wzajemności. Ani Austrja, ani Rosja konwencji takiej z Francją nie miały. W razie tedy nieszczęśliwego wypadku robotnik polski, jeśli wracał do ojczystego kraju, nie mógł pobierać renty dożywotniej, w razie zaś jego śmierci, nie mogła otrzymywać jej również jego rodzina, jeśli stale przybywała w Polsce. Niesprawiedliwość pod tym względem robotnik polski silnie odczuwał i nieraz na nią gorzko się uskarżał [1]).

---

[1]) Patrz: „O ochronę robotników polskich we Francji". — „Praca", Rok 1913, str. 509.

X. Wychodźtwo do Belgji i Szwajcarji.

ROZDZIAŁ XXIX.

Pierwsze zorganizowane wychodźtwo zarobkowe do Belgji.—Zarobki i prowadzenie się przybyszów.— Opiekuńcza działalność Tow. im. Lelewela w Brukseli.

Emigracja zarobkowa do Belgji zapoczątkowana została (pomijając wychodźtwo jednostkowe) w r. 1911 przez Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie, które, dążąc do rozszerzenia rynków zbytu na pracę naszych „obieżysasów", wystarało się tam o zajęcie dla 127 niekwalifikowanych młodych robotników w kopalniach węgla. Pierwszą partję wychodźców zatrudniły kopalnie w Ressaix i Mariemont. Jako tak zw. „wózkarze" otrzymywali oni za dziewięciogodzinną dzienną szychtę (nocnej nie było wogóle) po 4 frs. 75 cts. starsi i po 4 frs. 30 cts. młodsi; tym, którzy tego chcieli, dostarczał zarząd kopalni mieszkanie i pełny wikt po cenie 1 frs. 50 cts. dziennie, tak iż z dziennego zarobku pozostawało robotnikowi 3 frs. 25 cts., względnie 2 frs. 80 cts. Mieszkanie mieli czyste i wygodne, a wikt obfity z dużą porcją mięsa codzień i z piwem. Następne partje wychodźców, wysłanych przez P. T. E., przyjęte zostały przez kopalnie w Peronnes i Morlanwetz.

Belgja jest sama, jak wiadomo, krajem emigracyjnym, który dla nadmiaru swej nadzwyczaj gęstej ludności zmu-

szony jest poszukiwać pracy za granicą. Jednakowoż i tam w przemyśle górniczym odczuwano silny brak robotników pewnej kategorji do zajęć, których nie chcieli na stale podejmować ci sami Flamandczycy, którzy, aby uzupełnić dochody ze swych małych gospodarstw rolnych, wędrowali każdego roku w wielotysięcznych zastępach do robót przy uprawie buraków w sąsiedniej Francji. Robót, do których najęci zostali wychodźcy polscy, robotnicy miejscowi podejmowali się bardzo niechętnie, gdyż, były one, jako niewymagające żadnych zgoła zawodowych kwalifikacji, z natury rzeczy gorzej płatne, nie pozwalały zaś, jak roboty sezonowe rolne, na przerwy, umożliwiające przez część roku pracę na własnym zagonie.

Przybysze polscy doznali w Belgji życzliwego przyjęcia tak ze strony zarządu kopalń, który nadzwyczaj skrupulatnie wywiązywał się ze wszystkich przyjętych wobec nich zobowiązań i przychylnie uwzględniał, w miarę możności, podnoszone życzenia, jak ze strony okolicznej ludności i miejscowych robotników, którzy nie spoglądali na nich zawistnem okiem i ułatwiali korzystanie ze swych zakładów związkowych i kooperatyw. Niestety część polskich przybyszów nadużywała alkoholu i, wyprawiając po pijanemu przeróżne awantury, nieprzychylnie usposabiała dla imigracji polskiej, miejscową opinję, zgorszoną tymi niezrozumiałymi dla niej ekscesami.

Opiekę nad polskiemi wychodźcami, przeważnie młodzieńcami w wieku 18—20 lat, pochodzącymi z Galicji roztoczyło bardzo gorliwie zawiązane ad hoc koło młodzieży akademickiej, zjednoczonej w Towarzystwie imienia Lelewela w Brukseli. Działając w ścisłem porozumieniu z P. T. E. i korzystając z jego finansowego poparcia Koło to, (w skład którego wchodzili m. i. znany literat Marjan Dąbrowski, powieściopisarz Juljan Kaden-Bandrowski, i poległy na froncie oficer Legjonów ś. p. Medyński) prowadziło wśród polskich wychodźców robotę oświatową, dostarczało

im pism i książek polskich urządzało wykłady i pogawędki naukowe, interwenjowało na ich korzyść u władz i w administracji kopalń i starało się podnosić ich moralnie i kulturalnie. Pozatem pracowała spora garść robotników polskich również w innych kopalniach belgijskich.

Dalszy rozwój tej emigracji, z natury rzeczy nieobliczonej na większe zastępy, zapowiadał się pomyślnie, aczkolwiek Belgowie więcej byli zadowoleni z fizycznej wytrzymałości naszych robotników i ich zwinności przy pracy, niż z ich zachowania się poza kopalnią. Szykany władz austrjackich, czynione w latach przedwojennych wszystkim wychodźcom w wieku popisowym, emigrację tę ogromnie utrudniały.

ROZDZIAŁ XXX.

Pierwsi „obieżysasi" w Szwajcarji.— Liczba robotników polskich w Szwajcarji przed wojną.—Rola agentów.—Kwestja paszportowa. Warunki pracy i płacy wychodźców.—Ich rozmieszczenie.—Niechęć Szwajcarów do imigrantów polskich. — Studenckie kółka opieki

W Szwajcarji powtarzało się to samo zjawisko co i w innych krajach o silnie rozwijającym się przemyśle: na skutek przechodzenia ludności wiejskiej ze wsi do miast, z pracy na roli do przemysłu, okazywał się coraz większy brak rąk roboczych w gospodarstwach rolnych, które oglądać się musiały za obcą pomocą. To dało i w Szwajcarji początek sprowadzania polskich robotników do gospodarstw rolnych, w ślad za czem i pewne gałęzie przemysłu szwajcarskiego, starając się o tańsze siły robocze do czynności, niewymagających rutyny zawodowej, jęły sprowadzać polskich imigrantów do swych zakładów fabrycznych.

Pierwsi „obieżysasi" polscy przybyli do Szwajcarji w r. 1904: cukrownia w Aarbergu sprowadziła wtedy 30 robot-

nic polskich do robót przy uprawie buraków, a gdy pierwsza próba wypadła pomyślnie, już w roku następnym sprowadzono do tej samej cukrowni i do innych przeszło 100 robotników sezonowych z Polski. Liczba wychodźców polskich w Szwajcarji rosła odtąd z roku na rok i przed wybuchem wojny światowej przekroczyła już 2.000.

Sprowadzanie robotników odbywało się zazwyczaj przy pomocy agentów, którzy najczęściej dopuszczali się na wychodźcach wyzysku. Głównym takim agentem był niejaki Hans Marti w Kallnach, w kantonie berneńskim, który miał „dostawcę'' w osobie żyda karczmarza we wsi Bożanowice pod Pruskimi Herbami. Ten ostatni dla pozyskania klienteli opowiadał wieśniakom niestworzone rzeczy o Szwajcarji i namawiał do podpisywania kontraktów, wypisanych wyłącznie w języku niemieckim, których wychodźcy nie rozumieli, wskutek czego po przybyciu na miejsce pracy skazani byli na gorzkie rozczarowanie. Kontrakty najmu zredagowane bowiem były w ten sposób, że na robotników nakładały ciężkie rygory, podczas gdy pracodawców nie zobowiązywały do niczego. Agenci tego typu co Hans Marti i jego pomocnik umyślnie przemilczali przy werbunku wychodźców, że w kantonach, do których mają się udać, władze szwajcarskie wymagają legitymowania się paszportem, wystawionym na wyjazd zagranicę, wyjątek czyniąc dla tych tylko cudzoziemskich robotników, którzy wykazać się mogą odpowiedniem poręczeniem miejscowych obywateli. Brak wymaganych paszportów uzależniał w wysokim stopniu robotników od pracodawcy u którego przyjmowali zajęcie. Ten ostatni ręczył bowiem wobec władz za swoich najmitów, ktorzyby w przeciwnym wypadku, jako pozbawieni przepisanych legitymacji, musieli odrazu opuścić granice państwa. Otóż nieraz się zdarzało, że pracodawca z błahych przyczyn cofał swe poręczenie (nap. gdy najpilniejsze roboty już się skończyły), a wtedy robotnika, pozbawionego tej poręki i papierów legitymacyjnych,

władze wydalały, co pociągało za sobą utratę potrąconej kaucji oraz kwoty, należnej w myśl umowy na drogę powrotną.

Pośrednictwem pracy dla wychodźców, udających się do Szwajcarji, zajmowali się czasem także przodownicy, udający się tam na czele małych grup (tak zw. „kontraktowi”), wybrani do tego przez pracodawców z grona starszych i rozumniejszych robotników, zatrudnionych w Szwajcarji przez poprzedni sezon. Również Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie nawiązało stosunki ze Szwajcarją i zaczęło wysyłać tam robotników galicyjskich.[1])

Niektórzy robotnicy przybywali do Szwajcarji bez żadnego pośrednictwa, udając się do okolic, znanych już z dawnych wędrówek w te strony.

Olbrzymia większość wychodźców pochodziła z Kongresówki, a mianowicie z gub. kaliskiej, piotrkowskiej, radomskiej i kieleckiej, pozostała część z Galicji, jednostki z zaboru pruskiego. Przeważnie sprowadzano ich do robót rolnych, w mniejszej zaś liczbie do pracy w przemyśle. Pierwszych używano najwięcej przy uprawie buraków i ziemniaków, drugich zaś zatrudniano głównie w cegielniach, a dziewczęta w fabrykach tkackich.

Warunki pracy i płacy były bardzo rozmaite zależnie od tego, gdzie, kiedy i u kogo wychodźca pracował i za czyjem pośrednictwem zajęcie swe otrzymał. W pierwszych latach ruchu wychodźczego płace naszych robotników rolnych wachały się pomiędzy fr. 1.60 i fr. 2.75 dziennie, nadto otrzymywali robotnicy po 12½ klg. ziemniaków, trochę mąki i ryżu oraz 3½ niezbieranego lub 7 litrów zbieranego mleka na tydzień; koszta podróży tam i z po-

---

[1]) W r. 1912 wysłało P. T. E. do Szwajcarii 266 robotników, w pierwszych zaś czterech miesiącach 1913 r. zapośredniczyło tam pracę 226 wychodźcom (porów. „Czwarty Rok działalności Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie”, str. 16 i 25).

wrotem ponosił pracodawca; na kaucję potrącano z płacy w przeciągu pierwszych 10 tygodni 50 franków; dzień roboczy trwał przeciętnie 11 godzin z przerwami na obiad, śniadanie i podwieczorek; sezon rozpoczynał się w połowie marca i trwał zazwyczaj do połowy listopada.

Również traktowanie robotników ze strony pracodawców i dozorców było rozmaite, niekiedy brutalne na sposób pruski, w innych znów wypadkach wyrozumiałe i życzliwe. Naogół skargi, podnoszone przez wychodźców, często obijały się o uszy. O złem, rzekomo nawet nieludzkiem obchodzeniu się z polskimi wychodźcami wspomina też J. Lorenz, socjalista szwajcarski, w swej rozprawie, poświęconej polskiej imigracji.[1]) Również i stosunek miejscowej ludności i szwajcarskich robotników do polskich przybyszów nie odznaczał się sympatją i życzliwością. Ze strony proletarjatu szwajcarskiego podnoszono niejednokrotnie obawy, którym wyraz dawała także i prasa szwajcarska, że imigracja polska może przyczynić się do obniżenia skali zarobków.

O rozmieszczenie wychodźców polskich w Szwajcarji dają nieco informacji artykuły D-ra Mieczysława Dukszty, ogłoszone w warszawskim „Wychodźcy polskim" (1912, № 12) i krakowskiej „Pracy" (r. 1912, str. 366). Czytamy tam w tej sprawie, co następuje:

„Głównem siedliskiem wychodźców polskich jest Witzwill, majątek państwowy w kantonie berneńskim. Pracuje tu kilkadziesiąt kobiet, dziewczyn i mężczyzn (z Królestwa) przy uprawie buraków cukrowych. Kobiety pobierają dziennie 1 fr. 60 cts., mężczyźni po 2 fr. dziennie, a na akord po 5 fr. Pracują od 4 rano do 9 wieczorem. Oprócz płacy dziennej, dostają mleko, ziemniaki i kawę. Mieszkanie mają dobre. Jest to zazwyczaj dom piętrowy, oświe-

[1]) J. Lorenz: „Polnische Auswanderer in der Schweiz", Zürich, 1910.

tlony elektrycznością; zawiera kuchnię i mieszkania oddzielne dla kobiet, a oddzielne dla mężczyzn. Każdy ma łóżko i siennik. Sezon robotniczy zaczyna się tu w połowie marca i kończy w połowie listopada.

W innych kolonjach, jak n. p. Dompierre, Freschels, Bürren, Grenhen, Münchemir pracują małe grupki kobiet i mężczyzn, przeważnie z Królestwa, jednostki tylko z Galicji i Poznańskiego. Warunki lud nasz roboczy ma tu bardzo ciężkie. Pracują od 5 rano do 11 w nocy i marnie są żywieni.

W pobliżu Szafuzy, w Thaynyen, w cegielni akcyjnej pracuje około 60 mężczyzn, kilkunastu z Poznańskiego, reszta z Galicji i Królestwa.

W Allschwill, pod Bazyleą, w cegielniach, Polaków jest około 60 i kilkudziesięciu Rusinów. Starsi dostają 42 fr. miesięcznie; chłopcy od lat 15-tu oprócz całodziennego utrzymania po 1 fr. dziennie.

Idąc dalej, z drugiej strony pod Bazyleą, w Münchensternie pracuje w cementowni kilkunastu Polaków z Królestwa. Zarabiają tu od 4 do 6 fr. dziennie. Na życie wydają 1 fr. 20 cts. dziennie, na mieszkanie 6 fr. miesięcznie, oszczędzają więc do 100 fr. miesięcznie. Robotnicy zaś rolni w ciągu sezonu potrafią zarobić przeciętnie 270 i 300 fr.

Reszta Polaków, już nie z ludu włościańskiego, lecz z klasy robotniczej, miejskiej, rozrzucona jest po całej Szwajcarji. Zarabiają narówni ze Szwajcarami, otrzymują więc od 5 do 6 fr. dziennie. Niektórzy z nich zarabiają i więcej, ale ci należą do wyjątków. Są to przeważnie rzemieślnicy zawodowi, jak n. p.: krawcy, szewcy, stolarze, ślusarze i t. p. Rzemieślnikowi jednak trudno tu znaleźć zarobek, być może dlatego, że Polaków wogóle Szwajcarzy nie lubią i nawet na mieszkanie przyjmują niechętnie. Wobec tego rzemieślnicy wkrótce po przybyciu do Szwajcaryi, zmuszeni są szukać gdzieindziej zarobku".

Niechęć miejscowego społeczeństwa do polskich robotników miejskich tłumaczy Dr. Dukszta złem prowadzeniem się większości tych ostatnich w początkach imigracji. „Polacy—pisze on—niezbyt pięknie postępowali w gościnnym kraju wolnej Szwajcarji. Używali wolności szwajcarskiej w całej pełni na to, aby urządzać burdy, pijatyki, awantury. Mało tego. Każdy z Polaków miał wówczas kredyt otwarty, więc korzystając z tego zaufania, mieszkali na kredyt, brali z magazynów, sklepów i sklepików na kredyt. Brali tak wszystko, co się dało i ile się dało, a gdy więcej już brać nie można było, wyjeżdżali w tajemnicy. Od tej pory Polak jest przez Szwajcarów nisko ceniony, zaufania i wiary nie znajduje i przyszło nawet do tego, że w niektórych kantonach ludność miejscowa starała się u władz swoich uzyskać prawo, zabraniające Polakom pobytu".

Lepszą od mężczyzn opinją cieszyły się robotnice polskie, zatrudnione w fabrykach tkackich. Najwięcej pracowało ich w miejscowości Gersan, dokąd przybyły z guberni radomskiej. Polskie akademickie „Kółko pomocy robotnikom sezonowym" w Zurychu w sprawozdaniu swem, nadesłanem krakowskiemu P. T. E., donosiło, że powodzi się tam robotnicom polskim lepiej, niż zatrudnionym gdzieindziej.

„Pomimo utyskiwań na kary i niewystarczające zarobki dziewczęta na proponowaną im służbę prywatną z pensją 35 franków obok pokoju i świetnego utrzymania zgodzić się nie chciały. Obchodzenie się pracodawców z robotnicami w Gersan jest bardzo dobre, jakkolwiek warunki pracy dość ciężkie, gdyż dzień roboczy trwa 10 godzin, przytem majstrowie za lada przewinienie nakładają kary, wynoszące nieraz do 1 fr. 75 cent. na 2 tygodnie. Po zatem za utrzymanie dziewczęta płacą około 20 fr. miesięcznie t. j. 5 fr. za mieszkanie, pokój o jednem łóżku dla dwóch dziewcząt po 5 fr. od osoby, strawa zaś składająca

się z kaszy, kartofli, makaronu, kawy, chleba, ryżu, sałaty i niekiedy kiełbasy, wynosi do 15 fr. miesięcznie od osoby. Wydatki nadzwyczajne stanowią suknie, bielizna i t. d. Przeważnie dziewczęta nasze składają około 300 franków, które jako swój posag do kraju zawożą, a tam za pomocą krewnych lokują pieniądze u chłopów wiejskich na hipotekach lub na weksle na 8% mniejwięcej.[1])

Opieką nad wychodźcami polskimi w Szwajcarji zajmowały się umyślnie w tym celu zawiązane stowarzyszenia akademickie w Zurychu (działające w porozumieniu z P. T. E.) oraz tow. „Jagiellonia“ we Fryburgu.

---

[1]) „Praca” 1912, str. 305.

XI. Wychodźtwo do Czech i niemieckich prowincji Austrji.

ROZDZIAŁ XXXI.

Początki i rozwój emigracji polskiej do Czech. — Płace i inne warunki najmu polskich robotników sezonowych. — „Zemska Centrálka“ w Pradze i stosunek do niej galicyjskiego Wydziału Krajowego i Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego.

Wobec coraz bardziej odczuwanego przez intensywnie prowadzone rolnicze gospodarstwa czeskie braku rąk roboczych, którego nie mógł dostatecznie zaspakoić import robotników słowackich i węgierskich, czeski Wydział Krajowy nawiązał w r. 1907 kontakt z galicyjskim Wydziałem Krajowym w sprawie dostarczania do Czech galicyjskich robotników sezonowych. Zadania tego podjąć się miały powiatowe biura pośrednictwa pracy, prowadzone przez Rady powiatowe pod kierownictwem Wydziału Krajowego we Lwowie. Na skutek tych pertraktacji czeska „Zemská Centrálka pro bezpłatne sprostredkovani práce a służby“ w Pradze (centralny urząd pośrednictwa pracy) zawarł umowę z krajowem Biurem pośrednictwa pracy (przy Wydziale Krajowym) we Lwowie, w myśl której zobowiązał się sprowadzać do Czech robotników galicyjskich przy pomocy wyłącznie tylko powiatowych biur pośrednictwa pracy, podległych lwowskiemu Wydziałowi Krajowemu, wzamian za co biura te podjęły się nie nawiązywać w Czechach bez-

pośrednich stosunków z pracodawcami i działać tam wyłącznie za pośrednictwem ziemskiej „Centralki“ i podwładnych jej organów prowincjonalnych.

Na wiosnę 1908 r. wyjechała do Czech pierwsza partja wychodźców sezonowych z Galicji w liczbie 679 robotników. W roku następnym cyfra ta wynosiła już przeszło dwa tysiące, odtąd stale rosnąc z roku na rok. W r. 1913 pracowało już w Czechach i na Morawie kilkanaście tysięcy polkich robotników rolnych, Galicjan, z małą domieszką Królewiaków. Z tej liczby przeszło 7.000 zapośredniczyły dworom czeskim powiatowe biura pracy (przeważnie biura w Tarnobrzegu, Mościskach, Krakowie i Cieszanowie), kilka tysięcy wysłało tam krakowskie P. T. E., drugie tyle wyekspedjowali prywatni agenci, reszta zaś udała się bez niczyjego pośrednictwa na miejsca, zajmowane za lat poprzednich.

Zcentralizowanie całego ruchu imigracyjnego polskiego do Czech w rękach praskiej „Centralki“ uznało P. T. E. za niebezpieczne, gdyż instytucja ta, będąca jednostronną przedstawicielką interesów pracodawców czeskich, w razie zdobycia faktycznego monopolu na import polskiego robotnika, mogłaby w przyszłości dążyć śladem niemieckiej „Arbeiterzentrale“ w Berlinie do obniżania zarobków polskich przybyszów i stosowania do nich pewnych ograniczeń. Zresztą działalnością swoją nie obejmowała ona wszystkich okolic z ludnością niemiecką i wiele dworów niemieckich (w tej liczbie dobra państwowe i cesarskie) nie chciały korzystać z jej pośrednictwa. Wtedy więc, gdy galicyjski Wydział Krajowy, względnie podwładne mu biura powiatowe, uzależniły się w zupełności od praskiej „Centralki“ w nadziei, że w ten sposób wyrugują pośrednictwo czynników spekulacyjnych, Polskie Towarzystwo Emigracyjne działało w kierunku nawiązywania bezpośrednich stosunków z czeskimi i niemieckimi pracodawcami w Czechach, w przekonaniu, że w ten sposób nie tylko przeszkodzi mo-

nopolistycznym zakusom „Centralki" lecz nadto przyczyni się do uprzystępnienia czeskiego rynku pracy dla naszych robotników w okolicach. sferą wpływów „Centralki" nie objętych, i zdobędzie tytuł dla wykonywania nad robotnikami tymi należytej opieki. Reprezentację P. T. E. w Pradze stanowił przez pewien czas „Czesko-Polski Sekretarjat" na czele którego stał znany polonofil literat Jarosław Rozvoda.

Fakt, że obok galicyjskiego Wydziału Krajowego i P. T. E. znaleźli, pole do działania przy pośredniczeniu robotników galicyjskich do Czech, jeszcze rozmaite agencje spekulacyjne, tłumaczy się okolicznością, że pozyskiwanie klijenteli wśród pracodawców czeskich ułatwiała agentom tym gotowość dostarczania robotników tańszych, godzących się na niższe płace i gorsze warunki. Na warunki takie przystawało wielu robotników sezonowych, aby uniknąć wędrówki do Prus, o ile za lat poprzednich doznali już tam gorzkiego zawodu.

Płace, jakie pobierali wychodźcy nasi w Czechach, naogół nie były wyższe od przyjętych już w wielu majątkach Galicji zachodniej i przeważnie nie dorównywały przeciętnym zarobkom w zachodnich Niemczech. Według norm, ustalonych przez galicyjski Wydział Krajowy w porozumieniu z praską „Centralką" płace te wynosiły: (patrz tablica str. 347).

Robotnicy, zatrudnieni w stajni lub w oborze, zobowiązani byli do pracy także w niedziele i święta. W zamian otrzymywali oni wyższe wynagrodzenie, a mianowicie: mężczyźni przez cały sezon po 35 kor. miesięcznie, podczas żniw zaś przez półtora miesiąca po 38 kor., kobiety po 27 kor., a podczas żniw po 30 koron.

Za ordynarję dawano robotnikom tygodniowo na osobę: po 7 litrów zbieranego lub 3½ litra świeżego mleka, po 12½ klg. ziemniaków, ½ klg. mąki, ½ klg. grochu,

DLA	Płaca dzienna				Płaca miesięczna			
	Za czas				Za czas			
	do 1 czerwca	od 1 czerwca do 31 sierpnia	od 1 września do końca	podczas żniw (1½ mies.)	do 1 czerwca	od 1 czerwca do 31 sierpni	od 1 września do końca	podczas żniw (1½ mies.)
	K o r o n							
I. mężczyzn i starszych parobków, umiejących kosić	1.20	1.40	1.20	1.50	29	31	29	35
II. mężczyzn i starszych parobków nie umiejących kosić	1.—	1.20	1.—	1.30	25	29	25	31
III. kobiet i dziewcząt	0.96	1.10	0.96	1.30	24	27	24	29
IV. wyrostków (15—18 lat)	0.64	0.80	0.64	0.90	16	19	16	21

½ klg. ryżu, ½ klg. krup jęczmiennych, ½ klg. mięsa, ½ klg. słoniny, ¼ klg. soli oraz po 5 klg. chleba dla dorosłych mężczyzn, względnie 4 klg. dla niewiast i wyrostków. Mieszkania otrzymywali robotnicy bezpłatnie, również kuchnię do gotowania i prania bielizny, tudzież potrzebny opał. Gotowaniem dla całej partji, zajętej w danym dworze, zajmowała się jedna z robotnic, która w tym celu była zwalniana w odpowiednich godzinach od pracy w polu. Sezon trwał przeważnie od połowy marca do połowy listopada. Koszta podróży tam i z powrotem ponosił pracodawca; kontrakty najmu sporządzane były na formularzach dwujęzycznych, t. j. w języku polskim i czeskim, względnie niemieckim.

Skargi ze strony naszych robotników na pracodawców czeskich i odwrotnie były bardzo rzadkie. Wychodźca nasz w Czechach, pomimo niskich stosunkowo zarobków, czuł się zadowolony ze swego położenia i chętnie wracał na sezon następny do tych samych dworów. Stawał się on coraz bardziej niezbędnym dla rolnictwa czeskiego.

W sprawozdaniu przedłożonym w r. 1909 Sejmowi, wypowiedział galicyjski Wydział Krajowy o wychodźtwie do Czech następującą opinję:

„Emigracja do Czech zasługuje na gorliwe poparcie i życzyć sobie należy jej rozwoju, pomijając inne ogólniejsze względy, także w interesie robotników, którzy pozostają tam pod opiekę znanych już praw i władz, a mają warunki niegorsze niż w Niemczech" [1]).

---

[1]) „Sprawozdanie Wydziału Krajowego z czynności w zakresie publicznego pośrednictwa pracy w r. 1909", Lwów, 1910. Porów. nadto: J. Okołowicz „Poradnik dla robotników, udających się na obczyznę: Francja, Danja, Szwecja, Czechy", Kraków, 1910 r. i „Czwarty rok działalności Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego", Kraków, 1913.

ROZDZIAŁ XXXII.

Początki wychodźtwa sezonowego do Austrji. — Działalność c. k. Towarzystwa Rolniczego w Wiedniu. — Warunki najmu. — Polacy w Wiedniu.

Młodszą jeszcze od wychodźtwa do Czech była polska emigracja sezonowa do niemieckiej Austrji. W nieco znaczniejszych rozmiarach datowała się ona dopiero od r. 1910 i pochodziła z Galicji przy drobnym udziale południowo-zachodnich powiatów Królestwa. Emigrację tę popierało krakowskie P. T. E., pragnąc w ten sposób osłabić ruch wychodźczy do Prus, na gruncie zaś austryjackim torowało jej drogę c. k. Towarzystwo Rolnicze w Wiedniu, mając ze swej strony na widoku coraz większe trudności, jakie odczuwało rolnictwo austrjackie z powodu niedostatecznej ilości sił roboczych. Towarzystwo to zorganizowało w swem łonie, na wzór północno niemieckich Izb Rolniczych, osobne biuro pośrednictwa pracy, rozszerzając następnie jego działalność przez założenie oddziałów filjalnych w Gracu, Lincu, Bernie, Opawie i Boguminie.

Zaraz w pierwszem roku swej działalności na tem polu (1911/12) wiedeńskie Towarzystwo Rolnicze sprowadziło z Galicji przeszło 2000 rolnych robotników sezonowych (częściowo Rusinów). W r. 1913 liczba polskich wychodźców, zatrudnionych na robotach rolnych w niemieckiej Austrji, sięgała już 4000; większość ich pracowała w Austrji Dolnej i Górnej, małe zaś grupki w Styrji i Koryntji, skąd niektórzy docierali już do Slawonji.

Warunki najmu, objęte austryjackim kontraktem robotniczym, zawierały płace nieco wyższe od tych, jakie przyjęte były w Czechach, przy tymsamym wymiarze żywności. Do nieporozumień i konfliktów między praco-

dawcami i najmitami dochodziło bardzo rzadko i naogół obie strony były z siebie zadowolone.

Emigracja ta rozwijała się pomyślnie, chociaż nie tak szybko jak do Czech, i rokowała dobre widoki na przyszłość.

Oprócz wychodźtwa sezonowego robotników rolnych istniała w Galicji oddawna jednostkowa emigracja do Austrji robotników przemysłowych rzemieślników, handlowców i urzędników państwowych, nie mówiąc już o znacznem wychodźtwie żydowskiem. Największą kolonję polską posiadał Wiedeń, gdzie istniały stowarzyszenia i organizacje robotnicze polskie.

XII. Wychodźtwo do Węgier.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Wychodźtwo przesiedleńcze do miast węgierskich. — Zarobki robotników miejskich. — Ich wynaradawianie się.— Emigracja sezonowa do robót rolnych. — Ruch wychodźcy Podhalan — Polskie osady rolnicze na Węgrzech.

Wychodźtwo polskie do Węgier nosiło charakter tak przesiedleńczy, jak sezonowy, ruch emigracyjny w tamte strony nigdy jednak nie przyjął większych rozmiarów. Rozpoczął się on już na przeszło 20 lat przed wojną i rekrutował się przeważnie z galicyjskich robotników niekwalifikowanych i najemników rolnych. Najliczniej stosunkowo emigrowali do Węgier młodzi mężczyźni, którzy, dostawszy się do fabryk, najczęściej nie powracali już do kraju, żeniąc się ze Słowaczkami, Węgierkami lub Niemkami, lub też wędrując stąd do Ameryki Północnej. We wszystkich większych środowiskach przemysłowych w zachodnio-północnych Węgrzech stwierdzały urzędowe spisy z r. 1900 pobyt robotników polskich, nie podając zresztą dokładnych cyfr. Wychodźcy ci—pewien odsetek wśród nich tworzyli Królewiacy, których sporo tu zawitało, zwłaszcza po wypadkach rewolucyjnych 1905 r., pracowali w kopalniach, w fabrykach żelaza i sukna, w tartakach, cegielniach i kamieniołomach.

Największą kolonję polską, bo liczącą (w r. 1912) około 30.000 osób posiadał Budapeszt. W Koszycach i okolicy pracowało około 5.000 wychodźców polskich jako górników i robotników przemysłowych, w Kiezmarku — blisko 1.500—2.000, po kilkaset w Miskolczu i okolicy, oraz w Żylinie w Trenczyńskiem.

O polskiej kolonji robotniczej w Budapeszcie tak pisał w r. 1910 znawca miejscowych stosunków Łukaszkiewicz. „Z robotników, którzy przed laty przybyli do Węgier, wielu dorobiło się ładnego majątku. Szczególnie warszawiacy, którzy nauczyli peszteńczyków robić porządne zegary, buty i ubrania. Dziś już nie idzie tak łatwo i nagół między tutejszymi Polakami panuje bieda, jeżeli nie nędza. Powodem tego jest może ta okoliczność, że robotnik fabryczny w Peszcie prawie zawsze przepija zarobek".[1])

Zarobki robotników niekwalifikowanych wynosiły od 2 k. 40 h. do 4 k. dziennie, a przy pracy na akord nieraz znacznie więcej. Rzemieślnicy zarabiali po 4—6 k., a w rządowej fabryce żelaza w Diósgyör pod Miskolczem, w której pracowało 60 Polaków, po 8 koron i więcej. Dzień roboczy trwał przeważnie 10½ godzin.

Wychodźcy, zatrudnieni w miastach przemysłowych, dzięki małemu uświadomieniu narodowemu, jakie wywieźli z kraju, i niskiej oświacie, lgnęli do węgierszczyzny i wynaradawiali się dobrowolnie z zadziwiającą szybkością. Żali się na to w listach swych do „Polskiego Przeglądu Emigracyjnego" Józef Lenik, doświadczony robotnik sezonowy, który poprzednio przez szereg lat pracował w Niemczech i Danji. „Trzecia część Polaków w Budapeszcie—pisze on nie posługuje się ojczystą mową, wstydząc się jej i stroniąc od każdego Polaka, mowiącego po polsku. Serce się kraje, gdy się widzi, jak się tu nasi węgierszczą. Ale dziwić się bardzo

[1]) Porów. Czesław Rokicki: „O wychodźtwie polskiem na Węgrzech" „Polski Przegląd Emigracyjny", 1912, str. 276—288 i 327—336.

niemożna, bo niema tu odpowiednich polskich towarzystw, któreby w razie strajku, choroby i t. p. opiekowały się robotnikami i dlatego ci zapisują się do stowarzyszeń węgierskich, a tam ponieważ są w mniejszości, muszą tak śpiewać, jak im zagrają, i wynaradawiają się powoli". W innym zaś liście Lenik pisze: „Niejeden Polak, jak przybędzie do Budapesztu, a kupi sobie nowe buciki, zarzutkę i krawatkę, to już udaje wielkiego pana i skoro go zagadną po polsku, odpowiada po węgiersku, że po słoweńsku nie rozumie, bo tu każdy obcy język Węgrzy nazywają słoweńskim. Taki panicz z egipskimi barankami za kołnierzem tłumaczy się, iż dlatego mówi po węgiersku, bo je węgierski chleb". Obserwacje Lenika potwierdza Czesław Rokicki, dodając, że wielu wychodźców polskich po przyjęciu poddaństwa węgierskiego mówi, że nie są Polakami, jeno „zaprzysiężonymi Węgrami". Ten stan rzeczy potęgowała okoliczność, że na Węgry wychodziło od nas sporo młodych chłopców, prawie dzieci, którzy po paru latach pobytu na obczyźnie zawierali małżeństwa, względnie żyli nieślubnie z węgierkami lub słowaczkami.

Sezonowe wychodźtwo robotników rolnych pochodziło z pogranicznych powiatów galicyjskich i kierowało się do środkowych żupanałów przykarpackich. Nosiło ono charakter dwojaki: na cały sezon i na czas żniw tylko. Emigracja ta datuje się od lat przeszło dwudziestu, obracając się zresztą w ramach cyfr niewielkich. Znacznie poważniejszą rolę odgrywał ruch wychodźczy osadniczy, mający swe źródło na Podhalu. Górale podhalańscy, jak to stwierdza „Miesięcznik T. S. L." z r. 1905, przesiedlali się na węgierską stronę nie tylko pojedyńczemi rodzinami, ale całemi osadami. Na szczęście prąd ten kierował się głównie na Spiż i Orawę, wzmacniając w ten sposób tamtejszy żywioł polski. Według statystyki urzędowej przybyło nastałe do Węgier i osiedliło się na roli w 1910 r. 2,226 Polaków.

Przyczyna emigracji tej tkwiła głównie w braku ziemi

i trudności jej nabycia na Podhalu. Powracający z Ameryki górale, nie mogąc za zaoszczędzoną za morzem gotówkę dokupić gruntu w swej rodzinnej wsi lub sąsiedniej okolicy, szli na stronę węgierską, gdzie grunta były znacznie tańsze i istniała łatwość ich nabycia. I tak np. na Górnych Węgrzech płacono za mórg po 200 do 400 kor., gdy na Podhalu trudno je było dostać nawet po cenie 1.000—2.000 kor. lub wyżej. Wychodźcy nasi zakupywali gospodarstwa na Spiżu przeważnie od chłopów niemieckich, którzy bądź przenosili się do Ameryki, bądź porzucali pracę na roli, zakładając po miastach lepiej rentujące się przedsiębiorstwa przemysłowe lub handlowe. Na Orawie zaś, w Szaryszu i w Trenczyńskiem nabywali Podhalanie gospodarstwa od Słowaków, porzucających swą wieś albo z powodu żądzy prędkiego zbogacenia się w Ameryce albo celem przesiedlenia się w żyźniejsze okolice południa węgierskiego. Tu i tam brali Podhalanie udział również w parcelacji dworów.

Wynarodowienie nie czyniło wśród rolnych osadników polskich na Węgrzech tego spustoszenia, którego smutny obraz przedstawiało wychodźtwo, rozproszone po miastach przemysłowych. Nawet przerzuceni do zupełnie obcego otoczenia potrafili oni w większości wypadków zachować swój język ojczysty i poczucie odrębności narodowej. Cytowany wyżej Łukaszkiewicz, opisuje pewną osadę polską z kilkunastu rodzin, odnalezioną na gradzkiej ziemi na gruntach rozparcelowanej „pusty", stwierdza, że u kolonistów widział polskie książki i pisma. „To też—mówi dalej — wszyscy wiedzą, że są Polakami i najmilszem ich marzeniem jest wycieczka do Krakowa, o którym się cudów naczytali, a szczytem pragnień dorobienie się grosza i powrót do swoich, byle tylko uciułać tyle, aby wystarczyło na zakupno kilku morgów". Osadnicy ci pochodzili z jednej i tej samej wsi zachodniej Galicji. Podobne stosunki znalazł Łukaszkiewicz w koloniach polskich, rozrzu-

conych po Komitatach aradzkim, zolyomskim, zempleńskim.[1])

Emigracja osadnicza Podhalan na Spiż i Orawę, wzmacniała nasz stan posiadania na tych polskich kresach, wypierając z nich żywioł obcy, niemiecki i słowacki; będąc więc uzasadniona pod względem ekonomicznym, jednocześnie nie była zjawiskiem ujemnym w znaczeniu narodowym.

---

[1]) Czesław Łukaszkiewicz: „Polacy na Węgrzech", „Przegląd Emigracyjny", 1909, № 21.

XIII. Osadnictwo polskie w Bośni. Polacy w Turcji.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Pierwsi osadnicy polscy w Bośni. — Bośniacka „carevina" — Trzy kategorje imigrantów polskich. — Stan liczebny Polaków i rozmieszczenie osad polskich.—Położenie materjalne osadników, szkolnictwo, czytelnie i kościoły. — Stosunek do kleru chorwackiego. — Asymilacyjna polityka biskupa banjaluckiego. — Stosunek Polaków do sąsiadów innych narodowości. — Niechęć do reemigracji.

Pierwsi osadnicy polscy osiedli w Bośni około 1890 r. Była to garść włościan galicyjskich, pochodzących z powiatów rzeszewskiego i niskiego, którzy poprzednio dzierżawili grunta na Wołyniu rosyjskiem. Skoro dzierżawa ta skończyła się, włościanie, którzy zdołali już poczynić pewne oszczędności, powzięli zamiar nabycia na własność po kawałku gruntu w Galicji, dokąd w tym celu wysłali osobnych delegatów. Przybywszy do Lwowa, delegaci dowiedzieli się przypadkowo, że wielu Czechów z Wołynia wyruszyło do Bośni, gdzie rząd austrjacki ma dać im grunta za niską opłatę. Pojechali tedy wślad za Czechami i, poinformowawszy się o warunkach kolonizacji w Bośni, powrócili ze sprawozdaniem do swoich na Wołyń, skąd wkrótce 7 ro-

dzin polskich wyruszyło na nową siedzibę. Na wiadomość, że rząd w Bośni rozdaje darmo ziemię „cesarską” („carevinę”) kolonistom, zaczęli napływać do Bośni emigranci polscy również z innych okolic, przeważnie z powiatów tarnobrzeskiego i niskiego oraz ci z Królestwa, którzy, jako pochodzący z Galicji i austrjaccy poddani, pozbawieni tam zostali prawa do ziemi.

Przybysz dostawał 10 — 12 ha ziemi zalesionej na wierzchach i pasmach górskich na własność wieczystą z warunkiem, że przez lat dziesięć będzie płacił dziesięcinę „cesarzowi“, a po latach dziesięciu podatek zwyczajny; nadto nie było mu wolno sprzedawać otrzymanej ziemi, póki trwała dziesięcina, i nie można było posiadłości dzielić. Osadnik dostawał tabliczkę z numerem, którą musiał nad drzwiami domu swego umieścić; od tabliczki tej nazywano całą posiadłość „numerem“. Na osadnictwo przybywali w przeważnej liczbie ludzie biedni, ale trafiali się i tacy (podobnie jak wśród wychodźców do Parany), którzy w ojczyźnie posiadali po kilka morgów roli i własny dobytek, posłyszawszy jednak, że w Bośni ziemia lepsza i tańsza, że tam lub owdzie jakiś Turek grunt sprzedaje, pozbywali się ojczyzny i śpieszyli na południe. Przybysze tej kategorji zastawali już jakie takie budynki mieszkalne i pola choć nieco uprawione. „Numerowi“ natychmiast musieli ciąć dziewicze lasy, karczować je i przez pierwsze tygodnie mieszkać w szałasach. „Dziesięcina“ stanowiła uciążliwy podatek, a również sposób jej pobierania przez władze dawał się „numerowym“ dotkliwie we znaki. A mianowicie, skoro osadnik obsiał pole, przychodził tak zw. „dziesiętar“ i zapisywał gdzie i co posiane. Podczas zbiorów nie wolno było nic z pola ruszyć, dopóki specjalna komisja, złożona z „dziesiętara“, wójta i dwóch taksatorów, nie oszacowała zbioru. Gdy komisja taka nie przybyła na czas, co się nieraz trafiało, miał kolonista duże straty, nie mogąc zbierać plonu. Z reguły też „numerowi“

w początkach osadnictwa zadłużali się i z powodu ciężarów finansowych zagospodorowanie się szło u nich bardzo opornie, powolniej niż u tych, którzy ziemię nabyli za gotówkę.

Trzeci rodzaj wychodźców polskich w Bośni tworzyli komornicy. Przybyli oni w latach mniej więcej 1905—1910, t. j. w okresie, kiedy kolonizacja rządowa osłabła, a krajowy rząd bośniacki, trzymając się hasła: „Bośnia dla Bośniaków", przestał popierać polską imigrację osadniczą. Ci więc z przybyszów, którym brak gotówki uniemożliwiał kupno ziemi z rąk prywatnych, musieli osiąść na komornem, skazani na zarobkowanie w trudnych warunkach.

Według spisu ludności, przeprowadzonego na jesieni 1910 r., mieszkało w Bośni Polaków, nie licząc wojska, 10.975, z czego na jeden okręg banjalucki przypadało 8.972, na leżące zaś w granicach tegoż okręgu powiaty: Prnjavor 6.147, Gradiszka 753, Derwent 302, Banjaluka 824, Tescheu 237, reszta zaś porozrzucana była po całym kraju. Największą osadą czysto polską był Martinac albo Martyniec, liczący 1.404 mieszkańców, drugą z rzędu Rachovoc albo Rakowiec (817 m.), dalej Kunawa (621 m.), Gumiera (587 m.), Dubrava (374 m.), Grabasznica (222 m.), Devetina (482 m.), Smitrycz (150 m.), Leśnja (133 Polaków, a 491 Rusinów). W Sarajewie przebywało 592 Polaków, przeważnie urzędników państwowych, w okręgu zaś sarajewskim (wraz z miastem) 766.

„Zaraz na wstępie do Bośni — opowiada Prof. Dr. Jan Magiera w opisie podróży swej po tym kraju,[1]) — za Bośniackim Brodem znajdziemy Polaków w Dervencie i okolicy Derventu (Detlaczki Lug, Jakubovac, Teszani) i koło Doboju (Laniszcze, Paljevina).

Podobnie u bramy zachodniej, na pograniczu chorwac-

[1]) Prof. Jan Magiera: „Osadnicy polscy w Bośni" „Biuletyn Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego", 1910, str. 444.

kiem, w okręgu Novi (Pastirevo—Dombrova) i bliżej Sawy, naprzeciw Slawonji, w powiecie gradyskim (Czelinovac, Miljevacka Kozara), a najwięcej w Banjaluckiem i Prnjavorskiem. W Banjaluckiem Bakinacka Kozara liczy około 400 dusz polskich. Bakinci dolne są jedną z osad ważniejszych. Główne jądro osadnictwa polskiego zapuściło korzenie wokół powiatowego miasta Prnjavoru, które jest nietylko siedzibą urzędów powiatowych, ale także ich ostatnią pocztą, mimo, że do niejednej gminy osadniczej jest ze 30 kilometrów.

„Główne kolonje w Prnjavorskiem są: Dubrava stara i nowa, Devetina (nasi zowią ją „Dziewięciną"), Gajevi, Gumjera, Grabasznica, Kamenica, Kakorski Lug, Kliczkovo, Ordo czyli Martinac (około 216 domów i dusz do półtora tysiąca), Rakovac-Kunora (116 „numerów" i dusz około tysiąca), Smoticz Polaczkovci. To wedle wykazu urzędowego, a przecież niewymienione w nim wcale Konuichawce pod Prnjavorem mają tylu osadników, że otrzymały własnego wójta, czyli „kneza". Liczą się na jakie 70 domów. Nie wszystkie osady są jednak zorganizowanemi gminami samoistnemi. Dotąd organizacje mają kolonje: Dubrava, Grabasznica, Devetina, Rahovoc i Martinac. Dwie gminy ostatnie są czysto polskie i to są największe polskie osady. W innych są Polacy i Rusini dzięki temu, że gdy numery dawano tylko Polakom, Rusin podawał się za Polaka, a rząd nie pytał o metrykę ani o inne dowody. Potem dopiero ze skorupy polskiej wychodziło jądro rusińskie. Albo też rozdawano ziemię „Galicjanom" w przekonaniu, że to wszystko Polacy. Teraz i inne czynniki jeszcze tę sprawę gmatwają.

„Prócz polskich i rusińskich są także kolonje czeskie i niemieckie. Czesi dostali się w sąsiedztwo Polaków, osiedlili się na pagórkach. Niemcy natomiast trzymają się równiny i zwartą kolonją osiedli koło Bośn. Gradyski nad Sawą. Posłannictwo kulturalne, do którego rząd kolonje

powołał, spełnili wszyscy. Polacy pokazali sąsiadom—Serbom ziemniaki i nauczyli ich używać tego ziemiopłodu. Zdumiony tubylec już porzucił drewniane radło i gałęź bukową, którą przedtem krajał zagonki po wierzchu, a kupił sobie pług i lemiesz, już nauczył się robić masło, którego przedtem nie znał. Z podziwem patrzy leniwy Serb lub Turek ospały, jak polski „Szwab“ dwukrotny plon zbiera z jednego zagonu“.

„Nasz chłop—pisze dalej Prof. Magiera — okazał tu wielką siłę fizyczną i wytrwałość ducha. Z przepastnych krain wiecznego cienia i puszczy, wiejącej ciemnym chłodem uczynił on złociste łany zbożowe, głośne zagrody i wesołe sady. Koło obejścia polskiego osadnika widzimy gnące się pod owocami drzewa, wylepiane miodem pasieki, na ogrodach winograd, za stodołą na zagonach melony i kawony. Widok to dla przybysza niespodziewany. A poznamy, że to osady polskie, bo przy każdym niemal domu sterczy w niebo krzyż szeroki, podobny, jak przy drogach polskich, ale wyższy dwukrotnie. Mają się chłopi nasi nieźle w Bośni, skoro już który rolę uprawną posiędzie. „Chleba mamy dzięki Bogu dosyć“, powiada gospodarz w Rakowcu lub w Martińcu. Brakuje nam jednak obroku duchowego“. Są narodowo uświadomieni. Tam silniej, tam rzewniej i tęskniej pożądają pokarmu polskiego dla duszy polskiej. „Księdza polskiego i nauczyciela Polaka — a będziemy szczęśliwi“, — powiada gromada cała jednogłośnie, gdziekolwiek się z nimi rozgwarzyć“.

W r. 1912 uchwalił Sejm bośniacki ustawę szkolną i nadał organizację krajowemu szkolnictwu, które wogóle poczynało zaledwie budzić się do życia. Na mocy tej ustawy, respektującej prawa mniejszości narodowych, mogły powstawać szkoły dwujęzyczne tam, gdzie najmniej 40 dzieci szkolnych było obcej narodowości lub mówiło językiem niekrajowym, nieserbskim. Jeśli taka obca osada była jednolitą, niemieszaną pod względem narodowym, dostać

miała własną szkołę, a jeżeli gmina była mieszaną, miały się tworzyć oddziały równorzędne, czyli paralelki. W szkołach tych i klasach miały dzieci przyzwyczajać się do języka serbskiego i co wyższa klasa, tem więcej przedmiotów miało być w tym języku wykładanych. Tylko religja i język ojczysty miały zastrzeżony wykład w języku ojczystym uczniów. Gdzie jednak katecheta nie władał językiem obcym, tam i religja mogła być uczona w języku serbskim.

Według tej ustawy mogły więc od r. 1912 powstawać w Bośni publiczne szkoły polskie. Uprawnionych do ich posiadania było 16 osad polskich. Na przeszkodzie stawał jednak brak odpowiednich nauczycieli, Polak bowiem mógł otrzymać stanowisko nauczyciela krajowego w Bośni w takim tylko razie, jeśli posiadał znajomość języka serbsko-chorwackiego. Sprawą tą zajęło się koło I Towarzystwa Szkoły Ludowej w Krakowie. W r. 1913 mieli Polacy w Bośni cztery własne szkoły, a mianowicie jedną publiczną, dwujęzyczną w Martyńcu i trzy prywatne: w Dubrawie, Rakowcu i Bakińcach Dolnych. W Rakowcu, gdzie osadnicy nie chcieli zgodzić się na szkołę chorwacką i własnym sumptem założyli polską szkołę prywatną, nauczycielem był jakiś Czech, który poprzednio nauczył się mówić po polsku. W okolicach, gdzie Polacy żyli rozproszeni po wsiach serbskich, dziatwa osadników pozbawiona była zupełnie nauki polskiej. „Dzieci uczą się tam w szkołach chorwackich, a tylko w domu słyszą słowo polskie, niema tam nigdzie polskich książek, gazetę rzadko który czyta, niektórzy już dzisiej serbieją”, — pisał w sprawozdaniu delegat Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego, wysłany w r. 1913 do Bośni dla poznania potrzeb osadników polskich [1]).

Towarzystw polskich nie było wcale, małe czytelnie i

[1]) Florjan Nawacki: „Polacy w Bośni”. „Praca”, 1913 str. 402

biblioteczki istniały tu i owdzie, gdzie założyło je krakowskie T. S. L. (w Rakowcu) lub P. T. E. (w Leśnji). Własne kościoły wybudowali koloniści polscy w kilku osadach, plebana polskiego udało im się po długich zabiegach pozyskać tylko w Dubrawie; Martyniec miał proboszcza Chorwata, mówiącego po polsku, ale odnoszącego się z zupełną obojętnością do życia i potrzeb swych parafjan, w Rakowcu zaś księdzem był Chorwat, nie rozumiejący prawie nic po polsku. Na utrzymanie księży musieli osadnicy (oprócz opłat przygodnych) płacić po 5 kor. rocznie gospodarze, a po 3 kor. komornicy. Zaleganie z tym podatkiem pociągało za sobą zazwyczaj natychmiastową egzekucję. Wogóle stosunek Polaków do chorwackich duszpasterzy nie był serdeczny i odwrotnie, a przykład, jaki dawali ci ostatni swym parafjanom podobno nie zawsze mógł ich budować.

Biskup banjalucki nieprzyjaźnie odnosił się do osadnictwa polskiego i energicznie dążył do chorwatczenia swych polskich dyecezjan. W tym celu nie dopuszczał księży narodowości polskiej, względnie czynił im najrozmaitsze szykany, zakazał śpiewów polskich w kościołach, gdzie Polacy nie tworzyli wśród parafjan zdecydowanej większości, a trzy polskie Felicjanki, które na jednej kolonji uczyły prywatnie dziatwę polską, za karę za to, polecił natychmiast wydalić.

Ludność katolicko-chorwacka odnosiła się do osadników polskich niechętnie, zaś prawosławno - serbska tu i owdzie prawie z nienawiścią, natomiast z Turkami (mahometanami) żyli Polacy wszędzie w najlepszej zgodzie, chwaląc ich bardzo jako spokojnych i usłużnych sąsiadów. Do Czechów i Niemców stosunek był obojętny i styczność z nimi mała.

O reemigracji do kraju ojczystego nikt z osadników polskich w Bośni nie myślał i za Polską nikt nie tęsknił. Ci z nich, którzy wędrowali po zarobek do Stanów Zjednoczonych, po powrocie inwestowali swe oszczędności w Bośni, gdzie, bądźcobądź, czuli się wszyscy znacznie lepiej niż

w Galicji. W latach 1912 — 1913 zauważyć było można wśród polonji bośniackiej żywsze zainteresowanie się Paraną, dokąd wyemigrowało kilkadziesiąt rodzin komorników korzystając z możności bezpłatnego przejazdu przez ocean.

ROZDZIAŁ XXXV.

Adampol. — Projekty kolonizacyjne ks. Adama Czartoryskiego. — Położenie osadników adampolskich.

Turcja nie miała nigdy polskiej imigracji ekonomicznej, natomiast osiadali w niej dość licznie emigranci polityczni po nieudałych walkach wolnościowych. Rozproszona po całej Turcji i Azji Mniejszej garść byłych powstańców, przeważnie inteligentów, znalazła tutaj nie tylko gościnne przyjęcie, lecz również niezłe warunki bytu. Byli to po większej części inżynierowie, lekarze, kupcy, nauczyciele, telegrafiści i rzemieślnicy.

Jedyna polska kolonja rolnicza istnieje pod nazwą Adampol w Azji Mniejszej w okolicy miasteczka Pacha Bagtche, w odległości kilku godzin jazdy od Konstantynopola. Założył ją w r. 1842 ks. Adam Czartoryski w porozumieniu z Michałem Czajkowskim (Sadykiem-Paszą) na zakupionych w tym celu gruntach, za które zapłacił 100 tysięcy franków.

Założycielem kierowała idea tworzenia z rozproszonych po całej Europie polskich emigrantów politycznych zwartych skupień, które ułatwiłyby im kultywowanie polskiego ducha i chroniły przed wynarodowieniem.[1]) Wybrzeże Azji Mniejszej miało nadawać się do celu tego lepiej niż inne kraje,

---

[1]) Porów.: Leon Papieski: „Emigracja i Kolonizacja oraz zadania polskiej polityki emigracyjnej", Warszawa, 1918, str. 42.

tak ze względu na taniość gruntów, jak wobec małej siły asymilacyjnej społeczeństwa tureckiego. Projekty ks. Czartoryjskiego nie znalazły jednak oddźwięku w kołach emigracji politycznej, która w łonie swem mało posiadała materjału do tworzenia kolonizacji rolniczej; emigranci polityczni albo zespalali się rychło licznymi węzłami ze społeczeństwem, wśród którego przymusowo osiedli i które powoli przestawało być dla nich obcem, albo też marzyli o powrocie w strony ojczyste i żyli nadzieją że powrót tam będzie mógł rychło nastąpić. Zresztą emigracja polityczna składała się ze szlachty i mieszczan, a najmniej było wśród niej chłopa polskiego, który stanowi rzeczywiście doborowy materjał kolonizacyjny. Adampol pozostał więc jedyną widomą spuścizną po kolonizacyjnych projektach polskich ówczesnej epoki.

Osadnikami byli uchodźcy polityczni z zaboru rosyjskiego, pomiędzy których ks. Czartoryski rozdzielił zakupione grunta, rozdając je na prawach wieczystego czynszu, którego wszakże nigdy nie pobierał. Przed wybuchem wojny kolonja składała się z 42 rodzin i około 190 dusz. *) Kolonistom powodziło się materjalnie dobrze. Czerpali oni środki utrzymania bądź z gospodarstwa wiejskiego,—ziemniaki i masło adampolskie były bardzo poszukiwane na targu w Konstantynopolu — bądź z myśliwstwa i rybołówstwa albo dorywczych zarobków w Konstantynopolu, bądź wreszcie z wyrobu węgla drzewnego, sprzedawanego ze względu na znaczny popyt w walucie złotej. Znaczne dochody, ciągnął nadto Adampol z letników, którzy przybywali tu dla wypoczynku z poblizkiego Konstantynopola, zachęceni malowniczem położeniem osady i jej bujną zielenią oraz kulturalnością mieszkańców.

Pod względem narodowym kolonja zakonserwowała się

---

[1]) Porów.: D-r Jan Hupka „Nasi w Turcji", „Polski Przegląd Emigracyjny", 1910.

znakomicie. Mieszkańcy jej (niektórzy urodzeni na obczyźnie już w drugiem pokoleniu) wszyscy mówią z sobą tylko po polsku i uważają się za Polaków. Odwiedzani przez rodaków z kraju, zazwyczaj uskarżali się tylko na brak na miejscu polskiego księdza i polskiego nauczyciela (posiadali własną kapliczkę i lokal szkolny), których, ze względu na małą swą liczbę, nie mogli utrzymywać z własnych funduszów.

Rozszerzanie tej kolonji po wojnie (jak istnieją projekty w pewnych kołach) przez dokupienie sąsiednich gruntów, byłoby z punktu widzenia polityki osadniczo-emigracyjnej bezcelowem, gdyż istnienie jednej odosobnionej osady polskiej nad Bosforem, nie mogłoby dziś przyczynić Polsce żadnych zgoła korzyści. Przeciwnie, należałoby raczej skłonić osiadłych tam Polaków albo do reemigracji do ojczyzny, albo też do przesiedlenia się do Parany.

XIV. Wychodźtwo do Rosji.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Zasadnicza różnica między ruchem wychodźczym na Zachód i do Rosji. — Szczególne przyczyny potęgujące wychodźtwo do Rosji. — Skupienia miejskie. — Wynaradawianie się Polaków.

Mówiąc poniżej o wychodźtwie do Rosji, mam na myśli ruch emigracyjny, jaki rozpoczął się w drugiej połowie zeszłego stulecia i trwał bez przerwy w większych lub mniejszych rozmiarach aż do chwili wybuchu wojny światowej, kiedy pod wpływem wypadków wojennych, inwazji Niemców i przemocy, stosowanej przez Rosjan, przemienił się w ruch uchodźczy. Naogół biorąc, emigracja polska do Rosji sięga bardzo odległych czasów i, chcąc kreślić jej historję, trzebaby było cofnąć się przynajmniej o kilkaset lat wstecz. Należy nadto pamiętać, że oprócz emigrantów, w ścisłem tego słowa znaczeniu, przebywały w Rosji europejskiej i azjatyckiej tysiące politycznych wygnańców, których w takim tylko razie można było uważać za wychodźców, jeśli, co się niekiedy zdarzało, już po odbyciu wymierzonej kary pozostawali w miejscu swej deportacji dobrowolnie.

Ruch wychodźczy do Rosji pod wielu względami różnił się zasadniczo od emigracji polskiej na Zachód i do

Ameryki. Przedewszystkiem byl on innym pod względem jakościowym, pod względem swego składu. W krajach zachodnich, gdzie wykształcenie powszechne i kultura stały wysoko, istniał popyt wyłącznie na nasze ręce robocze, na naszą siłę fizyczną i cielesną wytrwałość. W Rosji natomiast, gdzie kultura stała nisko, gdzie brak było inteligencji, istniało silne zapotrzebowanie na ludzi, wykształconych ogólnie i zawodowo, na natury, wyćwiczone przez wielką kulturę w ścisłości, w pilności, w sumienności, połączonych z umysłową bystrością i rozwagą. Dlatego człowiek inteligentny, zwłaszcza fachowiec, równie łatwo znajdował zarobek w Rosji, jak nasz robotnik niewykwalifikowany lub rolny otrzymywał go na Zachodzie. Jeżeli i w Rosji tu i owdzie potworzyły się większe robotnicze kolonje polskie, jak np. w Kamienskoje lub przy Putiłowskich zakładach w Petersburgu, to dlatego, że Polacy potrzebni tam byli jako wykwalifikowani i uzdolnieni robotnicy metalowi.

W przeciwieństwie więc do emigracji na Zachód, rekrutującej się przeważnie z chłopów i wyrobników, emigracja do Rosji była par excellence wychodźtwem inteligentów, rzemieślników i robotników kwalifikowanych, wychodźtwem ludzi, którzy wywozili nie tyle swe dłonie do pracy, co przedewszystkiem swą wiedzę, swoje wiadomości zawodowe.

Wtedy, gdy ruch emigracyjny na Zachód odbywał się z tych samych mniejwięcej przyczyn, jakie powodowały emigrację również w innych przeludnionych krajach europejskich, emigracja polska do Rosji była w znacznej części wynikiem rusyfikacyjnej polityki zaborczego rządu. Zarządzenia władz rosyjskich tendencyjnie pozbawiały Polaków chleba w ich ojczystym kraju i przerzucały ich w głąb Rosji, by tam polska praca i polska wiedza szły na pożytek rosyjskiej cywilizacji i rosyjskiego gospodarstwa narodowego. Jak wiadomo, po roku 1863, Polaków systematy-

cznie usuwano ze wszystkich urzędów państwowych w Królestwie i na Litwie; ze stanowisk profesorskich, z administracji, sądownictwa, nawet z kolei i leśnictwa, jednocześnie dając im posady w głębi Rosji na Syberji i Kaukazie. Brak wyższych uczelni w Królestwie, względnie umyślne upośledzenie istniejących tu zakładów, wywołał ogromny odpływ do Rosji młodzieży akademickiej, której część, po ukończeniu studjów, pozostawała tam już na stałe. Przymus pełnienia służby wojskowej w garnizonach miast rosyjskich sprawiał, że pewien odsetek rezerwistów polskich po opuszczeniu pułku pozostawał w Rosji, zwłaszcza, gdy ludzie ci, przywykli do miejscowych stosunków, a nie mieli pewności, czy i jakie zajęcie będą mogli otrzymać w kraju.

Najwięcej wiadomości o wychodźtwie polskiem w Rosji znajdujemy w książce ks. Zyskara: „Polacy w rozproszeniu" oraz w rozprawie Wacława Sieroszewskiege: „Wychodźtwo polskie w Rosji i na Syberji", ogłoszonej w „Biuletynie Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego" i w „Polskim Przeglądzie Emigracyjnym"[1])

Według obliczeń Sieroszewskiego, liczba wychodźców polskich w Rosji (bez Turkiestanu) wynosiła okrągło 600.000. Najpotężniejszą liczebnie kolonję polską miał Petersburg: mieszkało tam około 60.000 Polaków, nie licząc w tem przeszło 6,000 żołnierzy narodowości polskiej, którzy wchodzili w skład miejscowego garnizonu. Drugie miejsce po Petersburgu zajmowała Odesa, która liczyła około 24.000 Polaków; Odesie prawie dorównywała Ryga. Dalej szły: Moskwa (około 20.000 Polaków), Kamienskoje (8.000), Smoleńsk (7.400), Charków (7.000); razem siedm tych miast miało przeszło 150.000 mieszkańców polskich, a więc jedną

---

[1]) Ks. Fr. Zyskar: „Polacy w rozproszeniu", Petersburg, 1909; Wacław Sieroszewski: „Wychodźtwo Polskie w Rosji i na Syberji" „Biuletyn P. T. E.", 1910, № 5. i № 7 i „Polski Przegląd Emigracyjny", 1911. № 11 i 12.

czwartą ogółu poskiej ludności w Rosji. Trzydzieści miast posiadało 2—3 tysięcy Polaków każde. W 60 miastach, miasteczkach i osadach znajdowały się kolonje polskie, liczące od 1.000 do 2.000 osób, w pozostałych miejscowościach było po kilkaset, kilkudziesięciu lub też kilku tylko Polaków.

Pod względem swego składu wychodźtwo do Rosji miało przeważnie charakter inteligencko-zawodowy, aczkolwiek w ostatnich latach stale wzrastała emigracja robotnicza. Z Królestwa głównie emigrowała inteligencja, a więc urzędnicy państwowi, inżynierowie, handlowcy, mechanicy oraz sprowadzani byli do niektórych zakładów przemysłowych, zwłaszcza metalurgicznych, robotnicy, w danym zawodzie dobrze wykwalifikowani; Królestwo dostarczało też Rosji sporą ilość rzemieślników. Z Litwy udawali się do Rosji przeważnie robotnicy niekwalifikowani i służba domowa. Z Galicji i zaboru pruskiego emigrowały do Rosji tylko nieliczne jednostki.

Można bez przesady twierdzić, że najwyżej 30—35% ogółu wychodźców polskich w Rosji trudniło się pracą fizyczną w dosłownem tego słowa znaczeniu; reszta sprawowała czynności kierownicze, należące do sfery inteligentów lub półinteligentów. Prostymi wyrobnikami, stróżami, woźnicami, posługaczami i t. p., stawali się przeważnie rezerwiści, którzy po ukończeniu służby czynnej w wojsku, pozostawali w miastach garnizonowych, otrzymawszy tam służbę u osób na miejscu poznanych albo też w instytucjach rządowych. Służba domowa męzka i żeńska dostawała się do Rosji przeważnie z emigrującemi tam rodzinami inteligentów polskich, następnie dopiero przechodziła do domów rosyjskich, pozostając już w Rosji nastałe.

Według urzędowej statystyki z roku 1907, cytowanej przez Sieroszewskiego, zajęcia wychodźców polskich w dwóch największych miastach Rosji przedstawiały się pod względem wzajemnego stosunku następująco:

	Petersburg. %	Moskwa %
1. Służba prywatna, służba domowa	25.4	15.6
2. Urzędnicy i robotnicy kolejowi. .	3.7	6.3
3. Lekarze, farmaceuci, akuszerki, posługacze szpitalni	2.6	5.5
4. Urzędnicy państwowi i w ogóle osoby służące w instytucjach rządowych	7,0	5.0
5. Krawcy, szewcy i szwaczki . . .	5.2	4.8
6. Nauczyciele, nauczycielki, służba w zakładach naukowych	2.3	4.4
7. Kupcy, handlujący wogóle. . . .	0.7	4.3
8. Literaci, artyści, uczeni, bibljotekarze i t. p.	1.9	3.9
9. Technicy i robotnicy, pracujący w przemyśle metalurgicznym . .	10.8	3.9
10. Architekci, murarze, cieśle i t. p.	(?)	1.7
11. Właściciele hoteli, restauracji, pokoi umeblowanych i t. d. . .	(?)	2.1
12. Wytwórcy wyrobów chemicznych.	(?)	0.8
13. Wytwórcy produktów spożywcz. .	(?)	0.8
14. Osoby, żyjące z dochodów od kapitałów, nieruchomości oraz zapomóg od krewnych	9.0	6.2
15. Osoby, żyjące z emerytur, wypłacanych przez państwo i instytucje społeczne	6.0	7.7

Stan wykształcenia ludności polskiej był w obu stołecznych kolonjach dość wysoki, a w porównaniu z ludnością miejscową rosyjską nawet bardzo wysoki, do czego przyczyniła się okoliczność, że w tamtejszych zakładach naukowych kształciło się wiele młodzieży polskiej (w Petersburgu przeszło 2.000, w Moskwie około 1.000). W Pe-

tersburgu, w r. 1897, odliczywszy żołnierzy, było wśród Polaków 26.9% analfabetów; 55% ludzi z wykształceniem elementarnem i 18% z wykształceniem wyższem. W Moskwie stosunek ten przedstawia się jeszcze lepiej: 19% analfabetów (bez żołnierzy) 41% osób z wykształceniem elementarnem, 41% z wykształceniem wyższem. Ludność tubylcza Moskwy ma w owym czasie 43.7% analfabetów i zaledwie 1.4% osób z wykształceniem wyższem.

O tem, jak się rozrastały kolonje wychodźcze w niektórych miastach rosyjskich wnioskować można z cyfr, dotyczących kolonji polskiej w Moskwie. W r. 1871 kolonja ta liczyła 3.500 członków, w r. 1882 liczba ich wzrosła do 4.500 osób, w r. 1897 zamieszkiwało Moskwę 8.973 Polaków, w roku zaś 1902 już 10.507.

W kolonjach wychodźczych polskich można było w całej Rosji zauważyć ogromną przewagę liczebną mężczyzn nad kobietami, oraz bardzo znaczny procent nieżonatych (w Petersburgu wynosił on 65%, w Moskwie 58%; w innych miejscowościach procent nieżonatych był jeszcze większy). Dużo istniało takich kolonji polskich, gdzie kobiet Polek nie było wcale, to też wśród ogółu małżeństw ilość mieszanych stanowiła przeszło 85%. Małżeństwa z Rosjankami prawie zawsze pociągały za sobą zupełne wynarodowienie. Na rusyfikowanie się Polaków, które czyniło niesłychane postępy zwłaszcza w szeregach funkcjonarjuszy państwowych, silny wpływ wywierały niesłychane trudności, z jakiemi połączone było tworzenie polskich organizacji; na zakładanie polskich towarzystw władze udzielały pozwolenia bardzo niechętnie, a udział w życiu i działalności tych towarzystw przeszkadzał w karjerze rządowej. Tem się też tłumaczy, że nawet tak wielkie kolonje polskie, jak petersburska i moskiewska, tworzyły instytucje przeważnie o charakterze ściśle wyznaniowem, towarzystwa bowiem katolickie, katolickie ochronki i czytelnie były łatwiej tolerowane przez rząd rosyjski, niż takież zakłady pod firmą wyraźnie polską;

katolicyzm był „dozwolen cenzuroj" — czemś legalnem, natomiast polskość była w oczach władz rosyjskich synonimem nieprawomyślności politycznej. Słabsze charaktery demoralizowały się łatwo w służbie państwowej, stąd bardzo wielu, zachowując wyznanie, wypierało się narodowości; nawet pomiędzy inteligentami spotkać można było jednostki narodowości „katolickiej", nie mówiąc już o osobnikach, które już zdecydowanie przeszły do obozu renegatów narodowych.

Na wynaradawianie się rozproszonych po Rosji wychodźców z klasy robotniczej wpływała łatwość uczenia się języka rosyjskiego, brak polskich skupień i polskiego życia towarzyskiego, wreszcie brak kościołów polskich. Ani emigracja do Ameryki, ani też wychodźtwo do krajów zachodnio-europejskich nie przynosiło Polsce tylu szkód pod względem narodowym, co emigracja do Rosji, nigdzie też Polak nie wynaradawiał się tak prędko i tak kompletnie jak w Rosji; tembardziej uderzać musi fakt obojętności, z jaką społeczeństwo nasze odnosiło się do tej emigracji, nie tylko nie starając się jej przeciwdziałać w ramach możliwości, lecz przeciwnie, uważając ją nawet za zjawisko zupełnie normalne, niemal pożądane. A przecież była to bodaj najdotkliwsza kontrybucja, jaką zaborcza Rosja systematycznie pobierała od nas w talentach, w umysłowym rozwoju, w inteligencji, w wykształceniu zawodowem, wydzierając z naszego społeczeństwa jednostki, które jeśli nie pod każdym względem przepadały dla polskiego narodu bezpowrotnie, to w każdym razie oddawały na usługi wrogiego nam rządu i narodu rosyjskiego skarby swego ducha, nagromadzone w ich nerwach i mózgach przez wysoką wielowiekową kulturę narodu. Ogromnej szkody, jaką emigracja ta wyrządzała naszemu narodowi, nie mogły rekompensować korzyści natury handlowej.

Ks. Zyskar w książce swej przytacza długi szereg przykładów wynarodowienia się Polaków w Rosji i wypie-

rania się ojczystej mowy. „Przez jakieś niezrozumiałe dla nas uczucie—opowiada autor „Polaków w rozproszeniu" — bali się narazić Rosjanom, podkreślając swe polskie pochodzenie, aczkolwiek tamci nie bali się, albo raczej nie wstydzili się zawsze i wszędzie wyrażać nam swoją nienawiść. Ileż to razy byłem świadkiem, jak urzędnik, niezły zresztą Polak, rozmawiał ze swymi rodakami publicznie po rosyjsku. Nawet ze mną próbowano tak czynić przy zbliżaniu się naczelnika lub żandarma, a tylko mój energiczny protest przyprowadzał do porządku. Chodzenie na molebny i panichidy było rzeczą tak zwykłą, że nawet nikt nie uwierzyłby, że można bez tego się obejść. Boże mój! i to wtedy, gdy nikt już do czynów haniebnych nie zmusza, tylko sami przez niewytłómaczone tchórzostwo i safandulstwo tak czynimy". „Nic dziwnego, że takie stosunki rozwinęły w Polakach tchórzostwo i zdaje się, iż tak już się przyzwyczaili do obroży, iż bez niej im jakoś nieraźno. Nietylko nie może być mowy o jakiejś pracy, chociażby z najmniejszym odcieniem nielegalności, ale nawet boją się tu Polacy czynów zupełnie legalnych, lecz przypominających, że są Polakami. Naprzykład w paru miastach sama myśl przezemnie rzucona o utworzeniu Towarzystwa dobroczynności, przestraszała całe kółka Polaków".

Ten upadek moralny i narodowy Polaków w Rosji doskonale charakteryzuje Sieroszewski, który miał możność przyjrzeć mu się własnymi oczyma. Oto, mówiąc o starym systemie caratu, który zmuszał naszą inteligencję do nadmiernej emigracji do Rosji, by osłabiając nas, wzmacniać jednocześnie siebie, pisze on:

„Do Polski sprowadza własnych lichych, złodziejskich, niedbałych i nieudolnych urzędników, a zdolnych, pracowitych, sumiennych Polaków przenosi do Rosji, gdzie ci ludzie niezwiązani niczem z miejscową ludnością, stają się z kolei nieraz jej plagą, przez swą służbistość, lojalizm i indeferentyzm do życia społecznego. Typ takiego zruszczo-

nego biurokraty — Polaka trafił nawet do literatury rosyjskiej, skreślony genialnem piórem Szczedryna w osobie „Krzepczesiulskiego”.

„Ale upadają tu nietylko urzędnicy Polacy, upadają niemal wszyscy — muszą upadać — z wyjątkiem bardzo już wybitnych jednostek. Ich umysłowość, ich psychika muszą ubożeć, gdyż obracają się w środowiskach, gdzie mniej jest w obiegu myśli i uczuć, albo też stopień tych uczuć i myśli jest niższy, bledszy, niklejszy. A że takim jest przeciętny ogół rosyjski, że różni się większem ubóstwem duchowem od naszego przeciętnego ogółu, temu nikt bezstronny nie zaprzeczy. Polakowi, który przenosi się do Rosji wydaje się z początku, że wyzbył się jakiegoś ciężaru, że mu tu jakoś łatwiej. Objaśnia to bardzo słusznie większą prostotą ludzi, lecz ta „prostota” nie jest wcale ani szczerością, ani siłą, lecz jest prostotą—ubóstwa.

„Skomplikowana i o wiele bogatsza w odcienie dusza polska wydaje się ogółowi Rosjan czemś niezrozumiałem, sztucznem... I dlatego Polak, ubożejąc, sam daje bardzo mało odmiennej odeń duszy rosyjskiej. Rosjanin otrząsa się na te subtelności istotnie niepotrzebne, gdyż nie mają one oddźwięku w duszach rosyjskiej większości. Po co tyle zachodu, po co tyle rozmaitych skrupułów i rozmyślań, kiedy można „poprostu”. I Polacy przyzwyczajają się do tego „poprostu”, tak że po powrocie do ojczyzny wydaje im się w niej ciężko, nieswojo i zbędnie... Tyczy się to zarówno robotników, jak i inteligencji, z małym wyjątkiem tych, co obcowali ze śmietanką inteligencji rosyjskiej”.

Rozumie się, że upadek moralny i narodowy był znacznie słabszy w kolonjach większych gdzie już potworzyły się zrzeszenia polskie, wspierające rodaków i dodające im otuchy, gdzie dużo wciąż napływało z kraju młodzieży, gdzie tysiączne nici, łączące wychodźców z ojczyzną, odżywiały wciąż i podtrzymywały polskie nałogi uczuciowe i obyczajowe, podtrzymując zainteresowanie sprawami ojczy-

zny, gdzie nareszcie wielka ilość wychodźców pozwalała na dobór ludzi ofiarnych i dzielnych, którzy poświęcali się pracy dla dobra miejscowych rodaków i krzewili wśród nich upadającego ducha narodowego. Ale kolonji takich było w Rosji mało, a istniejące w nich stowarzyszenia nie zadawalniały na ogół potrzeb naszego wychodźtwa.

Rozdział XXXVII.

Emigracja osadnicza na Syberję, jej rozmiary i przyczyny. — Zasady kolonizacji. — Bezinteresowni agitatorzy. — Stan rolniczych kolonji polskich na Syberji.

Osobny rodzaj wychodźtwa do Rosji tworzyła emigracja osadnicza na Syberję. Jeśli nie przybrała ona nigdy masowych rozmiarów i nie pociągnęła dla kraju naszego większych ofiar, zawdzięczać to należy przedewszystkiem nadzwyczajnej nieudolności kolonizatorów rządowych a także nieufności, z jaką wieśniak polski odnosił się do obietnic rosyjskiego rządu w myśl zasady: „timeo Danaos et dona ferentes''. Próby wywołania ruchu emigracyjnego z Królestwa na zakładanie na Syberji osad rolniczych ponawiane były kilkakrotnie. Tak nap. w r. 1909 wyemigrowało (według obliczeń urzędowych) 1667 osób z Lubelskiego, już jednak w roku następnym z liczby tej powróciło do kraju 348 wychodźców, reszta zaś, nie mając za co odbyć podróży powrotnej, słała listy błagalne do swych krewnych i rozmaitych instytucji z prośbą o zasiłek na drogę do ojczyzny. I ci i tamci stwierdzali, że syberyjskie kolonje rządowe zgotowały im zupełne rozczarowanie, nie przedstawiając żadnych widoków na poprawę bytu.

W r. 1910 ruch wychodźczy na Syberję ogarnął Zagłębie Dąbrowskie. Nie przyjął on jednak większych rozmiarów, gdyż sprawozdania delegatów, wysłanych przez

górników dąbrowieckich na Syberję dla zbadania warunków bytowania na kolonjach rządowych, brzmiały odstraszająco i kończyły się wymowną przestrogą przed wychodźtwem w tamte strony.

Rząd rosyjski rozdawał ziemie skarbowe w Syberji przybyszom z Europy zupełnie bezpłatnie, a mianowicie po 15 dziesięcin na każdą męską duszę. Podróż otrzymywali emigranci po zniżonej cenie, płacąc czwartą część ceny biletu trzeciej klasy. Nadto każdy mógł otrzymać bezprocentową zapomogę w gotówce w wysokości 100 rubli oraz bezpłatnie drzewo na budulec; ziemia rozdawana była właściwie nie na własność, lecz w bezterminową używalność z ojca na syna bez prawa sprzedaży lub darowizny. Emigranci z gubernji, które nie posiadały ziemstw, mogli osiedlać się tylko w guberniach irkuckiej i jenisejskiej oraz na Dalekim Wschodzie. Wyjazd ich musiał poprzedzać wysłanie osobnych delegatów (z których każdy musiał reprezentować najwyżej 10 pojedyńczych rodzin) celem wyboru odpowiednich gruntów. Tu dodać trzeba, że w irkuckiej i jenisejskiej guberniach, przeznaczonych dla polskich przesiedleńców, kolonje rządowe nie miały już zupełnie gruntów ornych, lecz pokryte były lasami; przybysze musieli tedy rozpoczynać swą gospodarkę od wycinania i karczowania lasu, nie zaś od uprawy gruntów i zasiewów, jak poprzednio mniemali; wobec panującej drożyzny zapomoga, wydawana przez rząd w sumie 100 rub., rozchodziła się odrazu i osadnik, o ile nie posiadał funduszów własnych, pozostawał bez grosza w kieszeni, zanim jeszcze mógł myśleć o własnych zbiorach. Odległość od arterji komunikacyjnych utrudniała zarobkowanie oraz zbyt produktów rolnych, jednocześnie podrażając wszystkie artykuły, sprowadzane z miast. Jeśli nadto weźmiemy pod uwagę surowy klimat i częste nieurodzaje, niedbałą administrację, brak szkół i kościołów, zrozumiemy, czemu osadnicy polscy przeważnie odrazu porzucali nadane im grunta i bądź wra-

cali do kraju, bądź też rozpraszali się po miastach i mieścinach syberyjskich w poszukiwaniu zarobków; zresztą znaczna część osadników składała się z robotników przemysłowych, którzy poprzednio rolnictwem nigdy się nie zajmowali i do robót w polu nie mieli ani potrzebnych wiadomości, ani też żadnego zamiłowania.

Bezinteresowną agitację za wychodźtwem osadniczem do Syberji uprawiali m. in. żołnierze — Polacy z wojny japońskiej, którzy mieszali Mandżurję z Syberją i na rachunek tej ostatniej zapisywali wszystkie przymioty ziemi mandżurskiej. Również bezinteresowną ale bardziej jeszcze skuteczną propagandę na rzecz Syberji prowadzili niektórzy zesłańcy polityczni ze sfery robotniczej, jeśli, wziąwszy się do rzemiosła, znaleźli odrazu dobry kawałek chleba. Ludzie ci słali entuzjastyczne listy do pozostałych w kraju krewnych i przyjaciół, przedstawiając Syberję w różowych kolorach i zachęcając wszystkich do przyjazdu. Przykłady takiej dobrą wiarą podyktowanej ale nie mniej szkodliwej agitacji cytuje Wojciech Szukiewicz, który w r. 1910 jako wysłannik Warszawskiego Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami zwiedzał Zagłębie Dąbrowieckie w celu zbadania przyczyn, budzącej się tam wśród górników gorączki emigracyjnej.[1])

O rozpaczliwym stanie nowopowstałych polskich osad rolniczych na Syberji szczegółowo informował w swem sprawozdaniu inny delegat Warszawskiego Towarzystwa Opieki nad Wychodźcami, Aleksander Borowiński, który w r. 1912 osady te umyślnie objechał i wywiózł stamtąd bardzo przykre wrażenia.

Najwięcej wychodźców polskich znalazł p. Borowiński w powiecie bałagańskim, irkuckiej guberni. Najbliższe

---

[1]) Wojciech Szukiewicz: „Wychodźtwo na Syberję", „Biuletyn Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego", 1910, str. 237.

osady, bo oddalone od stacji kolejowej Kutulisko tylko o 8 wiorst, położone były w tak zw. „Aleksandrowskim uczastku".

„Materjał kolonizacyjny— czytamy w sprawozdaniu[1])— jest tu zupełnie nieprzystosowany do miejscowych warunków, gdyż na całą wieś, składającą się z 36 gospodarstw, jest zaledwie trzech rolników, reszta zaś to przeważnie górnicy rzemieślnicy z Zagłębia, między którymi jest kowal, kilku cieśli i stolarzy oraz szewc. Kwestja przywiezionych zasobów przedstawia się różnorodnie: jeden np. przyjechał z kapitałem 1.500 rb., pięciu natomiast jest takich, którzy przyjechali za pożyczone pieniądze, licząc na rządową zapomogę. W pierwszym roku pobudowało się 12 rodzin, kilka rodzin w następnym roku, reszta i do tej pory mieszka w nędznych lepiankach, skleconych z desek, chrustu i oblepionych gliną. Położenie wychodźcy, przybyłego na Syberję bez kapitału i znajomości stosunków miejscowych, jest wysoce utrudnione. Jeśli przyjechał on np. na wiosnę, to po otrzymaniu rządowej zapomogi (od 100 do 150 rubli) nie wie co ma robić: czy wziąć się do uprawy roli, czy też budować chałupę. Jeśli zacznie uprawiać rolę — zimą nie będzie miał gdzie mieszkać, jeśli zaś pobuduje chałupę — będzie musiał żyć z gotówki. Najczęściej robią i jedno i drugie, lecz oczywiście źle; rezultat taki, że mieszkać musi w lepiance, a że nie zna jeszcze roli — przepada mu cały plon i wreszcie, przeżywszy ostatnie pieniądze — staje na progu nędzy. Jakże zresztą może być inaczej przy takim materjale kolonizacyjnym! Wszak wielu nawet konia do wozu nie umiało założyć, wywołując tem śmiech i szyderstwo ze strony włościan-sybiraków. Z drugiej strony miejscowa ludność wrogo jest usposobiona do przybyszów-kolonistów i na każdym kroku stara się im szkodzić. Przybysz wszystko musi kupować na wagę złota, oszukują go przy

---

1) „Wychodźca Polski", 1912, czerwiec.

każdej sposobności, szczególnie przy kupnie koni i bydła.

„Czy może iść gospodarka, gdy w drugim roku u 13 gospodarzy nie było jeszcze ani koni, ani pługów. Z zebranych wiadomości co do ilości i jakości zasiewów okazało się, że najwyżej zasiano 6 dziesięcin, średnio jednak od 1 — 2 dzies., 7-u zaś gospodarzy nic zupełnie nie zasiało.

„Trzeba również przyjąć pod uwagę, że we Wschodniej Syberji na każde 10 lat zdarza się średnio 3—4 nieurodzajnych. Wystarczy, by nieurodzaj powtórzył się 2 lata z rzędu, by początkującego kolonistę doprowadzić do zupełnej nędzy, co też się zdarzyło właśnie w latach 1910—1911. Nieurodzaje zdarzają się najczęściej wskutek panującej suszy, lub przymrozków, które n. p. w r. 1911 bywały jeszcze w końcu maja n. st. i już 28 — 29 sierpnia. Zima trwa prawie 8 miesięcy, na którą w czasie krótkiego lata trzeba przygotować dostateczną ilość paszy dla bydła, co przy wielu innych robotach, przy uprawie roli i niewielkiej ilości rąk zdolnych do pracy w rodzinie — jest bardzo trudne. Jeśli chłop syberyjski daje sobie w tych warunkach jako tako radę, to tylko dzięki niezmordowanej pracy w czasie całego lata, podczas którego kobiety wypełniają tę samą pracę, co mężczyźni, t. j. orzą, sieją, koszą i t. d. Praca odbywa się wśród wielkich upałów, właściwych kontynentalnemu klimatowi Syberyi, wśród mnóstwa nieraz komarów i muszek, tych prawdziwych plag Syberji. By uniknąć ukąszeń tych niewinnych owadów — włościanie pracują w specyalnych siatkach ochronnych, lub też smarują twarz i ręce dziegciem. Aczkolwiek każdy wychodźca otrzymuje na każdą męzką głowę w rodzinie (począwszy od 5 lat) od 10—15 dziesiatin ziemi, w tym jednak nie wszystka ziemia jest zdatna pod uprawę. W najlepszym wypadku $^2/_3$ jest jeszcze las, który trzeba karczować.

„Takie są naogół warunki, z którymi borykać się musi polski wychodźca i jak do tej pory nie można powiedzieć, by z walki tej wychodził zwycięzko. Do tych wszystkich

trosk materyalnych dodać należy zupełny brak zaspokojenia potrzeb duchowych. Syberyjska wieś polska, otoczona zewsząd obcym, często wrogim elementem, oddalona o setki wiorst od wszelkich środowisk kulturalnych, skazaną jest na zupełne wynarodowienie i zdziczenie. Już w drugim roku pobytu na Syberji polscy wychodźcy mówią dziwną mieszaniną polsko-rosyjską, ze specyalną domieszką syberyjskiego i burjackiego narzecza. Jeżeli jeszcze zdarza się tak szczęśliwie, że Zarząd Przesiedleńczy skupia Polaków w jednej większej kolonji, to wtedy mają oni prawo żądać wystawienia im szkoły i kaplicy, i nie wynaradawiają się tak prędko. Lecz do tej pory w całej Irkuckiej gub. istnieją dwie takie większe wsie (od 40—75 rodzin), reszta to niewielkie kolonijki od 10 — 15 rodzin, rozrzucone oazami wśród innych rosyjskich wychodźców i tubylców i skazane na wynarodowienie."

Jeszcze gorsze stosunki zastał p. Borowiński na największej kolonji polskiej, położonej w powiecie bałagańskim w odległości aż 120 wiorst od stacyi kolejowej. Kolonia ta nosi nazwę Wierszyno.

„Okazuje się—pisze — że nędza tu jeszcze większa, niż na Aleksandrowskim uczą stku, bo tam choć w pobliskich kopalniach coś zarobić można, a tu przy takiej odległości od kolei—nic. Burjaci za ciężką całodzienną pracę u siebie płacą 20 kop. dziennie i karmią herbatą z chlebem.

„Koloniści nasi, w pierwszym roku nic prawie nie zasieli, żyć musieli z gotówki, w drugim zaś był nieurodzaj z powodu suszy i rezultat taki, że wieś całą zastałem w ostatniej nędzy. Większość żywiła się już tylko ziemniakami bez soli, posprzedawali za bezcen wszystkie sprzęty i odzież, nie mówiąc już o koniach i bydle. Położenie wprost okropne, bez wyjścia!"

„Obszedłem wszystkie chałupy, dziwiąc się znów bezładowi, w jakim zostały pobudowane, zdejmując fotografie i zbierając materjały statystyczne. I tu znów nieoględność

iście polska, licząca na „jakoś to będzie". Wielu wychodźców przyjechało na pożyczone pieniądze, albo mając od 1 — 10 rb. Siedmiu znalazłem takich, którzy przyjechali bez grosza, ośmiu przyjechało z długiem, a największy kapitał wynosi 600 rb. Ci też, którzy przyjechali z jakim takim zasobem, pobudowali wcale niezłe domy i mogli coś niecoś zasiać. Reszta żyje w nędzy. O zaspokojeniu potrzeb duchowych niema mowy. Za całe 2 lata raz tylko widzieli księdza, na kolonję liczącą około 400 dusz nie było ani jednej gazety, a książka rzadko u kogo. W drugim roku większość gospodarzy zdołała zasiać zaledwie po 1—2 dziesięcin. Jeżeli jeszcze i w tym roku urodzaj nie dopisze — nie będzie już żadnego ratunku".

Przedostające się do kraju wiadomości o niepowodzeniu polskich osadników na Syberji powstrzymywały ruch wychodźczy z Królestwa na Wschód syberyjski i zmniejszyły wydatnie liczbę ofiar niefortunnych eksperymentów kolonizacyjnych rządu rosyjskiego. Na założonych kolonjach pozostali tylko ci Polacy, którzy bądź zdołali się jako tako zagospodarować dzięki przywiezionej gotówce, bądź też popadli w stan apatji i przygnębienia, nie pozwalający już na żaden wysiłek energji, aby wyrwać się z rozpaczliwej sytuacji. Reszta albo powróciła do kraju, albo rozproszyła się szukać zarobków po miastach syberyjskich, albo wreszcie powędrowała w dalszy świat w pogoń za lepszem. W r. 1913 spotkałem na wyspie Maui, archipelagu Hawajskiego, dwóch takich byłych kolonistów syberyjskich, Polaków z Kieleckiego, zatrudnionych na plantacji trzciny cukrowej. Jeden z nich był już kiedyś przedtem w Stanach Zjednoczonych, teraz zaś obydwaj marzyli, by dostać się do Parany.

XV. Uwagi końcowe.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Zalety i wady wychodźców sezonowych. — Niesłowność przeszkodą przy zdobywaniu nowych rynków pracy. — Skutki nieostrożności.—Łatwowierność w stosunku do pasożytów emigracji. — Niechlujstwo. — Brak zamiłowania do czytelnictwa.

Polski wychodźca sezonowy ma zagranicą, w tych mianowicie krajach, gdzie jest już dostatecznie znany, ustaloną opinję robotnika pracowitego, zdolnego i fizycznie bardzo wytrzymałego. Chwalą go tam, że łatwo się orjentuje w nowych metodach pracy, że inteligentnie spełnia otrzymane zlecenia i względnie szybko—pomimo zupełnego nieraz analfabetyzmu — przyswaja sobie zapas obcych wyrazów, niezbędnych do porozumiewania się z otoczeniem. I doprawdy niema chyba robotnika innej narodowości, któryby przy robotach z kosą w ręku potrafił rywalizować z naszym kosiarzem mazurem, gdy pracuje na akord i rzeczywiście chce zarobić, tak jak żadna z wiejskich robotnic zagranicznych nie zdoła sprostać naszej dziewusze w zwinności i pracowitości, gdy ta, robiąc w polu przy burakach, wie, że od wydajności jej pracy zależną będzie wysokość zarobku.

Obok tych zalet, cechujących naszego robotnika rolnego podczas zarobkowania na obczyźnie, ma on niestety

również i wady, które psują mu renomę na światowym rynku pracy. Do wad tych należy przedewszystkiem niesłowność. „Chłop nasz, z Galicji zwłaszcza — stwierdza Ludkiewicz w swej „Kwestji rolnej" — odznacza się zwykle ogromną niesłownością. Dla niego zobowiązanie kontraktowe, ani trochę nie jest jeszcze zobowiązaniem moralnem".[1]) Ta niesłowność naszego robotnika rolnego stanowiła największą bodaj przeszkodę przy zdobywaniu nowych rynków pracy, bo ogromnie zrażała zagranicznych pracodawców.

W Niemczech ustawiczne łamanie kontraktów najmu przez robotników polskich posłużyło za pretekst, uzasadniający zaprowadzenie przymusu legitymacyjnego. Lekarstwo to na niesłowność naszych „obieżysasów" było środkiem, często przez pruskich pracodawców nadużywanym, ale bądź co bądź skutecznym. Wychodźca nasz wiedział tam dobrze, że jeśli robotę lekkomyślnie porzuci, nie znajdzie jej już nigdzie w całych Prusiech, bo bez legitymacji nigdzie go nie przyjmą, a policja pruska bezzwłocznie odstawi go do granicy. To działało na niego hamująco. Nadto w gospodarstwach pruskich panował bajeczny rygor, na który z początku szemrał, ale któremu poddawał się nasz wychodźca, przemieniając się powoli w jedno z kółek wielkiej ale jak zegarek dokładnie funkcjonującej maszyny gospodarczej. Wreszcie wychodźtwo do Prus datowało się już oddawna i robotnik, jeśli wyruszał tam nawet po raz pierwszy, był pomimo to ze słyszenia obeznany z panującymi tam stosunkami, a oprócz tego zdawał sobie sprawę, że dzieli los setek tysięcy innych robotników polskich, w Prusiech zatrudnionych. To wszystko, razem wzięte, mniej usposabiało go do zrywania umowy najmu i porzucania pracy. Inaczej rzecz przedstawiała się w stosunku do krajów, dla na-

[1]) Zdzisław Ludkiewicz: „Kwestja rolna w Galicji". Lwów, 1910

szego wychodźtwa nowych. Rolny robotnik, wędrując tam, czuł, że jest przedmiotem prób i wędrówkę swą poniekąd za eksperyment uważał. Żaden przymus faktyczny nie przykuwał go tu do miejsca pracy, wiedział, że prawnie ma zupełną swobodę ruchów, naruszenie zaś umowy ze swej strony nie uważał za występek, któryby obciążał mu sumienie. Skoro więc, stosunki, jakie zastał, nie odpowiadały w całej pełni jego oczekiwaniom, skoro dokuczyła mu tęsknota lub zraziło byle jakie głupstwo, łamał kontrakt, bez wszelkich skrupułów opuszczając służbę.

W Prusiech, gdzie do robotnika naszego już przyzwyczajono się, gdzie rolnictwo bez robotnika tego już w żaden sposób obejść się nie mogło, fakt lekkomyślnego łamania kontraktów, nawet gdyby nie usunął go przymus legitymacyjny, nie zdołałby zatamować zapotrzebowania na polskie ręce robocze. Zresztą to zrywanie umów najmu przez polskich wychodźców sezonowych, w ostatnich latach coraz rzadsze i coraz bardziej uzasadnione, o tyle nie narażało pruskiego pracodawcy na znaczniejsze straty, że koszta podróży z Galicji, względnie z Królestwa, do sąsiednich Prus nie stanowiły większej kwoty, a jeśli robotnik zerwał umowę dopiero po upływie paru miesięcy, w takim razie narażał na stratę materjalną głównie siebie samego, gdyż w rękach pracodawcy pozostawała wtedy kaucja, którą zdążył już był potrącić z płacy robotnika. Inaczej było w krajach, dla naszego wychodźtwa nowych, np. we Francji. Ze względu na stosunkowo znaczne koszta podróży robotników, koszta z reguły ponoszone przez pracodawców, ryzyko tych ostatnich było tu bez porównania większe. Jeśli tedy francuski gospodarz, który po namysłach i wahaniu, dał się skłonić do sprowadzenia po raz pierwszy polskiego robotnika i na podróż jego wyłożył kilkadziesiąt franków, widział po upływie kilku dni lub kilku tygodni, że robotnik ten ucieka od niego bez żadnego zrozumiałego powodu lub dla przyczyn zupełnie błahych, nic dziwnego, że potem

nie tylko sam bał się sprowadzać nowych robotników, lecz przed podobnemi próbami przestrzegał jeszcze sąsiadów. To było głównym powodem, czemu we Francji sprawa sprowadzania polskich rąk roboczych tylko bardzo powolne czyniła postępy. Dla tych samych przyczyn zaniechało P. T. E. zamiaru czynienia zabiegów w Anglji o pozyskanie dla naszych sezonowców tamtejszego rynku pracy.

Niesłowność naszego wiejskiego wychodźcy nie polegała wyłącznie na skłonności do bezpodstawnego zrywania umów najmu: Przeszkadzała ona nieraz w wysokim stopniu przy wykonywaniu pośrednictwa pracy, gdy np. robotnicy przed wyjazdem zagranicę nie stawiali się w umówionym terminie i w ustalonym składzie, lecz na miejsce ekspedycji zgłaszali się bądź zawcześnie, bądź za późno, w nieodpowiedniej liczbie lub też o kwalifikacjach fizycznych, względnie fachowych, niezgodnych z poczynionymi w zamówieniu zastrzeżeniami.

Drugą wadą, rozpowszechnioną zwłaszcza wśród ludzi wiejskich, którzy zagranicą znaleźli pracę w przemyśle, było nadużywanie alkoholu i skłonność, pod wpływem trunków, do bijatyki i awantur. Zjawisko to można było obserwować w rozmaitych krajach i wszędzie reputacja polskiego robotnika cierpiała wskutek tego dotkliwie. Wśród robotników, pracujących na roli, pijaństwo było mniej rozpowszechnione.

Wskutek nieostrożności, graniczącej wprost z lekkomyślnością, narażali się wychodźcy na liczne straty, Podczas np. tłumnego powrotu na jesieni do kraju, na stacjach kolejowych, zwłaszcza pogranicznych, oraz w przepełnionych wagonach mnóstwo ich padało ofiarą kradzieży ze strony rzezimieszków, operujących zresztą w sposób wcale niewyrafinowany. Inni znów, pomimo smutnych doświadczeń, robionych pod tym względem, wysyłali pieniądze do kraju w listach nierekomendowanych. W ten sposób wcale pokaźna część oszczędności ogółu wychodźców przechodziła

każdego roku do kieszeni złodziei. Podobną lekkomyślność przejawiali wychodźcy przy powierzaniu siebie i swego mienia przemytnikom, przeprowadzającym ich „przez zieloną komorę“ podczas wędrówek z Królestwa za morze. O tem, że przemytnicy ci bardzo często w miejscach ustronnych dopuszczają się na emigrantach rabunków, zabierając im nieraz literalnie wszystko, było rzeczą powszechnie znaną. Inni znów emigranci (np. przy podróży na Galicję do Brazylji) wybierali się w drogę z rodzinami bez posiadania dostatecznej gotówki nawet na opłacenie biletu kolejowego do portu, wychodząc z zasady, że „jakoś to będzie“. Ta sama zasada pozwalała niektórym „obieżysasom“ zabierać z sobą zagranicę zamiast młodych chłopaków lub dziewcząt, jak opiewał kontrakt najmu do pracy, na który się ugodzili, staruszków schorzałych i niezdolnych już do żadnych wysiłków fizycznych. Inni znów zatajali posiadane choroby lub ułomności, co nieuchronnie narażało ich na konflikt z pracodawcami zaraz po przybyciu na miejsce pracy.

Niesłychaną była lekkomyślność, z jaką bardzo wielu wychodźców pozwalało wyzyskiwać się i oszukiwać rozmaitym agentom najgorszego typu, chociaż jednocześnie odnosiło się z nieufnością do rad i wskazówek, udzielanych bezinteresownie przez osoby ze sfer inteligentnych. Jak bezkrytycznie odnosili się do działalności agentów, świadczy choćby fakt, że kiedy w latach 1913—1914 rząd austrjacki usiłował zapomocą rozmaitych zarządzeń i szykan stłumić emigrację z Galicji popisowych, wśród potajemnie za sutą opłatą przewożonych przez granicę wychodźców, nie brakowało kobiet, opłacających narówni z mężczyznami wysokie honorarja agentom za pomoc lub wskazówki, aczkolwiek kobietom organy policyjne żadnych przeszkód przy wyjeździe zagranicę nie czyniły, bo nikt przecie nie mógł je posądzać, że uciekają przed służbą wojskową.

Wypadki, że robotnicy sezonowi podpisywali kontrakty najmu, zupełnie ich nie czytając i poprzestając na wy-

jaśnieniach, udzielanych przez nieznanych im bliżej werbowników, nie należały do rzadkości. Równie często zdarzało się, że emigranci przed wyruszeniem za morze, nietylko nie żądali od agentów, którzy podejmowali się ich ekspedycji, okazania cenników i rozkładów jazdy, lecz nawet nie brali od nich ani pokwitowań na wpłacone kwoty, ani przekazów na bilety okrętowe, które miały być im wręczane dopiero po przybyciu do portu. Ta łatwowierność w stosunku do rozmaitych hyen emigracyjnych srodze mściła się na skórze wychodźców i dopiero przestrogi poszkodowanych ofiar względnie własne doświadczenia zaczęły powoli otwierać im oczy na wartość przysług narzucających się pośredników.

Wadą, szczególnie często obserwowaną u sezonowych wychodźców, był brak zamiłowania do czystości i porządku, dochodzący niekiedy do obrzydliwego niechlujstwa. Odbijał się on niekorzystnie na ich stanie zdrowotnym, budził niesmak u obcego otoczenia, a swoim utrudniał wykonywanie opieki społecznej. Robactwo we włosach, rzadkie zmienianie bielizny, zanieczyszczanie zajmowanych lokali, niechęć do korzystania z ustępów i t. p., wszystko to szło w parze z pewnego rodzaju wandalizmem, który sprawiał, że w ubikacjach, przeznaczonych dla tej kategorji wychodźców, wprost niesposób było utrzymać całych mebli, czystych podłóg, porządnych łóżek. Dobrowolne korzystanie z łazienek, nawet gdy te były zupełnie bezpłatne (jak np. w schronisku noclegowem P. T. E. w Krakowie), nie zdarzało się prawie nigdy, we wspólnych zaś umywalniach ludzie ci potrafili myć się jeden po drugim, nie zmieniając wody; umieli do zasłanych porządnie łóżek włazić z zabłoconymi butami lub w nocy załatwiać swe naturalne potrzeby pod drzwiami pokoju, w którym spali, w sieni albo na korytarzu. Tego rodzaju jednostki mógł krępować tylko lęk przed karą lub obawa awantury. Było ich, niestety, sporo wśród „obieżysasów”, natomiast rzadziej można je by-

ło spotykać wśród wychodźców zamorskich, naogół kulturalniejszych i zasobniejszych od emigrantów sezonowych. Wśród tych ostatnich oporniej też czyniła postępy oświata. Tęsknota za książką i gazetą, tak często odczuwana przez Polaków, przebywających za oceanem, była ciągłe jeszcze nieznanym zupełnie uczuciem dla olbrzymiej większości emigrantów sezonowych; tylko niewielki odsetek z liczby umiejących czytać abonował podczas pobytu „na Saksach" gazetki ludowe lub nabywał książki. Jaskrawy dowód mało odczuwanej pod tym względem potrzeby stanowiła wysyłkowa wypożyczalnia książek dla emigrantów, założona przez P. T. E. w Krakowie. Była ona nie tylko zupełnie bezpłatną, ale nadto sama opłacała porto od wysyłanych pocztą książek, a jednak liczyła bardzo szczupłe grono abonentów. Ulubioną lekturą sezonowych wychodźców był kalendarz (zwłaszcza „Marjański") i dla przeciętnego „obieżysasa" stanowił on jednocześnie jedyną strawę duchową.

Z powyższych wad, rozpowszechnionych wśród naszych wychodźców, należy zdawać sobie sprawę przy organizowaniu dla nich pomocy społecznej i państwowej. Niewątpliwie wykorzenią je z czasem u chłopa polskiego postępy oświaty, które, podnosząc jego poziom kulturalny i etyczny, nauczą go nie tylko korzystać chętnie z kąpieli, ale także szanować własne słowo i dotrzymywać przyjętych dobrowolnie zobowiązań.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Dobre i złe skutki emigracji.

Jeśli na wstępie wspomniałem, że przyczyny wychodźtwa są bardzo skomplikowane i tkwią w całokształcie stosunków gospodarczo - społecznych, to również i o skutkach

emigracji można powiedzieć, że wywierały one bardzo różnorodny wpływ na życie naszego narodu. Pod względem ekonomicznym, skutki te nie były ujemne, jak przez długi czas powszechnie u nas mniemano. Bo wszak w olbrzymiej większości wypadków, na obczyznę wędrowali ci, którzy w kraju nie mogli znaleźć pracy. Godnym ubolewania był tedy nie tyle sam fakt zarobkowych wędrówek na obczyznę, jeśli zmniejszały one biedę w kraju, tworząc istotne „malum necessarium", ile raczej stan gospodarstwa krajowego, który tysiące dłoni roboczych czynił w kraju zbytecznemi. Nieszczęściem również było, że wychodźtwo przybierało w Polsce rozmiary często nienormalne, przekraczając znacznie ramy, dyktowane aktualną konjunkturą na krajowym rynku pracy, a fala emigracyjna unosiła niekiedy tych nawet, którzy mieli lub mogliby mieć widoki na poprawę bytu, przez pracę wśród swoich i dla swoich. Dalej, klęską i dla wychodźców samych i dla ogółu, był nieodpowiedni kierunek i niewłaściwy charakter, jaki częściowo przyjmował ruch emigracyjny. Na kierunek ten i charakter społeczeństwo w Polsce nie miało i nie mogło mieć dużego wpływu, pozbawione będąc własnego rządu i tych środków, jakie są niezbędne dla uprawiania racjonalnej polityki emigracyjnej i otaczania wychodźców potrzebną opieką. Zwłaszcza w Królestwie prąd wychodźczy sam sobie żłobił łożysko, często podziemne, płynąc samopas, a jeśli kto tej rzecze ludzkiej regulował koryto — były to zazwyczaj obce czynniki, tylko swój własny interes mające na widoku.

Wzamian za eksport rąk roboczych, uzyskiwała Polska stały dopływ gotówki, w postaci zaoszczędzonych przez wychodźców marek i dolarów. Oszczędności te, nie dające się w sumie dokładnie obliczyć, urastały do kwot wielomiljonowych, tworząc bardzo poważną pozycję w aktywach płatniczego bilansu Kongresówki i Galicji.

Pod względem ekonomicznym, zarobkowe wychodźctwo

do Ameryki było znacznie korzystniejsze od emigracji sezonowej. Pozwalało ono małorolnym rozszerzać, względnie porządkować swe gospodarstwa, bezrolnym umożliwiało niekiedy nabywanie gruntu, ułatwiało parcelację. Nie można tego samego powiedzieć o wychodźtwie sezonowym. „Obieżysas" z niewielkich oszczędności, jakie na jesieni przywozi do kraju, łata rozmaite dawne niedobory swego budżetu, udziela pomocy rodzinie, przeważnie zaś część ich konsumuje w ciągu przymusowej bezczynności podczas zimy — i z nastaniem wiosny jest najczęściej równie biedny jak był roku poprzedniego, znów przeto bierze kij wędrowny do ręki.

Do ważnych skutków emigracji sezonowej zaliczyć należy fakt, że pod wpływem jej pewna część ludności rolniczej przekształcała się na robotniczą miejską. Nadto ruch obieżysaski, zabierając tysiące rąk roboczych z kraju zmieniał stosunki na rynku pracy na korzyść robotnika krajowego, powodując wzrost zarobków w naszym kraju. Dalej, doniosłą stroną wychodźtwa sezonowego był stosunek jego do emigracji stałej. Było ono mianowicie jakby wentylem bezpieczeństwa dla nagromadzonego w kraju ciśnienia, spowodowanego nadmiarem rąk roboczych, nie znajdujących zatrudnienia na krajowym rynku pracy i stawało się środkiem zapobiegawczym przeciwko emigracji bezpowrotnej.

Pobyt naszych wychodźców na obczyźnie dla wielu z nich był doniosłym środkiem pedagogiczno - społecznym. Przebywanie wśród otoczenia, wyżej kulturalnie stojącego, poznanie nowych, doskonalszych form pracy i życia rozszerzało jego ciasny widnokrąg umysłowy i zmuszało, drogą porównania, do rozważania własnego położenia i własnej wartości. Z rozwojem umysłowym łączyło się też i podnoszenie się stopy życiowej ludu oraz podwyższenie produktywności pracy polskiego robotnika wogóle.

Na wzrost i rozwój ludności emigracja wywierała również wpływ wielki, ale ujemny. Opóźniał się okres mał-

żeński, bo przed zakładaniem własnej rodziny tak dziewczyna, jak chłopak pragnęli coś uskładać. Kobiety na skutek przepracowania często chorowały, liczba urodzin zniżała się, wielu młodych ludzi nabawiało się chorób wenerycznych, gruźlica czyniła wśród nich coraz większe postępy. Wogóle pod względem hygieniczno - społecznym emigracja przynosiła Polsce olbrzymie szkody.[1])

Również bardzo ujemnie wpływała ona na rozluźnienie obyczajów, zwłaszcza na dotkniętej wychodźtwem sezonowem do Prus wsi polskiej. Warto posłuchać co na podstawie własnej obserwacji pisał o naszych „obieżysasach" poważny włościanin Józef Kaźmierczak z Bieńkówki (Małopolska):

„Tańce, hulanki, muzyka, knajpy i zbytkowanie z chłopcami, oto co stanowi ich codzienne umiłowane zajęcie, zwłaszcza wieczorami w niedziele i święta. Żeby się niewiem jak napracowała, na tańcu godzinami skakać będzie z ochotą. Po niedługim czasie pozwała sobie jedna, druga i dziesiąta, a później coraz więcej na coraz większe swawole. A potem dzieją się gorszące hece i orgie, których epilog kończy się chrztem przed ślubem, a gorzej jeszcze, gdy różnemi prezerwatywami zatruwa sobie życie. Coraz więcej tej haniebnej praktyki używają nasze zepsute emigrantki i choć w ten sposób uda się im zażegnać wrzód, to później okropnie pokutują za to. Fakta takie spotykamy dziś bardzo często.

Stanowczo twierdzę, że ani jedna dziewczyna nie wraca taką z Prus, jak tam pojechała. Już po roku robi się z niej pusta pożądliwa kokietka, a po kilkoletnim tamże pobycie, to już cała skończona ladacznica.

I cóż z tego, że niejedna zarobiła nawet ładny grosz, kiedy straciła moralność i poczucie uczciwości.

---

[1]) Patrz.: Prof. Dr. Stanisław Ciechanowski: „Wychodźtwo pod względem hygieniczno-społecznym", Warszawa, 1914.

„Dzisiaj rozsądni młodzieńcy ani słyszeć nie chcą o żeniaczce z takiemi kobietami i choć niejedna ma tysiąc i więcej guldenów, nijak wydać się nie może. W mojej okolicy rzadko kto w ostatnich latach się żeni, choć dziewcząt z grubymi posagami pełno i gwałtem wydać się pragną. Przeważnie więc idą za wdowców i takich co niewiele wartają. Przyczyna tego jest, że każdy boi się wziąć sobie rozłajdaczoną, lekkomyślną a głupią „prusaczkę".

„Tak postępują nasze Kasie i Marysie. Nielepiej ma się sprawa z naszymi Jaśkami i Wojtkami. Chłopacy nasi i wogóle mężczyzni rozpijają się w okropny sposób. To ich główna i najcięższa wada. Przekonać się najlepiej o tem można, gdy „prusacy" nasi wrócą do domu na zimę. Wieś przybiera odrazu inny charakter. Butno, krzykliwie, popijając, pośpiewując, przepędza młodzież nasza czas zimowy w rodzinnej wiosce. Ile zepsucia, ile zgorszenia wnosi na wieś młodzież po powrocie z Prus, to o tem najlepiej wiedzą mieszkańcy wsi, gorszący się tem i ze wstrętem wspominający o tem morzu zepsucia, jakiem dla naszego narodu są Niemcy".[1])

Pod względem narodowym, najbardziej szkodliwą była bezpowrotna emigracja przesiedleńcza. Rozpraszając ludzi po krajach, gdzie szybciej lub powolniej podlegali asymilacji przez żywioły obce, oznaczała ona dla naszego organizmu narodowego bezpowrotny upust krwi, której straty nic powetować nie zdoła. Byłoby wszakże inaczej, gdyby ruch przesiedleńczy, którego w zupełności nigdy stłumić nie będzie można, kierował się do okolic, na ten cel zgóry upatrzonych, gdzie wychodźcom, nawet w najdalszych pokoleniach, nie groziłoby wynarodowienie, i gdzie żywioł polski mógłby się swobodnie rozwijać pod względem narodowościowym i kulturalnym, tworząc coraz to większe, zwarte i narodowo jednolite skupienia. W takich warunkach, na-

---

[1]) „Praca", 1912, str. 39—41.

wet emigracja przesiedleńcza przestałaby przynosić dzisiejsze szkody narodowe, bo zamiast kurczyć ojczyznę i ogałacać ją z obywateli, stałaby się narzędziem jej ekspansji, środkiem do pokojowego rozszerzania granic.

ROZDZIAŁ XL.

Poczynania w zakresie polityki emigracyjnej przed wojną. — Polskie Towarzystwo Handlowo-Geograficzne. — Towarzystwo Kolonizacyjne we Lwowie. — Związek Kolonjalny Wydawniczo-Wywozowy. — „Przegląd Emigracyjny". — Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie. — Towarzystwo Opieki nad Wychodźcami w Warszawie. — Zadania polskiej polityki emigracyjnej.

Zniewolone do liczenia się z ruchem emigracyjnym jako objawem w pewnych ramach nieuchronnym, państwo polskie będzie musiało usilnie dążyć do unormowania go — pośrednio przez swą ogólną politykę ekonomiczną, zmierzającą do podniesienia powszechnego dobrobytu i kultury, bezpośrednio zaś — przez racjonalną politykę emigracyjną.

Własnej polityki emigracyjnej, w pełnem tego słowa znaczeniu, społeczeństwo nasze do chwili odzyskania niepodległości narodowej prowadzić nie mogło, gdyż, nie tworząc niezależnego organizmu państwowego, nie rozporządzało aparatem niezbędnych ku temu środków.

Pewne poczynania, jakie były na tem polu, stanowiły przejaw istniejącego w niektórych kołach obywatelskich zrozumienia doniosłości sprawy emigracyjnej, były szeregiem mniej lub więcej gorliwych prób i usilnych nawoływań ze strony małych grup i pojedyńczych jednostek, pasmem niekiedy bardzo mozolnych wysiłków, rwących się wskutek bezsilności i apatji społeczeństwa. Na tle tych zabiegów zarysowywały się niekiedy najważniejsze postulaty minimalnego programu polskiej polityki emigracyjnej,

realizacja których rozbiła się atoli o brak własnej państwowości [1]).

Przytoczę kilka przykładów akcji obywatelskiej u nas na polu emigracji:

W wykonaniu uchwały trzeciego zjazdu polskich prawników i ekonomistów, odbytego w Poznaniu w roku 1893-im, powstało we Lwowie w roku 1894-ym „Polskie Towarzystwo Handlowo-Geograficzne", celem którego według statutu było: „popieranie ekonomicznych interesów krajowych przedewszystkiem przez wynajdywanie nowych targów zbytu dla przemysłu polskiego i nowych rynków handlowych, przez zbieranie i udzielanie dokładnych informacji, dotyczących ekonomicznych stosunków różnych krajów i przez nawiązywanie bezpośrednich stosunków handlowych". Zadania swe pragnęło Towarzystwo spełnić przy pomocy polskiego wychodźtwa przez zainicjowanie i utrzymywanie z nim ekonomicznej łączności. Na czele Towarzystwa stanął jako prezes Tadeusz hr. Dzieduszycki, w skład zarządu wchodzili m. in.: prof. Emil Dunikowski, prof. Stan. Głąbiński, Dr. Stan. Kłobukowski, Dr. Aleksander Lisiewicz, prof. Józ. Siemiradzki, dytektor banku Terenkoczy i adw. Dr. Wiktor Ungar.

Organem Towarzystwa była „Gazeta Handlowo - Geograficzna" pod redakcją D-ra Wiktora Ungara, która wychodziła we Lwowie od r. 1895 po koniec r. 1902, z początku jako dwutygodnik, później jako miesięcznik. Stanowiła ona kontynuację „Przeglądu Emigracyjnego", założonego w r. 1892 we Lwowie z inicjatywy Jana Popławskiego i Romana Dmowskiego i zamienionego przez nich w r. 1895 na organ polityczny pod tytułem „Przegląd Wszechpolski", który, jak wiadomo, stał się kolebką stronnictwa narodowo-demokratycznego.

Towarzystwo Handlowo - Geograficzne całą uwagę po-

---

[1]) Patrz: Józef Okołowicz. „Zadania polskiej polityki emigracyjnej" Warszawa, 1918.

święcilo emigracji, głównym zaś hasłem jego stało się skupianie polskiego wychodźtwa osadniczego w Paranie. Ideę tę szczególnie gorliwie propagowała „Gazeta Handlowo-Geograficzna", nadto wyróżniając stan Washington nad Pacyfikiem jako teren, odpowiedni do skoncentrowania osiadłych już w Ameryce Północnej a rozproszonych po innych okolicach Stanów Zjednoczonych Polaków.

Z ramienia polskiego Towarzystwa Handlowo - Geograficznego, jako jego delegaci, wyjeżdżali do Ameryki południowej Dr. Stanisław Kłobukowski i później Józef Okołowicz.

Dla braku poparcia ze strony ogółu Towarzystwo Handlowo-Gieograficzne nie zdołało rozwinąć szerszej działalności i zawiesiło ją zupełnie po kilku latach istnienia. Owocem prowadzonych przez nie badań było założenie w r. 1897-ym we Lwowie „Polskiego Towarzystwa Kolonizacyjnego", stowarzyszenia zarejestrowanego z ograniczoną poręką, na czele którego stanęli: Kazimierz ks. Lubomirski, jako prezes, Dr. Jan Kanty Steczkowski, jako vice-prezes, oraz prof. Józef Siemiradzki, dyr. Terenkoczy i Dr. Wiktor Ungar, jako dyrektorzy. Towarzystwo to miało na celu kolonizowanie Parany polskimi osadnikami i przez swego wysłannika, p. Zenona Lewandowskiego z Poznańskiego, zakontraktowało już u rządu parańskiego obszerne tereny na bardzo dogodnych warunkach. Działalność Towarzystwa tego nie zdołała wyjść poza czynności przygotowawcze, gdyż zebrało ono zaledwie dziesiątą część bardzo skromnie preliminowanego kapitału. Również i zawiązany w dwa lata później we Lwowie „Związek Kolonjalny Wydawniczo-Wywozowy", którego dyrekcję stanowili: Stanisław Downarowicz, Wacław Żmudzki i Ernest Lilien, nie zdołał się dłużej utrzymać dla braku potrzebnych funduszów. Stawiał on sobie za zadanie nawiązanie stosunków handlowych z Paraną i krzewienie polskiej oświaty wśród osadników parańskich i w tym celu przez przeciąg niespełna dwóch lat utrzymywał ekspozyturę

w Kurytybie z księgarnią i własnym tygodnikiem ludowym („Prawda“), wydawanym i redagowanym przez J. Okołowicza.

W r. 1907 nakładem i pod redakcją J. Okołowicza rozpoczął wychodzić we Lwowie dwutygodnik „Polski Przegląd Emigracyjny”, który, przeniesiony następnie do Krakowa, przetrwał do chwili wybuchu wojny. Z inicjatywy tego czasopisma i za staraniem grona osób, które dawniej skupiały się w Towarzystwie Handlowo-Geograficznem, powstało w r. 1908-ym z siedzibą początkowo we Lwowie, następnie w Krakowie Polskie Towarzystwo Emigracyjne, które postawiło sobie za cel zorganizowanie w ramach możliwości wszechstronnej opieki nad wychodźcami, normowanie emigracji i zainicjowanie polityki emigracyjnej w duchu interesów narodowych. Rada nadzorcza P. T. E. składała się z wybitnych przedstawicieli rozmaitych stronnictw politycznych. W skład jej wchodzili: poseł sejmowy Dr. Jan Hupka (prezes), poseł na Sejm i do parlamentu wiedeńskiego, prof. uniwersyt. Dr. Alfred Halban (wiceprezes), poseł sejmowy Dr. Ernest Adam, poseł sejmowy prof. uniw. Dr. Antoni Górski, poseł do parlamentu Cezar Haller, poseł do parlamentu ks. kanonik Dr. Adam Kopyciński, prof. uniw. Dr. Adam Krzyżanowski, redaktor Bronisław Laskownicki, dyrektor banku Dr. Witold Lewicki, poseł do parlamentu Dr. Aleksander Lisiewicz, radca miejski adw. Dr. Stanisław Rowiński, dyrektor Banku Ziemskiego, Dr. Jan Rozwadowski, redaktor Stanisław Rymar, rejent Dr. Tad. Starzewski, dyrektor Banku Krajow., Dr. Jan Kanty Steczkowski, poseł do parlamentu i sekretarz lwowskiej Izby Handlowej Dr. Władysław Stesłowicz, poseł sejmowy Jan Wasung, poseł Franciszek Wójcik i poseł Dr. Ignacy Wróbel.

Dyrekcję tworzyli: Józef Okołowicz (dyrektor naczelny), poseł Dr. Franciszek Bardel (syndyk), Antoni Doerman, Dr. Józef Raczyński i Tad. Tabaczyński. Wśród urzędni-

ków znajdowali się między in. Bolesław Roja, kierownik krakowskiego biura pośrednictwa pracy, (później generał wojsk polskich) i Zbigniew Dunin-Wąsowicz, kierownik biura P. T. E. w Rzeszowie (który podczas wojny jako rotmistrz 2-go pułku ułanów Legjonów Polskich poległ w słynnej szarży pod Rokitną).

Dla opieki nad sezonowymi robotnikami rolnymi utrzymywało P. T. E. biura pośrednictwa pracy w Krakowie, Lwowie, Rzeszowie, Przemyślu i Brzeżanach; biura te propagowały bojkot niemieckiej „Arbeiterzentrale" i dążyły do zdobycia zagranicznych rynków pracy poza Prusami, jednocześnie zaś wytrwale pracowały nad zaspokojeniem potrzeb rynku krajowego; wystarczy wspomnieć, że w r. 1914 jedno tylko krakowskie biuro pośrednictwa pracy P. T. E. zapośredniczyło pracodawcom galicyjskim więcej robotników, niż to jednocześnie zdołały uczynić wszystkie 22 powiatowe biura pośrednictwa pracy, u których miało to być przecie głównem zadaniem. Z inicjatywy P. T. E. zaprowadzone zostały w Galicji Zachodniej dla robotników rolnych normalne kontrakty najmu o warunkach, zbliżonych do zagranicznych i ułożonych w porozumieniu z organizacjami rolniczemi, które ze swej strony uznawały w P. T. E. instytucję pierwszorzędnej pożyteczności, usiłującą przeciwdziałać emigracji przez ułatwianie robotnikom wyszukiwania pracy w kraju.

Dla opieki nad wychodźcami zamorskimi utrzymywało P. T. E. bezpłatne biuro informacyjne i biuro sprzedaży kart okrętowych, które, chroniąc imigrantów przed wyzyskiem ze strony pokątnych agentów i ułatwiając Towarzystwu wpływ na kompanje okrętowe oraz opiekę nad emigrantami podczas podróży, jednocześnie stanowiło finansową podstawę do działalności na innych polach (z końcem 1913 r. P. T. E. złożyło koncesję na biuro podróży w myśl porozumienia z Ministerstwem Handlu i umowy z „Austro Americaną", która w zamian zapewniała Towa-

rzystwu daleko idące ingerencje w wykonywaniu opieki nad wychodźcami zamorskimi). W nabytym i odpowiednio na ten cel urządzonym domu w Krakowie założyło P. T. E. pierwsze w Polsce schronisko noclegowe dla emigrantów, zaopatrzone w 100 łóżek, w którem wychodźcy tak sezonowi jak zamorscy mogli otrzymywać wygodny nocleg za drobną opłatą lub (olbrzymia większość) zupełnie bezpłatnie. W hali schroniska odbywały się częste wykłady dla emigrantów, bądź ogólno kształcące, bądź też zaznajamiające ich z warunkami życia i pracy w krajach, do których się udawali. Również pierwszą w Polsce (a bodaj i w całej Europie) była utrzymywana przez P. T. E. bezpłatna wypożyczalnia książek dla rodaków, przebywających na obczyźnie, tak jak jedynym w swoim rodzaju był ilustrowany tygodnik, wydawany przez P. T. E. dla wychodźców p. t. „Praca" (cena pojedynczego numeru bez przesyłki pocztowej wynosiła mniej niż 4 halerze!); miał on tak czytelników jak współpracowników wśród emigrantów polskich w rozmaitych krajach europejskich i zamorskich. Dział wydawniczy—oprócz organu oficjalnego, jakim był „Polski Przegląd Emigracyjny",—mógł się pochlubić całym szeregiem popularnych przewodników, słowniczków, kalendarzy i broszur informacyjnych. Podejmowane przez wysłanników P. T. E. podróże informacyjne obejmowały Danję, Szwecję, Belgję, Francję, Anglję, Szkocję, Szwajcarję, Bośnię i inne kraje europejskie, a za oceanem: Stany Zjednoczone, Kanadę, Argentynę i wyspy Hawajskie. Nadto sumptem i z inicjatywy P. T. E. odbywały się objazdy misyjne księży polskich po Francji. Z innych poczynań P. T. E. wymienić należy bezpłatne biuro porady prawnej dla emigrantów, rozsyłanie prasie komunikatów z ostrzeżeniami dla wychodźców i z wiadomościami o najnowszych przepisach emigracyjnych i t. p., dalej — ułatwianie Polakom, przebywającym na obczyźnie abonowania czasopism polskich i nabywania książek oraz załatwianie im wedle mo-

żności rozmaitych innych spraw w kraju, przedkładanie memorjałów w rozmaitych sprawach wychodźczych rządowi wiedeńskiemu, interwencje na korzyść robotników zagranicą u władz konsularnych i t. d.

P. T. E. korzystało stale z moralnego i finansowego poparcia Sejmu Krajowego, który każdego roku uchwalał mu subwencje, oraz z opieki parlamentarnego Koła Polskiego w Wiedniu, które niejednokrotnie brało je w obronę przed szykanami ze strony niechętnych mu austrjackich władz centralnych. Usilnie zwalczane przez ukraiński „Narodny Komitet" i berlińską „Arbeiterzentrale", zachowało P, T. E. do końca swej działalności charakter ściśle bezpartyjny i cieszyło się zaufaniem i uznaniem olbrzymiej większości społeczeństwa i prasy polskiej w Galicji, oraz coraz większą popularnością wśród wychodźców galicyjskich. Jednocześnie miało ono, bo mieć musiało, zawziętych przeciwników wśród rozmaitego typu spekulantów emigracyjnych oraz grono nieprzyjaciół wśród innych osobistości, którym się naraziło. Z tego źródła pochodziła oszczercza kampanja, bez przebierania w środkach, prowadzona przez kilka lat przeciwko P. T. E,, epizodem której były procesy prasowe przed sądem przysięgłych w Krakowie, zakończone wszystkie pełnem zwycięstwem Towarzystwa i wykazujące bezpodstawność i nizkie motywy rozsiewanych o tej instytucji oszczerstw i plotek. Oczywiście — jak zawsze bywa z każdą plotką i z każdem oszczerstwem — echa tych napaści mogły tu i owdzie znajdować posłuch i u ludzi dobrej woli, jednostronnie informowanych; utrudniały one ogromnie działalność instytucji, która oprócz zwalczania różnorodnych przeszkód i borykania się z brakiem odpowiednich środków finansowych, musiała jeszcze poświęcać wiele czasu i energji na obronę przed rozmaitemi napaściami oszczerców i ich intrygami. Pod tym względem żadna chyba inna placówka społeczna nie miała w Polsce drogi tak bardzo usłanej cierniami i żadnej tyle kamieni nie rzucano pod nogi.

Z chwilą wybuchu wojny P. T. E. działalność swą zawiesiło.[1])

Za przykładem P. T. E. w Krakowie zawiązało się w Królestwie w r. 1910 „Towarzystwo Opieki nad Wychodźcami“ z siedzibą w Warszawie. W skład zarządu weszli tu: Henryk Dębiński, jako prezes, Ludwik Górski i ks: prałat Gnatowski jako wice-prezesi: Wojciech Szukiewicz i Ludwik Włodek, jako sekretarze i Tadeusz Balicki jako skarbnik, oraz: M. Bojanowski, J. Gościcki, ks. W. Helbich, Dr. Stan. Kozicki, St. Osiecki, J. Skokowski, ks. A. Szelążek, Jul. hr. Tarnowski i B. Wasiutyński — jako członkowie. Najogólniejszem zadaniem Towarzystwa było —mówiąc słowami jego programowej odezwy, wydanej w czerwcu 1910 r.—„uregulowanie wychodźtwa, dążenie do zapanowania nad ruchem, aby nim potem pokierować, czyli prowadzić politykę emigracyjną“. — „Przechodząc z kolei do sposobów wykonania tych olbrzymich zadań—głosiła dalej wspomniana odezwa—które stawia sobie Towarzystwo Opieki nad Wychodźcami, zaznaczyć trzeba, że nie jest ono instytucją filantropijną. Koszta, wynikające z wykonania jego zadań, zamierza pokrywać z umiarkowanych opłat za pośrednictwo. Z drugiej strony nie jest także instytucją finansową; przewyżka dochodów nad rozchodami może być używana jedynie na wykonanie zadań Towarzystwa, a żadne dywidendy członkom wydawane być nie mogą.“ Jak widzimy, i pod tym względem było warszawskie Towarzystwo w swojem założeniu zbliżone do krakowskiego P. T. E., które również, nie zamierzając opierać się na kruchych podstawach filantropji, nigdy wszakże nie wypłaciło swym

---

[1]) Porów. publikowane każdego roku w „Polskim Przeglądzie Emigracyjnym” i w osobnych broszurach sprawozdania z działalności P. T. E. oraz broszurę „Oszczerstwa na P. T. E. przed sądem”, Kraków, 1913 (stenograficzne protokóły z procesu sądowego o obrazę czci drukiem), — wreszcie „Polski Przegląd Emigracyjny”, Rok 1914, Zeszyt I.

członkom ani halerza dywidendy i nigdy nie zdradzało podobnych tendencji.

Niestety, działalność warszawskiego Towarzystwa, chociaż trwała do chwili wybuchu wojny, nie zdołała nigdy przybrać szerszych rozmiarów. Rozwój jego hamował brak środków finansowych i utrudnienia, czynione przez władze rosyjskie. Nie miało ono wybitnych wrogów, ale nie potrafiło też przełamać obojętności społeczeństwa i pozyskać odpowiedniej popularności wśród rzesz wychodźczych. Organem Towarzystwa był skromny miesięcznik p. t. „Wychodźca polski“, który już w październiku 1912 r. został zwinięty dla braku funduszów i prenumeratorów (miał ich tylko jedną setkę).[1]) Również względy finansowe zniewoliły Towarzystwo do zwinięcia niebawem biur, otwieranych na prowincji. Próby zajęcia się wychodźtwem sezonowem udaremnił zakaz władz rosyjskich, spowodowany prawdopodobnie zabiegami „Arbeiterzentrale“: Styczność z emigrantami zamorskiemi ułatwił ożywiony ruch emigracyjny do Parany, który Towarzystwo zwalczało, jak mogło, aczkolwiek przez sprzedaż kart okrętowych, tworzył on główną podstawę materjalną do jego egzystencji.

[1]) Uskarżając się w pożegnalnym artykule na obojętność społeczeństwa i niedocenianie emigracji, jako sprawy ogólno-narodowego znaczenia, redakcja „Wychodźcy" wypowiada przytem następującą wielce trafną uwagę:

„Znaczną szkodę sprawie przynosi cały zastęp nieproszonych i niepowołanych doradców, którzy zamiast się skupić w Towarzystwie, na to stworzonem, wolą na swoją rękę i na swój sposób uczyć, namawiać i wichrzyć. Zdaniem ich, emigracja to jedna z tych spraw, w której każdemu wolno głos zabierać, ratować kraj przez wskazywanie dróg, najczęściej im nie znanych lub pod specjalnym kątem widzianych. O tem, że chcąc kogoś uczyć, trzeba samemu coś naprawdę wiedzieć, że ludzie jakiejś sprawie wyłącznie oddani, muszą znać ją lepiej od dyletantów — o tem ani na chwilę nie pomyślą. Stąd tyle zdań, ilu autorów, stąd zamęt, od którego najwięcej cierpi emigrant, a za nim T-wo" („Wychodźca Polski", Październik, 1912).

Podkreślić należy usiłowanie Towarzystwa do zdobycia sobie wpływu na ruch emigracyjny z Litwy. W tym celu utrzymywało ono swą ekspozyturę w Wilnie i wydało w litewskim przekładzie J. Okołowicza „Wskazówki dla wychodźców, udających się do Ameryki".

Przytoczone wyżej objawy akcji obywatelskiej w dziedzinie wychodźtwa nie tylko zawsze wykazywały karygodną obojętność naszego ogółu wobec zagadnień wychodźczych, lecz nadto w wynikach swych dowodziły wymownie, że polityki emigracyjnej, szerzej pojętej, społeczeństwo bez własnej państwowości prowadzić nie może, gdyż najważniejszymi narzędziami takiej polityki są umowy z państwami, do których, względnie przez które, skierowuje się ruch wychodźczy, są przepisy ustawodawcze i odpowiednie instytucje rządowe, z którymi mają obowiązek współdziałania i inne organy państwowe.

Polska polityka emigracyjna polegać musi na dążeniu, by ruch emigracyjny redukował się zawsze do normalnych granic, dyktowanych koniecznością, która go powoduje, oraz by przynosił dla kraju jaknajmniej strat, a jaknajwięcej korzyści. Opierać się ona winna, ogólnie biorąc, na trzech następujących wskazaniach:

1) aby jaknajmniej obywateli emigrowało,
2) aby z tych, którzy emigrują, jaknajwięcej wracało do kraju z jaknajwiększym dorobkiem materjalnym i bez strat moralnych i fizycznych,
3) aby z tych, którzy nastałe pozostają na obczyźnie, jaknajmniej przepadało dla Polski.

Do osiągnięcia pierwszego celu prowadzi oczywiście ogólna gospodarcza polityka państwowa przez podniesienie krajowej wytwórczości do tego stopnia, aby nie tylko mogła ona zapewnić pracę wszystkim obywatelom kraju, ale nadto aby klasie robotniczej umożliwiała życie na stopie, przyjętej w krajach zachodnio-europejskich. Jednem słowem, chcąc zredukować wychodźtwo zarobkowe do minimum, na-

leży działać prewencyjnie t. j. usuwać zasadnicze przyczyny, które je rodzą, a o których była mowa na wstępie tej książki. To samo dotyczy oczywiście wychodźtwa osadniczego, które zmaleje do zera z chwilą, gdy chłop polski będzie mógł swój głód ziemi zaspokoić w kraju ojczystym.

Do specjalnych zadań polityki emigracyjnej należeć musi zwalczanie tych zjawisk, które ruch wychodźczy sztucznie podniecają, rozdymając do rozmiarów nienaturalnych, a więc przedewszystkiem zwalczanie agitacji emigracyjnej, tak spekulacyjnej, jak prowadzonej z pobudek ideowych.

Natomiast polityka ta opierać się powinna na zasadzie zupełnej wolności emigracji. Wymaga tego nie tylko demokratyczny duch czasu, lecz również poczynione dotychczas we wszystkich krajach doświadczenia, które dowodzą, że nowoczesne wędrówki emigracyjne nie są żadną chorobą społeczną, którą możnaby uleczyć przez stosowanie tych lub innych środków sztucznych. Biegu rzeki nie powstrzymają budowane wpoprzek groble. Wszelkie zakazy, szykany i straże nie tamują wychodźtwa, lecz zniewalają prąd emigracyjny do żłobienia sobie podziemnego koryta uczą wychodźców obchodzenia przepisów, czynią z nich przestępców, usposabiają ich nieprzychylnie do własnego rządu i wydają na pastwę częstych pomyłek, na łaskę i niełaskę rozmaitych niepowołanych opiekunów w postaci wszelkiego rodzaju pasożytów wychodźtwa.

Zakazy wychodźtwa mogą być tylko zarządzeniami wyjątkowymi, dotyczącymi poszczególnych krajów imigracyjnych i wynikającymi ze względu bądź na interes ogólnopaństwowy, bądź na dobro samych wychodźców. Ze względu na własne bezpieczeństwo może np. państwo zabronić emigracji do drugiego państwa, z którem pozostaje na stopie wojennej, ze względu na bezpieczeństwo wychodźców może zakazać im wędrówek do kraju, w którym wybuchły groźne epidemje lub zamieszki rewolucyjne. Nadto zakazy

dotyczyć mogą takich wychodźców, którzy nie odpowiadają warunkom, stawianym przez władze w państwie, do którego się udają, a więc dokąd, w myśl tamtejszych ustaw, nie uzyskaliby wstępu i byliby tylko narażeni na zbędną podróż i połączoną z nią stratę czasu i pieniędzy. Wychodźcom-analfabetom np. może być zabroniony wyjazd do Stanów Zjednoczonych, ponieważ istnieje z góry pewność, że nie zostaliby tam wpuszczeni. Podobne zakazy mają to samo usprawiedliwienie, co np. zakaz picia ze studni, która ma wodę niezdrową. Przy wydawaniu ich należałoby jednakowoż odpowiednio je uzasadniać i wskazywać emigrantom, o ile możności, inną drogę do poszukiwanej poprawy bytu.

Niewątpliwie zadaniem rządu polskiego będzie zjednanie sobie zupełnego zaufania mas wychodźczych, gdyż to ułatwi mu wywieranie na ruch emigracyjny odpowiedniego wpływu. Emigrantowi trzeba będzie wpoić przekonanie, że w niepodległej Polsce wszelkie zarządzenia, przepisy i pouczenia rządowe, dotyczące emigracji, powstają nie pod naciskiem i w interesie klas posiadających, lecz że obok ogólnopaństwowego, mają wyłącznie jego, emigranta, własne dobro na widoku.

Spełnienie drugiego z kolei postulatu naszej polityki emigracyjnej a mianowicie, by ruch wychodźczy nosił charakter emigracji zarobkowej, powrotnej, i przynosił tak krajowi, jak biorącym w nim udział jednostkom jaknajwiększe korzyści, uwarunkowane jest zorganizowaniem racjonalnej i szeroko pojętej państwowej opieki nad wychodźcami. Ma więc to być nie tylko ochrona ich w kraju i na obczyźnie przed wszelkiego rodzaju wyzyskiem i krzywdami, lecz nadto zdobywanie nowych, lepszych rynków zbytu na ich pracę, a wreszcie systematyczne popieranie reemigracji. Droga do tego prowadzi przez powołanie do życia odpowiedniego ustawodawstwa i specjalnych urzędów tak w kraju jak zagranicą (ewent. w łonie zastępstw konsular-

nych) oraz przez zawarcie konwencji z państwami imigracyjnemi. W żadnym wypadku nie można dopuszczać, by podaż polskich rąk roboczych na tym lub owym rynku zagranicznym przewyższała istniejący na nie w danej chwili popyt. Prywątne, a więc bądź spekulacyjne bądź też dyletanckie pośrednictwo pracy dla wychodźców sezonowych winno być stanowczo wykluczone. Perjodycznie ogłaszane biuletyny urzędowe o konjunkturach, panujących na zagranicznych rynkach pracy, mogą również emigrantom zamorskim ułatwiać orjentację w ich wędrówkach za chlebem, aby jednak nie podniecały pochopności do emigracji, winny z reguły nosić raczej charakter negatywny, t. j. przestróg, dokąd i komu w danej chwili nie opłaci się poszukiwać zarobków w danych okolicach.

Jednym z poważnych środków popierania reemigracji będzie stałe informowanie przebywających na obczyźnie wychodźców o ewentualnie wyłaniających się na polskim rynku pracy pomyślnych konjunkturach dla pracowników tej lub innej kategorji, oraz o powstających możliwościach zdobywania tutaj samodzielnych placówek gospodarczych. Akcji na tem polu będzie sprzyjało również ułatwienie przesyłek pieniężnych i lokaty oszczędności w kraju.

Wreszcie i trzeci postulat—przeciwdziałanie zupełnej ekspatrjacji wychodźców, już na stałe osiadłych na obczyźnie—ma niesłychanie ważne znaczenie wobec faktu, że poza granicami państwa polskiego przebywać będą miljony Polaków, wystawionych na ciągłe działanie asymilacyjnych wpływów obcego otoczenia. Bez względu, jak potężnem i wielkiem będzie państwo polskie, wyrzekać się tych ludzi nie mamy prawa a tembardziej obowiązku. Z drugiej strony jednak jest rzeczą zupełnie naturalną że wszystkie społeczeństwa, korzystające z imigracji, pragną osiadających wśród nich przybyszów jaknajrychlej i jaknajgruntowniej zespolić z sobą i zatrzeć ślady ich odrębności narodowej. Te krzyżujące się z sobą, chociaż jednocześnie usprawie-

dliwione dążenia obu stron t. j. narodów, wydzielających emigrację i narodów, zasilanych imigracją — łatwo prowadzić mogą do niepożądanych konfliktów i tarć, o ile przy realizacji ich nie będzie przestrzegany odpowiedni takt i umiarkowanie lub też nie będą respektowane zasady wolności obywatelskiej. Polacy, którzy naturalizowali się już zagranicą, muszą, rzecz prosta, gorliwie i lojalnie spełniać wszystkie obowiązki wobec przybranej ojczyzny, jednocześnie jednak winni utrzymywać stały duchowy i ekonomiczny kontakt ze swą Macierzą i pielęgnować w swych ogniskach domowych Znicza polskiego.

Jeśli pogodzimy się z myślą, że w przyszłości ruch wysiedleńczy z Polski nie da się odrazu zupełnie stłumić, zadaniem naszej polityki emigracyjnej stanie się dążenie, aby ruch ten nie odbywał się bezładnie, lecz o ile możności kierował się tam, gdzie wychodźcom nawet w najdalszych pokoleniach nie groziłoby wynarodowienie, gdzie polski żywioł mógłby się swobodnie rozwijać pod względem narodowym i kulturalnym, formując coraz to większe zwarte i narodowo jednolite skupienia. Tam również należałoby przyciągać jaknajwięcej tych wychodźców, rozproszonych po najrozmaitszych zakątkach kuli ziemskiej, których nie uda się skłonić do reemigracji do Polski.

Racjonalna polityka emigracyjna może sprawić, iż ruch wychodźczy nie tylko zmaleje lecz jednocześnie przestanie być zjawiskiem dla naszych interesów narodowych i gospodarczych niepożądanem.

Spis rzeczy.

III. Wychodźtwo do Kanady.

IV. Wychodźtwo do Brazylji.

V. Wychodźtwo do Argentyny.

VI. Wychodźtwo do Niemiec.

VII. Wychodźtwo do Danji.

VIII. Wychodźtwo do Szwecji.

IX. Wychodźtwo do Francji.

X. Wychodźtwo do Belgji i Szwajcarji.

XV. Uwagi końcowe.